

Rafael Ábalos

GRIMPOW

Sekret ośmiu mędrców

GRIMPOW. El camino invisible

Tłumaczenie:

Maria Mróz



Constantinowi Bértolo
z wdzięcznością

Żyjemy w zadziwiającym świecie.
Próbujemy znaleźć sens obserwowanych zdarzeń,
pytamy: Jaka jest natura wszechświata? (...)
Dlaczego wszechświat i my sami istniejemy?
Gdy znajdziemy odpowiedź na to pytanie,
będzie to ostateczny tryumf ludzkiej inteligencji
- poznamy wtedy bowiem myśli Boga.

STEPHEN W. HAWKING,
Krótką historią czasu
Zysk i S-ka Wydawnictwo

Spis treści

<u>Spis treści.....</u>	<u>4</u>
<u>Część pierwsza.....</u>	<u>6</u>
<u>Opactwo Brinkdum.....</u>	<u>6</u>
<u>Trup na śniegu.....</u>	<u>7</u>
<u>Niespodziewane wizyty.....</u>	<u>18</u>
<u>Historia i legenda.....</u>	<u>34</u>
<u>Kwadratura kota.....</u>	<u>50</u>
<u>Krzyk w ciemności.....</u>	<u>64</u>
<u>Ponad gwiazdami.....</u>	<u>77</u>
<u>Alchemiczne złoto.....</u>	<u>91</u>
<u>Król dnia i pani nocy.....</u>	<u>105</u>
<u>Część druga.....</u>	<u>114</u>
<u>Zamki Kamiennego Kręgu.....</u>	<u>114</u>
<u>Drzewo wisielców.....</u>	<u>115</u>
<u>Klątwa pustelnika.....</u>	<u>129</u>
<u>Krwiożerczy rozbójnik.....</u>	<u>136</u>
<u>Płomienie nad Cornill.....</u>	<u>149</u>
<u>Klucz do tajemnic.....</u>	<u>166</u>
<u>Niepokojące wieści.....</u>	<u>173</u>
<u>Magii poszukaj w gwiazdach.....</u>	<u>180</u>
<u>Karta śmierci.....</u>	<u>187</u>
<u>Kopie i miecze.....</u>	<u>195</u>
<u>Królowa turniejów.....</u>	<u>203</u>
<u>Przyszedł czas na wyjaśnienia.....</u>	<u>215</u>
<u>W gospodzie Junna Kulawca.....</u>	<u>222</u>
<u>Głos cienia.....</u>	<u>229</u>
<u>Podróż w beczce.....</u>	<u>236</u>
<u>Zapieczetowana komnata.....</u>	<u>243</u>

<u>Czas jest życiem, czas jest śmiercią.....</u>	<u>251</u>
<u>Szturm na zamek.....</u>	<u>261</u>
<u>Część trzecia.....</u>	<u>268</u>
<u>Niewidzialna droga.....</u>	<u>268</u>
<u>Ciemność i światło.....</u>	<u>270</u>
<u>Znowu razem.....</u>	<u>283</u>
<u>Na szkucie Azkle Trubadura.....</u>	<u>289</u>
<u>Ostatnie słowa.....</u>	<u>295</u>
<u>Kwiat w labiryncie.....</u>	<u>311</u>
<u>Dramatis personae.....</u>	<u>327</u>
<u>Podziękowania.....</u>	<u>328</u>

Część pierwsza

Opactwo Brinkdum

Trup na śniegu

Mgła, która opadła na góry okryte grubym płaszczem śniegu, sprawiła, że widoczność wynosiła zaledwie parę kroków. To dlatego Grimpow nie spostrzegł trupa do chwili, kiedy potknął się i upadł jak długi tuż obok niego. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę z ponurego odkrycia i przerażony popatrzył prosto w twarz nieżywego mężczyzny, który leżał obok spokojnie, jak gdyby spał. Grimpow poderwał się z miejsca jednym susem i pobiegł ze wszystkich sił w kierunku chaty, a jego oddech zamieniał się w kłęby pary, jak u jelenia ściganego przez watahę głodniałych wilków.

- Co się tak spieszysz? - spytał Durlib, otwierając drzwi, w które Grimpow bębnił, jak opętany.

- Tam... tam... niedaleko leży martwy człowiek! - odparł Grimpow zdyszczonym głosem, wskazując ręką w kierunku ośnieżonych świerków.

Durlib zbladł.

- Jesteś tego pewien, chłopcze? - spytał z niepokojem.

Grimpow potwierdził skinieniem głowy, rzucając na pobliski pień parkę królików, które dopiero co ustrzelił z łuku w pobliżu lodowatego wodospadu w dolinie.

- Poczekaj, wezmę miecz - powiedział Durlib.

Wszedł do chaty, wziął swój futrzany płaszcz i przypasał miecz, który zawsze wisiał tuż obok drzwi wejściowych.

- Chodźmy, Grimpow. Zaprowadź mnie w miejsce, gdzie znalazłeś tego człowieka.

I razem wyruszyli w poszukiwaniu nieboszczyka, znikając jak widma w gęstej mgle.

Grimpow szedł szybkim krokiem wypatrując podejrzanych cieni. Trzymał łuk w lewej ręce, a kołczan pełen strzał gotowych do użytku miał przewieszony przez plecy. Czuł głuchy tętent serca w piersi, gdy wzrokiem przebiegał swój szlak na śniegu. Ślady, które wyłłobił biegnąc do chaty były tak wyraźne i głębokie, że nie mógł zmylić drogi. Musiał po prostu pójść po nich, jak po sznurku, wymijając głązy i pnie drzew, aby ponownie ujrzeć ciało tego człowieka, leżącego w śniegu i jakby pogrążonego we śnie.

- Jest tam! - krzyknął Grimpow, wskazując na ciemny kształt, na wpół ukryty w zaspie.

Durlib zatrzymał się w miejscu.

- Zostań tu i nie podchodź, dopóki cię nie przywołam - rozkazał.

Zmarły leżał na boku, ale twarz miał zwróconą ku górze, jak gdyby ostatnim jego życzeniem przed śmiercią było pożegnać niewidoczne teraz gwiazdy. Miał około sześćdziesięciu lat, a po kosztownym stroju, zwłaszcza opończy z grubej wełny kryjącej plecy, Durlib natychmiast zorientował się, że był to rycerz, pan wysokiego rodu. Podeszedł powoli, ukląkł obok nieboszczyka i zamknął mu otwarte, niewidzące oczy. Z długich włosów zmarłego, z siwej brody i brwi zwisały małe lodowe sople, twarz miała błękitnawy odcień, a w zarysie zaciśniętych ust można było dopatrzeć się jakby śladu uśmiechu.

- Zamarzł! - orzekł Durlib, po dokładnych oględzinach trupa. - Nie widzę na jego ciele żadnej rany, która wskazywałaby na to, że ktoś go zabił. Najprawdopodobniej zgubił konia wczoraj w nocy i zablądził we mgle. Zimno wtargnęło w jego żyły i zmroziło mu krew. Myślę, że umierał spokojny, choć to smutny koniec - dodał.

W chwili, gdy wymawiał te słowa, spostrzegł że prawa ręka zmarłego była zaciśnięta z wielką siłą, jakby nieżywy rycerz chronił w niej coś cennego, z czym nie chciał się rozstać nawet w ostatniej chwili życia. Durlib ujął sztywną, lodowatą rękę trupa i z wysiłkiem rozgiął palec po palcu, aż ukazał się gładki, okrągły kamień, trochę większy od laskowego orzecha. Kolor kamienia był dziwny i nieokreślony, ulegał zmianom pod wpływem ruchu lub światła.

- Co się dzieje? - spytał Grimpow zaciekawiony.

- Zbliź się - powiedział Durlib.

Kiedy Grimpow podeszedł bliżej i ponownie popatrzył w twarz zmarłego, utwierdził się w przekonaniu, że rycerz wygląda, jak gdyby spał. Być może śmierć jest jedynie spokojnym, wiecznym snem, pomyślał. Potem spostrzegł niewielki kamyk, który Durlib trzymał w ręku, i spytał:

- Co to?

- To chyba amulet zmarłego rycerza. Schwycił go w dłoń przed śmiercią, kiedy spostrzegł, że nadszedł czas, aby polecieć swą duszę Bogu - powiedział Durlib, rzucając kamień chłopcu. - Schowaj go. Odtąd ten kamień będzie związany z twoim przeznaczeniem - dodał tajemniczo.

Grimpow złapał kamień w locie i poczuł promieniujące od niego ciepło, mimo iż powietrze w górach było lodowate.

- Co masz na myśli, mówiąc, że ten kamień będzie związany z moim przeznaczeniem - spytał niepewnie, bo nigdy jeszcze nie słyszał, aby Durlib wyrażał się tak zagadkowo.

- Przypuszczam, że jeśli to naprawdę jest amulet, będzie cię chronił od złych duchów i

przyniesie ci szczęście - odrzekł Durlib obojętnym tonem.

- Ja już mam amulet - odparł Grimpow, rozpinając kaftan i pokazując lniany woreczek zawierający parę źdźbeł rozmarynu, który zawiesiła mu na szyi matka, gdy był dzieckiem.

- No to teraz masz dwa i nie zaszkodzi ci żadne złe spojrzenie, klątwa ani trucizna. Lecz jak widać po zlodowaciałej twarzy tego rycerza, musisz strzec się mrozu. Wydaje się, że jemu ten amulet nie na wiele się przydał.

Grimpow przypomniał sobie, jak matka mówiła mu, że urodził się z nadejściem XIV wieku i że księżyc w pełni, przyświecający w noc jego narodzin, wieścił mu przyszłość pełną pomyślności i dobrobytu, których jej samej poskąpiło nieszczęsne przeznaczenie. Pogłaskał gładką powierzchnię kamyka końcami palców i poczuł, że proroctwa matki właśnie zaczynają się spełniać. Jednak w głębi duszy miał też niejasne przeczucie, że czekają go trudne chwile, choć nie mógł odgadnąć ich natury. Wywołało to w nim dreszcz lęku. Pomyślał, że niepokój spowodowany jest spotkaniem z nieboszczykiem, którego nieruchome ciało nadal leżało przed nim. Ale przecież, mimo młodego wieku, nieraz już widywał martwych ludzi. W czasie epidemii w okręgu Ullpens ludzie marli jak muchy i Grimpow widział trupy mężczyzn, kobiet, starców i dzieci, zrzucone na stos u bram cmentarza, szerniałe i zniekształcone, podobne do przerażających strachów na wróble.

Nagle z rozmyślań wyrwał go okrzyk, w którym brzmiało zdumienie i radość.

- Tylko popatrz na te cuda!

Durlib zrzucił pospiesznie futrzany płaszcz, rozpostarł go na śniegu i wysypał nań zawartość skórzanej sakwy, którą znalazł pod ciałem nieboszczyka. W słabym świetle południa, nadal tłumionym przez mgłę, rozbłysły dwa sztylety, duży i mniejszy, o rękojeściach z kości słoniowej inkrustowanych szafirami i rubinami. Było tam także sporo srebrnych monet, kilka klejnotów, zapieczętowane pismo i złota pieczęć schowana w drewnianej, rzeźbionej szkatułce, taka, jakich używają królowie i możni, aby potwierdzać autentyczność dokumentów i listów.

- Chyba nie masz zamiaru tego zatrzymać? - spytał Grimpow, porażony widokiem tak drogocennych przedmiotów, jakich nigdy w życiu nie spodziewał się zobaczyć.

Durlib popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Cóż ty mówisz, Grimpow! Przecież jesteśmy włóczęgami i złodziejami! Czyżbyś o tym zapomniał?

- Ale nie jesteśmy profanatorami zwłok - odparł Grimpow z siłą, która jego samego zdumiała.

- Ależ, przyjacielu! - powiedział Durlib pojednawczo. - W moim długim i nędznym

życiu wygnańca i zbrojcy, nigdy nie dane mi było z woli niebios natknąć się na tak cenny skarb, jak ten, który teraz trzymam w ręku. I pomyśleć, że nie musiałem nadstawić karku dla jego zdobycia! A ty chcesz, żebym go zostawił? Czyżbyś oszalał, chłopcze? - pytał w podnieceniu.

Grimpow obracał trzymany w dłoni kamyk, poszukując argumentów, którymi mógłby przekonać Durliba o błędzie w jego rozumowaniu.

- Nawet nie wiemy, kim jest ten człowiek, skąd przyszedł, ani jak znalazł się w tych górach. Ktoś może wiedzieć, że tu się udawał i niebawem przyjdą go szukać.

- Śnieg, który spadł w nocy, zasypał wszystkie ślady; nie musisz się o to martwić - powiedział Durlib uspokajającym tonem.

- A jego koń? - nalegał Grimpow.

- Wilki zajmą się koniem, o ile jakiegoś miał.

- Wilki nie zezrą upręży ani siodła, a gdy ktoś je znajdzie, właśnie nas oskarżą o zabójstwo i będą nas okrutnie torturować przed śmiercią - wyjaśnił Grimpow ze swadą, która jego samego zdumiała, gdyż nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się tak jasno wyrażać swoich myśli.

- O tym nie pomyślałem - przyznał Durlib, drapiąc się po głowie. - Lepiej będzie, jak schowamy skarb w pobliżu chaty i powrócimy tutaj wieczorem, aby pochować nieboszczyka zanim zapadnie zmrok. Nie leży w zwyczaju dobrych chrześcijan pozostawiać ciała zmarłego na pożarcie dzikim zwierzętom. Potem, dzięki tym bogactwom, zacniemy nowe życie. W ten sposób jego dusza odpocznie w Panu, a nasze będą wolne od wszelkiego grzechu - zakończył, żegnając się zamasyście jak ksiądz na ambonie.

- Powinniśmy powiadomić opata z Brinkdum - powiedział Grimpow sucho.

Oczy Durliba wyrażały zdumienie sugestią przyjaciela.

- Opata z Brinkdum? Przecież ten opat to najgorszy złodziej, jakiego nosi święta ziemia! Jeśli zobaczy skarb, bez wątplenia zatrzyma go dla siebie. Słono każe sobie zapłacić za liczne msze i modlitwy, które odprawi w swoim opactwie za duszę zmarłego - odrzekł sarkastycznie Durlib.

- Ale opat będzie mógł się dowiedzieć, kim jest zmarły i będzie mógł go pochować w klasztornej krypcie, jak się należy szlachcicowi - odparł Grimpow, upierając się, aby nie bezcześcić znalezionych zwłok.

- I niewątpliwie będzie też umiał z nawiązką pobrać wynagrodzenie za gościnność okazaną tak szczodremu i szlachetnemu panu - dopowiedział Durlib jeszcze bardziej zjadliwym tonem.

- Nie nam o tym sądzić - odparł pogardliwie Grimpow.

Ponieważ Durlib zamilkł, Grimpow pomyślał, że dał za wygraną.

- Zastanawiam się, któż mógł samotnie podróżować po tych górach z takim skarbem w swoich sakwach - zapytał nagle, a Grimpow nie był pewien, czy pytanie było skierowane do niego, czy też towarzysz mówił głośno sam do siebie.

- Co o tym sądzisz? - odparł Grimpow pytaniem na pytanie.

- Być może to jeden z tych rycerzy krzyżowych, którzy przed laty powrócili z Ziemi Świętej obładowani skarbami niewiernych, lub też pielgrzym, udający się w samotną wędrówkę, aby odpokutować przewiny przy grobie jakiegoś świętego. A może król wygnany ze swych włości, który uciekł zabierając ze sobą to, co zmieściło mu się do sakwy. Niewykluczone, że to po prostu złoczyńca, jak my, który przebrał się za szlachetnego pana, aby zatrzeć za sobą ślady. Tak czy owak, nie sądzę, aby był to któryś z okolicznych wielmoży. Nigdy w życiu nie widziałem sztyletów wykutych z lepszej stali. A rękojeści są z kości słoniowej, drogocennie zdobione - rozważał Durlib, ale w jego głosie słyhać było wątpliwości i niepewność.

- Wydaje się, że niósł jakieś posłanie - powiedział Grimpow, wskazując na zalakowany list.

Durlib ujął w rękę pergamin i dokładnie go obejrzał. Następnie sięgnął po złotą pieczęć i porównał ją z wytłoczonym na laku dziwnym znakiem zwiniętego w kłębek węża gryzącego własny ogon.

- To ta sama pieczęć - potwierdził, porównawszy filigranowe znaki. - Jeśli złamiemy pieczęć, być może dowiemy się czegoś o tym zmarłym rycerzu.

I, chociaż zaden z nich nie umiał czytać, popatrzył na Grimpowa, jakby spodziewając się dojrzeć w jego oczach potwierdzenie, że należy zapoznać się z treścią listu. W tej właśnie chwili Grimpow poczuł tajemną moc płynącą od kamienia, który cały czas nieświadomie obracał w ręku, jak dziecięcą zabawkę.

- Otwórz - powiedział stanowczo.

Durlib starannie oderwał pieczęć, posługując się mniejszym sztyletem, a z wyrazu jego twarzy Grimpow wywnioskował, że towarzysz nie rozumie niczego z zawartości pisma.

- Cóż mogą oznaczać te dziwne rysunki? - wymamrotał.

Grimpow odebrał od niego pergamin i w chwili, gdy na niego spojrział, w jego umyśle ukształtował się łańcuch słów, jak gdyby ten zbiór niezwykłych symboli nie stanowił najmniejszej zagadki.

N HIBII IIII YIIYIIII I 'IIIIII
IIIR BIIIBIIIIY
'IRI'BIIRY

- W niebie jest ciemność i światło. Aidor Bilbicum. Strasburg - powiedział bez najmniejszego wahania. Sam nie wiedział, dlaczego właśnie te słowa wyszły mu z ust. Jednocześnie w jego umyśle kłębiły się nieskończone szeregi pogmatwanych i niewyraźnych obrazów.

Durlib popatrzył na niego z mieszaniną zdumienia i niedowierzania.

- Skąd ty możesz to wiedzieć?

- Nie mam pojęcia - przyznał Grimpow. - To tak, jak gdybym mógł to odczytać, mimo iż nie wiem, w jakim języku jest zapisane, podobnie, jak mówię „ptak”, mimo że nie umiem tego napisać, albo jak wymawiam dowolne inne słowo. Myślę, że to temu dziwnemu kamieniowi zawdzięczam umiejętność odszyfrowania zagadkowego napisu - ciągnął oszołomiony, czując jak niezwykle kamień, który nadal trzymał w dłoni, wydawał się stapiać z jego ciałem, podczas gdy jego umysł zalewało światło wiedzy w tak magiczny i niewytłumaczalny sposób, że przyszło mu na myśl, że to zmarły rycerz zawładnął jego duszą.

W tej samej chwili lodowe sople zwisające z włosów i brwi zmarłego poczęły się roztopiać i opadać maleńkimi kroplami wody, twarz rycerza przybrała cielisty kolor, po czym całe jego ciało rozpułyło się w śniegu, jak woskowa lalka w gorących płomieniach ognia i w okamgnieniu zniknęło, jakby nigdy nie istniało.

- Na rany siedmiu złodziei! Niech mnie powiesz na suchym drzewie w Ullpens, jeśli to nie diabelskie sztuczki - krzyknął Durlib, nie dowierając raptownemu zniknięciu nieboszczyka.

Natomiast Grimpow nie wydawał się zaskoczony niezwykle wydarzeniem.

- Sądzę, że zmarły rycerz powrócił tam, skąd przybył - powiedział w zamyśleniu, czując nadal dotyk kamienia w swej dłoni i nie będąc pewnym, czy to on sam wymawia te słowa.

Durlib popatrzył na niego zdumiony.

- A cóż to za niezwykle miejsce, gdzie zmarli rozwiewają się w powietrzu, jak za sprawą czarów?

- Nie wiem dokładnie, lecz odkąd wzięłem do ręki ten kamień, czuję, jakby jakaś niewytłumaczalna siła odkrywała przede mną rzeczy, których mój ani twój umysł nie jest w stanie ogarnąć - powiedział Grimpow.

- Daj spokój, chłopcze, przestań wygadywać głupstwa! Przed chwilą tuż przed naszym nosem leżał trup mężczyzny, a teraz go nie ma. To pewne, że to czarna magia albo diabelskie sztuczki - rzucił Durlib, ponownie żegnając się z przesadną gorliwością.

- Ani Bóg, ani Szatan nie mają z tym nic wspólnego, uwierz mi - powiedział Grimpow, sam nie wiedząc czemu.

- Tak czy owak, nie mam zamiaru sterczeć w tym przeklętym lesie ani chwili dłużej, żeby się o tym przekonać! Co za sens narażać się na to, aby duch rycerza obciął nam głowy i nadział je na piki, sprawiając tym radość krukom?

Ręce Durliba pospiesznie zbierały drogocенności zmarłego rycerza, rozsypane na futrzanym płaszczu, po czym Durlib spakował wszystko do sakwy nieboszczyka i zbierał się do odejścia.

- Przecież nie wierzysz w duchy, Durlibie! Ponadto coś mi mówi, że ten tajemniczy rycerz miał jakąś misję do spełnienia, ważne zadanie, którego nie udało mu się ukończyć. My powinniśmy zrobić to za niego, w zamian za pozostawiony skarb - powiedział Grimpow.

Po czym, patrząc na wyraz twarzy Durliba, zrozumiał, iż przyjaciel obawia się, że amulet zmarłego rycerza pomieszał mu całkiem umysł.

- I postanowił przybyć właśnie tutaj, na te lodowate, górskie pustkowia, aby spotkać się ze śmiercią, pozostawić nam w spadku swe bogactwa i zniknąć, jak Jezus Chrystus po ukrzyżowaniu? - spytał ironicznie Durlib.

- Być może był w drodze do miejsca przeznaczenia, przypuszczalnie Strasburga, gdzie jechał, aby zawieźć temu Aidorowi Bilbicum wiadomość zawartą w zalakowanym piśmie - zastanawiał się Grimpow głośno.

Durlib westchnął i przewrócił oczami.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale jedynie diabeł i jego orszak czarnoksiężników, magów i nekromantów jest w stanie dokonywać tak potężnych czarów, jak ten, którego byliśmy świadkami. Obawiam się, że zdarzyło się to na nasze nieszczęście i udrękę. Lepiej udajmy się do opactwa Brinkdum zanim w lesie zapadnie zmrok, weźmy udział w nieszporach i oczyścimy nasze ciała i dusze za pomocą dużej ilości wody święconej. Tylko tak unikniemy uroków, które duch tego nieżywego rycerza, maga, czarownika czy kimkolwiek on był, może na nas ściągnąć z zaświatów.

- Widzę, że w głębi duszy jesteś tak samo przesądny, jak łakomy - powiedział śmiejąc się Grimpow. - Nie sądzę jednak, aby zmarły rycerz, który okazał się tak hojny i obdarował nas swym skarbem, chciał się na nas mścić. Przecież nie zrobiliśmy mu żadnej krzywdy, przeciwnie, chcieliśmy mu zapewnić chrześcijański spoczynek tuż obok ołtarza w opactwie

Brinkdum - dodał Grimpow, przekonany o słuszności swoich wywodów.

Durlib zmarszczył brwi, wskazując tym gestem, że nadal zachowuje wątpliwości.

- Mam nadzieję, że dar wieszczy, w który - jak się zdaje - wyposażył cię ten kamień, dorównuje twoim umiejętnościom łuczniczym, bo jeśli nie, to obawiam się, że przekleństwo zmarłego rycerza będzie nas prześladować z uporczywością diabła, który załaził za skórę opętanemu.

- Porzuć obawy, Durlibie! Nie wiem jeszcze, do czego doprowadzi odkrycie ciała rycerza, które rozwiało się przed naszymi oczyma, ani też znalezienie kamienia, który miał w dłoni, a teraz ja go trzymam w swojej, lecz nie myślę się twierdząc, że to właśnie ten kamień powiedzie nas do wyjaśnienia tajemnicy, która tak bardzo cię niepokoi - powiedział Grimpow, po raz pierwszy z całkowitym przekonaniem.

- Jeśli o mnie chodzi, to wystarczą mi bogactwa, jakie dzięki bogini Fortunie znalazły się w naszym ręku, nawet jeśli raczyła posłużyć się pośrednictwem zmarłego rycerza, posiadającego magiczny i przerażający dar niewidzialności. Lecz jeśli twoim życzeniem jest odkryć, jaką misję miał do spełnienia w naszym świecie, nie opuszczę cię w tej decydującej chwili, gdy przygoda przyzywa nas do siebie, jak słodki śpiew pięknej panny - zakończył Durlib swoją przemowę.

- A więc chodźmy jak najprędzej do opactwa Brinkdum! - powiedział Grimpow z zadowoleniem.

W miarę jak schodzili ku opactwu, mgła rozwiewała się i wąskimi pasmami unosiła ponad korony świerków, tworząc postrzępione i puszyste obłoki. Pokrywa śniegu była teraz cieńsza i marsz po wąskiej ścieżce, wzdłuż której rosły ogołoczone z liści, cierniste krzewy, stawał się coraz wygodniejszy i lżejszy. Wydawało się, że strach Durliba przed zemstą ducha nieboszczyka rozwiął się równie szybko jak mgła, bo szedł spokojnie obok Grimpowa, nuąc złożoną z wielu zwrotek piosenkę, która zawsze towarzyszyła mu, kiedy czuł się zadowolony.

Durlib umiał grać na lutni, śpiewać ballady i wykonywał kuglarskie sztuczki ze zręcznością przewyższającą umiejętności najlepszych sztukmistrzów i linoskoczków cieszących się sławą w okolicznych okręgach. Lecz nade wszystko Durlib był oszustem i złodziejem, który świetnie opanował sztukę pozbawiania chłopów, wędrowców, pielgrzymów, kupców, mnichów i rycerzy ich sakiewek, bądź to dzięki sprytniej gadce, bądź dzięki wyćwiczonym palcom lub sile swego miecza. Grimpow poznał go rok temu, podczas wiosennego jarmarku, kiedy pracował jeszcze jako pomocnik swego wuja Felsdrona, zwanego Burmuchem, w jego ciemnej i nieprzyjemnie pachnącej gospodzie w Rhiquelwir.

Durlib zwykł tam przychodzić, aby zabawiać swymi wyczynami nietrzeźwych klientów pochodzących z okolicznych wsi. Pewnej burzliwej nocy, kiedy opróżnił sakiewki kilku rzemieślnikom, na tyle niemądrym, że zgodzili się zagrać z nim w kości, został rozpoznany przez bogatego handlarza bydłem, którego tego samego ranka obrabował, przytykając mu miecz do gardła na pobliskim rozstaju dróg.

Handlarz obiecał Grimpowowi zapłatę za przypilnowanie złoczyńcy, podczas gdy sam udał się pospiesznie na poszukiwanie zamkowych pachółków. Miał zamiar ująć Durliba i spowodować powieszenie go na dziedzińcu zamku Rhiquelwir z nadejściem świtu, jednak Grimpow, poruszony myślą, że tak okrutna kara czeka człowieka, którego znał jako sprytnego i zabawnego wydrwigrosza, ostrzegł go o niebezpieczeństwie i radził mu jak najszybciej uciekać z gospody.

Durlib opróżnił jednym haustem dzban wina, otarł usta rękawem kaftana i powiedział:

- Smutny jest los wygnańca! - I robiąc oko do Grimpowa na znak współnictwa, dodał:
- Czy jest jakieś inne wyjście z gospody? Muszę się stąd wymknąć, zanim żołnierze księcia rozprują mi brzuch, jak gospodarz wieprzowi naćpanemu żołędziami.

Grimpow kiwnął ręką i, korzystając z nieuwagi wuja, przez piwnicę pełną pajęczyn i beczek z winem wydostali się na tylne podwórze gospody. Tam Grimpow uchylił wrota, którymi wjeżdżały wozy w okresie winobrania i poprosił Durliba, aby przez chwilę pozostał na straży. Pobiegł do niewielkiej stajni, w której wuj Felsdron Burmuch trzymał starego konia pociągowego, założył mu ogłowie, zamiast siodła przytroczył do grzbietu sztywną derkę i powrócił, ciągnąc leniwe i odporne zwierzę za lejce.

- Jakże będę mógł się odwdziaczyć za twoją szlachetną pomoc? - spytał Durlib, sięgając po sakiewkę ukrytą za pazuchą kaftana.

- Zabierz mnie ze sobą - nagle powiedział Grimpow. - Gdy wuj i kupiec odkryją, że ich oszukałem, nie omieszkają mnie do krwi wybatożyć - dodał, błagalnie patrząc Durlibowi w oczy.

Durlib odwzajemnił spojrzenie, przez chwilę rozmyślał, co robić, aż w końcu powiedział, uśmiechając się:

- Właż na tę chabetę i zwiewajmy, zanim sfera moich prześladowców zwietrzy nasz ślad. Bo jeśli nas złapią, o świcie na zamku Rhiquelwir zadynda dwóch wisielców, nie jeden.

Grimpow posłuchał dobrej rady. Nie kryjąc radości zręcznie wskoczył na konia i w ulewnym deszczu skierowali się w stronę Obernalt, rodzinnej wsi Grimpowa, położonej nieco ponad godzinę drogi od Rhiquelwir, gdzie zamierzali spędzić noc.

- Nie zdaje mi się, abyś bardzo sobie cenił towarzystwo twojego wuja - powiedział

Durlib.

Odgłosy burzy cichły w oddali, a horyzont od czasu do czasu rozświetlały jeszcze błyskawice.

- To mąż jednej z sióstr mojej matki i jedyna osoba w rodzinie, której dobrze się powodzi. Mój ojciec przed dwoma laty umarł na ospę i matka wysłała mnie do wuja, żebym zapracował choćby na wyżywienie i wprawiał się w rzemiosło karczmarza. We wsi Obernalt mało co się uprawia, a i tak zimny wiatr z północy niszczy co roku zbiory. Ciotka jest dobrą kobietą, ale wuj Felsdron to prawdziwy złośnik, który całymi godzinami narzeka i co dzień wyładowuje na mnie swoje złe humory. Obrzuca mnie przekleństwami, szturcha mnie i bije.

- I co masz zamiar teraz ze sobą począć? - spytał Durlib, nie przestając wpatrywać się w ciemność, w którą zanurzyli się wkrótce po opuszczeniu miasteczka.

- Jeśli chcesz, mogę zostać twoim służącym - odparł Grimpow.

- Obieżyświaci, tacy jak ja, nie mają służących. Ponadto ja lubię być sam, a moje życie włóczęgi nie jest o wiele lepsze od twojego w wujowskiej gospodzie.

- Ale jesteś wolny i możesz iść, gdzie chcesz! - stwierdził Grimpow.

- Moja wolność posłuży mi jedynie do tego, aby pewnego pięknego dnia zadyndać na suchej gałęzi w jakiejś nędznej wiosce. Nie mogę się zgodzić, abys został ze mną.

- A więc pozwól mi towarzyszyć sobie choć przez jakiś czas, dopóki nie znajdę własnej drogi w życiu - poprosił Grimpow.

Rozmawiali nie patrząc na siebie, ponieważ było ciemno, a także z powodu pozycji w jakiej siedzieli na koniu, jednak tym razem Durlib obrócił się do tyłu i popatrzył chłopcu prosto w oczy.

- Powinieneś się postarać zostać kimś więcej, niż tylko prostym złodziejem jak ja - powiedział.

- Zawsze chciałem być giermkim, nauczyć się władać bronią i walczyć na wojnie.

- Na wojnie ludzie zabijają się nawzajem, nie wiedząc nawet zbyt dobrze dlaczego to czynią. Powinieneś poszukać czegoś lepszego do roboty.

Zapadła cisza i trwała przez dłuższą chwilę, aż Durlib, czując się dłużnym wobec chłopaka, który uratował go przed szubienicą, powiedział:

- No dobrze, zostań ze mną, jeśli chcesz. Ale tylko przez jakiś czas - zastrzegł, nie patrząc na niego.

Grimpow wiedział, że matka ucieszy się z jego widoku, nawet jeśli później go skrzyczy, dowiedziawszy się o ucieczce z gospody wuja. Przybyli do Obernalt przemarznięci do szpiku kości. Grimpow opowiedział matce, co się zdarzyło, ukrywając pewne szczegóły;

zwierzył się też ze swych zamierzeń związanych z Durlibem, którego przedstawił jako dobrze prosperującego kuglarza. Matka, nie całkiem przekonana, że syn zyska na zmianie profesji, obsypała go jednak pocałunkami i błogosławieństwami na drogę. Być może przez chwilę obawiała się, że przybędzie jej jeszcze jedna gęba do wyżywienia, bo oprócz swych czterech sióstr Grimpow ujrzał w domu matki jeszcze dwoje małych, nieznanym sobie dzieci.

I tak Grimpow rozpoczął nowe życie u boku Durliba. Włóczyli się po wsiach i miasteczkach, kradli w obejściach i na rynkach, łupili kupców i napadali na pielgrzymów, prosili o jałmużnę u kościelnych bram, gdzie udawali ślepców lub kaleki, żonglowali, śpiewali ballady na miejskich placach i zamkowych dziedzińcach, kłusowali zimą w górach. Grimpow nauczył się strzelać z łuku, tropić zające, jelenie i sarny, śledzić rysie, niedźwiedzie, wilki i lisy. Nauczył się, jak przetrwać w ciężkich warunkach, dowiedział się, co oznacza darzyć uczuciem dobrego przyjaciela i nabrał zwyczaju wpatrywania się w gwiazdy w bezksiężycowe noce.

Wszystkie te wspomnienia nachodziły go, podczas gdy zdążali po zaśnieżonej drodze do opactwa Brinkdum, obładowani cennym skarbem martwego rycerza. Nawet nie przyszło mu do głowy, że już wkrótce rozstanie się z Durlibem na zawsze.

Niespodziewane wizyty

W słabym świetle zmierzchu wyłoniło się przed ich oczyma opactwo Brinkdum, ogromna bryła z czerwonego kamienia, pokryta dachami zasypanymi śniegiem. Opactwo leżało w północno-zachodniej części okręgu Ullpens, w żyznej dolinie nad rzeką, u stóp gór porośniętych lasem. Zostało założone przed trzema wiekami przez mnichów pustelników, którzy uznali, że to piękne miejsce przypomina bramy Raju. Wysoka dzwonnica, widoczna już z oddali, majestatycznie górowała nad resztą budynków, służąc za drogowskaz zagubionym pielgrzymom i za wyraźną przestrożę złym duchom.

Grimpow i Durlib nieraz już gościli w Brinkdum, gdyż opat, mnich w sile wieku, o małych i pozbawionych wyrazu oczach, jakby należących do woskowej figury, lubował się w klejnotach i drogocенnościach, nie zważając na śluby ubóstwa. Przymykał oczy na ich łotrostwa i często odbierał od nich część łupów zrabowanych na drogach, opłacając je sutym wiktem i winem. Ponadto zimą pozwalał im zamieszkiwać w leśnej chacie na ziemiach opactwa i polować w górach.

- Lepiej schowajmy nasz skarb zanim dotrzemy do opactwa, bo opat będzie chciał się dowiedzieć, co mamy w sakwie i nie da za wygraną, dopóki nie wsadzi w nią swojego ciekawskiego nosa - zaproponował Durlib, gdy zbliżali się do brodu na niewielkim górskim strumieniu.

Grimpow rozejrzał się wokół. Wśród gęstej roślinności wznosiły się wysokie świerki, a skały, z których wiatr zwiął delikatną pokrywę śniegu, piętrzyły się szare i nagie. Niedaleko od miejsca gdzie się zatrzymali, stał niewielki krzyż na kamiennej podmurówce wskazujący drogę do opactwa. Grimpow pomyślał, że byłoby to dobre miejsce do zakopania sakwy i wskazał palcem w jego kierunku.

- U stóp krzyża skarb będzie bezpieczny - stwierdził.

Durlib nie odpowiedział, skinął tylko głową i podszedł do wybranego miejsca. Otworzył sakwę i wyjął z niej obydwaj sztylety ozdobione szafirami i rubinami. Podał mniejszy z nich Grimpowowi, a większy zostawił sobie.

- Schowaj go w zanadrze - powiedział.

- Myślisz, że mnisi z opactwa mogą nam zagrażać? - spytał z powątpiewaniem

Grimpow.

- Po tym, co dzisiaj widziałem, nie dowierzam już nikomu - odrzekł Durlib, przelotnie się uśmiechając.

Schował swój sztylet pod kaftan, tak jak zalecił chłopcu, wyciągnął z pochwy miecz i wrył nim dołek na tyłach postumentu dźwigającego niewielki kamienny krzyż. Zanim włożył do niego sakwę, otworzył ją ponownie i wyjął kilka sztuk srebrnych monet należących do zmarłego rycerza.

- Damy je opatowi z Brinkdum w zamian za dwa dobre konie z jego stajni. Nie bardzo wiem, gdzie leży Strasburg, ani o ile dni drogi stąd, ale jestem przeświadczony, że łatwiej będzie nam dotrzeć tam konno niż pieszo.

Świadomość, że Durlib pomimo swych zastrzeżeń chce razem z nim udać się do Strasburga, aby dowiedzieć się, co oznaczało pismo zmarłego rycerza, sprawiła, że Grimpow zapragnął jak najszybciej znaleźć się w opactwie. W czasie drogi nie tylko wspominał, jak poznał Durliba, ale też zastanawiał się nad niedawnymi zdarzeniami. Rozpamiętywał, jak znalazł w górach ciało i jak ono rozpułnęło się, jakby było ze śniegu. Grimpow włożył kamień do małego lnianego woreczka zawierającego żdźbła rozmarynu, który zawsze nosił na szyi i choć nie odczuwał już ciepła, które biło od kamienia, gdy trzymał go w ręce, nadal zdawał sobie wyraźnie sprawę z jego obecności. Wiedział, że ma do czynienia z czymś więcej, niż zwykłym amuletem i coś niewytłumaczalnego, jakby bezgłośnie wezwanie z oddali, zmuszało go do sprawdzenia, o co tak naprawdę chodzi. Jedyne wskazówki, które miał do dyspozycji, były zapieczętowana wiadomość i złota pieczęć zmarłego rycerza, o których nie mógł przestać myśleć.

Zakrywszy ziemią i przysypawszy śniegiem dziurę, w której ukryli sakwę ze skarbem, ruszyli do opactwa Brinkdum. Na ostatnim odcinku ścieżka wiała się stromo w górę.

- W niebie jest ciemność i światło - powiedział głośno Grimpow, powtarzając słowa, które wyrzekł patrząc na zapisany dziwnymi znakami pergamin.

- To brzmi jak czarodziejskie zaklęcie, już ci to mówiłem. Lepiej go nie wymawiaj w pobliżu kościoła, bo zostaniemy rażeni gromem z jasnego nieba i posłani na zawsze w ciemność piekielnych czeluści - uroczyście przemówił Durlib, bawiąc się grą słów.

- Myślę, Durlibie, że w tym kryje się coś o wiele ważniejszego. Zastanawiam się, czy ta wiadomość nie jest zagadką, do której klucz ma jedynie ten Aidor Bilbicum ze Strasburga.

- No właśnie, mówimy o tym samym. Magowie i czarownicy dobrze wiedzą, jakie znaczenie mają ich magiczne formuły. Pewnego razu widziałem, jak stara czarownica zamawiała urok. Jakaś kobieta wiała się na ziemi wstrząsana drgawkami, tocząc pianę z ust,

jak zdychające zwierzę, a starucha biegała wokół nieszczęsnej i wypowiadała potworne i diaboliczne zaklęcia.

- Cały czas rozprawiasz o przesądach i wierzeniach, o czarach i urokach, a ja mam na myśli coś o wiele bardziej istotnego. Już teraz mogę stwierdzić, że zdanie to oznacza, iż w niebie jest niewiedza, która jest ciemnością i światło, które nie jest niczym innym, jak wiedzą czy mądrością. Przesady i zaklęcia, o których wspominasz, są owocem ignorancji. Bogowie i diabły nie istnieją, Durlibie, są jedynie wymysłem ludzi, którzy usiłują wytłumaczyć sobie świat - dowodził Grimpow, sam zadziwiony własnymi słowami.

- Jesteś pewien, że to ty do mnie mówisz, a nie duch tajemniczego zmarłego rycerza? - zapytał Durlib, patrząc ponownie na niego z lękiem i wątpliwością.

- A cóż to ma za znaczenie? - pytaniem odpowiedział na pytanie Grimpow, nie znajdując dobrej odpowiedzi.

- Oczywiście, że ma znaczenie. Jak opat z Brinkdum cię usłyszy, pomyśli, że diabeł cię opętał i kaze cię spalić na stosie na postrach heretykom, a cały okręg Ullpens będzie miał się czemu przyglądać.

- Możesz się śmiać, jeśli chcesz - powiedział Grimpow z przekonaniem - ale z jakiegoś powodu jestem pewien, że zmarły rycerz uciekał właśnie przed stosem.

- To tylko dodatkowy powód, aby uznać go za maga, czarownika lub jednego z tych czcicieli Złego, których ściga Inkwizycja, aby oczyścić ich dusze w płomieniach - zakończył Durlib rozmowę, gdyż właśnie dotarli do wrót opactwa Brinkdum.

Ciemne, nocne obłoki kryły dolinę ciężkim płaszczem, gdy zastukali do furty. Uchyliło się małe okienko i wyjrzał przez nie odźwierny - wielkie, zgarbione i ponure chłopisko, zwane przez mnichów Kense - który nie wydawał się darzyć przybyłych zbyt dużą sympatią. Gapił się na nich bez słowa, jakby oniemiał, albo sądził, że to niewidzialne ręce wiatru załomotały we wrota opactwa.

- Pozwól wejść do opactwa dwóm biednym wędrowcom pozbawionym domowego ogniska, przy którym mogliby się ogrzać, i łoża, które dałoby spoczynek ich zmęczonym ciałom, przyjacielu Kense - powiedział Durlib, wyginając ciało w imitacji ukłonu.

Odźwierny bez słowa zatrasnął judasza. Grimpow i Durlib usłyszeli, jak oddalał się szurając sandałami. Przypuszczali, że poszedł uprzedzić o ich przybyciu któregoś z mnichów lub opata i uzyskać dla nich pozwolenie wejścia do środka, ponieważ jednak długo nie wracał, Durlib ponownie zastukał kołatką, tym razem dużo gwałtowniej.

- Już zaraz, zaraz, otwieram! - dał się słyszeć piskliwy głos z drugiej strony wrót.

Był to brat Brasgdo, pogodny i gruby jak beczka wina mnich, którego Grimpow zawsze widywał w kuchni, gdzie królował w otoczeniu kotłów i rondli, kawałów mięsa i stosów warzyw. Odsunął rygiel, a gdy zobaczył ich zmartwiałych z zimna stojących pokornie przed wejściem, uśmiechnął się z lekka drwiąco grubymi wargami i rzucił:

- No wchodźcie, zanim do końca nie zamarzniecie, a wiatr nie przewieje was na wylot. - Po czym zapytał - Czy można wiedzieć, czemu zawdzięczamy tę niespodziewaną wizytę?

- Postanowiliśmy opuścić chatę w górach i nie wracać więcej do tego lodowatego piekła - powiedział Durlib zdecydowanym tonem, przekraczając próg opactwa.

- Piekło, którego powinniście się lękać, nie jest zrobione z lodu, lecz z ognia, i w nim będziecie wiecznie gorzeć, chyba że Bóg wybaczy wam wasze grzechy - powiedział mnich, zatraskując zasuwę za plecami Grimpowa.

- Dlatego też przybyliśmy do tego świątobliwego domostwa, bracie Brasgdo, aby pokrzepić nasze dusze w klasztornej kościele i towarzyszyć wam w waszych modlitwach przed rozpoczęciem podróży w dalekie strony - wyjaśnił Durlib z udawaną nabożnością.

- Oraz przy okazji napchać sobie brzuchy i wyspać się wygodnie w ciepłe, zamiast znosić wiatr i niewygodę w waszej chacie - dodał drwiąco mnich.

- Przynajmniej tej nocy - przyznał Durlib, otrzepując śnieg z futrzanego płaszcza. - Za łożę starczy nam wiązka słomy i derka w sali pielgrzymów, a nasze żołądki zadowolą się kromką chleba z dodatkiem kawałka sera. No i oczywiście dzbanem tego wyśmienitego wina, które chowacie w waszej spiżarni - śmiejąc się dodał Durlib.

Mnich zaśmiał się także.

- Tego roku mieliśmy bardzo kiepskie zbiory - powiedział z ubolewaniem, kierując się wszakże do kuchni i kiwając ręką, żeby szli za nim.

We wnętrzu opactwa było ciemno i tylko jedno smolne łuczywo zatknięte na kamiennym murze w głębi wielkiego przedsionka, rzucało trochę światła na długi, sklepiony korytarz.

- A więc wybieracie się w długą podróż? - spytał brat Brasgdo, tocząc swój ogromny bandzioch, okryty brunatnym zakonnym habitem.

- Tak jest. Wyruszamy zaraz jutro, o świtanie - potwierdził Durlib.

- Obraliście już cel podróży?

- Chcemy dotrzeć na koniec świata! - powiedział w natchnieniu Durlib.

- Jak słyszałem, *finis mundi* leży bardzo daleko stąd, za przepastnymi morzami na zachodzie i zamieszkują go jedynie monstra i okropne poczwary - wymamrotał mnich,

starając się nadać swemu dobrodusznemu obliczu wyraz przestachu.

- Są też tacy, co twierdzą, że znajdują się tam niewidzialne Bramy Raju. Mówią też, że te odległe krainy obfitują w złoto i drogie kamienie, że tamtejsze kobiety są ponad podziw piękne, jadło i napoje dostępne na wyciągnięcie ręki, a ludzie cieszą się wieczną młodością - dowodził Durlib.

Brat Brasgdo popatrzył na niego z potępieniem, otwierając jednocześnie drzwi do kuchni.

- Bramy Raju są w tej oto dolinie, którą Bóg stworzył ku radości naszych oczu - rzucił gwałtownie - a miejsc, o których mówisz, nikt jako żywo nie widział; istnieją jedynie w wyobraźni niektórych nieprawych i opętanych umysłów, które dopuściły do siebie szatańskie pokusy. Czyżbyś i ty do nich należał? - zapytał z naciskiem mnich.

- Ależ skąd, jestem jedynie prostaczkiem, który żyje w trwodze przed Bogiem i co dzień zanoszą modły, aby dostąpić Królestwa Bożego - Durlib pokajał się, aby uspokoić wątpliwości mnicha.

- Widzę jedynie, że z ciebie jeszcze lepszy komediant, niż rzezimieszek - rzekł brat Brasgdo, uśmiechając się z lekka.

Weszli do kuchni, gdzie w wielkim, centralnie umieszczonym piecu dopalały się grube polana, i brat Brasgdo zaprosił ich do stołu, przy którym stała długa ława bez oparcia. Było tak gorąco i duszno, że musieli zdjąć swoje futrzane okrycia. W rogu obszernego pomieszczenia znajdowały się małe drzwi do refektarza, przez które chodzili w tę i z powrotem służący nosząc gliniane misy. Ze swego miejsca przy stole Grimpow mógł podejrzeć mnichów, którzy właśnie zasiedli do wieczerzy. Siedzieli w milczeniu, ze spuszczonej głowami i wyrazem medytacji na twarzach oświetlonych skąpym blaskiem oliwnych kaganków stojących na stołach. Do uszu Grimpowa docierał głos mnicha wyznaczonego do lektury psalmów, podobny do bliskiego, głuchego szeptu.

Brat Brasgdo przyniósł im wielki, okrągły bochenek chleba, miskę gorącej zupy, parę kawałków pieczeni wieprzowej, gomółkę sera, poleć solonego boczku i dzban wina, którego domagał się Durlib.

- Jeśli opat cię spyta, co pijesz, odpowiedz, że to woda - zażartował mnich, stawiając dzban na stole.

Następnie usiadł przy nich i zaczął łuskać orzechy, które miażdżył w dłoniach.

- Czy opat już wie, że tu jesteśmy? - spytał Durlib, głośno chłęcząc zupę.

- Kiedy Kense powiedział mi, że przyszliście, poszedłem wam otworzyć. Ponieważ mnisi zasiedli już w refektarzu, nie chciałem przerywać posiłku opatowi, aby nie pogwałcić

naszej reguły milczenia. Powiem mu o wszystkim po wieczery, zanim zadzwonią na nieszpory w kościele. Wiesz przecież, że obowiązkiem chrześcijanina jest zapewnienie schronienia wędrowcom i pątnikom, więc nie będzie miał wam za złe, że tę noc spędzicie w opactwie.

- Muszę z nim porozmawiać, zanim oddali się do swoich komnat - wyjaśnił Durlib, ocierając usta po dobrym hańście wina.

- Czy w czymś mógłbym pomóc? - spytał mnich, nie kryjąc ciekawości.

- Chcę pogadać z opatem o wymianie koni na srebrne monety.

- Widzę, że ostatnio nie brak ci pieniędzy - powiedział brat Brasgdo. - Kogóż obrabowałeś tym razem? - dodał podejrzliwie.

- Któż mógłby się zabłąkać w te górskie pustkowia w środku zimy, gdy nawet wrony nie krążą po niebie - odparł Durlib zaniepokojony.

- Być może jakiś duch - powiedział cicho mnich, wkładając orzech do ust i gryząc go poźółkłymi zębami.

Durlib wytrzeszczył oczy i popatrzył na Grimpowa, lecz prędko opanował zdumienie i powiedział spokojnie:

- To tylko parę srebrnych monet, które zostawiłem sobie na taką właśnie okazję.

Grimpow towarzyszył rozmowie w napięciu, milcząc na podobieństwo Kensego, wielkiego i o ciężałego klasztornej służby. Mnich popatrzył na niego uważnie bystrymi oczkami wiewiórki i, jakby nie obchodziły go wyjaśnienia Durliba, zapytał:

- A ty, dlaczego nie wstąpisz do opactwa jako nowicjusz i nie poświęcisz swego życia służbie Bogu, zamiast włóczyć się po świecie w towarzystwie tego łotrzyka Durliba?

- Pragnę odnaleźć moją własną drogę w życiu - stwierdził nieśmiało Grimpow.

- Nie istnieje słuszniejsza droga, niż modlitwa i praca. W tych czasach pola i lasy dotknięte są plagą złodziei, zbiegłych mnichów i żebraków - powiedział patrząc znacząco na Durliba - i nie ma lepszego schronienia przed pokusami i grzechem, niż dom Pana naszego. Tu mógłbyś się nauczyć czytać po łacinie i po grecku, dbać o inwentarz, uprawiać ogród, zbierać zioła i rośliny lecznicze, leczyć chorych, kopiować manuskrypty, iluminować je lub tłumaczyć. Mógłbyś nawet zostać kuchcikiem i po latach zająć moje miejsce, gdy pożegnam się z tym światem, co mam nadzieję nastąpi dopiero, gdy dożyję późnej starości - dodał wznosząc oczy ku niebu.

- Nie przepadam za milczeniem - odparł Grimpow, zachęcony gadaniną mnicha.

Brata Brasgdo rozbawiła odpowiedź chłopaka. Parsknął śmiechem.

- Jak widzisz, kucharz jest zwolniony ze ścisłego przestrzegania tej zakonnej reguły.

Nie mógłbym się porozumieć ze służbą, gdybym musiał posługiwać się gestami, zamiast słowami - zapewnił, śmiejąc się.

- Niewątpliwie pęklibyście bracie Brasgdo, gdybyście musieli milczeć cały dzień - stwierdził Durlib, któremu wypite wino zaczynało szumieć w głowie.

Mnich uznał za żart komentarz Durliba, którego znał na tyle dobrze, żeby nie doszukiwać się w jego słowach złośliwości. Wszyscy trzej cichutko się zaśmiali, starając się nie zakłócić ciszy opactwa.

Po chwili rumor łań i szelest kroków zapowiedział koniec posiłku. Mnisi w milczeniu opuszczali refektarz.

- Poczekajcie tu chwilę, powiadomię opata o waszym przybyciu - powiedział mnich wychodząc.

Gdy tylko za bratem Brasgdo zamknęły się drzwi kuchni, Durlib wyszeptał do Grimpowa:

- Słyszałeś, co powiedział?

Grimpow potwierdził skinieniem głowy.

- Niewątpliwie mówił o duchu, co odnosiło się do właściciela srebrnych monet, które miałem zamiar dać opatowi w zamian za konie - powiedział pośpiesznie i z naciskiem.

- Być może tylko się tak wyraził, gdy szukał wyjaśnienia, skąd możesz mieć te pieniądze - rozważał Grimpow.

- A jeśli rycerz był tutaj, zanim my go znaleźliśmy? - spytał Durlib, patrząc Grimpowowi w oczy, jakby chciał odgadnąć jego myśli.

Grimpow nie mógł odpowiedzieć, bo właśnie w tej chwili brat Brasgdo wszedł ponownie do kuchni przez drzwiczki łączące ją z refektarzem. Za nim szedł opat z Brinkdum.

- W złą porę opuściły swą norę w górach te dwa lisy - powiedział uśmiechając się opat, gdy dostrzegł ich siedzących przy piecu.

Durlib wstał i podbiegł, aby ucałować wielki pierścień na dłoni opata, którą ten wyciągnął w ich kierunku. Grimpow poszedł jego śladem i poczuł na wargach zimny dotyk złota, podobny do tego, jaki wywołałby kawałek lodu. Opat z Brinkdum nie tylko był przełożonym klasztoru, ale jego władza obejmowała cały okręg Ullpens i część sąsiednich okręgów. Mówiono o nim, że niegdyś był dzielnym rycerzem, który porzucił miecz w wieku trzydziestu lat i został mnichem, aby resztę swych dni spędzić w oddaleniu od świata. Jednak brat Brasgdo już przed laty wyjawiał Durlibowi prawdziwą przyczynę religijnej gorliwości opata. Otóż pewna piękna dama odmówiła mu ręki, gdyż jej ojciec był przeciwny temu małżeństwu, a teraz opat zwykł odwiedzać ją w pobliskim zamku jako spowiednik i obdarzać

podarunkami. Grimpow pomyślał wówczas, że na dłoniach tej pięknej pani lśnią pierścienie zrabowane przez nich na gościńcu, w których opat lubuje się tak samo lub bardziej, jak w śpiewie mnisiego chóru.

Przywitawszy życzliwie przybyszy, opat nakazał bratu Brasgdo zaprowadzić ich do sali przeznaczonej do goszczenia pielgrzymów, położonej w bezpośrednim sąsiedztwie sali kapitulnej. Po niesporach mieli tam spędzić noc.

Następnie opat opuścił kuchnię i udał się do siebie, a kucharz, Durlib i Grimpow wyszli bocznym wyjściem, skąd spiralne schody wiodły bezpośrednio do sali pielgrzymów. Wchodzili po schodach w milczeniu i niemal w całkowitych ciemnościach, nie licząc światła niewielkiej lampki oliwnej, którą niósł brat Brasgdo. Sala była nieoświetlona; chwiejny płomyk lampki wy dobył z mroku parę wiązek słomy ułożonych rzędem na kamiennej posadzce. Było to obszerne, prostokątne pomieszczenie o krzyżowym sklepieniu, całkowicie pozbawione ozdób, nie licząc paru maleńkich, łukowych okienek na jednej ze ścian. Leżało bezpośrednio nad kuchnią i miało pośrodku ogromny, walcowaty przewód, przez który dym z kuchennego pieca uchodził do komina, mile grzejąc wędrowców podczas surowych górskich zim. O tej porze roku jednak śnieg zalegał na drogach, przez co rzadko ktoś trafiał na nocleg do opactwa.

- Przynajmniej w nocy nie będziecie narażeni na chrapanie i odory innych gości - powiedział brat Brasgdo, wyciągając z rozpadającej się skrzyni dwa grube wełniane koce.

- Od jak dawna nikt tu nie spał? - spytał Durlib, wężąc jak pies gończy.

- Najprawdopodobniej od czasu, gdy na początku zimy spadły pierwsze śniegi. Od tamtej pory wy jesteście pierwsi.

Wyraz napięcia opuścił twarz Durliba, a Grimpow odgadł jego myśli. Jeśli brat Brasgdo nie kłamał, było oczywiste, że rycerz nie zawitał do opactwa po drodze w górskie lasy. Oznaczało to, że nikt nie mógł wiedzieć o jego istnieniu, śmierci i tajemniczym zniknięciu.

- Jednakże - ciągnął mnich, zniżając głos i przybierając poufny ton - wczoraj wyszedłem przed opactwo tuż przed zmierzchem, aby zaczerpnąć powietrza i zdało mi się, że we mgle zamajaczyła postać samotnego jeźdźca, który udawał się w góry. Pomyślałem, że to ktoś, kto zabłądził z powodu mgły i nie może odnaleźć drogi do opactwa. Krzyknąłem, a wówczas jeździec odwrócił ku mnie głowę, popatrzył na mnie oczyma, które wydawały się tak martwe, jak oczodoły trupiej czaszki i jak pokutująca dusza dalej podążał swą drogą, ponownie znikając w tumanach mgły.

Opowieść brata Brasgdo brzmiała przerażająco, a płaszące wokół cienie potęgowały

atmosferę grozy. Durlib i Grimpow poczuli, że po plecach przebiega im dreszcz i zamilkli.

- Nie widzieliście tego jeźdźca w górach? - spytał mnich, a gdy nie doczekał się odpowiedzi, uniósł w górę lampkę, aby popatrzeć im w oczy.

Grimpow właśnie miał pokręcić przecząco głową, gdy Durlib odchrząknął i powiedział:

- Mówiliście o tym z opatem, bracie Brasgdo?

- Gdybym mu o tym powiedział, pomyślałby, że byłem pijany i że to opary wina sprawiły, że widuję zjawy krążące wokół opactwa - odpowiedział mnich pogardliwie.

- A byliście pijani? - nalegał Durlib, jakby był jego spowiednikiem.

- Przysięgam na relikwie świętego Dustana, przechowywane w krypcie naszego kościoła, że przez cały wczorajszy dzień piłem tylko wodę.

- A więc oczy was nie zwiodły, bracie, bo także nasze ujrzały tego ranka tajemniczego jeźdźca, na podobieństwo widma przemierzającego las w pobliżu naszej chaty - rzekł Durlib, co sprawiło, że Grimpow zeszywniał z przerażenia.

- Nie kłamiesz? - spytał mnich, jakby słowa Durliba podnosiły go na duchu i utwierdzały w przekonaniu, w które sam już zaczynał wątpić.

- Niech mi spalą obydwie ręce w ogniu waszej kuchni, jeśli nie mówię prawdy! - półgłosem krzyknął Durlib, wyciągając do mnicha otwarte dłonie na znak szczerości.

Przez chwilę Grimpow myślał, że przyjaciel ma zamiar opowiedzieć bratu Brasgdo wszystko, czego świadkami byli tego ranka w górach, włączywszy w to kamień, zapieczętowane pismo i skarb zmarłego rycerza.

- To prawda - powiedział, aby potwierdzić słowa Durliba i zakończyć jego opowieść. - Widząc tego nieznanego jeźdźca w pobliżu chaty, zbliżyłem się i chciałem go pozdrowić, ale w tym samym momencie on i jego koń rozwiali się w powietrzu, jakby byli snem.

- A raczej niewiarygodnym i okropnym sennym koszmarem! - dodał brat Brasgdo, bo tym właśnie wydało mu się spotkanie tajemniczego nieznanego w pobliżu opactwa.

- Tak nas to przeraziło, że natychmiast opuściliśmy chatę i popędziliśmy szukać schronienia w opactwie, gdzie ani złe duchy, ani diabły nie mogą znaleźć dostępu - mówił dalej Durlib, żegnając się zamazyście, tak jak w chwili, gdy zmarły rycerz rozpląnął się w śniegu.

Mnich także się przeżegnał i wyszeptał:

- Słyszałem wiele pogańskich bają o duchach i demonach żyjących w wodach, lasach i górach. Znam legendy o gigantach, smokach, rusalkach, wrózkach, magach, krasnalach i elfach, ale nigdy w życiu nie widziałem tak prawdziwego widma jak to, o którym mówicie.

Jego twarz nie przypominała ludzkiej twarzy, było to diaboliczne, upiorne oblicze jednej z tych piekielnych istot, które bez końca samotnie błądzą po świecie, aby odpokutować po śmierci liczne grzechy i błędy popełnione za życia.

Durlib uznał, że wciągnięcie brata Brasgdo w historię tajemniczego ducha, w którą sam zaczynał już wierzyć, odniosło pożądany skutek. Zapytał nagłaco:

- Czy mówiliście któremuś z mnichów o tej delikatnej sprawie?

- Jeszcze nie oszalałem - odburknął brat Brasgdo marszcząc brwi. - Gdyby te opowieści, dziwaczne i przerażające, dotarły do uszu opata, braci lub mieszkańców okręgu Ullpens, ta dolina i otaczające ją góry zostałyby uznane za przeklęte i nie znalazłby się żaden braciszek wędrowny, pielgrzym czy wierny, który zechciałby nogę postawić w opactwie, z lęku przed natknięciem się na tego widmowego jeźdźca, bez wątpienia mściwego i okrutnego.

- Być może duch rycerza podążył swoją drogą i teraz w nocy jest już daleko stąd, po drugiej stronie gór - zasugerował Grimpow, aby rozwiać obawy brata Brasgdo.

- Ufajmy, że tak się stało.

- Aby zapobiec, by ta siła nieczysta przeniknęła do naszych dusz, pójdźmy do kościoła i błagajmy Boga o zbawienie wieczne, jak to było naszym zamiarem, gdy przyszliśmy do opactwa - zakończył Durlib rozmowę.

W głębi sali pielgrzymów znajdowały się szerokie schody, wychodzące na wielki, otwarty dziedziniec, z którego można było wejść do kościoła. Wyszli na zewnątrz. Na dworze było mroźno, a drobne płatki śniegu prószyły z nieba, nadając nocnym ciemnościom biały poblask. Przebiegli przez dziedziniec do okutych drzwi prowadzących do bocznej nawy. Było to jedyne wejście dostępne dla wędrowców i pielgrzymów. W kościele paliły się wielkie świece, umieszczone w rogach głównej nawy, ale ich światło wystarczało jedynie, aby wydobyć z cienia grube, poskręcane kolumny dźwigające półkoliste sklepienie, mroczne i ciemne teraz, jak nocne niebo.

Natychmiast po wejściu do świątyni Durlib podszedł do wielkiej kropielnicy umieszczonej przy drzwiach, umoczył w niej dłón i przeżegnał się trzy razy z rzędu, aby odzegnać złe uroki, które duch zmarłego rycerza mógłby rzucić na tych, którym się ukazał. Wyjął też srebrne monety z woreczka, który trzymał ukryty w płóciennych portkach i po kryjomu przepłukał je w kropielnicy, aby oczyścić je z wszelkich złych czarów.

Następnie podszedł do jednej z ław stojących pośrodku nawy, gdzie już siedział Grimpow i korzystając z tego, że brat Brasgdo upadł na kolana i zakrył twarz dłońmi w geście medytacji i pokuty, wyszeptał mu do ucha:

- Powinieneś zrobić to samo z kamieniem, który służył za amulet zmarłemu rycerzowi.

Grimpow udał, że nie słyszy. W tej samej chwili na chór kościelny weszli mnisi, aby odśpiewać nieszpory zapowiedziane biciem dzwonów z wieży. Wszyscy mieli kaptury nasunięte głęboko na głowy, twarze spuszczone na piersi i szli ze złożonymi dłońmi jeden za drugim, po kolei stając przy swoich ławkach. Grimpow naliczył około trzydziestu mnichów, różniących się wiekiem i wyglądem, mimo iż wszyscy odziani byli w brunatne habity swego zakonu. Jeden z nich chłopięcym, czystym głosem zaintonował psalm tak słodko i melodyjnie, że Grimpow zapadł w sen, jak w studnię.

Gdy nabożeństwo się skończyło, Durlib szturchnął Grimpową łokciem w żebra, aby uprzedzić go, że opat schodzi z chóru i kieruje się w ich stronę. Grimpow otworzył oczy, jeszcze nieprzytomny od snu i spoglądając pod światło świec palących się na chórze ujrzał wysoką i chudą sylwetkę opata rysującą się na ich de ciemną plamą. Wydała mu się bardziej upiorna i o wiele groźniejsza, niż rozpostarte na śniegu zwłoki rycerza.

- To chyba cud, że ta parka łotrzyków okazuje taką pobożność i ochotę do nabożeństwa - powiedział cicho opat, mrużąc swe i tak niewielkie oczy.

Wstali z szacunkiem, a brat Brasgdo odpowiedział w ich imieniu:

- Postanowili opuścić chatę w górach i poszukać mniej grzesznego życia w jakiejś odległej krainie, gdzie chcą wyruszyć po otrzymaniu waszego błogosławieństwa.

- Czy to prawda? - upewnił się opat, patrząc wnikliwie na Durliba.

- Udamy się do Strasburga. Jeszcze na jesieni słyszałem, że w tym mieście budują nową katedrę. Poszukamy tam pracy jako mularze.

Grimpow zerknął na Durliba, podziwiając jego zdolności do wynajdywania wymówek.

- Mularze są zazdrośni o swoją profesję i nie otwierają drzwi do swoich loży przed nikim, kto nie należy do zaufanych ludzi - powiedział opat.

- Pomyślałem, że może wy, Ojcze, moglibyście zarekomendować nas biskupowi. Jestem przekonany, że z waszą pomocą nie miałibyśmy trudności ze znalezieniem godnej pracy, aby Grimpow mógł rozpocząć nowe życie z dala od grzechu - podchwycił temat Durlib pochlebczym tonem.

- Najgorszym grzechem tego młodzieniaszka jest to, że przez wszystkie te lata przebywał w twoim towarzystwie, ale Bóg jest litościwy i pojmie, że nie grzeszył z własnej chęci, lecz za przyczyną tego, który zastępował mu ojca - rozważał opat, przenosząc spojrzenie swych ptasich oczu z jednego na drugiego.

- Durlib był dla mnie najlepszym z ojców i nigdy go nie opuszczę - rzucił Grimpow w obronie przyjaciela i natychmiast ugryzł się w język, aby powstrzymać chęć powiedzenia opatowi, co myśli o nim samym i o jego grzechach.

Jednocześnie poczuł, że ktoś szarpnął go za rękaw koszuli i pojął, że to brat Brasgdo skarcił go w ten sposób za brak szacunku okazany opatowi i bezczelny ton głosu.

- Lepiej udajmy się do moich komnat, tam będziecie mogli wyluszczyć mi jaśniej wasze intencje, bo wyczuwam, że chcecie ze mną porozmawiać na osobności - powiedział opat, jakby nie zauważając wyzwania, które kryło się za słowami chłopca.

Mnisi wyszli z chóru w takim porządku i ciszy, jak weszli, podobni do szeregu karnych mrówek, a potem wspięli się po schodach prowadzących bezpośrednio do dormitorium. Była to długa, wąska sala z drewnianym stropem. Nie było w niej nic, oprócz wiązek słomy rozłożonych na ziemi jedna przy drugiej. Mnisi nie mieli nawet koców do ochrony przed zimnem, a niewielkie okienka w zewnętrznym murze dormitorium pozostawały otwarte całą noc, wpuszczając do wewnątrz mroźne, górskie powietrze.

Brat Brasgdo pozostał w kościele, aby dalej się modlić, podczas gdy Durlib i Grimpow skierowali się ku klauzurze, idąc w ślad za cicho stąpającym opatem. Wyszli na dziedziniec i stwierdzili, że nie tylko śnieg przestał padać, ale i mgła całkowicie się rozwiąła, a w niebie, do którego Durlib i Grimpow podnieśli oczy, między chmurami otwierały się wolne połacie, w których jasno świeciły gwiazdy.

Wrócili do głównego budynku przez drzwiczki umieszczone w jednym z rogów dziedzińca i doszli przez krótki, wąski korytarzyk oświetlony malutką oliwną lampką zwisającą z sufitu do jednej z galerii klauzury. Tam świeciły jaskrawo pochodnie i nagle przed ich oczyma pojawił się cały las kolumn i łuków niezwyklej piękności. Grimpow zatrzymał się w zadumie przed jedną z kolumn, na której kapitelu widoczna była wyrzeźbiona ludzka postać otoczona przez bestie. Pod nią widniał łaciński napis, który Grimpow ku swemu zdumieniu bez najmniejszego trudu odczytał:

DANIELEM CUM LEONIS

Opat, zaskoczony zaciekawieniem Grimpowa, stanął przy nim i zapytał:

- Czy wiesz, co tu jest wyrzeźbione?

- Jest to przedstawienie proroka Daniela, który za wiarę w Boga został przez swych nieprzyjaciół wrzucony do fosy z lwami - wyjaśnił płynnie Grimpow.

Durlib popatrzył na niego z takim samym zdumieniem jak i opat.

- A może wiesz, czy lwy pożarły proroka Daniela? - nalegał opat ojcowiskim tonem, wpijając się w twarz chłopca błyszczącymi oczyma.

- Nie - odparł Grimpow. - Anioł wysłany przez Boga zamknął paszcze lwów i nie mogły mu uczynić nic złego.

- Któż nauczył cię tej opowieści? - spytał opat nieco zmieszany.

Grimpow wiedział, że nie może ani słowa powiedzieć o wpływie, jaki wywiera na niego kamień nieżywego rycerza, który miał w woreczku zawieszonym na szyi. Uznał, że jeśli przypisze zasługi Durlibowi, opat zmieni swoją opinię o nim i wykaże większą szczerłość w chwili wymiany srebrnych monet na konie ze swej stajni. Nie wahając się więc ani chwili powiedział naiwnie, zdając sobie świetnie sprawę z tego, że kłamie:

- Durlib opowiadał mi wiele historii o Bogu, gdy byliśmy w górach.

Durlib się zarumienił, ale ponieważ miał wielką wprawę w wymigiwaniu się z rozmaitych opresji dzięki swojej pomysłowości, dorzucił bez wahania:

- No cóż, powtórzyłem jedynie chłopakowi historie, które opowiadał mi brat Brasgdo, gdy zdarzało się nam siedzieć w kuchni opactwa.

Opat popatrzył na nich z powątpiewaniem.

- Cieszy mnie, że w tej chacie banitów i złodziei, gdzie spędzacie zimy, nie wymawiacie imienia Pana Boga nadaremno - powiedział i ruszył w kierunku swych komnat.

Przeszli pod jednym z łukowato sklepionych portali klauzury, po prawej stronie pozostawiając salę kapitulną i na koniec weszli do kwadratowego, zimnego pokoju, którego ściany przeniknięte były odorem wilgoci i roztopionego wosku.

Opat zapalił świece w stojącym na stole świeczniku. Obok leżała Biblia, brewiarz i parę zwojów pergaminu. Wskazał im miejsca na dwóch zydlach stojących naprzeciwko fotela z wysokim, rzeźbionym oparciem, w którym zasiadł sam z namaszczeniem godnym patriarchy.

- A więc macie zamiar opuścić te strony o świcie - rzekł.

- Tak jest - potwierdził Durlib. - Już od dawna myślałem o tym, że chata w górach nie jest miejscem odpowiednim dla takiego młodzieńca, jak Grimpow. Nie chciałbym, aby spędził życie włócząc się od wsi do wsi, jak ja to robię, od kiedy sięgam pamięcią.

- I postanowiliście udać się do Strasburga w środku zimy?

- Strasburg jest bogatym i dobrze prosperującym miastem. Znajdziemy tam miejsce, w którym będziemy mogli prowadzić uczciwe życie, jak już mówiłem. Znam dobre przejście przez góry, które nie nastrecza żadnych trudności.

Podczas gdy Durlib i opat prowadzili rozmowę, Grimpow udawał roztargnienie i

przyglądając się oprawom zamkniętych ksiąg leżących na stole, ku swemu zdumieniu stwierdził, że bez trudu może odczytać ich tytuły.

- Wiesz, że jeśli chłopak by chciał, mógłby wdziać habit naszego zakonu i jako nowicjusz zamieszkać w klasztorze, jak uczyniło to wielu młodzieńców z możnych i ubogich rodzin od ponad trzech wieków, od zarania tego opactwa.

- Sam mu to doradzałem przy rozmaitych okazjach, a przed chwilą w kuchni także brat Brasgdo mówił mu o tym, ale Grimpow zbyt ceni sobie wolność, aby podporządkować się ścisłym i męczącym regułom waszego zakonu.

- Bóg zechciał, aby ludzie dzielili się na szlachtę, kler i poddanych - powiedział opat, patrząc na Grimpowa. - Pierwsi z nich służą wojnie, a ostatni służą pierwszemu, jedynie my, duchowni, mamy zaszczyt służyć Bogu. Ty jesteś jedynie poddanym, a ta wolność, o której mówi Durlib, jest jedynie urojeniem.

- Możliwe, że jest tak, jak twierdzicie, Panie, ale Grimpow nie chce mnie opuścić, a ja także nie życzę sobie się z nim rozstawać - odparł Durlib, wyrażając wiernie uczucia obydwu.

- A ty nic nie powiesz? - spytał opat Grimpowa, który zachował milczenie.

- Myślę, że nigdy nie byłbym dobrym mnichem - odparł po prostu, ponownie popadając w roztargnienie.

- No dobrze, niech ci będzie. Widzę, że jesteś równie uparty, jak twój mistrz. A teraz powiedzcie, o czym chcieliście ze mną mówić na osobności - powiedział opat, rozpierając się na fotelu i splatając dłonie na podolku.

Durlib odchrząknął.

- Potrzebujemy dwóch najlepszych koni z waszych stajni.

- Wiesz dobrze, że konie z moich stajni nie są na sprzedaż - powiedział opat spokojnie.

Prawą ręką Durlib błyskawicznie sięgnął do sakiewki ukrytej w portkach, ze zręcznością magika wyciągnął monety zmarłego rycerza i położył je delikatnie na stole. Opat podniósł się zaskoczony, otworzył szeroko oczy widząc błysk srebra w bladym świetle świec i zapytał:

- Skąd masz te pieniądze?

- Dawno temu ukradłem je weneckiemu handlarzowi jedwabiem, w pobliżu miasta Molwiler - odpowiedział Durlib bez mrugnięcia okiem.

Opat ujął w dłoń jedną z monet, zbliżył ją do oczu i dokładnie obejrzał.

- Niewątpliwie są ze srebra, ale nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego do tych dziwnych znaków - powiedział.

- Dostaniemy więc konie? - spytał Durlib, woląc uniknąć dalszej dyskusji o źródle pochodzenia monet.

- Jeszcze tej nocy porozmawiam ze stajennym. Jutro będziecie mogli wziąć dwa konie z naszych stajni i dostaniecie prowiant na drogę.

- Czy dostaniemy też błogosławieństwo i list polecający do biskupa ze Strasburga? - poprosił Durlib, korzystając z wyraźnej szczodroblewości opata.

- Zaspokoję obydwie wasze prośby o świcie.

Wymiana z opatem odbyła się według tego samego rytuału, który Grimpow mógł zaobserwować przy poprzednich okazjach. Durlib wyrażał swoje pragnienia, a opat zaprzeczał możliwości ich spełnienia, wówczas Durlib rzucał od niechcienia na stół jakiś klejnot, przeważnie złoty pierścień lub bransoletę, a opat bez dalszych trudności obdarzał go pożądaną łaską. Grimpow pomyślał, że być może w ten sam sposób opat postępuje z damą swego serca.

Mieli już wychodzić z komnat opata, gdy suchy dźwięk kołatki, którą ktoś z siłą łomotał w główne wrota budynku, rozległ się jak grzmot w nocnej ciszy, przerażając wszystkich mieszkańców opactwa.

- Któż jeszcze, oprócz takich łotrzyków jak wy, może włóczyć się po górach w taką zimową noc? - spytał opat, zaciekawiony hałasem.

Durlib i Grimpow popatrzyli na siebie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Dowiemy się, jeśli sprawdzimy, kto to - zaproponował Durlib po chwili.

Zanim zdążyli wyjść z klauzury, nowe uderzenia we wrota znów przerwały ciszę. W tej samej chwili zza szeregu kolumn w przeciwległej galerii wyłoniła się okrągła sylwetka brata Brasgdo, który biegł od strony kuchni w towarzystwie grupki służących, mamrocząc coś po cichu.

- Cóż się tu dzieje? Co to za łomoty i dlaczego nikt nie otworzył drzwi opactwa? - spytał opat kucharza, który właśnie do nich dobiegł.

- Żaden z nas, ani też żaden ze służących nie ma śmiałości tego uczynić. Zza drzwi dobiega taki rumor zbroi i rzenie koni, jak gdyby czterej Jeźdźcy Apokalipsy we własnych osobach pojawili się u wrót opactwa ze swym straszliwym orszakiem - wyjaśnił brat Brasgdo, chwytając spazmatycznie powietrze i trzęsąc się ze strachu.

Grimpow nie miał najmniejszej wątpliwości, że brat Brasgdo, słysząc hałasy, powziął przekonanie, iż to widmo rycerza, które ujrzał poprzedniego dnia w pobliżu opactwa, powróciło z zebranych w okolicznych lasach podobnymi sobie zjawami i teraz przypuszcza atak na klasztor w towarzystwie złowieszczonego orszaku umarłaków i kościotrupów. Durlib też

musiał pomyśleć coś podobnego, sądząc po strachu, jaki odbił się nagle na jego twarzy. Natomiast samego Grimpowa nawiedziło przecucie, że jeźdźcy dobijający się do wrót opactwa są co prawda z krwi i kości, ale dużo gorsi i bardziej niegodziwi, niż jakikolwiek upiór z zaświatów.

- Pójdźmy powitać tych, co z takim zapałem dobijają się do naszych drzwi, kimkolwiek by byli - powiedział opat zdecydowanym tonem.

Spora grupa mnichów zeszła z położonego na piętrze dormitorium i zbiła się w gromadkę w wielkiej sieni opactwa. Oczekiwali przerażeni na przybycie opata, a widząc go w głębi sklepionej sieni, odstąpili na bok, pozostawiając wąskie przejście. Niektórzy z mnichów trzymali zapalone świece, a inni splekli dłonie pod szkaplerzami, jakby szykując się do zaintonowania hymnu powitalnego na cześć przybyszy.

- Otwórzcie wielkie wrota - rozkazał opat sługom.

Skrzypienie zawiasów stłumiło mamrotanie służących i z gęstych mroków nocy wyłoniło się sześć ciemnych sylwetek jeźdźców na czarnych koniach. Ich opończe były również czarne, a twarze ściągnięte z zimna kryły się w głębi kapturów.

- Który z was jest opatem? - rozległ się gromki głos jednego z jeźdźców, a koń wołającego niecierpliwie zatańczył na śniegu.

Opat postąpił do przodu i stanął pod portalem otwartych wrót.

- Ja jestem opatem z Brinkdum, ale to wy powinniście podać imię wasze i waszych towarzyszy, zanim wstąpicie w progi opactwa.

Jeden z koni zarżał i unióś się na tylnych kopytach, przednimi grzebiąc w powietrzu.

- Moje imię brzmi Bulvar z Goztell, z zakonu świętego Dominika. Jestem inkwizytorem Lyonu i legatem papieża Klemensa V! W jego imieniu proszę o gościnę w opactwie dla mnie samego i dla rycerzy króla Francji, którzy mi towarzyszą - powiedział z namaszczeniem jeździec i, ściągając kaptur z głowy, ukazał zebranym twarz naznaczoną licznymi bliznami i okoloną krótką, ryżą brodą.

Brat Brasgdo odetchnął z ulgą usłyszawszy wypowiedź ojca dominikanina, lecz jego pulchna twarz niemal natychmiast na nowo się zasepiła, gdy ostatni ze zbrojnych przejechał pod portalem opactwa. Za nim, trzymany za uzdę, postępował ten sam biały koń, który rankiem niósł widmowego rycerza drogą wiodącą w góry.

Historia i legenda

Słudzy zajęli się końmi i zaprowadzili je do stajni; mnisi wrócili do dormitorium; brat Brasgdoabrał do kuchni królewskich żołnierzy, aby ich nakarmić i napoić; opat, pragnąc zapoznać się z ważnym powodem nieoczekiwanej wizyty, zaprosił inkwizytora Bulvara do swych komnat, gdzie kazał przygotować dla niego gorącą kąpiel i obfitą wieczerzę; natomiast Durlib i Grimpow udali się na spoczynek do sali pielgrzymów. We wnętrzu opactwa znowu zapadła cisza.

Gdy legli na wiązках słomy, przy skąpym światełku olejnego kaganka stojącego na ziemi, Durlib splótł dłonie na karku i wpatrując się w krzyżowe sklepienie, jakby chciał je przewiercić wzrokiem na wskroś, podzielił się z towarzyszem swym niepokojem:

- Myślisz o tym samym, co ja? - spytał cichym głosem.

- Tak mi się wydaje.

- O białym koniu bez jeźdźca, którego prowadził jeden ze zbrojnych, prawda? To mógł być koń zmarłego rycerza - rozważał Durlib.

- Przypuszczalnie uciekł z lasu przed drapieżnikami, a oni znaleźli go w dolinie - dodał Grimpow.

- Spostrzegłem, że kuleje, przyjrzałem się jego nogom i zobaczyłem ślady krwi i rany, jakby od wilczych kłów.

- Brat Brasgdo jest pewien, że to ten sam koń. Patrzyłem na niego, gdy mu się przyglądał. Był przerażony.

Durlib poruszył się na posłaniu, jakby czując ukąszenia dokuczliwych insektów.

- Obawiam się, że dominikanin zacznie go wypytywać, a brat Brasgdo wygada się ze wszystkiego, zwłaszcza gdy dzban wina rozwiąże mu język.

- Nie sądzę, aby brat Brasgdo odważył się opowiedzieć inkwizytorowi, że widział widmo jeźdźca udające się w kierunku gór - uspokajał go Grimpow.

- Jest jeszcze opat, który był bardzo zdziwiony niezrozumiałymi znakami na srebrnych monetach.

- Masz rację, ale opat z pewnością nie zechce prowadzić rozważań na temat swego przekupstwa z papieskim legatem - odparł Grimpow.

- Być może ojciec dominikanin z eskortą udawał się do Ullpens i natknął się na konia przez zwykły przypadek - powiedział Durlib, jakby chcąc pomniejszyć wagę wydarzenia.

- Nie - stwierdził Grimpow. - Teraz nie mam już najmniejszych wątpliwości, że inkwizytor Bulvar z Goztell ścigał tego rycerza, aby spalić go na stosie. Nadal jednak nie udaje mi się zobaczyć, dlaczego. Podejrzewam, że ma to ścisły związek z zapieczętowanym listem i z kamieniem, które rycerz miał ze sobą - powiedział Grimpow zamykając oczy, aby lepiej skoncentrować się na pogmatwanych obrazach, które samoistnie powstawały w jego umyśle, jakby nagle otrzymał dar jasnowidzenia.

- Naprawdę widzisz to, o czym mówisz? - Durlib nadal był zdziwiony i wątpił w wizje przyjaciela.

- Widzę jedynie dziwne obrazy, Durlibie, to wszystko - odpowiedział Grimpow zmęczonym głosem.

- Postaraj się trochę przespać, a ja pójdę pogadać z mnichem zarządzającym stajniami, aby przygotował dla nas konie na rano. Przy okazji postaram się dowiedzieć czegoś o tym ojcu dominikaninie i o powodach, jakie go tu przywiodły.

- Boję się, Durlibie - powiedział nagle Grimpow, otulając się kocem, jak gdyby chciał się schować przed nieokreślonym niebezpieczeństwem.

- Ten magiczny kamień, który masz na szyi, będzie cię chronił. Teraz śpij, jutro już będziemy daleko - pocieszył go Durlib. Ani on sam, ani Grimpow nie mogli wiedzieć, jak bardzo się mylił.

Durlib wstał, wziął kaganek i wyszedł z sali wąskimi schodami prowadzącymi do kuchni, skąd, ponownie naruszając klasztorną regułę milczenia, dobiegały różne głosy królewskich żołnierzy.

Grimpow pozostał sam w ciemnościach. Wyciągnął z lnianego woreczka amulet zmarłego rycerza i zamknął go w dłoni. Ujrzał, że poprzez palce bije z kamienia słaba, czerwonawa poświata, jaką wydzielają dopalające się grudki żaru. Rozwarł dłoń i popatrzył na kamień: żywy, czerwonawy, jarzący się jak gwiazda, która dopiero co spadła z nieba. Dziwne światło bijące z kamienia pulsowało coraz silniej, rzucało krwisty poblask na komnatę, która wydawała się objęta ogniem, a na tym tle żebrowanie sklepienia rysowało się czarnymi krechami, podobne do szkieletu ogromnego, przedwiecznego potwora.

Nie wiedział dlaczego, ale w tej właśnie chwili przypomniał sobie rodzinną wioskę Obernalt, nędzną chatę, w której się wychował, swoje dziecięce lata spędzone na pasieniu kóz i karmieniu świń, czas zbiorów, szaleńcze zabawy, śmiechy i harce z innymi dziećmi ze wsi. Potem przyszedł mu na myśl wuj Felsdron Burmuchi i jego gospoda, gdzie tak często

plakał z bólu i żalu. Doznał uczucia całkowitej pewności, że czas dzieciństwa pozostał daleko za nim, a wspomnienia stały się podobne do strzępów mgły rozwiewanych przez wiatr. Poczł strach, że nie będzie w stanie sprostać trudnym i niebezpiecznym wyzwaniom, które wydawało się zapowiadać mu światło kamienia. Przecież dopiero co u boku Durliba wkroczył w młodzięcze lata i nie odkrył jeszcze całej bezwzględności dorosłego życia.

Grimpow nie wiedział, ile czasu był pogrążony we śnie. Zapamiętał jedynie, że w majakach sennych widział mętne, pogmatwane obrazy z przeszłości i z przyszłości, które bez sensu mieszały się z widokiem wielu nieznanych twarzy, mówiących do niego w starożytnych, dziwacznych językach, lub też recytujących bez końca szeregi liczb. Pojawiały się dziwne znaki i zaraz ginęły, pochłonięte przez wybuchy gwiazd na firmamencie. Widział kataklizmy, które przekształcały ziemię i morze w nadludzko piękne, ponadczasowe krajobrazy. Widział nadciągające lodowce, które pokrywały ziemię wieczną skorupą i niebo, zasnuwane ciężkim, nieprzeniknionym obłokiem pyłu. Widział epidemie niszczące ludzkość, okropne maszyny plujące ogniem i wybuchające lawą, bitwy przynoszące zagładę tłumom mężczyzn, kobiet i dzieci.

Aż nagle poczuł, że ktoś budzi go z tych koszmarów i niemal krzyknął z przerażenia, ujrawszy przed sobą, oświetloną słabym światłem kaganka, pomarszczoną i grobowo poważną twarz starego, nieznanego sobie mnicha.

- Obudź się, wstawaj! - przynaglał go mnich szeptem.

- Co się dzieje? - spytał Grimpow z przerażeniem, trąc zaspane oczy.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Musisz stąd jak najszybciej uciekać - powiedział mnich, ciągnąc go za ubranie.

- A Durlib? Co z nim? - nalegał Grimpow, stwierdziwszy, że nikt nie leży na pobliskiej wiązce siana.

- Potem się tym zajmujemy, teraz uciekaj.

Starzec zdmuchnął światło kaganka, który trzymał w ręce, drugą ręką złapał Grimpową i zręcznie manewrując w ciemnościach skierował się w stronę schodów wiodących na dziedziniec opactwa. Ominęli wejście do kościoła i szybko przeszli w głąb podwórza. Tam mnich, który prowadził Grimpową jak przewodnik ślepego, popchnął ramieniem jakieś drzwi i weszli do niewidocznego w ciemnościach korytarza. Grimpow miał wrażenie, że korytarz musi być bardzo długi, bo szli nim przez dłuższy czas. Cuchnęło stęchlizną, w kompletnych ciemnościach rozlegał się ponuro odgłos ich kroków na kamiennych płytach posadzki i dochodził daleki szmer wody, jak gdyby pod ich stopami płynął podziemny strumień. Czasem słyhać było pisk myszy czy szczurów. Potem, czując szorstki dotyk muru na swym ramieniu,

Grimpow zorientował się, że zaczęli schodzić w dół po spiralnych schodach, aż zatrzymali się w czymś w rodzaju wnęki, gdzie stary mnich ponownie zapalił swój kaganek, trzymany w drżącej, kościstej i pomarszczonej ręce. Wtedy Grimpow z przerażeniem ujrzał, że wszędzie wokół znajdują się czaszki. Setki czaszek, które poustawiane jedno na drugim w niszach wyżłobionych w kamiennych ścianach, wydawały się wpatrywać w niego swymi niewidzącymi oczodołami.

- Nie bój się - powiedział mnich - to tylko czaszki umarłych. Jest im obojętne, że ktoś taki jak ty, przychodzi zakłócić ich wieczny odpoczynek.

Nie zwracając dłużej uwagi na przerażonego Grimpowa, mnich podszedł do jednej z nisz i poruszył jedną z czaszek, jak gdyby chcąc ukreślić jej nieistniejącą szyję. W tym samym momencie, przed wybałuszonymi ze strachu i zdumienia oczyma młodzieńca, część muru znajdująca się naprzeciw nich poczęła się z rumorem przesuwać, pozostawiając szczelinę wystarczającą, aby się przez nią przecisnąć. Grimpow w pierwszej chwili pomyślał, że znalazł się u wrót piekielnych i przypomniał sobie, co mówił w lesie Durlib o przekleństwie martwego rycerza.

- Dokąd idziemy? Dlaczego nie chcecie mi powiedzieć, gdzie jest mój przyjaciel Durlib - spytał, nie odważając się poruszyć.

- Chcę cię zaprowadzić do bezpiecznego schronienia - odparł mnich. - A teraz idź za mną, na górze wszystko ci wyjaśnię.

Starzec popatrzył na niego z taką dobrocią w oczach pozbawionych rzeź, że wszystkie lęki Grimpowa rozwiały się, jak za przyczyną czaru. Przyglądając mu się z bliska Grimpow ocenił, że musi liczyć dobrze ponad osiemdziesiąt lat, a jednak poruszał się zręcznie i przemawiał z żywością nowicjusza. Jedynie lekkie drżenie rąk i skóra, pokryta ciemnymi plamami i poznaczona bruzdami tak głębokimi, jak przepastny loch, w którym się znajdowali, zdradzały, że mnich nie jest już tym silnym i wytrwałym mężczyzną, którym z pewnością był przed laty.

Grimpow postanowił zaufać starcowi, bo chciał dowiedzieć się jak najszybciej, co się dzieje i dlaczego musi ukrywać się w tej niedostępnej dziurze przypominającej grobowiec. Nie patrząc na boki przemknął obok czaszek i przecisnął się przez szczelinę w murze. Znalazł się u podnóża schodów idących w górę, tak wąskich i krętych, jak te, które wiodą na dzwonnice lub wieże zamkowe.

Idąc za mnichem dotarł do sali w kształcie kwadratu. Jej ściany były szczelnie zastawione regałami wypełnionymi manuskryptami, foliałami i zwojami pergaminu. W sali nie było okien ani drzwi, jedynie kłapa w podłodze, zakrywająca czarną dziurę klatki schodowej,

którą się tu dostali. Odór stęchlizny mieszał się z przyjemnym zapachem suszonych ziół, który dochodził nie wiadomo skąd.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Grimpow, podziwiając setki książek, które ich otaczały. Czuł, że mógłby je wszystkie odczytać bez potrzeby zaglądania do środka, tak, jakby już znał każde ze słów na ich stronicach.

- W sekretnej komnacie biblioteki opactwa Brinkdum.

Starzec postawił kaganek na drewnianym stole stojącym pośrodku dziwnego pomieszczenia, ujął w dłoń ogarek świecy i zapalił go od kaganka, a potem od niego rozpałał lampy zwieszające się z sufitu na żelaznych łańcuchach. Pokój zalało miłe, pomarańczowo zabarwione światło. Następnie mnich zgasił ogarek pocierając knot między palcami i wówczas Grimpow zauważył, że opuszki jego palców zabarwione były na czarno. Kilka dni później miał się dowiedzieć, że to z powodu atramentu, którym starzec przepisał dziesiątki ksiąg w ciągu swego długiego życia.

- Ogień jest jedynym wrogiem, który nam tu w środku zagraża. Będziesz musiał bardzo uważać zapalając i gasząc lampy, gdy będziesz tu sam - ostrzegł Grimpowa, siadając ze zmęczeniem na zydlu stojącym przy pulpicie umieszczonym w jednym z rogów komnaty.

Grimpow zasiadł naprzeciwko mnicha.

- Myślicie mnie tu zostawić? - spytał, wstrząśnięty perspektywą samotnego uwięzienia w tym smutnym pomieszczeniu, co z jakiegoś powodu zapowiedział mu mnich.

- Będzie ci tu lepiej niż w lochu, w towarzystwie szczurów i karaluchów. To jedyne miejsce, gdzie psy gończe, które tej nocy wtargnęły do opactwa, nie będą mogły cię znaleźć - powiedział mnich.

- A Durlib? Co się z nim stało? - spytał z lękiem Grimpow.

Mnich spuścił głowę, a z wyrazu współczucia w jego oczach Grimpow wywnioskował, że nie dowie się niczego pocieszającego.

- Nie wiem dokładnie, ale przypuszczalnie twój przyjaciel siedzi zamknięty w jednym z tych lochów, o których mówiłem, oczekując na przesłuchanie przez Bulvara z Goztell.

Słyszając to, Grimpow poczuł przeszywający ból, jakby sztylet martwego rycerza, który miał za pasem, wbił mu się we wnętrzności. Od kiedy znaleźli w śniegu trupa i wziął do ręki kamień, przeczuwał, że grozi im coś strasznego. Teraz wiedział już z całą pewnością, że było się czego obawiać.

- Co z nim teraz będzie? - wypytywał, zaniepokojony o los ukochanego przyjaciela.

- Bóg jeden wie.

- Kim jesteście, Panie, i dlaczego sądzicie, że inkwizytor z Lyonu i żołnierze króla

Francji mogą przejmować się takim biednym złodziejaszkiem, jak Durlib i zwykłym chłopcem, jak ja, urodzonym w nędznej wiosce Obernalt? - spytał Grimpow zdziwiony.

Mnich odetchnął głęboko, jak ryba wyciągnięta z wody. Grimpow pomyślał, że starzec cierpi na trudności z oddychaniem z racji podeszłego wieku.

- Moje imię brzmi Rinaldo z Metz, narodziłem się dziesiątego dnia miesiąca października, roku pańskiego tysiąc dwieście dwudziestego ósmego i od ponad czterech dziesiątków lat jestem bibliotekarzem w tym opactwie. Jeśli chcesz, możesz zwracać się do mnie: bracie Rinaldo - powiedział mnich, a w jego głosie czuć było dumę ze swojego imienia i pochodzenia.

Grimpow obliczył błyskawicznie, choć sam nie wiedział w jaki sposób, że mnich przekroczył już osiemdziesiąt pięć wiosen. Instynktownie wymacał rękojeść sztyletu, który wręczył mu Durlib, zanim zakopali sakwę zmarłego rycerza pod przydrożnym krzyżem. Pomyślał, że sztylet wystarczy, aby obronić się przed starym bibliotekarzem, jeśli ten chciałby mu uczynić krzywdę. Przez chwilę przemknął mu przez myśl absurdalny pomysł, że brat Rinaldo z Metz może być szalony, choć na takiego nie wyglądał.

- Jeszcze nie powiedzieliście mi, czego może chcieć od nas Inkwizycja - nalegał Grimpow, gdyż mnich zamilkł.

- Wiadomości o rycerzu templariuszu, którego Bulvar z Goztell ściga od samego Lyonu w zamiarze pojmania go i uwięzienia. Jak się wydaje, zbieg dotarł wczoraj w te góry, uciekając przed pościgiem. Ojciec dominikanin i towarzyszący mu żołnierze znaleźli jego konia na przełęczy, zranionego w nogi przez jakieś dzikie zwierzę: wilka, rysia czy niedźwiedzia, któż to wie. Koń ma jeden z symboli zakonu templariuszy wypalony na skórze pod siodłem.

Grimpow nigdy przedtem nie słyszał o templariuszach i o ich zakonie, choć jednocześnie odnosił wrażenie, jakby jakaś część jego umysłu dobrze znała tę historię.

- Rycerz templariusz powiedzieliście? - zapytał.

- Tak właśnie. Jesteś zbyt młody, abyś mógł o nich słyszeć, jednak nie tak dawno jeszcze wszystkie królestwa chrześcijańskiego świata opromieniała sława dokonań Zakonu Świątyni Salomona.

- Ani ja, ani Durlib nie wiemy nic o tym rycerzu templariuszu, o którym mówicie. Nigdy nikogo nie widzieliśmy w górach - skłamał Grimpow. Nie odważył się powierzyć bratu Rinaldowi prawdy o znalezionym w śniegu trupie, o skarbie i wiadomości, którą miał w swej sakwie martwy rycerz, o kamieniu i o tym, jak ciało rozwiało się przed ich oczyma.

- Mnie nie musisz oszukiwać. Chcę ci jedynie pomóc wydostać się ze szponów tego

niegodziwego inkwizytora. Bulvar z Goztell wie już, że Durlib wręczył opatowi srebrne monety z wybitymi na nich dziwnymi symbolami, w zamian za parę koni ze stajni opactwa.

- Skąd możecie o tym wiedzieć, bracie Rinaldo?

- Niewiele z rzeczy, które dzieją się w opactwie Brinkdum, umyka mojej uwadze - powiedział mnich z tajemniczym wyrazem twarzy. - Ale to teraz nieistotne.

- Czyli to opat nas wydał? - chciał się dowiedzieć Grimpow.

- Tak, to on - skinął lekko głową brat Rinaldo - ale powiedział dominikanowi jedynie o Durlibie, a o tobie nie wspomniał.

- Dlaczego to zrobił?

- Ze strachu przed rozpalonym żelazem Inkwizycji.

Na myśl o tym, co mogło czekać Durliba w rękach oprawców inkwizytora z Lyonu, Grimpow poczuł, że za chwilę zacznie krzyczeć z wściekłości. Nie wiedział dokładnie, czym jest Trybunał Inkwizycji, ani dlaczego torturuje i pali żywcem ludzi uznanych za heretyków, ale to właśnie Durlib powiedział mu kiedyś, że Kościół prześladowuje wiedźmy, czarowników i tych, którzy nie zgadzają się z doktryną i zasadami wiary. Pewnego upalnego, dusznego dnia w lecie, na początku ich znajomości, byli razem w Ullpens i tam widzieli wózek wiozący jednego z tych nieszczęśników. Odziany był w zakrwawione łachmany, w związane ręce wetknięty miał krzyżyk, a na głowie pokrytej skołtunionymi i sklejonymi krwią włosami widniała wielka, otwarta rana. Na wpół leżał na ławce, do której był przywiązany, a jego połamane podczas tortur nogi zwisały pod dziwnym kątem. Przodem szło kilku żołnierzy i dobosz, prowadząc ponury orszak do stosu chrustu ustawionego na rynku, gdzie heretyk został spalony żywcem przy akompaniamencie jego nieludzkich wrzasków i okrzyków radości zgromadzonej tłuszczy.

- Zaprowadźcie mnie przed oblicze Bulvara z Goztell, opowiem mu prawdę o tym rycerzu templariuszu, którego szuka - powiedział Grimpow, drętwiejąc z przerażenia na myśl, że jego przyjaciel Durlib jest narażony na tak potworny los.

Brat Rinaldo popatrzył na niego ze współczuciem.

- I myślisz, że to was ocali i że dominikanin nie zabije was obydwu, gdy już się od was dowie tego, co chce wiedzieć - zapytał, wpatrując się w Grimpowa swymi pozbawionymi rzęs oczami.

- Nie wiem, ale przynajmniej nie będą torturować Durliba. Nie mógłbym znieść myśli, że będą go męczyć z mojej winy.

- Musisz przestać myśleć o rzeczach, których nie jesteś w stanie uniknąć. Durlib będzie umiał sam się obronić. A teraz powiedz mi coś - tu mnich zawiesił głos, jakby nie

znajdując słów na sformułowanie pytania. Po chwili ciągnął dalej - Napadliście na tego rycerza w górach, aby obrabować go ze srebrnych monet?

Przez krótką chwilę Grimpow chciał skłamać i powiedzieć, że monety dał im rycerz w zamian za pomoc we wskazaniu mu drogi, ale jakaś wewnętrzna siła kazała mu opowiedzieć bratu Rinaldowi prawdę o tym, co się wydarzyło.

- Nie, znalazłem go nieżywego, leżącego na śniegu w pobliżu naszej chaty, kiedy wracałem po upolowaniu paru królików przy wodospadzie. Durlib powiedział, że być może stracił konia i zagubił się w górach z powodu mgły. Musiał zamarznąć w nocy.

- I pogrzebaliście jego zwłoki?

Grimpow ponownie zaprzeczył, tym razem jedynie kręcąc głową, po czym dodał:

- Choć to brzmi niewiarygodnie, nie było to konieczne. Wybieraliśmy się do opactwa, aby uprzedzić opata o naszym odkryciu i prosić go o pochowanie zmarłego w krypcie kościoła, gdy raptem jego ciało rozplynęło się w śniegu, jakby było nie z tego świata.

W oczach brata Rinalda pojawił się dziwny błysk.

- A więc to prawda! - wykrzyknął, otwierając szeroko bezzęse oczy.

- Cóż chcecie przez to powiedzieć, bracie Rinaldo? - spytał oszołomiony Grimpow.

- Że w tym wszystkim jest jakaś tajemnica.

- Nie rozumiem. Czyżbyście nie wątpili w to, co wam powiedziałem?

- Dlaczego nie miałbym uwierzyć w to cudowne zdarzenie? Czyż nie jest równie cudowne, że co dzień rano słońce wstaje na wschodzie i kryje się na zachodzie? Czyż nie ma tajemnic w cudach przyrody, w fazach księżyca lub w ruchu gwiazd?

- Ale co to wszystko ma wspólnego z tajemniczym zniknięciem rycerza templariusza?

- nalegał Grimpow, całkowicie zagubiony.

- Że stara legenda o sekrecie templariuszy jest tak prawdziwa, jak ta historia, którą od ciebie usłyszałem - powiedział stary mnich z zapalem. - Tę właśnie tajemnicę chce odkryć Bulvar z Goztell i dlatego ścigał rycerza, którego znalazłeś nieżywego w górach.

- O jakiej starożytnej legendzie mówicie, bracie Rinaldo? - spytał Grimpow, a w jego umyśle pojawiły się strzępy obrazów i zamazane widoki odległych krain i dawnych czasów.

- Zanim opowiem ci o tej legendzie, powiedz, czy znaleźliście przy zwłokach rycerza templariusza jeszcze coś oprócz monet?

Kolejny raz Grimpow zawahał się, czy powiedzieć bratu Rinaldowi prawdę, czy skłamać, jednak na koniec postanowił zdać relację o przedmiotach znalezionych w sakwie, nie wspominając wszakże o kamieniu, który zmarły trzymał w dłoni, a który spoczywał teraz dobrze ukryty na dnie lnianego woreczka.

- Przy zwłokach była sakwa, która zawierała wiele srebrnych monet, kilka pierścieni i drogocennych klejnotów, dwa sztylety, zapieczętowany pergamin i złotą pieczęć - wyliczył jednym tchem.

- Cenny skarb, który bez wątpienia ukryliście w bezpiecznym miejscu - domyślił się mnich. - Ale nie to mnie najbardziej interesuje, gdyż już przed wielu laty zrezygnowałem z bogactw tego świata. Opowiedz mi raczej o wiadomości i o złotej pieczęci. Zerwaliście lak?

- Uczynił to Durlib tym oto sztyletem - wyjaśnił Grimpow, wyciągając drogocenną broń z zanadrza. - Były tam znaki, których ani ja, ani Durlib nie mogliśmy zrozumieć. Żaden z nas nie umie czytać ani pisać - powiedział mijając się z prawdą, gdyż dzięki działaniu kamienia zmarłego rycerza wiedział, co było treścią wiadomości. To jednak postanowił zachować dla siebie.

Na widok sztyletu oczy starca rozszerzyły się, jakby Grimpow powiedział mu o czymś, czego od dziesięcioleci chciał się dowiedzieć.

- Ten sztylet, z rękojeścią wysadzaną szafirami i rubinami jest niewątpliwie sztyletem templariusza - powiedział z podziwem. - Masz może ze sobą także pismo? - zapytał z widocznym napięciem na pobrużdżonej twarzy.

- Zostawiliśmy je w sakwie, razem ze złotą pieczęcią.

- No cóż, nie szkodzi. Wszystko do siebie pasuje z taką precyzją, z jaką co noc gwiazdy pojawiają się na niebie na swoich miejscach - wyszeptał sam do siebie.

- Co mówicie, bracie Rinaldo? - spytał Grimpow.

- Nic takiego, po prostu głośno myślałem - powiedział mnich, zagłębiony w rozważaniach.

Grimpow był zaskoczony, że starzec nie wypytuje go o miejsce, w którym wraz z Durlibem ukryli skarb zmarłego rycerza, jednak utwierdziło go to w przekonaniu, że ani srebrne monety, ani reszta drogocенności nie mają dla niego znaczenia.

- A co z tą starą legendą, którą obiecaliście mi opowiedzieć? - spytał Grimpow, aby wytrącić mnicha z jego rozmyślań.

Brat Rinaldo zamknął oczy i przez chwilę nic nie mówił, jakby chciał zgłębić najdalsze zakamarki swej pamięci w poszukiwaniu początków legendy o sekrecie templariuszy, a potem, otworzywszy oczy, zaczął opowieść:

- Przed dwoma wiekami, w roku pańskim tysiąc sto osiemnastym, dziewięciu francuskich i flamandzkich rycerzy, zmęczonych życiem światowym, postanowiło oblec szaty mnichów i udać się do Jerozolimy, gdzie wówczas rządził król Baldwin Drugi, aby podjąć się obrony chrześcijańskich pielgrzymów. Było to wkrótce po pierwszej wielkiej krucjacie i

ludzie tłumnie odwiedzali Ziemię Świętą, aby czcić Grób Chrystusa. Rycerze ci zamieszkali w budynku postawionym na miejscu dawnej świątyni króla Salomona i tam poświęcili się modlitwie i medytacjom, choć legenda mówi, że ich prawdziwym zamiarem było poszukiwanie w ruinach świątyni pewnego sekretu, o którym wspominały bardzo stare manuskrypty, znalezione przez krzyżowców po zdobyciu Jerozolimy. Sekret ten rzekomo mógł obdarzyć swego znalazcę władzą nad światem, a nawet nieśmiertelnością. Kiedy minęło dziewięć lat, sześciu z tych dziewięciu rycerzy Zakonu Świątyni Salomona powróciło do Francji, zabierając ze sobą wóz ogromnych rozmiarów, co niektórych skłoniło do przypuszczeń, że udało im się osiągnąć swój cel...

Poruszony opowieścią mnicha Rinalda, Grimpow przerwał mu w pół zdania.

- Czyli znaleźli sekret, którego szukali? - zapytał.

- Nikt tego nie wie. Podniosły się głosy, że rycerze Zakonu Świątyni Salomona przywieźli do Francji Arkę Przymierza, której Biblia przypisuje nadnaturalne właściwości, a potem ukryli ją ponownie w jakimś sobie tylko znanym sekretnym miejscu. Jednak byli też tacy, którzy twierdzili, że dziewięciu rycerzy w ruinach Świątyni Salomona odnalazło Świętego Graala.

- Świętego Graala?

- Święty Graal to kielich, z którego Jezus Chrystus pił wino podczas Ostatniej Wieczerzy - wyjaśnił mnich. - Podobno posiada on niezwykle właściwości, nie do ogarnięcia ludzkim umysłem.

- Czy tak jest naprawdę? - spytał Grimpow, przeczuwając, że jego kamień jest też czymś niezwykłym, podobnie jak te rzeczy, o których opowiadał stary mnich.

- Tego nie wiem - przyznał starzec. - Tak czy owak, już po krótkim czasie zakon templariuszy składał się z tysięcy braci i rozprzestrzenił się ze zdumiewającą szybkością po wszystkich królestwach Europy. Templariusze wszędzie budowali komandorie, fortece i zamki. Zdobyli tak wielką władzę i tak niezmiernie bogactwa, że nawet królowie uwierzyli, że w istocie odkryli jakiś niezwykły skarb.

- Czyżby byli aż tak bogaci i potężni? - przerwał mu ponownie Grimpow.

- O wiele potężniejsi od wszystkich królów i cesarzy - odparł brat Rinaldo.

- A więc dlaczego teraz są prześladowani?

- Jak dowiedziałem się od kilku mnichów, którzy przybyli do opactwa z Paryża, król Francji Filip IV zwany Pięknym - mimo iż w istocie jest okropnie szpetny i podobny do puszczyka - zaślepiiony chciwością i okrucieństwem, nakazał przed sześcioma laty uwięzić wszystkich rycerzy zakonu przebywających na jego ziemiach. Celem tego niegodziwca było

zawładnięcie ich twierdzami, przywłaszczenie sobie ich skarbów i odkrycie ich tajemnic. Setki templariuszy, walecznych i dumnych rycerzy, zostało uwięzionych, poniżonych, torturowanych i zamęczonych na śmierć. Oskarżono ich niesłusznie o wyrzeczenie się Jezusa Chrystusa, o bezczeszczenie krzyża i o oddawanie czci diabelskiemu bożkowi o imieniu Bafomet. Wielu spośród nich przyznało się do winy podczas okrutnych tortur zadawanych im przez Inkwizycję, a potem zostało spalonych na stosie. Do tego sam papież Klemens V, obawiając się gniewu francuskiego króla, wystosował wezwanie do wszystkich chrześcijańskich władców, aby ścigali templariuszy, którzy ukryli się w ich włościach. Nie ruszył nawet palcem, aby bronić tych, którzy przez ponad dwa wieki w imię Chrystusa wspomagali papieństwo w krucjatach do Ziemi Świętej.

- Więc to dlatego inkwizytor Bulvar z Goztell ścigał rycerza templariusza, który dotarł aż w te góry? - spytał Grimpow. Wydawało mu się, że dobrze rozumie to, o czym opowiada starzec i był zadowolony, że potwierdziły się przypuszczenia, z których zwierzył się Durlibowi. A więc nie mylił się, sądząc, że zmarły rycerz ucieka przed stosem.

- Po części tak, ale jest jeszcze coś. Podśluchałem, jak dominikanin Bulvar z Goztell opowiadał opatowi dziś w nocy o tym, co ostatni wielki mistrz templariuszy, Jakub de Molay, który nadal jest więziony w paryskiej wieży wraz z innymi komandorami zakonu, wyznał swym katom na torturach. Powiedział, że przed dwustu laty w Świątyni Salomona tych dziewięciu rycerzy istotnie odkryło pewien sekret, ale jest on znany jedynie małej grupce mędrców i on sam nigdy go nie widział.

- A więc myślicie, że ścigany przez ojca dominikanina i królewskich żołnierzy rycerz, który zmarł w tych górach, ma coś wspólnego z tym sekretem? - spytał Grimpow, aby uporządkować swoje myśli.

- Inkwizytor Bulvar z Goztell jest o tym przekonany - stwierdził brat Rinaldo. - Sądząc zaś po liście i pieczęci, które z Durlibem znaleźliście w sakwie tajemniczego rycerza, ja też w to nie wątpię - dodał.

- A jeśli cała legenda jest fałszywa? - spytał Grimpow, który nie chciał dopuścić do siebie myśli, że klucz do sekretu może znajdować się w sakwie, którą wraz z Durlibem zakopali pod krzyżem.

- Z wyjątkiem tej opowieści o sekrecie, który dziewięciu rycerzy zakonników odkryło w Świątyni Salomona przed dwustu laty, wszystko co ci opowiedziałem jest taką samą prawdą, jak to, że tu siedzimy. To jest historia, a nie legenda - powiedział starzec z naciskiem.

To sprawiło, że Grimpow pomyślał o czymś, co aż do tej chwili nie przyszło mu do głowy.

- Byliście templariuszem, zanim schroniliście się w tym opactwie, prawda? - stwierdził nagle.

Twarz starca ściągnął grymas niepokoju. Źrenice mu się zwięzły, rozejrzał się wokół, zawieszając wzrok na stosach manuskryptów leżących na półkach pod ścianami.

- To prawda, byłem nim niegdyś, ale od tego czasu minęło już tyle lat, że moja słaba pamięć nie pozwala mi uprzytomnić sobie, dlaczego przestałem nim być - przyznał bez żalu.

- Być może nieradzi byście wspominali, co robiliście wówczas, bracie Rinaldo - powiedział Grimpow.

- Być może - powiedział mnich, patrząc na Grimpowa jak na jasnowidza.

Grimpow spostrzegł, że bibliotekarz splótł dłonie na piersiach, aby ukryć lekkie drzenie rąk. Zapadła głęboka cisza, a potem mnich rozpoczął opowieść o swych losach. Jako młody chłopiec, nieco starszy od Grimpowa, wstąpił do zakonu w komandorii mieszczącej się w jego rodzinnym Metz, miasteczku w północno-wschodniej Francji, zachęcony przez wuja, który był w tamtym czasie miejscowym komturem. Od szesnastego roku życia przebywał w Ziemi Świętej, broniąc przed niewiernymi twierdz templariuszy w Safed, Trypolisie, Damaszku, Gazie, Galilei, Damięcie i Akrze. Wziął udział w siódmej i ósmej wyprawie krzyżowej króla Francji Ludwika IX, który w roku tysiąc dwieście siedemdziesiątym wraz z wielką liczbą chrześcijan i kilkoma członkami swego rodu zmarł na czarną ospę u bram Tunisu.

- W tym samym roku, nie mogąc już znieść ciągłego widoku trupów, okaleczonych ciał i strumieni krwi bezużytecznie przelewanej w imieniu Boga, postanowiłem uciec od świata, od jego okrucieństwa i jego nędzy. Schroniłem się tutaj, w odległym opactwie Brinkdum, w zamiarze spędzenia reszty mych dni na studiowaniu cennych manuskryptów w ogromnej bibliotece. To, co widzisz wokół, to księgi potępione przez Kościół. Są tu od wieków, ukryte przed ciekawskimi spojrzzeniami mnichów - zakończył, ciężko wzdychając.

- Przeczytaliście je wszystkie? - spytał Grimpow, patrząc z podziwem wokół.

- Wszystkie bez wyjątku - odpowiedział starzec z dumą w głosie. - Zawierają w sobie tyle mądrości, że wielokrotnie zdarzyło mi się zwątpić w istnienie Boga.

- Nie rozumiem - wyszeptał Grimpow.

- Idea Boga, jako stwórcy nieba i ziemi, służy nam do objaśniania przyczyny wszystkiego, co nas otacza. Jeżeli jednak niebo i ziemia mogą wyjaśnić się same przez się, staje się trudne wierzyć w Niego. Wielu mędrców próbowało się z tym zmierzyć, a ich światłe teorie są zawarte w tych wspaniałych dziełach, którym Inkwizycja zarzuca herezję. Ale nawet przyjąwszy, że Bóg istnieje, nigdy już nie uwierzę w Boga groźnego i

bezlitosnego, którego czczą papież, królowie i cesarze, aby uzasadnić swoją zachłanność - mówił starzec w uniesieniu. - Gdy powróciłem z Ziemi Świętej stwierdziłem, że wielu braci należących do zakonów żebraczych nawołuje do miłosierdzia i życia w ubóstwie, za co są prześladowani i więzieni. Także pierwsi templariusze, podczas swego dziewięcioletniego pobytu w Jerozolimie, byli rzecznikami życia w ubóstwie i poszukiwania mądrości, jednak z biegiem lat, po rozrośnięciu się zakonu mnisi zamienili się w rycerzy tak ambitnych i aroganckich, jak ich dzisiejsi prześladowcy. Jedynie niektórzy z nich dochowali wiary swoim zasadom i to oni są powiernikami sekretu dziewięciu pierwszych członków Zakonu Świętyńi Salomona. Legenda, którą ci opowiedziałem, mówi właśnie o tej małej grupce braci, którzy nigdy nie wzięli w rękę miecza, o Wybrańcach.

- O Wybrańcach? - powtórzył Grimpow, zafascynowany kierunkiem, w którym rozwinęła się jego rozmowa ze starcem.

- Wybraniec oddaje się nauce i dąży do zdobycia mądrości, aby osiąść wewnętrzną siłę zdolną odkryć przed nim prawdę o świecie. Pragnie stać się ogniwem w łańcuchu wiedzy stanowiącej dorobek ludzkości i poszukuje sekretu mędrców. Drzwi wiodące do tego niewidzialnego, wspaniałego skarbu, dla wielu pozostaną na zawsze zamknięte. Sekret mędrców staje się dostępny jedynie tym, którzy śledzą odpowiednie znaki i idą właściwą drogą.

- Wy także poszukujecie tego skarbu?

- Ja stoję już nad grobem i nie czas mi ważyć się na przygodę, która jest dostępna jedynie młodzieńcom. Natomiast przed tobą otwiera się możliwość odkrycia sekretu mędrców.

- A więc wierzycie, że templariusz zmarły w górach był Wybrańcem?

- Niewątpliwie. I przeznaczenie wybrało także ciebie - dodał. - Jeśli to ty znalazłeś jego ciało na śniegu, jego pieczęć i pergamin, to właśnie ty musisz doprowadzić do końca misję, jaka została mu powierzona.

Słowa te utwierdziły Grimpowa w tym, co pomyślał w chwili, gdy w górach poczuł ciepły dotyk kamienia w swej dłoni. Już wtedy przeczuwał, że będzie musiał dokończyć zadanie przerwane śmiercią nieszczęsnego rycerza, ale nadal nie przychodziło mu do głowy, jak ma się do tego zabrać. Jedyne, co wiedział, to że musi zacząć od poszukiwania w dalekim Strasburgu Aidora Bilbicum, dla którego była przeznaczona wiadomość zapisana na pergaminie.

- Cóż mógłbym uczynić, aby odkryć ten sekret? - spytał, mając nadzieję, że rozjaśni mu się w głowie.

- Po pierwsze, będziesz musiał odcyfrować wiadomość z pergaminu, który znalazłeś obok ciała rycerza. Templariusze posługiwali się żydowską kabałą i wieloma alfabetami, hieroglifami i szyframi, które mogli odczytać jedynie ci, którzy znajdowali się w posiadaniu odpowiednich kluczy. Mimo iż przez wiele lat byłem jednym z braci, nie jestem pewien, czy będę ci mógł pomóc, nawet mając przed oczyma ten list.

Grimpow nie miał wątpliwości, że brat Rinaldo mówi szczerze. Postanowił wyjawić mu treść wiadomości zapisanej na pergaminie, którą odszyfrował dzięki kamieniowi. Pomyślał, że stary mnich będzie mógł mu pomóc w odkryciu prawdziwego znaczenia enigmatycznego tekstu, który mówił o niebie, o ciemności i o świetle.

- A gdybym wam powiedział, że pojąłem napis na pergaminie, patrząc na niego?

Starzec podskoczył ze zdumienia i popatrzył z niedowierzaniem, czekając aby Grimpow ciągnął dalej swoje rewelacje. Ponieważ jednak ten nic nie mówił, zapytał szeptem, bojąc się usłyszeć odpowiedź:

- Czy miałeś nadprzyrodzoną wizję?

- Nie bardzo wiem, co się stało - odparł Grimpow. - Patrzyłem na dziwne znaki na pergaminie i rozumiałem je, jakby jakiś wewnętrzny głos odkrywał przede mną ich prawdziwe znaczenie.

- To cudowne! - wykrzyknął brat Rinaldo, ocierając ręką czoło, jak gdyby się spocił, mimo iż w pokoju było bardzo zimno.

- Napis na pergaminie był krótki: „W niebie jest ciemność i światło. Aidor Bilbicum. Strasburg”.

Na twarzy starego mnicha pojawił się wyraz zadowolenia, gdy usłyszał słowa Grimpowa.

- Hasło, osoba i miejsce - wymamrotał w zadumie.

- I co z tego? - zapytał Grimpow, oczekując, że brat Rinaldo powie mu coś więcej, niż to, co sam już wiedział.

- Wszystko pasuje, wszystko pasuje - usłyszał tylko. Potem mnich powtórzył głośno i z namaszczeniem: - W niebie jest ciemność i światło.

- Cóż to może znaczyć? - ponowił pytanie Grimpow.

- W niebie jest ciemność i światło, noc i dzień, mrok i jasność, niewiedza i mądrość - powiedział starzec.

- Ja też pomyślałem o czymś podobnym.

- Myślę, że to klucz. Po otrzymaniu wiadomości ten Aidor Bilbicum będzie wiedział, co ma zrobić. Ale czego nadal nie jestem w stanie zrozumieć, to w jaki sposób chłopiec nie

umiejący nawet czytać i pisać mógł odszyfrować taką zagadkę.

Mówiąc to wstał ze stołka, podszedł do jednej z półek za swoimi plecami i wziął z niej gruby, iluminowany manuskrypt. Położył go na stole, otworzył i postawił obok świecę, dzięki czemu stronice zalał złotawy poblask.

- Zbliź się - powiedział do Grimpowa niecierpliwie.

Grimpow posłuchał i stanął obok starca, patrząc na stronice opasłego tomu, na których dwie kolumny tekstu stanowiły obramowanie czterech równej wielkości kolistych malatur zawierających sceny z aniołami i mnichami. Iluminacje miały żywe, niebieskie i czerwone barwy, a w tle widniały mury warownego grodu pokryte grubo pozłotą.

- Możesz zrozumieć, co tu jest napisane? - spytał mnich, patrząc uważnie w oczy Grimpowa, podczas gdy palcem wskazującym pokazał początek tekstu, starannie wykaligrafowanego po łacinie.

- A mury miasta były z jaspisu, a samo miasto z czystego złota i lśniące jak najprawdziwszy kryształ. Blanki murów były ozdobione wszelkimi rodzajami drogocennych kamieni... - zaczął czytać Grimpow, jakby łacina była jego językiem ojczystym, a on nauczył się go jako dziecko.

- Starczy już, starczy - wyszeptał starzec. Na twarzy miał wyraz głębokiego zdumienia, a oczy błyszczały mu jak pochodnie.

- Durlib jest przekonany, że wszystko, co nam się przytrafiło od chwili, kiedy znaleźliśmy w górach ciało rycerza, jest dziełem samego diabła - zasugerował Grimpow.

- Niezwykłe i dziwne rzeczy opowiadasz. Niewątpliwie, gdybym nie widział na własne oczy, jak tłumaczysz ten tekst z łaciny nie umiejąc czytać ani nie znając tego języka, pomyślałbym, że to jedynie twoje urojenia lub bajania jarmarcznych kuglarzy. Jednak to oczywiste, że odkąd znalazłeś w górach ciało tego tajemniczego rycerza, stało się z tobą coś niezwykłego, niezależnie czy nazwiemy to cudem, czy czarem. Wielu zarzucało templariuszom, że są magami i czarownikami i twierdziło, że zawdzięczają swe bogactwa paktowi z diabłem. Jednak po tym, co mi powiedziałeś i co ja sam widziałem, jestem przekonany, że ich sekret jest czymś o wiele bardziej fantastycznym i zagadkowym, niż zwykła czarodziejska sztuczka.

Grimpow chciał powiedzieć o amulecie, który zmarły templariusz trzymał w dłoni, aby brat Rinaldo poznał brakujący szczegół wydarzeń i potwierdził jego przypuszczenia, że to ten dziwny kamień robi z jego umysłem coś niezwykłego. Lecz w tej samej chwili rozdzwoniły się dzwony opactwa, wzywając na nabożeństwo.

- Muszę odejść, aby opata i inkwizytora Bulvara z Goztell nie zastanowiła moja

nieobecność na chórze kościoła podczas modlitwy - powiedział stary mnich.

Odszedł od stołu i trącił ręką jeden z blisko stojących tomów, a potem inny. Nagle jeden z regałów wypełnionych książkami gwałtownie obrócił się wokół osi i w ścianie otworzyła się dziura ciemna jak noc.

- Kiedy wrócicie? - spytał Grimpow starca stojącego w przejściu do sąsiedniego pomieszczenia, które przypuszczalnie było jedną z sal prawdziwej biblioteki.

- Przyjdę ponownie za dnia, po primie. Postaram się przynieść ci coś do zjedzenia i jakąś wiadomość od twego przyjaciela Durliba - mnich zatrzymał się na chwilę.

- Zapomnieliście lampki - ostrzegł Grimpow.

- Moje oczy są przyzwyczajone do ciemności - nie odwracając się powiedział mnich i wyszedł z sekretnego pokoju.

Jego krucha, starcza, nieco zgarbiona sylwetka znikła w mroku i po krótkiej chwili głuchy dźwięk oznajmił, że regał z książkami ponownie się zasunął. Grimpow został zupełnie sam.

Kwadratura kota

Następnego dnia po przebudzeniu Grimpow nade wszystko pragnął uzyskać wiadomość, co się stało z Durlibem. Niemal nie zmrużył oka przez całą noc, trzęsąc się z zimna na niewygodnym, prowizorycznym legowisku, które urządził sobie na stole. Pogasił wiszące lampy i w pokoju pozostał jedynie maleńki płomycek kaganka, wydobywający z głębokiego mroku stosy książek. Grimpow zastanawiał się nad opowieściami brata Rinalda dotyczącymi templariuszy i ich sekretów, ale nie przestawał myśleć o tym, że Durlibowi grożą okropne tortury, którymi Bulvar z Goztell będzie starał się wydobyć zeznania dotyczące zmarłego rycerza. Wydawało się oczywiste, że inkwizytor połączy znane sobie fakty. Ponieważ znalazł konia templariusza na górskiej przełęczy oraz widział monety, które Durlib wręczył opatowi, nie będzie miał najmniejszych wątpliwości, że Durlib miał jakiś kontakt ze zbiegiem i będzie chciał dowiedzieć się więcej o miejscu, gdzie ten może się teraz znajdować. Jedyne, co nie było jasne, to, czy dominikanin wie o obecności jego, Grimpowa, w opactwie. Przypuszczalnie opat chciał go uchronić przed strasliwymi szponami inkwizytora, któremu powiedział jedynie o Durlibie.

Jego wątpliwości rozwiały się po paru godzinach, dość długo po dzwonach wzywających mnichów na primę. Lecz ku jego zdziwieniu, to nie brat Rinaldo przyszedł go odwiedzić, tak jak przyrzekał. Słyszac hałas kamiennej ściany obracającej się pod ziemią, Grimpow zorientował się, że ktoś nadchodzi od strony korytarza z czaszkami, który już znał. Wyjął sztylet zza paska i przyczaił się w napięciu, obawiając się, że idzie po niego inkwizytor Bulvar z Goztell wraz ze swymi zbirami. Wstrzymał oddech, słysząc powolne kroki na kręconych schodach i odetchnął z ulgą, widząc, kto podnosi klapę. W otworze pojawiła się głowa, a później górna połowa masywnej sylwetki Kensego, ociążałego umysłowo klasztornej służby. Kense nie wszedł do środka, lecz rozejrzał się wokół jak puszczyk, który w mroku stara się dostrzec zmartwiałego z przerażenia gryzonia. Następnie wyciągnął z parcianej torby niewielki bukłak z wodą, kawałek chleba, pęto kielbasy i dwa słodkie jabłka i położył to wszystko na podłodze. Nic nie mówiąc, opuścił klapę ponad swoją głowę i człapiąc ze zwykłą powolnością zszedł schodami w dół.

Grimpow chwycił skórzany bukłak z wodą i pił chciwie, aż całkowicie zaspokoił

pragnienie. Dopiero potem postawił jedzenie na stole, który służył mu w nocy za posłanie i pochłonął chleb, kielbasę i jabłka, które wydały mu się najwymyślniejszymi smakołykami, jakie jadł w swoim życiu.

Brak światła dziennego w tym zamkniętym pomieszczeniu uniemożliwiał mu rachubę czasu, chociaż miał wrażenie, że jest już biały dzień. Od ogarka świecy zapalił wiszące lampy i zajął się szperaniem wśród manuskryptów zgromadzonych w kryjówce. Okazało się, że umie przeczytać wszystkie tytuły ksiąg, niezależnie od tego, czy zostały napisane po łacinie, grecku, hebrajsku czy arabsku, ale te cudem zdobyte umiejętności przestały go już dziwić, bo stały się czymś zwykłym od chwili, gdy ujął w rękę kamień zmarłego rycerza. Wiele ksiązek zawierało jedynie tekst, starannie i czysto wykaligrafowany, ale inne były iluminowane wspaniałymi miniaturami, ozdobione roślinnymi motywami w żywych kolorach i obficie złożone. Były tam dzieła o filozofii, astronomii i astrologii, o anatomii i medycynie, o roślinach leczniczych, o trucznach, o wywarach i zaklęciach, o magii, czarach i urokach, o bestiach, potworach i demonach, o fantastycznych zwierzętach i odległych, niezwykłych krainach, o geometrii, arytmetyce i mineralogii, o fizyce i alchemii. Grimpow był zafascynowany podziwianiem tych klejnotów wiedzy, tajemniczych i starożytnych, z których większość liczyła sobie setki lat i pochodziła ze wszelkich, nawet najodleglejszych zakątków świata.

Właśnie zajęty był oglądaniem rysunku, na którym ukazane były koliste orbity planet w przestworzach, sporządzonego przed niemal tysiącem lat przez mędrca o imieniu Leaffhar Solabba, gdy usłyszał jakiś hałas z drugiej strony półek z książkami i niebawem uchylił się ten sam fragment regału, przez który w nocy brat Rinaldo wyszedł do sąsiedniej sali bibliotecznej. Widząc mnicha wchodzącego do kryjówki, Grimpow zamknął księgę i z niecierpliwością zapytał o Durliba.

- Ten twój przyjaciel jest sprytniejszy od lisa - rzucił mnich uśmiechając się i zamknął za sobą wejście.

- Udało mu się uciec? - spytał Grimpow, w napięciu oczekując na odpowiedź.

- Jeszcze nie, ale jestem pewien, że wkrótce mu się to uda. Kiedy królewscy żołnierze zatrzymali go wczoraj w nocy w stajniach opactwa, podczas gdy rozmawiał z mnichem stajennym, zachowywał się tak posłusznie i usłużnie, że sam Bulvar z Goztell uwierzył, że znalazł sprzymierzeńca, który pomoże mu w poszukiwaniach templariusza. Inkwizytor nie wie przecież, że rycerz nie żyje.

- A więc nie dręczyli go? - Grimpow chciał mieć całkowitą pewność, choć i tak odetchnął z ulgą.

- Póki co, udało mu się wywinąć. Powiedział inkwizytorowi, że istotnie wczoraj rano w pobliżu chaty napotkał idącego pieszo rycerza, który zabłąkał się w lesie z powodu mgły. Opisał rysy i ubiór nieznanego i powiedział, że ten wyjawiał mu, iż udaje się na północ w sprawie niecierpiącej zwłoki. Durlib zapewnił dominikanina, że powiadomił rycerza o znajdującym się w pobliżu opactwie Brinkdum, gdzie bez trudu można uzyskać konia i prowiant potrzebne do dalszej drogi, ale rycerz odpowiedział, że jest wyczerpany, bo spadając z konia stłukł sobie żebra. Poprosił więc, jak stwierdził Durlib, żeby to on poszedł do opactwa i zakupił dwa konie, na co jakoby dał mu te srebrne monety. Zaoferował też, że jeśli Durlib będzie chciał, zabierze go ze sobą w dalszą drogę jako sługę.

- A więc Durlib przekonał inkwizytora Bulvara z Goztell, że rycerz wciąż żyje! - wykrzyknął Grimpow.

- Zapewnił inkwizytora, że bez wątplenia znajdzie ściganego rycerza leżącego na pryczy w chacie i czekającego na jego powrót z końmi i prowiantem. Zaoferował się też zaprowadzić jego i królewskich żołnierzy w góry. Stwierdził, że wygnaniec nie znajdzie w nich takiego schronienia, którego on, Durlib, by nie znał. Inkwizytor, zachęcony myślą, że będzie mógł ująć zbiegłego templariusza tak łatwo, jak łatwo jest wyjąć z wnyków schwytanego zająca, kazał żołnierzom zaprowadzić Durliba na noc do tej samej sali, gdzie sami spali i zarządził, iż z samego ranka bez zwłoki wyruszą w góry na poszukiwania.

- A więc są już w drodze do chaty?

- Wyruszyli jakiś czas temu. Na własne oczy widziałem, jak opuszczali stajnie. Na czele jechał Durlib i wyglądał na pewnego siebie i chwackiego przewodnika - powiedział starzec z uśmiechem.

- Jestem pewien, że Durlibowi uda się zmylić ich uwagę na którymś załomie krętej ścieżki wiodącej w góry - stwierdził Grimpow, przekonany, że przyjaciel jakoś sobie poradzi i wymknie się pilnującym go żołnierzom w tym zaśnieżonym i niegościnnym terenie, który znał jak własną kieszeń.

- Bulvar z Goztell mógł udawać naiwnego i sprawiać wrażenie, że wierzy w historyjkę wymyśloną przez twojego przyjaciela, ale nie jest głupi i dopilnował, aby Durlib nie mógł uciec, gdy tylko znajdzie się na otwartej przestrzeni. Kazał mu związać rzemieniami ręce na plecach.

- Widzieliście to?

- Widziałem. Mimo rąk związanych z tyłu Durlib pogwizdywał z zadowoleniem, jakby udawał się na królewski dwór, gdzie czeka go wspianiała ucztą.

Wiadomość, że Durlib pojechał w góry uspokoiła Grimpowa, gdyż nie wątpił, że przy

pierwszej lepszej okazji przyjaciel ucieknie oprawcom i powróci po niego do opactwa. Zajął się więc swym drugim zmartwieniem i postanowił dowiedzieć się, czy inkwizytor Bulvar z Goztell wie o jego istnieniu.

- Myślicie, że ojciec dominikanin także mnie będzie chciał pojmać?

- Nawet nie wie, że istniejesz, bo opat powiedział mu tylko o Durlibie. Nie chciał cię mieszać w sprawę srebrnych monet templariusza, a twój przyjaciel także mu nie wspomniał, że jesteś w opactwie - wyjaśnił brat Rinaldo.

- Czy to znaczy, że będę musiał pozostać tutaj, w zamknięciu? - spytał Grimpow, rozglądając się dookoła. Pragnął jak najprędzej opuścić to ciasne pomieszczenie, które przyprawiało go o uczucie duszności.

- Przynajmniej do chwili, gdy Bulvar z Goztell i królewscy żołnierze opuszczą opactwo. Przed południem przyślę Kensego z wiązką słomy i paroma wełnianymi derkami, aby uczynić twój pobyt tutaj w miarę możliwości bardziej znośny.

- Czy można ufać temu ponurakowi? - spytał Grimpow podejrzliwie, mimo iż to właśnie olbrzymi sługa przyniósł mu jedzenie.

- Ten biedak oddałby za mnie życie. Kiedy był chłopcem, opat znalazł go niemal umierającego na starym cmentarzu i zabrał ze sobą. Odtąd żyje tu jako sługa i leczymy go z dziwnej przypadłości, na którą cierpi.

- A co się stanie, gdy ojciec dominikanin odkryje, że Durlib z niego zadrwił? - spytał Grimpow, powracając do sprawy, która go najbardziej przejmowała.

- Jeśli Durlib będzie nadal w jego mocy, obedrze go ze skóry, posieka na kawałki i rzuci na pożarcie świniom. Ufam, że uda mu się uciec, zanim będzie musiał zdać inkwizytorowi sprawę z tego, co zdarzyło się z templariuszem. Gdyby musiał mu powiedzieć, że znalazł go martwego i że ciało rozpuściło się w śniegu, Bulvar z Goztell pomyślałby, że Durlib kpi sobie z niego.

- Ależ to właśnie się zdarzyło! - wykrzyknął Grimpow.

- I myślisz, że ktokolwiek mógłby w to uwierzyć?

- Wyście uwierzyli, bracie Rinaldo.

- Ja uwierzyłem, bo ci ufam, ale Bulvar z Goztell nie dałby wiary w cudowne zniknięcie trupa, nawet gdyby widział je na własne oczy. Dziś rano, podczas śniadania w refektarzu, brat Assben powiedział mi, że widział już tego dominikanina przed wielu laty w mieście Vienne koło Lyonu, a dosłownie przed chwilą, w *scriptorium*, zwierzył mi się, że wie, iż inkwizytor był w swoim czasie szpiegiem króla Francji. Przeniknął w szeregi rycerzy Zakonu Świątyni Salomona w Ziemi Świętej, aby śledzić ich rytuały inicjacji i ich sekrety.

Wydaje się, że Bulvar z Goztell wkradł się w łaski wielkiego mistrza Jakuba de Molaya, a potem, po powrocie do Paryża, zdradził go i oskarżył o herezję. Wstąpił potem do zakonu dominikanów i został inkwizytorem, poświęcając się duszą i ciałem prześladowaniu tych ze swych dawnych współpracowników, którym udało się uciec z rąk zbirów króla Francji. Wielu templariuszy uciekło na północ, za niemiecką granicę, oddając się w opiekę diuka Gulfa de Östemberg i jego wiernych oddziałów. Schronili się w warownych zamkach Kamiennego Kręgu.

Pojawienie się nowych wydarzeń i postaci w opowieści brata Rinalda podsycało ciekawość Grimpowa, który z chęcią słuchał dalej.

- Nigdy nie słyszałem o tych zamkach - powiedział.

- Z tego, co słyszałem, aczkolwiek nigdy nie widziałem Kamiennego Kręgu na własne oczy - ciągnął mnich - jest to warownia utworzona przez osiem niewielkich zamków, wybudowanych blisko siebie, na szczytach niedostępnych, stromych wzgórz. Otaczają one idealnym, niewidzialnym kręgiem twierdzę diuka Gulfa de Östemberg, stojącą na wyniosłym, niezdobytym, kamiennym wzniesieniu w samym środku kręgu...

Koliste położenie zamków sprawia, że w czasie wojen obrońcy jednego z nich mogą służyć pomocą obrońcom innych, co nastęrcza oblegającym dodatkowych trudności. Obronności sprzyja także górzyste ukształtowanie terenu. Na skutek zbiegu tych wszystkich okoliczności oblegający jeden z zamków stają się zarazem obleżonymi, gdyż otacza ich reszta zamków i twierdza diuka de Östemberg. Należy tu jeszcze wymienić niezliczone sekretne przejścia w skalnym terenie, oraz zagmatwany labirynt podziemnych tuneli i korytarzy łączący ze sobą poszczególne zamki. Ich obrońcy mogą, jak króliki przyłapane w swej norze przez lisa, uciec dowolnym wyjściem, podczas gdy napastnik pilnuje innego otworu. Kolisty sposób rozmieszczenia zamków zalecił przodkom diuka wielki mędrzec. Miało to miejsce przed wiekami, w okresie częstych wojen z najeźdźcą z południa pragnącym zawładnąć urodzajnymi ziemiami i bogactwami rodu de Östemberg.

Odtąd wszyscy spadkobiercy ówczesnego diuka de Östemberg byli wychowywani przez mędrców z zakonu templariuszy, który stał się najwierniejszym doradcą i sprzymierzeńcem rodu. Jak wieść niesie, jeden z przodków obecnego diuka Gulfa już jako dziecko dokonywał skomplikowanych obliczeń arytmetycznych, rozwiązywał trudne teorematy geometryczne lub z łatwością odnajdywał na niebie gwiazdne konstelacje. Najulubieńszymi towarzyszami jego młodych lat był miecz подарowany mu przez ojca i manuskrypty przechowywane w komnatach mędrca, który służył mu za nauczyciela. Gdy młody diuk dorósł, zaczął tworzyć swe własne teorie z zakresu algebry wielomianów i teorii

równań. Układał także wiersze, znał hieroglify, a w wieku dwudziestu lat skonstruował w zamku swego ojca obserwatorium astronomiczne, gdzie ku zdziwieniu gawiedzi wraz ze swym mistrzem spędzał całe noce na obserwacji cudów wszechświata.

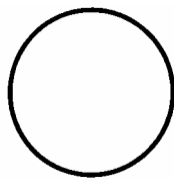
- A obecny diuk Gulf de Östemberg także jest Wybrańcem? - spytał Grimpow, przypominając sobie to, co brat Rinaldo opowiedział mu poprzedniej nocy o mędrcach znających sekret, który dziewięciu templariuszy odkryło przed dwoma wiekami w Świątyni Salomona w Jerozolimie.

- Tego nie wie nikt, ale jego poddani uważają go za wielkiego mędrca. Choć nigdy nie wstąpił do Zakonu Świątyni Salomona, przynajmniej oficjalnie, z pewnością jest z nim ściśle związany. Jego wychowawcą w młodości też był templariusz.

- A jaki jest związek zamków Kamiennego Kręgu z zakonem templariuszy? - spytał Grimpow. Zamierzał dowiedzieć się jak najwięcej o posiadaczach niezwykłego kamienia, który teraz stał się jego własnością.

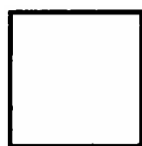
- Narysuję ci to.

Stary mnich podszedł do małego pulpitu stojącego w rogu sali, usiadł przy nim, wziął do ręki gęsie pióro, zamoczył je w kałamarzu i kątem lewej dłoni wygładził kawałek pergaminu, który leżał już przygotowany do użytku. Grimpow stanął obok brata Rinalda i z ciekawością obserwował powolne ruchy jego lekko drżącej dłoni, która jednak niezawodnie i precyzyjnie nakreśliła na pergaminie idealny okrąg.



- Koło - rozpoczął rozprawę stary mnich, mówiąc z namaszczeniem - jest jednym z kształtów geometrycznych, które zawierają w sobie najwięcej tajemnic. Ciągłość nieskończonej linii, która je tworzy, jest wyobrażeniem doskonałości i wieczności, bez początku ani końca, którą można odnaleźć tylko w niebie. Nawet księżyc w pełni i słońce o zachodzie mają kolisty kształt, podobnie jak wszystkie gwiazdy we wszechświecie.

Po chwili starzec przerwał i pod okręgiem wyrysował kwadrat tej samej wielkości.

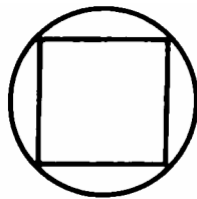


- A jeśli niebo jest kołem...

- Ziemia jest kwadratem - przerwał mu Grimpow, sam dobrze nie wiedząc, dlaczego tak twierdzi.

- Istotnie - ciągnął brat Rinaldo, patrząc na Grimpowa z powściąganym podziwem - jeśli nieskończoność nieba jest wyobrażona przez koło, skończoność Ziemi jest symbolizowana przez kwadrat, ograniczoną figurę geometryczną stanowiącą przeciwieństwo koła. Nie przypadkiem czterem jednakowym bokom kwadratu odpowiadają cztery główne kierunki geograficzne: północ, południe, wschód i zachód; cztery pory roku: wiosna, lato, jesień i zima; cztery żywioły przyrody: woda, ziemia, powietrze i ogień. Ponadto kwadrat, którym jest Ziemia, może zostać zawarty w kole, którym jest niebo, przy czym obydwie te figury posiadają wspólny, kosmiczny środek.

Mówiąc to, mnich precyzyjnie narysował koło i w jego wnętrze wpisał kwadrat, tak aby środek koła pokrywał się ze środkiem kwadratu.

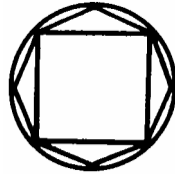


- W ten sposób niebo i Ziemia tworzą dwie połowy całości, których ostateczne połączenie jest równie niemożliwe, jak znalezienie kwadratury koła, na czym wielu strawiło czas swego życia bez powodzenia. Albowiem sprawienie, aby koło i kwadrat stały się tą samą figurą geometryczną jest równie niemożliwe, jak złączenie Ziemi z niebem i człowieka z Bogiem - powiedział brat Rinaldo, zadowolony, że Grimpow uważnie słucha jego wywodów. Oczekiwał, aby chłopiec poprosił go o dalsze przedstawianie na rysunkach wyjaśnień dotyczących związków templariuszy z zamkami Kamiennego Kręgu.

- Z waszych słów wydaje się wynikać, że osiem zamków Kamiennego Kręgu symbolizuje doskonałe połączenie tego, co niebiańskie i tego, co ziemskie; tego co boskie i tego, co ludzkie. Jednak zapewniliście mnie, że kwadratura koła jest czymś niemożliwym, a na poprzednim rysunku, tym gdzie przedstawione zostało powiązanie Ziemi z niebem, czyli wpisanie kwadratu w koło, istnieją jedynie cztery punkty styczności między jednym i drugim, a nie osiem, jak powinno być, sądząc z istnienia ośmiu zamków okalających centralnie położoną twierdzę diuka de Östernberg.

- Tak właśnie jest, Grimpowie, ale teraz przypatrz się temu - powiedział stary mnich i

ponownie narysował koło, w jego środku kwadrat, i uzupełnił rysunek ośmiokątem umieszczonym precyzyjnie między linią okręgu i obrysem kwadratu.



Po czym dodał z zadowoleniem:

- Jak sam możesz stwierdzić, jeśli usiłujemy doprowadzić do przemiany kształtu koła w kształt kwadratu, otrzymujemy nową figurę geometryczną złożoną z ośmiu jednakowych boków, posiadającą wspólny środek z kołem i kwadratem. Ośmiokąt, jak również osiem zamków Kamiennego Kręgu, przedstawiają sobą doskonałą harmonię między niebem i Ziemią, zrównoważone połączenie między tym co boskie i tym, co ludzkie; wzajemne uzupełnianie się ducha i materii, duszy i ciała, tego, co widzialne i tego, co niewidoczne.

- Światła i ciemności! - powiedział nagle Grimpow, przypominając sobie zapisaną symbolami wiadomość, którą zmarły rycerz miał w swej sakwie.

- To jest z całą pewnością klucz do tej wiadomości i dlatego nie mam najmniejszej wątpliwości co do tego, że sporządził ją istotnie templariusz - stwierdził brat Rinaldo, ale Grimpow chciał się dowiedzieć jeszcze czegoś więcej.

- A jak udało się wam odszyfrować złożoną zagadkę znaczenia ośmiokąta i ośmiu zamków Kamiennego Kręgu, bracie Rinaldo? - zapytał Grimpow, nie spuszczać z oczu figury geometrycznej wrysowanej między koło i kwadrat.

- Stwierdziłem to po przeczytaniu niektórych manuskryptów zgromadzonych w tej sekretnej sali. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego wiele wież i kaplic komandorii Zakonu Świętyni Salomona ma ośmiokątny kształt i chciałem się dowiedzieć, dlaczego templariusze używają tej figury w swoich budowlach. Następnie wystarczyło zastosować wyciągnięte wnioski do ośmiu zamków Kamiennego Kręgu.

- A w czasach, gdy byliście templariuszem, nie wiedzieliście o tym?

- Zwykły rycerz jak ja, który złożył przysięgę, że będzie się modlił i walczył za wiarę, musiał jedynie wypełniać rozkazy i nie zadawać pytań. Zresztą ja sam w tamtym czasie, zanim trafiłem do opactwa Brinkdum, nie byłem ciekawy żadnej wiedzy, która wykraczałaby poza użytek, jaki można czynić z kopii, łuku i miecza.

Tocząc rozmowę ze starym mnichem, Grimpow nie mógł przestać myśleć o tym, że

rozwiązanie wszystkich tajemnic, na które się natykał od chwili, gdy znalazł ciało rycerza w górach, najprawdopodobniej leżało w kamieniu, który teraz spoczywał w woreczku na jego szyi. Chciał powiedzieć o kamieniu bratu Rinaldowi, lecz wewnętrzny, niesłyszalny głos radził mu, aby zachował ten sekret dla siebie, podobnie jak dziewięciu braci zachowało sekret, który przed dwustu laty odkryło w Świątyni Salomona.

- A dlaczego w nazwie zamków tworzących Krąg pojawia się słowo kamień? - spytał Grimpow, starając się znaleźć jakąś poszlakę dotyczącą znaczenia kamienia, który był amuletem zmarłego rycerza.

- O tym nigdy nie pomyślałem. Przypuszczam, że chodziło o to, że wieże i mury zamków były twarde jak kamień - powiedział mnich bez większego przekonania.

- Wszystkie zamki są z kamienia - odparł Grimpow, któremu takie wyjaśnienie wydało się zbyt proste.

- Masz rację, Grimpowie, ale odpowiedzi na to pytanie, o ile w ogóle istnieje, będziesz musiał poszukać samodzielnie, w zakazanych pergaminach i manuskryptach tego pokoju bez drzwi i okien, gdzie będziesz musiał pozostać w zamknięciu jeszcze przez jakiś czas. Na tym regale, który stoi z tyłu - powiedział, wstając z trudem i wskazując palcem za swoje plecy - znajdziesz mnóstwo książek, które traktują o mineralogii i alchemii, a także kilka, które mówią o kamieniu filozoficznym. Być może w którejś z nich znajdziesz rozsądną odpowiedź na swoje pytanie. Wielu spośród templariuszy było wielkimi alchemikami, bo tej trudnej sztuki nauczyli się od mędrców arabskich, których wiedzę studiowali podczas pobytu w Ziemi Świętej. Są tacy, co twierdzą, że zakon templariuszy uzyskał swoje bogactwa poprzez transmutację zwykłych metali w srebro i złoto za pomocą kamienia filozoficznego, choć ja sam w to nie wierzę, ani też nie interesowałem się zbytnio tą sprawą.

- A gdyby właśnie kamień filozoficzny był sekretem templariuszy? - spytał Grimpow, poruszony ciekawością, jaką wzbudziła w nim ta wzmianka.

- Wówczas nie powinieneś się starać, żeby go odnaleźć, gdyż jeśli ci się to uda, przypuszczalnie nie będziesz miał na tyle silnej woli, aby go zniszczyć. Chciwość złota jest o wiele groźniejsza niż diabelskie pokusy - stwierdził mnich sucho. - Teraz muszę odejść, wkrótce wybije południe i nie mogę stracić nabożeństwa seksty, ani obiadu. Przyjdę po powrocie z wyprawy w góry inkwizytora Bulvara z Goztell i królewskich żołnierzy, aby powiedzieć ci, co stało się z twym przyjacielem Durlibem.

- Przyrzekacie nie taić mi prawdy, nawet najgorszej, bracie Rinaldo? - poprosił Grimpow.

- Ja cię nigdy nie oszukam - powiedział mnich z naciskiem - natomiast jestem pewien,

że ty nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego, co wiesz.

Grimpow zarumienił się i ze wstydu spuścił oczy ku ziemi, aby uniknąć zimnego spojrzenia bezzębnych oczu starego mnicha.

- Obawiam się, że brat Brasgdo może się upić i opowiedzieć bratu dominikanowi o mojej obecności w opactwie. On także widział rycerza templariusza odjeżdżającego w góry, choć sądził, że jest to dusza pokutująca za swe grzechy niekończącą się wędrówką po świecie - poszukał wymówki.

- Brat Brasgdo będzie umiał utrzymać swój język na wodzy, z obawy aby mu go nie ucięli - powiedział starzec i zachichotał. Potem odwrócił się i wyszedł.

Kense powrócił w południe, przynosząc wiązkę słomy, parę derek i sporo jedzenia. Jak zwykle pozostawił swoje brzemie obok klapy wejściowej i nie odezwał się ani słowem. Grimpow pomyślał, że spotkanie z Kensem w nocy na korytarzu opactwa byłoby gorsze, niż spotkanie z duchem. Jego zdeformowana twarz i bezzębne usta budziły w chłopcu głęboki lęk, choć w oczach sługi dostrzegał wyraz dziecięcego smutku i bezradności, który przypuszczalnie przed laty skłonił opata do uratowania mu życia. Grimpow doszedł do wniosku, że między jego własnym losem a życiem Kensego istnieje podobieństwo. Durlib go ocalił, ale on, w przeciwieństwie do Kensego, nie czuje się na siłach, aby oddać życie za swego dobroczyńcę i przyjaciela. Zaczął obwiniać się o tchórzostwo. Postanowił wydostać się z kryjówki, pójść do wrót opactwa i oczekiwać na powrót inkwizytora Bulvara z Goztell, aby opowiedzieć mu wszystko o zmarłym rycerzu z gór i ofiarować mu magiczny kamień w zamian za wolność Durliba. Rozpoczął gorączkowe i bezskuteczne poszukiwania dźwigni wprawiających w ruch mechanizm regału, przez który stary mnich wchodził i wychodził do sąsiednich pomieszczeń biblioteki. Jednak na półkach znajdował tylko pokryte grubą warstwą kurzu tomy ksiąg i pajęczyny, które oblepiły mu ręce. Poczul się jak złapany w pułapkę przez wielkiego, okropnego, bezlitosnego pająka. Poruszył na chybił trafił kilka manuskryptów i wtedy jego oczy przyciągnął tytuł jednego z nich. Stare, oprawione w zniszczoną okładkę dzieło było napisane po łacinie, a jego tytuł brzmiał:

LAPIS PHILOSOPHORUM

- Kamień filozoficzny! - wykrzyknął.

Zapomniał o swych lękach i położył intrygującą księgę, napisaną przez nieznanego autora, na stole stojącym pośrodku pokoju. Nabral przekonania, że na jej grubych

pergaminowych stronicach znajdzie odpowiedź przynajmniej na część pytań, które zadawał sobie w związku z kamieniem zmarłego rycerza. Nie mógł się już doczekać, aby zacząć odkrywanie tej tajemnicy.

Otworzył księgę, nie zdając sobie początkowo sprawy ze znaczenia tego, co czyta, ale w miarę, jak pochłaniał kolejne strony, przez jego umysł poczęły się przesuwają obrazy datującej się od zarania dziejów historii mędrców z odległych epok i krain, których największym pragnieniem było sporządzenie kamienia filozoficznego. Manuskrypt poświęcony był tajemnej sztuce przekształcania zwykłych metali w złoto, zwanej alchemią i opisywał wiele niezwykle skomplikowanych metod, jakich używali alchemicy w celu uzyskania *lapis philosophorum*. Grimpow dowiedział się, że kamieniowi filozoficznemu przypisywano nie tylko właściwość transmutacji najbardziej pospolitych metali w czyste złoto, ale i zdolność do obdarzania swego posiadacza absolutną mądrością, a także, być może, nieśmiertelnością. Nie można było dopuścić, aby tak potężny obiekt magiczny wpadł w ręce osób pozbawionych skrupułów, które mogłyby go użyć dla wzbogacenia się i zdobycia władzy nad światem, w związku z czym procedury alchemiczne były dostępne jedynie dla wtajemniczonych i przekazywane przez mistrza jego uczniom.

Grimpow pomyślał, że przypuszczalnie kamień, który znalazł się w jego posiadaniu, jest właśnie tym kamieniem filozoficznym, o którym traktuje książka, i że został wytworzony przez templariuszy w ich sekretnych pracowniach, zgodnie ze wskazówkami, jakie zawierał odkryty przez nich w ruinach Świątyni Salomona starodawny manuskrypt. Wydało mu się oczywiste, że papież i król Francji chcieliby go posiadać, aby zapełnić złotem swe puste skrzynie i wyposażyć swoje armie do walki. Doszedł także do wniosku, że to za pomocą tego właśnie kamienia Zakon Świątyni zdobył swe niezmierne bogactwa. Na koniec pomyślał, że gdy istnienie kamienia zostało wyjawione przez templariuszy torturowanych w królewskich kazamatkach w Paryżu, misją rycerza z gór stało się schowanie go w jakimś bezpiecznym miejscu, aby nie wpadł w ręce oprawców. Grimpow nie wiedział, że dość znacznie mylił się w swoich przypuszczeniach i nie domyślał się, o ile jego magiczny kamień jest bardziej niezwykły od kamienia filozoficznego opisanego w książce.

Na tych rozważaniach upłynęło mu popołudnie. Był coraz mocniej przeświadczony, że ma w swoim posiadaniu magiczny kamień nieocenionej wartości i zadreślał się myślami, iż stał się on obiektem pożądania dwóch bezgranicznie ambitnych, najpotężniejszych i najokrutniejszych ludzi na ziemi.

Po jakimś czasie dzwony klasztorne oddzwoniły wezwaniem na nieszpory i Grimpow pomyślał, że już z pewnością się ściemniło. Usłyszał kroki po drugiej stronie ściany i po raz

drugi tego dnia zobaczył brata Rinalda z Metzu. Z wyrazu twarzy starego mnicha widać było, że nie przynosi dobrych wieści. Wszedł do pokoju, usiadł przy stole, oparł na nim łokcie i powiedział ponurym głosem:

- Durlib nie powrócił do opactwa z Bulvarem z Goztell i królewskimi żołnierzami.

- Zabili go? - krzyknął zrozpaczony Grimpow.

Starzec pokręcił głową.

- Nie, ale nie żyje. Z tego, co ojciec dominikanin powiedział opatowi, wynika, że Durlib chciał uciec, rzucając się w przepaść i zginął roztrzaskawszy się na skałach.

- Czy jesteście pewni, że zginął? - wypytywał Grimpow, powstrzymując szloch.

- Wściekłość inkwizytora Bulvara z Goztell, że dał się tak łatwo oszukać, wydaje się potwierdzać tę wersję zdarzeń. Ojciec dominikanin byłby zachwycony, gdyby mógł zemścić się na twym przyjacielu, mordując go powoli własnymi rękoma. Przypuszczalnie Durlib domyślił się, jaki koniec go czeka, gdy inkwizytor odkryje jego podstęp i postanowił przyspieszyć nieuchronny koniec tragicznego przedstawienia, jakie odegrał, aby ujść z życiem z opactwa.

Grimpow nie chciał pogodzić się z myślą, że Durlib nie żyje, jak był o tym przekonany podły inkwizytor z Lyonu. W żadnej sztuce Durlib nie był tak biegły, jak w umiejętności oszukiwania. Zawsze potrafił sprawić, aby ludzie uwierzyli w to, co jemu było na rękę. Durlib znał każdy zakręt na drodze, każdy przesmyk, każdą przepaść i każdą niebezpieczną szczelinę ukrytą pod śniegiem, więc jeśli zdecydował się skoczyć w przepaść w którymś miejscu w górach, niewątpliwie musiał obliczyć z precyzją, gdzie spadnie, na jaką skalną półkę ukrytą przed wzrokiem inkwizytora Bulvara z Goztell i królewskich żołnierzy.

- Być może Durlib zwiódł inkwizytora, sprawiając, że ten uwierzył w jego śmierć - powiedział, chcąc samego siebie przekonać. Wiedział przecież, że Durlib miał ręce związane na plecach, co czyniło jego położenie niezwykle trudnym, jeśli nie beznadziejnym.

- Oby Bóg tak chciał, Grimpowie, i oby Durlib nie odniósł śmiertelnych ran podczas upadku. Jeśli ocalał życie, niebawem po ciebie wróci, a jeśli nie, zaczniemy go poszukiwać, gdy tylko rozpocznie się odwilż, aby zapewnić jego ciału chrześcijański pochówek na cmentarzu, gdzie chowamy sługów klasztoru. Teraz pozostaje nam jedynie czekać i mieć nadzieję, że Bulvar z Goztell jak najszybciej opuści mury tego świątobliwego domostwa, które, od kiedy on i królewskie zbiry tu przybyli, wydaje się przeżywać takie trzęsienie ziemi, jak gdyby zbliżał się koniec świata.

- A więc sądzicie, że prędko odjedzie?

- Nic o tym nie mówił opatowi podczas ich rozmowy w sali kapitulnej po powrocie z

gór, ale nie sądzę, żeby dalsza bytność tutaj mogła mu być na rękę, tym bardziej że przypuszczalnie nadal sądzi, że ścigany templariusz żyje i ucieka w stronę północnej granicy. Gdybym ja był na jego miejscu, myślałbym, że wygnaniec udaje się do zamków Kamiennego Kręgu, aby szukać schronienia u boku swych braci, zgromadzonych w twierdzy diuka Gulfa de Östemberg.

Ostatnia wypowiedź brata Rinalda pocieszyła Grimpowa, ponieważ dawała nadzieję, że Durlib żyje, i że dla niego samego wkrótce nadejdzie kres przymusowego uwięzienia.

- Widzę, że nie traciłeś czasu na uzalanie się nad sobą uwięziony w tych czterech ścianach - powiedział stary mnich, wskazując na manuskrypt o *lapis philosophorum*, leżący na stole. - Czy udało ci się czegoś dowiedzieć o tym, co cię zajmuje? - dodał.

- Niezupełnie, to bardzo trudny i zagmatwany tekst, ale przynajmniej nauczyłem się, jak można otrzymać kamień filozoficzny.

- Czy jesteś tego pewien? Alchemia jest nauką hermetyczną i nic w niej nie jest tym, czym się wydaje...

- Myślę, że zasłona tajemnicy, którą wielu alchemików okrywa swe poczynania, jest jedynie zasłoną dymną - powiedział śmiało Grimpow.

- To prawda, że fałszywych alchemików łatwo spotkać, a jeszcze więcej jest szarlatanów, oszustów, wydrwigroszy i jarmarcznych magików, którzy oferują cudowne receptury jak wytworzyć złoto. Wielu z nich kończy marnie, płacąc życiem za własną ignorancję i beczelność. Niezależnie od tego musi jednak być coś z prawdy w usiłowaniach wielu mędrców, którzy od wieków pragną poznać zasady rządzące światem. To oni są prawdziwymi alchemikami, ci, którzy w kamieniu filozoficznym poszukują ideału wszechwiedzy.

- Sądzicie, bracie Rinaldo, że kamień filozoficzny naprawdę istnieje? - spytał Grimpow.

- Wiele starych tekstów mówi o tak zwanym *lapis philosophorum* jako o tajemniczej sile, która przekształca pospolite metale w metal szlachetny, którym jest złoto, i to jest przyczyną, dla której wielu marzy o wytworzeniu go w swej pracowni poprzez odpowiedni proces alchemiczny. Ja jednak skłaniam się do myśli, że transmutacja jest jedynie alegorią, symbolem kryjącym prawdziwe znaczenie, którym jest poszukiwanie pełni wiedzy - prawdziwej i najważniejszej esencji istoty ludzkiej.

- A więc myślicie, że kamień filozoficzny nie jest kamieniem? - spytał Grimpow, pragnąc usłyszeć odpowiedź starego mnicha, gdyż jego wyjaśnienia dokładnie zbiegały się z tym, co on sam zaczął odczuwać od chwili, gdy w górach Durlib wręczył mu amulet

zmarłego rycerza.

- Któż to może wiedzieć? - odrzekł Rinaldo, wznosząc oczy ku górze, jakby chciał przewiercić wzrokiem drewniany sufit i znaleźć odpowiedź ponad dachami opactwa, myślami dążąc ku nieskończoności nocnego nieba. Następnie mówił dalej spokojnym głosem: - Jedno jest pewne, otóż żaden mędrzec ani alchemik nigdy nie opisał dokładnie jego natury, choć niektórzy znawcy sztuki transmutacji twierdzą, że kamień filozoficzny jest czerwony jak płomień ognia i świeci w ciemności jak gwiazda.

To właśnie potrafił kamień, jeśli nim był ten magiczny przedmiot, który spoczywał ukryty w zawieszonym na szyi Grimpowa lnianym woreczku.

- Czy wy sami próbowaliście kiedyś uzyskać kamień filozoficzny, posługując się metodami alchemicznymi opisanymi w tym manuskrypcie? - spytał, wskazując wzrokiem księgę.

- Nie miałbym wystarczającej cierpliwości, aby wystawiać się na tak długie i niepewne oczekiwanie, aczkolwiek pasjonuję się astronomią, a obserwacje również pochłaniają wiele mojego czasu - powiedział mnich. - Jednak mogę przysiąc, że brat Assben, zielarz, już od lat się tym zajmuje w swej niewielkiej pracowni przy klasztornej szpitaliku, stosując wszystkie formuły, recepty i sztuczki, które wyczytał w tych zakazanych księgach. Od kiedy go znam, a minęło już wiele lat, nie udało mu się uzyskać nic bardziej niezwykłego ponad pewne tynktury, których już przed wiekami używali kapłani starożytnego Egiptu, aby balsamować swych zmarłych. No i od czasu do czasu wytwarza jakiś wyśmienity likier ziołowy, który brat Brasgdo uznaje z miejsca za prawdziwy eliksir życia - zakończył, śmiejąc się.

- Czy będę mógł porozmawiać z bratem Assbenem po wyjściu stąd?

- Jestem przekonany, że będzie zachwycony rozmową z młodym pasjonatem nauk i chętnie podzieli się wiedzą zdobytą podczas prowadzonych doświadczeń w pracowni.

Mówiąc to, stary mnich włączył ukryty mechanizm otwierający obrotowy regał i wyszedł z sekretnej pokoju, podobny do niewidzialnego i niesłyszalnego ducha przenikającego przez ściany.

Krzyk w ciemności

Krzyk, który z oddali dobiegł do jego uszu, przypominał ohydne wycie jakiegoś zwierzęcia. Grimpow nie wiedział, co o tym myśleć i dopiero rano z ust brata Rinalda usłyszał relację o wydarzeniach w opactwie.

Gdy oddzwoniono na komplety, mnisi zebrali się na chórze kościoła i przysypiając z lekka, oczekiwali na pojawienie się opata, aby rozpocząć śpiewanie psalmów. Ponieważ nie przychodził, nowicjusze zaczęli wymieniać między sobą zdziwione i zaniepokojone spojrzenia, które nie uszły uwadze starszych wiekiem mnichów, pogrążonych w modlitwie lub też jeszcze nie całkiem otrzeźwiających ze snu, z którego dopiero co zostali wyrwani. Brat Rinaldo powstał z miejsca, aby uciszyć coraz głośniejsze szepty gestem ręki, gdy nagle potworny wrzask sługi Kensego roztrzaskał na tysiąc kawałków ciszę panującą w opactwie.

Podniosła się wrzawa zmieszanych i podnieconych głosów, mnisi zerwali się z ław na chórze i pobiegli w kierunku klauzury. Przed wejściem do komnaty opata natknęli się na Kensego. Leżał na ziemi, targany gwałtownymi konwulsjami, z oczyma wybałuszonymi z przerażenia. Brat Rinaldo potrząsnął nim i próbował pytać, co się wydarzyło, ale Kense wyglądał na bliskiego śmierci i zdołał wydobyć z siebie jedynie niezrozumiały bełkot, mieszający się ze śliną płynącą z jego bezzębnych ust. Jeden z młodych mnichów wszedł do celi opata i natychmiast wypadł z niej z powrotem, z twarzą zniekształconą przez strach.

- Opat nie żyje! Ktoś poderżnął mu gardło! - krzyknął, żegnając się gorączkowo, jakby zobaczył diabła we własnej osobie.

Brat Assben natychmiast wszedł do celi, a za nim brat Brasgdo i inni starsi mnisi, podczas gdy reszta zgromadziła się w drzwiach, szepcząc do siebie z przerażeniem i wyciągając szyje, aby jak najlepiej widzieć miejsce zbrodni. Opat siedział na fotelu przy pulpicie z głową groteskowo przekrzywioną na prawe ramię i grymasem grozy na twarzy, a jego niewidzące oczy wywrócone białkami do góry wpatrywały się w nicość. Gardło miał przepołowione jednym cięciem; z ohydnej, otwartej rany ciągle jeszcze wydobywała się krew, ściekając na habit i tworząc ciemną kałużę na podłodze.

Brat Rinaldo pozostał na zewnątrz, ratując biednego Kensego, którym ciągle jeszcze wstrząsały kolejne ataki drgawek. Mnich swymi długimi palcami zręcznie przytrzymał język

epileptyka, aby ten się nim nie zadławił, a potem kazał paru sługom klasztorным odnieść chorego do szpitalika. Następnie przecisnął się między mnichami stłoczonymi w drzwiach do komnaty opata i wszedł tam w chwili, gdy brat Assben zamykał oczy nieboszczyka i kreślił kciukiem krzyżyki na jego powiekach. Stary bibliotekarz pomyślał, że ohydna zbrodnia miała na celu zamknięcie opatowi ust na zawsze i że jest to coś, z czego tylko on zdaje sobie sprawę. Od przybycia legata papieskiego i zbirów króla Francji do opactwa, brat Rinaldo podsłuchiwał wszystkie rozmowy, które opat prowadził na osobności, albowiem podejrzewał, że wizyta inkwizytora z Lyonu nie jest przypadkowa. Początkowo obawiał się nawet, że to jego poszukuje niegodziwy dominikanin, choć nie za przeszłość spędzoną w zakonie templariuszy, lecz za opowiedzenie się po stronie zbuntowanych braci z zakonów żebraczych, czemu dał wyraz w wielu rozprawach pisanych już w okresie pobytu w opactwie. Teraz nie miał najmniejszych wątpliwości, kto stał za śmiercią opata i jaki był motyw zbrodni. Poderżnięto mu bez litości gardło, aby nie mógł nikomu wyjawić, że papież i król Francji chcą zawładnąć sekretem templariuszy.

Wkrótce przy wejściu do celi opata pojawił się ojciec Bulvar z Goztell w towarzystwie królewskich żołnierzy. Mnisi rozstąpili się, słysząc metaliczny łoskot kroków odbijający się od łukowego sklepienia galerii klauzury i niepewnie, cichymi głosami zaintonowali pieśń żałobną za duszę zmarłego brata.

- Ktokolwiek to uczynił, umie się zręcznie posługiwać arabskim kindżalem - powiedział inkwizytor, patrząc zimno i obojętnie na ciało opata. Potem rozejrzał się wkoło, jakby spodziewając się wypatrzeć mordercę w gronie obecnych.

- Jak możecie być całkiem pewni, że ta rana została zadana arabskim kindżalem, a nie chrześcijańskim sztyletem - spytał brat Rinaldo z Metzu.

- Gdybyście kiedykolwiek walczyli w Ziemi Świętej, wiedzielibyście tak dobrze jak i ja, w jaki sposób niewierni podrzynają gardła chrześcijanom.

Stary mnich aż za dobrze wiedział, z jakim okrucieństwem chrześcijanie i muzułmanie potrafią wyrzynać się nawzajem w imię Boga, ale nie wspomniał ani słowem o swych doświadczeniach z wypraw krzyżowych.

- Staracie się zasugerować, że opata zabił jeden z mnichów z tego opactwa, posługując się bronią niewiernych? - spytał.

- Wielu krzyżowców, między nimi bracia Zakonu Świątyni Salomona nauczyli się zabijać swych nieprzyjaciół poprzez poderżnięcie gardła, jak to czynią groźni muzułmańscy wojownicy z sekty Assasynów, którzy jednym cięciem swych ostrych kindżałów są w stanie oddzielić rycerzowi głowę od tułowia.

Brat Rinaldo nie przestraszył się aroganckiej przemowy Bulvara z Goztell.

- A więc nie szukajcie zabójcy wśród nas, tylko między zbrojnymi - odburknął. - Jaki powód moglibyśmy mieć, aby zabić naszego brata - dorzucił w tonie wyzwania.

- Ten sam, jaki miał Kain zabijając Abła - odpowiedział zimno dominikanin, powściągając gniew. - Ale nie bójcie się, opat uprzedził mnie, że widział kręcącego się wokół opactwa tego samego zbiegłego templariusza, którego ścigamy od Lyonu. Jego podejrzewam o tę zbrodnię, a to czyste cięcie na szyi opata - dodał, wskazując na okropną ranę - nie pozostawia najmniejszej wątpliwości.

- Do opactwa nie wszedł nikt, odkąd o zmroku przybyliście tu wy i wasi żołnierze - stwierdził stary mnich.

- Sądzę, że jesteście świadomi tego, że templariusze zostali uznani za heretyków i ekskomunikowani przez samego papieża Klemensa, albowiem ich wszeteczny pakt ze Złym pozwala im posługiwać się czarną magią, aby pojawiać się i znikać według własnej woli, przenikać przez mury i ściany, odbierać głos ludziom i sprawiać, aby przemówiły zwierzęta, zamieniać młodzika w starca i mężczyznę w kobietę, rozmawiać z diabłem oraz wchodzić do piekła i wychodzić z niego, jak gdyby to była jedna z ich komandorii.

- Jak więc chcecie pojmać tego zbiegłego templariusza, jeśli według waszych słów jest to prawdziwe wcielenie Szatana?

- Moc tego niegodziwego czarownika może, na jego nieszczęście, ulotnić się tak szybko, jak szybko gasną gwiazdy na firmamencie, nie będzie więc mógł bez końca uciekać i chować się. Zapewniam, że schwytam tego zbrodniarza, choćbym miał w tym celu poruszyć niebo i ziemię. A teraz, jako najstarszy z mnichów tego opactwa powinniście się zająć przeniesieniem trupa opata do kościoła. Należy też zarządzić, aby mnisi przez całą noc modlili się za zbawienie jego duszy, rano zaś zapewnili mu chrześcijański pochówek. Ja sam natomiast jeszcze przed świtem wyruszę w ślad za banitą i nie dam odpocząć swemu koniowi, dopóki go nie doścignę - przemówił rozjuszonym tonem.

Przerażeni mnisi powrócili na kościelny chór z opuszczonymi głowami i półgłosem rozpoczęli psalmy za duszę zmarłego, podczas gdy brat Brasgdo i brat Assben z pomocą dwóch służących zajęli się transportem do szpitalika zwłok opata, gdzie zostały umyte i owinięte w całun.

Słońce już weszło, gdy brat Rinaldo odwiedził Grimpowa w sekretnej sali bibliotecznej i opowiedział mu, co wydarzyło się w nocy w opactwie. Po chwili wyraz jego oczu złagodniał i mnich dodał, że teraz chłopiec może już bez lęku wyjść ze swej kryjówki.

- Czyżby inkwizytor Bulvar z Gozell i królewscy żołnierze naprawdę odjechali? - wypytywał Grimpow, który nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał od starego bibliotekarza.

- Już przed świtem szykowali konie do drogi i wyruszyli do Ullpens, gdy zaczęło dzień. Ojciec dominikanin nie zechciał nawet zaczekać do pogrzebu opata, którego pochowamy wkrótce po tercji.

Choć przygnębiony niepewnym losem Durliba i straszną śmiercią opata, Grimpow odzyskał radość i chęć do życia, gdy tylko poczuł na twarzy mroźny powiew powietrza z doliny dochodzący przez okna biblioteki. Cieszył się, że już niedługo będzie mógł wykorzystać swą świeżo odzyskaną wolność, aby zrobić coś, o czym myślał od chwili, gdy brat Rinaldo powiedział mu, że Durlib rzucił się w przepaść i zginął podczas desperackiej próby ucieczki. Wiedział, że jeśli Durlibowi jednak udało się ująć z życiem, niewątpliwie wrócił pod krzyż wskazujący drogę do opactwa, pod którym zagrzebali sakwę zmarłego rycerza. Postanowił wymknąć się z opactwa przy najbliższej okazji, aby sprawdzić, czy Durlib zabrał sakwę zawierającą kosztowności, zapieczętowaną wiadomość i złotą pieczęć.

Przemierzyli kilka sal bibliotecznych zapchanych książkami i wyszli na szeroką, jasną galerię, gdzie przez wielkie łukowe okna wychodzące na klasztorny dziedziniec widać było szare i zachmurzone niebo. Choć nie padał śnieg, było tak zimno, że Grimpow odniósł wrażenie, że zanurzył twarz w lodowatej wodzie. Zeszli na dziedziniec i skierowali się do kościoła tą samą drogą, którą w noc przybycia do opactwa Grimpow i Durlib przemierzyli w drugą stronę, idąc w ślad za opatem do jego komnat. Grimpow przez chwilę wyobrażał sobie plamy krwi opata na ścianach i podłodze celi i poczuł, jak przeszywa go dreszcz grozy. Pomyślał, że magiczny kamień zmarłego rycerza chyba nie jest tym *lapis philosophorum*, o którym traktuje manuskrypt z sekretnej biblioteki. Być może Durlib miał rację uznając go za diabelski wynalazek, bo niewykluczone, że doprowadził już swymi czarami do śmierci dwojga niewinnych osób. Jednak już wkrótce Grimpow miał się przekonać, że i w tym się mylił.

W kościele wszystko było już przygotowane do pogrzebu zamordowanego. Psalmy mnichów rozlegały się w nawie kościoła jak melancholijny śpiew anielskiego chóru, a przez kolorowe witraże przenikało łagodne światło, rzucając wielobarwne cętki na trupio bladą twarz zmarłego. Opat leżał na drewnianym katafalku przed ołtarzem, ubrany w brunatny habit przepasany białym sznurem. Dłonie miał złożone jak do modlitwy, a oczy zamknięte. Jednak mimo wysiłków czynionych przez brata Assbena, aby zamaskować wyraz przerażenia widniejący na twarzy opata, jego gładka, biała skóra była naciągnięta, a usta skrzywione w dziwnym grymasie, nie wiadomo - szyderym, tragicznym czy też żalonym. Cztery

wielkie gromnice paliły się w wysokich kandelabrach z brązu, umieszczonych na czterech rogach katafalku, a dym i silny zapach kadzidła unosił się aż pod sklepienie kościoła.

Grimpow usiadł obok klasztornych sługów i z prawdziwym nabożeństwem wysłuchał mszy żałobnej za duszę zamordowanego. W głębi duszy odmawiał modlitwy za swego przyjaciela Durliba, na wypadek gdyby ten istotnie zginął na skalnym urwisku, jak zapewniał ojciec dominikanin. Pomyślał, że jeśli Durlib jednak żyje, wzniosłe i słodkie pieśni mnichów w żadnym wypadku nie mogą mu zaszkodzić.

- *Requiem aeternam dona ei, Domine...* - wyrzekł uroczyście brat Rinaldo z Metzu na zakończenie.

Wtedy czterech silnych służących wzięło mary na ramiona i ruszyło w kierunku przyklasztornego cmentarza. Za nimi ciągnął podwójny szereg zakapturzonych mnichów trzymających w dłoniach zapalone gromnice. Przy akompaniamencie śpiewów i modłów orszak pogrzebowy wyszedł z kościoła na dziedziniec, a stamtąd przez długi i wąski, sklepiony korytarz wiodący do klauzury, dotarł do sali kapitulnej, gdzie jeden z mnichów, o podkrążonych oczach i wydatnym nosie, ponownie pokropił ciało opata wodą święconą, odmówiwszy krótką, wzruszającą modlitwę. Stamtąd w zupełnej ciszy przemierzyli inną galerię klasztoru, skręcili w przejście, którego Grimpow nie znał, i po pokonaniu paru ponurych, oświetlonych pochodniami pomieszczeń dotarli do sporego ogrodu znajdującego się za apsydą kościoła, gdzie widać było krzyże i groby. Dwóch służących z łopatami czekało przy dole wykopanym w ziemi. Mnisi zatrzymali się, tworząc luźny krąg, podczas gdy służący postawili mary na ziemi. Następnie ciało opata zostało złożone do grobu, a na wierzchu służy usypali mały kopczyk ziemi i zatknęli weń żelazny krzyż. Niebo nagle spochmurniało i zaczęły prosić pojedyncze płatki śniegu, zapowiadając nawałnicę, która nadciągała od strony gór.

Podczas gdy mnisi w milczeniu powrócili do swych zwykłych zajęć, brat Rinaldo wraz z bratem Assbenem, zielarzem, pozostali na cmentarzu i przechadzali się wśród grobów i rosnących przy nich wysokich cisów. Grimpow pozostał w pobliżu, pilnie zważając na to, co mówili.

- Nie wiedziałem nic o tym, że jakiś rycerz z wyklętego zakonu templariuszy jechał przez dolinę drogą w góry - powiedział zielarz, niski i chudziutki mnich o bladej cerze, któremu wygolona, błyszcząca tonsura i czerwony, szpiczasty nos nadawały wygląd pocziwego błazna.

- Żaden z mnichów o tym nie wiedział. Co więcej, jestem przekonany, że nawet opat

nie miał o tym pojęcia.

- Ale Bulvar z Goztell twierdził wczoraj, że opat widział tego zbiegłego templariusza krążącego wokół opactwa.

- Naprawdę uwierzyłeś w banialuki, które opowiadał inkwizytor z Lyonu? - spytał brat Rinaldo, podczas gdy obydwaj powoli przechadzali się po cmentarzu, pokrytym teraz cienką warstwą śniegu.

- No to kto, według ciebie, poderznął opatowi gardło? - brat Assben odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Spytaj lepiej, o czym mógł wiedzieć opat, aby trzeba go było zabić.

- Nie rozumiem - zielarz zatrzymał się gwałtownie.

- Bulvar z Goztell, który teraz jest dominikaninem i inkwizytorem z Lyonu, a którego ty sam poznałeś przed laty w Vienne jako nowicjusza, mówił na osobności z opatem w noc swego przybycia do klasztoru. Wyjawiał mu poważne powody, dla których bez chwili spoczynku ściga zbiegłego templariusza.

- Jakież powody mógłby mieć, różne od tych, które w ostatnich latach zaprowadziły do więzień, na tortury i na stos tysiące rycerzy Zakonu Świątyni Salomona? - spytał zielarz.

- Zawładnąć ich sekretem i skarbami - wyszeptał stary mnich, rozglądając się wokół dyskretnie, czy nikt ich nie słyszy.

- Król Francji już dawno przywłaszczył sobie skrzynie wypełnione srebrem i złotem, które templariusze przechowywali w komandorii Temple w Paryżu. To pierwsza rzecz, jaką uczynił po wydaniu rozkazu uwięzienia wszystkich członków zakonu. To prawda, niektórzy twierdzą, że na parę dni przed swym zatrzymaniem wielki mistrz Jakub de Molay nakazał najwierniejszym z braci, aby wywieźli coś na wozach, które opuściły twierdzę o świcie, ale są to jedynie gawędy i plotki, roznoszone przez żebraków i włóczęgów.

- Miałem na myśli tajemnicę z legendy - wyjaśnił starzec.

- Sekret, który dziewięciu rycerzy odkryło w Świątyni Króla Salomona w Jerozolimie przed dwustu laty? - spytał brat zielarz, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

- Tak właśnie. Inkwizytor Bulvar z Goztell powiedział opatowi, że wielki mistrz Jakub de Molay wyznał na torturach, że ten sekret jest wiadomy jedynie kilku mędrcom, których on sam nawet nie zna.

- A więc legenda okazała się prawdą! - wykrzyknął brat Assben, strząsając z nosa płatki śniegu, który znowu zaczął padać i przypominał roje delikatnych, białych motyli.

- Jest na tyle prawdziwa, że sam inkwizytor z Lyonu zabrał się do ścigania po tych zapadłych okolicach zbiegłego rycerza - dobitnie stwierdził starzec.

- Myślą, że to właśnie on posiada klucz do sekretu?

- Z tego co wiem, miał ze sobą zaszyfrowaną wiadomość.

Grimpow pomyślał, że brat Rinaldo opowie bratu Assbenowi to wszystko, co on sam mu wyjawiał, że powie o niespodziewanym pojawieniu się ciała rycerza w górach, o jego niewyjaśnionym zniknięciu, o monetach, sztyletach, kosztownościach, zapieczętowanym pergaminie i złotej pieczęci znajdujących się w sakwie. Jednak mnich bibliotekarz nawet o tym nie wspominał.

- Dziwi mnie, że jeszcze żyjesz, skoro wiesz o tej sprawie tyle samo, co wiedział opat - powiedział brat zielarz głęboko wzdychając. - Byłeś obecny przy jego rozmowie z Bulvarem z Goztell? - dodał.

- Nie, ale nie pytaj lepiej, jak się o wszystkim dowiedziałem.

Mnisi zamilkli na dłuższą chwilę i pogrążeni w rozmyśleniach kontynuowali przechadzkę, jakby zastanawiając się nad tym, o czym była mowa, lub też szykując się do zabrania głosu. Na koniec brat Assben powiedział z namysłem:

- Jest jednak coś, czego nie rozumiem... - zawiesił głos, po czym ciągnął dalej. - Jeśli to dominikanin poderznął opatowi szyję, jak to się stało, że przyszedł do klasztornej galerii później od nas?

- Być może zamordował go i szybko wrócił do pomieszczeń przeznaczonych dla szlachetnych gości opactwa - zastanawiał się na głos stary mnich.

- Z szyi opata jeszcze ciekła krew, gdy wszedłem do jego celi. Bulvar z Goztell nie miał tyle czasu, aby popełnić zbrodnię, wrócić do swej kwatery i ponownie pojawić się w klauzurze, jakby nigdy nic.

Brat Rinaldo wzdrygnął się, bo dotarło do niego, że jego teoria obwiniająca inkwizytora z Lyonu o zabójstwo opata, okazała się niesłuszna. Rozumowanie niewielkiego mnicha było równie proste, jak sensowne i trudno byłoby znaleźć w nim słabe punkty. Z wyrazu twarzy starca Grimpow odczytał, że bibliotekarz rozważa, czy istnieje możliwość, że to Durlib zamordował opata. Jeśli udałoby mu się ująć z życiem po skoku w przepaść, mógłby powrócić w nocy do opactwa, przeskoczyć przez mur do ogrodu, dotrzeć do celi opata i poderznąć mu gardło sztyletem zmarłego rycerza, z zemsty za wydanie go ojcu dominikaninowi. Jednak widać było, że ten pomysł wydał się bratu Rinaldo całkowicie nedorzeczny, bo sformułował nowe przypuszczenie:

- Masz całkowitą rację. Sądzę jednak, że Bulvar z Goztell nie zabił opata własnoręcznie, lecz nakazał jednemu ze swych zbirów, aby to zrobił, a potem ukrył się w jakimś miejscu w pobliżu komnat opata, przypuszczalnie w sali kapitulnej, aż wszystko się

uspokoi. Nikt nie zwrócił uwagi, ilu żołnierzy towarzyszyło ojcu dominikaninowi, gdy wkrótce po nas pojawił się w klauzurze, bo Kense wciąż jeszcze tarzał się po ziemi, jak opętany.

- To prawda - potwierdził brat zielarz - zgroza i zamieszanie wywołane przez tę potworną zbrodnię były tak wielkie, że z pewnością żaden z mnichów nie liczył, ilu zbirów towarzyszy inkwizytorowi. Ponadto Bulvar z Goztell nie przypadkiem obwiniał o popełnienie tej zbrodni kogoś, czyja stopa nigdy nie postąpiła w opactwie.

- To dlatego opowiadał te bzdurne historyjki o diabelskich umiejętnościach templariuszy.

- Wiem, że niektórzy z mnichów mu uwierzyli i teraz boją się, aby rycerz nie powrócił i także im nie popodcinał gardeł. Ponadto słyszałem, jak niektórzy z nowicjuszy plotkowali, że to Kense zamordował opata w napadzie szału.

- Nigdy nie widzieli, aby ktoś zwijał się w takich konwulsjach i krzyczał tak przeraźliwie, więc to zrozumiałe, że w swojej ignorancji żywią podejrzenia - z wyrozumiałością stwierdził bibliotekarz.

- No tak. Biedak Kense jest nieszczęśnikiem, którego Bóg pozbawił rozumu w tym celu, aby nigdy nie pojął, jak żalosne jest ludzkie życie. Jego poczucie rzeczywistości jest tak ograniczone, że nie jest w stanie ani nikogo nienawidzić, ani nikogo zabić - powiedział brat Assben.

- Nie miał też ze sobą żadnego sztyletu, gdy go znaleźliśmy. Powiedział mi dzisiaj rano przed primą, że stracił przytomność widząc, co się stało z opatem i nie pamięta nic z tego, co działo się potem - zakończył rozmowę brat Rinaldo i skierował kroki w kierunku kościoła w tej samej chwili, gdy lodowaty wiatr uderzył w mury opactwa, gnąc cmentarne cisy z taką łatwością, z jaką Grimpow naciągał swój ulubiony łuk.

Brat Brasgdo krzątał się po kuchni, wydając rozkazy służącym, nakrywającym do stołu w refektarzu. Była pora obiadu. Gigantyczny kocioł stał na trójnogu pośrodku paleniska, buchając kłębamii pary i wydzielając zapach wędzonego boczku. Sama myśl o tym, że wkrótce będzie mógł skosztować tak przepysznej potrawy sprawiała, że Grimpow przełykał ślinę.

- Głód jest najlepszą przynętą! - wykrzyknął kucharz, uśmiechając się do Grimpowa wchodzącego do kuchni. Jego pełne policzki, rozpalone od żaru paleniska, były koloru płatków maku.

Wskazał mu gestem miejsce przy stole, a gdy słudzy zaczęli podawać jedzenie

mnichom siedzącym w refektarzu, napełnił glinianą miskę parującą potrawą i postawił ją przed chłopcem, dodając pajdę jeszcze ciepłego chleba i dzbanek wody.

- Przykro mi z powodu Durliba - powiedział, przysiadając się - żołnierze powiedzieli mi, że spadł w przepaść w górach.

- Tak, to samo powiedział mi brat Rinaldo - potwierdził Grimpow z żalem.

Brat Brasgdo przysunął się jeszcze bliżej do Grimpowa i, aby nikt nie podsłuchał, wyszeptał mu prosto do ucha:

- To oczywiście, że duch rycerza już zaczął swoje sztuczki. Fatalny wypadek i potworna zbrodnia, czy to mało?

- A więc myślicie, że obydwaj nieszczęścia są dziełem tajemniczego widma? - podchwycił Grimpow, aby podtrzymać lęk kucharza.

- Jestem tego tak samo pewien, jak własnej śmierci - wyszeptał mnich, całując krucyfiks zwisający mu na szyi. - Od razu czułem, że pojawienie się widma ściągnie nieszczęście na opactwo, chociaż żywiłem trochę nadziei, iż tak się nie stanie. Niektórzy bracia twierdzą, że dziś w nocy słyszeli dziwne jęki i skargi, jakieś stłumione szepty, a inni mówią, że widzieli ponure cienie błędzące po dachach opactwa. Łańcuch nieszczęść dopiero się zaczął - mówił dalej cichym głosem - podobnie, jak przed rokiem tysięcznym, gdy ludzie obawiali się końca świata. Nie wiedzieli, gdzie się mają schronić przed nadejściem Szatana, zapowiadanego przez proroków, a morowe powietrze, głód i wojny zabijały ich, jak muchy.

Brat Brasgdo popatrzył na Grimpowa z wyrazem lęku na twarzy, a nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął dalej:

- Inkwizytor Bulvar z Goztell powiedział wczoraj, że opata, niech mu ziemia lekka będzie - przerwał, aby się ponownie przeżegnać - zabił templariusz krążący wokół opactwa. Ale myli się, jeśli uważa, że ten rycerz jest istotą z krwi i kości, jak my. To dusza pokutująca. Jak dobrze wiesz, parę dni temu widziałem go, gdy odjeżdżał w góry. Niewątpliwie nie zakończył jeszcze swych rozrachunków na tym świecie i nie opuści tej doliny, dopóki nie dopnie swego celu. Oby Bóg bronił nas przed jego morderczym sztyletem, zanim będzie za późno! - wykrzyknął.

Mówiąc to wyciągnął z kieszeni fartucha króliczą łapkę i główkę czosnku i ścisnął je w dłoni, jakby od tego zależało jego zbawienie. Grimpow starał się nie roześmiać, bo kolejny raz miał okazję się przekonać, jak tchórzliwy i przesądny jest kucharz. Nie mógł się jednak powstrzymać i zapytał:

- Czy jesteście pewni, że królicza łapka i czosnek ochronią was przed ostrzem sztyletu upióra?

- Nie znam lepszego środka przeciwko złym duchom, ale nie mówcie o tym bratu Rinaldo, bo nałoży mi pokutę za grzechy i będę musiał spędzić rok w milczeniu, albo i ponad rok, włączywszy w to godziny snu - powiedział brat Brasgdo szczerze jak na spowiedzi.

- Nie bójcie się, będę milczał jak biedny Kense. Nie wiecie, czy już mu lepiej? - spytał Grimpow.

- Przed porą obiadu zaniósłem mu coś do zjedzenia do szpitalika i widziałem, że śpi jak zabity na swojej pryczy. Myślę, że brat Assben dał mu wczoraj do wypicia napar z lipowego kwiecia wymieszany z jakimś remedium ze swojej apteki - parsknął kucharz. - Ale nie bój się o niego, Kense jest równie nieśmiertelny, jak starożytni bogowie i ma praktykę w próbowaniu wszystkich nalewek i wywarów, które sporządza mnich zielarz, poszukując eliksiru wiecznego życia. Nie zdziwiłbym się, gdyby przeżył nas wszystkich i osiągnął wiek Matuzalema, który, jak mówi Biblia, żył dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć lat i nawet po śmierci nie wyglądał na starca.

- Czy to prawda, że niektórzy mnisi posądzają Kensego, że poderznął gardło opatowi w ataku szału? - spytał Grimpow, aby wysondować, jakie plotki krążą po opactwie. Jeśli był ktoś, kto znał je wszystkie, był to z pewnością brat Brasgdo.

- Podobne oszczerstwo mogło wyjść jedynie z ust kogoś o języku zmił. Tacy ludzie, a nie brak ich w tym opactwie, zasłużyli sobie na najgorszą karę - powiedział brat Brasgdo, podnosząc do ust jedno z jabłek, które podał Grimpowowi na deser. Wgryzł się w nie swymi poźółkłymi zębami i ciągnął dalej: - Kense przybył do tego opactwa niemal jako dziecko. Nie znał swoich rodziców. Przypuszczalnie jego matką była jakaś ladaczniczka, która zostawiła go wkrótce po urodzeniu w jaskini starej czarownicy, koło wsi Corbei. Starucha zlitowała się i wykarmiła go, jak mogła, mlekiem kozy, równie wynędzniałej, jak ona sama. Potem, kiedy Kense podrósł, obydwójce włączyli się po okolicy, zebrząc pod kościołem w dni targowe i święta. Ludzie zamiast się litować, czuli lęk przed jego potworną twarzą i bezzębnymi ustami. Kiedy tu trafił, prawie nie umiał mówić, powtarzał tylko, bełkocząc: „Uciekaj, kryj się przed ludźmi. Ludzie są źli!”.

- Dlaczego tak mówił? - chciał się dowiedzieć Grimpow, zaciekawiony opowieścią mnicha.

- Powiedział nam, że ciągle to słyszał od starej. Kiedy umarła, Kense został sam w jaskini i to cud, że nie zginął z głodu i zimna. Tak bardzo bał się ludzi, że schował się w lesie i sąsiedzi przestali go widywać. Któregoś dnia w jednej z wsi w pobliżu lasu Altforf znaleziono zamordowaną kobietę i szukano go, aby go powiesić.

- Uznali, że to on ją zabił?

- Najłatwiej jest obwinić o zbrodnię *horribilis* tego, kto nie może bronić się przed oskarżeniem.

Grimpow pomyślał, że tę właśnie strategię inkwizytor Bulvar z Goztell zastosował, aby oskarżyć rycerza templariusza o podejrzenie gardła opatowi z Brinkdum, ale nie zwierzył się ze swych myśli bratu Brasgdo, który zachwycony własnym darem wymowy, opowiadał dalej:

- Kense uciekł z lasu na stary, opuszczony cmentarz i zamieszkał w grobowcu jakiejś moźnej rodziny. Siedział tam jak sowa przez kilka dni, aż głód zmusił go do opuszczenia schronienia. Wychodził jedynie nocą i szukał jedzenia. Kiedy znalazł cokolwiek, jakieś ślimaki, dżdżownice, żaby, szczury, albo udało mu się złapać kota czy psa, wracał na cmentarz i tam je pożerał.

Grimpow poczuł, że robi mu się niedobrze. Pyszne potrawy, którymi napelnił żołądek podeszły mu do gardła. Nie był jednak zaskoczony opowieścią kucharza, bo niejednokrotnie on i Durlib, gdy jeszcze mieszkali w chacie, musieli zapomnieć o skrupułach i zjeść jakieś odrażające stworzenie, aby zaspokoić głód, który rozrywał im wnętrzności.

- Nadal jada te świństwa? - spytał z odrazą.

- Niekiedy zdarza mi się go przyłapać, jak poluje na szczury w wychodku, ale przysięgał, że robi to jedynie na zlecenie brata Assbena, który potrzebuje ich do wyrabiania Bóg wie jakich mikstur i trucizn.

- A więc nie wierzycie, aby to Kense zabił opata? - Grimpow chciał, aby brat Brasgdo przestał krążyć dookoła tematu i odpowiedział bezpośrednio na pytanie, które go najbardziej zajmowało.

- Opat znalazł go któregoś dnia leżącego na drodze w pobliżu cmentarza, na którym się ukrywał. Miał atak choroby św. Wita, podobnie jak wczoraj. Opat zabrał go ze sobą i przywiózł do opactwa, aby żył tutaj jako sługa. Myślisz, że Kense mógłby zamordować świętego człowieka, który zmiłował się nad nim i uratował mu życie? Ten biedak, słaby na umyśle i podobny do niewinnego dziecka, nie mógłby nawet muchy zabić, no, chyba że chciałby ją zjeść - powiedział kucharz i zaśmiał się hałaśliwie.

Już wkrótce Grimpow miał się przekonać, że Kense, olbrzymi, ociężały sługa opactwa, istotnie posiadał duszę niewinnego dziecka ukrytą w ciele potwora.

Zobaczył go jeszcze tego samego dnia w szpitaliku. Tumany śniegu wzbijane silnym wiatrem uderzały o dachy i grube mury opactwa z apokaliptycznym rumorem. Brat Rinaldo powiadomił Grimpową, że powinien pozostać z nimi do powrotu Durliba, lub do czasu, aż

mnisi zdecydują o jego przyszłości. Zalecił mu popołudniami pomagać bratu Assbenowi w lazarecie, a ranki poświęcić na studiowanie *trivium* i *quadrivium* w bibliotece. Stary mnich dodał, że on sam będzie go uczył, co Grimpowa bardzo ucieszyło. Następnego dnia Grimpow dowiedział się od brata Rinalda, że *trivium* jest nazwą nadaną przez erudyty trzem sztukom elokwencji: gramatyce, retoryce i dialektyce, a *quadrivium* poświęcone jest czterem naukom matematycznym: arytmetyce, harmonii, geometrii i astronomii. I chociaż wkrótce zajął się zgłębianiem w towarzystwie brata Rinalda sekretów łaciny i różnych nauk, nic go nie zafascynowało tak, jak alchemia, którą odkrywał w pracowni mnicha zielarza.

Szpitalik był usytuowany w południowo-zachodnim skrzydle opactwa. Przez okna wychodzące na południe w jasne dni zimowe do sali docierały ciepłe promienie słońca. Brat Assben zwykł mawiać, że nie ma lepszego lekarstwa od światła i ciepła słońca - króla dnia. Obok szpitalika położona była sala nowicjuszy, którzy część popołudnia spędzali na modłach w małej kaplicy. Kiedy Grimpow przechodził obok, niektórzy z młodszych mnichów wpatrywali się w niego ciekawie i widać było w ich oczach błysk zawiści. Zazdrościli mu wolności, bo wiedzieli, że Grimpow nie ma obowiązku odmawiania brewiarza, nie podlega ślubom milczenia, nie musi zajmować się różnymi ciężkimi pracami od pierwszej godziny liturgicznej do wieczora, jak oni sami. Nic więc dziwnego, że zadawali sobie pytanie, co taki młodzieniec jak Grimpow robi w opactwie i pragnęli cieszyć się życiem i wolnością podobnie, jak on. Wielu z nich wdziało habity raczej z nakazu rodziców, niż z potrzeby duszy lub prawdziwego powołania. Cierpieli zwłaszcza ci młodzi panicze, urodzeni w zamkach okręgu Ullpens, którzy uprzednio zdołali zakosztować rozkoszy miłości i rycerskich poczynań.

Kense leżał na pryczy w przedsionku szpitalika, pod dużym oknem zamkniętym drewnianymi okiennicami, w które porywy wiatru uderzały z odgłosem podobnym do wycia gromady upiorów. Sługa wyglądał, jakby spał, ale słysząc kroki Grimpowa poderwał się i popatrzył na niego z lękiem. Grimpow uśmiechnął się do biedaka, którego dramatyczną historię opowiedział mu w kuchni brat Brasgdo i ku swemu zdziwieniu zobaczył, że twarz Kensego rozjaśnia dziwny grymas, który w założeniu niewątpliwie miał być uśmiechem.

Po chwili brat Assben wyszedł z sali położonej po prawej stronie od wejścia, w której leżeli mnisi. Pod trzema oknami pomieszczenia stało kilka łóżek, ale jedynie dwa z nich były zajęte przez chorych. W jednym drzemał młody mnich z nogą w łubkach, który, jak Grimpow dowiedział się później, złamał nogę w kostce spadając z dachu kościoła, gdzie wszedł, aby naprawić rynnę. Na drugim pościeli Grimpow ujrzał leżącego bez ruchu, stuletniego,

brodatego mnicha, opatulonego szczelnie derkami. Ze sposobu, w jaki starzec wbijał niewidzący wzrok w jeden punkt na kolebkowym sklepieniu, Grimpow wywnioskował, że mnich jest ślepy. Był to najstarszy mieszkaniec opactwa, brat Uberto z Alessandrii, który od dwudziestu lat nie wstawał z łóżka i nie widział nic, oprócz swych własnych myśli.

Ponad gwiazdami

Silny, przenikliwy zapach roztopionej cyny i oparów palonej siarki przenikał pracownię alchemiczną brata Assbena, dokąd wchodziło się z małego podwórka przylegającego do szpitalika. Było to długie i wąskie pomieszczenie, oświetlone światłem dnia docierającym przez dwa okrągłe okienka. Do środka prowadziły drewniane, masywne drzwi nabijane metalowymi ćwiekami, osadzone w kamiennym, półkoliście sklepionym portalu. Dwie grube kolumny podtrzymywały niskie, pocerniałe od dymu sklepienie. Półki wypełnione były szklanymi słojami zawierającymi płyny we wszystkich kolorach tęczy; wszędzie pełno było butli, alembików, probówek, tygli, retort, moździerzy, mis, glinianych garnków i miedzianych kociołków. Na poplamionym stole, obok wielkiego, pięcioramiennego świecznika, leżało kilka manuskryptów i pergaminów w towarzystwie sporej ilości piór i kałamarzy. Wszystko w tym pokoju wydawało się tajemnicze i pokryte wielowiekową patyną.

Niziutki mnich zielarz nie krył entuzjazmu, że będzie miał Grimpowa za ucznia. Z miejsca opowiedział mu, że przed wieloma laty sam nauczył się od brata Uberta, ślepego mnicha leżącego na pryczy, wszystkiego, co tamten wiedział o chorobach ciała i duszy, o ziołach, roślinach, maściach, wywarach, napojach, a nawet o truciznach, które w małych dawkach działają leczniczo. Z ogromną erudycją, podniecony myślą, że wreszcie ma okazję podzielić się swą wiedzą medyczną z kimś, kto nie ma o tym zielonego pojęcia, przez dłuższy czas mówił o gruźlicy, gangrenie, wrzodach, ospie, dżumie i trądzie, najstraszliwszych pomocnikach Śmierci.

Potem, jednocześnie wytwarzając syrop z miodu i mięty, dla ulżenia strudzonym płucom stuletniego mnicha i ucierając żywokost ze smalcem, przeznaczony do smarowania złamanej nogi drugiego pacjenta, brat Assben zwierzył się chłopcu, że od zawsze jego największym pragnieniem było stać się adeptem tajemniczej nauki - Alchemii. Niektóre z jej arkanów nie były mu obce, bo uczył się ich od brata Uberta, zanim nieszczęśliwym zrządzeniem losu wybuchł alembik i szklane odłamki oślepiły starego mnicha na zawsze.

- Stracił wzrok podczas poszukiwań kamienia filozoficznego w tej właśnie pracowni?
- spytał Grimpow, zaciekawiony niezwykłą historią ślepego mnicha.

- Brat Uberto stracił coś o wiele ważniejszego. Od dnia, w którym jego oczy przestały

dostrzegać świat, zabrakło mu także chęci do życia. Odtąd spędza dni i noce leżąc na łożu jak kataleptyk. Nie chciał się podnieść nawet na rozkaz opata, który groził mu ekskomuniką, jeśli nie wstanie, ale on jest tak zatwardziały w swoim uporze, że nie posłuchał. Nawet do latryny nie chodzi.

- Czy także milczy? - spytał Grimpow.

- Mówi, jeśli ma ochotę, ale to się rzadko zdarza. Ostatnim razem słyszałem, jak odezwał się zeszłego roku w zimie, i chciałbym zapomnieć, że wypowiedział bluźnierstwo. Pamiętam, kiedy to było, bo wtedy też tak obficie padał śnieg. Myślę, że to jedyny mnich w tym opactwie, który ściśle przestrzega reguły milczenia.

Grimpow poszedł z bratem Assbenem do sali chorych, i obserwował, jak ten podaje bratu Ubertowi z Alessandrii gęsty, żółtawy płyn metalową łyżką. Mógł się przy tej okazji przyjrzeć pustym oczodołom i wyblakłej cerze ślepego mnicha, który, mimo iż dźwigał na swych barkach już cały wiek, w rysach zachował sporo cech szlachetnego i mądrego człowieka, jakim był przed laty.

- Zdziwiony jesteś, że nie wydaje się aż tak stary, prawda? - spytał brat Assben Grimpowa, gdy wracali do pracowni, po nasmarowaniu balsamem z żywokostu ujętej w łubki nogi młodszego mnicha.

Grimpow potwierdził kiwnięciem głowy, a zielarz ciągnął opowieść:

- Niedługo przed wypadkiem, który pozbawił go najważniejszego ze zmysłów, brat Uberto powiedział mi, że sądzi, iż udało mu się wreszcie sporządzić eliksir wiecznego życia i że wypił go, w nadziei uzyskania nieśmiertelności. Sprzeciwił się tym uczynkiem naukom Kościoła i rzucił wyzwanie boskiej potędze, narażając się na gniew Opatrzności. Ponieważ po jakimś czasie ośleplę, mnisi, łącznie z opatem, doszli do wniosku, że Bóg doprowadził do wybuchu alembika, aby pokarać go za zuchwalstwo.

- Ależ to był tylko wypadek, Bóg nie mógłby być tak bezlitosny - powiedział Grimpow z oburzeniem.

- Brat Rinaldo i ja też tak myślimy, ale od rozsądku do przesądu jest tylko jeden krok, tak niewielki, jak ten, który oddziela od siebie życie i śmierć.

- A brat Uberto nigdy nie wyznał wam, bracie Assbenie, jakiej formuły użył do wytworzenia kamienia filozoficznego? - spytał Grimpow gorączkowo.

- Nie, nigdy tego nie zrobił, a zresztą i tak do niczego by mi się to nie przydało.

- Brat Rinaldo powiedział mi, że wy także poszukujecie tego, co nosi nazwę *lapis philosophorum* i że spędzacie bezsenne noce w tej pracowni, usiłując go znaleźć.

Na dobrodusznej, zabawnej twarzy małego mnicha pojawił się uśmiech.

- Mój drogi, dla prawdziwych alchemików nie jest najważniejszy końcowy wynik, lecz poszukiwania, które do niego prowadzą. Dlatego każdy z nich musi znaleźć swoją własną drogę, aby odkryć geniusz i mądrość, który nosi w sobie. Muszę ci się przyznać, że ja go jeszcze nie odnalazłem.

- A więc nie próbujecie dokonać transmutacji zwykłych metali w czyste złoto, bracie Assbenie? - spytał Grimpow, skonfundowany jego wywodem.

- Tak i nie - odrzekł zielarz. - To prawda, że dokonuję doświadczeń z metalami, aby stały się tak czyste, jak złoto, ale nie działam powodowany ambicją ani żądzą bogactw. Ten niezwykły kamień filozoficzny, który wszyscy alchemicy pragną uzyskać, nie jest złotem, jak fałszywie twierdzi wielu szarlatanów, ale czymś tak niematerialnym, jak mądrość. Obraz złota jest jedynie symbolem, alegorią, która ma przedstawić doskonałość duszy. Prawdziwi alchemicy usiłują ją osiągnąć poprzez zdobywanie wiedzy, jaka potrzebna jest do poznania alchemicznych procesów transmutacji metali. Tą drogą dowodzą, że człowiek posiada zdolności poznawania i odkrywania sekretów przyrody. Alchemia jest próbą zapanowania nad materią, przekształcaniem jej i utworzeniem na nowo, pójdziem w ślady Boga, który stworzył świat. To dlatego każde czasy są inne od tych, które je poprzedziły i od tych, które nadejdą, a przyszłość nasza i całej ludzkości jest tak niepewna i fascynująca - powiedział mnich entuzjastycznie. Następnie odchrząknął i ciągnął: - Wszelkie nasze wynalazki zostaną wkrótce przewyższone przez wynalazki tych uczonych, którzy nadejdą po nas. Wyobraźnia ludzka nie zna granic i musimy dbać jedynie o to, aby zaprząć mądrość do służby w imię dobra, a nie wykorzystywać jej ku zgubie rodzaju ludzkiego. Dlatego nasze odkrycia, nasze wynalazki i nasza wiedza są zachowywane w jak najgłębszym sekrecie i dostęp do nich mają jedynie wtajemniczeni. Pozostali mogliby je pojąć opacznie, posłużyć się nimi niezgodnie z przeznaczeniem lub też stałyby się dla nich powodem do pustej wesołości.

- To dlatego Kościół uznaje alchemików za heretyków?

- Kościół i Monarchia mają na uwadze jedynie to, że ten, kto zdołałby naprawdę wytworzyć czyste złoto stałby się potężniejszy niż papież i królowie. To właśnie przydarzyło się Zakonowi Świątyni Salomona przed laty i oskarżenie go o herezję wynikało z zazdrości o władzę i bogactwa, które udało im się osiągnąć.

Templariusze ponownie wkroczyli na scenę i Grimpow nie mógł uniknąć myśli o magicznym kamieniu martwego rycerza, który teraz był jego własnością. Ostatnie słowa brata Assbena dowodziły, że zmarły musiał mieć wiele wspólnego z alchemią, z kamieniem filozoficznym i z Zakonem Świątyni Salomona z Jerozolimy. Grimpowa ogarnęło przeczucie, że jego kamień, o ile to w istocie był kamień, mógł być źródłem wszystkich legend, jakie w

ciągu wieków narosły wokół tajemniczego kamienia filozoficznego, *lapis philosophorum*, o którym wszyscy słyszeli, ale nikt go nigdy nie widział, ani też nie wiedział, jakie jest jego prawdziwe zadanie. Jednak musiało jeszcze upłynąć sporo czasu, zanim Grimpow dowiedział się, jaka jest prawda.

Śnieżna nawałnica odwlokła o parę dni jego wyprawę w dolinę, do krzyża wskazującego drogę do opactwa. Grimpow za wszelką cenę chciał się dowiedzieć, czy Durlib odkopał sakwę zawierającą skarb. Byłby to niewątpliwy dowód, że przyjaciel żyje, bo nikt inny na świecie nie znał miejsca, gdzie została schowana. To był jego sekret, jego i Durliba. Póki co Grimpow odkrył, że także opactwo kryje w sobie mnóstwo tajemnic i że niemal każdy z jego mieszkańców ma swój własny, pilnie strzeżony sekret.

Pewnego dnia tuż przed południem, gdy kościelne dzwony wezwały mnichów na sekstę i Grimpow został sam w bibliotece, gdzie studiował traktat o astronomii napisany przez Egipcjanina o imieniu Ptolemeusz, ujrzał zniekształconą twarz Kensego wyzierającą zza kolumny. Czyniąc grymasy, mające chyba w założeniu być uśmiechem, i machając ręką, Kense dawał mu do zrozumienia, żeby z nim poszedł. Grimpow zostawił gruby foliał na stole i wiedziony ciekawością podążył za sługą.

Ze sposobu, w jaki Kense stapał po korytarzach biblioteki i ostrożnie otwierał i zamykał drzwi mijanych pomieszczeń, Grimpow wywnioskował, że woli on, aby ich wyprawa pozostała niezauważona i żeby nikt nie wiedział, gdzie się udają. Zeszli do klauzury, pozostawili po jednej stronie salę kapitulną i komnaty opata i szli w kierunku kwater dla szlachetnych gości, skręcając jednak w bok, gdzie za furtką znajdowało się przejście do części gospodarczej, mieszkań dla służby, warzywnika i pomieszczeń dla zwierząt. Silny wiatr smagał drzewa i zasypywał im twarze śniegiem, więc zmuszeni byli odwracać głowę i przysłaniać oczy ręką.

- Dokąd idziemy? - krzyknął Grimpow, na próżno próbując uzyskać jakąkolwiek odpowiedź od wielgachnego sługi, idącego szybkim krokiem tuż przed nim, Kense bowiem milczał jak zwykle.

Na koniec doszli do stajni, gdzie co najmniej tuzin wierzchowców pełnej krwi spokojnie przeżuwało owies, którym wypełnione były żłoby, nie zważając na szalejącą na dworze zamieć i zimno. Wszystkie były czarne jak węgiel, oprócz jednego, białego, którego Grimpow natychmiast rozpoznał. Był to koń rycerza zmarłego w górach. Grimpow podszedł do niego, a koń popatrzył na chłopca tak, jakby go znał i ucieszył się z jego widoku. Gdy Kense podszedł z drugiej strony, koń zarżał przestraszony i poruszał nerwowo głową z jednej

strony na drugą, potrząsając grzywą. Grimpow pogłaskał konia po szyi, aby go uspokoić i wtedy dostrzegł wypalony na jego grzbiecie znak. Był to znany mu już symbol, który znajdował się na pergaminie i na złotej pieczęci zmarłego rycerza: zwinięty w kółko wąż z ogonem w pysku. Kilka dni później Grimpow dowiedział się, że nie był to znak templariuszy, ale symbol alchemiczny.

- Myślałem, że inkwizytor Bulvar z Goztell zabrał tego konia ze sobą - powiedział Grimpow, licząc na to, że Kense wreszcie się do niego odezwie.

Jednak Kense ograniczył się do wskazania na tylne nogi zwierzęcia, które owinięte były szmatami. Grimpow domyślił się, że rany zadane kłami drapieżników jeszcze się nie zagoiły i zwierzę nadal kulało, w związku z czym inkwizytor musiał zostawić je w stajniach opactwa. Grimpow postanowił poprosić brata Rinalda, aby pozwolił mu wyprowadzić konia na przejażdżkę, gdy tylko uspokoi się śnieżna zadymka. Podziękował Kensem, że przyprowadził go aż tutaj, aby mógł odwiedzić zwierzę. Słyszając pochwałę, Kense rozpromienił się, a z jego ust wydobył się bełkot, którego Grimpow nie mógł rozszyfrować. Podniecony sługa pociągnął go za rękaw kaftana, dając mu do zrozumienia, żeby znowu szedł za nim. Grimpow pojął wtedy, że to nie rannego konia chciał mu pokazać służący.

Kense oddalił się w głąb stajni, gdzie wielki stóg słomy piętrzył się aż po ogromne krokwie podtrzymujące strop. Z jednego boku odgarnął trochę słomy i odkrył kłapę, pod którą krył się otwór tak czarny i głęboki, że wydawał się suchą studnią. Z widoczną wprawą wślizgnął się do środka, zachęcając Grimpowa, aby go naśladował. Grimpow wiedział, że nie ma się czego obawiać ze strony tego giganta z twarzą potwora i duszą dziecka, więc poszedł za nim, nie zważając na głęboką ciemność, w którą się pogrążyli. Kłapa zamknęła się za nimi, więc po omacku schodzili w dół po żelaznych klamrach wbitych w ścianę szybu. Gdy znaleźli się na dole, Kense poszperał w jednym z kątów, skrzesał ognia i zapalił pochodnię. W jej migotliwym świetle otworzył się przed nimi wąski korytarz, prowadzący do czegoś w rodzaju obszernej groty o kamiennych ścianach. Jej dnem płynął strumień ciemnej wody. Na ścianach groty osady wapienne tworzyły niewielkie narośla i stalaktyty, przypominające lśniące, oślizgłe ślimaki.

W kącie groty stała ogromna, drewniana skrzynia, wyglądająca na bardzo starą. Kense podszedł do niej i zachęcił Grimpowa, aby ten się zbliżył. Wręczył mu pochodnię, a sam uchylił wieka, jak gdyby szykował się do ukazania cennego skarbu, przechowywanego od wieków w tej podziemnej kryjówce. Grimpow zbliżył światło pochodni do otwartej skrzyni i skamieniał, widząc wspaniały miecz spoczywający na schludnie złożonych szatach rycerskich. Próbował się dowiedzieć od Kensego, do kogo należy miecz, ale służący

ograniczył się do wzruszania ramionami i uśmiechania się swymi bezzębnymi ustami. Grimpow wkrótce się domyślił, że najprawdopodobniej były to szaty, które brat Rinaldo miał na sobie, gdy przed laty przyjechał do opactwa Brinkdum, aby porzucić wcielenie rycerza templariusza i schronić się w górskiej samotni. Miecz miał pozłocaną rękojeść wysadzaną drogimi kamieniami, podobnymi do tych, które zdobiły sztylety znalezione w sakwie zmarłego rycerza. W środku okrągłej główicy osadzony był czerwony ośmiokanciasty krzyż. W miejscu, gdzie stykały się jelec i głównia, znajdował się niewielki medalion, a przedstawiony na nim rycerz na koniu, wznosił do ataku kopię.

Grimpow oddał pochodnię Kensemui i chwycił ciężki miecz w obie ręce. Gdy dotknął palcami rękojeści, zobaczył wyraźnie cały szereg obrazów, na których pojawiał się rycerz Rinaldo z Metzu z twarzą zasłoniętą hełmem, ubrany w zbroję i białą tunikę z wielkim, czerwonym, ośmiokanciastym krzyżem wyhaftowanym na piersiach, takim samym, jak krzyż naszyty na białym płaszczu okrywającym mu plecy i jaki widniał na jego podłużnej tarczy. Rycerz Rinaldo dosiadał dziarskiego czarnego wierzchowca. Grimpow ujrzał, jak tratował nim gromadę kobiet i dzieci, starających się wydostać z płonących zabudowań i krzyczących przeraźliwie. Templariusz bezlitośnie raził ofiary mieczem, upojony krwią, nienawiścią i wściekłością. Niezdolny do dalszego znoszenia tej okropnej wizji pełnej krwi i okrucieństwa, Grimpow zamknął oczy i rzucił miecz na ziemię, ku wielkiemu zdziwieniu Kensego, który popatrzył na niego z wyrazem oszołomienia i lęku na twarzy, tak jakby i on swymi oczyma dziecka mógł ujrzeć makabryczną scenę masakry.

Po śnieżnej zamieci nastąpił piękny i jasny, choć mroźny dzień. Szczyty gór odcinały się na horyzoncie jak ostre kły, które chcą pożreć niebo. Słońce wspięło się najwyżej, jak mogło o tej porze roku i leniwie podążało swą drogą w wiecznej wędrówce ze wschodu na zachód. Na świerkach leżały czapy śniegu, przyginając gałęzie niemal do ziemi, a po południowej stronie doliny, przy wodospadach, krążyło stado kruków i wron, jakby w oczekiwaniu na wspaniałą ucztę z padliny.

Grimpow powiedział bratu Rinaldo, że idzie do stajni zająć się zranionym koniem templariusza i opuścił opactwo, gdy tylko mnisi usiedli w refektarzu. Główna furta była zamknięta, ale Kense pokazał mu, jak dojść do warzywnika i gospodarstwa. Teraz wystarczyło tylko przeskoczyć niewielką palisadę, aby znaleźć się poza opactwem. Grimpow miał ze sobą sztylet zmarłego rycerza ukryty pod futrzanym płaszczem i drżał z niecierpliwości, bo miał wkrótce się dowiedzieć, czy Durlib wrócił pod krzyż przydrożny, aby wykopać i zabrać sakwę ze skarbem. Już tylko strome zejście w dół zbocza pokrytego

śniegiem dzieliło go od drogi wijącej się środkiem doliny. Krzyż był tak blisko, że Grimpow wkrótce dostrzegł, jak przeziara przez przesiekę w gąszczy świerków. Grzęznąc w śniegu po kolana przedzierał się do celu i dostrzegł wiele wilczych śladów. W zimie watahy zgłodniałych wilków ściągały z gór w dolinę, aby poszukiwać zdobyczy wśród stad owiec, które hodowano w okolicznych wioskach. Zwłaszcza po wielkich opadach śniegu, takich jak ten, który dopiero się skończył, istniało ryzyko natknięcia się na drapieżnika. Grimpow pożałował, że nie ma ze sobą swego łuku i kołczanu, ale nie pomyślał nawet, aby je zabrać z sali pielgrzymów, gdzie je zostawił pierwszej nocy.

Podnóże kamiennego krzyża było pokryte śniegiem, który Grimpow odgarniał rękoma, aż utracił w nich czucie z zimna. Następnie sztyletem rozgrzebał zmarzniętą ziemię i wy dobył sakwę. Nie było to trudne, bo znajdowała się w tym samym miejscu, gdzie wraz z Durlibem ją zostawili. Na widok sakwy chłopiec pomyślał, że serce mu pęknie z rozpaczy, bo oznaczało to, że Durlib nie wrócił, aby ją zabrać. Było jasne, że zginął w przepaści, jak to inkwizytor Bulvar z Goztell oznajmił opatowi. Grimpow rozplakał się, dając upust tym wszystkim łzom, które powstrzymywał od wielu dni, kiedy czekał na powrót Durliba i nie tracił nadziei, że przyjaciel jednak żyje. Szlochając rozpaczliwie otworzył sakwę i wówczas zdał sobie sprawę, że nie było w niej ani srebrnych monet, ani kosztowności. Zgrabiętymi rękoma przeszukiwał gorączkowo wnętrze skórzanej torby, aby upewnić się, że oczy go nie mylą. Wtedy dostrzegł, że w sakwie poza pergaminem i złotą pieczęcią znajdowało się parę gałązek rozmarynu, których wcześniej tam nie było. Z gardła wyrwał mu się potężny okrzyk radości i usłyszał, jak echo odbijając się od zbocza gór powtarza go w oddali. Ponownie krzyknął tak głośno, że Durlib, jeśli jeszcze znajdował się w górach, z pewnością mógł go usłyszeć. Teraz bowiem Grimpow nie miał już najmniejszych wątpliwości, że Durlib żyje. Dowodziły tego gałązki rozmarynu włożone do sakwy. Durlib musiał pamiętać, że był to amulet, który Grimpow otrzymał od matki i postanowił użyć ich jako znaku. Wiele nie myśląc stworzył prosty, sekretny język, zrozumiały tylko dla nich dwóch. Durlib wiedział, że Grimpow zrozumie, iż tylko on jeden mógł włożyć gałązki rozmarynu do sakwy, a zabrać monety i klejnoty. Wobec tego Grimpow wyjął pergamin i pieczęć, które Durlib mu pozostawił i włożył sakwę ponownie do dziury. Jednak wcześniej znalazł niewielki kamień, podobny do kamienia martwego rycerza i wsunął go do środka. Był pewien, że Durlib kiedyś wróci, aby sprawdzić, czy Grimpow odczytał jego zaszyfrowaną wiadomość i chciał go upewnić, że nikt inny, tylko on odgrzebał sakwę i zabrał jej zawartość. Liczył na to, że Durlib zrozumie jego znak, przyjdzie do opactwa i wkrótce znowu będą razem.

Grimpow był tak szczęśliwy, że po powrocie do opactwa pobiegł prosto do kuchni,

aby podzielić się z bratem Brasgdo niespodziewaną nowiną. Tam, ku swemu zdziwieniu, dowiedział się, że kucharz wie już o wszystkim.

- W jaki sposób mogliście się dowiedzieć, że Durlib żyje, bracie Brasgdo? - spytał zdziwiony Grimpow.

Kucharz podniósł do ust wielką łychę zupy, spróbował z zadowoleniem i z powrotem zanurzył warząchew w kotle perkoczącym na rozpalonym piecu.

- Był tu rano po tercji, kiedy mnisi byli zajęci swymi codziennymi sprawami, a ty studiowałaś z bratem Rinaldem w bibliotece - powiedział niechętnie.

- Dlaczego mnie nie powiadomiliście? Przecież wiedzieliście, jak bardzo pragnę go zobaczyć! - Grimpow był naprawdę wściekły. Zauważył, że brat Brasgdo unika jego wzroku i wpatruje się w podłogę kuchni, jakby starał się tam wypatrzeć coś ciekawego.

- Durlib prosił mnie, abym ci nie mówił, że tu jest. Miałem ci powiedzieć dopiero po jego odejściu - powiedział ze współczuciem. - Myślał, że będzie lepiej, jeśli się z nim nie zobaczysz.

- Jak to możliwe, że Durlib nie chciał się ze mną spotkać! Przecież wiedział, że czekam na jego powrót! Przecież mieliśmy pojechać razem na koniec świata! On sam to powiedział tej nocy, gdy przyszliśmy do opactwa, pamiętacie? - wypytywał Grimpow, wściekły i rozżalony.

Brat Brasgdo podszedł do Grimpowa i położył swą miękką rękę na jego ramieniu.

- Grimpow, Grimpow, chłopcze... - powiedział z wahaniem - twój przyjaciel Durlib nie chce, abyś prowadził życie włóczęgi i wygnańca, które jemu samemu przypadło w udziale. Powiedział mi, że w tych ostatnich dniach, kiedy o mało nie zginął z rąk inkwizytora Bulvara z Goztell, dużo rozmyślał o twojej przyszłości i doszedł do wniosku, że jeśli z nim zostaniesz, nigdy nie pozbędziesz się swojej niewiedzy i któregoś dnia skończysz marnie, jako wisielec na placu pierwszej lepszej wioszczyny.

Grimpow przypomniał sobie, że już w górach, gdy po raz pierwszy dotknął kamienia, przeczuł, że oczekują go fascynujące i tragiczne zmiany w życiu, a jednocześnie, ni stąd ni zowąd, ogarnął go intensywny, wewnętrzny niepokój, rodzaj przemożnego pragnienia zdobywania wiedzy o świecie. Z jednej strony był zadowolony, że znalazł się w opactwie Brinkdum i że poznał bibliotekarza Rinalda z Metz, który miał tyle do przekazania o przyrodzie i kosmosie, jednak z drugiej strony w głębi duszy pozostał tym samym, sprytnym, wesołym i buntowniczym chłopcem, który wraz z Durlibem włóczył się po wiejskich drogach, bez większych zmartwień niż to, aby następnego dnia znowu obudzić się i żyć. Gdyby mógł wybierać, nigdy nie zamieniłby swego ubożego i niepewnego życia z Durlibem

na wszelkie bogactwa i mądrości świata.

- Ależ ja nigdy w życiu nie chciałbym go opuścić! - wyszeptał Grimpow przez łyżę.

- Postanowił, że dla was obydwu będzie lepiej, abyście się rozłączyli właśnie teraz, kiedy już przyzwyczałeś się do życia bez jego towarzystwa. Jest przekonany, że w opactwie nauczysz się tego wszystkiego, czego on sam nie byłby w stanie ci przekazać i że odnajdziesz własną drogę życiową. Poprosił mnie, abym ci powiedział, żebyś nigdy nie zaprzestał poszukiwań tej magicznej drogi, o której pewnego dnia zacząłeś marzyć i żebyś, jeśli kiedykolwiek ją odnajdziesz, wspomniął o nim, tak jakby jeszcze ciągle był obok ciebie.

Grimpow pomyślał, że Durlib chciał mu w ten sposób pośrednio przekazać, żeby, jeśli któregoś dnia zdecyduje się podjąć misję zmarłego rycerza, wytrwał w swoim postanowieniu. Dlatego nie zabrał ani pergaminu, ani złotej pieczęci. Domyślił się, że Durlibowi wystarczą srebrne monety i kosztowności, aby mógł zacząć nowe życie w pewnym dostatku.

- Ale dlaczego nie powiedział tego wszystkiego mnie? Mógłbym przynajmniej się z nim pożegnać - użalał się.

- Obawiał się, że jeśli cię zobaczy, nie będzie miał wystarczającej siły woli, aby pozostawić cię w opactwie - powiedział brat Brasgdo nieco bardziej ożywionym tonem.

Grimpow zaakceptował z rezygnacją decyzję Durliba i postanowił nie dać po sobie poznać, jakim smutkiem go ona napawa.

- Czy może Durlib powiedział, gdzie się udaje i co ma zamiar z sobą począć? - spytał.

- Powiedział tylko, że chce zobaczyć morze, żeby sprawdzić, czy żyją w nim syreny.

Kiedy następnego dnia rano Grimpow zapytał brata Rinalda, czy kiedykolwiek widział morze, w oczach starego mnicha odczytał tęsknotę. Starzec wyjaśnił, że morze jest jak ogromne jezioro bez brzegów, że czasem jest zielone, jak szmaragdy, a czasem bardziej błękitne od nieba, że gdy nie ma wiatru wydaje się uśpione, a innymi razy jest straszne jak piekło i pochłania okręty, które odważyły się zakłócić spokój fal.

- Czy widzieliście w morzu jakąś syrenę? - spytał Grimpow, przejęty celem podróży Durliba.

- Podczas moich morskich podróży nigdy nie miałem szczęścia natknąć się na jedną z tych istot, o ciele kobiety i ogonie ryby, o których żeglarze opowiadają fantastyczne historie.

Brat Rinaldo poprosił Grimpowa, żeby chwilę poczekał i wyszedł z sali bibliotecznej, w której siedzieli nad traktatem o anatomii ludzkiej napisanym przez arabskiego mędrca Avicennę. Poszedł do sekretnej sali zakazanych książek i po krótkim czasie wrócił z opasłym manuskrypcem zatytułowanym *Liber monstruorum*, który położył na stole. Otworzył go i

przewracał karty, aż znalazł piękną iluminację, przedstawiającą młodą kobietę niezwyklej urody, której blond włosy opadały na ramiona kaskadą złocistej przędzy. Jej błękitne oczy wydawały się wpatrywać z wyzwaniem w oczy Grimpowa, który zagłębił się bezwstydnie w kontemplację jej obfitych, krągłych i nagich piersi, czując jakby przyjemne i dziwne łaskotanie w brzuchu. Ciało syreny poniżej pasa przechodziło w błyszczący srebrzyście ogon wielkiej ryby, spoczywający spokojnie na skałach morskiego urwiska. Obok wizerunku widniała kolumna łacińskiego tekstu tej treści: *Syreny to panny morskie, które uwodzą żeglarzy swym pięknym ciałem i słodkim śpiewem. Od głowy do pępka mają ciało kobiety i są podobne rodzajowi ludzkiemu, ale posiadają łuskowate rybnie ogony, które służą im do poruszania się w głębinach.*

Grimpow nie odwracał wzroku od nagich piersi pięknej panny, na wpół ryby i na wpół kobiety, a brat Rinaldo opowiadał mu historię, której wysłuchał podczas jednej ze swych podróży. Grupa krzyżowców, udających się drogą morską do Ziemi Świętej została ze swym statkiem zniesiona na nieznaną wyspę. Tam usłyszeli wyraźnie szepty, śpiewy i śmiech syren. Krzyżowcy, uwiedzeni słodyczą ich głosów ulegli pokusie i nigdy nikt o nich więcej nie słyszał. Wiele lat później statek weneckich kupców dobił do tajemniczej wyspy, gdzie znalazł rozrzucone na skałach szkielety obleczone w rycerskie szaty.

Słuchając legendy Grimpow, zaniepokoił się o los Durliba. Lękał się, aby przyjaciel poszukując syren, nie znalazł w morzu śmierci, której udało mu się uniknąć w górach. Jednak stary mnich uspokoił go, mówiąc, że syreny, jak ta namalowana w księdze, są jedynie tworam i wyobraźni, symbolizującymi niebezpieczeństwa pożądania i cielesnych namiętności, które tyle nieszczęść sprowadziły na rodzaj ludzki od kiedy Adam był kuszony przez Ewę.

Różne ilustracje bestiariusza obudziły ciekawość Grimpowa, który strawił cały ranek na ich oglądaniu, podczas gdy brat Rinaldo z tajonym entuzjazmem opowiadał mu o takich fantastycznych stworach, jak jednorożce, centaury, smoki i bazyliuszki. Te ostatnie miały kształt węża z kogucią głową i mogły zabić człowieka samym spojrzeniem. Brat Rinaldo wyjaśnił, że wszystkie te istoty są jedynie wymysłami, a legendy o nich ludzie tworzyli od zarania dziejów, aby poprzez nie ukazać całą magię i tajemnice, które zawiera wszechświat.

W następnych dniach Grimpow kontynuował studia nad starymi manuskryptami z biblioteki opactwa. Dowiedział się z nich, że pierwsi mieszkańcy ziemi tworzyli mity o boskich i fantastycznych istotach, aby wytłumaczyć sobie cuda, które ich otaczały. Ustanowili w niebie siedzibę bogów, na ziemi mieszkanie ludzi i zwierząt, a ciemności podziemne oddali we władanie potworom, diabłom i demonom. Wszystko, co działo się w każdym z tych

światów było chaotyczne i przypadkowe i jedynie bogowie mogli nadać pewien porządek pogmatwanemu tokowi wydarzeń. Następnie dowiedział się, że przed tysiącami lat, po wynalezieniu pisma, niektórzy mądrzy ludzie zmienili swoje postrzeganie świata i przyrody, dochodząc do wniosku, że otaczające ich zjawiska nie są następstwem kapryśnej woli bogów, lecz odpowiadają stałym prawom zawartym w samych zjawiskach i rzeczach, których istotę człowiek jest w stanie odkryć i pojąć. Ale nic tak nie zachwyciło Grimpowa, jak studiowanie teorii matematycznych pewnego greckiego mędrca o imieniu Pitagoras, który żył pięćset lat przed Chrystusem. Pitagoras został porwany przez Persów i trafił do Babilonu, gdzie dowiedział się od tamtejszych magów, że istotą wszechrzeczy są liczby. Następnie założył w Krotonie szkołę dla młodych mędrców, zwanych pitagorejczykami, a ich nauka i umiejętności trzymane były w jak najściślejszym sekrecie. Grimpow przypomniał sobie wtedy obrazy, które przed wieloma dniami widział w snach, podczas gdy spał w sali pielgrzymów wraz z Durlibem. Przelatywały mu wówczas przed oczyma liczby i formuły matematyczne, wymieszane ze strzępkami różnych teorii dotyczących przyrody i wszechświata. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu nabrał przekonania, że kamień zmarłego rycerza ma wiele wspólnego z tajemniczymi mędrcami Starożytności.

Potwierdziło się to pewnego popołudnia, gdy śnieg padał łagodnie i obficie, a on po obiedzie postanowił odwiedzić brata Assbena w szpitaliku. Był to kolejny, spokojny i zwykły dzień w opactwie, które wydawało się powracać do normy, w miarę jak upływał czas od brutalnego zamordowania opata i wywołanego tym zamieszania i lęku. Mnisi powrócili do pracy i modłów, włączywszy w to młodego mnicha z nogą złamaną w kostce, którego nie było już na pryczy w sali, gdy Grimpow tam wszedł.

Właśnie miał zamiar przejść przez salę chorych, aby tamtędy dotrzeć do pracowni brata Assbena, gdy usłyszał za plecami głęboki głos, który sparaliżował go niczym ukąszenie węża:

- Ten kamień w końcu cię zabije!

Grimpow odwrócił powoli głowę i upewnił się, że w sali nie było nikogo oprócz niego samego i brata Uberta z Alessandrii. Doszedł do wniosku, że to przemówił stuletni ślepy mnich, ale derki, którymi ten chronił się od zimna, nie pozwalały zobaczyć jego twarzy.

- Cóż chcecie rzec? - spytał Grimpow, zatrzymując się przy pryczy starca. - Nie rozumiem...

Jego pytanie zawisło w powietrzu jak zaczarowany obłok, ale czar prysł pod wpływem głosu dochodzącego z ust leżącego bez ruchu mnicha.

- Mnie nie oszukasz - powiedział. - Od pierwszej chwili, gdy usłyszałem twoje kroki w tej sali, gdzie nawet zgnilizna choroby jest dla mnie niewidoczna, wiedziałem, że masz ze sobą kamień. W czarnych mrokach mojej ślepoty postrzegłem jego światło, jak blask gwiazdy w ciemnościach nocy. Odtąd czekałem na sposobną chwilę, aby z tobą pomówić na osobności.

- Nie wiem, o czym mówicie, bracie Uberto - powiedział Grimpow. Nie mógł uwierzyć, że ślepy mnich odgadł, co spoczywa na jego piersi pod kaftanem, zamknięte w lnianym woreczku.

- Mówię o kamieniu mędrców, o *lapis philosophorum*, jeśli wolisz go tak nazywać - powiedział sucho mnich.

- Nie mam żadnego kamienia, a tym bardziej kamienia filozoficznego alchemików - upierał się Grimpow, siadając jednak na posłaniu obok mnicha, aby lepiej widzieć pozbawioną wyrazu twarz ślepego starca, niemal całkowicie zasłoniętą długą, białą brodą.

- Teraz mogę poczuć go z bliska; bez sensu jest zaprzeczać oczywistości - powiedział z zadowoleniem starzec.

Mówiąc, brat Uberto z Alessandrii poruszał tylko wargami, natomiast reszta jego twarzy i ciała pozostawała nieruchoma, co w chwilach, gdy mnich milczał, sprawiało na Grimpowie wrażenie, że rozmawia ze zmarłym.

- Bredzicie jak szaleni, bracie Uberto, lepiej pójść po brata Assbena, aby przyszedł dać wam wasze lekarstwo - Grimpow nadal starał się uniknąć rozmowy o kamieniu.

- Moim jedynym szaleństwem było tak pożądać tego kamienia, że straciłem dla niego zmysły - odparł mnich emfaticznie.

- Widzę, że rozum istotnie postradaliście, bo mówicie o kamieniu filozoficznym, jakby chodziło o piękną damę, którą darzyliście miłością.

- Nigdy w życiu nie pożądałem tak żadnej kobiety. Zawsze ściśle przestrzegałem ślubów czystości i nigdy nie pociągały mnie rozkosze ciała - odrzekł mnich.

- Jednakże, jeśli poszukiwaliście kamienia filozoficznego tak namiętnie, że straciliście dla niego rozum i wzrok, nie byliście tak konsekwentni w kwestii ślubów ubóstwa. Co chcieliście uczynić z wytworzonym złotem? - spytał Grimpow, aby wydobyć od mnicha więcej wiadomości o kamieniu, bo wydało mu się oczywiste, że jeśli starzec był w stanie domyślić się, że on go posiada, to tym bardziej powinien dużo o nim wiedzieć.

- Złoto jest niczym, w porównaniu z władzą równą bogom! - wykrzyknął z podnieceniem mnich, poruszając się po raz pierwszy na posłaniu. Lecz zaraz się uspokoił i mówił dalej: - Był czas, gdy posiadałem kamień filozoficzny, a moje serce było czyste i

otwarte na wiedzę. Nie było pytania, na które nie umiałbym odpowiedzieć, ani zagadnienia, którego nie byłbym w stanie rozstrzygnąć. To było tak, jak gdybym wstąpił na niebiosa i zasiadł u boku Boga, aby zabawić się obserwacją wszechświata, w którym wszystko było wytłumaczalne i zrozumiałe, jak w chwili stworzenia.

Jego słowa wydały się Grimpowowi odbiciem uczuć, których on sam doznawał podczas studiowania manuskryptów w bibliotece. I on poczuł magiczną moc kamienia, który otwierał przed nim dostęp do całej wiedzy ludzkości, tej, która już została zdobyta i tej, która miała dopiero zostać odkryta w przyszłości. Było więc niewątpliwe, że brat Uberto z Alessandrii bardzo dobrze wiedział, o czym mówi.

- A więc uzyskaliście całkowitą mądrość? - spytał Grimpow, patrząc przez okno na zachodzące słońce, zalewające dolinę krwawymi kolorami zmierzchu.

- Nie, ale wystarczyło mi to, aby nie pragnąć niczego więcej od życia. Do czasu, gdy używałem kamienia w celu osiągnięcia mądrości, pisałem niestrudzenie o wszelkich dziedzinach wiedzy, od astronomii, poprzez matematykę i geometrię, filozofię, alchemię, do medycyny, botaniki, mineralogii, harmonii... Najtrafniejsze rozumowania i najbardziej skomplikowane twierdzenia znajdowały się w zasięgu mojego pióra, jak owoce z drzewa w zasięgu mojej ręki. I to wszystko zawdzięczałem kamieniowi filozoficznemu. On był moją prawdziwą podniętą, moją jedyną inspiracją.

- Przynajmniej staliście się mędrcom, bracie Uberto. W bibliotece widziałem wiele ksiąg przez was napisanych - powiedział Grimpow.

- Tak, można by powiedzieć, że stałem się mędrcom, gdybym nie popełnił straszliwej głupoty, godnej najbardziej tępego ignoranta.

- Popełniliście pomyłkę?

- Opętała mnie ambicja i zapragnąłem użyć kamienia, aby wytworzyć złoto i osiągnąć nieśmiertelność. Myśl o wiecznym trwaniu w otoczeniu bogactw przez wszystkie mające nadejść czasy i o tym, że na własne oczy mógłbym zobaczyć przyszłość świata, a moje ciało nie starzałoby się z biegiem lat, do tego stopnia mnie oszołomiła, że zdradziłem wszystkie swoje zasady i wiarę.

- I co się wówczas stało? - spytał Grimpow zaciekawiony.

- Kamienie, które wytwarzałem, rozpadały się w proch, kiedy wyjmowałem je z tygla. Wiedziony pychą i zachłannością zamknąłem się w swojej pracowni w opactwie, gdzie bezsennie trawiłem dni i noce, aż któregoś ranka, nie mogąc się doczekać transmutacji, podgrzałem tak silnie alembik, że wybuchł i zranił moje oczy, sprawiając, iż na zawsze utraciłem wspaniały dar widzenia.

- To wiem, brat Assben opowiedział mi, co się zdarzyło, ale to był jedynie wypadek, który mógłby się przydarzyć każdemu alchemikowi - powiedział Grimpow pocieszająco.

- Być może - zgodził się stuletni mnich - ale ważne jest jedynie to, że postradałem oczy, a wraz z nimi wszystkie moje ambicje. Od ponad dwudziestu lat żyję leżąc na tej pryczy, nie widząc nic, oprócz światła mojego umysłu, i pozbawiony innego towarzystwa, niż własne wspomnienia. Przez te wszystkie lata rozmyślałem o kamieniu filozoficznym, starając się rozgryźć jego tajemnicę i teraz już jestem pewien, że nie można go wytworzyć nigdzie indziej, niż w laboratorium duszy. Jeśli o tym zapomnisz, kamień zabije cię, jak zniszczył mnie i tylu innych, którzy za wszelką cenę chcieli wejść w jego posiadanie, gdyż w nim jest zawarte dobro i zło, jak we wszystkich rzeczach tego świata.

- Dlaczego mówicie, że niemożliwe jest wytworzenie kamienia filozoficznego w pracowni? Czyż nie to jest istotą Alchemii? - spytał Grimpow, gdyż nie rozumiał jego wywodu.

- Tak mówią legendy i bezużyteczne pisma tych, którzy nigdy nie zdołali poznać prawdziwego sekretu mędrców. Ty powinienes wiedzieć o tym tak samo dobrze, jak ja - powiedział starzec.

- Nie, nie wiem - przyznał Grimpow zawstydzony. - Dlaczego mi tego nie wyjaśnicie? Ślepiec wydawał się zastanawiać i po paru chwilach głębokiego milczenia przemówił:

- Jedyne kamień filozoficzny jaki istnieje i jaki zawsze istniał to ten, który przed ponad dwoma tysiącami lat znajdował się w posiadaniu magów Babilonu, Egiptu, Grecji. To kamień, który posiadali starożytni mędracy, tacy jak Tales z Miletu, Pitagoras, Homer, Parmenides, Ptolemeusz, Sokrates, Platon, Arystoteles... i ich uczniowie, którzy kształcili się w szkołach filozoficznych i tajnych stowarzyszeniach. Nigdy od tamtej pory ludzie nie starali się tak usilnie wyjaśniać zasad rządzących światem. Natomiast nasze czasy są czasami ciemnoty i obskurantyzmu. Żyjemy przytłoczeni strachem, przesądami, głodem, nędzą, chorobami i śmiercią - głosił brat Uberto, jak upadły prorok.

Grimpow ucieszył się, słysząc z ust brata Uberta z Alessandrii imiona greckich mędrców, których manuskrypty studiował w bibliotece opactwa zgodnie ze wskazaniem brata Rinalda, gdyż stanowiło to potwierdzenie jego przypuszczeń, że kamień ma coś z nimi wspólnego, jak to już przeczuł kilka dni wcześniej. Spytał więc:

- A jak kamień trafił do rąk tych mędrców?

- Gdybym to wiedział, nie byłoby żadnego sekretu do odkrycia. Wątpię, aby nawet oni sami to wiedzieli. Wyjaśnienie tej zagadki leży daleko, ponad gwiazdami - zakończył swoją wypowiedź stuletni mnich i Grimpow już nigdy więcej nie usłyszał jego głosu.

Alchemiczne złoto

Dni miały z powolnością liści opadających na jesieni, wraz z nimi minęła zima i nastąpiła odwilż, a wiosenna pogoda dawała już przedsmak upalnego lata. Okoliczne łąki, gdzie nie było już nawet śladu po śniegu, pokryły się młodą trawą zabarwiającą świeżą zielenią zbocza gór.

Z nadejściem wiosny zmieniła się także codzienna rutyna Grimpowa w opactwie. Nadal spędzał ranki w bibliotece, studiując u boku brata Rinalda od primy do tercji, jednak potem biegł do stajni, siadł białego konia, którego postanowił nazwać Gwiazdą ze względu na barwę i lśniące, błękitne oczy i galopował na nim do wodospadów w dolinie lub wyjeżdżał wysoko w góry, do granicy lodowców, aby stamtąd wpatrywać się w horyzont. Tak bardzo tęsknił za Durlibem, że nie tracił nadziei, iż któregoś dnia spotka go w lesie zastawiającego sidła na króliki, co przyjaciel miał zwyczaj czynić każdego ranka, gdy jeszcze mieszkali w chacie. Od kiedy się rozstali, Grimpow codziennie o nim myślał. Postanowił codziennie przywoływać w myślach postać przyjaciela, aby nigdy nie zapomnieć jego rysów, co zdarzyło mu się w przypadku matki i sióstr, których twarze nie mógł ujrzeć w wyobraźni nawet gdy bardzo się starał, choć pamiętał czułość matki oraz zabawy i chichoty sióstr. Czuł się samotny i opuszczony, jakby był sierotą pozostawioną własnemu losowi. Nie zmieniał tego nawet fakt, że mnisi z opactwa otaczali go opieką i staraniami, zwłaszcza brat Brasgdo, kucharz, który dbał o niego, jakby Grimpow był królewskim potomkiem, któremu nie miało prawa niczego zabraknąć.

A przecież Grimpow był po prostu zwykłym chłopcem, któremu mnisi zapewнили schronienie w kamiennych murach swego opactwa, nie wymagając od niego, aby złożył zakonne śluby. Podjęli taką decyzję, kiedy po śmierci opata zebrali się w sali kapitulnej, aby wybrać jego następcę i rozważyć inne sprawy wielkiej wagi, między innymi przyszłość Grimpowa. Niektórzy z mnichów sugerowali, aby założył brunatny habit i wprawiał się w przestrzeganiu nakazu milczenia i codziennym odmawianiu brewiarza, jak pozostali nowicjusze, ale brat Rinaldo uznał za bardziej stosowne, aby przynajmniej przez parę pierwszych miesięcy Grimpow poświęcił swój czas nauce w bibliotece i pomocy bratu Assbenowi w szpitaliku. Orzekł, że dopiero potem, jeśli takie okaże się jego powołanie,

będzie mógł wdziać ubiór nowicjusza i z własnej woli złożyć śluby zakonne. Propozycja brata Rinalda została przyjęta przez wszystkich i zatwierdzona przez nowego opata, mnicha o spokojnej twarzy, szarych oczach i siwych włosach, powszechnie szanowanego za rozsądek i dobroć. Choć Grimpow nie był obecny przy posiedzeniu kapituły, mógł podsłuchiwać rozmowę mnichów z sąsiedniej sali, gdzie istniało miejsce w murze, do którego wystarczyło przyłożyć ucho, aby słyszeć doskonale wszystko, co działo się obok. Istnienie tego miejsca wyjawiał mu brat Rinaldo. Przy tej właśnie okazji Grimpow dowiedział się, że takie punkty głośności, pozwalające podsłuchiwać rozmowy toczone za ścianą, istniały we wszystkich salach opactwa, nawet w komnatach opata, a ich rozmieszczenie znał jedynie brat Rinaldo.

Stary mnich zwierzył mu się, że dzięki temu mógł odkryć intrygi inkwizytora Bulvara z Goztell i wysłuchać jego wynurzeń na temat rycerza templariusza i sekretu, którym dzielił się z opatem. Brat Rinaldo znał tę niezwykłą właściwość akustyczną murów opactwa, odkąd tuż przed śmiercią wyjawiał mu ją jego poprzednik na stanowisku bibliotekarza, który dowiedział się o niej od swego poprzednika, a ten od swego i tak dalej, cofając się do samego początku dziejów opactwa. W sekretnej sali biblioteki spoczywały pilnie strzeżone, zwinięte w rulon pergaminy z planami zabudowań opactwa, wraz ze wszystkimi kryjówkami, zakamarkami, tajnymi przejściami i zakątkami. Grimpow nie wątpił, że w ten sam sposób - z ust do ust, z pokolenia na pokolenie - był przekazywany sekret związany z jego kamieniem. Zadawał sobie pytanie, co będzie, jeśli rycerz zmarły w górach był ostatnim wtajemniczonym i nikt oprócz niego nie wiedział o istnieniu kamienia, który teraz spoczywał w woreczku na szyi Grimpowa. Chłopiec żył więc otoczony tajemnicami, niektóre z nich udawało mu się wyjaśnić, podczas gdy inne wydawały się tak niedoścignione, jak bezkresna kopuła nieba w gwiazdziste noce, które właśnie nastąpiły.

Wraz z chłodami odeszły chmury i burze, a nocne niebo się przejaśniło. Każdej nocy po odmówieniu komplety brat Rinaldo udawał się na pobliskie wzgórze, aby prowadzić obserwacje gwiazd. Od wielu lat tworzył gruby traktat astronomiczny zatytułowany *Theorica Planetarum* i, jak wyjaśnił Grimpowowi, miał zamiar ukończyć dzieło swojego życia zanim Bóg zdecyduje się go wezwać do siebie. Grimpow towarzyszył mu i pomagał nieść astrolabium, ciekawy przyrząd mechaniczny zrobiony z mosiądzu, który umożliwiał dokonywanie obserwacji położenia gwiazd na nieboskłonie. Grimpow wkrótce nauczył się nim posługiwać, stosując się do wskazówek starego mnicha. Astrolabium brata Rinalda składało się z uchwyty w kształcie kółka, z którego zwieszał się metalowy krąg podzielony na 360 stopni kątowych, zaznaczonych kreskami od 0 do 360. Wewnątrz niego był umocowany

drugi metalowy krąg, podzielony na dwadzieścia cztery odcinki, odpowiadające godzinom doby. Był on osadzony na obracającej się linijce z otworem w środku, umożliwiającej namierzenie obserwowanego obiektu niebieskiego. Jeśli astronom sobie życzył, na linijce mógł też osadzać inne kręgi, mające różne zastosowania. Uchwycone za kółko astrolabium zwieszało się pionowo w dół i można było poprzez nie patrzeć na obserwowaną gwiazdę, mierzyć jej pozycję i wysokość na sferze niebieskiej. Po dokonaniu obserwacji brat Rinaldo nanosił wpisy dotyczące obserwowanej gwiazdy, jej pozycji i godziny wschodu i zachodu na specjalne tabele, a następnego dnia włączał je do manuskryptu, który redagował po łacinie. Pracował przy pulpicie w *scriptorium*, gdzie inni mnisi tłumaczyli, kopiowali lub wspinał iluminowali rękopisy.

Pewnej bezksiężycowej nocy, gdy Grimpow stał na wzgórzu i przyglądał się spadającym gwiazdom, przemykającym przez niebo z szybkością iskier i przypominającym robaczki świętojańskie, brat Rinaldo rozwinął pergamin, który trzymał w ręku. Była na nim wymalowana okrągła planisfera, przedstawiająca sklepienie niebieskie.

- Tutaj zostały zebrane wszystkie gwiazdy, na które teraz patrzysz. Usiądź i porównaj to, co widzisz na niebie z tym, co jest na mapie.

Grimpow zrobił co mu kazał brat Rinaldo i usiadłszy na wilgotnej od rosy trawie uniósł przed sobą planisferę, tak aby móc obserwować prawdziwe, usiane gwiazdami nocne niebo i jego koliste przedstawienie, które otrzymał od mnicha. Wydawało się, że uchwycił w dłoń cały firmament. Na planisferze jarzyły się fosforyzujące punkty. Obok każdego z punktów, dobrze widoczna z powodu luminescencyjnego atramentu, którym zostały wypisane, figurowała nazwa każdej z gwiazd, połączona liniami prostymi z pozostałymi gwiazdami swojej konstelacji. Grimpowowi wkrótce udało się odnaleźć silnie świecąca planetę Wenus na obu niebach, prawdziwym i narysowanym, potem umiejscowił Saturna i Jowisza, gwiazdy Betelgeuse i Bellatrix w konstelacji Oriona, a następnie gwiazdę Kastor na wschodzie i Rigel na zachodzie. Gdy tak obserwował obydwie firmamenty, przed jego oczami zaczęły się roić dziesiątki błysków świetlnych, które tańczyły na tle nieba jak zabłąkane świetliki.

- Czyż to nie cudowne? - powiedział brat Rinaldo, siadając przy nim.

- O czym mówicie, bracie Rinaldo? - spytał Grimpow, nie wiedząc, co ma na myśli stary mnich.

- O sklepieniu niebieskim.

Już przez parę poprzednich nocy Grimpow miał okazję kontemplować gwiazdziste niebo i napawać oczy jego pięknem, jak młodzieniec, który wpatruje się w dziewczynę swych

marzeń. W bibliotece przeczytał, co tylko mógł, o Ziemi, Słońcu, Księżycu, planetach, satelitach i gwiazdach i zdawał sobie sprawę z tego, ile tajemnic kryją otchłanie wszechświata. Wiedział jednocześnie, a raczej przeczuwał, że człowiek pewnego dnia pojmie jego istotę, choćby do tego czasu musiały minąć tysiące lat. Domyślał się także, że podobnie jak wynaleziono astrolabium umożliwiające obliczanie pozycji ciał niebieskich, zostaną też wynalezione inne, jeszcze nieznanne, potężne urządzenia, pozwalające człowiekowi dotrzeć do gwiazd.

- Pewnego dnia ludzie będą podróżowali po sferach niebieskich z taką samą łatwością, z jaką dzisiaj dosiadają koni - odważył się szepnąć, nie przestając się wpatrywać w nocne niebo.

- To, co powiedziałaś, jest bluźnierstwem. Jedynie Bóg może zamieszkiwać w przestworzach - odrzekł brat Rinaldo, patrząc na Grimpowa z taką podejrzliwością, jakby uznał, że chłopca diabeł opętał. Jednak potem pomyślał chwilę i dodał: - Choć być może masz rację. Są ludzie, którzy potrafią sięgnąć wzrokiem daleko poza nasze czasy, zagłębić się daleko w przyszłość, jak to robili prorocy. Twoim oczom został dany ten przywilej, od kiedy napotkałeś w górach zmarłego rycerza. Sam nie wiem, dlaczego nadal mnie dziwi to, co mówisz.

- To nie kwestia prorocत्व, tylko nauki - wyjaśnił Grimpow. - Ponad miesiąc temu, zanim skończyła się zima, rozmawiałem z bratem Ubertem z Alessandrii, który powiedział coś, co pomogło mi to zrozumieć.

- Rozmawiałeś z bratem Ubertem? Już od lat z nikim nie mówił, od kiedy oślepl w wypadku. Co ci powiedział? - spytał z żywą ciekawością brat Rinaldo.

- Mówił o kamieniu filozoficznym i o mędrkach i zapewnił mnie, że tajemnica pochodzenia tego, co nazywamy *lapis philosophorum* znajduje się ponad gwiazdami.

- Ten stuletni starzec jest szalony. Ponad gwiazdami jest jedynie Bóg! - wykrzyknął mnich, niezadowolony z tego, co mówi Grimpow.

- Wy sami powiedzieliście w sekretnej sali biblioteki, że trudno jest wierzyć w Boga, od kiedy człowiek zaczął pojmować sam siebie i wyjaśniać to wszystko, co go otacza - odparł Grimpow.

Brat Rinaldo powiedział nerwowo:

- Jeśli czasem trudno mi wierzyć w Boga nie znaczy to, że twierdzę, iż On nie istnieje. Jeśli przestałbym wierzyć w Niego nie mógłbym dalej żyć. Życie mnicha nie miałoby sensu, gdyby nie modlił się każdego dnia wychwalając wielkość Stwórcy.

- Być może nie ma aż takiej różnicy w tym, o czym mówimy i to, co wy nazywacie

Bogiem, ja nazywam Mądrością. Tak czy owak oba te słowa mają to samo znaczenie, chociaż widziane z przeciwnych stron: według was Bóg stworzył świat nie wyjaśniając go, a według mnie Mądrość wyjaśnia świat, chociaż go nie stworzyła - powiedział Grimpow.

- Wydaje mi się, że przez te tygodnie nauczyłeś się więcej, niż byłoby to stosowne dla młodzieńca w twoim wieku. Ale nie zapominaj, że zawsze natkniesz się na pytanie, na które nie znajdziesz odpowiedzi...

Grimpow zaczekał, aby brat Rinaldo skończył robić notatki w tablicach gwiazdnych, i spytał, co to za pytanie, na które nie ma żadnej odpowiedzi. Mnich jednak milczał i dalej przypatrywał się wysokiemu niebu nad swoją głową, tak jakby Grimpowa przy nim nie było.

- Cóż to za pytanie bez odpowiedzi? - nalegał Grimpow.

- Gdzie jest początek? Jak to się zaczęło? Jeśli nie wierzysz w Boga, nigdy nie będziesz mógł tego wyjaśnić - rzekł mnich, przerywając milczenie.

- Ale wiara w Boga nie sprawia, że znajdujemy odpowiedź na to pytanie. Stajemy jedynie przed następnym pytaniem: Kto stworzył Boga? A jeśli przyjmujemy, że Boga stworzyli ludzie, aby wyjaśnić sobie świat, staje się bezsensownym myśleć, że równocześnie Bóg stworzył ich - dowodził Grimpow, zadowolony z tego, że może prowadzić dyskusję na tak złożone tematy.

- To prawda, lecz przynajmniej Bóg służy mi pociechą w mojej niewiedzy.

- Wasza niewiedza nie uniemożliwia wam dostrzegać braku zasadności waszej wiary - powiedział Grimpow, zdając sobie sprawę, że przemawia przez niego coś wykraczającego poza niego samego.

Oczy starego mnicha wyrażały zmęczenie. Już ponad dwie godziny siedzieli na wzgórzu i obydwaj byli zdrętwiali z zimna, a ich wełniane opończe przesiąkły wilgocią rosy zalegającej na trawie.

Po powrocie do opactwa Grimpow pomyślał, że niezależnie od niewyjaśnionego wpływu kamienia, który wspomagał go w dążeniu do mądrości, wszystko, czego nauczył się w bibliotece, zawdzięcza bratu Rinaldowi. Żałował, że być może posunął się za daleko w swoich twierdzeniach. Brat Rinaldo był bez wątpienia erudyta, jednak pozostawał zakotwiczony w wiedzy minionych epok, jak ciężka szkuta, która uwięzła w przybrzeżnym mule. Natomiast najważniejszą rzeczą, którą Grimpow odkrył podczas swych studiów, było to, że wiedza ludzkości o naturze i kosmosie ulega ewolucji w czasie, przechodząc od religii i przesądów do wiedzy i mądrości, a te dwie ostatnie nie mają innych granic, niż wyobraźnia.

- Być może to ty masz rację - powiedział brat Rinaldo z Metz - umysł i wyobraźnia ludzka są rzeczami tajemniczymi i zdumiewającymi. Bez nich człowiekowi niczego nie

udałoby się dowiedzieć o sobie samym i o wszechświecie. Pozbaw istotę ludzką jej przemyśleń i marzeń, a będziesz miał przed sobą najbardziej tępe, najbardziej bezradne i najbardziej prymitywne stworzenie na Ziemi.

Tej nocy Grimpow długo nie mógł zasnąć. Od kiedy inkwizytor Bulvar z Goztell opuścił opactwo, chłopiec zaczął sypiać w dormitorium nowicjuszy i kładł się do łóżka, gdy wszyscy od dawna już spali, wiedząc, że wkrótce zadzwonią dzwony wzywające na primę. W ciszy skulił się pod derkami i zaczął wspominać wszystko, co się wydarzyło od dnia, gdy znalazł w górach zmarłego rycerza i jego tajemniczy amulet. Teraz wiedział dużo więcej niż wtedy, nie tylko o naturze i wszechświecie, ale i o tajemniczym kamieniu, który nosił na szyi. Doszedł do wniosku, że cudowny kamień był starszy, niż ktokolwiek mógłby przypuścić, i że był przekazywany przez wieki z pokolenia na pokolenie w najpilniej strzeżonej tajemnicy, aż dotarł do rąk człowieka, który zmarł w górach. Wątpił nawet, aby był to istotnie templariusz, jak inkwizytor Bulvar z Goztell powiedział opatowi.

Grimpow czuł, że znaleziony w górach człowiek był mędrce, a nie rycerzem czy mnichem. Był kimś niemającym do czynienia ani z wojną, ani z religią. Jednakże legenda o dziewięciu rycerzach ze Świątyni Króla Salomona i cennym przedmiocie, który odkryli po dziewięciu latach od przybycia do Jerozolimy, a potem wywieźli do Francji i ukryli przed ludzkim wzrokiem, wydawała mu się godna wiary. Kamień, który znalazł się w jego posiadaniu, miał związek z tym znaleziskiem, tego był pewien, choć jeszcze nie umiał wskazać, jaki. Wydawało mu się oczywiste, że papież i król Francji chcą zawładnąć sekretem za wszelką cenę i aby to osiągnąć nie zawahają się nawet przed zabójstwem. Potwierdzał to fakt, że Bulvar z Goztell kazał zabić opata, któremu powiedział prawdę o celu swej wyprawy. W swoich rozważaniach Grimpow odrzucił przypuszczenie, że kamień, który posiadał, jest kamieniem filozoficznym wytworzonym w pracowni alchemicznej. Sądził raczej, że legendy i zapisy mówiące o *lapis philosophorum* mogły być zdeformowaną historią kamienia mędrców, który przed tysiącami lat posiadali magowie Babilonu, Egiptu i Grecji, a teraz miał go on sam. Na tym wstępnym etapie rozważań pozostawało jedynie sprawdzić, czy jego kamień mógł zamienić w złoto tak pospolity metal, jak ołów. Okazja do tego nastąpiła pewnego popołudnia w pracowni przy szpitaliku, podczas gdy brat Assben był na niesporach.

W dniu, kiedy Grimpow doprowadził do końca doświadczenie, brat Assben pokazywał mu jedną z wielu metod procesu alchemicznego, posługując się w tym celu starym manuskrytem zatytułowanym *Physika kai Mystika*, przypisywanym greckiemu mędrce o imieniu Demokryt. Mały zielarz położył otwartą księgę na stole.

- Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w starożytnej Grecji i że weszliśmy do pracowni jednego z pierwszych znanych alchemików - powiedział, szykując palenisko i tygiel, w którym miał zamiar rozpocząć transmutację.

Następnie zdjął z jednej z półek cztery garnki i zaczerpnął z nich po garstce ołowiu, cyny, miedzi i żelaza.

- To są cztery metale, które pozostaną, gdy od znanych nam siedmiu metali odejmiemy dwa szlachetne - złoto i srebro - i niezwykle metal przejściowy, rtęć.

Włożył metale do tygla. Pod działaniem ognia zaczęły się topić, aż utworzyły masę niemal całkiem czarną, matową i mało przypominającą wyglądem metal, w której można było odróżnić jedynie maleńkie kuleczki żelaza, wydzielające silny odór spalenizny.

- Uzyskaliśmy amalgamat metali, czyli gęstą substancję, która przez alchemików nazywana jest *materia primigenia* - ciągnął wyjaśnienia - czarną, jak noc z której rodzi się dzień...

- Lub jak ciemności nieba, z których emanuje światło - powiedział Grimpow, przypominając sobie napisany dziwnymi znakami tekst zawarty w zapieczętowanym liście, który miał ze sobą rycerz zmarły w górach.

- Właśnie tak. Ciesz się mnie, że to rozumiesz - powiedział mnich, nie zdając sobie sprawy z tego, o czym naprawdę mówi Grimpow. Potem dodał: - Teraz musimy pójść dalej i dodać do naszej ubogiej mieszaniny metali trochę szlachetnego srebra.

Mówiąc to sięgnął po słoje i maleńką mosiężną łyżeczką nabrał nieco srebrnego proszku, po czym dodał go do tygla. Następnie wymieszał delikatnie masę.

- A teraz poczekamy, aż związek srebra wywoła pożądaną skutek i zaowocuje w brzuchu naszego tygla, podobnie do nasienia, które włożone do ziemi rozwija się, kwitnie i wydaje owoc. W ten sposób to, co ukryte, wyjdzie na jaw - powiedział. - A podczas gdy my, jak filozofowie, będziemy medytować nad tym, jak to się dzieje, że z nasienia pojawia się życie, dodamy nieco tego dziwnego metalu, który nie jest ani płynem, ani ciałem stałym, ale który może przeniknąć wszędzie...

- Rzęci - powiedział Grimpow, ponieważ to właśnie wyczytał w jednym z manuskryptów tajemnej sali bibliotecznej, a brat Assben popatrzył na niego, zaskoczony jego wiedzą.

- Istotnie, Grimpow - zgodził się i zmarszczył w uśmiechu swoją dobroduszną twarz błazna, zanurzając masę z tygla w kąpiel z rtęci. - Jednak równie dobrze moglibyśmy się posłużyć stopioną cyną, a nawet paroma szczyptami arszeniku do rozjaśnienia koloru masy, a potem do jej całkowitego wybielenia.

Grimpow zaobserwował, że bezkształtna i czarna masa, którą brat Assben zapoczątkował proces alchemiczny poprzez stopienie pospolitych metali: ołowiu, cyny, miedzi i żelaza, stopniowo przed jego oczyma zaczęła nabierać urody i zmieniać się w kawałek srebra, rosnąc powoli podobnie jak ciasto chlebowe rośnie pod wpływem zaczynu.

- To srebro pomimo swego szlachetnego wyglądu jest tak fałszywe, jak Judasz, ale tak udane, że mogłoby oszukać nawet samego skarbnika papieskiego w Awinionie - powiedział z uśmiechem mnich, dumny z tak szybkiego dokonania transmutacji.

Następnie wyciągnął długimi, wąskimi szczypcami swój kawałek srebra z tygla i włożył go do miski z zimną wodą. Rozległ się syk i z nad powierzchni naczynia uniósł się obłoczek pary. Ostudzony metal mnich owinął w bawełnianą ściereczkę i pocierał go, aż do całkowitego osuszenia.

- Pozostało nam jedynie spróbować szczęśliwie zakończyć naszą Wielką Pracę - powiedział, wzdychając jednak, co wyrażało jego wątpliwości - dodając nasienie złota i wkładając ten kawałek srebra do *theion hydor* czyli *aqua divina*, którą można nazywać także boską wodą.

- I to spowoduje zamianę kawałka fałszywego srebra w prawdziwy kawałek złota? - spytał Grimpow, nieskłonny do uwierzenia, że bratu Assbenowi w jego pracowni może się udać wytworzenie alchemicznego złota.

Mnich zielarz był świadomy swych ograniczeń w sztuce transmutacji. Włożył z powrotem fałszywe srebro do tygla, stopił je i dorzucił mikroskopijną porcję złotego proszku, którą wyjął z małego woreczka schowanego w szufladzie stołu, a potem przyznał szczerze:

- Gdyby udało mi się uzyskać odpowiednią boską wodę, dobierając właściwie składniki, być może zdarzyłby się cud, ale na razie udało mi się jedynie wytworzyć coś w rodzaju żółtawej tynktury, której nawet najgłupszy z ludzi nie uznałby za złoto. Choć muszę stwierdzić, że podczas pewnych moich usiłowań, aby sporządzić boską wodę z innych niż zwykle składników, udało mi się uwarzyć trunek zielonkawego koloru, niezwykle smaczny i mający tak zdrowotne działanie, że brat Brasgdo uznał go za prawdziwy eliksir życia.

Grimpow wspomniał, jak brat Rinaldo opowiedział mu o powszechnie znanych upodobaniach brata Brasgdo, który chętnie pijał wino, piwo i co popadło, a w tym czasie zielarz sięgnął do stojącej koło stołu ławy i wziął stamtąd brzuchaty alembik. Umieścił go nad ogniem i wlał do niego butelkę octu. Gdy ocet zaczął wrzeć, dodał parę kawałków wapna i kilka kryształów siarki, a potem wrzucił skórki z cytryny, miód, ostrą paprykę, gałkę muszkatałową i drzazgi drewna sandałowego. W pracowni rozszedł się przyjemny, lekko

oszałamiający zapach, przypominający konfitury z kwaśnych owoców.

Podczas gdy czekali, aż w wyniku destylacji boska woda nabierze właściwości koniecznych do dokonania ostatecznej transmutacji srebra w złoto, brat Assben opowiedział Grimpowowi, że jeden z dawnych mistrzów alchemii o imieniu Zosimo umiał uzyskiwać boską wodę poprzez destylację kurzych jaj. Powiedział, że on sam też usiłował destylować jajka, ale udało mu się jedynie je ugotować, co nie jest żadnym osiągnięciem, bo robi to bez trudu nawet brat Brasgdo w swojej kuchni. Boska woda natomiast została wynaleziona przez Marię Żydówkę, niezwykle mądrości alchemiczkę żyjącą przed siedmioma wiekami, której podobno udało się za pomocą boskiej wody wytworzyć kamień filozoficzny.

- Teraz jestem już pewien, że jajka, o których mówi Zosimo w swoich dziełach, są jedynie symbolami, których prawdziwe znaczenie znał jedynie on sam i jego uczniowie - dodał brat Assben.

Było to coś, o czym Grimpow już wiedział, gdyż w manuskryptach, które czytał w bibliotece, istniały liczne wzmianki o symbolicznych figurach przedstawiających proces alchemiczny, takich jak Słońce, Księżyc, Planety, Kochankowie, Smoki lub Węże. Natknął się nawet na symbol alchemiczny przedstawiający węża gryzącego własny ogon, zwanego Ouroboros, identycznego jak ten, który został wypalony gorącym żelazem na grzbiecie białego konia i jak ten, który widniał na złotej pieczęci rzekomego templariusza zmarłego w górach.

Gdy boska woda została pozbawiona wszelkich nieczystości, mały mnich przelał cenną zawartość alembika do innego naczynia, a potem uroczyście i z widoczną nadzieją włożył do niej swój kawałek srebra.

Czekali przez pewien czas, odmierzany czterema obrotami piasku w klepsydrze, którą brat Assben umieścił obok naczynia, i ujrzeli, że fałszywe srebro powoli nabiera lekko żółtawego odcienia.

- Czyżby to było alchemiczne złoto? - spytał Grimpow z niedowierzaniem.

- Nazywać tak poźółkłe i fałszywe srebro byłoby nadawaniem mu cnoty, której ku mojemu ubolewaniu nie posiada - odrzekł zawiedziony mnich.

W tej właśnie chwili rozdzwoniły się dzwony opactwa wzywając na nieszpory i brat Assben poszedł do kościoła, aby zająć swoje miejsce na chórze, zostawiając kawałek srebra w naczyniu. Grimpow pozostał sam w pracowni i wziął się do porządków, układając na miejsce pojemniki i narzędzia, leżące bezładnie na stole i ławach. Następnie zaś, korzystając z okazji, jaka się nadarzyła i z tego, że nikt go nie obserwuje, postanowił doprowadzić do końca swoje doświadczenie. Wyjął swój kamień z lnianego woreczka i włożył go do boskiej wody, którą

mnich zielarz przygotował z tak wielkim staraniem. W tym momencie kamień rozjarzył się czerwono, jak kawałek gorącej lawy, boska woda zaczęła ponownie wrzeć, jak w zaczarowanym kotle, a kawałek matowego, żółtawego metalu nabrał pięknego, złotego koloru i stał się równie błyszczący jak słońce.

Grimpow zaczął powoli przyzwyczajać się do nieobecności Durliba i chociaż nadal codziennie go wspominał, pocieszał się myślą, że gdyby wszystko ułożyło się inaczej, nigdy w życiu nie mógłby się nauczyć tego wszystkiego, co teraz wiedział. Przekonywał sam siebie, że Durlib podjął decyzję o rozstaniu właśnie po to, aby on mógł poświęcić cały czas na studiowanie pod przewodnictwem brata Rinalda z Metz. Jednak jakiś wewnętrzny impuls, silniejszy od rozumu, popychał go do opuszczenia opactwa Brinkdum i udania się w poszukiwaniu sekretu mędrców.

Jakiś czas temu jeden z nowicjuszy, Pobé de Lanforg - syn hrabiego de Lanforg, pana i władcy bogatego hrabstwa usytuowanego na południowym wschodzie okręgu Ullpens - z którym Grimpow nawiązał przyjacielskie stosunki z racji tego, że spali obok siebie w dormitorium, zaproponował mu wspólną ucieczkę z opactwa. Obiecał mu, że mianuje go swoim giermkim, gdy dotrą do zamku ojca, tam zaopatrzą się w konie i broń, a potem wyruszą na podbój świata. Pobé był niespokojnym młodzieńcem o żywym temperamencie, czarnych jak węgiel włosach i oczach jak iskry, którego ojciec przymusił do wdziania zakonnego habitu na początku jesieni, aby ukarać go za ciągłe psoty i lekkomyślne zaloty do dziewczek służebnych. Hrabia ufał, że przedłużony pobyt jego młodszego syna w opactwie nie tylko nauczy go dyscypliny i panowania nad popędami, ale będzie też stanowił zasługę przed Bogiem, któremu Pobé będzie mógł służyć poprzez modlitwę i pracę, przyczyniając się jednocześnie do pomyślności swego szlchetnego i szeroko rozgałęzionego rodu, w którym rycerze byli o wiele liczniejsi niż klerycy, biskupi czy opaci.

Pobé, który właśnie skończył siedemnaście lat, zapewniał Grimpową z niepohamowanym entuzjazmem, że jeszcze przed końcem wiosny wyniesie się z opactwa, korzystając z przybycia do Brinkdum pielgrzymów z północno-wschodniej Alzacji, którzy każdego roku przekraczali górskie przełęcze w drodze do dalekiego miasta Santiago de Compostela w Hiszpanii. Twierdził, że w Hiszpanii nadal walczy się z niewiernymi, a królowie i szlachta potrzebują młodych najemników zdolnych do rycerskiej służby i dowodzenia oddziałami zbrojnych. Pewnej nocy, kiedy obydwoj nie mogli zasnąć i otepieli ze zmęczenia wpatrywali się w migotanie wiecznej lampki, opowiedział mu, że ziemie odebrane hiszpańskim muzułmanom są rozdzielane między rycerzy dowodzących w bitwach, a oni

potem budują na nich zamki o wieżach sięgających nieba. Pobé był zdecydowany nie zaprzepaścić okazji do zdobycia podobnych zysków i zaszczytów i zagroził Grimpowowi, że jeśli nie zdecyduje się mu towarzyszyć, poszuka sobie innego giermka, który lepiej doceni zaszczyt służby dla rodu de Lanforg.

Kiedy indziej Grimpow nie wahałby się ani przez chwilę i został wiernym giermkim rycerza Pobego de Lanforg, obiecującego i niepozbawionego fantazji, jednak gdy ten chciał jechać na południe, aby zdobyć wieczną sławę bohatera, Grimpow musiał udać się na północ, aby dochować wierności swemu przyrzeczeniu i dokończyć misję zmarłego rycerza.

- Ucieknę z opactwa jeszcze tej nocy, gdy wszyscy mnisi ułożą się do snu. Masz dzień czasu, aby się zdecydować - wyszeptał mu do ucha nowicjusz Pobé pewnego ranka, gdy Grimpow siedział sam w bibliotece, podczas gdy brat Rinaldo przepisywał w *scriptorium* notatki z tabel astrologicznych do manuskryptu *Theorica Planetarum*.

- Czyżbyś zwariował? Na drogach grasują rozbójnicy, którzy napadną cię zanim zdołasz opuścić dolinę, a gdy odkryją, że jesteś synem hrabiego, zażądają od niego okupu. Zagrożą, że obetną ci głowę, jeśli nie spełni ich żądań. Zbyt dobrze znam tych złodziei i morderców, którzy nie mają litości dla nikogo, wierz mi - ostrzegł go Grimpow tak cichym szeptem, że Pobé puścił jego słowa mimo uszu.

- Nie wytrzymam ani dnia dłużej w tej klasztornej ciszy, która nadto przypomina spokój panujący w grobie. Jutrznie i nieszpory nie zostały stworzone dla takich ludzi jak ja. Moją duszę przepełniają marzenia, żeby wsiąść na konia, uchwycić miecz i przemierzać świat, gdzie będę mógł podbić serce jakiejś pięknej nieznanym - zdesperowany Pobé przemawiał poetycznie, jak trubadur.

- Wstrzymaj się chociaż do chwili, aż będziesz mógł uciec wraz z jakąś grupą pielgrzymów. Wiesz, że już wkrótce przybędą do opactwa, korzystając z tego, że śniegi stopniały w górach - nalegał Grimpow.

Pobé de Lanforg pokręcił przecząco głową.

- Już jutro może być za późno. Poza tymi murami czeka mnie wolność i chwała, a piękne damy niechętnie będą patrzyły na dalszą zwłokę. Co dzień słyszę ich słodkie głosy, przyrzekające mi tysięczne uciechy i przygody, postanowiłem więc nie zwlekając podążyć ku ich delikatnym ramionom, zanim moja dusza zwiędnie do reszty pośród śpiewów i modłów w tym opactwie - powiedział Pobé, a jego oczy zabłyły jak żagwie.

Był to kolejny raz, gdy Pobé de Lanforg wspominał o rozkoszach miłości, o słodczych pocałunków i delikatnych pieszczotach młodych panien. Słowa nowicjusza nasunęły na myśl Grimpowowi syreny, ich krągłe, nagie piersi i czarodziejskie głosy, o których marzył w

swych snach. Poczł ogromną pokusę ucieczki z Brinkdum wraz z Pobem de Lanforg jeszcze tej samej nocy w poszukiwaniu przygód i miłostek, a jego wezwanie dudniło mu w głowie, jak huk gromu w burzliwą noc. Przecież to właśnie było jego odwiecznym marzeniem. Od kiedy pamiętał, Grimpow chciał zostać giermkim błędnego rycerza i wędrować po świecie z turnieju na turniej, jak bohaterowie, których żonglerzy opiewali na placach i rynkach. Jeszcze niedawno miał też nadzieję, że wyruszy z Durlibem na poszukiwanie *finis mundi*. Ale teraz, gdy miał okazję uciec i zakosztować pełnego przygód życia w towarzystwie Pobego, jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go, że nie to jest jego przeznaczeniem i że nie powinien pochopnie podejmować decyzji tej wagi.

- A gdzie masz zamiar się udać? - spytał Grimpow.

- Pojadę na południowy zachód i zajrzę do zamku Lanforg, aby pożegnać się z moją matką zanim wyruszę do Hiszpanii.

- Ojciec każe cię odesłać z powrotem do opactwa pod eskortą, gdy tylko pojawisz się w zamku.

- Zapewniam cię, że nawet jako nieboszczyk nie wrócę na ten cmentarz.

- Tu nie jest tak źle - szczerze stwierdził Grimpow, ponieważ aż za dobrze znał życie włóczęgi.

- Tak się tobie wydaje, bo jesteś wolny, jak ptak. Chociaż nie wiesz czemu lubisz spędzać całe dni w otoczeniu bezużytecznych manuskryptów, które w niczym nie mogą się przydać wędrownemu rycerzowi, a jeszcze mniej dobremu giermkowi w wypełnianiu jego obowiązków. Jeśli pójdziesz ze mną, nigdy tego nie pożałujesz - powiedział nowicjusz Pobé de Lanforg z tonem arogancji w głosie, który jednak pod koniec przemowy zamienił się w prośbę.

- Pozwól mi się zastanowić, nie jestem całkiem pewien, czy los przeznacza nam wędrowkę po tych samych drogach świata, ani czy oczekują na nas te same przygody - odpowiedział Grimpow, osaczony poważnymi wątpliwościami.

- Daję ci czas do komplety, abyś się zastanowił. Gdy zgaśnie ostatnia pochodnia w klasztorze, a ciebie nie będzie w stajni, uznam, że zrezygnowałeś z zostania moim giermkim i opuszczę opactwo nie oglądając się wstecz, aby nigdy już tu nie wrócić.

Tej nocy nikt nie spał na wiązce słomy nowicjusza Pobego de Lanforg, a kiedy przed świtem dzwony zaczęły wzywać na primę, Grimpow domyślił się, że w kościele zacznie się zamieszanie, gdy tylko mnisi zobaczą puste miejsce na chórze. Pobiegł więc uprzedzić brata Rinalda, zanim wieść o nowej zbrodni rozprzestrzeni się wśród lękliwych mnichów opactwa z szybkością ognia pożerającego słomianą strzechę. Jednak gdy Grimpow wszedł do kuchni,

aby poprosić kucharza, żeby udał się do kościoła i uprzedził opata i brata Rinalda, że ma im coś ważnego do powiedzenia na osobności, okazało się, że jest już za późno. Niektórzy z nowicjuszy też spostrzegli, że Pobé de Lanforg nie spędził nocy w dormitorium i byli przekonani, że został zamordowany przez ducha templariusza.

- Na pewno poderznął mu gardło, tak jak dawnemu opatowi! - krzyknął brat Brasgdo do wchodzącego do kuchni Grimpowa, nie dając mu możliwości powiedzieć ani słowa.

- Co takiego? - spytał Grimpow.

- Jeszcze o niczym nie wiesz? Młody nowicjusz Pobé de Lanforg zniknął. Nikt go nie widział od wczorajszej komplety, a tego ranka nie był także na primie. Wszyscy go szukają i obawiają się, że został zamordowany - powiedział zaaferowany mnich.

Widząc na obliczu brata Brasgdo takie podniecenie, jak gdyby ukazało mu się widmo rycerza, Grimpow powiedział żartobliwie:

- Lepiej zapomnijcie o grzebaniu go za młodu, bo Pobé de Lanforg jest równie żywy i zadowolony z życia, co i wy sami.

- Jak to?

- Uciekł wczoraj z opactwa, aby zamienić regułę klasztorną na rycerską przygodę i rozkosze miłości - powiedział Grimpow, śmiejąc się głośno.

Kucharz postawił na stole trzymany w ręce dzban mleka, otarł dłonie w brunatny habit i powiedział dość obojętnie:

- Zawsze podejrzewałem, że ten buntowniczy nowicjusz jest łajdakiem... Ale powiedz, skąd ty wiesz, że uciekł z opactwa?

- On sam mnie o tym uprzedził. Zaproponował mi nawet, abym uciekł wraz z nim i został jego giermkim, dając mi słowo, że żadne chrześcijańskie królestwo nie widziało nigdy takich wyczynów, jakie staną się naszym udziałem.

- Kiedy jego ojciec, hrabia de Lanforg dowie się, że syn marnotrawny, z którego chciał zrobić biskupa, uciekł z opactwa, młodego Pobego istotnie czeka nie lada wyczyn. Doprawdy nie wiem, jak mu się uda uniknąć porachowania kości przez rodziciela.

- Czy aż tak surowy jest hrabia de Lanforg? - chciał dowiedzieć się Grimpow, słysząc cierpkie przewidywania kucharza.

- Mówią, że może powalić niedźwiedzia ciosem pięści i że nikt nigdy nie odważył mu się sprzeciwić, z obawy, że zostanie nadziany na ostrze jego miecza, jak pieczeń na rożen.

Grimpow nie wiedział, czy brat Brasgdo żartuje, czy przesadza korzystając z jego naiwności, bo w tej właśnie chwili do kuchni weszli opat i brat Rinaldo, szepcząc coś do siebie.

- Jeśli w stajni brakuje konia, z pewnością zabrał go nowicjusz - usłyszał Grimpow wypowiedź starego mnicha.

Grimpow podszedł do nich i opowiedział, co wiedział. Opat zmarszczył brwi, aby pokazać swoje niezadowolenie, ponieważ hrabia de Lanforg nie tylko był gorliwym wyznawcą św. Dustana, wędrownego mnicha, którego relikwie były przechowywane w ciemnej i wilgotnej krypcie opactwa, ale przede wszystkim wspomagał corocznie sutymi donacjami klasztor. Ucieczka zbuntowanego syna poważnie zagrażała ustaniem w przyszłości wizyt i hojności hrabiego.

Obaj mnisi opuścili kuchnię i udali się w kierunku chóru, po drodze dalej ciągnąc swą dysputę, a Grimpow pozostał sam z bratem Brasgdo, który zajmował się wytwarzaniem pysznych, kozich serów. Mieszał właśnie owarzone mleko w wielkich, glinianych garach, żeby oddzielić serwatkę.

- Czy to prawda, że hrabia de Lanforg często odwiedza opactwo? - spytał Grimpow kucharza, pomagając mu wlewać twaróg do woreczków z cienkiego, lnianego płótna, w których miał obciekać.

- Zazwyczaj przybywa tu w otoczeniu swego dworu już na wiosnę, ale przeważnie widzimy go latem, kiedy w dolinie ustępuje chłód, fatalnie działający na jego obolałą nogę. Podagra dokucza mu odkąd pamiętam. Zawsze powtarza, że kiedy pomodli się do św. Dustana w krypcie, a potem wypije ziołowe napary brata Assbena, czuje taką ulgę w swych ciągłych dolegliwościach, że gdyby nie ogromna ilość ciężących na nim obowiązków i konieczność obrony hrabstwa, zamieszkałby w opactwie, żeby co dzień móc doświadczać tych cudów.

- Czyżby hrabia de Lanforg naprawdę wierzył, że św. Dustan przejmuje się jego atakami podagry? - spytał Grimpow.

- Choć jesteś niedowiarkiem, bo nie chciałbym cię nazwać heretykiem - powiedział brat Brasgdo, patrząc na niego z ukosa, lecz czule - wierz mi, że cuda św. Dustana są znane w całym chrześcijańskim świecie. Będziesz mógł się o tym przekonać, kiedy do opactwa zaczną nadciągać pierwsi pielgrzymi.

Grimpow zrozumiał teraz, dlaczego nowicjusz Pobé de Lanforg spieszył się tak z ucieczką, chcąc zdążyć przed wizytą hrabiego, swego ojca, na wiosnę rozpoczynającego doroczny cykl kuracji. Nie wiedział natomiast jeszcze, że wkrótce i on sam opuści opactwo i że w zamku barona Figueltacha de Vokko spotka swego przyjaciela, uzbrojonego w kopię i miecz, jak przystało szlachetnemu rycerzowi.

Król dnia i pani nocy

Pierwsi pielgrzymi z północy zaczęli przybywać do opactwa na początku kwietnia, a z nimi dotarły nowe wieści ze świata. Mówiono, że wielki mistrz zakonu templariuszy Jakub de Molay został spalony żywcem na stosie i że rzucił klątwę na papieża i króla Francji, grożąc im śmiercią i sądem bożym przed upływem roku. Grimpow nie przejął się zbytnio tymi wiadomościami, a mnisi z opactwa także ich nie komentowali, choć w jakiś czas potem okazało się, jak były istotne.

Pewnego dnia, gdy świetliste szpony błyskawic rozdzierały ciemne chmury kryjące niebo, Grimpow przyglądał się z okna biblioteki przybywającej do opactwa grupie szlachciców odzianych w szaty w żywych kolorach, którym towarzyszyła liczna świta paziów i służących. Zachęcony panującym zgiełkiem zszedł do klauzury, a stamtąd do przeznaczonej dla szlachetnych gości części opactwa, gdzie pod hałaśliwym i chaotycznym nadzorem brata Brasgdo kręcił się Kense i inni słudzy, zajmując się lokowaniem przybyłych w komnatach. Kucharz gestykulował, wydawał wszystkim rozkazy i tocząc swój okazały brzuch miotał się na prawo i lewo, witając damy i panny wysiadające z powozów. Grimpow pokonał zwały kufrów i skrzyń i właśnie miał zamiar podejść do mnicha, aby zapytać, czy będzie mógł być w czymś pomocny, gdy ujrzał dziewczynę o oczach tak jasnych i przejrzystych, jak dwa kryształy górskie, wysiadającą z karety przybranej kwiatami. Dziewczyna zauważyła młodzieńca patrzącego na nią z zachwytem i uśmiechnęła się do niego. Grimpow się zarumienił, a jego myśli rozpierzchły się na wszystkie strony, jak stadko przestraszonych wróbli. Po raz pierwszy raz w życiu poczuł, że serce zabiło mu miłością, a krew zaczęła żywiej krążyć i wrzeć, sprawiając, że zadrżał od stóp do głów, jak liście osiki na wietrze. W tej właśnie chwili zrozumiał, co nowicjusz Pobé de Lanforg miał na myśli, mówiąc o miłości i niepokoju duszy i zapragnął, aby ta magiczna chwila trwała wiecznie. Niestety, brat Brasgdo zobaczył, że Grimpow wpatruje się w dziewczynę o oczach koloru wody i kazał mu natychmiast wrócić do biblioteki i zająć się nauką, zanim wmisza się w to diabeł i zacznie go kusić nieczystymi i grzesznymi myślami. Grimpow posłuchał zgrzytając zębami ze złości i wrócił do biblioteki, gdzie spędził popołudnie wpatrując się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń i zagłębiając się w słodkie marzenia. Zakradał się parę razy do gościnnych

pomieszczeń opactwa, starając się ujrzeć swoją boginię, która wyłoniła się z nicości przed jego oczyma i znikła, jakby rozwiewając się w powietrzu, podobnie do ciała zmarłego rycerza. Nie udało mu się jednak jej zobaczyć i nigdy już jej nie spotkał. Następne noce spędził bezsennie, starając się odtworzyć w pamięci piękną twarz tajemniczej nieznajomej, której głosu nigdy nie słyszał, ale który rozbrzmiewał w jego marzeniach, jak upajający śpiew syren.

Większość pątników przybywała w licznych grupach, które zmierzały do Santiago de Compostela, przekraczając Alpy z północnego wschodu na południe i wybierając szlak, który łączył okręg Ullpens z gościńcem prowadzącym do odległego francuskiego opactwa Vezelay. Tam przyłączali się do innych pielgrzymów, którzy wędrowali z Niemiec lub z Paryża, żeby odpokutować za grzechy i oczyścić swe dusze przy grobie Apostoła Jakuba na dalekich krańcach Hiszpanii.

Jednak było też sporo ludzi, którzy przybywali z pobliskich okręgów, przyciągani do opactwa sławą cudownych relikwii św. Dustana, przechowywanych w białym sarkofagu w krypcie kościoła. Święty Dustan był pierwszym mnichem, który dotarł do doliny Brinkdum, kiedy żyły tam jedynie wilki i niedźwiedzie. Zbudował sobie małą, drewnianą chatę, w której samotnie, z dala od ludzi, przez lata wiódł życie pustelnika. Według legendy jego prawdziwe imię brzmiało Dustan z Guillol. Wziął udział w pierwszej wyprawie krzyżowej Piotra Pustelnika prowadzącego do Jerozolimy armię złożoną z wygłodniałych biedaków, awanturników i banitów, którzy mieli nadzieję znaleźć w Ziemi Świętej wyzwolenie od doczesnej nędzy i wieczne zbawienie dusz, a na swoje nieszczęście napotkali jedynie ostrza muzułmańskich mieczy lub zginęli od głodu, chorób i morowego powietrza. Dustan z Guillol był jednym z nielicznych ocalałych z tego piekła. Powrócił, aby zdać sprawę z niepowodzenia wyprawy i nawoływać do dalszego prowadzenia wojny z niewiernymi. Biorąc przykład ze swego mistrza Piotra Pustelnika jeździł od wsi do wsi na osle, boso i w łachmanach, wykrzykując na całe gardło wezwanie do krucjaty i budząc entuzjazm wśród słuchaczy. Lecz pewnego dnia Dustan z Guillol zniknął z gościńców bez wieści i dopiero po dłuższym czasie grupa mnichów, która przemierzała te góry odnalazła jego skromną pustelnię w lesie, a w niej leżące na pryczy nagie kości. Mnisi, zachwyceni pięknem gór postanowili pozostać w dolinie i strzec szkieletu pustelnika, który umieścili w krypcie opactwa wybudowanego na jego cześć. Opactwo wkrótce zyskało sławę w całym okręgu Ullpens, dzięki cudom sprawianym przez relikwie świętego kaznodziei, krzyżowca i pustelnika. Początkowo zabudowania opactwa stały na miejscu pustelni, jednak częste lawiny śnieżne zmusiły mnichów do przeniesienia ich tam, gdzie się obecnie znajdują.

Grimpow nie mógł się nadziwić, że Kościół uznaje za świętych ludzi, którzy nie szczędzili starań, aby zabić jak najwięcej swych bliźnich. Pewnego ranka, gdy nauka w bibliotece została zakłócona przez hałaśliwą grupę pielgrzymów, która przenocowała w opactwie i wybierała się w dalszą drogę do Santiago de Compostela, spytał brata Rinalda:

- Jeśli Bóg w Biblii mówi, że ludzie powinni kochać bliźniego swego, to dlaczego Kościół ogłosił wyprawy krzyżowe, żeby zabijać niewiernych w Ziemi Świętej?

Starego mnicha zaskoczyło pytanie ucznia i nie ukrywał niezadowolenia, że będzie zmuszony poszukać wyjaśnienia tej drażliwej kwestii. Skrzywił się i nic nie powiedział.

- Brat Brasgdo twierdzi, że św. Dustan przez połowę życia jeździł po świecie na osle, głosząc, że Bóg do niego przemówił, napełnił jego duszę siłą, i kazał mu wzywać chrześcijan do wyzwolenia świętego miasta Jerozolimy i wyrżnięcia w pień wszystkich niewiernych, którzy by się temu sprzeciwili lub stanęli mu na drodze - nalegał Grimpow.

- Brat Brasgdo jest gadułą, który nie jest w stanie zamknąć ust choćby po to, aby mu tam muchy nie powlatywały. Kiedyś mu je zaszyją, jeśli przekroczy miarę w swych słowach - powiedział gniewnym tonem starzec.

- A więc to prawda? - upierał się Grimpow.

Brat Rinaldo pomyślał przez chwilę i powiedział.

- Przed trzema wiekami chrześcijański świat popadł w fanatyzm religijny, dla którego trudno znaleźć usprawiedliwienie i postanowił wyrwać Grób Chrystusa spod panowania muzułmanów, którzy obchodzili się z nim bez najmniejszego szacunku. Bóg tak chciał.

- A komu Bóg objawił swoją wolę, aby tyle ludzkich istnień poświęcić w jego imię? - spytał Grimpow, wiedząc z góry, że bratu Rinaldo będzie trudno odpowiedzieć na to pytanie.

- Bóg przemówił do chrześcijan przez usta papieża Urbana II, który był wówczas głową Kościoła. Gdy nadszedł rok tysięczny ludzie chcieli podróżować do Jerozolimy, bo wierzyli, że tam znajdą królestwo niebieskie, ale pielgrzymi byli bezkarnie atakowani przez muzułmanów, którzy zabijali ich i poniżali, nie czując lęku przed nikim. Wtedy papież wezwał wszystkich możliwych i rycerzy, aby sięgnęli po miecze w obronie pielgrzymów. „Idźcie, bracia w Chrystusie, idźcie zwalczać nieprzyjaciół Boga, którzy uzurpują sobie prawo do Najświętszego Grobu Pana!”, tak krzyczał papież, ogłaszając pierwszą krucjatę na soborze w Clermont, w roku 1095 - mówiąc to, stary mnich wydawał się odzyskiwać całą siłę i witalność swych młodych lat, gdy był templariuszem.

- Mówiliście mi, że wzięliście udział w ósmej krucjacie. A więc tyle ich było? - chciał wiedzieć Grimpow.

- Muzułmanie nigdy nie przestali nękać i napadać naszych twierdz w Ziemi Świętej i

konieczne było wielokrotne ich odzyskiwanie, w czym brały udział liczne oddziały zbrojnych, pochodzących ze wszystkich stron Europy. Niemal dwa wieki trwały krwawe, niekończące się walki - powiedział z przygnębieniem brat Rinaldo.

- To dlatego jako rycerz templariusz zabijaliście kobiety i dzieci i obcinaliście im głowy mieczem, bracie Rinaldo - stwierdził Grimpow, świadomy tego, że rani starego mnicha, jakby wbijał mu sztylet w serce. Potrzebował jednak potwierdzenia, że obrazy, które widział po wzięciu do ręki miecza, w grocie, do której zaprowadził go Kense, były odbiciem prawdy, a nie złudzeniem.

Oblicze brata Rinalda wykrzywił grymas żalu i niedowierzania.

- Skąd się o tym dowiedziałeś? - wyszeptał drżącymi wargami, jakby w oczach Grimpowa zobaczył odbicie diabła.

- Kense zaprowadził mnie do podziemnej groty w opactwie i pokazał mi wasz miecz i wasze odzienie templariusza. Gdy wzięłem do ręki miecz ujrzałem w swoim umyśle tę masakrę tak samo wyraźnie, jak was teraz widzę.

Stary mnich westchnął z przygnębieniem i powiedział:

- Odpowiem na twoje pytanie, jeśli przysięgniesz, że będziesz tak samo szczery ze mną, jak ja z tobą.

- Dobrze - zgodził się Grimpow.

Zapadło krótkie milczenie, które obydwu wydało się wieczne.

- W tym czasie byłem przekonany, że osiągnę zbawienie zabijając te bezbronne istoty i że wolą Boga jest, aby wymordować wszystkich niewiernych, łącznie z kobietami i dziećmi - powiedział zrozpaczonym głosem starzec.

- Tak ślepi byliście, że uwierzyliście w te kłamstwa? - tonem zarzutu spytał Grimpow.

- Fanatyzm potrafi zaćmić umysł najtrzeźwiejszego człowieka, ale uwierz mi, że z nawiązką zapłaciłem za moje winy - zakończył żałośnie stary mnich.

Grimpow dowiedział się już, czego chciał, więc, choć nie podzielał zdania brata Rinalda, odrzekł:

- Zadajcie mi teraz wasze pytanie.

Brat Rinaldo odchrząknął i z pewną ulgą, że przesłuchanie już się skończyło, zapytał:

- Czy w jakiś sposób pomogłeś bratu Assbenowi, aby powiodła mu się transmutacja pospolitych metali w czyste złoto? - Patrzył przy tym uważnie w oczy Grimpowa, jakby chciał z nich wybadać, czy odpowiedź będzie szczera.

- Tak - powiedział po prostu Grimpow, mając nadzieję, że ta krótka odpowiedź wystarczy bibliotekarzowi.

- Czy wiesz, że niemal doprowadziłeś do szaleństwa brata Assbena, który widząc kawałek złota w swym alembiku pomyślał, że odnalazł właściwą formułę transmutacji alchemicznej i od tamtej pory dniami i nocami bezskutecznie próbuje w swojej pracowni powtórzyć doświadczenie? Jak ci się to udało?

Grimpow chciał zataić przed starym mnichem, że posłużył się kamieniem rycerza z gór, ale przysiągł i musiał dotrzymać słowa. Wyjął więc kamień z lnianego woreczka i pokazał go bratu Rinaldowi, który popatrzył zafascynowany, jakby miał przed sobą drzazgi z Krzyża Jezusowego.

- Włożyłem ten kamień do boskiej wody, którą brat Assben wytworzył w alembiku.

- Chciałbym go zobaczyć - poprosił mnich, wyciągając rękę.

Grimpow z obawą podał mu kamień, bo nie wiedział, co bibliotekarz chce z nim zrobić, ale ten jedynie zbliżył kamień do oczu, aby go lepiej obejrzeć i szepnął:

- A więc to tylko to.

- Co chcecie powiedzieć?

- Ten niewielki przedmiot jest niewątpliwie prawdziwym kamieniem filozoficznym, o którym mówią wszystkie legendy i manuskrypty. Jedynym zdolnym zmienić ołów w złoto i człowieka w mędrca - powiedział mnich. - Gdzie go zdobyłeś? Był własnością templariusza? - dodał, oddając kamień Grimpowowi.

- Tak, trzymał go w ręku zmarły rycerz, gdy Durlib i ja znaleźliśmy go w śniegu - przyznał. - Durlib myślał, że to zwykły amulet i dał go mnie. Powiedział, że ten kamień ma związek z moim przeznaczeniem.

- I nie mylił się. Durlib szybko przekonał się, że twoje przeznaczenie jest bardzo odmienne od jego losu i dlatego odszedł, zostawiając cię w opactwie. Tutaj już nauczyłeś się wszystkiego, czego mogłem cię nauczyć i nie wątpię, że w twym młodym wieku jesteś o wiele mądrzejszy od licznych uczonych, których poznałem w ciągu swego długiego życia. Sądzę, że nadeszła chwila, abyś wyruszył w swoją własną drogę, która powiedzie cię do Strasburga. Powinieneś odszukać tego Aidora Bilbicum, wspomnianego w pergaminie, o którym mi mówiłeś. Być może wesprze cię w próbie wyjaśnienia sekretu, z którym niewątpliwie ten tajemniczy kamień się wiąże.

- Niekiedy czuję, jakby sam kamień popychał mnie do opuszczenia opactwa - powiedział Grimpow.

- Jeśli opuścisz opactwo i uczynisz to, co dyktuje ci serce, przeszkody które napotkasz na drodze będą jedynie podnietą do podążania naprzód, jednak jeśli zostaniesz z nami wbrew twojej woli, najmniejsza przeciwność stanie się przyczyną do klęski. Wybór należy do ciebie.

Ja zgodzę się na to, co postanowisz.

Kiedy brat Brasgdo dowiedział się od starego bibliotekarza, że Grimpow postanowił wkrótce opuścić opactwo, poczuł się tak smutny i opuszczony, jak w dniach po zabójstwie opata.

- Myślałem, że Grimpow zostanie z nami jako nowicjusz i że wkrótce złoży śluby zakonne. Ktoś tak mądry jak on mógłby zostać opatem, biskupem, a nawet papieżem - powiedział z żalem.

- Twoje zainteresowanie Grimpowem jest godne pochwały, ale temu chłopcu los powierzył misję o wiele ważniejszą, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Grimpow w ciągu tych miesięcy nauczył się bardzo wiele o wielkich tajemnicach, które datują się od początków świata i które będą musiały wyjść na jaw, aby mogły posłużyć dla dobra ludzkości. Jego przeznaczenie znajduje się ponad gwiazdami.

- Cóż chcecie przez to powiedzieć, bracie Rinaldo? - spytał kucharz.

- Nie pytaj mnie o coś, na co nie mogę ci odpowiedzieć i co musiałbym ci wyjaśniać przez sto bezsennych nocy, a na koniec i tak nie wiedziałbyś o wiele więcej niż teraz.

- Nie rozumiem cię, bracie Rinaldo - powtórzył brat Brasgdo.

- Zrozumienie tej tajemnicy wywołałoby u ciebie większy niepokój, niż nieznajomość, na którą się uskarżasz. Posłuchaj mnie i postaraj się szybko zapomnieć, co ode mnie usłyszałeś.

Nastąpiły potem długie, nudne dni wypełnione deszczem i burzami, a gdy się skończyły, do opactwa przybył samotny jeździec o wyglądzie awanturника. Siedział na pięknym, karym koniu, którego sierść lśniła jak wody jeziora w świetle księżyca i prowadził muła, stąpającego obok leniwie i niezgrabnie. Muł obładowany był licznymi sakwami i torbami, do których przytroczone były części starej zbroi. W odróżnieniu od większości pielgrzymów, którzy przybywali z północy, rycerz nadjechał z południa.

Grimpow patrzył, jak jedzie ścieżką w górę. Tego ranka o świcie wyszedł zapolować z łuku na króliki i gdy zobaczył przybysza, wspinał się na skałę stojącą obok drogi. Jeździec był młodym, postawnym mężczyzną, o łagodnych rysach twarzy; na prawym policzku pojawiał mu się mały dołek, gdy uśmiechał się lub mówił. Jego strój był nieco znoszony, ale mimo to przybysz sprawiał wrażenie szlachetnego pana bez ziemi. Do pasa przypięty miał długi miecz o złoczonej rękojeści, a na grzbiecie muła spoczywała tarcza ozdobiona herbem, jasno mówiącym o jego związkach z alchemią. Widniało na nim słońce na niebieskim polu i księżyc w pełni na czarnym. Rycerz śpiewał miłym głosem piosenkę o miłości między

Słońcem - królem dnia i Luną - panią nocy:

*Król Słońce pokochał Lunę
I ścigał ją w koło po niebie.
- Poczekaj, o piękna Pani!
Bo świecę tylko dla Ciebie.
Pokochaj mnie, Pani nocy!
Jasność przynoszę Ci w darze.
Mej wiecznej wędrówki osłodo!
Miłością cię wieczną obdarzę.
- Pociecho mej smutnej drogi
Uśmierz mój ból i cierpienie
A w zamian za jasność i żar,
Dam ciemność Ci i milczenie. -
Odrzekła Luna, lecz w biegu
Nie chciała stanąć ni chwili.
I krążą tak całą wieczność
I zawsze będą krążyli.*

Rycerz podjechał do miejsca, gdzie stał chłopiec, zatrzymał konia i, patrząc na łuk, który Grimpow trzymał w ręku, spytał:

- Upolowałeś coś, chłopcze?

- Nie, nie udało mi się znaleźć żadnego królika, chyba wszystkie się potopiły podczas ostatnich deszczów - odparł Grimpow.

- Jesteś pewien, że umiesz posługiwać się łukiem? - spytał rycerz, z lekka się uśmiechając.

Grimpow nie odpowiedział. Po prostu wyjął strzałę z kołczanu, umieścił ją na cięciwie i wymierzył w fioletowy kwiat firletki, który kołysał się na wietrze o sześćdziesiąt kroków od nich. Napiął łuk i strzała przecięła ze świstem powietrze, obcinając łodygę kwiatu tak pewnie, jakby to zrobiła niewidzialna ręka zaopatrzona w ostry nóż.

- Całkiem niezłe - zaśmiał się jeździec. - Tam w dole spłoszyłem sarnę. Jeśli się pośpieszysz i poszukasz jej w zaroślach, może uda ci się ją upolować - dodał, wskazując gestem głowy gdzieś w dół doliny.

- Jeśli to wam nie wadzi, zaprowadzę was do opactwa i uprzedzę opata o waszym

przybyciu.

- Mieszkasz w opactwie Brinkdum?

- Od paru miesięcy. Przybyłem tu na początku zeszłej zimy.

- Jak cię zwać?

- Jestem Grimpow z wsi Obernalt. A wy, panie?

- Nazywam się Salietti, Salietti de Estaglia.

Nad ich głowami, ponad wierzchołkami świerków, przeleciał orzeł trzymając w szponach dogorywającego królika.

- Jesteście Włochem, panie?

- Tak.

- W opactwie mieszka ślepy, stuletni mnich, który urodził się w Alessandrii, we włoskim Piemoncie. Ma na imię Uberto - powiedział Grimpow.

- Słyszałem o nim i o jego alchemicznych teoriach - stwierdził rycerz, ściągając wodze, a jego koń zatańczył niespokojnie.

- Jesteście alchemikiem? - zaciekał się Grimpow.

- Nie, ale mój ojciec nim był i niekiedy opowiadał mi o mnichach, którzy także poszukiwali Wielkiej Tajemnicy - sposobu sporządzenia kamienia filozoficznego. Uberto z Alessandrii był powszechnie znany wśród alchemików swoich czasów.

Grimpow poczuł, że słowa nieznanego wywołują mu lekkie łaskotki w żołądku.

- Dokąd się udajecie? - wolał powiedzieć o czymś innym.

- Jadę na północ, drogą do Strasburga. Mam zamiar wziąć udział w wiosennych turniejach w Alzacji, na które zaprasza do swojego zamku baron Figueltach de Vokko.

- Słuszny cel! - z przejęciem powiedział Grimpow, gdyż jak błyskawica przemknęła mu przez głowę myśl, aby opuścić opactwo, towarzyszyć swemu nowemu znajomemu do Strasburga, tam odszukać Aidora Bilbicuma i wręczyć mu tajemniczą wiadomość.

- Takie jest moje postanowienie i mam nadzieję zwyciężyć w ucziwej walce wszystkich rycerzy, którzy skrzyżują ze mną kopie. Heroldowie barona Figueltacha de Vokko ogłosili, że zwycięzca będzie mógł wybrać królową turnieju spośród dam, przyglądających się gonitwom, a ja mam nadzieję spotkać księżniczkę, o której marzę - powiedział rycerz z uśmiechem.

Przez chwilę Grimpow widział w oczach rycerza Saliettiego de Estaglia ten sam błysk, który rozjaśniał oczy nowicjusza Pobego de Lanforg, w chwilach, gdy ten rozmyślał o rycerskich wyczynach.

- Potrzebujecie więc giermka, aby wam wiernie służył i dbał o waszą broń na

turniejach - Grimpow powiedział to szybciej, niż pomyślał.

- Chciałbyś pójść ze mną?

- Niczego bardziej nie pragnę - odparł chłopiec z entuzjazmem.

Salietti stwierdził, że jeśli istotnie jest to jego marzeniem, może uznać się od tej chwili za giermka. Mówiąc to, odpiął skórzane rapcie, wyjął miecz z pochwy i uderzył nim lekko Grimpowa w ramię, mówiąc z udawanym namaszczeniem:

- Tym dotknięciem miecza, które stanowi symbol poddania cię szlachetnym prawom rycerskim, pasuję cię na mojego giermka!

Potem wręczył mu swój ciężki miecz, aby nowo pozyskany giermek bez zwłoki zaczął wypełniać obowiązki, polegające na noszeniu broni za swym panem. Ujmując miecz w dłoń, Grimpow poczuł, że otwiera się przed nim nowy rozdział życia i że gdzieś w świecie czekają na niego niezwykle przygody i pasjonujące tajemnice.

Część druga

Zamki Kamiennego Kręgu

Drzewo wisielców

Nadszedł dzień rozstania z opactwem. Mnisi żegnali Grimpowa w milczeniu, lecz czule, a brat Brasgdo nieomal zatopił go w obficie wylewanych łzach. Także Grimpow czuł się wzruszony na myśl o opuszczeniu kamiennych murów, które w ostatnich miesiącach stały się jego schronieniem, ale miał świadomość, że ciąży na nim obowiązek doprowadzenia do końca misji, której nie udało się pomyślnie spełnić zmarłemu z gór. Towarzyszenie rycerzowi Saliettiinu de Estaglia stało się niepowtarzalną okazją dotarcia do Strasburga, której Grimpow nie mógł zlekceważyć. Brat Rinaldo nie tylko nie sprzeciwił się pomysłowi, lecz wydawał się uradowany, że krótka, lecz podniosła ceremonia pasowania Grimpowa na giermka już się odbyła. Stary mnich wezwał Grimpowa do biblioteki tuż przed wyjazdem i wyjawiał mu, że brat Uberto z Alessandrii zna mieszkającego w Strasburgu karczmarza, zwanego Junn Kulawiec, który mógłby być pomocny w poszukiwaniach Aidora Bilbicum.

- Jego gospoda nosi nazwę Pod Okiem Zielonego Smoka i znajduje się w Strasburgu, w pobliżu starego placu targowego, na którym teraz trwa budowa nowej katedry. Nie będzie ci trudno ją odnaleźć. Powiedz Junnowi, że przysłała cię brat Uberto z Alessandrii.

Potem poszli do stajni. Na jej progu stał Kense i patrzył na Grimpowa ze smutkiem, jakby i on żałował, że chłopiec odchodzi. Jednak gdy Grimpow chciał się z nim pożegnać, Kense wywinął się i zniknął za chlewikiem ze zrećnością łasicy. Brat Rinaldo podszedł do białego konia, którego Grimpow nazwał Gwiazdą.

- Nowy opat pozwolił podarować ci tego konia - powiedział stary mnich. - Ponieważ wyruszasz, aby kontynuować misję, której jego dawny pan nie zdołał dokończyć, wydaje się sprawiedliwe, aby i on ci towarzyszył.

Grimpow podziękował bratu Rinaldowi za wszystko, co ten dla niego zrobił, po czym założył Gwiewdzie ogłowie i siodło. Koń zarżał z zadowoleniem, jakby przeczuwał, że ma teraz nowego pana.

- Nie zapominaj, że poszukiwanie mądrości jest długą i ciernistą drogą. Obyś któregoś dnia doszedł do jej końca i oby powiodło ci się odkryć sekret mędrców. Przypuszczalnie, gdy tak się stanie, ja sam będę już na tamtym świecie, ciesząc się wiecznym pokojem w niebie. Ufam, że dzięki łasce boskiej nie zostanę pograżony w czeluściach piekielnych, gdzie

grzesznicy goreją po wiek wieków - zakończył brat Rinaldo z uśmiechem, od którego rozjaśniły się jego bezręse oczy.

Rycerz Saliotti de Estaglia siedział już na swym wierzchowcu u wrót opactwa i trzymał wodze muła obładowanego zbroją i zapasami przyszykowanymi na długą podróż przez brata Brasgdo. Gdy zobaczył nadchodzącego Grimpowa prowadzącego Gwiazdę, zaśmiał się głośno:

- Wydawałoby się, że to giermek powinien oczekiwać na swojego pana!

- Musicie przebaczyć waszemu słudze, panie Saliotti, bo to ja jestem odpowiedzialny za jego spóźnienie - odpowiedział, śmiejąc się także, brat Rinaldo.

Grimpow jednym skokiem dosiadł konia i powiedział dumnym tonem:

- Możemy jechać, gdy zechcecie, panie mój.

Mnisi stali w milczącym kręgu i machali rękami na pożegnanie, a brat Brasgdo miętosił swoją zajęczą łapkę i nadal ronił łzy, które usiłował powstrzymywać, marszcząc swą pulchną twarz. Już mieli wyruszać, gdy za plecami mnichów rozległ się głos brata Assbena, którego nieobecności przy pożegnaniach Grimpow bardzo się dziwił.

- Poczekajcie chwilę! - krzyknął mały zielarz. Po czym podbiegł do nich i wręczając Grimpowowi niewielką skórzaną sakiewkę, powiedział szeptem:

- Sądzę, że tobie może się to bardziej przydać niż mnie. Długo nad tym myślałem i doszedłem do wniosku, że ten kawałek złota, który znalazłem w pracowni, jest raczej twój niż mój. Ponownie go stopiłem i przekształciłem w niewielkie, złote ziarna, które w podróży mogą cię wybawić z oparów.

- Jesteście bardzo hojni, bracie Assbenie - powiedział Grimpow z wdzięcznością.

- Nie bardziej, niż ty byłeś w stosunku do mnie - pożegnał go zielarz z uśmiechem na swej zabawnej twarzy. A potem długo stał i patrzył w ślad za odjeżdżającymi, aż zniknęli mu z oczu w oddali.

Skierowali się w górę, aby pokonać zachodnie Alpy przez wąską przełęcz na północnym wschodzie. Gdy zaczęli piąć się stromą ścieżką, ciemny płaszcz chmur przysłonił słońce i sprawił, że szczyty górskie, na których zalegał wciąż śnieg, pokryły się cieniem. Grimpow odwrócił się po raz ostatni i popatrzył na ledwo już dostrzegalne czerwone mury opactwa. Czuł, że w ich wnętrzu pozostała uwięziona jego przeszłość, podobna do słodko-gorzkiego, niepokojącego snu, zamkniętego w skarbnicy pamięci. Tam widział po raz ostatni swego drogiego przyjaciela Durliba, tam ukrył się przed niegodziwym inkwizytorem Bulvarem z

Goztell, tam zamordowano opata, i tam zdobył wiedzę, którą teraz posiadał, a także dowiedział się o istnieniu sekretu mędrców i o templariuszach. Jednak nadeszła pora, aby wszystkie te wspomnienia pozostawić daleko za sobą i nie oglądać się wstecz. Teraz musiał patrzeć z uwagą przed siebie, aby nie zmylić drogi. Koniecznie musiał dowiedzieć się, kim jest Aidor Bilbicum, co oznaczał tekst zalakowanej wiadomości, czym dokładnie jest kamień znajdujący się w jego posiadaniu i jaki ma związek z sekretem mędrców, który papież i król Francji tak bardzo chcieliby zdobyć.

- Czy martwisz się, Grimpowie? - spytał Salietti, który jechał u jego boku dumnie, jak król bez ziemi.

- Nie. Po prostu myślę, że nigdy już nie zobaczę tej doliny - odrzekł Grimpow.

- Ależ nie mów tak! Przyszłość jest niepewna i kapryśna jak letnia burza. Być może któregoś dnia powrócisz do opactwa - stwierdził Salietti.

Ale Grimpow był pewien, że nigdy w życiu już tam nie wróci.

- Nawet nie spytaliście, panie, co powiedział mnich zielarz przed chwilą, gdy się żegnaliśmy - rzucił, chcąc zmienić przedmiot konwersacji.

- Nie lubię się mieszać w sprawy swych giermków - mruknął Salietti.

- Będzie lepiej, jak to wy schowacie tę sakiewkę - powiedział Grimpow, podając mu ją.

Salietti wyciągnął rękę, wziął sakiewkę i zaczął ją oglądać z zaciekawieniem.

- Co w niej jest?

- Sami lepiej zobaczcie, mój panie Salietti.

Salietti puścił wodze i zajął się odwiązywaniem sznurka, którym był ściągnięty skórzany woreczek. Rozchylił go i wyjął szczyptę złotych okruchów, wielkości i kształtu ziaren kukurydzy.

- Na osmaloną brodę alchemika! - krzyknął i gwizdnął przeciągle, a echo gwizdu odbiło się od górskich zboczy. - To prawdziwy mały skarb - powiedział z zadowoleniem.

- Możecie uznać go za wasz, bo przecież to wy jesteście panem, a ja jedynie sługą. Nie wypada, abym to ja miał przy sobie wasze bogactwa - stwierdził z ironią Grimpow.

- Prawy rycerz nigdy w życiu nie pozbawiłby swego giermka jego własności, jednak jeśli twym życzeniem jest, abym to ja strzegł skózanego woreczka ze złotem, nikt lepiej ode mnie nie wypełni tego szlachetnego zadania. Na kły Cerbera, mitycznego psa, przysięgam, że w obronie twojego dobytku nie zawaham się użyć miecza i wszystkiego rzucić na szalę - obiecał Salietti, chowając sakiewkę w zanadrze.

- Co wy na to, abyśmy w Ullpens kupili nowe szaty i zbroję odpowiednią dla rycerza

wysokiego rodu? Ta, którą posiadacie, jest bardziej pogięta i zardzewiała niż garnki w kuchni brata Brasgdo. Nie przystoi takiemu możnemu panu, jak wy i uwłacza godności waszego bogatego giermka - powiedział ze śmiechem Grimpow.

- Zgodzę się z ochotą, jeśli nie będziesz nalegał, abym zmienił na lepszy także swój miecz. Ten, który nazwałem imieniem greckiej bogini Ateny, ocalił mi wielokrotnie życie i mógłby być prawdziwą dumą każdego błędnego rycerza - odparł Salietti, chwytając za rękojeść.

- Znacie grecką mitologię, panie Salietti? - spytał Grimpow, słysząc kolejną wzmiankę o mitycznej postaci.

- Gdy byłem w twoim wieku miałem mistrza, który nauczył mnie wielu ciekawych rzeczy - odparł Salietti lekko.

- Atena była grecką boginią wojny - powiedział Grimpow.

- Ale uważano ją także za boginię mądrości, była patronką sztuk i literatury, miała też wiele wspólnego z filozofią - rozważał Salietti, a Grimpow domyślił się, że jego nowy przyjaciel i pan jest o wiele inteligentniejszy, niż chce dać po sobie poznać, mimo iż równocześnie jest biedny, jak mysz kościelna.

Jechali dalej, wciąż w górę, przez zielone hale, na które w lecie pasterze wyganiali owce na redyk i gdzie rozpalali ogniska, aby odganiać wilki od swych stad. Pozostawili poza sobą wodospady, spadające z wysoka jak długie pasma końskiego włosia i roztrzaskujące się w wirze piany na ostrych skałach. Omijali zlodowaciałe jezory lodowców, w których otwierały się ogromne, bezdenne szczeliny i musieli zejść z koni, aby przeprowadzić je po wąskich ścieżkach nad przepaścią. Na koniec dotarli do przełęczy między ostrymi szczytami gór i po jej drugiej stronie dostrzegli w oddali otoczone wysokimi murami miasto Ullpens, położone na rozległej równinie.

Gdy dotarli do bram miasta było jeszcze jasno. Akurat przez most zwodzony wjeżdżały wozy z sianem, na które halabardnicy z małej wieży strażniczej nie zwrócili najmniejszej uwagi. Ich samych też nikt nie zapytał, kim są i dokąd jadą, aczkolwiek mieli na taką okoliczność list polecający do biskupa Strasburga, wystawiony przez opata z Brinkdum na prośbę brata Rinalda z Metzu. Taki glejt pozwalał na znalezienie bez trudu gościny we wszelkich miastach i zamkach znajdujących się po drodze do miejsca przeznaczenia.

Jak na tę porę dnia, ulice miasta były dość opustoszałe. Natomiast w miarę, jak zbliżali się do rynku, do ich uszu dochodziła coraz głośniejsza wrzawa tłumu. Rycerz Salietti przypisał ją odbywającemu się jarmarkowi, o czym zdawały się świadczyć rozstawione przy

główniej ulicy nędzne stragany przekupniów, natrętnie i głośno zachwalających swe towary.

Grimpow zgodził się z jego zdaniem i wjechali na plac. To, co ujrzeli, sprawiło, że Grimpow nieomal stracił zmysły ze zgrozy. Na drzewie wisielców, podobny do straszliwego stracha na wróble, wisiał trup jego przyjaciela Durliba, a zgromadzony wokół tłum, ogarnięty podnieceniem i bliski szału, śmiechem i wrzaskiem wyrażał swą radość z publicznej egzekucji.

Na wpół obnażone i zakrwawione ciało Durliba kołysało się jak wahadło, jego oczy były wybałuszone, a z otwartych ust wystawał język, jakby ofiara chciała przed śmiercią zadzwonić ze swych katów. Grimpow zamknął oczy, wydał okrzyk przerażenia i taką siłą zacisnął pięści, że wbił sobie paznokcie w dłonie.

- Znałeś tego człowieka? - zdeorientowany Salietti popatrzył na łkającego giermka.

Grimpow z trudnością wydusił z siebie kilka słów, mówiąc, że powieszonym nieszczęśliwym jest Durlib, który był dla niego jak ojciec przed pobytem w opactwie.

- Odjedźmy stąd, gdyż nie możemy już nic uczynić, aby mu pomóc - powiedział Salietti, poruszony cierpieniem Grimpowego.

Grimpow nie był w stanie się ruszyć. Chciałby móc chwycić miecz Saliettiego i popędzić ostrogami konia, żeby tratować tłuszczę, nadal natrzęsając się z martwego ciała jego przyjaciela.

- Jedźmy, Grimpowie, sądzę, że wiele jeszcze muszę się od ciebie dowiedzieć - powiedział Salietti, ciągnąc za wodze Gwiazdę.

Opuścili rynek przejeżdżając pod niską arkadą zamykającą wylot uliczki, potem minęli zrujnowany kościół i skręcili w zaułek, wzdłuż którego stały domy z pruskiego muru. Przez otwarte drzwi karczmy stojącej na końcu zaułka widać było chudą kobietę z twarzą pokrytą śladami po ospie, która zbierała gliniane dzbanki z brudnego stołu. Salietti zsiadł z konia, pomógł zsiść Grimpowowi i zajął się przywiązywaniem wodzy koni i muła do żelaznego kółka wbitego w ścianę w pobliżu drzwi karczmy.

Kobieta popatrzyła na nich nieufnie. Wytarła ręce w fartuch i zapytała, dlaczego nie zostali na rynku, aby popatrzeć na egzekucję.

- Całe miasto się tam zebrało. Zupełnie jak kruki i wrony wokół padliny - powiedziała.
- Wydaje im się zabawne patrzeć, jak ktoś umiera. W ten sposób zapominają, że i na nich nadejdzie pora, aby zdać rachunki przed Bogiem - dodała nosowym głosem.

Salietti wskazał Grimpowowi miejsce pod oknem i zażądał gorzałki. Potem spytał:

- Cóż uczynił ten człowiek, że osądzono go z taką pompą?

Kobieta wydawała się zadowolona z ciekawości Saliettiego.

- Z tego, co wiem, włóczył się tu od paru dni całkiem pijany i przechwalał się, że posiada skarb tajemniczego rycerza, którego znalazł martwego w górach w pobliżu opactwa Brinkdum. Kiedy chcieli go schwytać zbrojni hrabiego, wyciągnął puginał i jednemu uciął ucho, drugiemu rękę, a trzeciego całkiem zabił. Ludzie mówią, że to łotr, który parę miesięcy temu przybył do Ullpens i wydawał na prawo i lewo pieniądze wybite przez tych sługów szatana - templariuszy. Chyba mu rozum odjęło z żalu, że tak bez sensu i pożytku roztrwonił swoją fortunę - beznamiętnym tonem mówiła kobieta, napełniając kubek wódką. Potem skinęła głową w kierunku Grimpowa i spytała: - A temu co się stało?

- Niedobrze się czuje. To go szybko postawi na nogi - odparł Salietti i zbliżył kubek do ust chłopca.

Grimpow posłusznie wypił trunek, myśląc cały czas o Durlibie i jego nieszczęsnym losie. Bezlitosna Fortuna zakończyła jego życie na drzewie wisielców w Ullpens, tym samym, które tak często przywoływał w swoich wyrzekaniach. Raz za razem, jak w niekończącym się koszmarze sennym, powracał do niego obraz ciała kołyszącego się na gałęzi. Wspominał, że Durlib wielokrotnie zapowiadał swoją śmierć, w co Grimpow nigdy nie chciał uwierzyć. W uszach brzmiały mu słowa, które usłyszał w dniu ucieczki z gospody wuja Felsdrona Burmucha: „Moja wolność posłuży mi jedynie do tego, aby któregoś pięknego dnia zadyndać na placu jakiegoś nędznego miasteczka”. Nieszczęsny Durlib nie mylił się, choć nie mógł wówczas wiedzieć, co się z nim stanie, gdy opuści góry z drogocennym dobytkiem zmarłego rycerza. Grimpow życzyłby sobie, aby to wszystko było tylko złym snem. Wspominał dzień, kiedy brat Brasgdo powiedział mu, że Durlib był w opactwie i odszedł, aby sprawdzić, czy w morzu żyją syreny. Grimpow znał dobrze Durliba, wiedział, że przyjaciel niekiedy upija się i wywołuje burdy, ale nigdy by nie pomyślał, że najpierw straci cały majątek, potem zdrowy rozum i na koniec życie. Odtąd nic już nie miało być takie, jak przedtem.

Pogrążony w natrętnych rozmyślaniach niemal nie zwrócił uwagi, że Salietti spytał ospowata kobietę o nocleg i możliwość nakarmienia wierzchowców.

- Konie i muła można zamknąć w szopie, a wy możecie zanocować na strychu. Uwarzę też dobrej polewki waszemu giermkowi, bo nie wydaje się, aby gorzałka mu pomogła.

Salietti podziękował karczmarce i popatrzył na Grimpowa pytająco. Karczma była nędzna i cuchnąca, ale Grimpow skinął głową obojętnie, pragnąc jedynie pozostać sam na sam ze swym cierpieniem.

Pomieszczenie na strychu było położone pod stromym dachem opartym na zbutwiałych krokwiach i wyposażone jedynie w twarde jak kamień prycze. Na szczęście

Grimpow był tak zmorzony cierpieniem, że po zjedzeniu gorącej zupy z chleba z czosnkiem i rozbełtanym jajkiem, natychmiast głęboko zasnął. Nie zauważył nawet, że Salietti, zamiast położyć się spać, opuścił kwaterę.

Obudził się rankiem i leżał przygnębiony, chowając twarz w połą płaszcza. Salietti opowiedział mu, że po zmroku poszedł zająć się ciałem Durliba, bo nie chciał dopuścić, aby gniło przez wiele dni na szubienicy, wydane na pastwę ptactwa. Kosztowało go to dwa ziarna złota, którymi przekupił grabarza, i niemal całą noc bez snu. Musiał poczekać, aż plac opustoszał, a wtedy przeciął sznur, ściągnął martwe ciało Durliba ze straszliwego drzewa wisielców i załadował je na wózek, po czym zawiózł na małeńki cmentarzyk przy kościele stojącym tuż przy murach miasta i tam pogrzebał.

Dowiedział się przy okazji, że Durlib już od miesięcy pojawiał się od czasu do czasu w mieście i szastał pieniędzmi. Ubierał się jak szlachcic, wydawał fortunę na hazardową grę w kości i karty, pił na umór w karczmach i odwiedzał lupanary, prowokował gwałtowne awantury i burdy. Historia o zmarłym rycerzu, którego w zimie znalazł w górach w pobliżu opactwa Brinkdum, doszła do uszu biskupa, uprzedzonego przez inkwizytora Bulvara z Goztell o pościgu za templariuszem. Hrabia de Ullpens wysłał za Durlibem swych zbrojnych. Durlib zabił jednego z nich, a dwóch ciężko ranił, zanim uległ przed znaczącą przewagą sił. Hrabia rozkazał dać mu sto batów na rynku i powiesić go na drzewie, które zawsze służyło za szubienicę złodziejom i mordercom okręgu Ullpens.

Grimpow zżerały wyrzuty sumienia z powodu śmierci przyjaciela. Gdyby nie znaleźli ciała w górach, nie przydarzyłoby się nic z tego, co się później stało. Byłoby też lepiej, gdyby pojechał z Durlibem do Strasburga, zamiast zostawać w opactwie. Zarzucał sobie gorzko, że zgodził się na rozstanie. Oskarżał się, że to z jego winy Durlib poczuł się zagubiony i szukał pociechy w bezsensownym trwonieniu pieniędzy na pijaństwo i hazard. Chciałby móc pozbyć się swego kamienia, który wisiał mu na szyi, ciężąc jak kamień młyński. Może istotnie kamień był przeklęty, może to on doprowadził do śmierci nieznanego rycerza, opata z Brinkdum i Durliba? Jednak coś w głębi duszy nie pozwalało Grimpowowi uwierzyć, że to kamień mógł być prawdziwą przyczyną tylu nieszczęść. Potem znów rozmyślał nad tym, że gdyby z Saliettim przybyli nieco wcześniej do Ullpens, może mógłby pomóc swemu przyjacielowi. Jednak gdy zwierzył się Saliettiemu z tych przemyśleń, a właściwie poskarżył mu się na swój zły los, ten powiedział:

- Naszym życiem rządzi przypadek. Jest jak gra w kości, którą tak lubił twój przyjaciel Durlib. Już w momencie narodzin rozpoczynamy tę grę, o niejasnych regułach i nieznanym wynikach, która kończy się dla wszystkich ludzi jednakowo. Powtarzamy rzut kośćmi przy

każdym zaczerpniętym oddechu, nie wiedząc, czy szczęście będzie nam sprzyjać, czy spełnią się nasze pragnienia, czy to, o czym marzymy się ziści i czy złudzenia zamienią się w prawdę. Grając w tę wciągającą, magiczną grę zapominamy o naszych lękach i dzień po dniu wybieramy cyfry powodzenia lub klęski, a wszelkie starania, aby uniknąć pułapek losu są tak nieskuteczne, jak łzy wylewane nad zmarłym.

- Płacz może nam chociaż służyć pociechą - odparł Grimpow.

Salietti otworzył okiennice i wpuścił na strych pierwsze promienie słońca, jeszcze nieśmiało i pozbawione blasku.

- A więc płacz, płacz nad śmiercią swego przyjaciela, aż wypłaczesz wszystkie łzy. Ale kiedy zakończysz żałobę, pomyśl, że musisz żyć dalej i niech cię pocieszy to, że Durlib na zawsze będzie żył w twoim sercu.

Grimpow jednym susem poderwał się z pryczy, gotowy, aby zejść do stajni i przyszykować wszystko do drogi. Chciał bez zwłoki wyruszyć do Strasburga.

- Pójdę osiodłać konie - powiedział.

- Poczekaj chwilę - zatrzymał go Salietti, podnosząc rękę do góry. - Jeśli mamy razem udać się w dalszą drogę, musimy przedtem szczerze porozmawiać, jak mężczyzna z mężczyzną, zapominając, że ja jestem rycerzem, a ty moim giermkim. Odtąd nie będzie różnic między nami, oprócz tych, na jakie sami się zgodzimy w celu ułatwienia sobie wyprawy - po wymówieniu tych słów zamilkł, z brwiami uniesionymi w geście zapytania, czekając aby Grimpow wyraził swą zgodę na propozycję.

- Zgoda - odpowiedział Grimpow nieco bardziej ożywionym tonem, siadając z powrotem na pryczy.

Salietti usiadł naprzeciwko niego i popatrzył mu prosto w oczy.

- Kim naprawdę był twój przyjaciel Durlib? - spytał.

Grimpow odparł, że Durlib był złodziejem i wydrwigroszem. Opowiedział, kiedy i jak go poznał i dlaczego zimą mieszkali razem w górskiej chacie należącej do opactwa Brinkdum.

Salietti wydawał się usatysfakcjonowany wyjaśnieniami.

- A ta historia, którą opowiadał twój przyjaciel, o jakimś nieżywym rycerzu znalezionym w górach?

Wówczas Grimpow opowiedział mu o ciele, które znaleźli na śniegu i o skarbie, który rycerz miał w sakwie. O srebrnych monetach, klejnotach i drogocенnościach, o sztyletach z rękojeściami zdobnymi w szafiry i rubiny, o zapieczętowanym pergaminie i o złotej pieczęci. Opisał, jak ciało znikło przed ich oczu w nagły i niewytłumaczalny sposób. Dodał, że udało

mu się odszyfrować zapisany dziwnymi symbolami tekst i że mieli zamiar wybrać się wraz z Durlibem do Strasburga w poszukiwaniu Aidora Bilbicum. Zakończył opowieścią o wszystkim, co wydarzyło się od momentu przybycia do opactwa inkwizytora Bulvara z Goztell i żołnierzy króla Francji: o ucieczce Durliba, o zamordowaniu opata, o swych studiach w bibliotece i o rozmowie ze stuletnim, ślepym mnichem Ubertem z Alessandrii, który od dwudziestu lat nie ruszał się z łóża.

- A co się stało z kamieniem? - nagle zapytał Salietti.

- Jakim kamieniem? - odparł Grimpow, udając, że nie wie, o czym mowa.

- Obiecaliśmy sobie szczerłość... - powiedział Salietti marszcząc brwi. - No, dalej...

Mów! - przynaglił go gestem.

Grimpow wyjął kamień z lnianego woreczka na szyi i podał Saliettiemu.

- Nie jestem całkiem pewien, czy to jest kamień - powiedział, jakby się usprawiedliwiając.

Salietti ujął kamień w dłoń. Grimpow zauważył, że kamień nie zmienił koloru, ani też nie wydzieliał czerwonej poświaty, podobnej do blasku ognia, jak wtedy, gdy on sam wziął go po raz pierwszy do ręki.

- Brat Uberto z Alessandrii powiedział mi, że znalazłeś *lapis philosophorum* bądź też kamień filozoficzny, jeśli tak wolisz go nazywać.

- Brat Uberto? - spytał zaskoczony Grimpow i przypomniał sobie, że przecież Salietti powiedział mu tuż po przybyciu do opactwa, że zna ślepego mnicha. Ponadto alchemiczne symbole słońca i księżyca zdobiące jego tarczę herbową mówiły jasno, że jest wtajemniczonym. - A więc... panie... - Grimpow zaczął się jękać z wściekłości - a więc ty nie jesteś żadnym rycerzem, tylko wydrwigroszem, jak Durlib, dwulicowym łajdakiem, który chce mnie oszukać!

Salietti roześmiał się.

- Nie sądzę, abym był większym oszustem od ciebie, bo przecież ty też nie powiedziałeś mi wszystkiego. Ale nie martw się, przybyłem tylko po to, aby ci pomóc.

- To brat Uberto kazał po ciebie posłać? - Grimpow chciał się szybko wszystkiego dowiedzieć.

- Brat Rinaldo z Metz wysłał sługę z listem, w którym prosił mnie, abym przybył do opactwa i zabrał cię ze sobą do Strasburga. Brat Uberto odezwał się do niego po wieloletnim milczeniu i obydwaj doszli do wniosku, że nie możesz jechać sam w poszukiwaniu sekretu mędrców. Kiedy spotkałem cię na drodze do opactwa, domyśliłem się natychmiast, że to ty jesteś tym chłopcem, o którym mi pisali, a ty natychmiast ułatwiłeś mi sprawę, szczerze

wyznając chęć zostania moim giermkim.

- A dlaczego wybrali właśnie ciebie? - spytał Grimpow, nadal zdezorientowany.

- Jak już ci powiedziałem w dniu, kiedy się poznaliśmy - i w tym cię nie oszukałem - mój ojciec był dobrym znajomym brata Uberta z Alessandrii. Obydwaj przez jakiś czas wspólnie prowadzili doświadczenia alchemiczne, bo ojciec był jego uczniem na uniwersytecie w Padwie. Jeszcze po wypadku, w którym ten oślepl, ojciec co dwa lata odwiedzał go w opactwie, a ja mu towarzyszyłem, od kiedy pamiętam. Brat Uberto i brat Rinaldo dobrze mnie znają, wiedzą, że także studiowałem w Padwie i w Paryżu. Jednak czuję większy pociąg do broni niż do ksiąg, a ponadto odziedziczyłem po moim dziadku, Iacopo de Estaglia, tytuł diuka, obciążony niestety także rodzowymi długami. Z tych przyczyn mnisi postanowili wspólnie, że mogę być idealnym towarzyszem podróży i chronić cię w drodze.

- Przypuszczam więc, że wiesz też coś o sekrecie mędrców - powiedział Grimpow. Nagle poczuł się zadowolony z towarzysza podróży, jakiego wybrali mu bracia Rinaldo i Uberto.

Salietti wstał i przez małe okienko popatrzył na błękitne niebo nad miastem Ullpens, obracając tajemniczy kamień w palcach.

- Nie więcej od ciebie. Masz ze sobą tę tajemniczą wiadomość? - spytał.

Grimpow wyciągnął zwinięty pergamin martwego rycerza spod podszewki kaftana, gdzie go chował i podał go Saliettiemu. Ten obejrzał go uważnie i przesunął kamieniem ponad tekstem, jakby mając nadzieję, że dostąpi zrozumienia dziwnych znaków, jakimi był zapisany.

- To niewiarygodne, że tobie udaje się pojąć, co tu jest napisane - wymruczał z namysłem, stwierdziwszy, że jemu magiczny kamień w niczym nie pomaga, mimo iż trzyma go w ręce.

Grimpow wzruszył ramionami i powiedział po prostu:

- To kamień umożliwił mi odszyfrowanie napisu, jestem tego pewien, ale nie pytaj, w jaki sposób, bo sam tego nie wiem.

- A jesteś całkiem pewien, co tutaj jest napisane? - nalegał Salietti.

- „W niebie jest ciemność i światło. Aidor Bilbicum. Strasburg.” Nie zapomniałem napisu, od kiedy go po raz pierwszy przeczytałem. Przypuszczam, że brat Rinaldo powiedział ci, że od kiedy posiadam ten kamień, rozumiem wszystkie języki, nawet najbardziej starożytne i niespotykane.

- Coś mi o tym mówił, ale to trudne do uwierzenia, aby taki niepozorny kawałek skały mógł dokonać takich cudów - powiedział Salietti, oddając mu kamień i pergamin.

- Brat Rinaldo jest przekonany, że zmarły rycerz z gór należał do zakonu templariuszy i że ten kamień jest częścią sekretu, który dziewięciu pierwszych templariuszy odkryło przed dwustu laty w ruinach Świątyni Króla Salomona w Jerozolimie, a potem zabrało do Francji i ukryło w nieznanym miejscu.

- To być może - zgodził się Salietti bez specjalnego przekonania. - I właśnie tego będziemy musieli się dowiedzieć.

Karczmarka powiedziała im, gdzie będą mogli znaleźć kupca, u którego wymienią ubogi przyodziewek na stroje godne diuka de Estaglia i jego giermka. Salietti zapłacił jej za usługi i życzliwość ziarnem złota, a kobieta obsypała jego dłoń pocałunkami, jakby była to zabalsamowana relikwia jakiegoś świętego.

Odziani w szykowne ciżmy, pasy, koszule, spodnie i kaftany, olśniewając swym wyglądem nawet słońce zalewające ulice miasta, udali się do najbardziej renomowanego płatnerza w Ullpens. Otworzył im tęgi mężczyzna o wygolonej twarzy, równie błyszczącej, jak jego łysina, zwany przez miejscowych mistrzem Ailgrupem.

- Witajcie, panie! - przywitał ich, z trudem schylając zaokrąglone ciało w głębokim ukłonie. Rzeknijcie, czego wam trzeba, a zaspokoję wasze życzenia.

Salietti odpowiedział na uprzejmości lekkim skinieniem głowy.

- Potrzebuję dobrej zbroi turniejowej - powiedział, podziwiając piękne zbroje, wypolerowane do błysku i zawieszane na wielkich stojakach obitych czerwonym aksamitem. Grimpow z otwartymi ustami przyglądał się kolekcji wspaniałych mieczy, spoczywających na półkach. Salietti wskazał palcem na jeden ze stojaków, gdzie znajdowała się stalowa, srebrzysta jak księżyc zbroja. Hełm, kopulasto wymodelowany i zaopatrzony w wizury i otwory oddechowe był zakończony klejnotem herbowym w kształcie słońca, z którego zwisał pęk złotych nici, przypominających słoneczne promienie.

- Możecie być pewni, że trafiliście do najlepszego płatnerza w Ullpens. Nasze zbroje nie tylko zapewniają noszącemu je rycerzowi bezpieczeństwo, ale cieszą się ogólnym podziwem, jak dzieła sztuki.

- Chciałbym przymierzyć tę zbroję, mistrzu Ailgrupie. Wydaje się solidna i lekka, stosowna na turnieje - bez ceregieli przystąpił do rzeczy Salietti.

- Niewątpliwie wiecie, czego wam trzeba, panie... - przerwał płatnerz.

- Salietti, Salietti de Estaglia, możecie też mówić do mnie diuku - powiedział Salietti z prostotą.

- Jeśli myślicie wziąć udział w turniejach w zamkach Alzacji, diuku Salietti, zbroja,

którą wybraliście pomoże wam odnieść chwalebne zwycięstwo. Będziecie obiektem podziwu dam i zazdrości innych walecznych rycerzy - schlebiał mu mistrz Ailgrup. - Zapewniam, że w całym Ullpens nie znajdziecie doskonalszej i bardziej szykownej zbroi, lekkiej jak piórko i twardej jak diament - dodał, zdejmując za pomocą kija zakończonego hakiem jedną po drugiej części zbroi wybranej przez Saliettiego.

Następnie ułożył je na wielkim stole, opisując dokładnie zalety każdej z nich, począwszy od hełmu osłaniającego głowę, poprzez napierśnik, naplecznik, naręcza, nagolenice. Prawdziwy galimatias metalu, skóry, rzemieni i łączeń, który Grimpow powinien dobrze poznać, gdyż jako giermek będzie musiał ubierać Saliettiego przed każdym turniejem. Grimpow starał się więc nie uronić żadnego szczegółu, podczas gdy mistrz Ailgrup z cierpliwością i wprawą zakładał kolejne blachy na ciało Saliettiego. Nagle zapytał:

- Myślicie się przyłączyć do armii barona Figueltacha de Vokko?

Salietti i Grimpow popatrzyli na siebie, nie rozumiejąc.

- Do jego armii?

- Widzę, że do Włoch nie dotarły pogłoski o wojnie - wyjaśnił mistrz Ailgrup, gadatliwy, jak balwierz.

- Muszę przyznać, że nie. Z tego co mi wiadomo, heroldowie Figueltacha de Vokko ogłosili jedynie, że jak co roku odbędą się słynne wiosenne turnieje w Alzacji i zaprosili do udziału rycerzy z północnych Włoch - powiedział Salietti.

Mistrz Ailgrup poufale ściszył głos, widząc, że jego słowa wzbudziły ciekawość możnego klienta.

- Szlachetny panie de Estaglia, lepiej miejcie się na baczności. W tym roku turniej jest jedynie pretekstem, aby jak najliczniej zgromadzić rycerzy w fortecy barona. Figueltach de Vokko będzie chciał na nich wymóc przyłączenie się do nowej krucjaty.

Słowo krucjata wpadło w ucho Grimpowa i sprawiło, że wyostrzył słuch, bo mistrz mówił teraz tak cicho, że jego głos był ledwo słyszalny, niekiedy całkiem stłumiony dalekim odgłosem uderzeń młotów o kowadło.

- Czyżby Figueltach de Vokko chciał stanąć na czele armii, aby odzyskać Ziemię Świętą? - spytał Salietti.

Z pulchnych warg mistrza Ailgrupa wyrwał się porozumiewawczy chichot.

- Ależ nie, diuku Salietti! - powiedział. - To nie będzie krucjata przeciwko niewiernym ze Wschodu, lecz przeciwko heretykom z zamków Kamiennego Kręgu, które leżą po drugiej stronie granicy, w stronę Niemiec. - Przerwał, aby poprawić umieszczenie jednego z naramienników, odetchnął spazmatycznie i ciągnął dalej: - Jak się dowiedziałem od

wiarygodnych osób, a z racji mojej profesji obcuje z najszlachetniejszymi panami, sam król Francji we własnej osobie weźmie udział w turnieju i ogłosi wyprawę krzyżową przeciwko zamkom, w których schronili się wyklęci templariusze.

Słyszając to, Grimpow przypomniał sobie, co brat Rinaldo opowiedział mu o diuku Gulfie i jego wiernych rycerzach, a także o templariuszach, którzy schronili się w zamkach Kamiennego Kręgu po ucieczce z Francji przed prześladowaniami zarządzonymi przez króla Filipa Pięknego. Musiał solidnie ugryźć się w język, aby nie wtrącić się do rozmowy, w której nie miał prawa uczestniczyć z racji tego, że w oczach świata był przecież tylko nędznym giermkim. Nie tracił jednak nadziei, że Salietti nie będzie milczał jak gamoń i nie straci świetnej okazji, aby wydostać jak najwięcej wiadomości od płatnerza Ailgrupa, którego do mówienia skłaniał jego niebezpiecznie niedyskretny i skłonny do poufałości charakter.

- A więc także w to są zamieszani zbuntowani templariusze? Myślałem, że król Filip już przed sześcioma laty skończył z nimi i z ich diabelskimi herezjami, podczas oblawy w Paryżu - powiedział Salietti, nie zawodząc nadziei Grimpowa i dodając skrzydeł mistrzowi Ailgrupowi, który ochoczo przystąpił do wyjaśnień.

- Z Paryża donoszą - szeptał, zmuszając Grimpowa do podejścia jeszcze bliżej - że wielki mistrz templariuszy, wraz z kilkoma komturami został spalony na wielkim stosie przed katedrą Notre Dame i przed śmiercią rzucił okropną klątwę na papieża i na króla Francji, grożąc, że umrą przed upływem roku. Podobno więc to nie zbiegłych templariuszy poszukuje król Filip, ale sekretu, który dziewięciu rycerzy Świątyni Salomona znalazło w Jerozolimie przed dwustu laty. Tylko ten sekret może mu dopomóc w odczynieniu klątwy.

- A co mają wspólnego zamki Kamiennego Kręgu z sekretem templariuszy? - spytał Salietti, udając, że nic nie wie o całej tej sprawie i potrząsając rękoma i nogami, aby zbroja lepiej się ułożyła.

Mistrz Ailgrup wziął do ręki hełm i przeciągnął ręką po złocistych niciach.

- Niektórzy wierzą, że rycerze templariusze, którzy znaleźli skarb w Świątyni Salomona i wywieźli go do Francji, ukryli go w fortecy znajdującej się w środku kręgu utworzonego przez zamki Kamiennego Kręgu. Dziewięciu rycerzy i dziewięć niezdobytych zamków - powiedział płatnerz i puścił porozumiewawczo oko do Saliettiego.

- No tak. Gdzież lepiej, niż w dziewięciu zamkach Kamiennego Kręgu można by schować tak cenny i pożądany skarb - stwierdził Salietti, aby pokazać mistrzowi Ailgrupowi, że pojął jego aluzje.

Mistrz podniósł w górę hełm i umieścił go na głowie Saliettiego, który odziany w lśniąca zbroję nabrał tak majestatycznego wyglądu, jakim musiał odznaczać się pierwszy diuk

de Estaglia w dawnych czasach. Potem powiedział:

- A teraz, diuku Salietti, możecie wybierać, po której stronie macie zamiar walczyć w waszej nowej, wspaniałej zbroi. - I na jego twarzy pokazał się sprytny, porozumiewawczy uśmiezek.

Klątwa pustelnika

Od Strasburga dzieliły ich jeszcze długie dni drogi. Salietti od czasu do czasu przyglądał się z zadowoleniem swej nowej zbroi i nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie mógł ją wypróbować w szrankach. Nie wiedział wtedy, ale być może przeczuwał, że spoczywające na grzbiecie muła, wypolerowane do połysku i błyszczące jak alchemiczne złoto blachy ocalały mu życie. Niepokoił się zapowiedzią mistrza Ailgrupa, że król Francji zamierza ogłosić krucjatę przeciwko zamkom Kamiennego Kręgu. Istniało duże prawdopodobieństwo, że w fortecy diuka Gulfa lub w którymś z ośmiu otaczających ją zamków kryje się sekret mędrców, którego podjął się poszukiwać wraz z Grimpowem. Salietti uważał się za zbyt rozsądnego, aby dawać wiarę pogłoskom, ale coś musiało być na rzeczy, jeśli mistrz Ailgrup powiedział: „Dziwięciu rycerzy dla dziewięciu zamków”. Jeśli plotki o templariuszach, którzy znaleźli schronienie w niezdojetych twierdzeniach diuka Gulfa, rozeszły się tak szeroko, tym bardziej dotarły do uszu króla Francji, który nie omieszka przekonać się o ich zasadności.

A jeśli istotnie sekret mędrców znajdował się w którymś z zamków? I co wiedział Grimpow o tajemniczym kamieniu, który posiadał? Jaką tajemnicę krył zapieczętowany pergamin i kim był Aidor Bilbicum? Wszystkie te pytania nie dawały mu spokoju, podczas gdy jechali w milczeniu poprzez równinę Ullpens. Natłok myśli stał się w pewnym momencie tak męczący, że Salietti zatrzymał w miejscu swego konia i powiedział:

- Myślę, że musimy zacząć od początku.

Grimpow zatrzymał obok Gwiazdę i popatrzył na Saliettiego zdziwionym wzrokiem.

- Nie rozumiem, czyżbyś chciał powrócić do opactwa Brinkdum? - spytał z rozbawieniem.

- Myślę o sekrecie mędrców. Szukamy czegoś, co nie wiadomo, czym jest, do czego służy i gdzie może być schowane - wyraził głośno swoje myśli Salietti i ponownie popędził konia.

- To niezwykle trafne spostrzeżenia - zażartował Grimpow.

- A co tak naprawdę wiemy? - powiedział Salietti, nieczuły na ironię w głosie swego nowego przyjaciela. Pytanie zawisło w powietrzu, jak jastrząb, który właśnie zataczał kręgi nad ich głowami.

- Że posiadamy tajemniczy przedmiot, który może dokonywać cudów niemożliwych do wyjaśnienia - powiedział Grimpow to, czego był pewien.

- Tajemniczy przedmiot, który jest bardzo podobny do kamienia - dodał Salietti.

- Kamienia, którego początek wydaje się datować od zarania ludzkości - ciągnął Grimpow.

- Ludzkości, która pewnego dnia odkryła, że w *lapis philosophorum* kryje się mądrość

- kontynuował Salietti grę, przypominającą niewinną dziecięcą wyliczankę, której tempo narasta przy każdej kolejnej wypowiedzi.

- Mądrość, którą zdobyli mędracy.

- Mędracy, którzy przekazali swą wiedzę Wybrańcom.

- Wybrańcom, którzy utrzymywali swą wiedzę w sekrecie.

- W sekrecie, który przed wiekami odkryło dziewięciu rycerzy.

- Dziewięciu rycerzy, którzy założyli zakon templariuszy.

- Templariuszy, których prześladował król Francji i którzy przed sześcioma laty stali się wygnańcami - zaznaczył Salietti.

- Wygnańcami, którzy schronili się w zamkach Kamiennego Kręgu.

- Zamkach Kamiennego Kręgu, do których udawał się zmarły rycerz.

- Zmarły rycerz, który uciekał przed inkwizytorem Bulvarem z Gostell i miał ze sobą złotą pieczęć, tajemniczy kamień i zapieczetowany pergamin.

- Pergamin, który zawiera wiadomość.

- Wiadomość, która mówi o Aidorze Bilbicum i mieście Strasburgu - powiedział Grimpow.

- Mieście Strasburgu, do którego udamy się po zakończeniu turnieju.

- Turnieju, jaki zapowiedział baron Figueltach de Vokko, aby król Francji miał okazję do ogłoszenia nowej krucjaty.

- Krucjaty, która ma na celu zawładnięcie sekretem mędrców - ostrzegł Salietti.

- Sekretem mędrców, związanym z naszym kamieniem, którego także my szukamy i który przypuszczalnie jest pilnie strzeżony w dziewięciu zamkach Kręgu.

- Kręgu, który zatoczyliśmy w tej zabawnej grze słów, uświadamiając sobie jasno, co już wiemy - zakończył Grimpow i obydwaj zaczęli się szczerze śmiać, czego już nie robili od bardzo, bardzo dawna.

Równinę Ullpens pokrywały rozległe pola zbóż i winnice. Gdzieniedzie wylaniały się z zieleni małe wioski, a szeroka rzeka wiła się wśród cienistych szpalerów drzew jak wielki,

srebrzysty, połyskliwy wąż. Na horyzoncie majaczyły łagodne wzgórza, a na ich szczytach przycupnęły leniwie niewielkie zamki z czerwonego kamienia, jak drzemiący strażnicy dróg. Jak co roku wielu z panów okręgu Ullpens wybierało się na wiosenne turnieje do Alzacji i niektórzy z nich już wyruszyli w stronę twierdzy barona Figuelta de Vokko w licznej eskorcie złożonej ze zbrojnych pachołków, giermków i służących. Drogą ciągnęły szeregi wozów, na których wieziono namioty, broń i sztandary. Natomiast Salietti i Grimpow mieli jedynie muła objuczonego zbroją i tarczą z herbem diuka de Estaglia.

Po jakimś czasie zatrzymali się na rozstajach dróg, wiodących w cztery strony świata. Na środku stała mała pustelnia, otwarta i niestrzeżona, która służyła za miejsce modłów wędrowcom i pątnikom. Była tam maleńka kaplica o wydłużonym kształcie i łukowatym portalu opartym na dwóch okrągłych kolumnach, chata pustelnika, studnia i poidło dla zwierząt. Na kamiennej ławie, wygrzewając się w słońcu, siedział stary pustelnik. W ręce trzymał długą, drewnianą laskę z zagiętą rączką, przypominającą pastorał. Jego druga ręka była obcięta w przegubie i pozbawiona dłoni.

Starzec odziany był w długą, postrzępioną szatę, przewiazaną w pasie konopnym sznurem, był bosy i wyglądał raczej na szaleńca, niż na człowieka przy zdrowych zmysłach. Kiedy spostrzegł nadjeżdżających zaczął krzyczeć, otwierając szeroko usta, w których widać było jedyny pozostały mu ząb.

- Uciekajcie, uciekajcie, wy, słudzy szatana! Jeszcze jest czas, aby uniknąć gniewu Boga! Albo wejdźcie do tej świętej pustelni, rzućcie się na kolana przed krzyżem i błagajcie Pana, aby okazał swą łaskę i przebaczył wasze grzechy! - zawodził, podczas gdy Grimpow i Salietti zajęli się nalewaniem wody do poidła.

Stary pustelnik nie pozostawił ich w spokoju. Podniósł się z miejsca, wznosił laskę do nieba i dalej krzyczał wielkim głosem, wpatrując się w nich niewidzącym wzrokiem:

- W niebie grzmia już trąby Apokalipsy, a na ziemi robaki wiją się w grobach, kryjąc się przed boskim światłem, które widzi wszystko! Płonie wieczny ogień, w którym smażyć się będą wasze dusze! Będziecie się palić w piekle! Zdrajcy wiary! Niewolnicy pożądania! Słudzy łakomstwa i zachłanności! Słuchajcie moich słów: oto nadchodzi koniec! Śmierć swoją kosą strąci wasze dumne głowy w błoto, gdzie stratuja je kopytami wasze własne konie! Na nic wasze kopie i wasze miecze! Proroctwa zostaną wypełnione! Żałujcie za grzechy i módlcie się wraz ze mną! - zakończył w uniesieniu, rzucając się na kolana w pył drogi i mamrocząc niezrozumiale pod nosem dalsze przekleństwa i wezwania.

- Salietti popatrzył na starego ze współczuciem i szepnął ukradkiem do Grimpowa:

- To tylko gra. Udaje fałszywego proroka licząc na sowitą jałmużnę.

Niegdyś także Grimpow, pospołu z Durlibem, udawał ślepego lub kalekę, aby wyblagać jałmużnę u kościelnych bram lub na placach targowych i wiedział doskonale, że na świecie jest wielu łotrzyków i wydrwigroszy, którzy dla kawałka chleba są gotowi do wszelkich podstępów i łajdactw. Jednak w błędnym spojrzeniu pustelnika Grimpow ujrzał szczerą rozpacz.

- On nie mówi do nas - powiedział.

Salietti rozejrzał się wokół.

- A więc do kogo? Nie ma tu nikogo oprócz nas, naszych koni i muła.

- Mówi do rycerzy Zakonu Świątyni. Być może w swoim obłędzie wziął nas za nich.

- Dlaczego tak uważasz?

- Zdradzają to jego słowa.

- Nie wiem, o czym mówisz. Nie powiedział niczego więcej, niż zwykle mówią tego typu prorocy zagłady.

- Jego słowa są powtórzeniem zarzutów, jakie czyniono templariuszom, oskarżając ich o herezję - mówił z ożywieniem Grimpow. - Dlatego radził nam, abyśmy uciekali, póki jeszcze czas. Dlatego wspominał sługów szatana, robactwo, ogień piekielny. Dlatego nazwał nas zdrajcami wiary, niewolnikami rozpusty, sługami łakomstwa i zachłanności. A najdobitniej świadczą o tym wzmianki o nieprzydatności kopii i mieczy i o traktowaniu przez własne konie.

Salietti wydawał się przekonany tym spójnym rozumowaniem.

- Chyba masz rację, Grimpowie. Templariusze zostali oskarżeni o to, że czczą szatana, że chowają się przed wzrokiem Boga pod ziemią, jak robaki, aby odprawiać swe bezbożne rytuały, że są zdrajcami wiary, że winni są czynów nierządnych, że jedzą mięso w poście i że nagromadzili takie bogactwa, że uwierzyli, iż są bogami.

- I prawdą jest też, że zostali zmiażdżeni przez papieża i króla, a cała ich potęga nie uchroniła ich przed śmiercią.

Grimpow pozostawił swego konia Gwiazdę przy poidle i podszedł do starca, który nadal klęczał przed nimi ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Dopomógł mu się podnieść i zaprowadził go do kamiennej ławki przy kościele. Tuż obok rosło piękne drzewo morwy, rzucając gęsty cień na ziemię, a w jego konarach świergotały ptaki.

- Jak się zwiecie? - spytał Grimpow pustelnika.

- Cóż to ma za znaczenie - odparł niechętnie starzec.

Pomagając mu usiąść na ławce, Grimpow zauważył, że starzec ma na karku wypalony rozgrzanym żelazem ośmiokanciasty krzyż, podobny do tych, które widniały na rzeczach

należących do brata Rinalda z Metz, złożonych w podziemnej grocie opactwa.

- Jesteście templariuszem? - szepnął pytającym tonem.

- Czyżby Zakon Świątyni nadal istniał? - odparł obojętnie starzec, patrząc pustym wzrokiem.

Grimpow zasiadł przy nim i przyjrzał się kikutowi jego prawej ręki, zakończonemu zeschniętymi, sparciałymi strzępami skóry.

- Jak straciliście dłoń? - nalegał Grimpow.

- To oni mi ją obcięli, abym już nigdy nie mógł władać mieczem - odparł starzec.

Salietti zbliżył się po cichu i stanął przy nich, plecami do słońca, które już skłaniało się ku zachodowi. Grimpow spojrział na niego, nakazując mu wzrokiem milczenie.

- Jacy oni? - drażył temat.

- Kaci króla Francji - odparł starzec.

- Torturowali was?

Stary pustelnik, który niegdyś był walecznym rycerzem potężnego i groźnego Zakonu Świątyni, skinął głową w poniżeniu.

- Nie mogliśmy się bronić. Wpadli do komandorii Temple w Paryżu o świcie, jak lisy do kurnika, pojмали nas wszystkich, zabrali nasze dokumenty i nasze skarby. Nie ma już nic, oprócz spopieliałych trupów setek braci spalonych na stosach, którym zakazano nawet spoczynku w poświęconej ziemi. - Starzec mówił sam do siebie, niesiony falą straszliwych wspomnień, a Grimpow mu nie przerywał. - Oddzielono mnie od innych i wsadzono do lochu zalanego wodą i pełnego szcurów, gdzie siedziałem latami nie widząc światła bożego, poddawany najstraszliwszym torturom. Mówili, że wiem o czymś ważnym i szarpali szczypcami moje ciało, myśląc, że wydostaną ode mnie to, czego chcieli się dowiedzieć.

- Jak udało się wam uciec?

- Myśleli, że już całkiem oszalałem i że bredzę bez sensu. Inkwizytor Bulvar z Gostell, którego byłem seneszalem, gdy jeszcze był rycerzem Zakonu Świątyni, okazał miłosierdzie i wypuścił mnie, kiedy już dostał to, co chciał. Odtąd błądziłem bez celu, aż osiadłem w tej pustelni i tu z utęsknieniem wyglądam śmierci, jak spalona słońcem ziemia deszczu - powiedział gasnącym głosem. - Oskarżyli nas fałszywie o najgorsze zbrodnie i zabili naszych braci, bo chcieli wydostać od nas wiadomość o sekrecie.

Salietti podskoczył, jak żgnięty sztydłem, ale nie odezwał się ani słowem.

- O jakim sekrecie mówicie - spytał Grimpow.

- O legendarnym sekrecie dziewięciu rycerzy, znalezionym w Jerozolimie przed dwustu laty.

Salietti nie spuszczał oczu z Grimpowa, prowadzącego rozmowę i obawiał się, że pustelnik lada moment powróci do swego poprzedniego stanu i pogrąży się w szaleństwie.

- Przypuszczam, że znaliście ten sekret - nalegał Grimpow.

- Nie - odparł starzec i zamilkł, jakby wspomnienia stały się zbyt bolesne do zniesienia.

- A więc nie istniał żaden sekret?

- Dziewięciu rycerzy nie znalazło żadnego sekretu. Przewieźli jedynie coś za sowitą opłatą w złocie, na zlecenie tajnego stowarzyszenia mędrców. Ich zadanie polegało na ochronie cennej zawartości wozu przed napaścią muzułmanów i bezpieczne doprowadzenie go do Francji. Nawet nie wiedzieli, co przewożą. Nikt się tego nigdy nie dowiedział.

Salietti miał dziwną minę, słysząc odpowiedzi, jakich udzielał nieszczęśnik, mimo iż potwierdzały one podejrzenia Grimpowa, że człowiek zmarły w górach nie był zbiegłym templariuszem, lecz prześladowanym mędrcem czy też uczonym.

- Skąd o tym wszystkim wiecie?

- W komandorii Temple w Paryżu istniały stare pergaminy, które to potwierdzały: listy, umowy, rachunki. Ja odpowiadałem za ich przechowywanie, a pod wpływem tortur wyznałem, gdzie zostały ukryte.

- Czy w tych pergaminach była wspomniana nazwa tego tajnego stowarzyszenia mędrców? - Salietti nie wytrzymał i wtrącił się do rozmowy.

- Ouroboros - powiedział pustelnik i widać było, że to wspomnienie jest jeszcze żywe w jego pamięci.

- Tak, oczywiście! - Grimpow krzyknął w duszy i ujrzał, że źrenice oczu Saliettiego rozszerzają się, wskazując na to, że także jemu to słowo nie jest obce.

- To ten wąż, który trzyma ogon w pysku? - włączył się Salietti.

Starzec skinął głową.

- Czy udało się wam poznać jakiegoś mędrca należącego do tego stowarzyszenia? - Salietti pytał dalej.

- Nikt ich nie zna. Są niewidzialni, jak duchy i cisi, jak cienie. Mogą być wszędzie i nikt ich nie widzi.

- Czy w tych dokumentach, które przechowywaliście były wzmianki o miejscu ukrycia sekretu mędrców? - to znowu Salietti prowadził rozmowę.

- Nie. Pergaminy mówiły tylko o umowie handlowej między dziewięcioma rycerzami i tajemniczym stowarzyszeniem Ouroboros. O sekrecie krąży wiele opowieści, ale nikomu jeszcze nie udało się wpaść na jego trop, dowiedzieć się, gdzie jest schowany, ani też

stwierdzić, czym tak naprawdę jest.

- A więc dlaczego poszukuje go król Francji? - spytał Grimpow.

- Myśli, że jeśli wejdzie w jego posiadanie, nic na świecie nie będzie się mogło równać z jego potęgą. Myśli także, że osiągnie nieśmiertelność i że uda mu się umknąć przed przekleństwem wielkiego mistrza Jakuba de Molay rzuconym ze stosu. Wiem, że także wy szukacie tego sekretu. Mogę to wyczytać z waszych myśli. W ciągu wieków wielu ludzi go poszukiwało i wielu straciło życie na próżno próbując go odnaleźć. Wszyscy zapomnieli, że z sekretem jest związana stara klątwa, ale ona istnieje, czyha jak drapieżne zwierzę w mroku i pochłonie bez litości ciekawskich, którzy odważą się zakłócić jej wieczny sen.

- Klątwa? Mówicie o przekleństwie wielkiego mistrza templariuszy? - spytał bez tchu Salietti.

Stary pustelnik przewrócił szeroko otwartymi oczami, aż pokazały się białe gałki.

- Nie. Klątwa, o której mówię, jest stara, jak świat. Niech będą przekłeci ci, którzy odważą się wniknąć do istoty sekretu, bo drzwi, które uda im się otworzyć, na zawsze zamkną się za nimi! - krzyknął, pogrążając się na powrót w szaleństwo.

Salietti i Grimpow popatrzyli na siebie i pomyśleli jednocześnie, że mimo wszystko chcieliby dowiedzieć się, co mają uczynić, aby odnaleźć sekret mędrców. Starzec odgadł ich myśli, choć żaden z nich nie wymówił ani słowa.

- Jeśli chcecie do niego dotrzeć, musicie wsłuchać się w głos kamienia - powiedział, nadal na nich nie patrząc.

- Kamienia filozoficznego? To o tym mówicie? O *lapis philosophorum*? - spytał bez tchu Grimpow.

Ale pustelnik odwrócił głowę i zaczął bełkotać słowa bez związku, jak pogrążony w transie. Po chwili znajdował się już w tym smutnym stanie oszołomienia, którego, jak pomyślał Salietti, być może nigdy nie opuścił.

Na koniec zerwał się z miejsca i opierając się na kiju podążył w kierunku kaplicy, ponownie wykrzykując słowa, którymi ich powitał:

- Uciekajcie, uciekajcie, bo jeszcze jest czas, aby uniknąć gniewu Boga, wy słudzy szatana! Albo wejdźcie do tej świętej pustelni, rzućcie się na kolana przed krzyżem i błagajcie Pana, aby okazał swą łaskę i przebaczył wasze grzechy!

Grimpow i Salietti przyglądali się sylwetce starca niknącej w portalu kościoła, jak gdyby wciągał ją tunel, gdzie nie istnieje czas. Głos pustelnika pochłonęła cisza, a mroki nadciągającej nocy zaczęły właśnie pochłaniać światło dnia.

Krwiożerczy rozbójnik

O zmroku rozbili obóz na rozległym płaskowyżu. Jak okiem sięgnąć nie widać było drzew ani zarośli, w oddali majaczyła jedynie linia horyzontu, gdzie ciemne niebo łączyło się z kresem ziemi. Sklepienie niebieskie przypominało przejrzystą, wypukłą półkulę wznoszącą się nad płaskowyżem i rozplywającą się w nieskończoności. Noc była bezksiężycowa i choć na niebie jarzyły się miliardy gwiazd, ziemię stopniowo pokrywały ciemności pożerające wszystko wokół. Nie rozpalali ogniska, zjedli tylko trochę chleba z serem i kiełbasą oraz kilka suszonych owoców.

Nad ich głowami krążyły w wiecznym locie konstelacje, jak roje kosmicznych świetlików. Salietti podłożył jedną z sakw pod głowę Grimpowa i przykrył go derką. Z północy zerwał się lekki wiatr i leciał przez równinę, przynosząc ze sobą z oddali jakby szepty i głosy niewidzialnych istot, które mieszały się ze śpiewem świerszczy i rechotem żab dochodzącym z pobliskich mokradeł.

- Brat Uberto z Alessandrii twierdzi, że odpowiedzi na pytania dotyczące sekretu mędrców znajdują się ponad gwiazdami - powiedział Grimpow, wpatrując się we wspaniałe, bezkresne, nocne niebo.

- No cóż, to tylko taka metafora, sposób opisu tego, czego nie znamy i co stanowi dla nas tajemnicę. Brat Uberto przepadał za badaniem tajemnic kosmosu i materii. Spędzał długie godziny pracując nad rozwiązywaniem kolejnych zagadek, wpatrzony w niebo lub we wnętrze swoich alembików. To oczywiste, że uważa, iż odpowiedzi na te wszystkie pytania, które my, ludzie, zadajemy sobie bezowocnie, znajdują się ponad gwiazdami. Nie powinno cię to dziwić, Grimpowie, ponieważ krążące nad nami dzień po dniu Słońce oraz Ziemia, po której stąpamy, także przybyły z gwiazd przed milionami wieków i stanowią dla nas niezmiennie przedmiot podziwu i zdumienia. Pamiętam, że gdy byłem chłopcem w twoim wieku, mój ojciec zwykł powtarzać, że nie ma nic bardziej tajemniczego od wszechświata. Co noc, zafascynowany, obserwowałem niebo, patrzyłem, gdzie znajduje się Merkury, Wenus, Jowisz, Saturn oraz gwiazdozbiory Zodiaku i wyobrażałem sobie, że pewnego dnia zdołam dotknąć gwiazd własnymi rękoma - powiedział Salietti, podnosząc w górę miecz i celując w Wenus, która rozżarzyła się na końcu głowni, jakby była wykrzesaną iskrą.

- Nie jestem pewien - zawahał się Grimpow. - Kiedy rozmawiałem z bratem Uberto z Alessandrii odniosłem wrażenie, że wie dużo więcej o kamieniu filozoficznym, niż mi powiedział.

- Co masz na myśli? - szepnął Salietti.

Grimpow wyjął kamień z woreczka i przyjrzał mu się dokładnie, jakby widział go po raz pierwszy.

- Brat Uberto wiedział, że mam ten kamień, mimo iż go nie widział. Domyślił się. Pomimo swej ślepoty mógł dostrzec jego niezwykle światło.

- Być może to zwykła intuicja, postrzeganie pozazmysłowe, które rozwinął w całkowitej ciemności, pogrążony w niej od tyłu już lat. Wielu ślepców tak udoskonaliło swój zmysł słuchu, że z daleka dochodzi do nich nawet bezszelestne stąpanie kota.

- Myślę, że to coś więcej. Teraz, gdy się nad tym zastanawiam, mógłbym przysiąc, że brat Uberto był jednym z tych mędrców, którzy przechowywali *lapis philosophorum*.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał Salietti, patrząc z żywym zainteresowaniem na czerwonawą poświatę, którą wysyłał ku gwiazdom kamień trzymany w ręku przez Grimpowa.

- Kiedy z nim rozmawiałem, powiedział mi różne rzeczy, których wtedy nie uznałem za ważne, ale które mógł wiedzieć jedynie jeden z mędrców należących do tego tajnego stowarzyszenia zwanego Ouroboros.

- To tak starożytne stowarzyszenie, że prawdopodobnie już zaginęło w pomroce dziejów - stwierdził Salietti, ziewając głośno, aby pokazać, że jest zmęczony i senny.

- Coś mi mówi, że ta grupa mędrców nadal gdzieś istnieje i że brat Uberto z Alessandrii miał z nimi wiele wspólnego.

- Mój ojciec często mi o nim opowiadał, kiedy byłem dzieckiem - powiedział z namysłem Salietti. - Poznali się na Uniwersytecie w Padwie, gdzie brat Uberto nauczał filozofii i astronomii. Był rzecznikiem rewolucyjnych teorii o nieskończoności wszechświata, sprzecznych z arystotelesowską teorią sfer i geocentryzmem Ptolemeusza. Mnich z Alessandrii, jak nazywał go mój ojciec, bez ogródek twierdził, że Ziemia jest okrągła i że wszystkie planety krążą wokół Słońca. Zyskał sobie tym wielu nieprzyjaciół w łonie Kościoła, twardo stojącego na stanowisku, że Ziemia jest środkiem wszechświata i że wszystkie sfery nieba krążą wokół niej. Przez wiele lat przebywał w Hiszpanii, gdzie był preceptorem książąt i królów, mieszkał w Paryżu jako profesor Sorbony i wyjechał do Londynu, gdzie napisał ponad pięćdziesiąt książek z wszelkich dziedzin wiedzy. Podróżował także po Azji i Afryce, gdzie poznał wszystkie języki tych odległych krajów i z ledwością

uszedł cało z niewoli u dzikich plemion. Wszyscy uważali go za wielkiego mędrca, ale gdy skończył siedemdziesiąt lat został oskarżony o herezję przez Świętą Inkwizycję, zabrany do Rzymu i osądzony. Wyparł się na czas swoich idei, bo gdyby nie to, bez wątpienia skończyłby na stosie, gorejąc żywcem, jak grzesznicy smażący się wiecznie w ogniu piekieł. Ponizony i zmęczony schronił się w opactwie Brinkdum, a jego imię pogrążyło się w całkowitym zapomnieniu - z westchnieniem zakończył opowieść Salietti.

Wysłuchawszy słów Saliettiego, Grimpow aż podskoczył na twardej ziemi i usiadł.

- No jasne! - wykrzyknął, widząc zdumioną minę Saliettiego. - Przecież to oczywiste! Teraz wszystko jasno widzę.

Salietti także usiadł i zatopił wzrok w oczach Grimpowa.

- Czyżbyś miał jakieś wizje? - spytał zdumiony.

- Nie rozumiesz? Brat Uberto miał przez lata mój kamień w swoim posiadaniu. Został obarczony obowiązkiem przechowywania kamienia i złotej pieczęci stowarzyszenia Ouroboros, a kiedy nadeszła pora, aby przekazał te atrybuty swojemu uczniowi, nowemu powiernikowi sekretu, sprzeciwił się ich oddaniu. On sam przecież to właśnie mi powiedział w szpitaliku opactwa, ale wtedy go nie zrozumiałem. Skusiła go możliwość uzyskania nieśmiertelności i życia w bogactwie i zdradził zasady i wiarę, które przedtem darzył szacunkiem. Następnie odczuł skruchę i oddał kamień, który powrócił do sekretnego nurtu, w jakim przechodzi z pokolenia na pokolenie. Jednakże bezowocnie próbował wytworzyć metodami alchemicznymi w swojej pracowni inny kamień, podobny do tego, mimo iż miał świadomość, że jest to niemożliwe. To dlatego powiedział mi, że kamień może mnie zabić, podobnie jak zaślepił jego umysł i zgasił światło jego oczu.

- Być może brat Uberto mówił o tej samej kłątwie, którą dziś rano straszyl nas stary pustelnik - powiedział Salietti.

- Ja też o tym pomyślałem. Od kiedy znalazłem ten kamień, wokół mnie dzieją się same okropności: śmierć rycerza w górach, moje rozłączenie z Durlibem, jego egzekucja, zabójstwo opata z Brinkdum, wojna zagrażająca zamkom Kamiennego Kręgu, ślepotą brata Uberta - wyliczał Grimpow, przygnębiony nawałem nieszczęść.

- Jeśli patrzysz na to w ten sposób, dojdiesz wkrótce do obwiniania tajemniczego kamienia o wszystkie klęski, jakie spadły na ludzkość od chwili, gdy zamieszkuje tę planetę - powiedział Salietti z uśmiechem. - Rycerz zamarzył w górach; opatowi z Brinkdum poderznął gardło jeden ze zbirów inkwizytora Bulvara z Goztell, aby nie mógł nikomu opowiedzieć o tym, że papież i król Francji chcą zawładnąć sekretem mędrców; twój przyjaciel Durlib zmarł na szubienicy, jak zawsze się tego obawiał, bo taki jest zwyczajny koniec złodziei i tych,

którzy kierują swoją broń przeciwko wysoko położonym; a wojna wynika jedynie z nadmiernych ambicji możnych panów, takich jak król czy baron Figueltach de Vokko. Jeśli chodzi o ślepotę brata Uberta, przyczyną był wypadek, a narzędziem okruchy alembiku, a nie twój kamień. Nie widzę tu działania żadnej klątwy, bo wszystko to i tak by się wydarzyło, nawet gdybyś nie znalazł kamienia.

- Może masz rację, że wszystko to było dziełem przypadku, a jednak moim zdaniem w słowach starego pustelnika o klątwie, która będzie prześladować tych, którzy odważą się zgłębić istotę tajemnicy, jest zawarta jakaś prawda.

- Nie ma najmniejszej wątpliwości, że pustelnik był szaleńcem i nic z tego, co opowiadał o przekleństwie, templariuszach i tajnym stowarzyszeniu mędrców zwanym Ouroboros nie trzyma się kupy. Przypuszczalnie usłyszał jakieś opowieści, legendy czy wymysły, które żonglerzy opowiadają na miejskich placach, a potem w swoich majaczeniach przekształcił je i na koniec sam w nie uwierzył - mruknął Salietti, po czym położył się i ponownie wpatrzył w niebo.

- Nie uważam, żeby bredził - orzekł Grimpow. - Ouroboros jest znakiem na złotej pieczęci i na zalakowanym pergaminie, który miał ze sobą zmarły rycerz, a stary pustelnik miał wypalony ogniem na karku ośmiokanciasty krzyż templariuszy, tego jestem pewien.

- Widziałeś go? Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? - spytał Salietti, podnosząc się ponownie.

- Myślałem, że ty także go widziałeś. A okropny kikut dłoni mówił wyraźnie o potwornych torturach, które zadano starcowi.

- Tak, oprawcy Inkwizycji zdobyli zasłużoną niesławę i nie ma takich tortur, którym by nie poddali rycerzy Zakonu Świętyńi - dodał Salietti.

- Teraz przynajmniej wiemy, że templariuszy łączyło z sekretem mędrców jedynie to, że przewieźli go z Jerozolimy do Francji, aby go uchronić przed muzułmanami.

- Jeśli jest to prawdą, to wydaje się jasne, że to członkowie tego tajnego stowarzyszenia mędrców odnaleźli sekret w Jerozolimie - dodał Salietti.

- I tylko oni wiedzą, gdzie jest schowany - zakończył Grimpow.

- Ale według twojej teorii, przynajmniej jeden z nich zachował kamień, który ty obecnie posiadasz i przekazał go swemu uczniowi przed śmiercią, a ten swojemu uczniowi, aż dostał się w ręce brata Uberta z Alessandrii.

- No właśnie. A rycerz zmarły w górach był ostatnim powiernikiem kamienia i, przypuszczalnie, dawnym uczniem brata Uberta, lub też uczniem jego ucznia - Grimpow próbował usystematyzować swoje przemyślenia, wypowiadając je na głos.

- A ten Aidor Bilbicum ze Strasburga być może był następnym mędrcem, który miał dostać kamień, aby go nadal przechowywać - zasugerował Salietti, równie jak Grimpow pochłonięty poszukiwaniem odpowiedzi na liczne znaki zapytania.

- Być może - zgodził się Grimpow. - Ale pozostaje pytanie, dlaczego inkwizytor Bulvar z Goztell ścigał rycerza z gór?

- Najprawdopodobniej chytre psy gończe króla Francji wpadły na trop tajnego stowarzyszenia mędrców podczas bezlitosnych przesłuchiwań, którym poddawali templariuszy. To sugerował stary pustelnik, kiedy mówił o pergaminach przechowywanych w komandorii Temple w Paryżu - stwierdził Salietti.

- Myślę, że ten stary pustelnik nie był wcale tak szalony, na jakiego wyglądał. Pamiętasz, co powiedział? Co mielibyśmy zrobić, aby odkryć sekret mędrców? - spytał Grimpow.

- Powiedział, że powinniśmy zrozumieć język kamienia - wymruczał Salietti sennym głosem.

- No właśnie - odrzekł Grimpow, patrząc na czerwonawe światło w swej dłoni. - Ale jaki to język i jak możemy go pojąć? - spytał, jednak nie otrzymał żadnej odpowiedzi, oprócz zadowolonego pochrapywania szlachetnego diuka de Estaglia, pogrążonego w głębokim śnie.

O świtaniu gwiazdy nadal były widoczne na niebie, ale robiły się coraz bledsze, w miarę jak od wschodu wstawała różowo-pomarańczowa zorza poranna. Potem zza horyzontu wychynęła płomienna kula słońca. Gdy ruszali w drogę, jego promienie jasno oświetlały bezkresną równinę, rozciągającą się we wszystkie strony świata, podobną do suchego, jałowego oceanu. Przez wiele mil podążali prosto na północ, a Salietti opowiadał Grimpowowi o swym życiu studenta na uniwersytetach w Padwie i w Paryżu, z entuzjazmem kogoś, kto przywołuje z głębin pamięci szczęśliwe chwile, będące już tylko wspomnieniem.

Koło południa krajobraz zaczął się zmieniać i w oddali pojawiły się zarysy wzgórz porośniętych lasem. Kiedy do nich dotarli, panował straszny upał. Trzymali się z dala od gościńców i dróg, aby nie natknąć się na grupy pielgrzymów zdążających na południe i aby uniknąć towarzystwa rycerzy, którzy tak jak i oni, udawali się do twierdzy barona Figuelta de Vokko, żeby wziąć udział w wiosennych turniejach.

W gęstym lesie, wśród obfitych zarośli, powitał ich cień i świeży podmuch wiatru, kołyszący koronami drzew. Nic nie zakłócało panującej ciszy, nie słychać było nawet śpiewu ptaków ani gonitw wiewiórek wśród pokrywającej ziemię roślinności. Nawet stąpanie koni wydawało się zapadać w gęstą ciszę, jak w studnię. Nagle, nad ich głowami odezwał się

gromki głos, groźny jak głos samego Boga:

- Zatrzymajcie konie i rzućcie na ziemię broń, jeśli nie chcecie dostać zatrutą strzałą między oczy!

Zaskoczeni głosem dobiegającym znikąd, Salietti i Grimpow ściągnęli wodze i zatrzymali konie w miejscu. Salietti odpiął pas i miecz wraz z pochwą ześlizgnął się na ziemię po boku konia, a Grimpow rzucił łuk i kołczan pod kopyta Gwiazdy.

Oczy Saliettiego badały uważnie gałęzie drzew, ale nie dostrzegły nic, oprócz listowia poruszanego wiatrem.

- Zejdźcie z koni i odejdźcie na bok! - rozkazał straszny głos.

Zrobili, co im nakazano, a Salietti rzucił w pustkę:

- Tak bardzo jesteście odważni, że kryjecie swe oblicze w leśnym cieniu?

Przez chwilę nikt nie odpowiadał, jakby poprzednio słyszany głos był tylko złudzeniem lub poszumem wiatru. Lecz wkrótce z pobliskich drzew, jak gruszki, zaczęli spadać uzbrojeni rozbójnicy. Ponad tuzin tęgich drabów w łańchmanach, zarośniętych i patrzących wilkiem otoczyło ich zwartym kołem.

Jeden z bandytów postąpił krok w przód i stanął naprzeciwko Saliettiego. Był krzepki, jak dąb, miał zmierzwioną, rudą brodę, jedno oko niebieskie a drugie czarne, wielki bulwiasty nos i twarz pokrytą dziobami po ospie.

- Kim jesteście i czego szukacie w lesie Oppernai? - spytał tym samym groźnym głosem, którym ich powitał.

- Jestem Salietti de Estaglia, a mój towarzysz to Grimpow, giermek. Udajemy się do twierdzy barona Figueltacha de Vokko na wiosenne turnieje.

- Północny gościniec biegnie wiele stajañ stąd. Jeśli jesteście rycerzem, dlaczego włóczycie się na przełaj po lesie, jak zbieg lub banita?

- Zgubiliśmy się wczoraj w nocy i nie mogliśmy znaleźć drogi - wyjaśnił Salietti, nie spuszczać oczu z rozbójników, którzy ciągnęli konie za uzdy i zbierali broń z ziemi.

- Ależ skąd! Dobrą wybraliście drogę, wielmożny panie Salietti! - zaśmiał się nieprzyjemnie zbój. - Jeśli macie kosztowności lub złoto i srebro, lepiej dawajcie je od razu, zanim obłupię was nawet z wszy, które kryją się w waszych włosach. Zabierzemy wszystko, co macie, jako myto za bezprawne przebywanie w lesie Oppernai bez zgody jego pana - dodał, dziko przewracając swym niebieskim okiem.

- Naszym jedynym dobrem są konie, muł i broń. Jeśli nas ich pozbawicie, staniemy się nędzarzami - powiedział Salietti.

- Zawsze będziecie mogli się przyłączyć do naszej zacnej kompanii - szydził zbój. -

Chętnie przyjmujemy obdarcuciuchów i łapserdaków, jakimi się zaraz staniecie. A teraz ściągajcie odzież i złóżcie ją przy tym drzewie - dodał, wykrzywiając się paskudnie za zasłoną gęstego, rudego zarostu.

- Chcecie, abyśmy się obnażyli? - spytał Grimpow z oburzeniem, mimo iż znał aż za dobrze metody stosowane przez rzezimieszków, którzy mieli zwyczaj przeglądać dokładnie najdrobniejszy szew odzieży swych ofiar.

- Jeśli wolisz, abym zrobił to za ciebie, przekłety smarkaczu, to nie dosyć, że zerwę z ciebie własnoręcznie koszulę i gacie, ale obedrę cię ze skóry, jak królika i rzucę cię na pożarcie mrówkom - zagroził drab, który wydawał się hersztem rozbójników.

Salietti nakazał chłopcu gestem, aby był posłuszny i obydwaj zaczęli się rozdziewać ze swych bogatych strojów, aż zostali całkiem nago. Grimpow wiedział, że rozbójnicy nie tak szybko znajdą złotą pieczęć, zalakowany pergamin i sakiewkę z ziarnami złota od brata Assbena, bo Salietti dobrze je ukrył w zakamarku swego siodła. Jednak jeden ze zbójów zauważył lniany woreczek na szyi Grimpowa i zerwał go jednym, bezwzględny szarpnięciem.

- Co tu masz? - warknął, obnażając brudne, szczerbate zęby.

- To tylko amulet, który przed laty matka zawiesiła mi na szyi, aby chronił mnie przed duchami i złymi ludźmi, jak wy. Jeśli go zatrzymasz, spadnie na ciebie straszliwa klątwa. Pokryjesz się wrzodami i będziesz się wić w pyłe, jak rozdeptany robak - rzucił Grimpow, starając się przestraszyć złoczyńcę.

Ten, uwierzywszy naiwnej groźbie, podał woreczek rudemu przywódcy, który ostrożnie zajrzał do środka.

- Do diabła! To tylko kamień i ziele rozmarynu. Moja babka także go używała do zamawiania, aż skończyła na stosie razem z innymi starymi wiedźmami ze swej wioski, gdy całe bydło w okolicy wyzdychało, podobno z ich winy - mruknął z pogardą, odrzucając woreczek i zatrzymując kamień. - Mam nadzieję, że znajdę u was coś więcej niż to paskudztwo - dodał, patrząc jednak na kamień z zaciekawieniem - bo jak nie, to Druskło się zabawi, przypalając wam podeszwy przy ognisku do czerwoności - roześmiał się wrzaskliwie, a echo jego śmiechu rozległo się po lesie i wywołało rozbawione docinki kompanów.

- Druskło? Powiedziałeś Druskło? Krwawy Druskło? - podchwycił Grimpow, słysząc imię przywódcy.

- Dobrze usłyszałeś, gówniarzu. A co, może go znasz? - spytał rudy zbój.

- Nie, skąd - zaprzeczył Grimpow. - Ale jego sława dotarła aż do okręgu Ullpens. Nawet żonglerzy snują opowieści o jego czynach, jakby był legendarnym bohaterem - dodał,

ogarnięty obawą o życie i o los kamienia, podczas gdy dwóch zbójów przeglądało uważnie odzież Saliettiiniego i szperało po szwach, nic nie znajdując.

Potem zabrali się za ubrania Grimpowa i ledwie jeden z nich potrzęsął spodniami, na ziemię upadł mały sztylet z szafirami i rubinami, który Durlib znalazł w sakwie martwego rycerza.

- Ho! Ho! A niech to wciórności! - krzyknął zbój, przyglądając się z podziwem drogim kamieniom na rękojeści. - A więc mamy tu śliczny mały skarb!

- Dawaj mi to! - krzyknął rudy herszt, wrywając mu brutalnie sztylet z dłoni. Z zadowoleniem obejrzał go dokładnie i patrząc uważnie na Grimpowa spytał: - Skąd go masz?

Salietti odpowiedział za niego.

- To ja dałem go mojemu giermkowi zanim wjechaliśmy do lasu, żeby mógł się bronić przed dzikimi zwierzętami - powiedział, co przypomniało Grimpowowi banialuki, jakie zwykł opowiadać Durlib, aby się wykaraskać z opałów.

- Ten sztylet należał do jakiegoś niewiernego, z tych, co zabijają krzyżowców w Ziemi Świętej - mówił bandyta. - Znam dobrze ich broń, bo za młodu szukałem szczęścia w dalekich krajach. No, to się Druskło ucieszy z łupu! Spodobają mu się też konie i błyszcząca zbroja i może okaże wam łaskę. Daruje wam życie, ale nie omieszka poobcinać wam uszu i nosów - dodał, śmiejąc się szaleńczo.

Potem kazał im założyć spodnie i popchnął ich, aby ruszyli przed siebie, a reszta bandy cały czas mierzyła do nich z łuków. Salietti udawał przestraszonego, ale puścił oko do Grimpowa, aby pokazać mu, że poszuka jakiegoś sposobu, aby odzyskać dobytek, który im zrabowano.

Przez dłuższy czas zbójcy pędzili ich w stronę zachodzącego słońca, które prześwitywało przez gałęzie drzew. Na niebie zbierały się chmury i w oddali słychać było odgłosy burzy. Wkrótce las stał się jeszcze gęstszy i zza płataniny gałęzi i liści nie widać było nieba. Rozbójnicy zabronili im rozmawiać ze sobą, ale Salietti skorzystał z nadarzającej się okazji i szeptem spytał Grimpowa, czy naprawdę zna Krwawego Druskłę. Grimpow nie odpowiedział, aby nie zwracać uwagi zbójów, którzy uważnie śledzili ich ruchy; skinął tylko lekko głową. Niestety, aż za dobrze wiedział, kim jest Krwawy Druskło. Straszny przydomek określał dokładnie tego bezlitosnego bandytę, który miał okrutny zwyczaj rozcinania brzuchów swym ofiarom, tak jak się patroszy świnię. Durlib opowiedział Grimpowowi, że przez jakiś czas należał do bandy Druskła, ale pokłócili się, bo Druskło stawał się coraz bardziej brutalny i nieobliczalny. Zakończyło się to starciem na miecze, z którego Druskło wyszedł pokonany i wściekły na Durliba. Od tej pory się nie widzieli. Durlib znał dzieje życia

Druskla. Jako chłopiec zastrzelił z łuku swego pana, który spoliczkował go, bo podczas polowania na lisy za wcześnie spuścił psy ze smyczy. Potem uciekł do lasu, a kiedy w nocy podszedł pod rodzinną chatę, zobaczył swych rodziców i dwóch młodszych braci powieszonych na drzewie, z wylupionymi oczyma i rozplatanymi brzuchami. Oszalały z bólu Drusklo przyłączył się do oddziału zbuntowanych chłopów, a z czasem został ich przywódcą i hersztem dużej bandy złożonej ze złodziei, żebraków, zbiegłych mnichów, morderców i banitów. Napadali na kościoły, opactwa, wsie, i co mniejsze zamki, łupili, palili, grabili pielgrzymów i wędrowców, grasowali po gościńcach i na swojej drodze pozostawiali potwornie okaleczone ciała swych ofiar.

Wkrótce znaleźli się na polanie, gdzie płonęło ognisko. Na rożnie obracała się tusza jelenia, i rozchodził się zapach pieczonego mięsiwa. Na skraju polany stały szałas, sklecone z pali i zwierzęcych skór. Naprzeciw przybyszy wyszła gromada mężczyzn, uzbrojonych w wielkie pałki i łuki i zaczęła się natrzasać z niemal nagich jeńców. Wyglądali na prymitywne istoty, które rzadko miewają okazję widywać kogoś lepszego od siebie.

Salietti domyślił się, że idącym na czele mężczyzn jest Drusklo, bo miał na sobie spłowiałą opończę w kolorze purpury, a na skołtunioną głowę nasadził blaszaną, zardzewiałą koronę. Dziwaczny strój nadawał mu dumny wygląd króla wygnańca. Na twarzy miał głębokie blizny po oparzeniu, częściowo ukryte za gęstą, posiwiałą brodą. Grimpow spodziewał się zobaczyć kogoś młodszego, raczej w wieku Durliba, ale Drusklo wyglądał na postarzałego mocarza, którego mięśnie z trudem zachowują krzepkość dawno minionej młodości. Jego oczy były czarne i lodowato zimne; wydawało się, że chce przekazać spojrzeniem całą nienawiść, jaką gromadził w sobie od chwili zamordowania swojej rodziny.

- Uważacie się za króla i w ten sposób odnosicie się do szlachetnych rycerzy? - rzucił mu w twarz Salietti.

- Prawo tego królestwa mało ma wspólnego z kodeksem rycerskim. W lesie rządzi prawo silniejszego. Jesteście owieczkami, które zaraz zostaną pożarte przez wilki. To my tu rządymy, my - wilki, zjadające tych, co odważą się zapuścić w las Oppernai. Ja jestem przywódcą stada. Jestem królem lasu, a to moi wierni wasale - szyderczo odezwał się Drusklo, tocząc wokół wyzywającym wzrokiem.

Rudowłosy zbój pokornym gestem wręczył Druskłowi sztylet.

- Tylko to znaleźliśmy przy nich, i ten kamień, który chłopak miał w woreczku na szyi - powiedział, pokazując hersztowi dziwny kawałek skały.

Drusklo nawet na niego nie popatrzył, natomiast z podziwem zaczął przyglądać się klejnotom, zdobiacym rękojeść sztyletu.

- Kim jesteście - spytał, nie odrywając oczu od sztyletu.

- Jestem Salietti, diuk de Estaglia.

- Jesteście Włochem?

- Z regionu Piemontu.

- A co was sprowadziło w te odległe strony?

- Udaję się do twierdzy barona Figuelta de Vokko w Alzacji, aby wziąć udział w wiosennym turnieju.

Druskło podniósł głowę, wbił wzrok w oczy Saliettiego, a sztyletem wymierzył w jego serce. Przez chwilę wydawał się zastanawiać, a następnie, delikatnie zagłębiając ostrze sztyletu w pierś Saliettiego, tak aby nie przeciąć mu skóry, powiedział z namysłem:

- Może dojdziemy do porozumienia.

Salietti rzucił okiem na Grimpowa i widać było, że nie rozumie, jakie porozumienie Krwawy Druskło może mieć na myśli. Grimpow nie poruszył się i nie odezwał, jak wypadało wiernemu giermkowi w obliczu ważnych spraw, które jego pan sam musi rozstrzygnąć.

- Jeśli chcecie, abyśmy rozmawiali jak rycerze, nie straszcie mnie dzikimi bestiami i rozkażcie waszym ludziom, aby nas rozwiązali i oddali nam nasze ubrania - stwierdził Salietti.

Herszt gestem nakazał rudemu zbójowi rozciąć więzy jeńcom, a inny wyrzutek szybko podał im koszule, kaftany i pasy.

- A co z moim mieczem, końmi i zbroją? - spytał Salietti, poprawiając kaftan i rozcierając zdrętwiałe przeguby dłoni.

- O szczegółach pomówimy później. A teraz powiedzcie: co wiecie o wojnie, o której głośno wśród wędrowców i pielgrzymów z północy?

- Z tego, co mi wiadomo, baron Figuelta de Vokko jest sprzymierzeńcem króla Francji i z błogosławieństwem papieża Klemensa zamierza wyprawić się na zamki Kamiennego Kręgu, aby pojmać zbiegłych templariuszy, którzy znaleźli schronienie u diuka Gulfa de Östemberg. Podczas wiosennego turnieju, na który być może przybędzie też król Francji, Figuelta de Vokko zamierza wezwać rycerzy do wzięcia udziału w tej krucjacie.

- A wy macie zamiar dołączyć do wojsk barona, aby uderzyć wraz z nim na zamki Kamiennego Kręgu?

Twarz Saliettiego ściągnęła się, bo wiedział, że od przesłuchania, które prowadził Krwawy Druskło zależy jego życie. O wojnie wiedział jedynie to, co opowiedział mu płatnerz Ailgrup z Ullpens, a teraz musiał w jednej chwili domyślić się, jakiej odpowiedzi na swoje pytanie oczekuje rozbójnik.

- Tak, oczywiście - powiedział zdecydowanym tonem. - W tym właśnie zamiarze przybywam z tak daleka. Moje włości w Piemoncie są ubogie, więc zdecydowałem się szukać sławy, zaszczytów i bogactw biorąc udział w turniejach i w krucjacie przeciwko zamkom Kamiennego Kręgu.

- Słyszałem, że baron Figueltach de Vokko ma zamiar przebaczyć wszystkim wyrzutkom, którzy przyłączą się do jego armii i wezmą udział w wojnie przeciwko sprzymierzeńcom templariuszy - powiedział Drusklo, widząc wpatrzony w siebie oczy swych ludzi.

- Istotnie. Cóż prostszego, niż udać się do twierdzy podczas turnieju, poprosić barona o wybaczenie win i zaoferować mu swoje usługi? - spytał Salietti, który jeszcze nie pojął jasno, o co chodzi rozbójnikowi.

Drusklo niespokojnie targał brodę, jakby to, co miał do powiedzenia, nie chciało mu przejść przez gardło. Na koniec wyznał:

- Kiedy byłem chłopcem, zabiłem jego dziadka. Żołnierze barona do dziś zaciekle ścigają mnie i moich ludzi. Nie jestem pewien, czy będzie nas chciał na najemników.

Salietti popatrzył na niego i powiedział otwarcie.

- Uplętnęło już wiele czasu, a z tego, co mi wiadomo, baron Figueltach de Vokko jest pozbawiony skrupułów i gotów sprzymierzyć się nawet z diabłem, jeśli ujrzy w tym swoją korzyść.

- I dlatego was potrzebuję - powiedział Drusklo głosem, w którym wyczuwało się głębokie zmęczenie. Minione lata, życie wygnańca, a nawet własne okrucieństwo zużyły go tak, że wydawał się całkowicie wyczerpany.

- Możecie mówić jaśniej? Nie rozumiem - stwierdził Salietti.

Drusklo mówił z napięciem, widać było, że nie przywykł się przed nikim poniżać.

- Jeśli przysięgniecie mi na własny miecz, że przekażecie posłanie ode mnie baronowi Figueltachowi de Vokko, gdy tylko przybędziecie do jego twierdzy, pozwolę wam ruszyć w dalszą drogę przez las Oppernai, bez żadnej szkody dla was ani dla waszego giermka.

- Co mam przekazać baronowi w waszym imieniu? - spytał sucho Salietti.

- Powiedzcie mu po prostu, że błagam go o wybaczenie i że jedynie ja i moi ludzie jesteśmy w stanie wdrapać się na wielkie skały, na których stoją zamki Kamiennego Kręgu i umieścić tam katapulty. Baron zrozumie, jak pożyteczni możemy się stać dla niego i dla jego przedsięwzięcia.

Grimpow był zawiedziony. Wolałby, aby Salietti odpowiedział przecząco i nie godził się na żadne układy z krwiożerczym rozbójnikiem. Oczekiwał, że Salietti, dumny diuk de

Estaglia, zwycięży bandytów swym mieczem i pokaże im, jak przystało na dzielnego i szlachetnego rycerza, kto powinien dyktować warunki.

- A co będzie z moją bronią i wierzchowcami? - spytał Salietti, zwlekając z wyrażeniem zgody.

- Miecz i zbroję możecie zabrać, a także konie i muła.

- A sztylet i kamień chłopaka? - nalegał Salietti.

- Sztylet zachowam i przysięgam, że oddam go, gdy będziemy wspólnie walczyć przeciwko zamkom Kamiennego Kręgu pod sztandarem barona. Natomiast sprawę kamienia musi rozstrzygnąć Blakestown. Panuje wśród nas prawo, że w przypadku rzeczy mniejszej wartości, każdy może zatrzymać dla siebie to, co zdobył. Gdy ktoś chce mu to odebrać, musi stoczyć z nim pojedynek - powiedział, wskazując na rudowłosego.

Oczy Blakestowna nasunęły Grimpowowi na myśl zagadkowy tekst z pergaminu: „W niebie jest ciemność i światło”, gdyż jedno z nich było jasne, jak dzień, a drugie ciemne, jak noc. Zbójca rozdziawił gębę i roześmiał się gromko.

- Jeśli szlachetny pan Salietti de Estaglia chce, aby jego giermek odzyskał amulet, będzie musiał mi go odebrać - powiedział wyzywającym tonem.

W kręgu bandytów rozległy się rechoty i okrzyki, podbechtujące Rudzielca Blakestowna do policzenia kości włoskiemu rycerzowi.

- Wybieraj broń - powiedział zrezygnowanym tonem Salietti, spodziewając się najgorszego.

- Będziemy walczyli na pałki, bo miecze są dla rycerzy, a to jest plebejski pojedynek.

Wrzask się nasilił; dwóch wyrzutków podeszło do przeciwników, wręczyło im tęgą pałkę i utworzyło wokół nich koło. Jednak zanim padł pierwszy cios, Grimpow wskoczył do środka kręgu i zawołał:

- Kamień jest mój, więc ja muszę o niego walczyć!

Rozbójnicy zamilkli, słysząc słowa chłopca, a jeden z nich rzucił jakiś żart, mający związek z mikrą posturą śmiałka i znowu wszyscy rechotali ze śmiechu.

- Chłopak ma rację - orzekł Krwawy Druskło. - Jeśli amulet należał do niego, tylko on może się o niego upomnieć. Nie musi nawet pytać o zgodę swego pana, bo w tym lesie wszyscy są wolni, nie ma seniorów ani wasali. Niech wybierze rodzaj wyzwania i los niech zadecyduje o przeznaczeniu kamienia!

Grimpow popatrzył na Saliettiego, wzrokiem prosząc, żeby nie mieszał się do sporu. Potem powiedział, wskazując przed siebie:

- Powiesimy kamień na najniższej gałęzi tamtego drzewa. Przypadnie on temu, komu

uda się przeciąć sznurek strzałą wystrzeloną z odległości pięćdziesięciu kroków.

Blakestown wyszczerzył żółte zęby w uśmiechu zadowolenia i przyjął wyzwanie Grimpowa.

Rozbójnicy przerwali koło, rozstąpili się na boki i ustawili po obu stronach tworząc równoległe rzędy. Druskło wziął kamień, przewiązał go cienkim sznurem i zawiesił na gałęzi drzewa wskazanej przez odważnego giermka. W tym czasie Salietti odebrał łuk i kołczan Grimpowa i wręczył je właścicielowi.

Druskło powrócił na miejsce, odliczając pięćdziesiąt kroków i końcem pałki narysował na ziemi linię prostopadłą do kierunku strzału. Kamień kołysał się miarowo w oddali, a sznur był ledwie widoczny w mrocznym lesie.

- Pierwszy będzie strzelał Blakestown, jak przystoi wyzwaniem. Jeśli przetnie sznur, kamień jest jego, jeśli nie, chłopak będzie miał okazję spróbować szczęścia - orzekł Druskło, odstępując na bok.

Rudowłosy zbój stanął za linią, przymknął swe niebieskie oko i wznosił łuk na wysokość ramion. Odetchnął głęboko i napiął go, śledzony uważnymi spojrzeniami kompanów. Salietti skrzyżował palce w przesądym geście, a Grimpow zamknął oczy. Cięciwa brzęknęła, jak struna gęśli, strzała przemknęła w powietrzu i nie dotykając sznura ani kamienia zniknęła w gąszczu.

Rozbójnicy głośno zaczęli ubolewać, że Rudzielec spudłował i dowodzić, iż strzała przeszła tak blisko kamienia, że jej podmuch go poruszył. Blakestown machnął ręką ze złością i zaklął, a Salietti i Grimpow odetchnęli z ulgą.

Przyszła kolej na Grimpowa. Kiedy w pozycji łuczniczej stanął poza linią, odczuł na swych plecach ciężar spojrzeń wszystkich obecnych. Zapadła cisza i wydawało się, że czas się zatrzymał. Grimpow podniósł łuk, zmrużył jedno oko i zaczął powoli napinać cięciwę, do chwili gdy sznur i kamień znalazły się dokładnie w celu. Zatrzymał oddech i puścił cięciwę, a jej wibracje odbiły się echem w jego uchu. Strzała pomknęła tak szybko, że nie mógł jej dostrzec, za to w odległości pięćdziesięciu kroków kamień upadł na ziemię, jak owoc strząśnięty z drzewa. Okrzyki radości Saliettiego rozległy się na tle wyrzekań rozbójników, a Grimpow odzyskał cudowny przedmiot, który po raz kolejny okazał się ściśle związany z jego przeznaczeniem.

Płomienie nad Cornill

Po sutej wieczerzy złożonej z pieczonej sarniny i chleba opuścili las Oppernai nie ponosząc innego uszczerbku w swym dobytku, niż sztylet rycerza z gór. Salietti był przekonany, że będą mieli okazję spotkać się ponownie z Krwawym Drusklem i odebrać cenny przedmiot.

- Masz zamiar przekazać baronowi Figueltachowi de Vokko posłanie od najkrwawszego zbrojnego, jaki kiedykolwiek nękał tę okolicę? - spytał Grimpow, gdy wyjechali z lasu i między kępami drzew poszukiwali drogi mającej ich doprowadzić do północnego gościńca, który już nie mógł być daleko.

- Dałem Drusklowi słowo rycerza, a rycerz godny tego imienia nie może zlekceważyć przysięgi.

- Ależ Drusklo to łajdak i morderca! - zaprotestował Grimpow. - Jeśli pozwolił nam ujść z życiem, to tylko dlatego, że spodziewa się, iż baron przebaczy mu zabójstwo swego dziadka.

- Sądzę, że ja także odniosę korzyści z rozmowy z baronem Figueltachem de Vokko i będę mógł wydobyć od niego jakieś informacje o jego zamiarach.

- Sądź, że wkrótce po turnieju zacznie się wojna?

- Niedługo się o tym dowiemy.

Przez dłuższy czas jechali w milczeniu jeden za drugim. W miarę jak posuwali się na północ, krajobraz zmieniał wygląd, na sposób zmieniających skórę gadów i ożywiał się nowymi kolorami ziemi, upraw, drzew, wzgórz, jezior i bagien. Grimpow zastanawiał się, co ich czeka w twierdzy barona Figueltacha de Vokko i czy któregoś dnia zdołają przekroczyć bramy Strasburga.

Nie wiedział nawet, czy żyje jeszcze Junn Kulawiec, przyjaciel brata Rinalda z Metzu, właściciel gospody Pod Okiem Zielonego Smoka. Z całą pewnością brat Rinaldo od dawna nie opuszczał opactwa, niewykluczone więc, że jego przyjaciela nie było już w Strasburgu, jak sądził. W zamieszaniu ostatnich dni Grimpow niemal zapomniał, że wyruszył na poszukiwanie sekretu mędrców i że jedyną wskazówką, jaką dysponowali, on i Salietti, były słowa wypisane na zalakowanym pergaminie rycerza zmarłego w górach. Jeśli Junn Kulawiec pomoże im znaleźć w Strasburgu Aidora Bilbicum, misja Grimpowa przypuszczalnie

zakończy się wręczeniem mu wiadomości, złotej pieczęci i kamienia. Grimpow miał nadzieję, że Aidor Bilbicum będzie wiedział, co z tym wszystkim zrobić, podobnie jak wiedzieli wszyscy inni mędrcy, którzy posiadali te przedmioty przedtem, łącznie z ostatnim powiernikiem kamienia. Grimpow od samego początku domyślał się, że kamień jest czymś zagadkowym i nie z tego świata. Tylko magiczny przedmiot mógł być zdolny do przekształcenia w mędrca zwykłego chłopca. Grimpow wiedział, że dzięki pilnej nauce w bibliotece opactwa Brinkdum poczynił ogromne postępy na drodze poznania przyrody i kosmosu, ale zdawał sobie sprawę, że nie mógłby tego dokonać bez kamienia.

Czasem nawet wątpił, czy rzeczywiście istnieje jakiś sekret do odkrycia, coś oprócz zrozumienia prawdziwej istoty kamienia, który posiadał. Czyż sam kamień nie stanowił największej tajemnicy? Kto, gdzie, jak i kiedy go znalazł? Dlaczego promieniował dziwnym światłem? Dlaczego pozwalał mu rozumieć nieznanne języki i w mig pojmować wszystko, o czym czytał? Jakim sposobem zamieniał pospolite metale w złoto? Czy był to rzeczywiście kamień filozoficzny? Czy jego kamień był prawdziwym i jedynym na świecie *lapis philosophorum* z legend i traktatów alchemicznych? Kim był zmarły rycerz i w jaki sposób rozwiązał się w nicość, podobnie jak rozwiewają się sny? Dlaczego ścigał go inkwizytor Bulvar z Goztell? Czy rycerz był członkiem tajnego stowarzyszenia mędrców zwanego Ouroboros? Co wspólnego miało to stowarzyszenie z templariuszami? Dlaczego papież i król Francji pragnęli posiadać kamień? Dlaczego dążyli do zdobycia zamków Kamiennego Kręgu z pomocą barona Figueltacha de Vokko? Kim był Aidor Bilbicum? Co oznaczało zdanie: „W niebie jest ciemność i światło”?

Wszystkie te pytania kłębiły się w jego umyśle, gdy wjeżdżali na wzniesienie, z którego można było dostrzec północny gościniec, wijący się łagodnie pomiędzy rozległymi winnicami na wzgórzach.

W oddali dostrzegli słup dymu wznoszący się ku niebu i zlewający się z kłębami szarych, opasłych chmur zwisających nad horyzontem. Więcej z tamtej strony wiatr niósł ze sobą niepokojące odgłosy. Zmierzchało. Niebo było ciężkie jak ołów i jak ołów matowe. Salietti podniósł się niespokojnie w strzemionach, starając się dostrzec w oddali jakieś znaki, pozwalające mu stwierdzić, co się dzieje.

- Płonie wieś Cornill, w powietrzu słychać lament i okrzyki bitewne. Pędźmy co sił! - powiedział kłując ostrogami konia, który pogalopował w dół zbocza.

Grimpow poszedł jego śladem, popędzając Gwiazdę i starając się pociągnąć za sobą muła. Nadstawił ucha i usłyszał dźwięk dzwonów na trwogę. Serce szamotało mu się w piersi, podobnie jak biedne zwierzę, które szarpało się i stawiało opór, nie zważając na krzyki

i gwizdy.

- Wio, wio! Ruszaj się!

Gdy dotarli do wsi, była już pogorzeliiskiem. Kilka domów i stodół płonęło jeszcze żywym ogniem, a płomienie tańczyły na słomianych dachach swój piekielny taniec. Zgromadzeni ludzie bezskutecznie próbowali je gasić, lejąc wodę cebrzykami, które podawano sobie z rąk do rąk. Inni trudzili się wydobywając wodę ze studni. Panował oszałamiający harmider. Salietti skierował konia w stronę silnego, łysego mężczyzny, odzianego w skórzany fartuch, jaki zwykli nosić kowale. Był taki hałas, że Salietti musiał krzyknąć, aby kowal go usłyszał:

- Co tu się stało? - spytał.

- Zbrojni barona Figuelta de Vokko wpadli do wsi, szukając Gurielfa Laboxa. To starzec, który przybył do Cornill ze swoją córką przed kilkoma dniami. Wyciągnęli ich z domu siłą, związali, wrzucili na wóz i zabrali, a wieś podpalili.

- Wiecie, dlaczego?

- Dowódca powiedział, że pali nasze domy, bo udzieliliśmy schronienia czarownikowi. Jednemu z tych czcicieli gwiazd, których prześladowała Inkwizycja - powiedział kowal, ocierając nagim przedramieniem pot ciekący mu z czoła.

- Czy jest ktoś we wsi, kto znał tego człowieka? - Salietti starał się poskromić konia przerażonego ogniem. Grimpow zmagął się z Gwiazdą i z mułem.

- Spytajcie proboszcza, może on coś wie.

Po obu stronach drogi płonęły domy. Wierzchowce opierały się i nie chciały jechać dalej. Zza dachów wyzierała dzwonnica Cornill, spowita w kłęby dymu i popiołu. Słychać było huk płomieni i trzask walących się murów, a zachód słońca, ponury i krwawy, był odbiciem tego, co działo się wokół. Grimpow ze współczuciem patrzył na bezskuteczne wysiłki mieszkańców, starających się ocalić od ognia choć część nędznego dobytku. Lubił ogień; w zimowe dni w górskiej chacie przyjemnie było wygrzewać się przy palenisku. Potem, w pracowni brata Assbena w opactwie Brinkdum, poznał właściwości ognia alchemicznego, zdolnego stopić metale i przygotować je do transmutacji. To był ogień oczyszczający, ogień wiodący do doskonałości. Ale ten ogień, który teraz widzieli, był zupełnie inny - bezlitosny i niszczący żywioł, zdolny strawić wszelkie dążenia i pragnienia ludzkie.

- Dlaczego chcesz się dowiedzieć, kim był człowiek, którego porwali zbrojni Figuelta de Vokko? - spytał Grimpow, zanim dojechali do kościoła.

- Jeśli, jak mówił kowal, pojмали go za czczenie gwiazd, był z pewnością astronomem,

a nie czarownikiem. Kościół nazywa uczonych czarownikami lub magami i oskarża o herezję, aby znaleźć powód do prześladowań.

- Myślisz, że ten astronom może mieć coś wspólnego z sekretem mędrców? - spytał Grimpow, chcąc wy badać, czy Salietti myśli to samo, co on sam.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było. Zważ, że właśnie tym sekretem chcą zawładnąć papież i król Francji, więc to z pewnością stało się powodem do zatrzymania uczonego. A ponieważ my też poszukujemy sekretu, koniecznie musimy dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe o Gurielfie Laboxie. Jeśli zabrano go do twierdzy barona Figueltacha de Vokko, może będziemy mogli z nim pomówić i uzyskać jakieś wiarygodne wskazówki na temat stowarzyszenia Ouroboros.

Z jakiegoś powodu Grimpow w tej właśnie chwili zaczął podejrzewać, że jego przyjaciel i pan, diuk Salietti de Estaglia, nie jest z nim całkiem szczerzy.

Na placu przed kościołem proboszcz dowodził grupką chłopów, którzy odciągali na bok spalone krokwie budynku, przylegającego do jednej z bocznych ścian kamiennego kościoła. Był to szczupły mężczyzna, o bladej twarzy i podkrążonych oczach, ubrany w długi, czarny habit, przewiązany w pasie białym sznurem z węzłami. Krzyczał i machał rękoma w rozpacz.

Na szczęście kościół wydawał się nietknięty. Salietti zeskoczył z konia i pomógł ludziom usuwać resztki bali strawionych ogniem. Potem podszedł do proboszcza i skłonił przed nim lekko głowę.

- Teraz nie mogę, wróćcie kiedy indziej - powiedział duchowny, nie zwracając uwagi na pozdrawiającego go rycerza.

Nieprzejęty lekceważeniem ze strony proboszcza, Salietti podszedł bliżej.

- Zdaję sobie sprawę, że w tej czarnej godzinie musicie służyć pomocą waszym parafianom, ale muszę z wami pilnie mówić.

Proboszcz podniósł głowę i popatrzył na Saliettiego.

- O czym? - spytał.

- O uczonym Gurielfie Laboxie.

- Zabrali go wraz z córką żołnierze barona Figueltacha de Vokko.

- Wiem - powiedział Salietti pewnym głosem. - Dlatego właśnie przybyłem do Cornill. Chciałem go ostrzec, że grozi mu zatrzymanie na rozkaz inkwizytora Bulvara z Goztell.

Słowa Saliettiego zdumiały Grimpowa, który nie wiedział, czy przyjaciel mówi prawdę, czy zmyśla.

- Jak sami widzicie, przybyliście za późno. Zastaliście tylko ogień i zgliszcza. Ale powiedzcie, kto was przysyła? - spytał proboszcz.

- Niestety, nie mogę tego powiedzieć, to część sekretu.

- Sekretu? - powtórzył pytającym tonem ksiądz, marszcząc brwi.

Salietti potaknął, a Grimpow przestraszył się, że dalsze wymysły, o ile rzeczywiście Salietti zmyślał, doprowadzą ich do wpadki.

- Rozumiem - powiedział proboszcz po namyśle. Popatrzył uważnie w oczy Saliettiego i spytał: - Jesteście przyjacielem Gurielfa Laboxa?

- Powiedzmy, że chcę mu pomóc, ale w tym celu muszę się dowiedzieć, czy znalazł w tej wsi to, czego szukał.

Ksiądz popatrzył na tarczę Saliettiego przywiązaną do grzbietu muła i uważnie przyjrzał się herbowi wyobrażającemu słońce na niebieskim i księżyc w pełni na czarnym polu.

- Wasz herb jest bardzo tajemniczy - szepnął.

- Nie dla tych, którzy rozumieją - odrzekł zagadkowo Salietti.

Wątpliwości księdza wydawały się rozwiewać.

- Zostawcie tu wierzchowce i wejdźcie. Będzie lepiej, jeśli porozmawiamy w zakrystii.

Przywiązali zwierzęta do żelaznych kół przytwierdzonych do słupów stojących obok portalu kościoła i zagłębili się w wilgotną ciemność świątyni w Cornill. Przez nieoszlone okna wpadały czarne płatki popiołu i kręciły kółka w powietrzu, jak miniaturowe jaskółki. Kościół był stary, średnich rozmiarów, złożony z nawy środkowej i dwóch mniejszych po bokach. Nawy były od siebie oddzielone arkadami opartymi na grubych kolumnach i pełne kapliczek świętych. Przed głównym ołtarzem paliły się świece, oświetlając wynędzniałe ciało ukrzyżowanego Chrystusa, wyłaniające się z mroków zalegających w kościele.

To ciemne wnętrze wydało się Grimpowowi przepełnione symbolami i tajemnicami, podobnie jak rękopisy alchemików. Każdy z obrazów i fresków, wszystkie rzeźby i kapitele kolumn miały ukryte znaczenie, które większości ludzi umykało, ale dla erudyty, takich jak proboszcz, nie stanowiło zagadki.

Weszli do zakrystii, małego pomieszczenia o niskim sklepieniu i niewielkich okienkach zamkniętych okiennicami. Na ścianie wisiały haftowane złotą nicią ornaty, a na rzeźbionej skrzyni stała cynowa taca z butlą i kielichami z tego samego metalu. Ksiądz zapalił świece czteroramiennego świecznika stojącego na stole i nalał do kielichów trzy solidne porcje płynu.

- To wzmacniająca siły nalewka ze śliwek, którą sam zrobiłem. Nie ma nic lepszego w tej strasznej godzinie, gdy ciemności ogarnęły ziemię - powiedział, wręczając im kielichy.

Salietti wychylił swój jednym haustem, a ksiądz i Grimpow popijali powoli, czując przyjemny posmak śliwek na podniebieniu.

- To prawda. Czarna godzina nadeszła - potwierdził Salietti. - Sądzę, że są wam znane zamiary barona Figuelta de Vokko, który zbiera się do napaści na zamki Kamiennego Kręgu - dodał, oblizując wargi.

Proboszcz potaknął i pociągnął łyk ze swojego kielicha.

- W całej Alzacji o niczym innym się nie mówi. Heroldowie barona odwiedzają wsie i miasta, wzywając wszystkich do zaciągnięcia się pod jego chorągiew, w zamian za dobry żołd i inne korzyści. Doszło do tego, że obiecują uniewinnienie od kar buntownikom i rozbójnikom, którzy kryją się po lasach i górach, jeśli zgłoszą się na najemników. Od czasów krucjat nie widziano tak licznej armii, jaką chce zgromadzić Figuelta de Vokko, aby uderzyć na fortecę diuka Gulfa de Östemberg - ksiądz rozgadał się pod wpływem nalewki.

- Król Francji popiera barona, bo podejrzewa, że w zamkach Kręgu został ukryty sekret templariuszy - rzucił Salietti, aby zyskać zaufanie proboszcza.

- Myślałem, że przyczyną wojny jest to, iż diuk Gulf udzielił schronienia w swych zamkach rycerzom z Zakonu Świątyni, lekceważąc bullę papieża Klemensa, która nakazywała prześladować ich i wydawać Inkwizycji - powiedział ksiądz.

- Mała grupka bezsilnych uciekinierów, załamanych i poniżonych zniszczeniem swego zakonu nie jest warta wojny. To tylko pretekst, którego król Francji potrzebuje, aby wtargnąć do fortecy diuka Gulfa de Östemberg i poszukać w jego podziemnych korytarzach sekretu, którego tak bardzo pożąda - wyjaśnił Salietti. - To dlatego został zatrzymany Gurielf Labox. Na takich uczonych jak on, ciąży podejrzenie, że wiedzą, gdzie jest ukryty sekret.

- Przysięgnijcie, że nikomu nie powiecie o tym, co wam wyjawię - powiedział ksiądz.

- Nie znajdziecie na cmentarzu Cornill nieboszczyka bardziej milczącego ode mnie, przysięgam na mój rycerski honor - zaklinał się Salietti, podnosząc do ust kciuk i palec wskazujący złożone na znak krzyża i całując je, jakby całował krucyfiks.

- A wasz giermek? - ksiądz popatrzył na Grimpowa z nieufnością.

- Możecie ufać Grimpowowi, tak jak mnie samemu. Jestem jego panem i między nami nie ma tajemnic - powiedział uroczyście Salietti.

Proboszcz ponownie napełnił kielichy i wypili trunek, przypominający smakiem nektar bogów.

- Przed kilkoma tygodniami przybył z Paryża nieznany mi starzec i wręczył list z

pieczęcią papieskiej siedziby w Awinionie skierowany do proboszcza wsi Cornill, czyli do mojej skromnej osoby. Możecie sobie wyobrazić moje zdumienie i radość. W liście potwierdzano przybycie szlachetnego Gurielfa Laboxa, doręczyciela pisma i polecano mi udostępnić mu archiwa parafii. Miał mieć do nich wolny dostęp o wszelkiej porze dnia i nocy, a ja miałem pomagać mu i służyć we wszystkim, nie stawiając żadnych pytań. Proszono mnie też o znalezienie kwatery dla niego i jego córki, która miała dbać o wątłe zdrowie ojca. Na koniec nakazywano mi utrzymać zarówno sam list, jak i jego treść w najściślejszej tajemnicy. Sądzę, że będziecie wiedzieć, o co chodzi i czego szukał w kościelnych archiwach ten szlachetny starzec, którego, muszę przyznać, szczerze sobie cenię - zakończył proboszcz.

Salietti przełknął łyk trunku i odchrząknął, aby rozluźnić ściśnięte gardło.

- Jak możecie się domyślić, sekretna natura mojej misji uniemożliwia mi mówienie o niej. Jednak, jako że szlachetny Gurielf Labox został uwięziony, a my nie wiemy, czy znalazł w kościele to, czego poszukiwał, sądzą, iż powinniście mi udostępnić te dokumenty, którymi się zajmował, abym mógł sporządzić raport papieżowi, zanim rano wyruszę do twierdzy barona Figueltacha de Vokko. Będę usiłował wyrwać starca z jego szponów.

- Jeśli chcecie, zaraz zaprowadzę was do archiwum i będziecie mogli zająć się studiowaniem dokumentów, a ja powrócę do moich parafian, którzy stracili w ogniu swój dobytek - zaproponował proboszcz.

Ujął w rękę świecznik i dał im znak, aby przeszli z nim przez małą arkadę pozbawioną drzwi do pomieszczenia sąsiadującego z zakrystią.

Archiwum kościoła w Cornill było niewielką, kwadratową izbą, z małym stołem umieszczonym pośrodku i jedną ze ścian zastawioną sięgającymi sufitu półkami.

- Tu znajdują się wszystkie dokumenty przechowywane w tym kościele od czasu jego wybudowania w czasach Wizygotów - powiedział ksiądz, stawiając świecznik na stole. - Są tu akty narodzin, ślubów i zgonów, rozliczenia zakupów i donacji, kosztorysy napraw, spisy mianowanych proboszczów, szlachetnych patronów i dobroczyńców kościoła. Jak widzicie, pobyt ludzi na tej ziemi jest jedynie chwilą i gdyby nie życie wieczne, które czeka nas w Królestwie Niebieskim, ślad naszego istnienia w najlepszym razie mógłby pozostać na jakimś zakurzonym pergaminie, o ile nikt by go nie spalił któregoś dnia, podobnie jak żołnierze Figueltacha de Vokko spalili chaty tej wsi. Możecie przeglądać, co tylko chcecie. Przyjdę później - powiedział i wyszedł z archiwum mrucząc pod nosem, jakby się modlił: - Nieszczęsny, nieszczęsny Gurielf Labox.

Grimpow aż drżał z niecierpliwości, bo chciał pozostać sam na sam z Saliettim, aby uzyskać wyjaśnienie, jak udało mu się wydobyć od proboszcza wiadomość o tym, co robił

Gurielf Labox w zapadłej wsi Cornill. Chciał się też dowiedzieć, czy Salietti mówił prawdę o tym, że powierzono mu misję ostrzeżenia starca przed aresztowaniem. Gdy tylko odgłos kroków księdza zamilkł w głębi zakrystii, spytał gorączkowo:

- Naprawdę wiedziałeś, że Gurielf Labox przybył do tej wsi jako legat papieski i że groziło mu aresztowanie?

- Nie miałem o tym najmniejszego pojęcia - przyznał Salietti, zagłębiony w studiowaniu jakiegoś opasłego tomu, który wyjął na chybił trafił z półki i gdzie znajdował się spis wszystkich proboszczów parafii od ponad pięciu wieków.

- Jak więc udało ci się go przekonać, że także ty jesteś wysłannikiem Jego Świątobliwości?

- Pomyślałem, że jeśli powiem księdzu o sekrecie, nie będę musiał mu niczego wyjaśniać i że będzie przekonany, iż mamy coś wspólnego z misją, która przywiodła do tej wsi Gurielfa Laboxa. Tak czy owak, nie wątpię, że starzec poszukiwał tego samego, co i my - odrzekł, przeglądając pospiesznie księgę i przesuując palcem wskazującym po niekończącym się spisie nazwisk.

- Sądziłem, że papież jest sprzymierzeńcem króla Francji w poszukiwaniu sekretu mędrców.

- I tak jest, ale choć wspólnie rozgrywają tę partię szachów, każdy z nich liczy na swoją własną wygraną. Przypuszczalnie szpiedzy papieża sprawdzili, że w tym kościele kryje się coś na tyle ważnego, żeby wysłać tu któregoś z ekspertów w rozwiązywaniu zagadek.

- Gurielfa Laboxa?

- Nie inaczej.

- Czy znalazł tu sekret? - spytał Grimpow z niedowierzaniem.

- Tego właśnie usiłuję się dowiedzieć i byłbym wdzięczny, gdybyś mi przez chwilę nie przeszkadzał tą litanią pytań. Weź lepiej jeden z tych tomów i przejrzyj go, może natrafisz na jakiś ślad, na przykład jakieś znane ci nazwisko - powiedział Salietti cierpkim i pełnym napięcia tonem, jakim nigdy dotąd nie przemawiał.

Przejrzeni już chyba wszystkie dokumenty spoczywające w zapomnieniu w archiwum pod grubą warstwą kurzu, nie znajdując niczego, co pomogłoby im w zrozumieniu, czego szukał Gurielf Labox.

- Najprawdopodobniej nawet nie dotknął tych dokumentów - powiedział zawiedzionym głosem Grimpow.

- Jednak czegoś tu musiał szukać, to oczywiste. Jeśli by tak nie było, po co przybywałby do tej wsi z listem od papieża z Awinionu skierowanym do proboszcza.

- Może to, czego szukał, znajduje się w kościele - zasugerował Grimpow.

- Masz rację, Grimpowie, chodźmy rzucić okiem na kościół - powiedział Salietti i już zabierał się do odłożenia na miejsce książki, którą trzymał w dłoni, gdy ujrzał, że spośród jej kart wygląda rożek pergaminu. - Cóż to? - spytał, patrząc na tekst, wykaligrafowany starannie na niewielkiej kartce:

*Zrób to, co każe Kserket,
a otworzysz kryptę, gdzie nie ciało śpi
snem wiecznym, lecz historia spoczywa.
Udaj się do miasta, o którym mówi wiadomość.
Tam pytaj o tego, kto nie istnieje,
wówczas usłyszysz głos cienia.*

- Coś tu jest o krypcie, która z pewnością jest w tym kościele - powiedział Grimpow. - A miasto z wiadomości to chyba Strasburg. Może to tego szukał Gurielf Labox.

- A może Gurielf Labox oczekiwał tu na kogoś i zostawił mu tę notatkę na piśmie, obawiając się, że nie zdoła przekazać mu ustnie tych słów.

- Jeśli jest tak, jak mówisz, sądzę, że notatka była przeznaczona dla rycerza z gór, tego, który miał ze sobą wiadomość, gdzie była wymieniona nazwa miasta - Strasburg.

- A kim może być ten, co nie istnieje? - spytał Salietti, myśląc o Aidorze Bilbicum, którego nazwisko znajdowało się na zalakowanym pergaminie.

- Poszukajmy krypty w kościele. Sądzę, że wyjaśni się wtedy, co każe zrobić Kserket i dowiemy się czegoś o historii, która śpi w grobie. Potem pojedziemy do Strasburga, bo to miasto wymienione w wiadomości. Tam zapytamy o tego, kto nie istnieje, i być może usłyszemy głos cienia. Zrobimy wszystko po kolei - powiedział Grimpow.

Kiedy weszli z zakrystii do bocznej nawy kościoła ogarnęło ich poczucie zwątpienia z taką siłą, z jaką burzliwe fale oceanu szturmują statek, aby go pogrążyć w odmętach.

Wokół nich panowała cisza i mrok, a gdy zbliżali światło świecznika do stojących w niszach świętych figur, bladych, nieruchomych i podobnych do widm, czuli na sobie ich ciężki, lodowaty wzrok. Bez słowa przeszli wzdłuż wszystkich trzech naw, przyglądając się każdemu kamieniowi, zaglądając w każdy kąt i zakamarek; obejrzelili parę płyt nagrobnych miejscowych szlachciców znajdujących się po bokach prezbiterium, kropielnice ze święconą wodą, chrzcielnicę, pulpity i ołtarze. Nie znaleźli niczego ciekawego do chwili, gdy za głównym ołtarzem spostrzegli wylot wąskich schodów wiodących do krypty.

- Tam z pewnością są pochowani proboszczowie kościoła - powiedział Salietti i skrzywił się, bo nie w smak mu było szperać po grobach ciemną nocą.

Grimpow też nie palił się do wchodzenia do tak ponurego miejsca przy wątłym świetle świec, ale od czasu, kiedy ujrzał czaszki zgromadzone w tajnym przejściu do komnaty zakazanych ksiąg w opactwie Brinkdum, mało rzeczy mogło go przerazić.

- Krypty zawsze były miejscem odpowiednim do ukrywania tajemnic. Musimy tam zejść - powiedział bez zbytniego entuzjazmu.

Salietti zbliżył świecznik do wąskiego otworu. Światło wydobyło z mroku stopnie spiralnie wijące się w dół i ginące w ciemnościach, jak w studni.

- Pójdę pierwszy - zdecydował i schylił głowę, aby nie uderzyć nią w niski strop nad schodami.

Gdy weszli do krypty, płomienie świec poruszyły się, jakby jakieś niewidzialne usta dmuchnęły silnie, starając się je zgasić. Na wilgotnych, kamiennych ścianach zatańczyły cienie.

Sklepienie było bardzo niskie, ale przynajmniej mogli się wyprostować, nie ryzykując, że rozbiją sobie głowy. W głębi otwierał się mroczny korytarz i skręcał w prawo po łuku koła. Grimpow pomyślał, że krypta znajduje się pod apsydą kościoła.

Po wejściu w korytarz zobaczyli szereg łuków opartych na kolumnach. Pod każdym z nich znajdował się marmurowy sarkofag. Sarkofagi były umieszczone prostopadle do łuku korytarza, tworząc wielki krąg. Salietti podniósł do góry świecznik i policzył sarkofagi. Było ich osiem. Na każdym spoczywała leżąca na wznak figura starca odzianego w tunikę. Wszyscy mieli długie włosy i długie brody, a ich ramiona skrzyżowane były na piersi, jakby spali spokojnym snem. Nie było żadnego napisu, żadnego nazwiska, żadnej daty. Postacie nie miały zbroi, tarcz ani mieczy.

- To groby sprzed wieków - powiedział Salietti.

Kiedy okrążyli korytarz i wrócili do punktu wyjścia, Grimpow uświadomił sobie coś.

- Krypta ma kształt ośmiokąta! - wykrzyknął, przypominając sobie rysunek niemożliwej do osiągnięcia kwadratury koła, o której opowiadał mu brat Rinaldo z Metz w sekretnej komnacie biblioteki.

Wyjaśnił Saliettiemu znaczenie ośmiokąta i zamków Kręgu i powiedział mu wszystko, co sam wiedział na ten temat. Dodał, że wiele fortec templariuszy miało kształt oktagonalny, co było przedstawieniem połączenia Nieba i Ziemi; symbolem harmonii między tym, co boskie i tym, co ludzkie, zbudowanej wokół wspólnego centrum wszechświata.

- Ale ten kościół nigdy nie należał do Zakonu Świątyni - starał się ochłodzić jego

podniecenie Salietti.

- Dlatego musi mieć jakiś związek z sekretem mędrców. Tego właśnie szukał starzec Gurielf Labox - stwierdził Grimpow, instynktownie przechodząc pod jednym z łuków i kierując się w stronę kolistego środka krypty.

Salietti poszedł jego śladem, oświetlając drogę świecznikiem. Grimpow nie mógł powstrzymać radości, widząc napis wyryty na środku krypty, otoczony ośmioma nagrobkami, strzeżony przez osiem leżących posągów.

- To tutaj! - krzyknął.

Obaj wpili wzrok w znaki wyryte na skalnym podłożu. Były to te same dziwne hieroglify, którymi był zapisany pergamin zmarłego rycerza. Grimpow nie miał najmniejszej trudności z ich odczytaniem:

1h
YIII P44 Z 44N4 T444
P4R444

- Co oznaczają te symbole? - spytał niecierpliwie Salietti.

Grimpow miał ze sobą kawałek pergaminu i węgielek, które zabrał z archiwum kościoła. Położył pergamin obok świecznika i zapisał:

TU
MIEJ KOD Z DOLIN SŁOŃC
KSERKET

- A więc to właśnie tutaj znajduje się miejsce, o którym mówi Gurielf Labox w swojej notatce, o ile to on ją napisał - dodał.

- Masz rację, to nie wygląda na epitafium - powiedział Salietti, jeszcze oszołomiony odkryciem.

- A ponadto napis jest sporządzony tymi samymi znakami, które widnieją na zapieczętowanej wiadomości rycerza z gór - dodał Grimpow.

Salietti przez chwilę przyglądał się napisowi wyrytemu na skale. Potem powiedział:

- Sądzę, że istotnie w tej krypcie nie są pochowani proboszczowie tego kościoła, lecz ośmiu mędrców, strzegących sekretu. Dlatego ich groby są takie stare i nie ma tu dat pochówku, ani imion.

- Myślisz, że pod tą skałą spoczywa sekret mędrców? - spytał Grimpow.

- To tylko przypuszczenie. To miejsce może mieć coś wspólnego z dawnymi wierzeniami. Te Doliny Słońc mogą oznaczać jakieś miejsce istniejące poza naszym światem, gdzie idzie się po śmierci. Coś podobnego do Raju czy Edenu, gdzie według religii idą dusze zmarłych i gdzie świeci wieczne, złociste światło. A KSERKET to przypuszczalnie imię mędrca, który sporządził ten napis - rozważał Salietti.

- A może te Doliny Słońc są miejscem, gdzie jest ukryty sekret mędrców i tam właśnie trzeba go szukać. Albo zdobyć tam kod do szyfru - powiedział Grimpow.

- Tak czy owak, to następna zagadka i to trudna do rozwiązania. Zastanawiam się, czy Gurielf Labox zdołał otworzyć kryptę zanim pojмали go żołnierze Figueltacha de Vokko.

- Tego się nigdy nie dowiemy, chyba że będziemy mogli z nim pomówić - powiedział Grimpow.

- Mam nadzieję, że siepacze Inkwizycji nie zdołają wydrzeć od niego, tego co wie. Jeśli poddadzą go torturom i zdradzi, czego szukał w tym kościele, zbiry barona lub króla Francji niezwłocznie tu powrócą.

Przez długą chwilę pozostali w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. Owładnięci lękiem przed powrotem zbirów barona, starali się gorączkowo odnaleźć racjonalne wyjaśnienie tajemniczego napisu. Grimpow pomyślał, że być może Doliny Słońc są tylko metaforą, podobną do tej, jakiej używali alchemicy. Słońce jest odpowiednikiem alchemicznego złota. W tym przypadku może oznaczać światło mądrości i może mieć coś wspólnego z napisem: *W niebie jest ciemność i światło*, którego znaczenia też jeszcze do końca nie rozumiał. Był przekonany, że w krypcie znajduje się coś więcej niż tylko ten napis na skale.

- A może ten napis jest szyfrem? - powiedział nagle Salietti.

Grimpow przypomniał sobie, co brat Rinaldo z Metzu mówił o sposobach, jakich używano w starożytności, aby ukrywać tajemnice. Zresztą słowo kod występujące w napisie od razu nasuwało myśl o szyfrach.

- Oczywiście, że jest. Jest zapisany hieroglifami, których nikt, kto ich nie zna, nie będzie w stanie przeczytać - powiedział.

- Ja jednak jestem pewien, że w tym napisie kryje się jeszcze jakaś zagadka. Bardzo często takie wiadomości są zakodowane na różne sposoby. Jestem przekonany, że to jeden z tych przypadków i że będziemy musieli się pomęczyć, aby zrozumieć, co naprawdę jest tu napisane. Aby odczytać kod, musimy odnaleźć klucz.

W tej samej chwili dotarł do nich hałas i głosy ludzi wchodzących hurmem do

kościola.

- Chłopi przyszli schronić się w świątyni. Przypuszczalnie ludzie, których pożar pozbawił domów, mają zamiar spędzić tu noc. Chodźmy stąd, zanim wzbudzimy ich zaciekawienie - powiedział Salietti.

- A napis?

- Będziemy się nad nim zastanawiać gdzie indziej. W zakrystii. Teraz chodźmy. Pośpiesz się.

Weszli po wąskich schodach i pobiegli do zakrystii, znajdującej się blisko zejścia do krypty, po prawej stronie głównego ołtarza. W głębi kościoła, przy głównym wejściu, kłębił się tłum mieszkańców wioski. W środku grupy stał proboszcz, zarządzając, aby ławy z głównej nawy umieszczono przy ścianach, tworząc z nich zaimprovizowane prycze dla kobiet i dzieci. Niektórzy z mężczyzn mieli ze sobą derki i skóry, które rozścielali na podłodze. Wszyscy wyglądali na całkowicie wyczerpanych i zrozpaczonych.

W zakrystii Salietti nalał sobie następny kielich trunku, a Grimpow machinalnie kartkował brewiarz, w którym jednak nie znalazł niczego interesującego. Obydwaj rozmyślali nad napisem w krypcie. Mógł on znaczyć cokolwiek, ale mógł też znaczyć dokładnie to, co było napisane. Musieli mieć kod z Dolin Słońc. Słowo kod sugerowało, że istotnie w napisie kryje się jakaś zagadka. Ale gdzie jest do niej klucz? I czym były Doliny Słońca? Czy też, gdzie były? Ta część napisu miała jakiś sens, zwłaszcza że krypta stanowi miejsce pochówku i że śmierć, według wszelkich wierzeń, jest przejściem do życia wiecznego, jak rozważał Salietti.

Grimpowowi najbardziej nie dawało spokoju słowo KSERKET. To prawda, że mogło to być imię autora napisu, ale mogła to być także wskazówka, pozwalająca odszyfrować kryptogram. Grimpow czuł, że myśli kłębią mu się w głowie i że jest już blisko znalezienia rozwiązania. Gdyby tylko mógł uchwycić jeden koniec pogmatwanego rozumowania. Ale właśnie ten koniec mu umykał i myśli rozbiegały się na boki. KSERKET, KSERKET, powtarzał w rytm uderzeń swego serca.

Wejście proboszcza do zakrystii i jego pytanie, czy znaleźli coś ciekawego w archiwum, wyrwało Grimpowa z rozmyślań. Salietti pokręcił przecząco głową w odpowiedzi.

- W tych dokumentach jest jedynie pełno nazwisk i rachunków dotyczących kościoła. Byłoby łatwiej znaleźć igłę w stogu siana.

- O tym samym uprzedziłem Gurielfa Laboxa, kiedy pokazywałem mu archiwum. W tych pergaminach są jedynie nazwiska i liczby - powiedziałem - ale on uparcie i dokładnie przeglądał tom po tomie, jak gdyby poszukiwał tajemnicy Świętego Graala - stwierdził ksiądz

z uśmiechem.

- Czy mówi wam coś imię KSERKET, księżę proboszczu? - spytał Grimpow, zapominając, że jako skromny giermek powinien tylko słuchać i milczeć.

Ksiądz powtórzył to słowo kilka razy i zmarszczył czoło.

- Może to jakieś perskie imię? - spytał. Widać było, że nadal myśli, ale niezbyt intensywnie. Po chwili odrzekł: - Nigdy nie słyszałem takiego imienia, nie sądzę też, aby widniało na którymkolwiek z dokumentów w archiwum.

- A kto jest pochowany w ośmiu sarkofagach, które tworzą krąg w krypcie? - spytał uprzejmym tonem Salietti.

Ksiądz popatrzył w ziemię, schwycił sznur habitu i zaczął zabawiać się jego węzłami.

- Ten kościół nie różni się od innych - powiedział. - We wszystkich kościołach, sanktuariach, kaplicach, pustelniach czy katedrach można znaleźć coś, czego nikt nie umie wyjaśnić i czego prawdziwe pochodzenie i znaczenie mogą znać jedynie budowniczowie. Krypta tego kościoła istniała tu już wcześniej, zanim zbudowano nad nią chrześcijańską świątynię. Te groby liczą sobie co najmniej trzy wieki.

- Na grobowcach nie ma żadnych imion. Posągi spoczywające na nich wyglądają na podobizny szlacheckich mężów, ale nie rycerzy. Nie mają zbroi, mieczy, ani też tarcz herbowych. Przypominają mędrców pogrążonych w słodkim śnie - stwierdził Salietti.

Nagle Grimpow przypomniał sobie twarz rycerza z gór, od którego wszystko się zaczęło. Przypomniał sobie także, co pomyślał, gdy zobaczył spokój na jego zastygłej twarzy: „Być może śmierć jest jedynie spokojnym, wiecznym snem”.

- W żadnym z dokumentów z archiwum nie ma najmniejszej wzmianki o tych zmarłych. Sam to sprawdziłem pięć lat temu, kiedy objąłem tę parafię - stwierdził proboszcz.

- A co możecie powiedzieć o napisie, wrytym w środku kręgu? - spytał Grimpow, znowu wychodząc z roli giermka.

- Gurielf Labox spędzał w krypcie całe godziny, starając się odszyfrować napis. O ile mi wiadomo, nikomu dotąd się to nie udało. Jest zapisany starożytnymi, dziwnymi znakami, które mogą oznaczać cokolwiek. Może to znaki mularzy, którzy budowali ten kościół. Jak wiadomo, mają zwyczaj podpisywać swoje dzieła symbolami swoich loży.

- Nie, za tymi znakami kryje się tajemnica, tego jestem pewien, a Gurielfowi Laboxowi powierzono misję jej odszyfrowania.

- Odpocznijcie teraz i pomódlcie się, a być może doznacie oświecenia - poradził proboszcz.

Potem wyraził ubolewanie, że nie może służyć Saliettiemu gościnnie odpowiadającą

jego godności, gdyż gospoda, w której zatrzymał się Gurielf Labox z córką, padła pastwą płomieni, jako pierwszy budynek podpalony przez siepaczy barona. Zaoferował im spędzenie nocy w stodole należącej do probostwa, której nie dosięgnął ogień, bo znajdowała się z drugiej strony kościoła, za zakrystią. Tam właśnie udali się Salietti i Grimpow, zabierając ze sobą wierzchowce, zgłodniałe i zniecierpliwione postojem na kościelnym placu.

Kiedy pianie koguta zapowiadające nadejście świtu wyrwało Grimpowa ze snu, w jego umyśle pojawił się zarys rozwiązania, zupełnie jakby spędził całą noc na męczących rozmyślaniach, a nie na spokojnym odpoczynku. W głowie przestało mu rozbrzmiewać słowo KSERKET i zamieniło się w inne, właściwe: SEKRET! Poderwał się jednym susem i zaczął targać Saliettiego za ramię, aby go obudzić.

- Co się stało? - spytał Salietti, przeciągając się na słomie.

- SEKRET! - wykrzyknął Grimpow w natchnieniu.

- Tak, tak, wiem. Otaczają nas sekrety. Ja też bez przerwy o nich myślę i przez całą noc oka nie zmrużyłem - wymamrotał Salietti, jeszcze nie do końca rozbudzony.

- Nie rozumiesz. Mówię o napisie w krypcie. Słowo SEKRET to anagram słowa KSERKET. Jest tu co prawda jeszcze jedna zbyteczna litera K, ale to tym bardziej sugeruje, że chodzi o anagram!

Salietti poderwał się, jakby Grimpow wylał mu na głowę cebrzyk zimnej wody.

- Odszyfrowałeś ten napis? - spytał niedowierzającym głosem, otwierając szeroko oczy.

- Jeszcze nie, ale wpadłem na pewien pomysł - stwierdził Grimpow.

Sięgnął po pergamin, na którym poprzedniego dnia zapisał słowa z krypty i podetknął go pod nos Saliettiemu.

TU

MIEJ KOD Z DOLIN SŁOŃC

KSERKET

- Jeśli KSERKET zastąpimy przez SEKRET... - powiedział.

- Będziemy mieli jeszcze sporo do odgadnięcia. Musimy mieć kod i wiedzieć, gdzie są Doliny Słońc - przerwał mu Salietti, odgarniając ręką łeb konia, który koniecznie chciał polizać go po twarzy.

- Ale przynajmniej coś już wiemy. Musimy tylko dowiedzieć się, gdzie jest to miejsce

i z pewnością tam odnajdziemy sekret mędrców, którego szukamy.

- Jeśli udało się rozwiązać tę zagadkę Gurielfowi Laboxowi, o tej porze wie już o niej także jego prześladowca, baron Figueltach de Vokko. Jedźmy zaraz do twierdzy barona, zanim będzie za późno - powiedział Salietti zdecydowanym tonem, podnosząc się z ziemi i przypinając miecz do pasa.

Już mieli wyjść ze stodoły, gdy prawda pojawiła się przed oczyma Grimpowa, jak błyskawica.

- Poczekaj chwilę - powiedział. Teraz mam już pewność. Doliny Słońc nie istnieją.

Zdziwiony Salietti stanął w miejscu i zawrócił.

- Jak możesz tak twierdzić? Przecież napis wyraźnie o nich mówi.

- To tylko przykrywka dla prawdziwego znaczenia napisu, która ma wprowadzać w błąd tego, kto zdoła odczytać hieroglify. Cały napis jest anagramem! Doliny Słońc potrzebne są tylko do tego, aby utworzyć słowo ODSŁOŃ. ODSŁOŃ SEKRET! Tyle już mamy. Ale teraz musimy się dowiedzieć, co trzeba zrobić, aby odsłonić sekret. Zostało nam jeszcze sporo liter. K z Kserketa, LINC z Dolin Słońc, no i to wszystko, co jest na początku. TUMIEJKODZLINCK!

- Myślę, że te wszystkie zagadki zmały ci umysł. Zostaw to i wyjdźmy wreszcie z tej stodoły - Salietti był całkiem zdezorientowany i zastanawiał się, czy Grimpow nie oszalał.

Grimpow nie zwracał uwagi na słowa Saliettiego. Patrzył na litery, które zapisał na pergaminie. Układał je w myślach tak i owak. Nie było to już takie proste, jak z poleceniem ODSŁOŃ SEKRET! Nagle przypomniał sobie, o czym rozmawiali w krypcie. O KLUCZU do kodu! Poszukał wśród liter TUMIEJKODZLINCK liter słowa KLUCZ. Były tam. Teraz był już pewien, że się nie myli!

- KLUCZEM ODSŁOŃ SEKRET! - wrzasnął tryumfalnie.

Salietti aż się wzdrygnął. Jemu poplątane litery nie nasuwały żadnych odkrywczych pomysłów. Zjrzał Grimpowowi przez ramię i sprawdził, że istotnie z liter, które mieli do dyspozycji, można było ułożyć to zdanie.

- To fantastyczne! - stwierdził niepewnie. - Ale nadal dość niezrozumiałe. Wiemy właściwie tyle samo, co na początku. No, oczywiście, nie musimy już zaprzętać sobie głowy Dolinami Słońc. To zawsze jakaś korzyść. Ale JAK mamy odsłonić sekret kluczem, nadal nie wiemy.

- Pozostało nam jeszcze trochę liter. TIJODINK - Grimpow nie dawał się zwieść ze słusznej drogi. Myślał o zdaniu z zapieczętowanego pergaminu: *W niebie jest ciemność i światło.* W ciemnościach jego umysłu pojawił się błysk światła. Błysk ten wydobył na jaw

istotne znaczenie zagadkowego napisu w krypcie i pozwolił mu ułożyć ostatnie litery we właściwej kolejności.

Wziął do ręki węgielek i pod kryptogramem TU MIEJ KOD Z DOLIN SŁOŃC KSERKET zapisał jego prawdziwą treść:

DOTKNIJ KLUCZEM I ODSŁOŃ SEKRET

Teraz miał już całkowitą pewność, że tajemniczy kryptogram został rozwiązany. Wiedział już, co musi zrobić.

- Ale gdzie jest klucz? - spytał Salietti, zawiedziony, że stają właśnie w obliczu następnej, trudnej zagadki. - I czego należy dotknąć?

- To nasz kamień! - stwierdził pewnym siebie tonem Grimpow.

- Kamień? - powtórzył Salietti.

- Tak. Kamień filozoficzny. *Lapis philosophorum* jest kluczem do wszystkich tajemnic natury i kosmosu. Musimy dotknąć kamieniem, kluczem do tajemnic, napisu wrytego na skale w krypcie.

- Jesteś geniuszem, przyjacielu - stwierdził Salietti, obezwładniony przenikliwością umysłu, jaką popisał się Grimpow.

- Nie ma w tym żadnej mojej zasługi - powiedział Grimpow. - To kamień pokierował moimi myślami.

Klucz do tajemnic

W kościele nie było nikogo. Ławki powróciły na miejsce i unosił się silny zapach kadzidła, którym oczyszczano powietrze. Salietti i Grimpow zajrzeli do zakrystii, ale nie znaleźli tam proboszcza, pożyczyci więc świecznik i poszli do krypty. Rozmyślali, co się stanie w chwili, gdy dotkną kamieniem napisu i zadawali sobie pytanie, czy to możliwe, że w krypcie istotnie znajduje się sekret mędrców.

Gdy ponownie znaleźli się w kolistym środku krypty, Grimpow uklęknął; wyciągnął kamień z lnianego woreczka i przybliżył go do napisu wyrytego na skale. W tej samej chwili cudowny przedmiot zaczął powoli zmieniać kolor, aż rozżarzył się, jak grudka żaru. Grimpow delikatnie dotknął kamieniem napisu, powtarzając w myślach słowa: DOTKNIJ KLUCZEM I ODSŁOŃ SEKRET, a wówczas znaki na skale rozplomieniły się tak intensywną purpurą, jakby zajęły się żywym ogniem.

Jednak nic więcej się nie wydarzyło.

- No i co teraz? - spytał niespokojnie Salietti, który uważał za oczywiste, że jeśli ich kamień jest jedynym i prawdziwym *lapis philosophorum*, kluczem do wszystkich tajemnic, powinno wydarzyć się coś zadziwiającego i magicznego.

- Nie wiem. Nie wiem, co jeszcze możemy zrobić - stwierdził Grimpow, wyrażając własne rozczarowanie.

- Być może nasz kamień filozoficzny nie jest kluczem do tajemnic, jak sądzisz - ubolewał Salietti.

- Albo należy nim dotknąć nie tylko napisu! - odparł Grimpow, czując nagłe natchnienie.

Instynktownie uniósł oczy w górę, ku sklepieniu znajdującemu się łokieć ponad głową stojącego Saliettiego i dużo wyżej nad jego własną głową. Tam, w samym środku sklepienia, w miejscu gdzie zbiegało się radialne żebrowanie ujrzał znak.

- Ouroboros!

Znak węża gryzącego własny ogon, ten sam znak, który znajdował się na złotej pieczęci i na zalakowanym pergaminie zmarłego rycerza, był też wyryty nad napisem w krypcie, a oni aż do tej chwili nie zdawali sobie z tego sprawy.

- Daj mi kamień, ja dotknę nim znaku Ouroborosa. Wystarczy, że wyciągnę rękę - powiedział Salietti, odzyskując animusz.

Ale kiedy dotknął kamieniem znaku, nic się nie zmieniło.

- Teraz ja spróbuję - powiedział Grimpow, odbierając kamień Saliettiemu.

Gdy tylko umieścił kamień pod rytem węża, ze środka sklepienia wyłonił się promień światła podobny do błyskawicy i oświetlił zaszyfrowany napis znajdujący się na posadzce. Posłyszeli gromki rumor przesuwającej się skały i ujrzeni, jak jeden z sarkofagów obraca się w posadach i otwiera przed nimi ciemne wejście, przypominające wrota piekieł.

- To oczywiste, że ten kamień, czy cokolwiek to jest, ten *lapis philosophorum* mędrców, wybrał ciebie - stwierdził Salietti.

- Co masz na myśli? - spytał Grimpow.

- Że jedynie w twoich rękach kamień ukazuje swoją magiczną istotę. On potrzebuje ciebie, aby być tym, czym jest. To oczywiste, że sam kamień wybiera swego powiernika - powiedział Salietti z emfazą.

- A gdyby znalazł go ktoś inny? - spytał Grimpow.

- Sądzę, że znalazłby jedynie nic nie warty, czerwono zabarwiony kamień.

Wtedy Grimpow przypomniał sobie słowa, które wypowiedział brat Rinaldo z Metz w sali zakazanych ksiązek opactwa Brinkdum: „Wybraniec oddaje się nauce i dąży do zdobycia mądrości, aby osiąść wewnętrzną siłę zdolną odkryć przed nim prawdę o świecie. Pragnie stać się ogniwem w łańcuchu wiedzy stanowiącej dorobek ludzkości i poszukuje sekretu mędrców. Drzwi wiodące do tego niewidzialnego, wspaniałego skarbu, dla wielu pozostaną na zawsze zamknięte. Sekret mędrców staje się dostępny jedynie tym, którzy śledzą odpowiednie znaki i idą właściwą drogą.”

- Myślisz..., myślisz, że tam w środku może kryć się sekret mędrców? - Grimpow zająknął się, przejęty do głębi.

- Jeśli tam nie zajrzemy, nigdy się tego nie dowiemy - stwierdził Salietti. Po czym zbliżył świecznik do otwartego sarkofagu i wsunął głowę w czarny, ponury otwór.

- Co widzisz? - wypytywał Grimpow.

- Nie ma tu żadnych kości - z zadowoleniem powiedział Salietti. Obawiał się, że macając na oślep rękoma dotknie jakiegoś rozpadającego się truchła. Po chwili dodał: - Coś znalazłem.

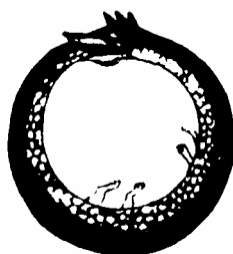
- Co? No szybko, mów! - krzyknął niecierpliwie Grimpow.

- To tylko stary manuskrypt - powiedział Salietti bez specjalnego entuzjazmu, wyciągając głowę z sarkofagu i podając chłopcu niezwykle starą księgę pokrytą pyłem

wieków.

Grimpow dmuchnął na okładkę i musiał zamknąć oczy, bo zaślepiła go gęsta chmura szarego pyłu. Następnie potarł księgę rękawem kaftana i ujrzał złoty, magiczny błysk. To lśniła klamra i wzmocnienia okładek tomu. Księga była piękna. Na środku okładki widniał wymalowany Ouroboros, kolisty wąż, a pod nim tytuł, wypisany tym samym alfabetem hieroglificznym, który Grimpow już dobrze znał. Także Ouroboros był identyczny, jak ten na złotej pieczęci i ten na zalakowanej wiadomości, a także jak znak, którego trzeba było dotknąć kluczem do tajemnic, aby otworzyć sarkofag.

1 P4YUZH1 I4411 P4Y111
Y111B11B R4111



- Jaki jest tytuł książki? - chciał się dowiedzieć Salietti.

- *O kosmicznej istocie kamienia!* - krzyknął Grimpow, bardzo zadowolony z tego, że stary manuskrypt wyjaśni mu wreszcie, czym jest kamień, który posiadał. Liczył też na to, że w księdze będą zawarte wskazówki, dotyczące miejsca ukrycia sekretu mędrców.

Także Salietti ucieszył się ze znaleziska, gdy usłyszał tytuł książki. Miał on brzmienie obiecujące wyjaśnienie spraw istotnych i nieodzownych dla podjęcia dalszych poszukiwań.

- A autor? Czy na okładce jest nazwisko autora? - spytał z ciekawością.

- Pod tytułem znajduje się czyjeś nazwisko. Muciblib Rodia. Tak przynajmniej jest tu napisane - odpowiedział Grimpow.

- To mogłoby być nazwisko w jakimś obcym języku. Ale jest w nim coś dziwnego.

Salietti wziął od Grimpowa kawałek pergaminu i węgielek, którymi ten posłużył się przy odszyfrowywaniu napisu w krypcie i zapisał podane nazwisko:

MUCIBLIB RODIA

- Myślę, że tym razem o czymś ważnym nie pomyślałeś - stwierdził po chwili, uśmiechając się nieco złośliwie.

- Mów szybko - poprosił Grimpow, obawiając się nowych zagadek i komplikacji.
- Powinieneś był to przeczytać od tyłu do przodu.

Grimpow zrobił to, co mu Salietti polecił i jego zdumienie było tak wielkie, że aż krzyknął z radości.

- Aidor Bilbicum! Książka została napisana przez Aidora Bilbicum!
- No właśnie - powiedział Salietti i oczy zabłyśły mu dumą z własnej przemyślności.
- Co sprawiło, że wpadłeś na pomysł, że to nowa zagadka? - spytał Grimpow.
- Nazwij to po prostu intuicją, jeśli chcesz - odpowiedział Salietti dość opryskliwie. A

teraz rzuć okiem na księgę, zanim świece się wypalą i zostaniemy bez światła.

Rękopis był cienki, składał się jedynie z ośmiu pergaminowych stron. Grimpow pobieżnie przeczytał kilka zdań i zdał sobie natychmiast sprawę, że jest to zdumiewający, zagadkowy tekst, bardziej hermetyczny niż alchemiczne traktaty, z którymi miał dotąd do czynienia.

- Czytaj znaki na głos, żebym również mógł dowiedzieć się, o czym traktuje ten manuskrypt - zażądał Salietti.

Grimpow otworzył księgę i zaczął czytać:

Gdy po raz pierwszy spotkałem tego tajemniczego mędrca, pomyślałem, że jest szalony. Poznałem go dzięki kaprysom losu podczas jednej z mych morskich podróży, gdy płynąłem na wielkim żaglowcu udającym się po jedwab i korzenie do odległych krain. Tej nocy wiała ciepła bryza z zachodu, a spokojne fale zachęcały do pozostania na pokładzie i podziwiania usianej gwiazdami kopuły nieba. Nieobecność księżyca stwarzała okazję, aby ucieszyć oczy konstelacjami zodiaku, więc bez zwłoki skierowałem w ich stronę mój kij.

Właśnie umiejscowiłem znak Byka w zachodnim kwadrancie, gdyż zbliżało się wiosenne zrównanie dnia z nocą, gdy poczułem, że ktoś mnie obserwuje. Odwróciłem głowę, aby przyjrzeć się twarzy mego niezwyklego towarzysza podróży. Jego oczy pałały dziwnym światłem, jak gdyby odbijał się w nich księżyc, którego przecież nie było na niebie. Był to człowiek średniego wzrostu, o długich włosach i długiej brodzie. Patrzył na mnie wyczekująco, jak gdyby chciał, abym pierwszy rozpoczął uprzejmy rytuał powitania lub zdał mu relację z tego, co ujrzałem na majestatycznym nocnym firmamencie.

Właśnie zamierzałem się przedstawić, gdy zwrócił się do mnie po imieniu i zaoferował, że zabierze mnie do zamku, którego mury wznoszą się ponad gwiazdami. Nie zdziwiło mnie, że wie, kim jestem, albowiem będąc pasażerem, tak jak i ja sam, mógł usłyszeć moje imię od któregoś z marynarzy lub kapitana żaglowca. Natomiast reszta jego wypowiedzi zasiała we mnie pewność, że człowiek ten majaczy, wyczerpany długą morską podróżą,

bezlitosnymi promieniami słońca, kołysaniem statku i brutalną siłą wiatrów. Uśmiechnąłem się do niego, aby ukryć zdumienie bezsensowną propozycją, bo nie tylko wydało mi się nieuprzejme uświadamianie mu jego bredni, ale obawiałem się, aby w ataku szału nie wyrzucił mnie przez burtę, gdzie padłbym pastwą rekinów, w które obfitują te wody.

Postanowiłem mu się nie sprzeciwić i dać się ponieść porywom jego fantazji. Odparłem, że z wielką przyjemnością zgodziłbym się na odbycie tej niebezpiecznej podróży, gdyby nie to, że na ładzie oczekuje na mnie przyjaciel, wielki znawca nieba, z którym miałem zamiar przedyskutować pewne zagadnienia dotyczące ruchu planet po eliptycznych orbitach wokół słońca. Pomyślałem, że mojego towarzysza zadowoli to wyjaśnienie, które zresztą nie mijало się z prawdą, i że pozwoli mi dalej zajmować się moimi sprawami, pozostawiając na lepszą okazję odwiedziny gwiazd, które tak znienacka mi zaproponował. Wbrew moim przypuszczeniom okazał wyrozumiałość dla tej wymówki i pochwalił moje szczytne zamiary. On także, jak stwierdził, spędza czas na podobnych zajęciach i może mi służyć pomocą w kwestiach związanych z chemicznym składem ciał niebieskich lub mierzeniem odległości gwiazdnych.

Z miłą chęcią przyjąłem jego usługi, które wydały mi się bardziej stosowne, niż jego pierwsza propozycja. Były też bardziej sensowne, niż zamiar wlotu w przestworza i nie wymagały opuszczenia żaglowca. Mój rozmówca rozpoczął tedy płynnie rozprawić o wszechświecie, opierając swoje słowa na tak solidnych i oryginalnych teoriach, że słuchałem go z otwartymi ustami. Myślałem, że tym razem to ja padłem ofiarą urojeń lub halucynacji, gdyż nigdy i w żadnej części świata, a zwiedziłem ich wiele wiedziony pasją do badania gwiazd, nie dane mi było wysłuchać tak odkrywczych i ugruntowanych idei astronomicznych. Uległem więc blaskowi jego erudycji i błagałem go, aby pozwolił mi cieszyć się swoim towarzystwem do końca podróży, a nawet zaferowałem, że zostanę jego uczniem i będę mu towarzyszyć tam, gdzie ma zamiar się udać.

Tajemniczy mędrzec z radością przyjął moje słowa i dalej przyjemnie rozmawialiśmy aż do świtu. Powiedział, że on także udaje się na tamten brzeg morza, gdzie według niego znajduje się nieznany rajski ogród, zamieszkały przez zdumiewające, magiczne istoty. Słyszając to, ponownie zważyłem w jego zdrowe zmysły, lecz poprzednie snute przez niego rozważania były tak pouczające i zajmujące, że prędko porzuciłem wątpliwości i dalej słuchałem jego opowieści, aż poczułem, że oczy mi się kleją i ogarnia mnie nieprzeparta senność.

Pożegnaliśmy się więc, przyrzekając sobie, że następnego dnia dalej ciągnąć będziemy naszą pasjonującą rozmowę. Potem, w swojej kajucie na rufie zapadłem w słodki sen, który zdał mi się lotem w kosmiczne przestrzenie. Gdy już znajdowałem się blisko gwiazd, wciąż jeszcze słyszałem miarowy chłopot fal o burty okrętu, szelest alg, szum muszli i cudowny śpiew syren...

- Do tego miejsca wydaje się to jedynie relacją o fantastycznej podróży - powiedział Salietti.

- Podejrzewam, że to dopiero początek i że ten stary rękopis Aidora Bilbicum opowiada historię kamienia i sekretu mędrców. Przypuszczalnie będą w nim wskazówki, jak go znaleźć. Odniosłem wrażenie, że czeka nas jeszcze więcej zagadek do rozwiązania. Być może, gdy spotkamy się w Strasburgu z Aidorem Bilbicum, pomoże nam rozplątać te pogmatwane tropy.

- A więc wracajmy do kościoła, bo świece zaraz zgasną. Musimy jeszcze znaleźć sposób na ponowne zamknięcie tego sarkofagu. W drodze do fortecy barona Figuelta de Vokko opowiesz mi, co to jest ta kosmiczna istota kamienia, o której mówi rękopis. Nadal nie mogę zrozumieć nic z tych hieroglifów, którymi jest napisany, a ty jesteś w stanie je odczytywać, jak gdyby był to twój język ojczysty.

Grimpow dotknął kamieniem znaku Ouroborosa umieszczonego na środku sklepienia, podobnie jak to zrobił, aby otworzyć sarkofag. Grób zamknął się z głuchym szczękiem, a ciemność pochłonęła pustkę którą teraz krył w sobie. Grimpow był zupełnie pewny, że ośmiu mędrców nie musi już teraz strzec żadnego sekretu.

Nie wiedzieli jednak, czego mogą się spodziewać po proboszczu z Cornill. Obawiali się, że pod pozorami uprzejmości i chęci niesienia pomocy może ukrywać podstępne zamiary. Jeśli wysłał posłańca do Figuelta de Vokko, lada moment mogli się pojawić siepacze barona i pojmać ich, podobnie jak to zrobili z Gurielfem Laboxem i jego córką. Wątpliwości się rozwiały, gdy spotkali księdza w zakrystii, gdzie szykował się do odprawienia południowej mszy. Nie widać było po nim najmniejszych oznak wyrzutów sumienia czy fałszu.

- Czy wasza modlitwa w kościele przyniosła owoce? Znaleźliście w krypcie to, czego szukaliście?

- W krypcie tego kościoła są jedynie kości zmarłych! - powiedział Salietti rozstrojonym głosem.

Proboszcz założył komżę i poruszył się, jakby go swędziało ciało.

- Jeśli chcieliście znaleźć złoto, lepiej byście zrobili poszukując go w skrzyniach papieskich w Awinionie lub w pracowni jakiegoś alchemika - powiedział lekkim tonem.

W tej samej chwili wyraz jego twarzy zmienił się i ksiądz utkwiał wzrok w garści złotych ziaren, które na wyciągniętej dłoni podawał mu Salietti.

- A więc jednak znaleźliście skarb? - spytał przejęty do głębi.

- Nie, i nie o to nam szło. To złoto przesyła wam papież, aby was wynagrodzić za

pomoc i dyskrecję. Z jego pomocą będziecie mogli dokonać napraw w kościele, wspomóc potrzebujących parafian i odbudować domy zniszczone w pożarze.

Proboszcz już sięgał po złote ziarna, gdy Salietti gwałtownie usunął dłoń.

- Jednak przedtem musicie złożyć przysięgę - powiedział surowo.

- Przysięgę?

- Musicie przysiąc na krzyż, który macie na piersi, że nie powiecie nikomu o Gurielfie Laboxie ani o nas... - tu zawiesił głos. - Słuchajcie dobrze: nikomu! Nawet gdybyście sądzili, że jest to ktoś, kto zna nasz sekret.

Proboszcz wziął do ręki krucyfiks, podniósł go do ust i ucałował z nabożeństwem.

- Przysięgam! - powiedział bez wahania.

- Jeśli złamiecie przysięgę, oby Bóg was pokarał i spuścił na was robaki żywcem pożerające wnętrzności, a jeśli jej dotrzymacie, oby raczył was obdarzyć długim i szczęśliwym życiem - dodał Salietti, wręczając księdzu złoto.

- Odejdźcie w pokoju, zapewniam, że robaki będą nękać moje ciało dopiero po śmierci. Nigdy i nikomu nie wyjawię, że kiedykolwiek widziałem was i waszego giermka - zapewnił ksiądz.

Niepokojące wieści

Gdy opuszczali wieś Cornill, słońce skryło się za zasłoną gęstych, gąbczastych chmur. Nie zatrzymywali się na popas, lecz w drodze przełknęli po kawałku chleba, zagryzając szynką z dzika, którą dostali od proboszcza wraz z bukłakiem napelnionym pysznym śliwkowym trunkiem. Krajobraz wokół złagodniał, wzgórza pokryte były gęstą roślinnością, a północny gościniec wił się w miłym cieniu przydrożnych dębów.

Jadąc rozmawiali i starali się podsumować ostatnie wydarzenia, bo było jasne, że ich podróż zaczyna przynosić pierwsze owoce. Posiadali już kamień filozoficzny, *lapis philosophorum*, prawdziwy klucz do tajemnic, a teraz przybył im tajemniczy manuskrypt Aidora Bilbicum *O kosmicznej istocie kamienia*. Spodziewali się, że okaże się pomocny w zrozumieniu części zagadek. Wiedzieli, że kamienia, manuskryptu i sekretu mędrców gorączkowo poszukują papież i król Francji, i że jeden stara się wyprzedzić drugiego, zdając sobie sprawę, że gra toczy się o życie. Klątwa, którą rzucił ze stosu wielki mistrz templariuszy, Jakub de Molay, sprawiła, że obydwaj zaczęli się obawiać o swoje istnienie. Wielki mistrz pomścił swoją śmierć i zagładę Zakonu, zatruwając umysły swych katów, podobnie jak zdychająca żmija, która ostatnim wysiłkiem wlewa jad w żyły swego zabójcy. Obydwaj wielcy współzawodnicy wiedzieli, że ten z nich, któremu nie uda się wejść w posiadanie sekretu, umrze przed upływem roku, a nagrodą dla zwycięzcy może być nieśmiertelność.

- Niewątpliwie lepiej żyć wiecznie, niż przedwcześnie umrzeć - skwitował Salietti to, co przypuszczalnie myśleli o całej sprawie papież i król Francji.

Zdając sobie sprawę, że czas biegnie szybciej, niż spłoszony koń, dwaj najpotężniejsi ludzie na ziemi rozesłali swych najlepszych szpiegów na poszukiwanie sekretu mędrców. Grimpow przypuszczał, że papież właśnie po to wysłał Gurielfa Laboxa do wsi Cornill i że z tego samego powodu król nakazał baronowi Figueltachowi de Vokko porwać starca. Na szczęście ani papież, ani król Francji nie wiedzieli o tym, że rycerz Salietti de Estaglia i jego młody giermek posiadają niezwykły kamień, klucz, bez którego nikt nie mógł zawładnąć sekretem mędrców, niezależnie od tego, gdzie byłby ukryty. Ten fakt został potwierdzony przez Aidora Bilbicum w manuskrypcie o kosmicznej istocie kamienia, najlepszym źródle

wiedzy o samym kamieniu i o sekrecie mędrców.

W pierwszej części manuskryptu, którą Grimpow przeczytał Saliettiinu w krypcie kościoła w Cornill, Aidor Bilbicum opisywał swoje spotkanie z tajemniczym mędrce, którego poznał podczas jednej ze swych podróży na Wschód, na parę lat przed pierwszą wyprawą krzyżową. W dalszej części stwierdził, że bezimienny mędrzec odkrył przed nim pewne tajemnice wszechświata, niemożliwe do ogarnięcia ludzkim umysłem i wręczył mu niezwykle kamień, który przybył z gwiazd i był w stanie nie tylko zamieniać ołów w złoto, ale i obdarzał swego posiadacza pełnią mądrości i nieśmiertelnością.

Oprócz tego ukazał mu w podziemnej jaskini pod Świątynią Króla Salomona w Jerozolimie niezwykle przedmiot, który w kontakcie z kamieniem dokonywał niewyobrażalnych cudów. Wkrótce potem tajemniczy, bezimienny mędrzec zniknął i Aidor Bilbicum nigdy więcej go nie widział. Po swym powrocie do Francji Aidor Bilbicum założył w tajemnicy małe stowarzyszenie naukowe, które nazwał Ouroboros, wybierając na symbol węża zwinętego w kształt koła, trzymającego w pysku własny ogon, symbol nieskończoności i jedności wszechrzeczy. Po jakimś czasie Aidor Bilbicum powrócił do Jerozolimy wraz z siedmioma mędrcami należącymi do stowarzyszenia i ukazał im niezwykle przedmiot, który się tam znajdował. Wtedy powstał pomysł przewiezienia go do Francji, aby go dogłębnie zbadać.

W tym samym czasie w Jerozolimie znajdowało się dziewięciu francuskich i flamandzkich rycerzy, którzy udali się do Ziemi Świętej, aby ochraniać i wspomagać pielgrzymów. Król Baldwin II przydzielił im na schronienie stajnie stojące na miejscu Świątyni Salomona. Aidor Bilbicum i jego uczniowie weszli w porozumienie z rycerzami i poruczyli im zadanie ochrony tajemniczego przedmiotu. W zamian za znaczne sumy w złocie, siedmiu z dziewięciu rycerzy zgodziło się przewieźć do Francji obiekt owinięty w owcze skóry. Za uzyskane pieniądze mieli zamiar po powrocie ufundować zakon rycerski, którego zadaniem miała być ochrona pielgrzymów przed muzułmanami.

Pewnego dnia z Jerozolimy wyruszyła wyprawa. Wstrząśnięci nieskończoną potęgą tajemniczego przedmiotu, Aidor Bilbicum i jego uczniowie postanowili ukryć go w jakimś bezpiecznym miejscu i utrzymywać jego istnienie w tajemnicy. Nikt inny oprócz ośmiu mędrców nie znał magicznej natury niezwyklej rzeczy. Lata mijały, mędrzy ze stowarzyszenia Ouroboros umierali jeden po drugim i byli chowani w starej, ośmiokątnej krypcie w kościele wsi Cornill, skąd pochodził Aidor Bilbicum.

- Jednak w archiwum kościoła w Cornill nie widnieje nazwisko Aidora Bilbicum. Dokładnie obejrzałem księgę narodzin i chrzcin od pierwszej do ostatniej strony - stwierdził

Salietti.

- Być może Aidor Bilbicum to nie jest prawdziwe nazwisko, lecz pseudonim, pod którym ukrywał swoją tożsamość - podsunął Grimpow.

- Tak, to możliwe - zgodził się Salietti. - Ale mów dalej, bo historia Aidora Bilbicum jest fascynująca.

- Tylko on pozostał przy życiu - ciągnął Grimpow - bo jako powiernik kamienia, który dostał od tajemniczego nieznajomego, nie tylko stał się wielkim mędrcem, ale i cieszył się nieśmiertelnością, jak bogowie. Jednak miał świadomość tego, że kiedyś będzie musiał przekazać kamień swemu uczniowi, o czym uprzedził go mędrzec, który mu go wręczył, bo w przeciwnym razie kamień zniszczyłby go i zabił. Aidor Bilbicum poszukał więc młodego człowieka rokującego wielkie nadzieje, nauczył go wszystkiego, co sam wiedział i powiedział mu o wszystkim, z wyjątkiem miejsca schowania tajemniczego przedmiotu. Wspominał jedynie, że taka rzecz istnieje, aby pamięć o tym przetrwała. Nadszedł moment, kiedy Aidor Bilbicum zmęczony własną nieśmiertelnością postanowił zakończyć swoje dni na ziemi i odpocząć w pokoju wiecznym. Wręczył kamień uczniowi, prosząc go, aby pochował jego ciało wraz z manuskrypcem w tej samej krypcie kościoła w Cornill, gdzie już spoczywało siedmiu mędrców tajnego stowarzyszenia Ouroboros. Dlatego w krypcie jest osiem grobowców i w jednym z nich znajdował się manuskrypt. Sarkofag, który otworzyliśmy, jest grobem Aidora Bilbicum - dodał Grimpow.

- A więc Aidor Bilbicum nie żyje! - wykrzyknął Salietti ze zdziwieniem, ponieważ naocznie stwierdził, że w sarkofagu nie było śladu po żadnym szkielecie.

- Sądząc po tym, co napisane w manuskrypcie, tak właśnie jest.

- A więc nie będziemy mogli spotkać się z nim w Strasburgu i wiadomość na zapieczętowanym pergaminie jest pozbawiona sensu. Umarły nie może przeczytać wiadomości od innego umarłego. A już na pewno nie w mieście, oddalonym o wiele mil od miejsca, w którym jeden z nich jest pochowany od wieków - rozważał Salietti z rozgoryczeniem.

- Być może tekst wiadomości jest jedynie wskazówką lub jakimś szyfrem. Nie wiem - odpowiedział Grimpow, przytłoczony natłokiem myśli kłębiących mu się w głowie. - Tak czy owak, w manuskrypcie była wskazówka, gdzie znajduje się sekret mędrców, ale brakuje ostatniej strony. Aidor Bilbicum doszedł do wniosku, że mogą nadejść czasy, gdy stanie się konieczne, aby tajemniczy przedmiot, znaleziony w Świątyni Króla Salomona i ponownie ukryty, dostał się znowu w ręce ludzi i pozostawił wskazówki, jak go znaleźć. Wiadomość zapisał hieroglificznym pismem tajnego stowarzyszenia Ouroboros i zabezpieczył ją

mnóstwem zagadek i pułapek. Tutaj jest wszystko - zapewnił, ukazując książkę trzymaną w ręku - wszystko, oprócz ostatniej stronicy, jak już mówiłem.

- Ale jeśli Aidora Bilbicum nie ma w Strasburgu, to po co mielibyśmy tam jechać? - spytał Salietti.

- W poszukiwaniu początku końca - stwierdził Grimpow. - Jeśli będziemy poszukiwać Aidora Bilbicum, mimo iż ten nie żyje, być może znajdziemy w Strasburgu klucz do zagadek zawartych w tym manuskrypcie. To niewątpliwie jest prawdziwym znaczeniem notatki, którą Gurielf Labox pozostawił w archiwum kościoła w Cornill. Jedynie jeśli pojedziemy do miasta wymienionego w wiadomości i zapytamy o tego, kto nie istnieje, będziemy mogli usłyszeć głos cienia - dodał.

- Co może nam powiedzieć ten głos? - spytał Salietti.

- Jeśli się nie mylę - rzekł Grimpow - powie nam, jak odsłonić tajemnicę kosmicznej istoty kamienia.

Nie tylko Salietti miał zamiar wziąć udział w wiosennym turnieju w Alzacji. Do zamku barona Figuelta de Vokko udawały się liczne, strojne orszaki rycerzy. Grimpow patrzył zafascynowany na wspaniałe, wielobarwne stroje szlachty i dworzan. Damy dworu i panny jechały w karocach przystrojonych girlandami kwiatów i jedwabnymi wstęgami, końce kopii odbijały promienie słońca, a nad głowami konnych falowały na wietrze chorągwie i proporce.

Grimpow i Salietti mieli szybkie konie i posuwając się naprzód wymijali orszaki możnych, oddziały zbrojnych, karoce, powozy, wozy załadowane zbrojami, bronią, zapasami. Kiedy przejeżdżali obok jednej z karet, Grimpow zwrócił uwagę na kilka rozbawionych, zarumienionych panien, szepczących sobie coś na ucho i kryjących twarze w odpowiedzi na uprzejme ukłony Saliettiego. Natomiast zbrojni patrzyli na nich lekceważąco lub zazdrośnie, a rycerze siedzieli sztywno na swoich wierzchowcach, arogancko milcząc lub rozmawiając między sobą, celowo wykazując obojętność i udając, że nie zauważają rywala.

Jedynie pewien rycerz o szlachetnym wyglądzie, jadący na czele jednego z orszaków w towarzystwie swego giermka, który trzymał się kilka kroków z tyłu, uprzejmie ich pozdrowił, kiedy go wyprzedzali. Nie był starcem, ale nie można też było powiedzieć o nim, że jest w sile wieku. Miał szare oczy, prosty nos, przycięte równo nad karkiem włosy popielatego koloru, takiego, jak kolor brwi i wypiełgnowanej brody, a na głowie miał szpiczastą czapkę zakończoną bażancim piórem. Jego odzienie było eleganckie, choć poszarzałe od kurzu gościńca, a rękojeść miecza masywna i obficie złożona.

- Herb na waszej tarczy wydaje mi się znajomy. Czy zmierzacie w stronę fortecy

barona Figuelta de Vokko? - spytał Salietti.

Salietti wstrzymał konia, aby dostosować jego krok do kroku wierzchowca nowo poznanego rycerza, a Grimpow pozostał w tyle i zrównał się z drugim giermkim, młodzieńcem o dość ciemnej skórze, który popatrzył na niego obojętnie.

- Istotnie, jest to moim zamiarem. Jak przypuszczam i waszym, panie...

- Rhadoguil, Rhadoguil de Curnilldonn. A wy, jakie nosicie miano? - spytał rycerz.

- Salietti de Estaglia, wnuk diuka Iacopo de Estaglia.

- A więc jesteście cudzoziemcem.

- Tak, narodziłem się we włoskim Piemontcie.

- I przebyliście ostre szczyty Alp, aby wziąć udział w turnieju?

- Rycerzowi żadnemu przygód i wyzwania, góry zdają się gigantami, których należy pokonać - stwierdził Salietti.

Rycerz zaśmiał się głośno.

- Racja, przyjacielu. A ponieważ mowa o przygodach, wyzwaniach i bitwach, powiedzcie, czy macie zamiar wziąć udział w krucjacie barona Figuelta de Vokko i króla Francji przeciwko zamkom Kamiennego Kręgu?

- Kiedy wyruszałem z Piemontu, nie było jeszcze wiadomo, że zapowiada się wojna. Coś już o tym słyszałem w drodze, ale nie bardzo rozumiem, jakie są powody wyprawy. Z tego, co mi wiadomo, król Francji zlecił baronowi ściganie zbiegłych templariuszy, którzy znaleźli schronienie w fortecy diuka Gulfa de Östemberg i jego wiernych rycerzy. Czy to prawda? - spytał Salietti.

- To bujdy dla prostaczków! Król Francji doskonale wie, czego szuka tak daleko od swego wytwornego pałacu w Paryżu - powiedział pogardliwym tonem rycerz. - Choć przypuszcza, że udało mu się skryć swe prawdziwe intencje w zakamarkach niegodziwego umysłu, wszyscy wiedzą, że ma zamiar zrównać z ziemią zamki Kręgu, podobnie jak to uczynił sześć lat temu z komandorią Temple w Paryżu, po to tylko, aby odnaleźć sekret templariuszy.

- Ależ sekret templariuszy jest jedynie legendą. Skąd można wiedzieć, czy kryje się właśnie w fortecy diuka Gulfa de Östemberg? - spytał Salietti udając naiwnego. Nie miał najmniejszego zamiaru przyznawać się, że sam wraz z Grimpowem jest na tropie tej fascynującej historii i że sekret, który spodziewali się znaleźć, jest w istocie sekretem mędrców, a nie sekretem templariuszy.

Rycerz Rhadoguil de Curnilldonn poprawił się w siodle.

- Przyjacielu - powiedział. - Jeśli wielki mistrz templariuszy, którego oskarżono o

konszachty z diabłem i o uprawianie czarów, wzywa ze stosu papieża i króla Francji na sąd boży przed upływem roku, to chyba wie, co mówi.

- A może sama klątwa też jest tylko plotką? Ludzie w naszych czasach są niezwykle skłonni do przesądów. Zmyślają najrozmaitsze historie o magii i czarach, a potem sami w nie wierzą - powiedział Salietti.

- Klątwa jest tak samo prawdziwa, jak to, że teraz ze mną rozmawiacie. Ufajcie moim słowom. Osiemnastego marca asystowałem przy egzekucji wielkiego mistrza na stosie ustawionym przed katedrą Notre Dame w Paryżu i sam słyszałem, jak wypowiedział klątwę silnym, strasznym głosem. Gdy wszyscy obecni spodziewali się, że lada moment wyzionie ducha, bo skwierczące płomienie pożerały już jego ciało, krzyknął: „Przeklinam mych morderców i wzywam ich, aby przed upływem roku stawili się przed sądem bożym, aby zdać sprawę ze swych zbrodni przeciwko Zakonowi Świątyni!" I oto klątwa już zaczęła się spełniać.

- Nie rozumiem - powiedział Salietti, zaskoczony ostatnim zdaniem Rhadoguila de Curnilldonna.

- Posłaniec powiadomił wczoraj rycerzy, którzy jadą tuż za nami, że papież Klemens V zmarł przed kilkoma dniami w zamku Roquemaure, w pobliżu Awinionu.

- Cóż mówicie? - spytał zaniepokojonym głosem Salietti.

- To właśnie, coście słyszeli. Papież poczuł się źle, potem dostał strasznych boleści i skonał, wijąc się w męczarniach i wymiotując krwią.

- To istotnie wygląda na spełnienie się klątwy - stwierdził zdumiony Salietti.

- Czyżbyście w to wątpili? - spytał tajemniczym tonem rycerz.

- No cóż... Nigdy nie ufałem sprawom związanym z klątwami, czarami i urokami - stwierdził Salietti z namysłem.

Rhadoguil de Curnilldonna ponownie się zaśmiał.

- Ja też nie, przyjacielu, ja też nie. Papieża nie zabiła klątwa, lecz trucizna - stwierdził beznamiętnie.

Salietti znowu się zdumiał, bo nie wiedział, czy rycerz opowiada mu o tym, o czym wie, czy też o swoich podejrzeniach.

- Jak możecie być tego pewnym? - spytał Salietti.

- Ponieważ jedynie trucizna może spowodować tak krwawą i okropną śmierć, a ponadto jest jasne, jak słońce, że chodzi tu o zemstę.

- Zemstę? Czyją zemstę? Reszta pozostałych przy życiu templariuszy, w strachu przed śmiercią na stosie lub uwięzieniem w lochach już przed sześciu laty opuściła Francję, udając

się na południe do Hiszpanii i Portugalii lub na północ, do zamków Kamiennego Kręgu i Niemiec.

- Są jeszcze we Francji ukryci templariusze, gotowi na wszystko w obronie honoru swego zakonu. Dobrze o tym wie król Filip i teraz, po śmierci papieża, trzęsie się ze strachu jak wieprzek przed świniobiciem. Boi się, że podzieli jego los, jeśli nie znajdzie na czas sekretu templariuszy, którym według legendy jest eliksir zapewniający nieśmiertelność. Jeśli mu się to nie uda, nie doczeka przyszłej wiosny.

Salietti słuchał z podziwem słów rycerza, które wydawały mu się rozsądne i zgodne z prawdą.

- Sądziłem, że król Francji będzie obecny na wiosennych turniejach w Alzacji - powiedział.

- Taki miał zamiar i był już w drodze. Jednak gdy tylko dowiedział się o śmierci papieża, powrócił do Paryża z podkulonym ogonem, jak zbity pies. Wieść o tym już się rozeszła i właśnie posłaniec przyniósł ją tym rycerzom - Rhadoguil de Curnilldonn machnął ręką za siebie.

- Tych rycerzy? A więc nie jedziecie razem? - spytał Salietti.

- Ależ nie! Myślałem, że już o tym mówiłem - powiedział rycerz, tłumacząc się. - Jadę sam, jedynie z giermkim. Wczoraj doścignąłem ten orszak i przyłączyłem się do niego, aby spędzić razem noc.

- Weźmiecie udział w gonitwach?

- Nie, mój wiek już mi na to nie pozwala. Poruczono mi pewną misję, ale teraz już tylko częściowo będę mógł ją spełnić.

- Dlaczego mówicie mi o tym wszystkim? Jeśli sprawy tak wyglądają, jak je przedstawiacie, wasze życie jest w niebezpieczeństwie - ośmielił się stwierdzić Salietti. Zaczął się domyślać, że Rhadoguil de Curnilldonn jest templariuszem w przebraniu i że miał za zadanie zamordować króla Francji podczas turniejów.

- Nie niepokójcie się. Powiedziałem, że herb na waszej tarczy jest mi znajomy.

Zbliżał się zmierzch i powiał wieczorny wiatr. Niebo było jasne, jedynie nad szczytami pobliskich wzgórz zebrało się parę puszystych, grubych chmur, podobnych do kwiatów dmuchawca.

Magii poszukaj w gwiazdach

Forteca barona Figuelta de Vokko została wybudowana w górach wznoszących się nad alzacką równiną. Był to gigantyczny, groźnie wyglądający zamek z wieloma wyniosłymi basztami, krenelażem, barbakanami i przyporami. Jego wyniosłe, okrągłe, blankowane wieże miały stożkowe dachy kryte łupkiem, przypominające szpiczaste, popielate kaptury. Główną bramę, obramowaną dwoma brzuchatymi wieżyczkami, chroniła ciężka krata i most zwodzony nad fosą. Teraz most był opuszczony w oczekiwaniu na przybycie gości, a w ozdobionym chorągwiami wejściu oczekiwała grupa muzykantów i heroldowie barona, którzy każdemu z rycerzy przydzielali dwóch służących: jeden z nich prowadził szlachetnych gości do komnat, drugi zajmował się odprowadzeniem wozów i wierzchowców do stajni.

Za murami zamku panował ogromny ruch. Setki rycerzy i zbrojnych kręciły się po głównym dziedzińcu. Kolczugi i wypolerowane hełmy lśniły w świetle pochodni, łopotąły proporce, a języki płomieni z wielkich zniczy olejnych wydawały się ulatywać z wiatrem.

Salietti i Grimpow zsiadli z koni i oddali je wraz z objuczonym zbroją mułem pod opiekę jednego ze sług, po czym przydzielony giermek poprowadził ich na kwaterę poprzez rozciągające się w amfiladzie dziedzińce. Grimpow rozglądał się na boki, zafascynowany panującą wrzawą, gdy nagle został zmuszony do wykonania akrobatycznego skoku, aby uniknąć stratowania przez rycerza w groźnie wyglądającym hełmie, który przemknął obok nich na rozszalałym koniu.

- Któż to być może? - spytał Salietti towarzyszącego im giermka, który szedł obok Grimpowa i dźwigał parę sakw.

- Nikt tego nie wie, oprócz herolda, który dziś rano przywitał go przy wejściu. Rycerz nawet wtedy nie zdjął hełmu i wyraził chęć pozostania *incognito* do końca turnieju - odparł giermek. - Od tego czasu już parę razy jechał i wyjechał za mury, aby dać się zauważyć i aby wszyscy zastanawiali się, kim jest. Co roku przybywają na turnieje młodzi awanturnicy bez majątku, którzy sięgają po takie i jeszcze bardziej dziwaczne sposoby, aby przyciągnąć uwagę - powiedział z ubolewaniem. - Jestem pewien, że wy, panie, nie jesteście do nich podobni. Wystarczy na was spojrzeć, aby się domyślić, że jesteście jednym z potencjalnych zwycięzców w gonitwach.

- A ty, jak się nazywasz? - spytał Salietti giermka, chłopca trochę starszego od Grimpowa, z odstającymi uszami i zębami gryzonia.

- Możecie do mnie mówić Guishval, panie.

- Guishval - powtórzył Salietti powoli. - To piękne imię dla tak bystrego chłopca, jak ty.

Słyszac pochlebną nutę w słowach Saliettiego, Grimpow domyślił się, że właśnie przypadkiem trafił na doskonałego informatora, który zdradzi im, co się dzieje wewnątrz obronnych murów fortecy barona Figueltacha de Vokko. Jego przypuszczenia natychmiast znalazły potwierdzenie.

- Jeśli będziecie czegoś potrzebować, panie, wystarczy mi powiedzieć - zapewnił Guishval i niemal natychmiast wykrzyknął: - Popatrzcie, tam stoi mój pan, baron.

Koło jednej z zamkowych studni stał bogato ubrany, możny pan i wydawał rozkazy swym rycerzom. Był o wiele młodszy niż Grimpow się spodziewał. Nie miał brody, a jego długie, czarne włosy lekko powiewały na wietrze. Czarne oczy miały bezlitosny wyraz; głos i gesty były surowe, podobnie jak spojrzenie. Plecy krył mu długi płaszcz z czarnego aksamitu, ozdobiony złotym oblamowaniem, a na białym kaftanie widniał haft, wyobrażający czarnego niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach. Przy pasie barona zwisał wielki miecz, z rękojeścią obficie wysadzaną drogimi kamieniami.

Przechodząc obok niego złożyli mu ukłon i szli dalej przez dziedziniec przy zbrojowni. Potem przeszli obok szop i kuchni i weszli do wieży, strzeżonej przez dwóch zbrojnych w kolczugach i hełmach, którzy na ich widok wyprostowali skrzyżowane piki. Na ich tarczach widniał ten sam wspinający się na tylne łapy niedźwiedź, który wyhaftowany był także na licznych chorągwiach, powiewających na wietrze. Po wąskich schodach weszli na pierwsze piętro, gdzie znajdowała się sala o grubych murach i niskiej powale. W niej stało około dwudziestu prycz, a u ich nóg rozłożone snopki słomy. W sali panował spory ruch, ponieważ część uczestników już przybyła i giermkowie rozmieszczali sakwy i rozmaity ekwipunek koło miejsc przydzielonych im do spania.

- To wasza kwatery, wasza prycza i słoma dla waszego giermka - Guishval nie szczędził wyjaśnień, choć Grimpow już wcześniej domyślił się, że to jemu przypadnie spanie na podłodze. - Na tej ławie możecie postawić sakwy, tam jest wiadro z wodą, latryny są na dole, w głębi dziedzińca. Szlachetny baron Figueltach de Vokko, mój pan, życzy wam przyjemnego pobytu w jego domu. Wieczera odbędzie się w wielkiej sali herbowej. O świcie heroldowie ogłoszą porządek gonitw, a potem odbędą się starcia - wygłosił komunikat oficjalnym tonem.

- Dziękuję, Guishvalu, to miłe z twojej strony - ponownie pochlebił mu Salietti.

Giermek zbierał się do odejścia i zgiął się w ukłonie.

- Poczekaj chwilę - powiedział Salietti, zniżając głos, aby nie usłyszeli go inni rycerze, którzy, wspomagani przez swych giermków, obmywali się, lub przebierali z szat pokrytych pyłem dróg. - Powiedz, Guishvalu, czy wiesz, jak pięknie błyszczy złoto?

Guishval popatrzył niepewnie na Saliettiego, a potem zwrócił pytający wzrok w kierunku Grimpowa, jakby chcąc spytać go, czy jego pan jest przy zdrowych zmysłach.

- Tak, panie - powiedział nieśmiało. - Ale jedyne złoto, które w życiu widziałem, to pieczęć mojego pana i klejnoty dam dworu.

- Niewykluczone, że mógłbym cię obdarować okruczem złota w zamian za twoje usługi - szepnął mu Salietti do ucha.

Giermek podskoczył, jak dźgnięty kijem w plecy.

- Cóż miałbym zrobić? - spytał, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

- Na razie wystarczy, że powiesz mi, czy przed paroma dniami przywieziono do twierdzy dwoje więźniów: starca z córką - Salietti od razu przeszedł do rzeczy.

Zanim odpowiedział, Guishval rozejrzał się wokół, aby upewnić się, że nikt ich nie podsłuchuje.

- Nie wiem, czy powinienem z wami o tym mówić. Jeśli mój pan dowie się, że mam za długi język, utnie mi go i rzuci swym psom - powiedział wyraźnie załękniony.

- Nigdy się o tym nie dowie. Możesz mi zaufać, daję ci na to słowo honoru - uspokoił go Salietti.

- Starca z córką przywieźli przed dwoma dniami zbrojni barona. Możecie mi wierzyć, że nigdy w życiu nie widziałem piękniejszej damy - stwierdził Guishval.

- Zrzucono ich do zamkowych lochów? - spytał Salietti, z niepokojem oczekując na odpowiedź.

- Nie, panie - giermek mówił tak szybko, że połykał słowa. - Starzec był bardzo chory, zamknięto go w pokoiku w wieży strażników i wczoraj w nocy zmarł. Dziś rano zniesiono jego ciało do kostnicy, która znajduje się obok lochów, bez żadnej mszy ani ceremonii, i tam je pozostawiono. Żołnierze plotkują, że był magiem lub czarownikiem.

Salietti poczuł ból, jakby ugodzono go nożem w serce i choć starał się ukryć swoje uczucia, widać było, że wiadomość pogrążyła go w rozpacz. Grimpow rozpoznał po błysku jego załzawionych oczu, że starzec Gurielf Labox był dla Saliettiego kimś bardzo ważnym, a nie zwykłym nieznanym. Potwierdziło to jego przypuszczenia, że Salietti coś przed nim ukrywa. Po raz pierwszy doznał takiego przecucia we wsi Cornill, w chwili, gdy kowal

powiedział im, że żołnierze Figuelta de Vokko porwali starego cziciela gwiazd, maga Gurielfa Laboxa.

- Jego córka wie, że ojciec nie żyje?

- Myślę, że tak, bo od wczorajszego wieczoru nie przestała płakać. Ma na imię Weienell.

- Gdzie jest teraz?

- Zamknięta pod strażą w donżonie. Mój pan, baron de Vokko, uległ oczarowaniu jej urodą i przypuszczam, że pragnie zdobyć jej serce.

Grimpow zauważył, że Salietti ponownie aż się wzdrygnął.

- Kto ma klucz od jej alkowy? - spytał z rozpaczą w głosie.

- Klucz jest schowany w małej skrzynce, w gabinecie mojego pana barona.

Salietti wyjął z sakiewki ukrytej w pasie dwa złote ziarna i wręczył je ukradkiem giermkowi.

- Jestem ci wdzięczny za pomoc, Guishvalu. Postaraj się, aby nikt się nie dowiedział, że masz to złoto, bo posądzono by cię o kradzież. W przyszłości będę potrzebował innych usług.

- Jeśli mnie będziecie potrzebować, poślijcie po mnie waszego giermka do stajni. Jestem do usług, panie - powiedział z radością Guishval i odszedł, kłaniając się nisko.

Pozostali sami. Uporządkowali sakwy, obmyli ręce i twarze, a Salietti zdjął pokryte pyłem odzienie, wytrzeptał je i położył na pryczy. Z jednej z sakw wyciągnął nowe spodnie, koszulę i wytworny kaftan zakupione w mieście Ullpens i przyodział się uroczyście.

- Sądzę, że nie byłeś ze mną szczery na strychu gospody w Ullpens, kiedy przyrzekliśmy sobie, że nie będziemy mieli przed sobą tajemnic - powiedział nagle Grimpow, obrażonym tonem.

Saliettiego zaskoczyły słowa przyjaciela, który przed ludźmi udawał, że jest jego giermkim.

- Nie wiem, o czym mówisz Grimpowie. Wiesz o mnie tyle, co i ja o tobie - odpowiedział cichym głosem, przypinając miecz do pasa.

- Mówię o Gurielfie Laboxie i jego córce. Znasz ich. To dlatego pojechaliśmy do Cornill. Nie trafiliśmy tam przypadkiem. Wiedziałeś, że tam będą, chociaż nie miałeś pojęcia, że zostali porwani przez żołnierzy barona. Prawda? - domagał się odpowiedzi Grimpow.

Salietti popatrzył mu w oczy z czułością.

- Nie mogę ci o tym nic powiedzieć, Grimpowie. Nie teraz.

Nie wiedzieć czemu, Grimpow nagle poczuł, że po policzkach spływają mu łzy. Być

może przyczyną było wyczerpanie podróżą, napięcie, w którym żył od miesięcy, wpływ magicznego kamienia, strach przed niepewnym losem, który czekał ich w fortecy barona, śmierć starca, którego przecież nie znał, tajemnica sekretu mędrców, która czekała na rozwiązanie, lub też, po prostu, poczucie niecznej zdrady ze strony człowieka, którego uważał za swojego najlepszego przyjaciela.

- Ależ, chłopcze, przecież nie chcę cię skrzywdzić! Naprawdę nie mogę nic ci teraz powiedzieć. To długa i zawiła historia, ale zapewniam cię, że wszystko ci kiedyś opowiem. Teraz musimy zająć się ważniejszymi sprawami.

Słowa Saliettiiniego pocieszyły Grimpowa, który poczuł się nieco raźniej. Pomyślał nawet, że jego wyrzuty były niesprawiedliwe, bo Saliettiini mógł mieć swoje powody, aby nie opowiadać mu wszystkiego o swoim życiu, przeszłości i zamiarach, nawet jeśli postanowił towarzyszyć mu w podróży, aby razem z nim poszukiwać sekretu mędrców. W końcu - pomyślał - w umyśle każdego człowieka istnieją zakamarki, w których ukrywa swoje najtajniejsze myśli, swoje marzenia, pragnienia lub też niegodziwe zamiary.

- Przykro mi, nie chciałem robić ci wyrzutów - powiedział.

Saliettiini przyjął jego przeprosiny z uśmiechem i puścił do niego oko.

- Nie przejmuj się. No chodź, przejdziemy się po zamku przed wieczerzą. Mam nadzieję, że dzisiaj uda nam się zjeść coś gorącego i smacznego.

- Wymyśliłeś już, jak się dostać do córki Gurielfa Laboxa? - spytał Grimpow, zdając sobie sprawę, że jest to jedyna sprawa, jaka zaprzęta myśli Saliettiiniego.

- Jeszcze nie. Najpierw muszę pilnie pomówić z baronem Figuellichem de Vokko. Zapomniałeś już?

- Masz zamiar przekazać mu posłanie od Krwawego Druski?

- Dałem zbójowi słowo honoru, a rycerz zawsze dochowuje przysięgi. Ponadto mam zamiar spróbować, czy nie uda mi się wykraść klucza od alkowy, który baron schował w swoim kufrze.

- Ależ to oznacza wejście do paszczy lwa! - krzyknął Grimpow, przejęty widoczną w oczach Saliettiiniego determinacją.

- Jedyne w ten sposób dowiem się, jak ostre są jego kły.

Saliettiini podszedł do ławy, gdzie leżały sakwy i z jednej z nich wyjął grubą talię kart, której Grimpow do tej pory nie widział.

- Masz zamiar grać w karty z baronem? - spytał.

- Nie, skąd - zaśmiał się Saliettiini. - To nie są karty do gry. W niektórych krajach Wschodu używa się ich do odgadywania przyszłości. Są na nich wymalowane różne ciekawe

alegorie. Wielu szlachetnych panów i dam daje upust słabostce, jaką jest chęć odgadnięcia swego niepewnego losu. Chcą go poznać zawczasu, aby wyprzedzić przeznaczenie, bo sądzą, że w ten sposób zdołają go uniknąć. Figueltach de Vokko jest jedną z tych osób i odczuwa prawdziwą namiętność do praktyk wróżbiarskich. Jestem jednak pewien, że jeszcze nigdy nie słyszał o tych kartach i mam zamiar mu je podarować, aby zdobyć jego zaufanie.

- A co ja mam robić w tym czasie?

- Mam dla ciebie zadanie. Masz jeszcze ten kawałek pergaminu i węgielek, który zabrałeś z zakrystii kościoła w Cornill?

- Tak, są w sakwie.

- Daj mi je, muszę coś ważnego napisać.

Grimpow dał mu żądane przedmioty. Salietti poprosił go, aby się odwrócił i pochylił, po czym posłużył się jego plecami, jak pulpitem. Grimpow przypuszczał, że chodzi także o to, aby nie mógł zobaczyć, co Salietti pisze.

- Nie martw się, pozwolę ci przeczytać, gdy skończę - Salietti odgadł jego myśli.

Oparł skrawek pergaminu na grzbiecie Grimpowa i piękną kaligrafią, której można byłoby oczekiwać raczej od mnicha kopisty niż od błędnego rycerza, napisał:

Magii poszukaj w gwiazdach i czarów w pełni księżyca

Gdy wpatrzysz się w nie uważnie, odnajdziesz swoje marzenia

- To dla niej? - spytał Grimpow, gdy Salietti pokazał mu pergamin.

- Istotnie.

- Czy to jakiś kryptogram, jakaś zaszyfrowana wiadomość? - pytał Grimpow dalej.

- Niezupełnie, ale ona zrozumie.

- Nie podpiszesz się?

- Moje imię nic jej nie powie - zakończył Salietti, zmęczony indagacją. - A teraz słuchaj mnie uważnie. Podczas gdy ja będę rozmawiać z baronem, ty udasz się do stajni i będziesz sprawiać wrażenie, że przyszedłeś zadbać o nasze konie. Tam znajdziesz Guishvala i ukradkiem dasz mu następne złote ziarno. Powiesz, że to ode mnie, i że proszę go, aby jak najspieszniej przekazał pergamin córce starca.

Ze wszystkich zagadek, tajemnic i sekretów, z którymi miał do czynienia od chwili odnalezienia w górach ciała zmarłego rycerza, nic tak Grimpowa nie zaintrygowało, jak związek Saliettiego z całą sprawą. Podczas gdy w świetle pochodni przeciskali się przez ciżbę

rycerzy, giermków i służących, wymijając wozy i jeźdźców, którymi zapełnione były wszystkie dziedzińce twierdzy, Grimpow raz za razem stawiał sobie pytania, kim naprawdę był Gurielf Labox, dlaczego poszukiwał w kościele w Cornill sekretu mędrców, co łączyło go z Saliettim i co sprawiło, że jego przyjaciel tak bardzo się martwi o uwięzioną córkę starca. Ponadto obracał w głowie tekst wiadomości na pergaminie, który wręczył mu Salietti, aby dał ją Guishvalovi, który z kolei miał ją doręczyć tej, dla której była przeznaczona. Zastanawiał się, czy piękna pani podbiła swoim wdziękiem także Saliettiego, podobnie jak podbiła serce samego barona. Ale jeśli tak było, to gdzie, jak i kiedy ją poznał? Przecież od chwili, gdy razem opuścili opactwo Brinkdum nie rozmawiali z żadnymi damami, ani nawet żadnymi kobietami, oczywiście, jeśli nie liczyć ospowatej właścicielki brudnej gospody w mieście Ullpens.

Karta śmierci

Salietti dłuższą chwilę błąkał się po wilgotnych korytarzach i kręconych schodach, zanim dotarł do wielkiej sali herbowej. Liczna grupa rycerzy i dam w pysznych strojach i nakryciach głowy otaczała gospodarza, tocząc ożywioną rozmowę. Wszystko było gotowe do uczyty i wielu spośród gości zajęło już swe miejsca przy długich stołach, którymi zastawiono pomieszczenie. Z sufitu zwisały chorągwie, a ściany pokryte były kobiercami i ozdobione wielką ilością tarcz herbowych, broni i trofeów myśliwskich. Było ciepło i jasno jak w dzień, bo płonęły świece i pochodnie, a w kominku tak wielkim, że można by upiec przy nim wołu, buzował ogień.

Salietti podszedł do jednego z dworzan, który wydawał rozkazy galowo ubranym heroldom, lekko się skłonił i spytał:

- Czy to wy jesteście kasztelanem tego zamku?

- Tak - dworzaniin odpowiedział ukłonem. - Czym mogę służyć, panie...

- Jestem Salietti de Estaglia. Wiem, że baron jest w tej chwili niezmiernie zajęty swymi obowiązkami gospodarza. Niemniej chciałbym was prosić, abyście przekazali mu, że pragnę z nim pomówić na osobności na temat, który z pewnością bardzo go zajmie.

- Powiadomię barona o waszej prośbie, panie, gdy tylko zasiądziemy przy stole, bądźcie spokojni - powiedział kasztelan, ukłonił się i odszedł ku innej grupie heroldów oczekujących na rozkazy.

Salietti ucieszył się, że udało mu się zarzucić haczyk zgodnie z zamierzeniami. Teraz pozostało mu już tylko czekać, aby baron połknął przynętę. Przypomnił sobie o Rhadoguilu de Curnilldonn, rycerzu, którego spotkał na drodze do twierdzy, a który tak otwarcie mówił z nim o otruciu papieża Klemensa V i o obawach króla Francji, i postanowił poszukać go wśród gości. Wydawało mu się, że go spostrzeża, lecz gdy podszedł bliżej do rycerza pijącego piwo z wielkiego kufła, zdał sobie sprawę z pomyłki. Jeden z paziów spostrzegł, że Salietti się zabłąkał i wskazał mu miejsce obok grupki młodych rycerzy, którzy wśród żartów i wybuchów przenikliwego śmiechu przechwalali się swymi dokonaniem we władaniu bronią.

Ogłoszono początek uczyty i z pomieszczeń kuchennych wkroczyła armia służących, niosąc misy pełne wszelkiego rodzaju mięs, dziczyzny, drobiu, ptactwa, pasztetów, warzyw i

potrawek. Widok tych delicji pobudził apetyt Saliettiego, przymusowo trzymany na wodzy przez długie dni podróży. Rycerz poświęcił się ciałem i duszą żarłoczemu pochłanianiu wszystkiego, co znalazło się w jego zasięgu i nie zwracał uwagi na gadulstwo swych towarzyszy stołu.

W sali zasiadał kwiat szlachty Alzacji, Lotaryngii i Burgundii. Nasyciwszy pierwszy głód, Salietti zaczął się przyglądać ich twarzom, zębom, brodom, spojrzeniom, śmiechom i gestom, czując się przez chwilę, jakby oglądał ich przez szparę z tajnego pomieszczenia, samemu nie będąc widzianym. Powrócił do rzeczywistości, poczuwszy na sobie czyjś wzrok. Baron Figueltach de Vokko patrzył na niego wnikliwie, słuchając tego, co szeptał mu do ucha kasztelan siedzący po jego lewej stronie. Salietti pochylił głowę w ukłonie, na co baron też odpowiedział skinieniem. Miejsce po prawej ręce barona zajmował ksiądz dominikanin z rudą brodą i twarzą poznaczoną bliznami. Salietti natychmiast domyślił się, że ma do czynienia z niegodziwym inkwizytorem Bulvarem z Goztell.

Przed końcem uczty baron zabrał głos, aby w wielkich słowach zachęcić rycerzy do wzięcia udziału w wojnie przeciwko zamkom Kamionnego Kręgu. Mówił dość długo o herezjach templariuszy i konieczności spalania ich wszystkich na stosie. Potem do sali wbiegli żonglerzy, skacząc i wyczyniając najrozmaitsze sztuczki w rytm rozedrganej muzyki trąbek i bębenków. W kulminacyjnym momencie przedstawienia połykali ogień i wydychali go długimi płomieniami. Atrakcja wzbudziła entuzjazm rycerzy, którzy zaczęli głośno uderzać kuflami o stoły; damy zaś biły brawo, śmiały się i krygowały.

Salietti spostrzegł, że baron wybrał ten moment, aby odejść od stołu i oddalić się do swych komnat.

- Figueltach de Vokko chce się ze mną jak najszybciej spotkać - powiedział sam do siebie Salietti, bawiąc się w jasnowidza. - Zaraz przyśle po mnie jednego z heroldów i poprosi mnie do siebie.

Herold istotnie niemal natychmiast zbliżył się do jego stołu.

- Wybaczcie, panie, baron chce was widzieć na osobności. Pójdźcie za mną - szepnął mu do ucha.

Figueltach de Vokko oczekiwał na przybycie Saliettiego, nerwowo krążąc w tę i z powrotem pod wiszącą na ścianie ogromną tapiserią z wizerunkiem herbowego niedźwiedzia. Po jej bokach umieszczono łby jelenie z imponującymi porożami.

- Witam, witam - powiedział baron, zapraszając gościa do środka.

Salietti skłonił się nisko i uśmiechając się uprzejmie przekroczył próg. Starał się zachowywać postawę pełną szacunku, choć targała nim złość, a wobec człowieka, którego

miał przed sobą, odczuwał jedynie gwałtowne uczucie pogardy.

- Kasztelan powiadomił mnie, że chcecie ze mną mówić o istotnych sprawach.

- Tak, panie. Nazywam się Salietti, jestem wnukiem diuka Iacopo de Estaglia, przybywam z Piemontu we Włoszech.

Baron skinął głową.

- Musicie mieć coś niezwykle ważnego do powiedzenia, jeśli odbyliście tak długą i uciążliwą podróż, aby się ze mną zobaczyć.

- Wam przyjdzie to ocenić. Moim pierwszym zamiarem było wziąć udział w turniejach w Alzacji, których sława i renoma, jak dobrze wiecie, dociera aż do północnych Włoch.

- To prawda. Co roku coraz liczniejsi rycerze z Triestu, Padwy czy Bolzano przybywają do nas na wiosnę, aby stanąć w szranki. Cieszymy się z tego niepomiernie - powiedział baron serdecznym i jowialnym tonem, ale Salietti dobrze wiedział, że były to jedynie pozory.

- Podczas podróży dowiedziałem się od pewnych rycerzy, których orszak także podążał do waszej twierdzy, że macie zamiar jak najprędzej uderzyć na zamki Kręgu i pojmać zbiegłych templariuszy, którym udzielił schronienia wasz odwieczny nieprzyjaciel, diuk Gulf de Östemberg, lekce sobie ważąc bullę papieża Klemensa V, nieszczęśliwie zmarłego przed kilkoma dniami.

- Wszyscy ubolewamy nad jego stratą. A jeśli chodzi o mój zamiar wypowiedzenia wojny zamkom Kręgu, nie oszukano was - powiedział baron aroganckim tonem.

- Mam nadzieję, że będę mógł się do was przyłączyć.

Baron zbliżył się do Saliettiego i objął go ramieniem.

- Bez wątplenia. Jesteście jak najmilej widziani wśród moich rycerzy i zapewniam, że razem odniesiemy zwycięstwo tak wspaniałe, że truwerzy przez wieki będą opiewać je w pieśniach. Lecz powiedzcie, czym jest ta pilna sprawa, która miała mnie żywo zainteresować, bo dotąd nie usłyszałem z waszych ust niczego niezwyklego - powiedział baron z lekkim wyrzutem.

Salietti postanowił nie przeciągać struny i przejść do rzeczy.

- To prawda, lecz jestem pewien, że trzeci powód mojej wizyty w pełni was zadowoli.

Czy mówi wam coś imię Krwawy Druskło?

Baron wzdrygnął się, co natychmiast postarał się zamaskować.

- Powiedzcie, skąd to pytanie?

- Napadł na mnie w lesie Oppernai.

- Daliście się pojmać temu zbrojowi?

- Jeden miecz mało waży w obliczu bandy wyrzutków uzbrojonych w łuki. Ukryli się w koronach drzew i stamtąd do mnie mierzyli. Jednak gdy Drusklo dowiedział się, że udaję się do waszego zamku, puścił mnie wolno. W zamian za to wymógł na mnie, abym w jego imieniu błagał was o przebaczenie mu jego zbrodni.

- A to łotr! To nie tylko zbrodniarz, to bezczelny łajdak! Odważa się prosić mnie o wybaczenie! On, morderca mojego dziadka! Mój ojciec przez całe lata usiłował go pojmać, a od kiedy zmarł, ja sam ścigam go bez pardonu - powiedział baron, oburzony i rozżalony.

- Macie teraz okazję, aby się zemścić. Drusklo sądzi, że będzie mógł być użyteczny w ataku na zamki Kręgu. Każcie mu przybyć, obiecując mu wybaczenie w zamian za przyłączenie się do waszych wojsk, a kiedy znajdzie się w waszych rękach powieście go na najwyższej wieży zamkowej - udzielił mu okrutnej rady Salietti.

Baron zamyślił się głęboko, ale Salietti nie wiedział, czy zastanawia się nad przydatnością Krwawego Druskli podczas planowanej wojny, czy też napawa się wizją słodkiej zemsty.

- Pozwólcie mi się zastanowić, nie chciałbym podejmować pochopnej decyzji.

- Wystarczy, że pošlecie po niego do lasu i w ciągu kilku dni będzie się tarzał w poniżeniu u waszych stóp. Ja spełniłem, co mu przysięgłem. A teraz, zanim odejdę, chciałbym pozostawić wam mały podarunek.

- Podarunek? - spytał Figueltach de Vokko z żywym zainteresowaniem.

- Wiem o waszym zainteresowaniu wróżbiarstwem i pomyślałem, że będzie wam przyjemnie zapoznać się z tymi kartami. Weźcie je i oby posłużyły do odwrócenia wyroków losu, które nie zawsze są pomyślne - powiedział Salietti, wyciągając z zanadru swoją talię kart.

Figueltach de Vokko chciał wziąć karty w rękę, lecz w tej samej chwili Salietti udał, że wymsknęły mu się z rąk i pozwolił im upaść na podłogę. Baron schylił się, aby je pozbierać, a Salietti, rozplywając się w przeprosinach, jedną ręką zbierał karty, a drugą macał po stole. Otworzył mały kuferek, w którym miał być klucz od alkowy, gdzie zamknięto córkę Gurielfa Laboxa. Nie znalazł go jednak.

Gdy karty zostały zebrane, baron zaczął oglądać jedną po drugiej z wyraźną ciekawością.

- Jesteście wróżbitą? - spytał, napawając oczy pięknymi malunkami.

- Przewidywanie przyszłości jest moją wrodzoną umiejętnością i od dziecka poświęcam się jej rozwijaniu - stwierdził Salietti, w duchu śmiejąc się ze swoich wymysłów.

- Skąd macie te karty? - spytał sucho baron.

- Kupiłem je od handlarza starożytnościami w Wenecji, gdzie przebywałem ubiegłej jesieni. Handlarz wytłumaczył mi ich znaczenie. Zdaje się, że zostały odnalezione wraz z pergaminem opisującym ich działanie w ruinach pewnej nekropolii w jednym z tych dalekich krajów, gdzie panuje zwyczaj chowania zmarłych wraz z ich kosztownościami i dobytkiem. Handlarz zapewnił mnie, że posiadają niewytłumaczalną moc. Pozwalają widzieć dalej, niż sięga wzrok i wyprzedzać czas. Jeśli chcecie, pokażę wam, jak należy rozumieć ich mowę.

Twarde dłonie barona bawiły się kartami, jakby chciał przyzwyczaić się do ich dotyku. Przez chwilę nic nie mówił, walcząc z fascynacją, jaką budził w nim ten egzotyczny prezent.

- Jesteście pewni, że to dobra metoda, aby przewidywać przyszłość?

- Nie tylko przyszłość, baronie. Karty pozwalają widzieć także przeszłość - zdecydowanie stwierdził Salietti. - Usiądźmy. Pozwólcie, abym wam to udowodnił.

Figueltach de Vokko i Salietti zasiedli przy stole, przy którym baron zwykł załatwiać codzienne sprawy ze swymi wasalami. Nad głowami siedzących jarzyło się światło pochodni, rzucając migotliwe cienie na ściany pokoju.

Salietti rozłożył dwadzieścia dwie karty na stole, tworząc cztery poziome rzędy po pięć kart. Pozostałe dwie karty umieścił na środkowej pozycji, jedną nad rzędami, a drugą pod nimi. Karty leżały figurami do dołu, a więc widziane od góry wydawały się wszystkie jednakowe. Na koszulkach kart widniały dwa srebrne miecze, skrzyżowane nad zachodzącym słońcem w błękitnym, gładkim polu.

Baron był tak podniecony, że zapomniał o swych gościach, których powinien był pożegnać i zaprosić na spoczynek.

- Wybierzcie według waszej woli jedną z kart i podnieście ją - poprosił Salietti uprzejmie.

- Figueltach de Vokko wpatrywał się podejrzliwie w powierzchnię stołu, jakby poszukując jakiejś wskazówki, która pozwoliłaby mu wybrać jedną z kart, wyglądających zupełnie jednakowo i nic mu niemówiących. Na koniec zatrzymał się przy jednej z nich, zdecydowanym ruchem ręki podniósł i obrócił, kładąc ją na powrót w to samo miejsce.

- Zakochani! - wykrzyknął Salietti, widząc sylwetki kobiety i mężczyzny trzymających się za ręce w promieniach słońca. - Nie mogliście lepiej zacząć.

- Czyżby czekało mnie szczęście w miłości? - spytał oszołomiony baron.

- Bez wątplenia. To wspinała karta, która przyrzeka radość, powodzenie i namiętność. Choć wasze uczucie nie jest jeszcze odwzajemnione, co widzę z wyrazu zawodu

w waszych oczach, karta ta wielkim głosem krzyczy, że miłosne nieporozumienia rozwieją się bardzo szybko, ustępując pola dozgonnej miłości. W krótkim czasie osiągniecie pełni szczęścia.

Baron uśmiechnął się z zadowoleniem i wybrał drugą kartę. Był to pięknie wymalowany obrazek piramidy z wierzchołkiem rozszczepionym piorunem. Widok karty wywołał u Saliettiego wyraz głębokiego namysłu na twarzy. Ponieważ nie odezwał się ani słowem, baron zniecierpliwiony zapytał:

- Cóż widzicie?

Salietti wydawał się pogrążony w transie i odpowiedział dopiero po dłuższej chwili, bardzo tajemniczym głosem:

- Widzę, że ziemia zatrzęsie się w posiadach pod ciosami waszego miecza, który jak błyskawica porazi niezdobyte wieże i mury. Widzę was, jak zwycięsko wychodzicie z trzech okrutnych bitew, które zmieniają bieg historii. Przeszłość będzie jedynie wyblakłym wspomnieniem, w porównaniu z blaskiem chwały, jaki was otoczy. A teraz wybierzcie inną kartę, która będzie odległa o co najmniej dwa rzędy, w którąkolwiek stronę, od pierwszej karty, i pokażcie mi ją.

Baron, z twarzą opromienioną wyrazem szczęścia podniósł i odwrócił trzecią kartę. Ujrzał na niej koło od wozu, a wokół niego różne dziwne i niezrozumiałe znaki. Salietti wyprzedził jego pytanie i powiedział:

- To Koło Fortuny. Wydaje się, że tej nocy szczęście wam sprzyja.

- A jakie jest jego znaczenie? - chciał natychmiast dowiedzieć się Figueltach de Vokko.

- Wyraz twarzy Saliettiego sugerował, że ma coś dobrego do powiedzenia.

- Czegoś szukacie z uporem. Czegoś, co jest ukryte przed waszymi oczami. Czegoś, czego przed laty niesłusznie wam odmówiono. Nie wiem - zawahał się. - Być może to chodzi o skarb... Nie! - Salietti potrząsnął przecząco głową, po długim i głębokim namyśle. - Myślę, że to coś jeszcze bardziej cennego...

- Bardziej cennego, niż skarb? - spytał baron zduszonym głosem, nie zdoławszy ukryć napięcia.

- Tak, to coś, co wielu ludzi pragnie posiadać. Wielu tego rozpaczliwie poszukuje, ale znaleźć mogą to jedynie nieliczni wybrańcy.

Baron dziko przewracał oczami.

- Powiedzieliście „wybrańcy”?

- Tak - gasnącym głosem potwierdził Salietti, jakby wróżenie odbierało mu siły. - Nie

wiem, kim są, ale ta karta mówi o nich wyraźnie. Tutaj: to jeden z tych niezrozumiałych znaków. Być może wy sami lepiej wiecie, o czym mówię. Postarajcie się sobie przypomnieć.

Baron usiłował sobie przypomnieć, ale nie wiedział, kim mieliby być wybrańcy. Przyszli mu na myśl jedynie templariusze.

- Widzę! Teraz widzę wyraźnie - krzyknął Salietti z przejęciem, na nowo przyciągając uwagę barona. - To, czego szukacie, jest doskonałe, jest najwspanialsze ze wszystkiego, co istnieje. To cudowny przedmiot, cenniejszy niż złoto.

- Czy znajdę go? - spytał baron wstrzymując oddech.

- Wybierzcie inną, dowolną kartę, w niej znajdziemy odpowiedź na wasze pytanie - powiedział Salietti, w duszy ciesząc się, że tak sprawnie idzie mu odgrywanie roli wróżbity.

Baron zastanawiał się dłuższą chwilę, którą kartę podnieść. Jego niezdecydowana dłoń krążyła nad stołem. Kiedy na koniec podniósł jedną z kart i obrócił ją, zobaczył na niej skrzyżowanie dróg w gęstym lesie. Jego fascynacja cudownymi kartami była coraz większa.

- Pozwólcie mi spojrzeć - Salietti podsycił atmosferę napięcia. Potem powiedział: - Mogliście wybrać dobrą drogę, ale wybraliście drogę oddalającą was od celu. A teraz widzę, że ogarniają was wątpliwości.

- Ale powiedzcie, czy odnajdę skarb? - baron nalegał gwałtownie, wierząc już bez zastrzeżeń we wszystko, co powie mu fałszywy wróżbita.

- Niestety. Przykro mi stwierdzić, że nigdy go nie znajdziecie, bo skarbu tego nie ma tam, gdzie się go spodziewacie znaleźć, ani też w żadnym innym miejscu, gdzie go będziecie szukać.

- Zniszczę ich zamki i zajrzę do każdej, najmniejszej dziury. Już ja pokażę tym przeklętym templariuszom! - krzyknął baron, doprowadzony do pasji.

- Nie bardzo rozumiem, o czym mówicie, ale wybierzcie inną kartę, jeśli chcecie się dowiedzieć czegoś więcej o waszej przyszłości - powiedział Salietti.

Ręka Figueltacha de Vokko zawahała się w powietrzu i opadła zdecydowanie na ostatnią kartę w drugim rzędzie, jakby baron chciał wreszcie zakończyć z fatalnymi wyrokami losu.

- Zły omen wmieszał się w wasze przeznaczenie - wymruczał Salietti z tajemniczym wyrazem twarzy.

- Cóż to znaczy? Wyjaśnijcie - zażądał baron, marszcząc brwi.

- To karta wojny i spustoszenia. Musicie wystrzegać się niebezpieczeństw. Zapowiadają się straszliwe bitwy, które pozostawią po sobie pola pełne trupów. Chociaż widzę też, że będziecie mieli do dyspozycji liczne wojska.

- Ponad piętnaście tysięcy ludzi - stwierdził aroganckim tonem baron.
- A jednak widzę tu niewielu jeźdźców - zauważył Salietti, żeby go wybadać.
- Pięć tysięcy pieszych i ponad pięciuset konnych już udało się w kierunku północnej granicy, aby tam oczekiwać na sygnał do walki. Czyżby wydawało się to wam niewystarczającą siłą do zniszczenia zamków Kamiennego Kręgu?
 - Przeczuwam, że coś więcej, niż tylko siła zbrojna, będzie potrzebne do osiągnięcia celu.
 - Będziemy też mieli maszyny wojenne, jakich tu jeszcze nie widziano i grupę najemników z południa, którym nie oprą się żadne skały ani mury.
 - Weźcie teraz ostatnią kartę, być może ona rozproszy mroki, w których jesteście pogrążeni. Wybierzcie rozważnie i róbcie, co wam serce dyktuje - polecił Salietti.
- Baron gniewnym gestem podniósł ostatnią kartę, leżącą samotnie na dole rzędów i z przerażeniem ujrzał, że pod postacią drwiąco uśmiechniętego kościotrupa wymalowany był na niej obraz Śmierci.

Kopie i miecze

Następnego ranka Grimpow szczerze ucieszył się na widok Saliettiego leżącego na pryczy.

- Gdzie się podziewałeś? Gdy kładłem się spać, nadal cię nie było - spytał, przeciągając się.

- To była długa noc, ale wierz mi, bardzo pożyteczna - powiedział szeptem Salietti. - Zjadłem obfity posiłek i spędziłem parę godzin z baronem, rozmawiając o jego przyszłości i planach wojennych. Część wojsk zgromadzono już na północnej granicy, gdzie czekają na resztę konnych, z którymi baron wyruszy zaraz po zakończeniu turnieju. Niemal z miejsca udało mi się zdobyć jego zaufanie i powiedział mi o paru ważnych sprawach. Nie zdołałem natomiast znaleźć klucza od alkowy, w której zamknął córkę Gurielfa Laboxa. Chciałbym, abyś mógł widzieć wyraz twarzy Figuelta de Vokko, podczas gdy opowiadałem mu dyrdymały o jego przyszłości i o cennym przedmiocie, którego szuka i nie może znaleźć!

- Rozmawiałeś z nim o sekrecie mędrców? - spytał Grimpow, myjąc twarz w cebrzyku.

- Tak jak teraz z tobą rozmawiam. Spytał mnie, czy prędko go odnajdzie.

- I co odrzekłeś?

- Powiedziałem mu prawdę: że nigdy go nie znajdzie, bo nie ma go tam, gdzie szuka, a ponadto obrał złą drogę. Ale to jeszcze nic, najprzyjemniej było popatrzeć, jak jego okrutna twarz pobladła jak wosk, gdy sam z własnej woli wybrał kartę śmierci.

- Kartę śmierci? - powtórzył pytająco Grimpow.

- Tak. To karta, która może mieć różne znaczenia, w zależności od tego, co przyjdzie na myśl wróżbicie. Powiedziałem baronowi, że oznacza niepewność i że grozi mu śmierć na wojnie. Tu akurat nie skłamałem.

- Nie rozumiem.

- Jeśli uderzy na zamki Kamiennego Kręgu jego śmierć jest pewna. Żadne wróżby ani tajemne siły nie będą w stanie odwrócić wyroku losu.

- Nie tylko tobie się powiodło. Mnie też wczoraj wieczorem udało się dowiedzieć różnych ciekawych rzeczy w kuchni - powiedział Grimpow zrozumiście.

- Cieszę się, że nie traciłeś czasu, podczas gdy ja narażałem życie, zwodząc barona.

Przekazałeś wiadomość Guishvalowi, jak cię prosiłem? - dopytywał się Salietti, zakładając podróżny ubiór i pozostawiając galowy strój na wieczór.

- Chodźmy coś zjeść, ja nie napchałem się wczoraj tak jak ty i kiszki mi piszczą z głodu. Opowiem ci wszystko po drodze.

Gdy szli na śniadanie, Grimpow złożył Saliettiemu relację z poczynań ubiegłej nocy. Najpierw opowiedział, jak poszukiwał Guishvala w stajni i odnalazł go w towarzystwie innych młodych służących, gdy raczyli się ukradkiem piwem, udając, że zajmują się końmi.

- Kiedy mnie zobaczył, bardzo się ucieszył. Wręczyłem mu złote ziarno i powiedziałem, czego się spodziewasz w zamian. Guishval w mgnieniu oka schował złoto, ale potem stwierdził, że będzie bardzo trudno doręczyć wiadomość, bo przy drzwiach córki Laboxa dniem i nocą stoi strażnik, uprzedzony, że własnym życiem odpowiada za to, żeby nikt nie wszedł i nie wyszedł z komnaty. Wpadłem wtedy na pomysł, że przecież uwięziona musi coś jeść i spytałem, kto nosi jej jedzenie. Guishval odpowiedział, że robi to zawsze jedna służąca, która też szykuje posiłki w kuchni. On ją dobrze zna i powiedział, że za nic w świecie nie sprzeciwiłaby się rozkazom barona, nawet gdyby jej dawano worek złota. Dodał jednak, że jeśli się odważy ukryć wiadomość w koszyku z jedzeniem, zagadnie służącą i odciągnie jej uwagę. Potem jakiś czas wałęsaliśmy się po kuchniach i Guishval opowiadał mi o swoim ojcu, który jest sokolnikiem i o tym, że sam też zna się doskonale na drapieźnym ptactwie. Nie spuszczałem oka z koszyka, który czekał na stole, aż wreszcie przysłała zaufana barona, duża i gruba kobieta, o czerwonej, złośliwej twarzy i zaczęła szykować jedzenie: kromkę chleba, rybę, ser i dzbanek wody. Kiedy służąca już miała wychodzić, Guishval podszedł do niej i czymś ją zajął, a ja skorzystałem z okazji i włożyłem pergamin do koszyka.

- A gdzie go schowałeś? - spytał Salietti, obawiając się o los wiadomości.

- Wrzuciłem go do dzbanka z wodą.

- Wrzuciłeś go do wody! - krzyknął Salietti z przerażeniem, zwracając na siebie uwagę przechodzących obok rycerzy.

- Wydawało mi się, że to najlepsze miejsce - powiedział Grimpow zniżając głos. - Litery napisane węgielkiem nie rozpuszczają się w wodzie - wyjaśnił.

- Mogłeś go ukryć pod chlebem - mruknął Salietti.

- Też o tym pomyślałem, ale potem doszedłem do wniosku, że dziewczyna jest w takiej rozpaczce z powodu śmierci ojca, że straciła apetyt i nawet nie tknie jedzenia - usprawiedliwiał się Grimpow.

Salietti zamyślił się.

- Może i masz rację; może pomysł nie był aż tak szalony. Pragnienia nie możemy stłumić, nawet gdy jesteśmy w rozpacz, a jeśli piła wodę, z pewnością znalazła wiadomość - przyznał.

Dotarli na dziedziniec przy stajniach, gdzie kilku służących rozdzielało pożywienie gościom. Wzięli parę kromek chleba i po kawałku pieczonego mięsa i odeszli w ką, aby spokojnie dokończyć rozmowę.

- Czego się jeszcze dowiedziałeś? - spytał Salietti, wgrzyzając się w pieczeń.

- Inkwizytor Bulvar z Goztell jest w twierdzy - powiedział Grimpow.

- Tak, wiem. Widziałem go wczoraj w sali herbowej; siedział po prawej ręce barona. Domyśliłem się, że to on, bo opisał mi go brat Rinaldo z Metzu zanim opuściliśmy opactwo. Nie sądzę, aby na świecie było wiele tak ponurych postaci jak ten ojciec dominikanin.

- Dowiedziałem się, że Gurielf Labox zmarł podczas przesłuchania, które prowadził inkwizytor. Został zamęczony na śmierć - dodał Grimpow, wbrew sobie zmuszony omawiać ten potworny temat.

- Jesteś pewien? - ze zgrozą zapytał Salietti.

- Wszyscy słudzy w zamku o tym wiedzą. Dowiedzieli się od strażników, którzy twierdzą, że w wieży słychać było okropny krzyk starca, a potem zapadła cisza. Następnego dnia wyciągnięto ciało i pochowano je obok lochów.

- Bulvar z Goztell jest mordercą! - Salietti z trudem powstrzymał się, aby nie krzyknąć tego zdania na cały głos, na zapełnionym rycerzami podwórku.

- Jeden ze służących powiedział mi, że był obecny przy kłótni ojca dominikanina z baronem. Inkwizytor zapewniał, że córka starca jest czarownicą i chciał także ją przesłuchać, ale baron się temu zdecydowanie sprzeciwił. To dlatego zamknął ją w alkowie w pobliżu swoich komnat. Wszyscy, którzy ją widzieli, byli zdumieni nadzwyczajną pięknnością dziewczyny. Złe języki plotkują, że opętała pana zamku za pomocą czarnej magii i zawładnęła jego duszą.

- Te plotki rozsiewa z pewnością sam inkwizytor Bulvar z Goztell. Usiłuje w ten sposób zmiękczyć barona i przekonać go do oddania dziewczyny w jego ręce - rozmyślał na głos Salietti.

- Myślisz, że Gurielf Labox zeznał na torturach, czego poszukiwał w kościele w Cornill?

- Sądzę, że nie, bo gdyby tak było, ojciec dominikanin byłby teraz tam, a nie tu.

- Ale przecież Gurielf Labox miał ze sobą pismo z papieską pieczęcią. Dlaczego więc inkwizytor go porwał i przesłuchiwał? - spytał Grimpow o coś, co już od dawna nie dawało

mu spokoju.

- To pismo było fałszywe - powiedział Salietti zwięźle, patrząc w ziemię. - A teraz idźmy po konie i po moją zbroję.

Grimpow chciał spytać Saliettiego, w jaki sposób udało mu się o tym dowiedzieć, gdy w tej samej chwili trębacze na wieży odegrali hejnał, a w dali, na błoniach, werbel ogłosił, że rozpoczyna się turniej.

Wielobarwne namioty rycerzy, ozdobione proporcami, herbami i wstęgami wyrosły na błoniach jak wielkie, kolorowe grzyby. Dziesiątki rycerzy w lśniących zbrojach szykowało się, aby wsiąść na koń, a ich wierzchowce niecierpliwie rżały i wierzgały kopytami. Nad murami zamku unosiła się lekka, przejrzysta mgiełka. Na trybunach, pod wspnianym baldachimem z purpurowego aksamitu, zasiedli baron Figueltach de Vokko i inkwizytor Bulvar z Goztell w towarzystwie najmożniejszych panów i najpiękniejszych dam Alzacji, aby przewodniczyć uroczystości. Goście komentowali między sobą, że wczorajsza uczta była wprost wspaniała, a niektórzy twierdzili, że to nic dziwnego, bo król Francji obficie zasilił skrzynie barona czystym, brzęczącym złotem. Baron obiecał podział łupów tym rycerzom, którzy przyłączą się do niego podczas wojny z zamkami Kamiennego Kręgu i mało było takich, którzy nie chcieliby skorzystać z przewidywanego, sutego zysku. Cała równina więc aż wrzała od rycerzy, gotowych do wykazania swych umiejętności we władaniu kopią i mieczem w gonitwach, z nadzieją, że zwrócą na siebie uwagę hojnego patrona. A jako że zwycięzcy przysługiwał wybór królowej turnieju, co młodszy rycerze mieli nadzieję uhonorować tym tytułem damę swego serca i zdobyć jej przychyłność.

Gdy Salietti z Grimpowem dotarli na miejsce, gonitwy jeszcze się nie zaczęły. Heroldowie wywoływali właśnie imiona i tytuły pierwszych przeciwników, a pozostali musieli poczekać na swoją kolej na ogrodzonej, wyznaczonej przestrzeni. Salietti wyglądał wspaniale w pięknej, nowej zbroi z warsztatu mistrza Ailgrupa z Ullpens. Grimpowowi wydało się zresztą, że dostrzegł płatnerza na trybunach, wśród zapelniających je setek twarzy. Tłum sługów, rzemieślników, mieszczan i chłopów zgromadzony na murach miasta, radosny, świątecznie przybrany i kolorowy, z niecierpliwością oczekiwał na rozpoczęcie widowiska.

Radosne wiwaty powitały hejnał ogłaszający pierwszą gonitwę. W szranki wjechało dwóch rycerzy, pyszniąc się barwami herbowymi widniejącymi na tarczach i na kapach, którymi okryte były konie. Na głowach mieli hełmy z wąskimi wizurami, a kopie o tępych końcach trzymali pionowo w górze. Ustawili się naprzeciwko siebie na dwóch krańcach szranków, opuścili kopie, ukłuli konie ostrogami i galopem rzucili się ku sobie, ścierając się

gwałtownie pośrodku pola, przegrodzonego niskim, drewnianym płotem, umieszczonym tam, żeby konie nie wpały na siebie. Uderzenie kopii było brutalne i jednemu z rycerzy udało się z miejsca zwalić przeciwnika z siodła. Rannego wyniosło z szranków kilku giermków, a zwycięzca, wśród okrzyków tłumu, podjechał do trybuny honorowej i wznosił swą kopię w górę na znak tryumfu. Na jego herbie widniał dwugłowy, niebiesko-czerwony orzeł. Następnie rycerz powrócił do swego namiotu, aby oczekiwać na drugą turę gonitw.

Kolejna para rycerzy wjechała w szranki, a po niej jeszcze inna i jeszcze, przy czym większość pojedynków kończyła się pierwszym starciem kopii. Za każdym razem damy obdarowywały zwycięzców pięknymi, jedwabnymi szarfami, a ci z dumą wiązali ceną zdobycz na końcach swych kopii.

Wśród tłumów zajmujących boki szranków Grimpow dojrzał Guishvala, do którego odczuwał żywą sympatię od chwili, gdy udało im się wspólnymi siłami przekazać córce Gurielfa Laboxa wiadomość od Saliettiego. Guishval zajmował dobre miejsce w środku, co pozwalało mu śledzić w szczegółach kluczowy moment starcia. Oklaskiwał każdego ze zwycięzców z niekłamanym entuzjazmem, jak giermek cieszący się z tryumfu swego pana. Grimpow pomachał do niego, a Guishval bez wahania opuścił swoje miejsce, jak gdyby nagle przypomniał sobie, że ma im coś ważnego do powiedzenia.

Przecisnął się pod ogrodzeniem placu, gdzie oczekiwali rycerze, popatrzył z podziwem na Saliettiego w pięknej zbroi i spytał, niemal dławiąc się z przejęcia:

- Widzieliście ją, panie?

Salietti się wzdrygnął.

- Kogo?

- Uwięzioną piękność. Jest tam, obok barona - powiedział, wskazując ku trybunie honorowej.

Salietti i Grimpow jednocześnie odwrócili głowy. Między baronem i kasztelanem siedziała młoda dama o czarnych włosach zebranych w tył i ozdobionych diademem. Wydawała się smutna i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Baron wydawał się tego nie zauważać i zadowolony z jej towarzystwa rozprawiał z ożywieniem, żwawo przy tym gestykulując.

- Jesteś pewien, że to ona? - spytał Salietti, nie dowierzając.

- Czyż znacie młodą damę piękniejszą od niej? Mówiłem, że równej jej nie znajdzie się w całej Alzacji, ani w całym królestwie Francji - powiedział z dumą Guishval.

Salietti zaczął głośno myśleć:

- Jeśli istotnie to córka Gurielfa Laboxa, oznacza to, że przeczytała moje słowa. Z

pewnością dlatego zgodziła się towarzyszyć baronowi podczas turnieju. Wie, że wiadomość znaleziona w dzbanku z wodą pochodzi od kogoś, kto chce jej pomóc, a jedynym sposobem na to, żeby opuścić alkowę było okazanie powolności życzeniom barona, nie zważając na ból po stracie ojca i na obecność na trybunie inkwizytora Bulvara z Goztell.

- Cieszę się, że mogłem być ponownie pomocny, panie - powiedział rozpromieniony Guishval.

- Dziękuję Guishvalu, nawet nie wiesz, ile ci zawdzięczam. Przypomnij mi potem, że jestem ci winny następne złote ziarno.

Guishval zaoferował Grimpowowi, że jeśli będzie chciał, wieczorem zabierze go do ptaszarni, aby mógł obejrzeć jastrzębie i sokoły barona. Już zabierał się do odejścia, kiedy w szranki wjechał następny rycerz.

- Strzeżcie się, panie, jego miecza - szepnął do Saliettiego.

Salietti spojrział w kierunku szranków i ujrzał groźną sylwetkę rycerza. Jego barwami były żółć i czerwień, na tarczy widniała wieża i skrzydło kruka, a klejnot na hełmie wyobrażał głowę ptaka. Wierzchowca od stóp do głów przykrywała żółta kapa ozdobiona czerwonymi tarczami herbowymi, spod której widoczne były jedynie oczy zwierzęcia.

- Kim jest ten rycerz? - spytał zaciekawiony Salietti.

- To straszliwy Valdigor de Rostvol. Opowiadają o nim historie mrozące krew w żyłach. Jest teraz prawą ręką barona i wielkim przyjacielem inkwizytora Bulvara z Goztell. Aby go wynagrodzić za wzięcie udziału w wojnie z zamkami Kręgu obiecali mu kupę złota, a nawet zamek diuka Gulfa po jego zdobyciu.

Valdigor de Rostvol zrzucił z konia swego przeciwnika z taką łatwością, jakby chodziło o stracha na wróble, a nie rycerza w ciężkiej zbroi. Pysznił się teraz swym tryumfem i barwami herbowymi, opuszczając szranki wśród okrzyków tłumu, pełnych podziwu spojrzeń innych rycerzy i zachęcających uśmiechów dam. Sam baron też okazał zadowolenie ze zwycięstwa swego poplecznika, natomiast Salietti zaczął się wiercić nerwowo w swojej zbroi, jakby zaraz miał dostać ataku choroby św. Wita, tej, która tak dokuczała Kensemui, słudze opactwa Brinkdum.

- Kiedy nadejdzie moja kolej? - spytał Grimpowa w tej samej chwili, gdy odtrąbiono początek następnej gonitwy.

- Jeszcze dwa starcia i będziesz mógł pokazać co potrafisz. Twoim przeciwnikiem jest ten rycerz, który wczoraj o mało mnie nie stratował. Ten, który kryje twarz za hełmem.

- Pomszczę tę zniewagę pierwszym ciosem kopii - powiedział Salietti ze śmiechem, nie spuszczać wzroku z pięknej damy, omdlewającej z melancholii u boku barona i

obdarzanej przez siedzącego z drugiej strony Bulvara z Goztell spojrzeniami pełnymi nienawiści.

Zanim zabrzmiało wezwanie, Salietti wsiadł na konia, pięknie przyozdobionego barwami herbowymi. Oba boki kapy podzielone były na kwadraty, a na nich na przemian widniało słońce na niebieskim polu i księżyc na czarnym. Przywdział srebrzysty hełm, ozdobiony klejnotem w kształcie słońca i pękiem złocistych nici i ujął w jedną rękę wierną tarczę, a w drugą kopię. Grimpow z miejsca poczuł głęboką dumę z tego, że jest giermkim tak wspaniałego rycerza.

Schwycił konia za uzdę i podprowadził go do wejścia w szranki. Heroldowie zapowiedzieli diuka Saliettiego de Estaglia i Salietti skierował wzrok ku trybunom, starając się odgadnąć z reakcji pięknej damy, czy jego imię jest jej znajome. Jednak ona niewzruszenie patrzyła przed siebie, na pustą jeszcze przestrzeń szranków, obojętna na obwieszczenia heroldów i panującą wokół wrzawę. Na głos hejnału Salietti i nieznajomy rycerz zajęli pozycje, a ich konie parskały niecierpliwie. Poszły w ruch ostrogi i rycerze, mierząc w siebie kopiami, śledząc się przez wąskie szczeliny w hełmach, ruszyli ku sobie galopem. Końce kopii uderzyły o tarcze z głośnym traskiem, poszły z nich drzazgi i kawałki drewna posypały się na boki, ale żaden z przeciwników nie spadł z siodła. Z ust tłumu wyrwał się jeden, głośny krzyk, a obydwaj rycerze zawrócili na miejsce.

Grimpow wręczył Saliettiemu nową kopię i w tej samej chwili spostrzegł, że twarz młodej damy zmienia wyraz, a jej oczy wpijają się w słońce i księżyc wymalowane na tarczy Saliettiego, jakby nagle zdała sobie sprawę z ich znaczenia i dostrzegła w nich światło nadziei. Salietti ściągnął wodze, a po chwili ruszył do przodu jak wichur. Tym razem jego tajemniczy przeciwnik miał mniej szczęścia, bo kopia Saliettiego odbiła się od jego tarczy i uderzyła go w głowę z taką siłą, że niemal oderwała mu ją od tułowia. Rycerz padł w tył, jak rażony piorunem. Grimpow zaczął skakać w górę z radości, Guishval wrzeszczał jak opętany, a piękna córka Gurielfa Laboxa poczuła, że wraca jej życie, gdy zwycięzca podjechał pod trybunę, zdjął hełm i poprosił, aby zawiązała szarfę na jego kopii.

Zwyciężony rycerz leżał nadal na ziemi i żaden z giermków nie spieszył się, aby mu pomóc. Grimpow podbiegł, zdjął mu hełm, aby ułatwić oddychanie, a kiedy twarz rycerza wyłoniła się spod hełmu, ze zdumieniem rozpoznał młodego Pobego de Lanforg, nowicjusza, który uciekł z opactwa.

- Jesteście ranni? - spytał.

Ale Pobé de Lanforg popatrzył na niego, jakby zobaczył widmo, zamknął oczy i zemdlął.

Po południu Saliettiinemu udało się zwyciężyć w kolejnej walce, mimo iż jego koń potknął się w decydującym momencie. Utrzymał się jednak w siodle i zapewnił sobie miejsce w drugim dniu turnieju, kiedy miał zostać wyłoniony jedyny zwycięzca.

Królowa turniejów

Wieczorem, na zakończenie pierwszego dnia turniejów, w sali herbowej odbył się kolejny bankiet. Baron Figueltach de Vokko wyglądał na wyraźnie zadowolonego z towarzystwa pięknej Weienell i konwersował z ożywieniem z Valdigorem de Rostvol i Bulvarem z Goztell o udanych gonitwach i przygotowaniach do wojny. W ich pobliżu krążył Salietti, szukając sposobności do pomówienia z córką Gurielfa Laboxa.

Grimpow natomiast spędził sporo czasu w ptaszarni, gdzie drzemały ubrane w skórzane kaptury ptaki łowne barona, podziwiając urodę sokołów, orłów i jastrzębi, które tresował ojciec Guishvala. Zaparło mu dech z przejęcia, gdy Guishval założył na prawą rękę grubą rękawicę z czarnej skóry i wyjął z klatki pięknego sokoła wędrownego, po czym zdjął mu kaptur, aby Grimpow mógł obejrzeć jego piękne, bystre oczy koloru miodu.

- To mój ulubieniec - powiedział Guishval, głaszcząc delikatnie pióra ptaka. - Kiedy skończą się turnieje wypuścimy go z najwyższej wieży, żebyś mógł zobaczyć, jak lata - dodał.

Sokół poruszył się nieufnie, gdy Grimpow zbliżał rękę, ale dał się pogłaskać po głowie, grzbiecie i długich, ostro zakończonych skrzydłach. Grimpow zawsze marzył o tym, że kiedyś oswoi drapieżnego ptaka i poczuł się szczęśliwy i odprężony w towarzystwie Guishvala, którego uznał za przyjaciela. Od dawna nie miał okazji obcować z kimś w swoim wieku, kimś, kto był taki jak on sam, zanim znalazł kamień zmarłego rycerza. Młodym, wesołym, żwawym, zabawnym i przekornym chłopcem. Chłopcem, który nie umiał czytać ani pisać, który nigdy w swym życiu nie widział żadnego iluminowanego manuskryptu i nie znał imienia żadnego uczonego, lecz za to śmiał się często i cieszył z tej prostej przyczyny, że żyje. Grimpow pomyślał, że teraz ma powody do radości, bo nieoczekiwanie spełniły się jego dziecięce marzenia. Był giermkim, miał swego pana, Saliettiego de Estaglia, i wspólnie brali udział w turniejach. Pragnął, żeby jego pan zwyciężył i uzyskał prawo wyboru królowej turnieju i to zaprzętało jego myśli, dzięki czemu wreszcie mógł na jakiś czas zapomnieć o kamieniu i o poszukiwaniach sekretu mędrców.

Chłopcy wyszli ze stajni na przyległy dziedziniec, gdzie gromadka giermków zabawiała się strzelaniem z łuku do oskubanego kurczaka, dyndającego na sznurku

przywiązany do belki. Grimpow przyłączył się do zabawy i wygrywał wszystkie zakłady, a młodzieńcy patrzyli z niedowierzaniem, jak raz po razie trafia do celu.

- Gdzie się nauczyłeś tak dobrze strzelać? - spytał jeden z giermków, piegowaty blondas.

- W górach, polując na króliki - odpowiedział obojętnie Grimpow.

- Sądzę, że byłbyś dobrym łucznikiem. Nie myślałeś nigdy o tym, żeby się zaciągnąć?

- Baron z pewnością chętnie by cię widział w swoim doborowym oddziale łuczników - dodał inny giermek, o orlim nosie i oczach bez wyrazu.

- Jestem giermkim, nic innego nie umiem - powiedział Grimpow, podnosząc łuk. Napiął go i mierząc uważnie puścił cięciwę. Strzała z odgłosem przypominającym świst bata przecięła powietrze i wbiła się w pierś kurczaka.

- Jeśli nauczysz się władać kopią i mieczem tak sprawnie, jak łukiem, masz szansę zostać rycerzem. Ja też mam nadzieję, że z pozwoleniem mego pana z czasem nim zostanę - powiedział blondyn.

- Pomyślę o tym - mruknął bez przekonania Grimpow, wyciągając rękę po groszaki, które wygrał od tych naiwnych, którzy sądzą, że nie trafi do celu z odległości stu kroków.

Chłopak o smutnych oczach i orlim nosie na próżno starał się dokonać tego samego wyczynu. Spudłował i sprowokował tym swych kolegów do wybuchów śmiechu.

- Słyszałeś o zbliżającej się wojnie? - spytał Grimpowa, nie zważając na objawy radości swych towarzyszy.

- Myślę, że tyle samo, co i wszyscy - odrzekł Grimpow.

- Ja tam nie wierzę w tę historię o wspaniałym skarbie templariuszy - wtrącił się inny z giermków, wysoki i puciołowaty.

Grimpow nadstawił z ciekawością uszu.

- Co to za historia? - spytał, udając całkowitą nieświadomość. Oddał łuk jego właścicielowi i usiadł na pobliskim stosie kamieni.

- Ludzie mówią, że jacyś rycerze z zakonu templariuszy przed wieloma laty znaleźli w Ziemi Świętej wspaniały skarb i ukryli go w twierdzy diuka Gulfa de Östemberg - wyjaśnił dryblas. Po czym zniżył głos i dodał: - Baron Figueltach de Vokko chce zdobyć ten skarb i to dlatego wyruszy zdobywać zamki Kamiennego Kręgu, jak tylko turniej się skończy. To dlatego tu wszyscy jesteśmy i dlatego straszliwy Valdigor de Rostvol, o którym zresztą krążą plotki, że był kiedyś templariuszem, sprzymierzył się z baronem.

- A ty skąd możesz to wszystko wiedzieć? - burknął Guishval.

- Słyszałem, jak mój pan o tym mówił. Mówił także, że rycerz Valdigor de Rostvol

przysiągł na swój honor, że wygra w gonitwach i wybierze na królową turnieju tę piękną młodą damę, która jest u barona w niewoli. Podbiła serca wszystkich rycerzy i marzą o niej dniem i nocą - parsknął giermek, a reszta młodzieńców zachichotała porozumiewawczo.

- Valdigor de Rostvol jest samochwałą i nigdy w życiu nie uda mu się zwyciężyć mojego pana Salietiego de Estaglia! - krzyknął Grimpow.

- Założę się o co chcesz, że Valdigor de Rostvol strąci z konia twego pana przy pierwszym starciu kopii - odparł arogancko dryblas i wstał, aby pokazać, że znacznie przewyższa Grimpowa wzrostem.

Grimpow chciał coś odpowiedzieć, ale giermek podszedł bliżej i pchnął go w pierś, przewracając na stertę końskiego łajna.

- Możesz sobie dzielnie poczynać z łukiem, ale gdy przychodzi do walki na pięści, jesteś zwykłym tchórzem - splunął na ziemię lekceważąco.

Grimpow zacisnął pięści, podniósł się i z wściekłością skoczył na zuchwalca. Zwarli się gwałtownie i upadli na ziemię. Pozostali chłopcy otoczyli walczących kołem, śmiejąc się i pokrzykując, a Guishval na próżno starał się przerwać nierówną walkę. Na szczęście w tej samej chwili przechodził obok młody rycerz i widząc szamotaninę giermków, postanowił położyć jej kres.

- Pobé! - krzyknął Grimpow, widząc nad sobą znaną twarz, zamiast wykrzywionej wściekłością twarzy przeciwnika.

Pobé de Lanforg, nowicjusz, który uciekł z opactwa Brinkdum, zeszywniał słysząc swoje imię. Przyjrzał się uważnie jednemu z leżących na ziemi młodzieńców i, rozpoznając go, powiedział z niedowierzaniem:

- Grimpow! To ty!

Grimpow nie odpowiedział, skinął tylko głową.

- A cóż ty tu robisz, zaplątany w tę plebejską bijatykę? - spytał Pobé de Lanforg, jeszcze nie dowierzając swym oczom.

- Zabawialiśmy się tylko - odpowiedział Grimpow, patrząc z ukosa na swego przeciwnika i pozostałych chłopców, którzy onieśmieleni interwencją rycerza, odeszli na bok bez słowa.

- Tak mi się właśnie wydawało, że cię widzę w szrankach, po tym, jak spadłem z konia. Jednak kiedy doszedłem do siebie w namiocie, gdy cyrulik puszczał mi krew, pomyślałem, że to było złudzenie wywołane silnym ciosem w głowę - zaśmiał się Pobé.

- To byłem ja, z krwi i kości - dodał Grimpow, śmiejąc się także i otrzepując z kurzu.

Dawny nowicjusz, a obecnie rycerz Pobé de Lanforg, odstał na krok, aby zmierzyć

wzrokiem Grimpowa od góry do dołu.

- Ale jak to możliwe? Nadal nie mogę w to uwierzyć! Myślałem, że już nigdy w życiu się nie spotkamy!

- Los nie chciał, abyśmy szli tą samą drogą, ale doprowadził nas w to samo miejsce.

- Chodź, opowiesz mi, co się działo w Brinkdum, gdy opat i brat Rinaldo z Metz odkryli, że niegrzeczny nowicjusz Pobé de Lanforg dał dyla z opactwa - powiedział Pobé, obejmując Grimpowa ramieniem.

Poszli w kierunku wieży i Grimpow rozpoczął barwną opowieść o nieznanym Pobemu wydarzeniach.

- Większość mnichów i nowicjuszy, z kucharzem na czele, sądziło, że zamordował cię duch rycerza błakający się po górach. Tylko opat i brat Rinaldo natychmiast się domyślili, że uciekłeś zabierając konia, którego brakowało w stajniach. Kiedy wyjaśniłem bratu Brasgdo, że chcesz się poświęcić rycerskiemu rzemiosłu i zakosztować rozkoszy miłości, nazwał cię wyrzutkiem - powiedział, śmiejąc się do rozpuku. - Potem opowiedział mi o tym, jak surowym ojcem jest diuk de Lanforg i zapewnił, że wkrótce wrócisz do opactwa, solidnie wygrzmocony kijem za twe nieczne sprawki.

- Ojciec przebaczył mi w końcu wszystkie szaleństwa, chociaż nie zgodził się na to, abym towarzyszył jemu i moim starszym braciom na turnieje. Wybierali się do twierdzy barona, aby przyłączyć się do niego i wspólnie uderzyć na zamki diuka Gulfa, gdzie kryją się templariusze. Jednak z pomocą starego sługi mojej matki, który zawsze odczuwał do mnie słabość, udało mi się ukradkiem załadować starą zbroję na jeden z wozów i samemu ukryć się na drugim. To dlatego nie chciałem, żeby mnie rozpoznano, zanim nie udowodnię mojej rodzinie, że mogę walczyć jak prawdziwy rycerz. Mój ojciec, który siedział na trybunie w pobliżu barona, odkrył mój podstęp po tym, jak zostałem pokonany w gonitwie. Teraz szczytę się mną podobnie, jak resztą moich braci - zakończył opowieść.

- A więc ty także weźmiesz udział w wojnie? - spytał Grimpow.

- Tak. Będę mógł spełnić moje marzenie i mieczem dowieść rycerskiego zapалу - uroczyście wydeklamował młody Pobé, chwytając za rękojeść miecza przytroczonego do pasa. - A co się dzieje z tobą? Nadal nie wiem, co robisz w twierdzy.

Przez dłuższy czas wędrowali po słabo oświetlonych dziedzińcach i Grimpow opowiedział młodemu rycerzowi, jak poznał swego pana, Salietiego de Estaglia.

- Rycerz Salietti wybierał się na wiosenne turnieje do Alzacji, więc postanowiłem z nim wyruszyć. Potem zamierza przyłączyć się do wojsk barona i wziąć udział w wojnie - powiedział, niechętnie mijając się z prawdą.

- To oznacza, że będziemy mieli okazję się widywać. Jeśli zaś będziesz chciał zmienić pana, nie zapominaj, że nadal pragnę, abys został moim giermkim - powiedział Pobé de Lanforg z zapalem.

- Będę o tym pamiętał - obiecał Grimpow, którego niespodziewanie ogarnęła nostalgia, wywołana wspomnieniami z opactwa.

Doszli do wejścia do donżonu, w którym mieściła się wielka sala herbowa, gdzie odbywał się bankiet. Rycerz Pobé już chciał się pożegnać, gdy nagle coś sobie przypomniał i rzucił:

- Aha! Pamiętasz inkwizytora Bulvara z Goztell, tego dominikanina, który przybył do opactwa w poszukiwaniu templariusza, który poderżnął gardło opatowi z Brinkdum?

- Tak, wydawało mi się, że widzę go na trybunie u boku barona podczas gonitw - mruknął Grimpow gasnącym głosem.

- Miałem okazję z nim rozmawiać. Kiedy mu powiedziałem, że byłem nowicjuszem w opactwie Brinkdum wydawał się bardzo zadowolony z poznania mnie i zadawał mi mnóstwo pytań o mnichów i ich zwyczaje. Wypytywał zwłaszcza o brata bibliotekarza Rinalda z Metzu, o którym powiedział, że jest przeklętym heretykiem, którego pewnego dnia spali na stosie.

- To oszczerstwo, na które brat Rinaldo nie zasłużył! - oburzył się Grimpow.

Młody rycerz de Lanforg zmieszał się, słysząc z jaką determinacją Grimpow broni mnicha.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak możesz go darzyć sympatią. Tak czy owak, powiem ojcu dominikaninowi, że tu jesteś, bo z pewnością będzie chciał z tobą porozmawiać - powiedział.

Grimpow przeraził się, słysząc o zamiarach Pobego.

- Lepiej tego nie rób. Ja także uciekłem z opactwa bez pozwolenia i nie chciałbym, aby inkwizytor zmusił mnie do powrotu do Brinkdum - usprawiedliwił się.

- Masz rację. Z pewnością kazałby ci wrócić i szpiegować mnichów - powiedział Pobé de Lanforg ze śmiechem. - Muszę już iść. Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy.

I odwracając się na pięcie, rycerz Pobé de Lanforg przekroczył bramę wieży, gdzie chichocząc i mizdrząc się czekały na niego dwie młode damy, piękne jak syreny, które Grimpow oglądał w zakazanej książce w opactwie Brinkdum.

W wielkiej sali herbowej grupa trubadurów w pięknych nakryciach głowy przybranych długimi piórami grała słodkie pieśni na gęślach, wiołach, cymbałach i fletach, a panowie i

damy płaśali w ich rytm.

Salietti przez cały wieczór nie spuszczał oka z pięknej Weienell i z barona, czekając na nadarzącą się okazję. Nareszcie, gdy córka Gurielfa Laboxa przez chwilę pozostała sama, podszedł, skłonił się i wyciągając do niej rękę, co stanowiło zaproszenie do następnego tańca, bez ogródek wypalił:

- Magii poszukaj w gwiazdach...

- I czarów w pełni księżyca - odpowiedziała Weienell, rumieniąc się. Była zaskoczona nieoczekiwanym wystąpieniem nieznanego kawalera, jednak pojęła natychmiast, że ma przed sobą autora wiadomości ukrytej w dzbanku wody.

Włosy dziewczyny były surowo szesane z czoła i związane w węzeł na karku, ale na skroniach widać było parę niesfornych loczków, dodając miękkości spojrzeniu. Jej oczy były koloru szmaragdów, a w pełnych ustach kryła się obietnica pocałunków słodkich, jak czereśnie. Głos miała łagodny, jak letni wiatr, lecz pod delikatną powierzchownością można było wyczuć wolę silną, jak mury twierdzy. Wystarczyła ta jedna, magiczna chwila, aby Salietti pograżył się w wizjach, w których mieszały się kolorowe motyle, pocałunki, światło księżyca i latarenki świetlików.

- Już jutro będziecie na wolności, o pani - szepnął, okrążając ją dumnie w tańcu, jak bażant w zalotach.

- Kim jesteście, mój panie? - spytała dziewczyna, uśmiechając się uprzejmie, aby pokryć oszołomienie, w które wprawiał ją taniec.

- Uważajcie mnie, proszę, za dobrego przyjaciela, który boleśnie odczuł śmierć waszego ojca - powiedział Salietti ze wzruszeniem, czując delikatny dotyk dłoni Weienell w swojej.

- Jak brzmi wasze imię?

- Jestem Salietti de Estaglia.

Oczy dziewczyny zapęłniły się łzami, które rozbłysły, jak gwiazdy na nocnym niebie.

- Błagam, powstrzymajcie łzy - poprosił Salietti. - Nikt się nie może domyślić, że chcę wam pomóc.

- Jakim sposobem? Baron nie pozostawia mnie samej nawet na chwilę, a w nocy u drzwi alkowy stoi strażnik.

- To całkiem zrozumiałe. Strzeże was, jak najcenniejszego skarbu, o jakim może marzyć rycerz - powiedział Salietti z uśmiechem, niezdolny do ukrywania uczuć, które budziła w nim obecność Weienell.

- Stokroć wolałabym umrzeć, niż pozostać tu w niewoli - szepnęła Weienell,

spostzegając, że baron i inkwizytor z uwagą się im przyglądają.

- Musicie udawać, że towarzystwo barona jest wam miłe i towarzyszyć mu jutro podczas turnieju. Ja zajmę się resztą - z wielką pewnością siebie zakończył rozmowę Salietti.

- Uważajcie na siebie, panie, kimkolwiek jesteście - szepnęła Weienell, składając lekki ukłon kończący taniec.

Salietti już chciał odchodzić, ale zanim zrobił choć krok, Figueltach de Vokko i Bulvar z Goztell znaleźli się tuż obok nich.

- Pozwólcie, chciałbym was przedstawić legatowi papieskiemu i inkwizytorowi z Lyonu, Bulvarowi z Goztell, który zaszczycił turniej swoją obecnością - przemówił baron.

Salietti skłonił się na znak szacunku, a ojciec dominikanin podsunął mu do pocałunku dłoń ozdobioną kosztownym pierścieniem.

- Baron mówił mi dużo o was i o waszym szczytnym zamiarze przyłączenia się do krucjaty przeciwko buntowniczym templariuszom, którzy kryją się jak szczury w zamkach Kręgu - rzekł inkwizytor surowym głosem.

- Ja także wiele słyszałem o waszych dokonaniach. Wiem, że jesteście bezlitosnym tropicielem heretyków, których nie brak na tym świecie - beczelnie oświadczył Salietti, czując na sobie spojrzenie Weienell. - A teraz, za pozwoleniem, chciałbym odejść na spoczynek, bo jutro czekają mnie gonitwy - dodał, gotując się do odejścia.

- Poczekajcie chwilę! - powiedział baron, chwytając go bratersko za ramię i pociągając na bok.

- Czym mogę służyć? - spytał Salietti, który cierpł na myśl, że Weienell została sama z inkwizytorem.

- Wspomnieliście o mnie mojej damie? - spytał Figueltach de Vokko.

- Oczywiście, baronie. Radziłem jej, aby okazała posłuszeństwo i łagodność wobec tego, kto jest obecnie jej jedynym obrońcą - powiedział Salietti.

- Myślicie, że naprawdę mnie pokocha, jak to zapowiedziały wasze cudowne karty? - nalegał baron.

- Potrzebny jest czas. Śmierć ojca złamała jej serce, ale wkrótce dojdzie do siebie, porzuci smutek i odkryje wielką miłość swojego życia. Musicie starać się ją rozerwać i postarać się, aby jutro była obecna na turnieju. To pozwoli jej wyjść z letargu - rozprawił Salietti, w pełni świadomy dwuznaczności swych słów.

Inkwizytor Bulvar z Goztell nie słyszał rozmowy barona z Saliettim, ale i tak był święcie przekonany, że włoski rycerz nie jest tym, za kogo się podaje.

Następnego dnia rano na błoniach stał się jeszcze liczniejszy tłum żadny widoku turniejów. Była niedziela i ludzie z pobliskich wsi pozostawili dobytek i swe zwykłe zajęcia, aby całą chmarą przybyć w okolice szranków i zająć każdy kawałek miejsca, z którego mogliby podziwiać gonitwy. Trybuny i boki murów były przepelnione mężczyznami, kobietami, dziećmi i starcami. Między tłumem przewijały się gromady zonglerów, linoskoczków, kuglarzy, komediantów, błaznów i grajków, którzy zabawiali spóółstwo i szlachtę. Ludzie bawili się przednio: jedli i pili, śmieli się i śpiewali. Od czasu do czasu pojawiał się jakiś włóczęga lub kaleka prosząc o wsparcie, lecz wyrzucała go gwardia barona. Po każdej gonitwie nagradzano siłę lub spryt zwycięzcy brawami i wiwatami, podczas gdy zwyciężony zwlekał się z pola o własnych siłach, lub był wynoszony wśród wrzasku i gwizdów. Salietti wyszedł zwycięsko ze wszystkich walk i zdobył sobie serce publiczności zręcznym władaniem kopią, ale to popisy rycerza Valdigora de Rostvol budziły niezrównany, bliski szaleństwa, entuzjazm tłumy. Heroldowie ogłosili obydwóch najlepszymi rycerzami turnieju i nadeszła długo oczekiwana chwila ostatniego pojedynku, po którym miał pozostać tylko jeden zwycięzca.

Koń Saliettiego był wyczerpany i w ostatniej chwili postanowili go zastąpić Gwiazdą, białym koniem Grimpowa, którego ustroili w fałdzistą kapę pokrytą herbami diuka de Estaglia. Za chwilę miał się rozpocząć decydujący pojedynek.

- Nie boisz się, że Bulvar z Goztell rozpozna konia, którego schwytał w pobliżu opactwa Brinkdum, kiedy ścigał jego właściciela? - spytał zaniepokojony Grimpow.

- W tym przybraniu, które pokrywa mu ciało i głowę, nawet ty sam miałbyś z tym trudności - odpowiedział mimochodem Salietti, którego umysł był zajęty mglistymi rozważaniami. Nie tylko myślał o tym, jak zwyciężyć Valdigora de Rostvol i wygrać turniej, ale przede wszystkim, jak raz na zawsze uwolnić Weienell z brutalnych łap barona. Nie mówił jednak o tym chłopcu, aby go nie martwić.

- Nie miałem okazji wcześniej o tym powiedzieć, ale wczoraj spotkałem rycerza, którego zwyciężyłeś w pierwszym starciu, tego, który krył twarz, aby nikt go nie poznał. Nazywa się Pobé i jest synem diuka de Lanforg. Był nowicjuszem w opactwie Brinkdum, skąd udało mu się uciec na kilka tygodni przed twoim przybyciem - zaczął Grimpow.

Salietti poprawiał siodło na grzbiecie Gwiazdy.

- No i co z nim, tym nowicjuszem lub rycerzem, czy też kimkolwiek był? - spytał niecierpliwie.

- Był w opactwie Brinkdum, kiedy przybył tam inkwizytor Bulvar z Goztell i kazał zamordować opata - powiedział szeptem. - Kiedy się tu spotkali, Pobé de Lanforg przedstawił

się inkwizytorowi, a ten zaczął wypytywać go o opactwo i o mnichów. Interesował się zwłaszcza bratem Rinaldem z Metz, więc jest bardzo możliwe, że powiedział inkwizytorowi o tym, że ja też byłem w opactwie i studiowałem w towarzystwie starego bibliotekarza.

- Dlaczego o tym teraz wspominasz? - spytał Salietti, nie przejmując się zbytnio lękami Grimpowa.

- Bo właśnie zauważyłem, że Pobé de Lanforg siedzi na trybunie obok inkwizytora i obydwaj patrzą w naszą stronę, jak dwa sępy na zdobycz.

Salietti obrócił głowę w kierunku trybuny i ujrzał młodego rycerza pogrążonego w żywej rozmowie z papieskim legatem.

- Teraz i tak nie możemy nic na to poradzić - powiedział, nie pokazując po sobie, że drążą go obawy.

Pomyślał natomiast, że jeśli ojciec dominikanin ich podejrzewa, to nie tylko będzie musiał się zająć uwalnieniem Weienell od barona, ale i znaleźć sposób, aby samemu wraz z Grimpowem uniknąć rozpalonego żelaza Inkwizycji. I choć wyteżał umysł, nie znajdował dobrego wyjścia z sytuacji.

- Niezależnie od tego, co później się stanie, życzę ci, abyś zwyciężył w turnieju - powiedział wzruszonym tonem Grimpow.

- Zrobię, co w mojej mocy, drogi przyjacielu. Zrobię to dla ciebie i dla Weienell, choćby to miało być ostatnią rzeczą, jaką dane mi będzie uczynić w tym życiu. A teraz spełniaj swoje obowiązki giermka i pomóż mi wsiąść na Gwiazdę - rozkazał, lekko czochrając mu włosy swą okutą w stal dłonią.

Hejnał i werble rozległy się po całej okolicy, zapowiadając ostatnią gonitwę turnieju. Rycerze wjechali w szranki i herold ogłosił z pompą ich imiona i tytuły rodowe. Publiczność krzyczała w podnieceniu i biła brawa, podczas gdy obydwaj przeciwnicy stępa objeżdżali szranki, aby skłonić kopie przed gospodarzem turniejów, baronem Figueltachem de Vokko. Weienell ledwo udało się powstrzymać łzy, gdy zobaczyła rycerza, który obiecał, że uwolni ją z niewoli. W głębi serca przeczuwała, że coś ją z nim łączy od dawna, może od dzieciństwa, choć nie udawało jej się odszukać jego wspomnienia w pamięci.

Kiedy rycerze stanęli naprzeciw siebie ustała wrzawa i zapadła cisza tak głęboka, że można było usłyszeć ciężki oddech koni i metaliczne pobrzękiwanie zbroi. Wierzchowce parskwały i wierciły się niespokojnie, kopytami podnosząc z ziemi maleńkie chmurki pyłu, w oczekiwaniu na ukłucie ostróg, które miało pobudzić je do galopu.

Salietti de Estaglia ściągnął lekko wodze Gwiazdy, zebrał je, a potem ruszył w szaleńczym pędzie naprzeciw rywala, który w tym samym czasie mocno popędzał ostrogami

swego wierzchowca. Oczy wszystkich były wlepione w środkowy punkt szranków, tam, gdzie za chwilę miało nastąpić brutalne zetknięcie się kopii i tarcz. Valdigor de Rostvol dzierżył tak silnie swą broń, że po uderzeniu w tarczę Saliettiego jego kopia przełamała się na dwoje z głośnym trzaskiem, przypominającym odgłos, jaki wydaje drzewo rażone piorunem. Troje widzów w różnych miejscach szranków: Grimpow, Weienell i Guishval zamknęło z przerażenia oczy, obawiając się, że Salietti spadł z konia. Na szczęście jednak rycerz nie puścił strzemion i pewnie siedział w siodle, a jego kopia nadal była cała.

Już po chwili rycerze znajdowali się ponownie na wyjściowych pozycjach. Giermek Valdigora de Rostvol wręczył mu nową kopię. Żółto-czerwono przystrojony rycerz uchwycił ją i ruszył, brutalnie kłując ostrogami konia. Gwiazda zarżał z zapału i niecierpliwości. I znowu rycerze natarli na siebie w całym pędzie, i znowu kopie uderzyły w tarcze z łomotem. Tym razem Salietti wycelował tak sprawnie, że udało mu się zwalić z siodła Valdigora de Rostvol, który spadł na ziemię z potwornym brzękiem gnących się blach.

Wśród tłumu wybuchła szalona wrzawa, a Grimpow skakał do góry z radości i krzyczał tak głośno, że aż ochrypl. Jednak Valdigor de Rostvol, choć poobijany i potłuczony, porwał się z ziemi i z furią rzucił rękawicę, oświadczając, że chce się bić na miecze. Napięcie znów wzrosło, ustały krzyki i ponownie nad szrankami zapadła głęboka, pełna oczekiwania cisza. Salietti zsiadł z konia, podniósł rękawicę, przyjął wyzwanie i wyciągnął miecz z pochwy. Rozgorzała groźna walka. Salietti atakował, a Valdigor de Rostvol parował ciosy i nacierał z furią ranionego zwierzęcia.

Zażarty pojedynek wydawał się trwać bez końca. Obydwaj rycerze, choć u kresu sił, bez chwili oddechu, machinalnie, wymierzali sobie kolejne ciosy. Obydwaj broczyli krwią i starali się zadać jeden drugiemu decydujące pchnięcie, lecz każde usiłowanie było odpierane ze zdumiewającą energią. Aż Salietti postawił wszystko na jedną kartę i ze straszliwą siłą uderzył swoją Ateną w miecz przeciwnika, który pękł na dwoje. Rycerz Valdigor de Rostvol upadł na ziemię, jak marionetka, której przecięto utrzymujące ją w pozycji pionowej, niewidzialne nici.

Ucichła szlachetna publiczność i zamarło pospólstwo, widząc klęskę swego ulubieńca. Nikt nie przerywał ciszy, jedynie Grimpow wrzeszcząc, jak oszalały, rzucił się w kierunku szranków. Dobiegł do Gwiazdy, który stojąc spokojnie obwąchiwał ziemię, pogłaskał go i powiedział mu coś do ucha. Potem ujął go za wodze i doprowadził tam, gdzie stał Salietti. Wtedy ujrzał, że po ręce przyjaciela spływają strużki krwi.

- Jesteście ranni? - spytał, jak na giermka przystało.

- To nic, chłopcze, to nic - odparł Salietti słabym głosem.

Wsunął miecz do pochwy i podszedł do trybuny honorowej, gdzie zasiadał baron Figueltech de Vokko i legat papieski, Bulvar z Goztell.

Publiczność znowu ogarnęło podniecenie, wywołane oczekiwaniem na wybór królowej wiosennych turniejów w Alzacji. Co roku królowa turniejów była podejmowana jak prawdziwa bogini podczas trwających wiele dni uroczystości i zabaw, a jej wybór był tak ważnym wydarzeniem, jak święto dożynek kończące sezon zbiorów.

- Ogłaszam was, rycerzu Salietti de Estaglia, zwycięzcą turniejów. Wam przypada zaszczyt uwieńczenia damy, która będzie naszą królową podczas wiosennych świąt!

Rozległy się fanfary i werble, tłum przez chwilę wznosił okrzyki tryumfu, ale po chwili znów zapadła głęboka cisza.

- Wymówcie imię wybranej damy, której przypadnie zaszczyt zostania królową turniejów! - wyrzekł baron, wnosząc w obu rękach podniesionych w górę złotą koronę ozdobioną drogimi kamieniami.

- Szlachetny panie! Czyż mógłbym wybrać inną damę, niż tę, której piękność olśniła oczy wszystkich rycerzy biorących udział w turniejach, w tym, baronie, i wasze. Wybierając ją, mam nadzieję spełniać wolę wszystkich tu obecnych i ufam, że także wy będziecie dumni słysząc jej słodkie imię, które brzmi Weienell! - krzyknął Salietti, patrząc dumnie wokoło. Tłum, słysząc imię wybranki podchwycił je i okrzyki rozlegały się bez końca, jak echo.

Grimpow uśmiechnął się do siebie, widząc Saliettiego, który nadał się jak paw, rozkładający ogon na znak pychy. Jednak jego słowa były tak sensowne i pochlebne, że Figueltech de Vokko przyjął je za dobrą monetę. Pomyślał, że włoski rycerz i wróżbita po to mianował królową wiosennych festynów jego ukochaną, aby skłonić ją do przychylności i pozostania w twierdzy. Sama Weienell wydawała się zarówno wzruszona, jak oszołomiona wyborem.

- A więc podejdźcie i włożcie jej na głowę tę królewską koronę! - z zadowoleniem powiedział baron.

Salietti zdjął hełm, oddał go Grimpowowi, który stał obok z Gwiazdą, i wszedł na trybunę, wśród okrzyków entuzjazmu tłumu. Jednak w tej samej chwili inkwizytor Bulvar z Goztell krzyknął:

- Najpierw rycerz Salietti de Estaglia musi się wytłumaczyć, skąd wziął tego wierzchowca!

Znów zapadła cisza i wszyscy skierowali wzrok na konia, którego ojciec dominikanin wskazywał wyciągniętą ręką. Grimpow poklepał Gwiazdę, który wydawał się zaniepokojony słysząc głos straszliwego inkwizytora, tak jakby go rozpoznawał.

- Cóż to znaczy? - spytał baron, nie rozumiejąc, o co chodzi inkwizytorowi.

- Przekonacie się niezwłocznie, jeśli każecie zdjąć strój z tego konia - aroganckim tonem przemówił Bulvar z Goztell.

Salietti usiłował uspokoić Grimpowa i Weienell spojrzeniem, ale już jeden ze zbrojnych barona zbliżał się do Gwiazdy i, mimo protestów Grimpowa, ściągał kapę okrywającą ciało konia.

Tłum zaczynał się niecierpliwić, bo nie rozumiał nic z tego, co się nagle zaczęło dziać. Wtedy inkwizytor Bulvar z Goztell ponownie krzyknął:

- Tu macie dowód! Salietti de Estaglia jest... - ale zanim inkwizytor mógł dokończyć zdanie, rozległ się świst strzały wystrzelonej nie wiadomo skąd. Ostrze strzały, naglej jak piorun z jasnego nieba, wbiło się z siłą w pierś barona.

Na ten widok tłum ogarnął chwilowy paraliż. Baron runął na ziemię i wydawało się, że nie żyje. Wśród obecnych zapanował strach. Wszyscy obawiali się, że jeśli się poruszą, staną się celem kolejnych pocisków nadlatujących nie wiadomo skąd. Rycerze chwycili za rękojeście, lecz żaden nie wyciągnął miecza z pochwy, z obawy przed łucznikami, którzy mogli kryć się na blankach wież lub murach twierdzy.

Salietti też nie wiedział, skąd pochodziła strzała, która trafiła Figueltacha de Vokko, lecz natychmiast wykorzystał chwilę niepewności, wyciągnął sztylet i szybkim ruchem przystawił jego ostrze do gardła legata papieskiego. Przywołał swego konia świstem, a jednemu ze sług rozkazał podprowadzić stojącego w pobliżu konia Valdigora de Rostvol.

- Umiesz jeździć konno? - rzucił w kierunku Weienell.

Zamiast odpowiedzi, dziewczyna podkasła suknię i prosto z trybuny skoczyła na konia.

Grimpow przez chwilę nie rozumiał, co się dzieje, ale widząc Weienell na koniu, wskoczył na Gwiazdę i też był gotów do natychmiastowej ucieczki.

Przyciskając ostrze sztyletu do szyi inkwizytora, Salietti popchnął go i zmusił, aby wsiadł na konia. Na oczach oniemiałego i sparaliżowanego tłumu, obawiającego się strzał niewidzialnych łuczników, dosiadł się, chwycił lejce i zasłaniając się Bulvarem z Goztell, krzyknął:

- Nie ścigajcie nas, bo poderżnę gardło temu wieprzkowi!

Przyszedeł czas na wyjaśnienia

Pędzili galopem, w milczeniu zastanawiając się, kto mógł wystrzelić strzałę, która śmiertelnie raniła barona. Niedaleko od twierdzy drogę przecinała głęboka rzeka. Salietti zatrzymał konia na kamiennym moście, a Grimpow i Weienell poszli jego śladem, domyślając się, jaki jest cel postoju.

- Co chcecie, uczynić? - wyjąkał inkwizytor Bulvar z Goztell, trzęsąc się ze strachu.

- Mam nadzieję, że umiecie pływać - odparł Salietti i silnym pchnięciem zrzucił dominikanina do rzeki, jak gdyby pozbywał się worka odpadków. - A teraz śpieszmy się, bo dościgną nas żołnierze barona.

Zanim ruszyli, rzucili ostatnie spojrzenie na inkwizytora, który szamotał się w wodzie, z trudem utrzymując się na powierzchni. Zjechali na brzeg rzeki i puścili się wzdłuż jej nurtu, aby nie pozostawiać po sobie śladów.

Unikając dróg, dotarli w okolice Strasburga tuż pod wieczór. Na horyzoncie czerwieniało niebo, a Ren, znad którego unosiła się gęsta, szara mgła, przypominał parujący garnek z zupą. Zatrzymali się w załomie rzeki i zsiadli z koni. Weienell usiadła na wilgotnej murawie nad brzegiem, zakryła twarz dłońmi i długo oplakiwała śmierć swego ojca.

Salietti podszedł do niej, podał jej rękę, pomógł jej się podnieść i objął ją z wielką czułością.

- Twój ojciec był przyjacielem mojego ojca i obydwaj stracili życie, poszukując mądrości - szepnął jej do ucha. - Kiedy byłaś małą dziewczynką mieszkałem przez kilka lat w domu twoich rodziców w Paryżu i znośiłem z cierpliwością twoje psoty, bo lubiłaś przeszkadzać mi w nauce. Pamiętam dokładnie wasz dom, wypełniony starymi księgami, i noce, które spędzałem z twoim ojcem na obserwacji gwiazdzistego nieba nad Paryżem. Byłaś zbyt mała, aby to zapamiętać, ale twój ojciec zwykł wtedy mówić, że magię odnajdę w gwiazdach, a czary w świetle księżycy i że jeśli będę się w nie wpatrywał, zobaczę w nich swoje marzenia.

Weienell otarła oczy rękawem i popatrzyła na Saliettiego.

- Mnie także zwykł powtarzać te słowa co wieczór, kiedy kładłam się spać - powiedziała z lekkim uśmiechem, który przywrócił blask jej spojrzeniu. - To dlatego, gdy

znalazłam wiadomość w dzbanku wody, domyśliłam się, że ktoś bardzo bliski memu ojcu chce mi pomóc. Przez chwilę nawet miałam złudną nadzieję, że to on sam napisał te słowa i że nadal żyje. Ale nigdy w życiu nie domyśliłabym się, że to właśnie ty, ten chłopiec, który bawił się ze mną, gdy byłam dzieckiem, i którego imię całkiem wyleciało mi z pamięci, uwolni mnie od barona i od tego mordercy inkwizytora - wyszeptała i łkając rzuciła się ponownie w objęcia Saliettiiniego.

Grimpow także poczuł, że po policzkach ściekają mu łzy.

- Ktoś będzie musiał mi wreszcie to wszystko wytłumaczyć - powiedział, wzdychając.

- Mówiłem ci już, że to długa i pogmatwana historia, Grimpowie - rzekł Salietti. -

Usiądźmy tu, na tych skałach, bo przypuszczam, że ty i Weienell gorąco pragniecie ją poznać, więc najlepiej zacznę od razu, zanim zapadnie noc.

Usiedli w pobliżu rzeki, na porośniętych mchem skałach pod wysokimi wiażami.

- Mój ojciec nosił imię mojego dziadka, Iacopo de Estaglia - zaczął Salietti, widząc wpatrzony w siebie z ciekawością oczy Weienell i Grimpowa. - Dziadek życzył sobie, aby mój ojciec został dzielnym rycerzem i przywrócił niegdysiejszy blask zrujnowanemu rodowi de Estaglia z Piemontu. Jednak mój ojciec już od dzieciństwa czuł wielkie powołanie do nauki i wkrótce wyróżniał się wiedzą we wszystkich dziedzinach, od arytmetyki, poprzez fizykę i astronomię, do filozofii. Gdy skończył piętnaście lat, wbrew woli dziadka wyruszył do Padwy, aby rozpocząć studia na świeżo otwartym uniwersytecie, który nie podlegał wpływowi papieżstwa i cieszył się wolnością nauczania. Poznał tam mnicha, Uberta z Alessandrii, także pochodzącego z Piemontu. O jego przyjaźni z moim ojcem już ci opowiadałem w gospodzie w Ullpens - zwrócił się do Grimpowa. - Ojciec mój został uczniem mnicha i wspólnie odbyli wiele podróży, aż w Paryżu ojciec mój poznał tę, która została moją matką. Urodziłem się niedługo po tym, dano mi na imię Salietti i przenieśliśmy się do Lyonu, gdzie mój ojciec wykładał filozofię. Często zabierał mnie z wizytą do opactwa Brinkdum, gdzie brat Uberto schronił się przed Inkwizycją.

Grimpow przypomniał sobie, że także o tym powiedział mu Salietti, gdy rozmawiali o stuletnim, ślepym mnichu. Było to wtedy, gdy Grimpow zwierzył się ze swego podejrzenia, że brat Uberto był niegdyś powiernikiem kamienia.

- Ojciec ze mnie także chciał uczynić uczonego i gdy skończyłem czternaście lat wysłał mnie ponownie do Paryża, abym studiował u boku uczonego astronoma Gurielfa Laboxa, któremu powierzył opiekę nade mną - tu Salietti uśmiechnął się do Weienell. - Jednak gdy zdał sobie sprawę z tego, że z temperamentu bardziej przypominam swych przodków, niż jego, po dwóch latach odesłał mnie do dziadka, aby ten zajął się kształceniem

mnie w rycerskim rzemiośle. Nadal uczęszczałem na uniwersytet w pobliskiej Padwie, a po śmierci dziadka odziedziczyłem tytuł i rodowe dobra, z których zrezygnował mój ojciec.

Gdy doszedł do tego miejsca swej opowieści, Salietti przerwał ją i wtrącił:

- Opowiedziałem wam to wszystko dlatego, abyście mogli zrozumieć to, co potem nastąpiło i co jest w istocie najważniejsze.

- Pod koniec ubiegłej zimy - ciągnął Salietti - do mego pałacyku w księstwie Estaglia w Piemontie doręczono dziwny list. Nie był zapieczętowany, ani nie widniał na nim żaden znak, który wskazywałby, od kogo pochodzi. Pomyślałem, że to jakiś żart moich przyjaciół z Padwy, jednak okazało się, że napisał go brat bibliotekarz z opactwa Brinkdum, Rinaldo z Metz, w imieniu brata Uberta z Alessandrii, który, jak mi dobrze było wiadomo, nie mógł tego zrobić sam, gdyż już od dwudziestu lat był ślepy i unieruchomiony. W liście brat Rinaldo z Metz powiadał mi o śmierci mojego ojca w górach w pobliżu opactwa...

- A więc to twój ojciec był tym rycerzem, którego znalazłem martwego w górach? - spytał wstrząśnięty Grimpow.

- Tak, Grimpowie - przyznał Salietti z ubolewaniem. - Żałuję, że nie powiedziałem ci o tym wcześniej, ale zaraz zrozumiesz, dlaczego musiałem ci skłamać.

- A więc twój ojciec był powiernikiem kamienia! - krzyknął Grimpow, bliski omdlenia.

Wyraz twarzy Weienell, kiedy usłyszała słowo „kamień” wskazywał na to, że nie wie, o co chodzi, chociaż aż do tego miejsca wszystko dobrze rozumiała.

- O jakim kamieniu mówicie. Co ma wspólnego ten kamień z twoim ojcem i z moim? - chciała się dowiedzieć czegoś, o czym jej ojciec nigdy nie wspominał.

- Pozwólcie mi mówić dalej, a wszystko zrozumiecie - Salietti usiłował zaprowadzić spokój, który jego słowa zburzyły.

- W porządku, opowiadaj - zgodził się Grimpow, wyciągając jednocześnie z woreczka kamień i podając go Weienell, która ujęła go delikatnie w rękę, jakby był cennym klejnotem.

- Jak już mówiłem, brat Rinaldo z Metz powiadał mi o śmierci mego ojca i prosił, abym jak najszybciej przybył do opactwa Brinkdum, korzystając z tego, że śniegi stopniały. Pisał, że chce, abym zajął się sprawą szczególnej wagi. Wiedziałem, że na wiosnę w twierdzy barona Figuelta de Vokko odbywają się turnieje, a i tak miałem udawać się na północ, więc załadowałem na muła moją zbroję, bo zamierzałem poszukać sławy i fortuny przy okazji podróży do opactwa. Wyruszyłem natychmiast po otrzymaniu listu i po tygodniowym przedzieraniu się przez ośnieżone szczyty Alp dotarłem do Brinkdum i spotkałem ciebie na drodze, pozeranego pragnieniem zostania giermkim jakiegoś błędnego

rycerza...

Grimpow ponownie mu przerwał.

- A więc, gdy jechałeś do Brinkdum nie wiedziałeś jeszcze, jaką misję będziesz musiał spełnić, a i tak pasowałeś mnie na swego giermka.

- Zobaczyłem w twoich oczach taką żądzę przygód, że wydało mi się zabawne spełnić twoje marzenie - usprawiedliwił się Salietti z uśmiechem.

- Zabawiałeś się moim kosztem?

- Tylko z początku. Kiedy brat Rinaldo z Metzu zaprowadził mnie do brata Uberta z Alessandrii, który leżał na tym samym łóżu w szpitaliku, gdzie widywałem go w młodości i pozostawił mnie z nim sam na sam, ślepiec wzruszył się tak silnie, że jego wyschnięte oczy się zaszklily. Powiedział, że tak głęboko odczuł śmierć mego ojca, jakby zmarł jego rodzony syn, i że musi wyjawić mi pewien sekret, o którym wiedzą nieliczni. To wtedy wyjaśnił mi, że mój ojciec posiadał cudowny kamień, który w legendach występuje pod nazwą kamienia filozoficznego, *lapis philosophorum*, i jest w istocie jeszcze bardziej niezwykły, niż się sądzi. Dodał, że on sam był powiernikiem kamienia, który otrzymał od swego mistrza i że to on przekazał go mojemu ojcu, kiedy ten był jego uczniem w Padwie. Kamień, jak mi powiedział, umożliwia osiągnięcie mądrości, a nawet nieśmiertelności, jednak nikt nie powinien go posiadać zbyt długo, aby także inni mogli skorzystać z jego cudownej mocy i stopniowo odkrywać tajemnice przyrody i kosmosu. Dodał, że powiernicy kamienia i zbliżeni do nich mędrzy przez wieki podtrzymywali istnienie tajnego stowarzyszenia zwanego Ouroboros, którego los jest teraz zagrożony, gdyż kamień wpadł w ręce chłopaka o imieniu Grimpow, który mieszka w opactwie.

Grimpow poczuł chęć ponownego przerywania Saliettiemu, lecz jego opowieść wydała mu się tak fascynująca, że postanowił się wstrzymać i słuchał dalej.

- Powiedział mi wtedy, że znalazłeś ciało mego ojca w śniegu i że łotrzyk, z którym mieszkałeś w górskiej chacie, dał ci kamień, sądząc, że to amulet. Potem powiedział, że ciało mego ojca rozwiało się w powietrzu, ponieważ wszyscy powiernicy kamienia odchodzą z tego świata nie pozostawiając śladu, aby żyć wiecznie w zamku, który wznosi swoje niebiańskie mury ponad gwiazdami.

- To ten sam zamek w gwiazdach, o którym mówi Aidor Bilbicum w swoim manuskrypcie! - krzyknął Grimpow coś, czego znowu nie zrozumiała Weienell, pilnie słuchająca wywodów Saliettiego.

- Brat Uberto powiedział, że istnieje przedmiot jeszcze cudowniejszy od kamienia, który dawni mędrzy ze związku Ouroboros znaleźli w Świątyni Króla Salomona w

Jerozolimie. Powierzyli go templariuszom, aby ci przewieźli go do Francji i tam, wykorzystując swą potężną wiedzę, ukryli go, używając różnych zabezpieczeń, aby nikt niepowołany nie mógł go znaleźć. W ciągu trzech minionych stuleci wszyscy mędrcy podtrzymujący działalność związku wiedzieli o istnieniu sekretu, ale nie mieli do niego dostępu. Pierwsi mistrzowie pozostawili jednak pewne zapisane szyfrem wskazówki, aby umożliwić odnalezienie go wtedy, gdy będzie to konieczne dla dobra ludzkości.

- Brat Uberto powiedział, że ta chwila właśnie nadeszła, ponieważ światem zawładnęła niewiedza i przesady. Ujawnienie sekretu stało się konieczne, aby mądrość mogła wziąć górę nad obskurantyzmem religijnym i nad fanatyzmem Kościoła, który prześladowuje i pali na stosie uczonych, oraz pragnie zawładnąć kamieniem i samym sekretem. Jeden z potwornie torturowanych członków stowarzyszenia wyjawiał istnienie sekretu i zeznał, że mój ojciec jest ostatnim powiernikiem kamienia. Brat Uberto zwierzył mi, że papież powierzył zadanie odkrycia sekretu mędrcom inkwizytorowi z Lyonu, Bulvarowi z Goztell. Temu byłemu templariuszowi i zdrajcy udało się przekonać króla Francji, że to templariusze ukryli sekret w zamkach Kamiennego Kręgu. Mój ojciec został ostrzeżony i uciekł z Lyonu. Był w drodze do opactwa Brinkdum, kiedy zabłąkał się we mgle i zagubił się w górach, gdzie zmarł z zimna. Brat Uberto stwierdził, że powinienem podjąć niedokończoną misję mego ojca. W tym celu polecił mi odzyskać kamień, bez którego niemożliwe jest ujawnienie sekretu.

Podejrzenia, które Grimpowa dręczyły już od pewnego czasu wydały się potwierdzać.

- Chciałeś odebrać mi kamień? To właśnie było tą misją, którą miałeś do spełnienia? - powiedział, głęboko rozżalony i strasznie rozgniewany.

Salietti pochylił głowę, zawstydzony, a Grimpow wziął kamień z ręki Weienell i brutalnie wepchnął go w dłoń Saliettiego.

- Możesz go sobie zatrzymać! Jeśli chcesz, możesz sobie wziąć na zawsze ten przeklęty kamień! - Grimpow szlochał, a na koniec rozplakał się żałośnie.

Kolejny raz poczuł się głęboko zdradzony. Nie mógł opanować łez wspomniawszy, jak w gospodzie w Ullpens Salietti oszukał go, mówiąc, że będą przyjaciółmi i że nie będzie między nimi tajemnic. A przecież wtedy myślał, jak pozbawić go kamienia. Także Durlib go zdradził, mimo że mienił się jego przyjacielem. Pozostawił go w opactwie na łasce losu, nie biorąc pod uwagę jego uczuć, a potem opuścił go na zawsze. Grimpow miał dosyć tego tajemniczego kamienia. Gdyby wtedy w Ullpens Salietti poprosił, aby mu go oddał, zrobiłby to chętnie. Był gotów na wszystko dla swoich przyjaciół, gotów byłby oddać nawet życie, jeśli byłoby to konieczne. Przekonał się jednak ponownie, że człowiek, którego uważał za przyjaciela nie był nim w istocie i poczuł się najbardziej nieszczęśliwą istotą na ziemi.

- Oszukiwałeś mnie! - krzyknął piskliwie, ogarnięty wściekłością.

- Tak, zrobiłem to. Dlatego, że musiałem - przyznał Salietti.

- A teraz, gdy masz już kamień, co zamierzasz zrobić? Zabijesz mnie? Będę kolejną ofiarą, jak opat z Brinkdum czy Gurielf Labox? Oddasz mnie w ręce inkwizytora, aby mnie torturował i spalił żywcem na stosie? To właśnie miałeś zamiar zrobić, po odebraniu mi kamienia mędrców? A ja myślałem, że jesteś moim przyjacielem - Grimpow nie przestawał gorzko łkać.

Weienell odgadła ze spojrzenia Saliettiego, że Grimpow jest mu bardzo bliski i postanowiła nie mieszać się do kłótni. Salietti próbował podejść do Grimpowa i pocieszyć go, ale chłopiec się uchylił.

- Przepraszam, Grimpowie, naprawdę przepraszam! Przebacz mi! Jeśli cię oszukałem, to dla twojego dobra. Jak możesz sądzić, że chciałem cię skrzywdzić? - Salietti mówił przygnębionym tonem - Z początku istotnie chciałem odebrać ci kamień. Jednak gdy cię bliżej poznałem i przekonałem się, jak dużo wiesz o wielkich tajemnicach życia, zdałem sobie sprawę z tego, że kamień stanowi część ciebie i zmieniłem zdanie. Z jakiegoś powodu zrozumiałem, że misja odkrycia sekretu mędrców, którą powierzył mi brat Uberto z Alessandrii, bez ciebie jest skazana na porażkę. Sam ci to powiedziałem, nie pamiętasz? W krypcie kościoła w Cornill. Powiedziałem, że kamień wybrał ciebie. W tej właśnie chwili postanowiłem chronić cię i wspomagać, abyś mógł odnaleźć sekret. To nie ja, lecz ty jesteś powołany do kontynuowania misji mojego ojca, misji powiernika kamienia.

Brat Uberto powiedział, że przesłał też polecenie jednemu z członków stowarzyszenia, którego imienia dla bezpieczeństwa mi nie wyjawiał. Uczony ten miał na mnie oczekiwać w kościele we wsi Cornill i pomóc mi w dotarciu do sekretu. Z pewnych starych zapisów stowarzyszenia wynikało, że w tym właśnie kościele należy rozpocząć poszukiwania. Ja sam nie wiedziałem, czego mam szukać. Kiedy zobaczyliśmy pożar dojeżdżając do Cornill, przeraziłem się, że jest już za późno. Kowal powiedział nam, że żołnierze barona porwali starca Gurielfa Laboxa i jego córkę. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że chodzi o przyjaciela mojego ojca, u którego w młodości mieszkałem w Paryżu.

Wydawało się, że twarz Saliettiego postarzała się o całe lata w tym krótkim czasie, jaki trwała opowieść. Natomiast na twarzy Grimpowa zaczęła się malować pewna ulga.

- Teraz wiecie już wszystko - powiedział Salietti, wyczerpany, jak po ostatnim starciu w turniejach.

Weienell podeszła do Grimpowa i wzięła go za rękę.

- Mój ojciec nigdy ze mną nie mówił o kamieniu, ani o tym związku zwanym

Ouroboros, ani o sekrecie mędrców. Zawsze trzymał dla siebie swe badania i odkrycia. Natomiast z ust mojej matki usłyszałam kiedyś nazwę zamków Kamiennego Kręgu. Przy okazji którejś z podróży mojego ojca wspomniała, że był czas, gdy często tam jeździł, aby spotykać się z innymi uczonymi.

- Czy twój ojciec znalazł coś w kościele w Cornill? - spytał Grimpow. Jego serce wciąż jeszcze było ściśnięte, ale ocierał łzy rękawem kaftana.

- Nie wiem - stwierdziła Weienell. - Ojciec nie chciał, abym mu towarzyszyła w podróży, ale był bardzo chory i uparłam się, że z nim pojedę, aby go pielęgnować. Moja matka zmarła przed kilkoma laty. Po jej śmierci ojciec bardzo się postarzał, chorował na serce i prawie nie wychodził z domu. Kiedy otrzymał ten list, o którym mówiłeś - zwróciła się do Saliettiego - wydawało się, że raptem odmłodził. Pamiętam tylko, że powiedział: „Już niedługo światło wiedzy na nowo zajaśnieje na horyzoncie ludzkości”.

- Twój ojciec wiedział, że w kościele w Cornill jest ukryty manuskrypt Aidora Bilbicum, który nam się udało wyjąć z krypty. To dlatego pozostawił dla mnie wiadomość w archiwum parafii, to pewne - stwierdził Salietti.

- Ale bez kamienia nie mógł otworzyć sarkofagu. Ojciec Weienell sam nie mógł nic znaleźć. Musiał czekać na ciebie, aż przyjedziesz do wsi z kamieniem - powiedział rozsądnie Grimpow.

- Czyli brakująca część manuskryptu Aidora Bilbicum musi gdzieś być. Jedźmy do Strasburga, bo może właśnie tam znajduje się to, czego szukamy - powiedział Salietti zdecydowanym tonem, podnosząc się i szykując do drogi.

- Kim jest Aidor Bilbicum? - spytała Weienell, obawiając się, że nie poznała jeszcze wszystkich ważnych szczegółów tej historii.

- Siadaj na koń, wyjaśnimy ci to w drodze - powiedział Salietti. Gdy ruszyli, noc kryła już ziemię swym czarnym płaszczem.

W gospodzie Junna Kulawca

Junn Kulawiec spał już, gdy nagle usłyszał walenie do drzwi wejściowych. Podniósł się po omacku, założył but z grubą podeszwą, który umożliwiał mu chodzenie i postanowił zobaczyć, kto zakłóca mu odpoczynek o nocnej porze. Otworzył okiennice jednego z okien znajdujących się na fasadzie budynku, tuż obok blaszanej wywieszki z wymalowaną głową zielonego smoka, wychylił się i spojrzał nieufnie na przybyszy zapuchniętymi od snu oczami. Ulica była ciemna, więc dostrzegł jedynie zarys sylwetek trzech jeźdźców, stojących bez ruchu na wprost gospody.

Grimpow już się szykował, aby powiedzieć, że przysłała ich mnich Rinaldo z Metzu, lecz Salietti był szybszy.

- Nie poznajesz przyjaciół, drogi Junnie? - spytał, ujrawszy wychylającą się z okna głowę.

- Salietti! To ty?! - wykrzyknął z radością Junn.

To, że Salietti zna Junna Kulawca, było dla Grimpowego kolejnym zaskoczeniem, ale tym razem nie spowodowało utraty zaufania do przyjaciela.

- Któż mógłby ci przeszkadzać o tej późnej porze, jak nie błędny rycerz, którego nie stać na porządną gospodę, bo w sakiewce pustki? - żartobliwie wyrecytował Salietti.

- Już schodzę, przyjacielu, zaraz otworzę wrota, żebyście mogli wprowadzić konie.

Junn zamknął okiennice i na tyle szybko, na ile mu pozwalało kalectwo, zszedł na dół. Wyszedł tylnymi drzwiami na podwórze obok piwnicy, gdzie piętrzyły się stosy dębowych beczek z winem, zapewniające wieloletnią rezerwę trunku na wypadek nieurodzaju i uchylił obydwie skrzydła wrót, zapraszając ich do środka.

- Szybko, szybko, zanim sąsiedzi się pobudzą i będą się chcieli dowiedzieć, co to za wrzawa w środku nocy.

Salietti wjechał pierwszy, zsiadł z konia i pospieszył, aby pomóc Junnowi zamknąć bramę. Potem przyjaciele uściskali się i Salietti zaproponował:

- Chodź, przedstawię ci moich przyjaciół.

- Właśnie się zastanawiałem, kogo tu przywiozłeś - powiedział Junn, z trudem nadążając za szybkimi krokami Saliettiego.

Grimpow i Weienell stali już i czekali, żeby Salietti dokonał prezentacji. Junn okazał się pogodnym, niewysokim człowieczkiem, który z zadowoleniem przyjął niespodziewaną wizytę. Przywitał się z nimi serdecznie i zaprosił ich do środka:

- Wejdźmy do gospody. Wychylimy po kielichu wina, podczas gdy będziecie mi opowiadać, czemu zawdzięczam tę miłą niespodziankę. Przygotuję też coś do zjedzenia, bo z pewnością jesteście głodni, a to niedobrze kłaść się spać z pustym żołądkiem, który przez całą noc burczy głośno na znak protestu - dodał z uśmiechem.

W mrocznej oberży unosił się słodko-kwaśny zapach moszczu i jęczmienia. Junn zapalił świecę, postawił lichtarz na brudnym, zatłuszczonym stoliku i zaprosił gości, aby zasiedli na ławach. Wziął z półki dzban, utoczył wina, i podał Saliettiemu, aby ten napełnił kubki. Sam poszedł do kuchni i po chwili wrócił z tacą sera i koszykiem wypełnionym kromkami żytniego chleba.

- A teraz, Salietti, powiedz, w czym mogę wam pomóc?

Salietti wziął w jedną rękę kawał sera, w drugą kromkę chleba i rozpoczął przemowę.

- Przede wszystkim chcę przekazać ci pozdrowienia od kogoś, kogo dobrze znasz. Od brata Rinalda z Metz - powiedział.

- To on nam doradził, abyśmy się do ciebie zgłosili - włączył się Grimpow, który chciał się jak najszybciej dowiedzieć, co łączy Saliettiego z karczmarzem.

- Na twarzy Junna zagościł wyraz zadowolenia, gdy powrócił myślą do dawnych, dobrych czasów.

- Stary Rinaldo! Od wielu lat go nie widziałem. Gdzie się podziewa?

- Jest bibliotekarzem w opactwie Brinkdum - wyjaśnił Salietti.

- A twój ojciec? Jak się miewa niestrudzony Iacopo de Estaglia? - chciał się dowiedzieć Junn.

- Ojciec mój zmarł tej zimy - powiedział Salietti. - Ale o tym wolałbym pomówić przy innej okazji.

- Jak mi przykro. Naprawdę bardzo mnie zmartwiłeś i rozumiem, że masz ważne powody, aby o tym teraz nie mówić - powiedział Junn ze szczerym żalem. - Pamiętam jak dziś dzień, w którym dostałem od niego takie buty, jak te - dodał, pokazując swoje nogi nierównej długości. - Zaopatrzył jeden but w drewnianą podeszwę, aby mi było łatwiej chodzić. Nigdy nie znalazłem nikogo, kto mógłby mu dorównać w przemyślności. Ale powiedz, co was sprowadza do Strasburga?

Grimpow i Weienell nie odzywali się, żarłocznie pochłaniając chleb z serem i popijając małymi łyčkami wino.

- Potrzebujemy gościny. Chcemy także, abyś pomógł nam znaleźć w mieście człowieka zwanego Aidor Bilbicum.

- Aidor Bilbicum? - powtórzył z namysłem karczmarz. - Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek słyszał to imię.

- Sądzymy, że był członkiem tajnego związku mędrców zwanego Ouroboros - dodał Grimpow.

- A to już gorzej - mruknął Junn, drapiąc się po głowie. - W Strasburgu jest mnóstwo cechów rzemieślników i kupców. Zbierają się w tajnych lożach, aby załatwiać interesy, zwłaszcza od kiedy zaczęto budowę nowej katedry. Są mularze, złotnicy, kowale, alchemicy, magowie i wróżbici. No i, od paru lat, templariusze. Żadna z tych grup nie życzy sobie, aby rozpowszechniano imiona członków ich hermetycznych stowarzyszeń. Wielu ludzi żyje tylko tym. Zbierają się, nadają sobie dziwaczne pseudonimy, odbywają narady i misteria.

- Wiemy, że nie będzie łatwo go znaleźć. Nie znasz pewnego szczegółu. Aidor Bilbicum nie żyje. Z tego, co nam wiadomo, zmarł prawie przed dwustu laty - powiedział Salietti.

- A więc musicie go szukać na cmentarzu! - wykrzyknął Junn i roześmiał się z własnego dowcipu, a Weienell uśmiechnęła się, chcąc się zachować uprzejmie.

- Sądzymy, że jeśli będziemy o niego rozpytywać, ktoś się może zainteresować tym, kto go szuka i po co - stwierdził Grimpow.

- Muszę cię też uprzedzić, że poszukują nas zbiry barona Figuelta de Vokko - ostrzegł Salietti. - Nasz pobyt w gospodzie może ściągnąć ci na głowę pewne kłopoty.

Junn poruszył się na zydłu, zafascynowany opowieścią Saliettiego. Jego niewielkie oczy błyszczały.

- Wiesz dobrze, że zrobię wszystko dla twojego ojca i dla ciebie - powiedział, nalewając sobie drugi kubek wina.

- Wiem, Junnie i jestem ci wdzięczny. Tak czy owak, nasi prześladowcy sądzą chyba, że pojechaliśmy do zamków Kręgu. Uważają mnie za templariusza.

- Ty miałbyś być rycerzem Zakonu Świątyni? - zdziwił się niepomiernie karczmarz.

- Tak właśnie uważa jeden inkwizytor, Bulvar z Goztell, na którego się napatoczyliśmy w twierdzy barona Figuelta de Vokko podczas wiosennych turniejów - wyjaśnił Grimpow.

Salietti streścił Junnowi wydarzenia od chwili ich przyjazdu do twierdzy barona. Wyjaśnił też, jakie były okoliczności uwolnienia Weienell.

- Człowiek, który strzelił do barona istotnie musiał być templariuszem. To akt zemsty.

Baron naraził się planowanym atakiem na zamki Kręgu i sprzymierzeniem się z królem Francji - stwierdził Junn, po wysłuchaniu tej części historii.

- To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Pióra strzały były czarno-białe, w kolorach prześladowanego Zakonu Świątyni - potwierdził Salietti.

- No dobrze - powiedział Junn. - Zostawmy resztę na jutro, bo wszystkie te zawiłości nie pozwolą nam usnąć. Jest późno, a wy jesteście zmęczeni podróżą. Chodźcie za mną, zaprowadzę was na górę.

Junn wziął do ręki lichterz ze stolika i krótkim korytarzem zaprowadził ich do wiodących w górę schodów, po których weszli na piętro. Po drodze zapalił od świeczki parę małych lampek zwisających z sufitu i z mroku wyłonił się korytarzyk, na który wychodziły drzwi od pokoików gościnnych.

- Dostaniesz ten sam pokój, w którym zawsze mieszkał twój ojciec, kiedy przyjeżdżał do Strasburga. Może sobie go przypomnisz, choć zawsze byłeś zbyt rozbiegany, aby zwracać uwagę na takie rzeczy. On bardzo go lubił, bo z okna widać rzekę i most z trzema wieżami, a kiedy wschodzi słońce, jego promienie zagładają do łóżka.

Junn ulokował każdego z gości w osobnym pokoiku, zostawił im zapalone świece i życzył miłego odpoczynku, po czym wrócił do siebie, legł na łóżku i wkrótce zasnął.

Natomiast nowi mieszkańcy gospody Junna długo nie mogli przywołać snu. Grimpow zdmuchnęła świeczkę i długo leżał w ciemnościach z szeroko otwartymi oczami, jakby mógł widzieć cały świat, nie potrzebując do tego światła. Był teraz w Strasburgu i zegar zaczynał właśnie odliczać nowy czas jego życia. Odeszło w przeszłość to, co zostawił za sobą: chata w górach, jego przyjaciel Durlib, opactwo Brinkdum, mnisi, długie godziny nauki w bibliotece, noce spędzone na obserwacji gwiazd z bratem Rinaldem, kuchnia dobrodusznego i przesadnego brata Brasgdo, alchemiczne doświadczenia brata Assbena, tajemnicze słowa stuletniego, ślepego mnicha Uberta z Alessandrii. Przez chwilę zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby nadal włóczył się po gościńcach z Durlibem lub gdyby postanowił pozostać w opactwie Brinkdum jako nowicjusz i złożyć śluby zakonne.

W ciągu tych paru minionych miesięcy zrozumiał, że w ludzkim życiu występują cykle, podobnie jak w przyrodzie, że zmiany, kontrasty i powtórzenia następują jedno po drugich i tworzą rodzaj magicznego kręgu, trudny do pojęcia. Zyskał pewność, że wiele jeszcze przed nim, że będzie musiał się jeszcze dużo nauczyć i rozwiązać liczne zagadki, zanim dotrze do sekretu mędrców i będzie mógł go ujawnić. Tym przecuciem nappełnił go cudowny kamień od pierwszej chwili, gdy znalazł się w jego rękach, a teraz był z nim tak ściśle związany, jakby stanowił część jego umysłu i jego ciała.

Wydawało się, że Salietti śpi spokojnie, bo leżał bez ruchu na swym wygodnym posłaniu, ale były to tylko pozory. Chwilami jego wyobraźnia błąkała się po polach bitwy i szrankach, ale głównie zajmowała się tworzeniem obrazów przyszłości, w których główną rolę odgrywała miłość. Myślał z obawą, że w zamkach Kamiennego Kręgu może spotkać ich coś strasznego, ale już za moment odczuwał całym ciałem bliską obecność Weienell po drugiej stronie ściany i wydawało mu się, że może słyszeć jej przyspieszony oddech, wywołany oczekiwaniem na nieuniknione i wytęsknione spotkanie. A Weienell, choć leżała z zamkniętymi oczami, była całkowicie rozbudzona. Wspominała niedawne wydarzenia, przywoływała obraz swojego ojca, przeżywała ponownie cierpienie z powodu jego uwięzienia i śmierci. Jednak na tym ciemnym tle pojawiała się mała iskierka, która prędko zamieniała się w pożar zmysłów, trawiący wszystkie smutne myśli. Było to uczucie do Saliettiego, którego odnalazła tak nieoczekiwanie i któremu zawdzięczała wolność. Z drżeniem serca przeczuwała, że łącząca ich miłość jest wieczna. I dlatego, gdy usłyszała skrzypnięcie drzwi i wypowiedziane cichym głosem swoje imię, była pewna, że tej bezkسیężycowej nocy ich nagie ciała staną się jednością, wśród niekończących się pieszczot i niezliczonych pocałunków.

Następnego ranka Junn Kulawiec przyniósł im nowe plotki, równie świeże, jak pstrągi i gorący jeszcze chleb, które dostali na śniadanie. Siedzieli w sali oberży, na wpół jeszcze drzemiąc, gdy karczmarz oznajmił:

- Wieści roznoszą się po Strasburgu jak gnane wiatrem.

- Cóż ludzie mówią? - spytał Salietti.

- W całym mieście nie mówi się o niczym innym, tylko o strzale, która zraniła barona.

- A więc baron nie zginął? - Weienell przywitała tę wiadomość z radością, gdyż Figueltach de Vokko co prawda więził ją w swej twierdzy, lecz ochronił ją przed straszliwym Bulvarem z Goztell i jego katami.

- Miał sporo szczęścia. Strzała przeszła mu lewy bok blisko serca, ale nie zrobiła mu większej krzywdy. Jest tylko ranny i okropnie wściekły na włoskiego rycerza, który zwyciężył w turniejach i porwał damę jego serca. Ludzie mówią, że trubadurzy już układają ballady o tych wydarzeniach i wkrótce będzie je można usłyszeć na placach i w zamkach, bo to jedna z najpiękniejszych historii miłosnych, o jakich słyszano.

Grimpow popatrzył na Saliettiego z podziwem, bo nigdy dotąd nie pomyślał o nim, jako o bohaterze pieśni. Ważniejsze jednak wydawało mu się wyjaśnienie innej kwestii, która nie dawała mu spokoju i krążyła po głowie, jak natrętna mucha:

- Czy wiadomo już, kto strzelił do barona? - spytał.

- Nie, ale nie ma wątpliwości, że zrobił to jakiś templariusz, który wkradł się do twierdzy w przebraniu. Mówią, że ogłuszył jednego z łuczników barona, przebrał się w jego liberię i strzelił z wieży, która wznosi się naprzeciwko trybun.

- Pojmano go? - zaniepokoił się Grimpow.

Junn wykrzywił się drwiąco.

- Nieprędko im się to uda, chyba że wojska barona i króla Francji zdobędą zamki Kręgu, gdzie przypuszczalnie się schronił.

- Wiem już, kto wypuścił tę strzałę - stwierdził Salietti, na którego zwróciły się spojrzenia wszystkich.

- Widziałeś, jak strzelał? - zdziwił się Junn.

- Nie, ale rozmawiałem z nim na drodze, gdy już prawie dojeżdżaliśmy do twierdzy.

- Mówisz o rycerzu Rhadoguilu de Curnilldonn? - domyślił się Grimpow.

- Tak. To on powiadomił mnie o otruciu i śmierci papieża Klemensa V i o strachu króla Francji przed wypełnieniem się klątwy, którą rzucił ze stosu wielki mistrz zakonu, wzywając obydwu na sąd boży przed upływem roku. Rhadoguil de Curnilldonn powiedział, że jedzie do twierdzy, bo ma pewne zadanie do spełnienia. Nie przypadkiem jego giermek miał ze sobą wielki łuk i kołczan pełen strzał z biało-czarnymi piórami. Przypuszczalnie mieli zamiar zabić króla Filipa IV podczas turnieju, a gdy okazało się, że król powrócił do Paryża, postanowili skończyć z jego sprzymierzeńcem, baronem Figueltachem de Vokko, aby nie odbywać podróży na próżno - stwierdził Salietti.

- Tutaj do Strasburga też dotarły pogłoski o klątwie wielkiego mistrza templariuszy i wiadomość o śmierci papieża. Nie zdziwiłbym się, gdyby obydwaj wkrótce stali się bohaterami tragicznej i tajemniczej legendy - powiedział Junn.

- Teraz sobie przypominam, że ten rycerz powiedział, że nie jest mu obcy herb na twojej tarczy. Pamiętasz? - dodał Grimpow.

- Tak, to prawda - potwierdził Salietti.

Junn podrapał się po brodzie.

- Templariusze zawsze mieli bliskie związki z alchemią i z alchemikami. Jeśli ten rycerz, o którym mówicie, był członkiem Zakonu Świątyni, musiał wiedzieć, że słońce na twoim herbie jest wyobrażeniem złota, a księżyc srebra. Nie jest też wykluczone, że znał twego ojca lub twojego dziadka, diuka de Estaglia, bo zakon templariuszy miał kontakty i sprzymierzeńców na całym świecie. Mówi się, że Zakon Świątyni już nie istnieje, ale jestem przekonany, że nie tak prędko uda się z nim skończyć.

- A co ludzie mówią o wojnie? - spytała Weienell.

- Baron Figueltach de Vokko sam nie mógł stanąć na czele wojsk z powodu rany, ale wysłał wczoraj Valdigora de Rostvol ze swymi rycerzami na północną granicę, gdzie już czeka liczna armia króla Francji. Oblężenie zamków Kamiennego Kręgu ma się rozpocząć jeszcze tej nocy.

- Tysiące zbrojnych i rycerzy już się nie mogą doczekać, aby zrównać z ziemią zamki i zawładnąć ukrytymi tam skarbami i sekretami, podobnie jak król Francji uczynił z komandorią Temple w Paryżu - ponuro powiedział Salietti.

- Zanim Figueltach de Vokko i król Francji zdobędą fortecę diuka Gulfa de Östemberg, będą musieli zwyciężyć jego wiernych rycerzy i zniszczyć zamki Kręgu, a to im się nigdy nie uda - wyraził nadzieję Junn.

Wszyscy zamilkli, a lęk i wątpliwości wydawały się gęsnieć nad nimi, jak cień, który czał się w zadymionych kątach sali.

- A więc wojna już wybuchła - ze spuszczoną głową wyszeptał Grimpow.

- Obawiam się, mój chłopcze, że tak, i że nic nie możemy na to poradzić - stwierdził Junn.

Salietti wstał z ławy.

- Lepiej zajmijmy się tym, po co tu przyjechaliśmy. Musimy odnaleźć tego, kto nie istnieje i wysłuchać głosu cienia - powiedział, używając słów, które Gurielf Labox zapisał na skrawku pergaminu, który znaleźli w archiwum kościoła w Cornill.

- Słyszę, że używasz takiego samego, tajemniczego języka, jak twój świętej pamięci ojciec - uśmiechnął się Junn.

Doszli do wniosku, że wspólne krążenie po gwarnych ulicach Strasburga może ściągnąć na nich zagrożenie, bo Junn uprzedził ich, że ludzie już wiedzą, że z twierdzy barona uciekło trzech jeźdźców: piękna dama, włoski rycerz i jego giermek. Postanowili więc podzielić się na dwie grupy, z których każda miała prowadzić poszukiwania w innych miejscach: Salietti i Weienell w dzielnicy rzemieślników i kupców, a Grimpow i Junn w okolicach placu budowy nowej katedry. Mieli rozmawiać z mularzami i cieślami, a potem zapuścić się w okolice kanałów, gdzie mieszkało kilku znanych Junnowi alchemików.

Głos cienia

Strasburg był wspaniałym i majestatycznym miastem, mimo iż z racji jego położenia nieraz przetaczały się przez niego wrogie armie, łupiąc mieszkańców i wzniecając pożary. Wydawało się, że powstał z gęstej mgły, która w zimie unosi się znad Renu. Po obu brzegach rzeki wznosiły się wielkie, kryte łupkiem szachulcowe domy, wypełniając szczelnie obszar ograniczony przez mury miejskie. Na straży miasta czuwały trzy ogromne wieże nad wodą. Na mostach przerzuconych przez liczne kanały tłoczyły się szlacheckie zaprzęgi i chłopskie wozy, którymi z okolicznych wiosek przywożono towary na targi i jarmarki.

Salietti i Weienell przez dwa dni zdeptali miasto z północy na południe i ze wschodu na zachód, zapuszczając się w dzielnice garbarzy, złotników, pisarzy, kowali, tkaczy, stolarzy, szewców i płatnerzy. Wypytywali na ulicach o Aidora Bilbicum, ale spotykali się jedynie z niezrozumieniem, potępiającymi spojrzeniami, nieufnością lub zdecydowanym zaprzeczeniem, w niektórych przypadkach ocierającym się o lekceważenie czy chamstwo. Wydawało się, że imię to budzi w ludziach lęk, lub też że rozmowa z nieznanymi wydaje się mieszkańcom niebezpieczna.

Junn i Grimpow nie sprawili się lepiej i też nie zdołali wpaść na żaden ślad.

- Jeśli Aidor Bilbicum nie istnieje, jak twierdzicie, to nie wiem doprawdy, jak macie zamiar go znaleźć? A jeśli nikt go nie zna? A jeśli nikt nic o nim nie wie? - Junn popatrzył na Grimpowa ciężko dysząc ze zmęczenia.

Skończyli właśnie wypytywać jednego z aptekarzy, którego dom stał na rogu placu katedralnego. W sklepie na parterze unosiła się woń palonej siarki i stopionej cyny, ziół, korzeni, maści i syropów, podobnie jak w pracowni alchemicznej brata Assbena w opactwie Brinkdum. Grimpow nie miał najmniejszej wątpliwości, że aptekarz był także alchemikiem i natchnęło go to nadzieją, że tym razem uda im się trafić na jakiś ślad Aidora Bilbicum i wreszcie będą mogli wysłuchać tego głosu cienia, o którym mówiła notatka zostawiona dla Saliettiego przez Gurielfa Laboxa w kościele w Cornill. Jednak aptekarzowi imię Aidor Bilbicum nic nie mówiło i, mimo iż znał Junna od lat, wydawało się, że posądza go o szpiegowanie na rzecz Inkwizycji, co wydatnie skróciło rozmowę.

- Jeśli nikt nic o nim nie wie, nigdy nie znajdziemy tego, czego szukamy - odrzekł

Grimpow.

- A czego szukacie, oprócz tego uczonego, który nie istnieje? - spytał Junn marszcząc czoło.

- Mądrości, Junnie, szukamy mądrości - stwierdził Grimpow, przyglądając się z niekłamanym podziwem wspaniałej katedrze, którą wznosili mistrzowie cechu budowniczych i setki ich czeladników i uczniów. Właśnie trwały prace wykończeniowe przy pięknej, wielkiej rozecie na głównej fasadzie. Grimpow zdawał sobie sprawę, że do zaprojektowania, wybudowania i wykończenia tak niezwykle budowli potrzebna była znajomość skomplikowanych zagadnień fizycznych i obliczeń należących do wyższej matematyki. Łoże budowniczych trzymały całokształt tej wiedzy w jak najściślejszej tajemnicy i znali ją jedynie uczeni mistrzowie, zwani architektami. Patrząc na imponujące rzeźby, ozdabiające główny portal, Grimpow doznał przecucia, że to właśnie tutaj, w ciemnościach tych potężnych, kamiennych murów, usłyszysz głos cienia.

Podeszli do gromadki kamieniarzy, którzy obrabiali wielkie, kamienne bloki tuż obok ściany katedry, przy której wznosiły się wysokie rusztowania. Na rusztowaniach znajdowały się kołowroty, liny, pasy i taczki, potrzebne do przemieszczania w górę ciężkich ładunków. Żaden z kamieniarzy nie słyszał nigdy o Aidorze Bilbicum, ale rozmowa z nimi przyniosła tę korzyść, że Grimpow podejrzwał, iż każdy z nich wykuwa na obrabianych przez siebie kamieniach swoje własne znaki. Znaki te nie tylko przypomniały mu napisy wykonane przez członków stowarzyszenia Ouroboros, które figurowały na pergaminie i na krypcie w Cornill, ale nasunęły mu myśl, że alfabet stowarzyszenia powstał poprzez zapożyczenie różnych symboli od mularzy i zastąpienie każdej z liter jednym z nich. To niewątpliwie świadczyło o tym, że mędrcy tworzący tajny związek Ouroboros byli ściśle powiązani z budowniczymi katedr, pomyślał Grimpow.

Zwiedzili także dzielnicę nad kanałami, gdzie kręciły się wielkie koła młynów wodnych, ale i tam niczego nie zdołali się dowiedzieć. Aidor Bilbicum był równie trudno uchwytny, jak duch.

Gdy wracali do gospody, aby spotkać się z Weienell i Saliettim zaskoczył ich zmierzch. Przechodzili właśnie przez mostek nad wąskim kanałem, gdy z przeciwka nadciągnęła dziwna procesja, złożona z zamaskowanych przebierańców niosących w rękach zapalone pochodnie. Na marach, zamiast nieboszczyka, spoczywała owinięta w czarny całun kukła, przypominająca kościotrupa wyszczerzającego się w upiornym uśmiechu. Procesji towarzyszył ogłuszający dźwięk bębnow i kołatek, a kłębiący się tłum gapiów skakał i pokrzykiwał.

- Świątują wyprowadzenie Śmiercicy. Ta kukła to zima; w czwartą niedzielę Wielkiego Postu trzeba się jej pozbyć z miasta, aby uczcić wiosnę - powiedział Junn, zatrzymując się, aby przepuścić rozchukany tłum.

Otoczyły ich zamaskowane postacie, hałasując, tańcząc i skacząc. Grimpow zafascynowany zapatrzył się na grupkę akrobatów, machających zawieszonymi na końcach łańcuchów ognistymi kulami, przypominającymi maleńkie, wirujące słońca i nie zauważył nawet, kiedy tłum oddzielił go od Junna. Próbował go odnaleźć, stając na palcach i rozglądając się, ale bez powodzenia.

W tej samej chwili poczuł, że ktoś go obserwuje i dostrzegł, że zbliża się do niego młoda kobieta, kryjąc twarz za chustą. Widoczne były tylko jej oczy, czarne jak noc, o przenikliwym, niepokojącym spojrzeniu i wielkie złote kolczyki w kształcie kół.

- Zbliź się, młodzieńcze i pozwól, abym odczytała przyszłość z twojej dłoni, bo tylko ode mnie dowiesz się, co ci przeznaczone - hipnotyzował go słodki, melodyjny głos kobiety.

Grimpow podszedł do niej i wyciągnął rękę, jak zaczarowany. Nie wiedział dlaczego, ale ten głos przyciągał go tak silnie, jak gdyby należał do jednej z tych syren, o których opowiadał mu brat Rinaldo z Metz w opactwie Brinkdum. Próbował przypomnieć sobie, jak Salietti natrząsał się z głupich min, które robił baron Figueltach de Vokko podczas wróżenia z kart, ale na próżno. Sam teraz dawał się uwieść czemuś tak absurdalnemu, jak możliwość wyczytania przyszłości, zapisanej niewidzialnym pismem na jego dłoni. Próbował uciec, ale było za późno. Gdy poczuł delikatny dotyk palców kobiety na swojej skórze przebiegł mu po ciele silny dreszcz, budząc w nim nieznane marzenia i pragnienia.

- Masz ręce księcia - szepnęła kobieta - mimo iż nie widzę w nich śladów szlachetnego urodzenia.

- Należę do grupy wędrownych pasterzy - skłamał Grimpow, zapatrzonej w czarne, głębokie oczy wróżbitki.

- Przybywasz z daleka, pachniesz ziołami, kwiatami i dymem ogniska - mówiła dalej kobieta, wężąc, jak pies gończy.

Grimpow nie odzywał się, patrząc, jak kobieta poszukuje w liniach jego dłoni niewidzialnych śladów przeszłości.

- Widzę tu dużo smutku, żałobę po zmarłych i głęboko skrywane gorzkie łzy.

Kobieta wodziła palcem wskazującym po dłoni Grimpowa i ta delikatna pieśczość sprawiała mu rozkoszne łaskotanie.

- Moja matka dawno temu zmarła - ponownie skłamał Grimpow, czując, jak jeżą mu się włosy na karku.

- A jednak nie jesteś sam. Ludzie, którzy ci teraz towarzyszą, opiekują się tobą. Przesuwają się po twojej linii życia, jak ruchome węzły po napiętym sznurze.

- Nie rozumiem - szepnął Grimpow.

- Wielu jest tych, którzy o ciebie dbają, choć nie zawsze mogą być razem z tobą, aby ci pomagać - wyjaśniła kobieta. Potem zamilkła na dłuższą chwilę. Zamknęła oczy, jak gdyby chciała zobaczyć coś, co wykracza poza rzeczywistość i dodała: - W twoim umyśle kłębią się pytania, a ty próbujesz znaleźć na nie odpowiedzi poprzez kontemplację wszechświata.

Oczy kobiety wpatrywały się teraz w niego poważnie i z napięciem.

- Kim jesteście, pani? Czego ode mnie żądacie? - wybełkotał Grimpow, oszołomiony.

Wokół panował hałas, a jednak Grimpowowi wydawało się, że całe miasto zamilkło. Docierał do niego jedynie głos nieznanego kobiety. Nawet szaleńczy rozgardiasz, który powodowali zamaskowani tancerze z pochodniami wydawał mu się tańcem oniemiałych widm. Widział przesadne gesty, skoki i grymasy, widział bryzgające z pochodni snopy iskier, ale nie słyszał niczego, oprócz upajającego szeptu młodej nieznanego.

- Idź do katedry i zastukaj trzy razy w drzwi lewego portalu, tam, gdzie stoją rzeźby trzech mądrych dziewic - przykazała mu kobieta, trzymając go nadal za rękę. - Ktoś, kogo poszukujesz, chce z tobą mówić. Ale musisz być sam, bo jeśli ktoś będzie ci towarzyszył lub będzie cię śledził, nigdy już nie znajdziesz tego, o kogo ci chodzi.

Mówiąc to przesunęła ręką po dłoni Grimpowa w ostatniej pieszczocie i zniknęła w tańczącym, rozszalałym tłumie.

Znad kanału Grimpow mógł ujrzeć zarys sylwetki katedry, słabo majaczący w świetle księżycy. Usiłował odnaleźć Junna, ale został porwany w szaleńczy korowód przez otaczające go ciała bez twarzy, które odprawiały swój opętańczy rytuał, dozwolony przez Kościół jako dający upust grzesznym duszom.

Wyrwał się siłą, rozpychając się i szamocząc, i zagłębił w ciemne, opustoszałe uliczki. Zastanawiał się, czy nie jest to zasadzka, w którą ktoś chce go schwytać, aby zawładnąć kamieniem. Rozpytywanie o Aidora Bilbicum po całym mieście wydawało im się jedynym sposobem na odnalezienie kogoś, kto nie istnieje, ale było też niewątpliwe, że był to doskonały sposób na rozgłoszenie faktu, że posiadają kamień i że próbują odnaleźć sekret mędrców. A jeśli istotnie, jak twierdził Junn, w Strasburgu istniało więcej tajnych stowarzyszeń, niż można było sobie wyobrazić, każde z nich mogło się zorientować w sytuacji i próbować wejść w posiadanie kamienia, posługując się takim właśnie podstępem. Na całym świecie nie brak spryciarzy. Poszukiwanie Aidora Bilbicum mogło zakończyć się

wpadnięciem w pułapkę, odebraniem kamienia i wymuszeniem całej wiedzy o nim i o sekrecie mędrców.

Odczuwając głęboki niepokój, Grimpow szedł jednak przed siebie, aż dotarł do portalu katedry. Wyteżył wzrok i dostrzegł trzy rzeźby przedstawiające kobiety, stojące obok figury mężczyzny. To musiały być te dziewice, o których mówiła nieznajoma. Podeszedł do drzwi i zakołatał w nie silnie trzy razy z rzędu, w rytm swego bijącego na alarm serca. Nie wiedział, co może go czekać w katedrze, ale nie było już odwrotu. Jeśli teraz by uciekł, nigdy już nie miałby możliwości wysłuchać głosu cienia i poszukiwania sekretu mędrców skończyłyby się niczym.

Drzwi otwały się same, skrzypiąc ponuro, choć nikt nie wyszedł mu naprzeciw. Grimpow poczekał chwilę, próbował dojrzeć coś w mroku za drzwiami, lecz nie było żadnego znaku, że ktoś na niego czeka. I wtedy, w głębi katedry, ujrzał maleńkie, drżące światełko. Postanowił wejść do środka, choć nogi ugiwały się pod nim ze strachu. Powinienem był uprzedzić Saliettiego, mówił sam do siebie, choć pamiętał dobrze ostrzeżenie kobiety, że musi przyjść sam.

Pośrodku nawy, w dużym stojącym kandelabrze paliła się niewielka świeczka, rzucając krąg drżącego światła. Grimpow podeszedł bliżej i jego twarz stała się widoczna dla tego, kto był ukryty poza jasnym kołem. Po chwili usłyszał głos wydobywający się z panujących wokół cieni.

- Kogo szukasz? - spytał mężczyzna, przerywając ciszę.

Słyszając głos cienia Grimpow uspokoił się i rozejrzał wokół, bezowocnie usiłując dostrzec, skąd dobiega.

- Szukam Aidora Bilbicum - powiedział po prostu.

Głos odezwał się, jak echo powtarzając jego ostatnie słowa.

- Aidor Bilbicum nie żyje, umarł przed wiekami.

- Wiem o tym - zgodził się Grimpow.

- Myślałem, że przyjdzie Iacopo de Estaglia.

- Iacopo de Estaglia zmarł minionej zimy w górach otaczających opactwo Brinkdum - spokojnie wyjaśnił Grimpow.

Zapadła chwila ciszy, którą Grimpow postanowił wykorzystać. Zapytał:

- Kim była kobieta, która kazała mi tu przyjść?

- Kimś w przebraniu stosownym na tę szczególną noc - odparł głos cienia, po czym zapytał: - Dlaczego szukasz Aidora Bilbicum?

- Mam dla niego wiadomość.

- Możesz przekazać ją mnie - rzekł głos. Grimpowowi wydawało się, że jest to głos szlachetnego starca.

- W niebie jest ciemność i światło.

- Zrobiłeś to, co ci polecił Kserket?

- Tak, w krypcie kościoła w Cornill.

- Jak ci się to udało?

- Dotknąłem napisu i znaku kluczem odsłaniającym tajemnice.

- I co się zdarzyło?

- Otworzyła się krypta bez ciała, w której spoczywa historia.

Grimpow zdawał sobie sprawę, że głos, który do niego przemawia jest głosem żywego człowieka, który nie chce wyjawić swojej tożsamości, a nie głosem ducha, niemniej jednak pragnął jak najszybciej opuścić opustoszałą katedrę.

- Masz ze sobą kamień? - spytał głos.

- Tak - potwierdził Grimpow pewnym głosem. - Czy chcecie go? - dodał.

- Nie. Kamień wybrał ciebie - odrzekł głos.

- Cóż więc mam czynić?

- Odgadywać kolejne zagadki, tak jak do tej pory. Obok świecy znajdziesz brakującą kartę rękopisu Aidora Bilbicum.

- Gdzie była schowana?

- Znalazłem ją przed laty w pracowni kopisty w tym mieście.

- Gurielf Labox też już nie żyje - oznajmił Grimpow.

- A więc dwóch nas już tylko pozostało na świecie - stwierdził głos cienia. - Teraz do ciebie należy, aby odnaleźć sekret mędrców i sprawić, żeby dotarł do ludzi. To jedyny sposób na to, aby światło mądrości oświeciło ludzkość i wytrąciło ją z ciemności przesądów i niewiedzy.

Grimpow spojrział na kandelabr, w którym była osadzona świeczka i obok niego, na kamiennej posadzce, odnalazł kartę pergaminu. Zbliżył ją do płomienia i przeczytał to, co było na niej napisane:

Podążaj za znakiem

I znajdź zapieczętowaną komnatę,

Gdzie czas jest życiem i jest śmiercią.

Jeśli uzyskasz nieśmiertelność

Ujrzysz Niewidzialną Drogę,

*Która zawiedzie cię na wyspę Ipsar
Zamieszkałą przez fantastyczne stwory.
Gdy pokonasz diabła, u jego stóp
Odnajdziesz ostatnie słowa.
Na koniec miń kolumny przejścia
I wejdź do labiryntu.
Tam zasiej ziarno
I zobacz, jak zakwita kwiat.*

- Ależ to nowe zagadki! - krzyknął Grimpow, ale nie doczekał się odpowiedzi. Głos cienia zamilkł na zawsze.

Podróż w beczce

Wracając do gospody Junna wąskimi, ciemnymi uliczkami, których gmatwanina otaczała strasburską katedrę, Grimpow napotkał paru zbrojnych, którzy wydawali się na swój sposób obchodzić świąteczny dzień. Jeden z nich zaintonował piosenkę, którą Grimpow nieraz słyszał z ust Durliba, gdy jeszcze mieszkali razem w górskiej chacie, a inni szli chwiejnie, rozchełstani, z niechlujnie porozpinanymi trokami przy pasach. Grimpow ze strachu starał się wydać niewidoczny, ale na szczęście mężczyźni byli tak pijani, że cały świat poruszał się przed ich oczyma w górę i w dół, jak gdyby znajdowali się na pokładzie statku unoszącego się na burzliwych morskich falach.

W wielkiej sali oberży było tłoczno. Zebrani w grupki mieszczanie, rzemieślnicy i kamieniarze pili prosto z wielkich dzbanów, które podnosili do ust zdecydowanym ruchem, a potem rękawami obcierali strużki wina, które ściekały im z kącików ust.

Grimpow przemknął po cichutku bokiem sali i ujrzał Junna rozmawiającego z nędznie ubranym człowiekiem o wyglądzie prostaka. Widząc Grimpowa, Junn oderwał się od towarzystwa obdartusa i podszedł do chłopca.

- Zaczynałem się już obawiać, że coś ci się stało - mruknął, wycierając ręce w zatłuszczoną szmatę.

- Spotkałem tego, kto nie istnieje! - powiedział Grimpow, który już nie mógł się doczekać, żeby komuś o tym opowiedzieć.

- Aidora Bilbicum? Teraz? - spytał z niedowierzaniem Junn.

Grimpow odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Gdzie są Weienell i Salietti? Muszę z nimi jak najszybciej pomówić.

- Kiedy wróciłem do gospody i powiedziałem im, że zgubiłem cię w tłumie, który świętował topienie Śmiercichy w dzielnicy kanałów, poszli cię szukać. Z pewnością niedługo wrócą. Lepiej idź na górę i poczekaj na nich w twoim pokoju. Obok drzwi na korytarz jest kawałek świecy - powiedział Junn, wracając do swego rozmówcy.

Grimpow wyciągnął rękę i w małej dziurze w murze wymacał ogarek świeczki. Zapalił go od pochodni płonącej w sali, popchnął stare drzwi wiodące do wąskiego korytarzyka i wszedł w ciemność. Światło świecy utworzyło wokół niego aureolę i rzuciło na

ściany jego cień. W towarzystwie swego cienia wszedł po schodach, ostrożnie otworzył drzwi i, upewniwszy się, że nikt nie czai się w pokoju, zamknął je za sobą na skobel.

Od ogarka zapalił świeczkę, która stała w lichtarzu na ziemi, obok łóżka. Potem usiadł w wykuszu okna i wyciągnął z zanadru kartkę, którą człowiek z cienia pozostawił w katedrze. Zaczął od przepisania zagadkowego tekstu alfabetem łacińskim i miał właśnie zamiar przystąpić do jego ponownej lektury, gdy usłyszał ciche stukanie do drzwi. Serce mu zamarło. Na szczęście byli to Salietti i Weienell, ze zmienionymi przez przeżyty strach twarzami.

- Czy można wiedzieć, gdzie byłeś? Śmiertelnie nas przestraszyłeś - Salietti był wyraźnie rozgniewany.

Grimpow zlekceważył lęki przyjaciela.

- Odnalazłem tego, kto nie istnieje i usłyszałem głos cienia! - powiedział jednym tchem, z wyraźnym zadowoleniem.

- Jak? - spytała krótko Weienell.

- Zaraz wam opowiem, co się wydarzyło, ale najpierw popatrzcie na to - Grimpow z tryumfem wyciągnął w ich kierunku brakującą stronę rękopisu Aidora Bilbicum.

Salietti zapomniał o tym, że jest obrażony, schwycił kartę i zbliżył ją do światła świecy, podczas gdy Weienell z ciekawością zaglądała mu przez ramię.

- Cóż tu może być napisane? Z pewnością to kolejne zagadki - mruknął Salietti, nie rozumiejąc ani słowa.

- A czego się spodziewałeś? Aidor Bilbicum ostrzegł nas już na pierwszej karcie manuskryptu. Pamiętasz? „Ten, kto będzie poszukiwał sekretu mędrców, musi przeniknąć wzrokiem mroki, które kryją nieodgadnione tajemnice” - wyrecytował z pamięci.

- Grimpow ma rację - powiedziała Weienell. - Teraz przynajmniej się dowiecie, z jakimi zagadkami będziecie musieli się zmierzyć.

Salietti popatrzył prosto w oczy Weienell i powiedział z naciskiem:

- Powiedz raczej: będziemy musieli. Teraz ty także jesteś częścią naszego małego oddziału. Jesteś to winna swojemu ojcu, podobnie jak ja swojemu.

- A więc pozwólcie, abym przypatrzyła się z uwagą temu tajemniczemu tekstowi - stwierdziła Weienell, z radością podejmując wyzwanie, zadowolona z tego, że została uznana za swoją. A gdy Grimpow podał jej przepisany przez siebie tekst, dodała: - Myślę, że ten kryptogram składa się z trzech części. Każda z nich stanowi jedną zagadkę. Pierwsza odpowiada temu fragmentowi:

*Podążaj za znakiem
I znajdź zapieczętowaną komnatę,
Gdzie czas jest życiem i jest śmiercią.
Jeśli uzyskasz nieśmiertelność
Ujrzysz Niewidzialną Droge,*

- Druga - ciągnęła dalej - jest zawarta w tych liniach:

*Która zawiedzie cię na wyspę Ipsar
Zamieszkałą przez fantastyczne stwory.
Gdy pokonasz diabła, u jego stóp
Odnajdziesz ostatnie słowa.*

- A trzecia i ostatnia - dodała z pewnością siebie - to ta:

*Na koniec miń kolumny przejścia
I wejdź do labiryntu.
Tam zasiej ziarno
I zobacz, jak zakwita kwiat.*

Salietti, mimo całej swojej miłości do Weienell, stwierdził słodkim jak miód głosem:

- Świetnie! A więc mamy tu wszystkie zagadki, jakie musimy rozwiązać, aby znaleźć sekret mędrców! Nie wiemy jednak nadal, jak się do tego zabrać.

- Zaczynając od początku - odpowiedziała Weienell z niewzruszonym spokojem. - Mój ojciec zawsze mówił, że to najlepszy sposób, żeby sobie poradzić z tajemnicą.

- A więc najpierw musimy się dowiedzieć, gdzie jest zapieczętowana komnata, w której czas jest życiem i śmiercią - wypunktował Salietti.

- W tym celu musimy pójść za znakiem - dodała Weienell, wciągając się w rozwiązywanie tych zagmatwanych poleceń, które musiały jednak z pewnością mieć jakieś logiczne wytłumaczenie.

- Myślę, że wiem, gdzie znajduje się zapieczętowana komnata, gdzie czas jest życiem i śmiercią - stwierdził Grimpow. - Myślałem już o tym w drodze do gospody. Znak nie może być niczym innym, niż Ouroborosem, węzem gryzącym się w ogon. To oczywiste, że ma on kształt... - tu zawiesił głos, czekając aż Salietti lub Weienell uzupełnią zdanie.

Ich namysł nie trwał długo. Weienell odezwała się niemal natychmiast:

- Koła! Zwinięty wąż, trzymający koniec ogona w pysku, tworzy krąg! - krzyknęła z zadowoleniem.

Salietti poczuł dumę z Weienell.

- To znaczy, że zapieczętowana komnata jest w zamkach Kręgu! - podsumował Grimpow tę część rozważań, po czym wszyscy troje pogratulowali sobie zdolności do rozwiązywania zagadek i wyrazili swoje zadowolenie z tego, że wiedzą już, jaki musi być następny krok. Tylko na twarzy Saliettiego zagościł przelotny wyraz zatroskania.

Grimpow obudził się przerażony. Był spocony jak ruda mysz, a przez głowę przelatywały mu fragmenty okropnego koszmaru, z którego właśnie się wyrwał. W śnie widział wyraźnie zakrwawione ciało Saliettiego, leżące na pobojowisku między setkami trupów. Obok stał on sam, Grimpow. Patrzył, nie mogąc się ruszyć, jak nadchodzi inkwizytor Bulvar z Goztell i wrywa mu z rąk kamień. Ojciec dominikanin śmiał się ohydnie i nakazywał swym zbirom powlec go przed sąd. Potem znów zobaczył siebie, rozciągniętego na łożu tortur i obudził się, słysząc własny wrzask zgrozy. Dyszał spazmatycznie, a serce biło mu jak oszalałe.

Rytm uderzeń serca zamienił się nagle w stukot drewnianej podeszwy, która wyrównywała długość nóg Junna. Jeśli gości gospody nie obudził wrzask, zrobił to z pewnością ten głuchy łomot. Grimpow wyskoczył z łóżka, odryglował drzwi i zobaczył, że głowa Saliettiego wychyla się zza drzwi pokoju przeznaczonego dla Weienell.

- Co się dzieje, Junnie? - spytał Salietti przerażonego i zadyszanego karczmarza.

- Musicie uciekać jak najprędzej! Do miasta dotarł inkwizytor Bulvar z Goztell w towarzystwie zbirów barona! Jest na waszym tropie! Zatrzymał paru mistrzów budowniczych katedry i kilku magów i alchemików, bo posądził ich, że mogli udzielić wam gościny.

- Powiniennem był zabić tego dominikanina, gdy miałem okazję - Salietti zazgrzytał zębami ze złości.

- Zejdę na podwórze przy piwnicy, aby przygotować konie do drogi - Grimpow ubierał się pospiesznie, stojąc w drzwiach do pokoju.

- Konno nie możecie wyjechać z miasta. Postawiono strażę, które rewidują wszystkich, którzy przejeżdżają przez mosty. Przyszykuję wóz, zaprzęgnę wasze konie i ukryję was w pustych beczkach po winie.

- Jeśli uda ci się wydostać nas poza bramy miasta, potem sami już spróbujemy się dostać do zamków Kamiennego Kręgu - powiedział Salietti.

- Do zamków Kręgu? To jak wpaść z deszczu pod rynnę. Atak na zamki już się

rozpoczął. Ludzie mówią, że sam baron Figueltach de Vokko mimo swej rany stanął na czele armii. Towarzyszy mu rycerz Valdigor de Rostvol i już udało im się zdobyć trzy zamki broniące fortecy diuka Gulfa od zachodu. Ich wierni obrońcy zdołali schronić się u boku diuka.

- Spróbujemy dostać się wschodnią przełęczą. Jeśli prędko wyruszymy, przed nocą dotrzemy do celu.

Wóz był gotowy już wczesnym rankiem. Junn zaprzął do niego dwie pary koni: trzy konie gości i jednego swojego, a ładunek składał się z sześciu beczek, trzech zwykłych i trzech zaopatrzonych w podwójne dno, wystarczająco wielkich, aby zmieściła się tam skulona osoba. Gdy nadszedł czas wyjazdu, Grimpow, Salietti i Weienell po kolei wchodzili każdy do swojej beczki, z okropnym uczuciem, że dają się pogrzebać żywcem w okrągłym, zatęchłym grobie. Junn zamknął każdą z beczek pokrywą i posmarował łączenia tłuszczem, aby wyglądały na dobrze zabezpieczone. Potem wdrapał się na kozioł, popędził konie i wyjechał na ulicę.

Wóz przejechał szybko przez dzielnicę rzemieślników i przez opustoszałą ulicę pisarzy i księgarzy, w dawnych czasach tętniącą życiem, lecz niemal wymarłą od kiedy rozpoczęły się prześladowania Inkwizycji. Po chwili minął cmentarz, gdzie zza szeregu wysokich cisów wyłaniały się wieże kościelne.

Zmierzali do północno-wschodniego wyjścia z miasta, strzeżonego przez straż uzbrojoną w halabardy i pugiwały. Jeszcze chwila i byli już na ufortyfikowanym moście nad Renem z trzema łukowymi bramami i trzema wieżami. Junn zatrzymał wóz, który dołączył do długiej kolejki innych wozów, jeden po drugim pilnie sprawdzanych przez strażników. Przed nimi stały wozy z sianem, warzywami, ptactwem i świniami. Junn zszedł z kozła z pewnym trudem, z powodu swojej ułomności, i udawał, że poprawia mocowanie ładunku. Popatrzył na prawo i lewo, a ponieważ w pobliżu nie było nikogo, udając, że zawiązuje sznury, przemówił do swoich beczek.

- Nie ruszajcie się i wstrzymajcie oddech, wyjeżdżamy ze Strasburga i strażnicy będą przeszukiwać wóz - ostrzegł cichym głosem.

Zdażył wymówić te słowa, gdy do wozu podszedł, w towarzystwie dwóch podwładnych, dowódca straży, korpulentny mężczyzna z czerwoną twarzą, świadcząca o upodobaniu do trunków. Junn utykając przesadnie zwrócił się w ich kierunku.

- Kogoż tu mamy! Przecież to Junn Kulawiec! Czyżbyś wiozł swoje chrzczone wodą wino spragnionym żołnierzom barona Figueltacha de Vokko, Junnie? - kpiąco stwierdził dowódca, rozpoznając woźnicę. Zdjął hełm z głowy i rękawem otarł pot z czoła.

W czeluściach zapieczętowanych beczek Grimpow, Weienell i Salietti wstrzymali oddech, słysząc ochryply głos strażnika i zamknęli oczy z przerażenia, choć i tak nic nie widzieli w swoich ciemnych i ciasnych kryjówkach.

- Coś mi się wydaje, że baron i jego żołnierze są teraz zajęci czymś ważniejszym, niż zaspakajaniem pragnienia moim winem, stary druhu - odparł Junn, zadowolony z łutu szczęścia, który mu się przytrafił. Dowódca był stałym bywalcem jego gospody.

- No pokaż, co tam wiesz. I powiedz, kogo zamierzasz uszczęśliwić tym cennym ładunkiem - powiedział dowódca straży, przechodząc ku tyłowi wozu.

- Wiozę sześć beczek najlepszego wina dla bogatego kupca tkanin z Isbroden i wierz mi, że mam zamiar je dowieźć w całości. Ani kropli cennego trunku nie mam prawa uronić po drodze - powiedział Junn, udając, że się świetnie bawi. - Jeśli jednak chcesz sprawdzić, czy moje wino jest istotnie tak dobre, jak mówię, możesz wziąć jeden z tych kraglutek bukłaków, gdzie mam je na spróbowanie, no i na własne potrzeby, bo nigdy nie zawadzi dobrze zwilżyć gardła - śmiał się, odwijając płótno, którym przykryty był wóz, tak aby widać było dobrze sześć beczek i dwa spore, skórzane bukłaki.

Dowódca podrapał się po głowie, jakby coś przemyślał, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie.

- No cóż, trzeba sprawdzić, czy ten kulawy i sprytny oberżysta nie łże - powiedział po chwili i gestem nakazał jednemu ze zbrojnych, aby wziął bukłak.

Strażnik podał halabardę drugiemu, złapał bukłak i wypił duży łyk wina.

- Dobre jest - powiedział krótko i podał bukłak dowódcy.

Ten poszedł jego śladem, podniósł bukłak w górę i długo nie odrywał go od ust. Potem dał go drugiemu strażnikowi, który przypiął się do skózanego worka, jak niemowlę do piersi mamki, a sam oblizwał kąciki ust, aby nie stracić ani kropli i powiedział:

- Przyjmujemy upominek, a teraz włącz na wóz i zmykaj, zanim połączysz się na twoje beczki.

Ukryci w beczkach słyszeli całą rozmowę i gdyby nie strach przed wykryciem, odetchnęliby głęboko z ulgą.

Junn wdrapał się na kozioł, ale zanim pogonił konie, zapytał:

- A cóż się dzieje w Strasburgu, że tyle ceregieli na tym moście?

- Szukamy trzech uciekinierów z fortecy barona Figuelta de Vokko. Jednym z nich jest rycerz, który zwyciężył w wiosennych turniejach. Towarzyszy mu dama piękna jak poranek. Ale trzeba się mieć na baczności, bo to czarownica.

- I ty wierzysz w te bujdy? - spytał Junn.

- Ja tam nie wierzę w nic, czego na własne oczy nie zobaczę. A jak jestem pijany, to nie wierzę nawet i w to - dowódca straży zarechotał, a jego śmiech rozległ się we wnętrzu beczek, jak grzmot.

Junn strzelił z bata i już wkrótce przejeżdżali pod ostatnią wieżą ufortyfikowanego mostu, pozostawiając za sobą miasto i lęk przed odkryciem.

Jechali ku północy, drogą wiodącą do pobliskiego miasta Isbroden. Gdy oddalili się już na bezpieczną odległość od mostu, Junn zatrzymał wóz w pobliżu stawu porośniętego gęsto sitowiem. Zszedł z kozła i uchylił płótno, które przykrywało beczki. Potem wdrapał się ponownie na kozioł i stamtąd zszedł na tył wozu. Zdjął pierwsze wieko z jednej z beczek, a wtedy drugie wieko popchnęły od środka czyjeś ręce i wyłoniła się twarz Weienell. Jeszcze trochę oszołomiona podróżą popatrzyła z upodobaniem na słońce, wyszła z beczki i zeskoczyła z wozu.

- Już myślałam, że na zawsze zostanę w tej ciemnej otchłani! - krzyknęła, wdychając powietrze z taką rozkoszą, jakby nigdy wcześniej tego nie robiła.

- Chodź tu, pomożesz mi otwierać beczki - poprosił Junn.

Salietti i Grimpow wyskoczyli z kryjówek z taką radością, jak młode liski, które znalazły wyjście z nory. Odpręgli konie od wozu, pozostawiając jedynie konia Junna i podziękowali mu serdecznie za wszystko, co dla nich uczynił. Przed rozstaniem Salietti wyciągnął z sakiewki garść złotych ziaren i wręczył je Junnowi.

- Chyba będzie lepiej, abyś przez jakiś czas unikał Strasburga. Złoto pozwoli ci się utrzymać do czasu, gdy będziesz mógł tam wrócić, nie narażając się, że Bulvar z Gostell upiecze cię żywcem, jakbyś był baranem przeznaczonym na rożen - powiedział.

- Wiesz dobrze, że nie pomagam ci dla pieniędzy. Twój ojciec i ty sam zrobilibyście to samo dla mnie. Ale nie pogardzę złotem, które mi dałeś, bo pozwoli mi uniknąć strasznej śmierci z rąk tego dominikanina. Pojadę na południe, do Mulhouse, gdzie mieszka mój brat. Nie widziałem go od lat. Mam nadzieję, że zastanę go przy życiu, a jeśli nie, to jego rodzinie przyda się moje wsparcie. Ma jedenaścioro dzieci i hoduje świnie.

Uściskali go serdecznie, a Junn życzył im powodzenia w poszukiwaniu mądrości, chociaż nie rozumiał, jakim sposobem można znaleźć tak nieuchwytny skarb.

Zapieczętowana komnata

Z przełęczy mogli dostrzec gęsty dym, który unosił się nad trzema zamkami Kręgu usytuowanymi po zachodniej stronie twierdzy diuka Gulfa de Östemberg. Tysiące jeźdźców, podobnych z oddali do gromady mrówek, nadciągało w jej kierunku i nikt nie wyjeżdżał im naprzeciw, aby stawić opór.

- Armia barona Figuelta de Vokko zdobyła pierwsze zamki Kręgu i dokonała wyłomu, przez który zaatakuje twierdzę diuka. Jeśli się nie pospieszymy, przetną nam drogę i nie dostaniemy się do zamku przed oblężeniem - stwierdził Salietti, patrząc z wysokości na piękną dolinę, która rozpościerała się przed ich oczyma.

Bujne łąki porośnięte gęstą trawą, przecięte przejrzystą, szeroką rzeką biegnącą ze wschodu na zachód i osiem tytanicznych, skalistych wzgórz o szczytach zwieńczonych ośmioma zamkami. W środku, na wysokim kopcu oblicowanym gładko szlifowanymi skalnymi ścianami, wznosiła się wielka forteca diuka Gulfa de Östemberg, najeżona wieżami i otoczona wysokimi murami.

Popędzili konie i jak strzały runęli w dół zbocza, zanim zdążyli ich dostrzec z oddali rycerze barona.

Jedyny dojazd do skalistego wzgórza, na którym wznosiła się forteca diuka Gulfa de Östemberg, znajdował się od wschodu, gdzie spadek zbocza był nieco łagodniejszy. Z tej strony mury obwodowe przedzamcza były zabezpieczone szeroką i głęboką fosą, a przy zwodzonym moście stała baszta bramna. Za nią widać było dwie wielkie, pękate wieże przedzielone murem. W jego łuku znajdowała się krata i podwójna brama. Zanim dotarło się do bramy wysokiego zamku należało pokonać wąski przesmyk, otoczony z dwóch stron murami z otworami strzelniczymi, skąd obrońcy mogli razić strzałami tych, którym udało się sforsować pierwszy pierścień murów, lać im na głowy wrzący olej i spuszczać głązy. Za tą pierwszą linią obrony wznosiły się wyniosłe mury wysokiego zamku.

O dziwo, Grimpow, Salietti i Weienell, którzy dotarli do pierwszej bramy nad fosą drogą wijącą się przez dolinę, nie mieli najmniejszych trudności z pokonaniem wszystkich tych zabezpieczeń. Gdy tylko strażnicy, śledzący okolicę z wież flankujących bramę dostrzegli samotnego rycerza z dwoma młodymi giermkami, uciekających co sił przed

forpocztą armii barona Figuelta de Vokko, zatrąbili, dając znak obsłudze bramy, która spuściła na chwilę zwodzony most i otworzyła ogromne, ciężkie wrota.

Przybysze zatrzymali się wewnątrz pierwszego pierścienia obwałowań, gdzie zszedł do nich dowódca straży. Salietti przedstawił się mu i zażądał widzenia z diukiem. Jeszcze nie skończył wyłuszczać motywów swej wizyty, gdy podszedł do nich rycerz, którego Salietti i Grimpow poznali już wcześniej.

- Po waszej nagłej ucieczce z turniejów nie spodziewałem się kiedykolwiek was zobaczyć, a tym bardziej tutaj, w tym schronieniu templariuszy ogarniętym wojenną pożogą - odezwał się poważny głos za ich plecami.

Przybysze odwrócili głowy i ujrzeli tajemniczego rycerza Rhadoguila de Curnilldonn, który towarzyszył Saliettiemu w drodze do twierdzy barona Figuelta de Vokko. To on powiadomił go o otruciu papieża Klemensa V i jego śmierci i powiedział, że ma w zamku barona misję do spełnienia. To jego, lub jego giermka, Salietti podejrzewał o wystrzelenie strzały z biało-czarnym bełtem, która zraniła Figuelta de Vokko, a im umożliwiła ucieczkę z twierdzy barona.

Rycerz Rhadoguil de Curnilldonn miał na sobie zbroję kolczą, a na nią nałożył długą, białą opończę, przepasaną pasem, przy którym zwisał miecz. Na jego piersi widniał wielki, czerwony krzyż zakonu templariuszy, a drugi podobny wyhaftowany był na plecach. Grimpow przyjrzał mu się uważnie i wspomniał, że widział już w swoim życiu identyczne szaty, gdy sługa Kense zabrał go do podziemnej groty w opactwie Brinkdum, aby mógł zobaczyć miecz, którym brat Rinaldo z Metz walczył podczas krucjaty.

- Co was tu przywiodło? - spytał templariusz, po przywitaniu się z Saliettim i odprawieniu dowódcy straży.

- Musieliśmy uciekać ze Strasburga, aby nie wpaść w łapy inkwizytora Bulvara z Goztell - wyjaśnił Salietti, starając się zapanować nad zaskoczeniem, jakie wywołał widok templariusza.

- Gdyby nie to, że tamtego dnia stanęliście mi na drodze i zasłoniliście cel, posłałbym mu strzałę między oczy. Co z nim zrobiliście, po porwaniu go z turnieju?

- Wrzuciłem go do Renu, mając nadzieję, że nurt rzeki go pochłonie - przyznał Salietti, żałując, że nie skończył raz na zawsze z niegodziwym inkwizytorem.

- Lepiej byłoby wbić mu sztylet prosto w serce i upewnić się, że nie żyje - parsknął templariusz, kładąc swą ciężką rękę na ramieniu Saliettiego.

Weienell i Grimpow pozostali przy koniach, zadowoleni, że udało im się ująć przed pościgiem czujek barona. Chcieli jak najszybciej rozpocząć poszukiwania zapieczętowanej

komnaty z rękopisu Aidora Bilbicum, w której czas był życiem i śmiercią. Obawiali się, że nie zdołają jej odnaleźć, zanim wojska barona Figuelta de Vokko i króla Francji, gorąco pożądanymi ich sekretu, rozpoczną szturm.

Podczas drogi do zamków Kręgu Grimpow opowiedział Weienell legendę o dziewięciu pierwszych templariuszach i o magicznym przedmiocie, przed dwoma wiekami przywiezionym przez nich z Jerozolimy do Francji, a teraz kończył jej streszczać przyczyny, dla których sądzono, że sekret mędrców został ukryty w fortecy diuka Gulfa. Jednak Grimpow, Weienell i Salietti wiedzieli już, że cokolwiek ukryto w murach tej fortecy, nie był to sekret mędrców. Mówiła o tym ostatnia karta rękopisu Aidora Bilbicum. Przed nimi była jeszcze daleka droga. Musieli dotrzeć do tajemniczej wyspy Ipsar, zamieszkałej przez fantastyczne stwory, zwyciężyć diabła i znaleźć u jego stóp ostatnie słowa, potem minąć kolumny przejścia i wejść do labiryntu, tam posiać ziarno i ujrzeć, jak rozkwita kwiat. Grimpow nie mógł przestać rozmyślać o znaczeniu tego skomplikowanego kryptogramu, choć podejrzewał, że jeśli uzyskają nieśmiertelność w zapieczętowanej komnacie, ujrzą Niewidzialną Drogę, która doprowadzi ich do sekretu mędrców. Jego największym zmartwieniem był jednak koszmar senny, który nawiedził go tej nocy w gospodzie Junna, a zwłaszcza widok ciała Saliettiego leżącego na pobojowisku. Miał dziwne, niesprecyzowane przeczucie, do którego niechętnie się przyznawał sam przed sobą, że wizja ta nie była jedynie złym snem.

- Widzieliśmy pierwsze zamki kręgu spustoszone przez armię barona i króla Francji - powiedział Salietti.

- Tak istotnie się stało, ku naszemu ubolewaniu, pomimo ogromnych wysiłków ich walecznych obrońców. Ale cóż mogła począć garstka zbrojnych przeciwko kilkudziesięciu armii wyposażonej w potężne maszyny oblężnicze? Na szczęście wszyscy obrońcy zdołali dotrzeć tutaj, do fortecy, której zdobycie wrogowi nie przyjdzie tak łatwo - stwierdził zgaszonym głosem Rhadoguil de Curnilldonn. - A teraz chodźmy, bo diuk Gulf de Östemberg nie może się doczekać, aby was poznać. Jest w donżonie ze swymi doradcami, obserwuje ruchy wrogich oddziałów w dolinie i szykuje się do długiego oblężenia, które nas czeka.

- A więc diuk de Östemberg wie o moim istnieniu? - zdziwił się Salietti.

- Oczywiście. Znał też, jak mi powiedział, waszego ojca, Iacopa de Estaglia, który był wielkim przyjacielem jego ojca - potwierdził templariusz, dając wiele do myślenia Saliettiemu. - Rozmawiałem z nim o was, kiedy tu dotarłem po niepowodzeniu mojej misji, którą miało być zabicie króla Francji w czasie turniejów i po zamachu na życie barona. Opowiedziałem mu o waszym zwycięstwie, ucieczce ze szranków i porwaniu pięknej damy,

która wam towarzyszy. Kiedy przed chwilą zobaczyłem, jak pędzicie w kierunku fortecy, poganiając wasze konie, jakby gonił was diabeł we własnej osobie, nakazałem jak najprędzej spuścić most. Możecie mi wierzyć, że diuk Gulf nawet w tej ciężkiej chwili odczuwa radość z waszego przybycia.

Salietti wiedział, że jego ojciec często podróżował do Strasburga, bo przecież towarzyszył mu kilkakrotnie, gdy jeszcze był dzieckiem. Nie domyślał się jednak, że ojciec i diuk Gulf się znają. Jeśli tak było, Weienell nie myliła się, twierdząc, że jej ojciec miał zwyczaj spotykać się z innymi uczonymi w zamkach Kamiennego Kręgu.

Podążyli w kierunku drugiego pierścienia murów drogą tak wąską, że ledwo mieściła obok siebie dwa konie. Przeszli przez szyję bramną, potem strażnik podciągnął w górę kratę i znaleźli się na obszernym podwórku, na którym panował duży ruch. Tłum rycerzy i zbrojnych zajmował pozycje na murach, sposobiąc się do nieuchronnego nadejścia wrogiej armii do stóp kamiennego wzgórza. Przybysze pozostawili konie na dziedzińcu przy stajniach, wzięli sakwy i weszli do donżonu.

Z blanków wysokiej wieży diuk Gulf de Östemberg z goryczą i niepokojem przyglądał się niepowstrzymanemu potokowi ludzkemu podchodzącemu do podnóża fortecy. Trzy zamki, które już zostały zdobyte, płonęły na horyzoncie jak gigantyczne pochodnie. Ich obrońcy schronili się w fortecy wzmacniając siłę stałej załogi. Gotowali się teraz do walki, szykowali strzały i łuki, ostrzyli miecze, napełniali beczki wodą do gaszenia pożarów.

Diuk de Östemberg był ledwie o parę lat starszy od Salietti, ale jego błękitne oczy i siwiejąca już, krótko przycięta broda, nadawały mu wygląd majestatycznego spokoju i mądrości.

- Przybywacie tu w tragicznej godzinie, kiedy barbarzyństwo i głupota zapisują kolejne krwawe karty historii.

Tymi słowami przywitał diuk Gulf Salietti, który wszedł właśnie do komnaty poprzedzony przez rycerza Rhadoguila de Curnilldonna, w towarzystwie swych młodych przyjaciół.

- Cieszę się, że zdążyłem na czas, aby oddać mój miecz na wasze usługi i walczyć przy boku waszym i waszych rycerzy - odparł Salietti, zginając się w lekkim ukłonie.

Weienell i Grimpow pozostali nieco w tyle, oczekując, aby Salietti ich przedstawił.

- Witam więc was serdecznie w zamkach Kamiennego Kręgu, jak zawsze witałem waszego ojca, Iacopa de Estaglia, choć on nie służył mi innym orężem, oprócz swej ostrej jak stal inteligencji.

- Nie wiedziałem, że mój ojciec odwiedzał waszą fortecę - zauważył Salietti.

- Wasz ojciec był wielkim przyjacielem mojego ojca i innych uczonych mężów, którzy zbierali się w jednej z sal tego zamku parę razy do roku, choć od tego czasu minęło już sporo lat - wyjaśnił diuk głosem, w którym można było odczuć nutę tęsknoty za dawno minionymi szczęśliwymi czasami.

Słyszając o sali, w której zbierali się mędrcy, Salietti, Grimpow i Weienell poczuli, jak dreszcz przechodzi im po krzyżu. Myśleli, że zapieczętowana komnata była czymś, co dopiero będą musieli odnaleźć, a oto wydawała się znajdować w ich zasięgu, tak po prostu, bez żadnego trudu.

- Rycerz Rhadoguil de Curnilldonn powiedział mi, że osobiście poznaliście mojego ojca - wypytywał Salietti.

- Byłem jeszcze chłopcem, gdy wasz ojciec podarował mi ciekawy kryształ. Gdy się przez niego patrzy, małe rzeczy wydają się większe. Gdy natomiast umieści się go tak, aby prostopadle padały na niego promienie słońca, rozpała niebieskim ogniem drewno lub słomę - z uśmiechem powiedział diuk.

- A więc musieliście poznać także uczonego o imieniu Gurielf Labox - podchwycił Salietti, widząc wyczekujący wzrok Weienell.

- Tak, oczywiście. To inny z mędrców, z którymi mój ojciec spotykał się w tej sali, o której wspomniałem - potwierdził diuk.

Salietti skinął na Weienell i Grimpowa, aby podeszli, i przedstawił ich księciu. Potem opowiedział mu o śmierci swego ojca na ośnieżonych stokach Ullpens i o śmierci ojca Weienell z rąk inkwizytora Bulvara z Goztell. Diuk złożył obydwójgu swoje kondolencje i dodał:

- Jestem pewien, że to spotkanie w chwili tak dramatycznej dla zamków Kręgu nie jest przypadkowe. Przysłuży się uczczeniu pamięci naszych ojców, a może się też okazać pożyteczne w inny sposób. Chodźcie ze mną, chciałbym pokazać wam salę, w której zbierali się uczeni mężowie i opowiedzieć wam historię, o której nigdy nikomu nie mówiłem.

Diuk Gulf przekazał chwilowo dowództwo rycerzowi Rhadoguilowi de Curnilldonn i w towarzystwie swych gości zszedł z wieży. W milczeniu przecięli główny dziedziniec, gdzie trwała krzątanina obrońców, z niepokojem śledzących zbliżanie się wrogiej armii nadciągającej od zachodniej strony doliny. Diuk zdawał sobie sprawę, że jako pan zamku nie powinien w takiej chwili opuszczać miejsca dowodzenia, ale zmuszała go do tego dawno złożona przysięga oraz dziwne uczucie przyciągania, jakie wywołali w jego sercu przybysze. Czuł, że koniecznie musi ich zaprowadzić do sali, w której dawniej zbierali się uczeni, i do której nie wszedł od chwili śmierci swego ojca. Także Weienell i Salietti odczuwali w

stosunku do diuka uczucie przyjaźni, wywołane czymś tak nieuchwytnym, jak wspólna historia przodków i ich starania, aby osiągnąć mądrość. Już za chwilę wszyscy mieli się przekonać, że łączy ich także zapomniana legenda dotycząca pewnej tajemnicy.

W głębi głównego dziedzińca znajdowały się żelazne drzwi osadzone w łukowej framudze. Diuk Gulf ujął w rękę pochodnię, zatknął ją w metalowej obręczy na murze, zapalił ją i wspólnie zeszli po wąskich, krętych schodach do niewielkiej, okrągłej sali. Sala była całkowicie pusta. Na kopulastym sklepieniu być może kiedyś znajdowało się wyobrazenie sklepienia niebieskiego. Ale tym, co z miejsca przyciągnęło uwagę Grimpowa, Weienell i Saliettiego był napis, znajdujący się na murze na wprost drzwi. Duże litery wryte w skalnej ścianie głosiły po łacinie:

TEMPUS EST VITA

TEMPUS EST MORS

„Czas jest życiem, czas jest śmiercią”, pomyśleli trzej towarzysze diuka, już bez najmniejszych wątpliwości przeświadczeni, że znajdują się w pobliżu zapieczętowanej komnaty wspomnianej na ostatniej karcie manuskryptu Aidora Bilbicum. Rękopisu, który Grimpow miał ze sobą w sakwie przewieszanej przez ramię, razem z pergaminem z Ullpens i ze złotą pieczęcią.

Diuk Gulf momentalnie zdał sobie sprawę, że tekst wryty na skale przyciągnął silnie uwagę jego gości, a zwłaszcza chłopca o imieniu Grimpow, który wpatrywał się w łaciński napis, jak gdyby chciał dojrzeć w nim coś więcej, niż tylko jego oczywiste znaczenie.

- To o tym właśnie tajemniczym napisie chciałem z wami pomówić, zanim będzie za późno - powiedział diuk poważnym głosem. I zanim któryś z obecnych zdążył coś powiedzieć, zaczął opowieść: - Jeden z moich dalekich przodków, Atberol de Östemberg, był w swej młodości uczniem mędrca zwanego Aidor Bilbicum. Uczony ten podróżował po krajach Wschodu, wiedziony swą pasją do astronomii i tam otrzymał od tajemniczego mędrca cudowny kamień, znany z legend jako *lapis philosophorum*. Jednocześnie mędrzec ów wyjawiał Aidorowi Bilbicum, że w ruinach Świątyni Króla Salomona w Jerozolimie został ukryty inny, cudowny przedmiot, o niezwykłych wprost właściwościach. Gdyby wieść o istnieniu tego przedmiotu rozeszła się po świecie, stałby się on obiektem pożądania wszystkich królów i władców. Atberol de Östemberg towarzyszył Aidorowi Bilbicum i innym członkom tajnego stowarzyszenia, zwanego Ouroboros, w podróży do Ziemi Świętej. Miało to miejsce jeszcze przed pierwszą krucjatą. W tamtym czasie zrujnowane stajnie Świątyni

obrało sobie za siedzibę dziewięciu mnichów - rycerzy, którzy utworzyli Zakon Rycerzy Świątyni Jerozolimskiej. Mędrcy ze związku Ouroboros wydobyli z ruin tajemniczy przedmiot i zlecili jego przewiezienie wozem do Francji tym właśnie rycerzom, którzy mieli go w drodze ochraniać przed muzułmanami i rozbójnikami. Za tę przysługę wypłacili im olbrzymie sumy w złocie. Mędrcy ukryli przedmiot w nieznanym nikomu miejscu, a Zakon Rycerzy Świątyni Jerozolimskiej zaczął rosnać w siłę...

- Z wyjątkiem wzmianki o waszym przodku, Atberolu de Östemberg, który, jak się okazuje, był jednym z założycieli tajnego stowarzyszenia Ouroboros, historia ta jest nam znana. Dowiedzieliśmy się o niej od samego Aidora Bilbicum, który pozostawił po sobie manuskrypt zatytułowany *O kosmicznej istocie kamienia* - przerwał Salietti. - Ale mówcie dalej. Wydaje się, że wasza opowieść może stanowić brakujące ogniwo w łańcuchu tej fascynującej legendy.

- Istotnie, historia zamieniła się w legendę. Stało się to wtedy, gdy rycerze Zakonu Świątyni Jerozolimskiej obrośli w bogactwa i zdobyli tak wielką potęgę, że wzbudzili tym zawiść królów, cesarzy i papieża. Wszyscy uwierzyli, że dziewięciu założycieli Zakonu znalazło w Świątyni Króla Salomona skarb o nieocenionej wartości. Jednak powrócę teraz do mojego przodka. Był on ukochanym uczniem Aidora Bilbicum i to on, po śmierci swego mistrza, zajął się jego pochówkiem w krypcie w...

Salietti ponownie przerwał diukowi.

- Ta krypta znajduje się w kościele we wsi Cornill, na północ od miasta Ullpens.

- Widzę, że nie myliłem się, sądząc, że teraz wy posiadacie kamień. Niewątpliwie zaciekawili was to, co jeszcze mam do powiedzenia.

- Mój przodek, Atberol de Östemberg, także otrzymał kamień od Aidora Bilbicum. Pochował w krypcie ciało mistrza wraz z manuskrytem, który już znacie. Następnie, w jakimś miejscu tego zamku ukrył wskazówki, które pozwalają dotrzeć do sekretu mędrców. Atberol de Östemberg nie powiedział nikomu, gdzie i co ukrył, i przykazał swym synom, aby nigdy nikomu obcemu nic o tym nie mówili. Natomiast, jeśli do zamku przybyłby jakiś mędrzec i chciał odwiedzić tę salę, mieliby go tu przyprowadzić i pozostawić samego na tak długi czas, jaki byłby potrzebny. Nie powinni by też dziwić się, jeśli nie zobaczyliby go wychodzącego z powrotem.

Słowa te przstraszyły Grimpowa. Nie wiedział, co miałyby oznaczać, że kogoś, kto by pozostał sam w tej sali, nigdy by już nie widziano. Wyobraził sobie, że ten ktoś zniknął nagle, podobnie jak w górach przed jego oczyma zniknęło ciało ojca Saliettiiego.

- Atberol de Östemberg kazał także swym synom przysiąc, że historię, którą od niego

usłyszeli, opowiedzą swym własnym synom i każą im złożyć przysięgę, tak, aby zawsze istniał jakiś diuk de Östemberg, który będzie znał wskazówkę umożliwiającą przyszłym powiernikom kamienia odnaleźć drogę do sekretu mędrców, gdy nadejdzie na to czas. Wiem, że mój ojciec, podobnie jak wasi ojcowie, był jednym z członków tajnego stowarzyszenia Ouroboros i że w tej sali odbywały się narady mędrców. Ja sam złożyłem memu ojcu przysięgę, której Atberol de Östemberg zażądał od swych synów, a teraz dotrzymałem jej - zakończył diuk.

- Obawiacie się, że baron Figueltach de Vokko może zdobyć fortecę i odnaleźć wskazówki wiodące do sekretu mędrców, które ukrył tu wasz przodek? - spytał Salietti.

- Baron Figueltach de Vokko i król Francji ścigają chimere, wiedzeni ambicją i strachem przed śmiercią. Wydaje im się, że w tym zamku został ukryty legendarny skarb templariuszy i to jego szukają. Jestem pewien, że wydobyli jakieś informacje od torturowanych templariuszy i zinterpretowali je tak, jak było im wygodnie. Zwierzę się wam, że ja sam prowadziłem poszukiwania we wszystkich zakamarkach zamku i nie znalazłem niczego, oprócz tego tajemniczego łacińskiego napisu, który mówi, że czas jest życiem i śmiercią. W obrębie tych murów nigdy nie było innego skarbu, niż mądrość. A teraz wam, jako powiernikom kamienia, przypada tu pozostać w samotności. Wybaczcie więc, że odejdę. Zuchwały Figueltach de Vokko ze swoją armią stoi już u podnóża murów zamkowych i musimy go przywitać tak, jak na to zasługuje. Mam nadzieję, że niebawem się zobaczymy - zakończył diuk, zbierając się do wyjścia.

- Poczekajcie - zawołał Salietti. - Pójdę z wami. Jak obiecałem, oddaję swój miecz na wasze usługi. Będę bronił zamków Kamiennego Kręgu, ile sił stanie. Nie jestem mędrce. Nigdy nim nie byłem i nie sądzę, abym kiedykolwiek się nim stał. Jestem rycerzem, a miejsce rycerza jest w boju.

Weienell i Grimpow poczuli się samotni i opuszczeni. Pomyśleli o słowach diuka Gulfa i zdjęła ich obawa, że jeśli uda im się wejść do zapieczętowanej komnaty, być może nigdy już nie zobaczą Saliettiego.

Czas jest życiem, czas jest śmiercią

Gdy pozostali sami w sali, która niegdyś była salą zebrań mędrców z tajnego stowarzyszenia Ouroboros, Grimpow schwycił pochodnię i przy jej świetle zaczął przyglądać się dokładnie murom, szukając jakiejś szczeliny. Jednak kamienne ściany sali były tak gładkie, że wydawały się z litej skały. Weienell szła za nim, pogrążona w myślach o czasach, kiedy jej ojciec spotykał się w tym tajemniczym pomieszczeniu z ojcem Saliettiego i ojcem diuka Gulfa de Östemberg, aby rozważać zagadnienia astronomii i innych dziedzin wiedzy. Zastanowiła się, czy jej ojciec i inni mędrcy zdawali sobie sprawę z tego, że przebywają tuż obok zapieczętowanej komnaty, o której mówi manuskrypt Aidora Bilbicum.

- Zapieczętowana komnata, gdzie czas jest życiem i jest śmiercią musi znajdować się tutaj, tego jestem pewien. Taki jest sens tego łacińskiego tekstu wyrytego na skale. Ale nie wiem, jak otworzyć komnatę - stwierdził Grimpow, zbliżając światło pochodni do napisu i odczytując go ponownie na głos.

TEMPUS EST VITA

TEMPUS EST MORS

- „Czas jest życiem, czas jest śmiercią” - powtórzyła Weienell, równie jak Grimpow ciekawa prawdziwego znaczenia zagadkowych słów.

Grimpow wręczył pochodnię Weienell, wyjął kamień z lnianego woreczka i podobnie, jak to uczynił w krypcie kościoła w Cornill, dotknął nim napisu wyrytego na skale. Sądził, że sposób otwierania zapieczętowanej komnaty będzie taki sam, jak sarkofagu, w którym on i Salietti odnaleźli manuskrypt Aidora Bilbicum. Niestety, szybko przekonał się, że to nie klucz do tajemnic miał moc rozwierania kamiennych ścian, które otaczały ich nieprzeniknionym kręgiem.

- Z pewnością Atberol de Östemberg, przodek diuka Gulfa, był tak samo sprytny i pomysłowy, jak jego mistrz, i wymyślił jeszcze bardziej skomplikowany i wyrafinowany sposób ochrony swojej zagadki, niż kryptogram, który udało nam się odgadnąć w ciemnej krypcie kościoła w Cornill - powiedział Grimpow, jakby starając się sam siebie przekonać. -

Wydaje mi się jednak, że słowa TEMPUS EST VITA, TEMPUS EST MORS znaczą po prostu to, co wyrażają.

- Ja też nie uważam, aby ten napis był anagramem i aby zmieniając układ liter można było otrzymać inny tekst. Rozwiązanie zagadki wydaje się być zawarte w samym znaczeniu napisu - powiedziała Weienell.

W tej samej chwili zauważyła, że we wnętrzu litery O w słowie MORS znajduje się maleńki, wyłobiony rysunek węża trzymającego ogon w pysku.

- Popatrz! Znak Ouroborosa! - krzyknęła, przysuwając bliżej pochodnię, aby cienie rzucane przez litery nie przeszkadzały im w dokładnym obejrzeniu znaku.

Grimpow wspiał się na palce, aby lepiej widzieć i stwierdził, że istotnie w literze O znajduje się mały, wklęsły ryt, bliźniaczo podobny do wycisku w laku na pergaminie, który miał ze sobą rycerz zmarły w górach. Nagła myśl jak błyskawica przeszła mu umysł, pozwalając ponownie ujrzeć światło w ciemnościach.

- Pieczęć! Kluczem, który otwiera tę komnatę jest złota pieczęć! To dlatego karta z manuskryptu Aidora Bilbicum mówi o zapieczętowanej komnacie - wykrzyknął z entuzjazmem.

- Jaką złotą pieczęć masz na myśli? - spytała Weienell, która nie rozumiała, o czym mówi Grimpow.

- Pieczęć, którą miał w sakwie ojciec Saliettiego, gdy znalazłem jego ciało w górach Ullpens, w pobliżu opactwa Brinkdum - wyjaśnił Grimpow. Otworzył torbę przewieszoną przez ramię i wyjął z niej złotą pieczęć ze znakiem Ouroborosa. - Komnata została zapieczętowana tą pieczęcią i jedynie nią można ją otworzyć. To dlatego ojciec Saliettiego, Iacopo de Estaglia, miał ze sobą kamień, wiadomość i złotą pieczęć. Nikt, kto nie posiada tych trzech przedmiotów, nie może odnaleźć sekretu mędrców. Kamień - mówił dalej - pozwalał otworzyć kryptę, gdzie złożona była historia tajemnego stowarzyszenia Ouroboros. W zaszyfrowanej wiadomości znajdowała się wskazówka, aby szukać tego, kto nie istnieje i wysłuchać głosu cienia, a ta pieczęć jest kluczem, który otwiera zapieczętowaną komnatę, gdzie czas jest życiem i jest śmiercią. Czy teraz rozumiesz? - spytał.

Weienell potaknęła bez zbytniego przekonania. Jednak zanim zdążyła coś powiedzieć, Grimpow zbliżył złotą pieczęć do małego znaku Ouroborosa wrytego na skale. Rozległ się głuchy rumor, zatrzęsła się posadzka sali i blok skalny z napisem TEMPUS EST VITA, TEMPUS EST MORS odsunął się na bok, otwierając przed nimi drzwi do zapieczętowanej komnaty.

Pierwsza przekroczyła próg Weienell, niosąc pochodnię, i stanęła w zachwycie

widząc, jak wspaniałe jest tajemnicze pomieszczenie. Gdy także Grimpow wszedł do środka, drzwi komnaty zamknęły się za nimi gwałtownie. Sala miała kształt ośmiokąta. Na każdej z jej ośmiu ścian znajdowało się inne malowidło, a w rogach stały na postumentach wielkie znicze, które Weienell zapaliła od pochodni. Popatrzyli na niewiarygodnie piękne sklepienie, wyobrażające nieboskłon usiany gwiazdami, przejrzysty, jak nieskończone nocne niebo.

Jednak zanim zdążyli się pogрузić w kontemplacji cudów zdumiewającej komnaty, w jednej ze ścian otworzyła się zapadnia i zaczął się z niej wydobywać drobny, żółty piasek, rozlewając się po posadzce, jak strumień złotej wody.

- To pułapka! Zapieczętowana komnata jest pułapką! - krzyknął Grimpow z przerażeniem, zdając sobie sprawę, że strumień piasku podobny do płynnego złota zasypie ich żywcem, jeśli nie zdążą szybko odgadnąć zagadki, jaką zawierała komnata.

Weienell popatrzyła na otwór, z którego sypał się piasek i pomimo, że sama była przerażona, starała się uspokoić Grimpowa.

- Rozumiem teraz znaczenie łacińskiego tekstu znad wejścia i słów Aidora Bilbicum, który napisał, że w zapieczętowanej komnacie czas jest życiem i jest śmiercią - powiedziała. - Ta komnata jest klepsydrą i mierzy nam czas, w którym musimy rozwiązać zagadkę. Ocalimy życie, jeśli zdołamy to zrobić, zanim będzie za późno, jednak jeśli się nam to nie uda, płynący czas będzie oznaczał naszą śmierć. *Tempus est vita, tempus est mors*. To dlatego diuk Gulf powiedział nam, że jego przodek uprzedził ich, iż nie powinni się dziwić, jeśli nigdy już nie ujrzą kogoś, kto pozostanie sam w sali zebrania mędrców - dodała z wyrazem rozpacz na twarzy.

Teraz i Grimpow pojął prawdziwe znaczenie łacińskiego napisu. Popatrzył na zasypaną piaskiem podłogę i starał się obliczyć, ile czasu zostało do chwili, gdy piasek dojdzie im do pasa. Wspomniał słowa pustelnika, którego wraz z Saliettim spotkali w kaplicy na rozstajach dróg w pobliżu miasta Ullpens: „Przekłęci, którzy odważą się przeniknąć istotę tajemnicy, albowiem drzwi, które zdołają otworzyć, na zawsze zamkną się za nimi”. Wtedy tego nie zrozumieli. Ogarnął go lęk, że klątwa właśnie zaczęła się spełniać, podobnie jak przekleństwo rzucone ze stosu przez wielkiego mistrza templariuszy na papieża i króla Francji.

Pośrodku komnaty stał wielki, ośmiokątny stół. Na jego masywnym blacie widniała intarsja przedstawiająca różę wiatrów. Przy jednym z ośmiu promieni róży wiatrów znajdował się znak w kształcie niewielkiego, ośmiokanciastego krzyża, natomiast w jej środku przytwierdzona była duża, odlana z brązu litera. Przy każdym z boków stołu znajdowała się statua z brązu naturalnej wielkości przedstawiająca mędrca odzianego w

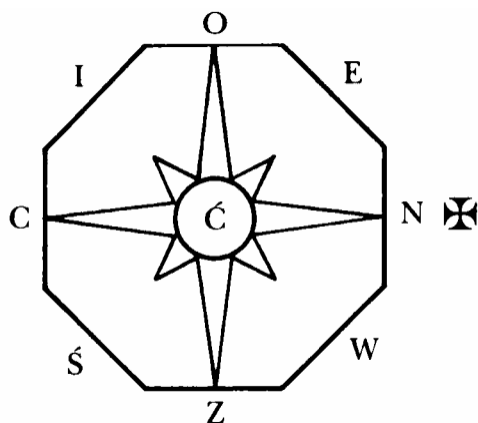
fałdzistą togę i siedzącego na czymś w rodzaju tronu. Ręce ośmiu mędrców były oparte o stół, każdy z nich trzymał jedną metalową literę. Weienell wpatrzyła się w rzeźby, które wyglądały niemal jak ludzie z krwi i kości; brakowało im tylko tchnienia życia. Chciała odnaleźć wśród nich twarz swego ojca, ale żadne oblicze o poważnym spojrzeniu i długiej brodzie go nie przypominało. Zawiódł się także Grimpow, który spodziewał się odnaleźć wśród mędrców niezapomnianą, skostniałą twarz rycerza znalezionego w górach. Tylko rysy jednej z ośmiu figur przypomniały im kogoś żyjącego - diuka Gulfa - choć były rysami starego człowieka.

- Sądzę, że figury z brązu przedstawiają ośmiu założycieli tajnego stowarzyszenia Ouroboros, którzy znaleźli i ukryli sekret mędrców - stwierdził Grimpow, już nieco spokojniejszym głosem. Zaczynał właśnie nadawać jakiś sens scenie, która wydawała się zawieszona w czasie. Czasie, który był uwięziony w tych nieruchomych figurach, a jednak płynął nieubłaganie w dziwacznej, piaskowej klepsydrze, w jaką zamieniła się zapieczętowana komnata, obiecując im życie lub grożąc śmiercią. Lecz teraz Grimpow i Weienell wiedzieli już, że wszystko zależy od tego, czy zdołają na czas rozwiązać skomplikowaną układankę, złożoną ze wszystkich elementów znajdujących się w sali.

- Jeśli chcemy ująć stąd z życiem, musimy przeanalizować po kolei każdy z możliwych elementów zagadki, aby wpaść na pomysł, jak ją rozwiązać - zaproponował Grimpow.

- A więc zacznijmy od początku, jak zawsze zalecał mój ojciec. To jasne, że na środku pomieszczenia mamy ośmiokątny stół, z figurami mędrców siedzącymi przy każdym z boków. Oczywiście jest także to, że każdy z nich trzyma w rękach literę. Jedna litera znajduje się zaś na środku stołu, czyli razem jest ich dziewięć.

- To prawda - powiedział Grimpow, zdając sobie sprawę, że Weienell jest sprytniejsza, niż sądził. - Pomyślałem, że być może litery odpowiadają inicjałom imion mędrców, ale nie widzę wśród nich litery A, jak Aidor Bilbicum, ani jak Atberol de Östemberg, a to są jedyne dwa imiona pierwszych członków stowarzyszenia Ouroboros, jakie znamy. Sporządzę rysunek stołu i liter, które trzymają mędrcy, bo to z pewnością pomoże nam rozjaśnić mroki tajemnicy - stwierdził Grimpow, wyciągając z torby kawałek pergaminu i węgielek, po czym nakreślił szkic stołu.



- Na stole przedstawiona jest róża wiatrów, która wskazuje cztery strony świata - powiedziała Weienell. - Jeśli dobrze się przyjrzyysz, zobaczysz, że przy jednym z promieni znajduje się mały rysunek krzyża zakonów rycerskich. W ten sposób na mapach oznacza się Wschód, czyli drogę do Jerozolimy. Wiem o tym od ojca - zakończyła Weienell.

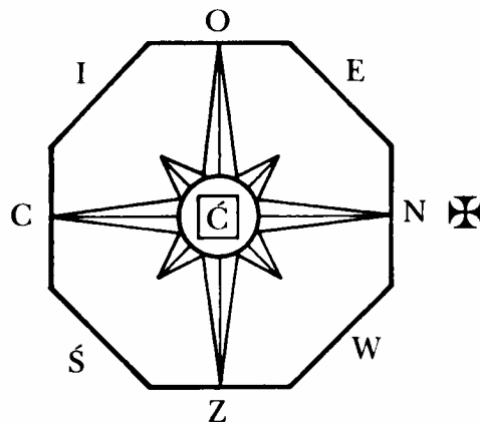
- To wspaniałe, Weienell, nie zdawałem sobie z tego sprawy - przyznał Grimpow. - Róża wiatrów, ze swymi ośmioma promieniami i krzyżem, wskazuje na związek stowarzyszenia Ouroboros z Zakonem Rycerzy Świątyni, którzy bronili Jerozolimy i pomogli mędrcom w przewiezieniu do Francji tajemniczego przedmiotu. Mamy też dziewięć liter, co nawiązuje do pobytu dziewięciu pierwszych templariuszy przez dziewięć lat w Jerozolimie. Ten stół i ta komnata to odbicie w pomniejszeniu ośmiu zamków Kamiennego Kręgu ze znajdującym się w środku dziewiątym zamkiem diuka Gulfa. Ośmiokąt, jak nauczyłem się w opactwie, przedstawia sobą doskonałą harmonię między Niebem i Ziemią, zrównoważone połączenie między tym co boskie i tym, co ludzkie, wzajemne uzupełnianie się ducha i materii, duszy i ciała, tego, co widzialne i tego, co niewidoczne wokół wspólnego środka wszechświata.

- Następnie mamy malowidła, które ozdabiają każdą ścianę tworzącą boki ośmiokątnej sali - ciągnęła Weienell, podczas gdy Grimpow pracował nad rysunkiem. - Jeśli zaczniemy od Wschodu, wskazanego przez krzyż templariuszy, a potem będziemy posuwać się w prawą stronę, zgodnie z kierunkiem obrotu ziemi wokół osi, możemy zaobserwować, że pierwsze malowidło przedstawia czarną masę, pozbawioną kształtu i koloru; na drugim grupę planet tworzą wyimaginowany świat, na trzecim jest dwanaście gwiazdozbiorów i ich symbole; na czwartym promieniejąca światłem kula; na piątej kościotrup trzymający w ręku klepsydrę; na szóstym półnagi człowiek o prymitywnej twarzy obserwuje płonąca gałąź, na siódmym jest wąż trzymający w pysku ogon. Na ósmym jest coś dziwnego, jakby wypolerowana miedziana blacha - zakończyła Weienell.

Grimpow zachował w pamięci każdą z ośmiu scen, które Weienell tak dobrze opisała i zaczął przeczuwać możliwe rozwiązanie tego ogromnie zagmatwanego zadania.

- A nad nami znajduje się sklepienie niebieskie - powiedział, dalej szkicując stół, przy którym siedzieli mędrcy.

Podszedł do Weienell i pokazał jej swój rysunek.



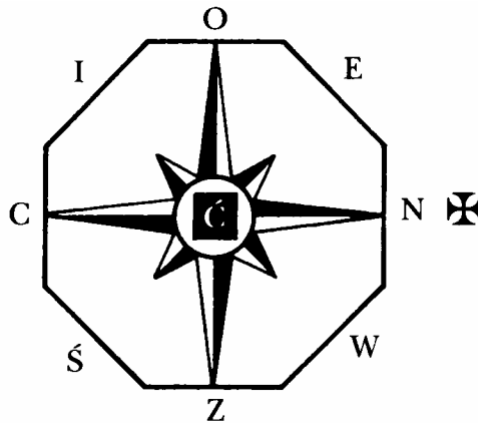
Oczy obydwójga błdziły po rysunku, jeszcze nieskończonym, ale wystarczająco wyraźnym, żeby mogli się nad nim skupić. Wiedzieli, że muszą się spieszyć, bo rzeka piasku beznamiętnie napełniała zapieczętowaną komnatę i sięgała im już niemal do kostek. Przez chwilę stali w milczeniu, zastanawiając się nad wszystkimi elementami zagadki. Wydawało się, że błdzą w ciemnościach i nigdy nie dotrze do nich żaden promień światła. Lecz nagle Grimpow wpadł na pewien pomysł i poprosił Weienell, aby pomogła mu sprawdzić słuszność rozumowania.

- Być może kluczem do zagadki są litery, które mędrcy trzymają w dłoniach - powiedział podchodząc do tego, który trzymał literę O. Z bliska zobaczył, że dłonie figury tworzą rodzaj zawiasów, które były teraz zamknięte.

- Cóż to może znaczyć? - spytała Weienell.

- Że litery należy wyjmować z rąk mędrców, zgodnie z jakąś logiczną zasadą i układać je na stole. Na to wskazywałaby ta litera Ć, która jest przytwierdzona na środku stołu - powiedział Grimpow, mając nadzieję, że się nie myli. - Ale co należy zrobić, żeby mędrcy puścili litery, czyli, aby zawiasy trzymające litery się rozwarły? Możliwe, że każda z liter ma jakiś związek z tym, co jest wyobrażone na malowidle znajdującym się za plecami danego mędrca.

- Daj mi jakiś przykład - poprosiła Weienell, nieco zagubiona.



- Róża Wiatrów wskazuje na Wschód - ciągnął - i mędrzec siedzący po tej stronie stołu trzyma literę N, jak sama stwierdziłaś. Poszukajmy na malowidle za nim jakiegoś słowa, które zaczyna się od litery N. To tylko pomysł, ale być może gdzieś nas zaprowadzi. Powiedz mi, co widzisz na pierwszym obrazie.

Weienell podniosła oczy i popatrzyła na obraz znajdujący się na wschodzie, za mędrce trzymającym literę N.

- Jest tam jakaś bezkształtna masa, pozbawiona koloru. Prawdę powiedziawszy nie ma tam nic - powiedziała trochę bezradnie.

- Zgodnie z moją teorią słowo, którego szukamy zaczyna się na N. To może być tylko NICOŚĆ - Grimpow wypowiedział wyraźnie to słowo i w tej samej chwili dłonie mędrca siedzącego na wschodzie rozwarły się, uwalniając literę N.

- Zgadza się! Jesteśmy na dobrej drodze! - krzyknął z radością Grimpow, a Weienell poczuła, że krew ponownie zaczęła krążyć w jej zlodowaciałych z przerażenia żyłach. Piasek sięgał im do kolan.

- Szybko. Teraz popatrzmy w prawo, na następną scenę.

- Grupa planet tworzy wymagowany świat - Weienell opisała następane malowidło.

- Teraz sprawdzimy naszą metodę. Powiedziałaś Planety i Świat, ale mędrzec siedzący z tej strony ma w rękach literę W. A więc musi to być słowo WSZECHŚWIAT! - gdy Grimpow wymówił to słowo, mędrzec wypuścił z rąk literę W.

- Opisz teraz następną scenę.

- Na następnym obrazie jest dwanaście gwiazdozbiorów i ich symbole - powiedziała szybko Weienell, wiedząc, że bezlitosna klepsydra, w której zostali zamknięci, bezustannie odmierza czas.

- A więc to łatwe, bo mamy literę Z, jak ZODIAK - powiedział Grimpow, doprowadzając do uwolnienia litery Z. Teraz już był pewien, że nie myli się co do metody

rozwiązywania zagadki zawartej w zapieczętowanej komnacie, choć nadal nie był pewien, dokąd ich ona doprowadzi.

- Na czwartym malowidle jest świetlista kula, która przedstawia słońce - powiedziała Weienell, coraz bardziej zadowolona ze swoich interpretacji.

- Powiedziałaś świetlista kula i słońce. Ponieważ mędrzec trzyma w ręce literę Ś, sądzę, że chodzi tu o słowo

ŚWIATŁO - Grimpow ponownie utrafił we właściwe słowo i uzyskał literę Ś.

- Piąta scena przedstawia kościotrupa z klepsydrą w ręku. Nie mam pojęcia, co to może być - stwierdziła Weienell. - Mędrzec przy tej stronie stołu ma w rękach literę C.

- Całe szczęście, że studiowałem w bibliotece w Brinkdum, gdzie w kilku manuskryptach natknąłem się na iluminacje przypominające ten obraz. Dzięki temu wiem, co symbolizuje ta ponura postać - stwierdził Grimpow i wymówił głośno słowo CZAS, upewniając się, że jest na dobrej drodze do rozwiązania zagadki, gdy zawiasy odsłoniły literę C.

Mieli świadomość, że muszą jak najszybciej zakończyć odgadywanie, bo piasek nieustannie wsypywał się do komnaty i zaczynał już podchodzić niebezpiecznie blisko blatu ośmiokątnego stołu. Jeśli przykryłyby litery trzymane przez mędrców w rękach, wszystkie wysiłki byłyby daremne i pozostałoby im jedynie oczekiwać, aż piasek pogrzebie ich żywcem.

- Na szóstym obrazie jest półnagi człowiek o prymitywnej twarzy, który przygląda się płonącej gałęzi - Weienell przeraziła się, bo wyczuwała, że ten obraz jest najtrudniejszy do interpretacji.

Grimpow także się przestraszył.

- Powiedziałaś człowiek, twarz, gałąź, ale żadne z tych słów nie zaczyna się na I. Musimy coś szybko wymyślić - powiedział Grimpow, obawiając się, że wszystko, co do tej pory udało im się zgadnąć, nie posłuży do niczego.

Weienell zamknęła oczy, aby się skoncentrować, ale nie udawało jej się znaleźć żadnego słowa, które zaczynałoby się na I i miałoby sens.

- Pozostały nam jeszcze litery I, O i E. Jest oczywiste, że następne malowidło, wąż gryzący własny ogon, to OUROBOROS. Cóż może oznaczać ta litera I? - powtarzał nerwowo Grimpow.

Weienell ponownie wbiła wzrok w szóstą scenę, powtarzając w myślach jej opis. I nagle krzyknęła - INTELIGENCJA! Człowiek pierwotny obserwuje płonąca gałąź i wynajduje ogień, bo jest istotą inteligentną.

W tej samej chwili także litera I stała się dostępna, a ponieważ chwilę przedtem Grimpow wymówił słowo OUROBOROS i uzyskali literę O, do odgadnięcia pozostało już tylko znaczenie jednej, jedynej litery E. Niestety, na tej części ściany nie było żadnego obrazu. Grimpow, grzęznąc w piasku, z trudem podszedł bliżej do ostatniej, ósmej ściany, pokrytej wypolerowanym metalem. Gdy wpatrzył się w nią, rozpaczliwie szukając jakiejś wskazówki, zobaczył, jakby odbitą w lustrze wody swoją własną postać. TO JESTEM JA, pomyślał i wypowiedział głośno słowo, którego brakowało, aby zakończyć interpretację malowideł ozdabiających zapieczętowaną komnatę, gdzie czas był śmiercią, ale mógł też być życiem - EGO SUM!

- Mamy już wszystkie litery! Jesteśmy uratowani! - krzyknął i pokazał Weienell listę słów, które zapisywał na pergaminie, w miarę jak je odgadywali.

NICOŚĆ
WSZECHŚWIAT
ZODIAK
ŚWIATŁO
CZAS
INTELIGENCJA
OUROBOROS
EGO

- To historia mądrości ludzkiej! Historia kamienia, *lapis philosophorum*, klucza do tajemnic! Historia tajnego stowarzyszenia mędrców, którzy go przechowywali i strzegli! - krzyknął Grimpow w uniesieniu. - W tych słowach zostały streszczone miliony lat tajemnicy: z *Nicości* powstał *Wszechświat*, który zappełnił się gwiazdami, symbolizowanymi przez *Zodiak*, wśród nich jest Słońce, a dzięki jego *Światłu* istnieje życie. Jest ono ograniczone w *Czasie*, rządzącym naszym bytem na ziemi, co człowiek może zrozumieć dzięki swojej *Inteligencji*, którą kultywowali mędrce w tajnym stowarzyszeniu *Ouroboros*. A w zwierciadle *Ego sum* - jestem Ja - czyli powiernik kamienia! Jeśli położymy litery na stole, da nam to:

NWZŚCIOEĆ

Mówiąc to, Grimpow wyjął jedną po drugiej litery z brązu z rąk mędrców i umieścił je na piasku, który przysypywał już blat stołu z różą wiatrów. Niestety, jedynym skutkiem było

to, że piasek zaczął wysypywać się z dużo większą szybkością. Weienell krzyknęła, aby Grimpow oddał każdemu mędrcomu jego literę. Gdy tak się stało, piasek zwolnił i znowu wysypywał się w swym pierwotnym tempie, tempie nieubłaganej, śmiertelnej pułapki.

Pomyśleli zrozpaczeni, że to już ostatnie chwile ich życia, ale wtedy Weienell ponownie zebrała litery i utworzyła magiczne słowo, które miało im pozwolić wydostać się z zapieczętowanej komnaty, gdzie czas był życiem i śmiercią.

WIECZNOŚĆ

Grimpow uściskał Weienell i podnieśli oczy ku górze, gdzie wznosiła się kopuła nieba. Wpatrywali się w jej nieskończone piękno, a wtedy środek ośmiokątnego stołu otworzył się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i wyłoniła się z niego prześliczna skrzynka zrobiona ze złota, w której wnętrzu znaleźli niezwykłą mapę.

Drzwi zapieczętowanej komnaty otworzyły się i Grimpow przypomniał sobie słowa wypisane na brakującej stronie manuskryptu Aidora Bilbicum, którą wręczył mu człowiek z cienia w katedrze w Strasburgu.

Idź drogą wskazaną przez znak.

Poszukaj zapieczętowanej komnaty,

gdzie czas jest życiem i jest śmiercią.

Jeżeli uda ci się uzyskać nieśmiertelność

Ujrzysz przed sobą Niewidzialną Drogę.

I oto przed ich oczyma, zalanymi łzami szczęścia, otwierała się Niewidzialna Droga.

Szturm na zamek

Armia barona Figuelta de Vokko zajmowała pozycje wokół kamiennego wzgórza, na którym wznosiła się twierdza diuka Gulfa, odcinając wszelkie drogi dostępu. Także wzdłuż rzeki nikt nie mógłby się prześlizgnąć, bo wokół kamiennego mostu rozlokował się oddział zbrojnych.

Rozbijano namioty i gromadzono maszyny oblężnicze, a pod murami odbywały się już pierwsze potyczki. Niewielki oddział próbował zdobyć jeden z odcinków muru, który otaczał niski zamek. Oblegający usiłowali wspiąć się na skalne urwisko, aby zająć tam pozycje, lecz łucznicy diuka Gulfa de Östemberg, ukryci za blankami muru, zrobili użytek ze swojej broni i zmusili ich do odwrotu, kładąc trupem lub raniąc część z nich.

Salietti towarzyszył diukowi Gulfowi, który ze szczytu donżonu śledził ruchy wojsk. U podnóża góry, od północno-wschodniej strony mrowiły się tysiące oblegających. Rycerz Rhadoguil de Curnilldonn dowodził oddziałami łuczników i na jego rozkaz od czasu do czasu powietrze przecinał rój strzał, zataczając parabole w przejrzystym powietrzu.

- Udało się wam zobaczyć niewidzialną drogę? - spytał Salietti Grimpowa i Weienell, gdy spostrzegł, że nadchodzą, szczęśliwi i roześmiani, jak dwoje dzieci.

- Nie wiem, czy osiągnęliśmy nieśmiertelność, ale przynajmniej udało się nam ująć z życiem z pułapki, którą okazała się zapieczętowana komnata - stwierdziła Weienell.

Odeszli na bok, w zakątek wieży chroniący przed wiatrem z zachodu, który gnał po niebie zwały chmur i tam Weienell opowiedziała Saliettiemu, co ich spotkało po wejściu do zapieczętoowanej komnaty, gdzie czas był życiem i śmiercią. Opisała mu, jak udało im się rozwiązać zagadkę, wydostać się z zabójczej klepsydry i ujrzeć Niewidzialną Drogę.

- Jest tutaj! - Grimpow z dumą pokazał Saliettiemu niezwykłą mapę, którą znaleźli w szkatułce ukrytej w ośmiokątym stole.

- Ależ tutaj nie widać żadnej drogi! Skąd będziecie wiedzieli, dokąd macie iść? - zdziwił się Salietti.

Weienell zmarszczyła brwi, zapominając na chwilę o Niewidzialnej Drodze.

- Co to ma znaczyć? Dlaczego mówisz „wy”, a nie „my”. Czyżbyś nie był jednym z nas? - spytała z goryczą, przewidując z góry, jaka będzie odpowiedź.

- Postanowiłem pozostać tutaj, u boku diuka Gulfa i jego rycerzy, aż do końca wojny - powiedział Salietti ze smutkiem i determinacją.

- Ależ to nie twoja wojna! Nie możesz nas teraz zostawić! Dotarliśmy tak daleko i otworzyliśmy zapieczętowaną komnatę - protestował Grimpow, nie chcąc pogodzić się z faktem, że ponownie traci najlepszego przyjaciela.

Salietti położył chłopcu rękę na ramieniu.

- Byłeś najlepszym z giermków, Grimpowie, takim, jakiego nie miał żaden rycerz; a Weienell jest moim marzeniem, wyśnionym w gwiazdziste noce. Ale ta wojna jest tak samo moja, jak i diuka Gulfa de Östemberg. Nasi ojcowie byli wielkimi uczonymi, a walka, która teraz się toczy, jest walką wiedzy i mądrości przeciwko niewiedzy i głupocie. Wojska barona i króla Francji zamierzają zawładnąć sekretem, który nasi ojcowie - mój, diuka Gulfa i twój, Weienell - ukryli i którego strzegli, aby pewnego dnia ofiarować go ludzkości. Im byłby potrzebny jedynie po to, aby zaspokoić ich chciwość i żądzę władzy. Gdybym teraz stąd uciekł, nie podejmując walki o ten sam ideał, w którego imię zginął mój ojciec i twój i wielu innych ludzi, czułbym się najpodlejszym człowiekiem na świecie.

W tej samej chwili zbliżył się do nich diuk Gulf i poważnym tonem, świadczącym o świadomości zbliżającego się rozstrzygnięcia, powiedział:

- Cieszę się, że dane mi jest ujrzeć was ponownie. Czy wasze poszukiwania były owocne?

Grimpow wyciągnął rękę i z ukłonem wręczył mu mapę Niewidzialnej Drogi.

- Ta mapa należy do was, diuku. Ukrył ją wasz przodek, Atberol de Östemberg i jesteście jej jedynym właścicielem. To jej poszukują baron i król Francji, bo pokazuje drogę do skarbu. To właśnie jest łup, na którym najbardziej im zależy. Być może, gdybyście im ją oddali, udaliby się uniknąć tej wojny - powiedział.

Diuk Gulf wziął mapę, przez chwilę przyglądał się jej i uśmiechnął się lekko, wzruszony słowami Grimpowa.

- Drogi chłopcze, któż zdoła przekonać horde fanatyków żądnych krwi, że ich przeświadczenia nie mają racji bytu? Nawet gdybym ofiarował baronowi Figueltachowi de Vokko lub samemu królowi Francji ten piękny pergamin i zapewnił ich, że zaprowadzi ich do skarbu, którego poszukują, sądziliby, że drwią sobie z nich i nie uwierzyliby mi, niezależnie od tego, ile prawdy byłoby w moich słowach. Mapa ta została sporządzona i ukryta przez uczonych, którzy nigdy nie cenili sobie bogactw tego świata, bo dla nich nie istniały większe skarby od wiedzy i mądrości. Ty i Weienell, mimo iż młodzi, udowodniliście, że jesteście jedynymi, którzy zasługują na posiadanie mapy i na dotarcie do sekretu mędrców. To wam

przypadnie w udziale ocalenie ludzkości, która brnie coraz głębiej w ignorancję i w fałszywe przekonania. Już w dzieciństwie dowiedziałem się od ojca, że to Ziemia krąży wokół Słońca i że ta odkrywczą teorię daje się udowodnić, mimo iż Kościół grozi stosem jej zwolennikom, uznając ich za heretyków. Szukaj światła, Grimpow, szukaj światła w ciemnościach, a uda ci się je odnaleźć - zakończył i w tej samej chwili na wieżę spadł rój strzał.

Obrońców twierdzy obudził potworny łoskot. To armia barona w ciągu nocy zdołała podejść na szczyt wzgórza, pod mury broniące twierdzę od zachodniej strony i umieścić tam gigantyczne katapulty. Głazy i płonące pociski wyrzucane przez maszyny wojenne uderzały w potężne mury obronne i wieże, które drżały, jak podczas trzęsienia ziemi. Setki oblegających wykorzystało ciemności nocy, aby rzucić długie drabiny sznurowe na skały i tamtędy dostać się w pobliże murów od strony doliny. Grad płonących strzał spadał na zamek, nad którym zaczęły się gromadzić czarne chmury, nasuwające myśl o żałobnych kirach i wywołujące przeczucie nieuchronnej tragedii. Zaczęło się bezpośrednie oblężenie zamku.

Salietti poszedł po Weienell i Grimpowa do komnat, w których schroniła się rodzina diuka Gulfa. Jego żona i córki, w towarzystwie dam dworu i panien służących, spędzały długie, męczące godziny oczekiwania na tkaniu i haftowaniu delikatnych tapiserii, udając, że nic się nie dzieje. Jednak pospieszne wtargnięcie Saliettiego do pokoju sprawiło, że kobiety drgnęły i przez moment siedziały jak sparaliżowane z przerażenia. Zdawały sobie sprawę, czym grozi zdobycie twierdzy i były zdecydowane położyć kresu swemu życiu, aby nie wpaść w szpony okrutnych najeźdźców. Żadna z nich nie zamierzała skorzystać z możliwości ucieczki sekretnymi korytarzami, które prowadziły daleko na zachód, w kierunku miasta Metz. W murach Kamiennego Kręgu toczyło się ich życie i tam znajdowało się to, co nadawało mu sens. Podobnie jak rycerze, którzy w obronie twierdzy wszystko położyli na jedną szalę, i one swój los związały niepodzielnie z zamkiem. Były przygotowane na najgorsze i czekały na znak, aby zażyć truciznę, którą miały w pogotowiu. Nagłe wejście Saliettiego przeraziło je, bo pomyślały, że nadszedł już moment aby pożegnać się z życiem i ze wszystkim, co kochają.

Weienell, blada z przerażenia, rzuciła się w ramiona Saliettiego, którego twarz wyrażała lęk.

- Gdzie jest Grimpow? - spytał.

- Jest tam, w sali obok. Opowiada dzieciom historie o smokach i fantastycznych zwierzętach. Chciał walczyć u twego boku ze swym łukiem, ale przekonałam go, że jest jeszcze za młody na wojnę - odpowiedziała Weienell.

Salietti pociągnął Weienell w kąć obszernej komnaty i wyszeptał nagłym tonem:

- Musicie stąd niezwłocznie uciekać. Armia barona niemal sforsowała mury dolnego zamku. Już niedługo z tej fortecy nie zostanie kamień na kamieniu.

- A wydawało się, że Kamienny Krąg jest niemożliwy do zdobycia - powiedziała Weienell bezradnie.

- Kiedyś istotnie był niezwyciężony. Ale nie dla tak potężnych machin wojennych, jakimi dysponują oblegający.

- A co z tobą? - spytała Weienell, obawiając się odpowiedzi.

- Muszę stać u boku diuka Gulfa do końca, podobnie jak mój ojciec i twój towarzyszyli mu podczas tajnych spotkań w sali mędrców.

- Zginiesz! Zginiecie wszyscy! - Weienell nie kryła łez.

Salietti pogłaskał swoją ukochaną po policzku.

- Dlatego nie możecie zostać w twierdzy. Jeśli ja zginę w tej straceńczej walce, moja śmierć posłuży przynajmniej, aby uczcić pamięć naszych ojców. Natomiast wasza śmierć, twoja i Grimpowa, byłaby bezsensowna. Musicie ujawnić sekret mędrców, aby zapoczątkować nową epokę w dziejach, podczas której wiedza i mądrość ożyją z popiołów i powiodą ludzkość w stronę świetlanej przyszłości, której nawet nie umiemy sobie wyobrazić. Nasi ojcowie doszli do wniosku, że właśnie teraz nadszedł odpowiedni moment, aby dać światu ten sekret, ukryty przez starożytne stowarzyszenie Ouroboros, i przezwyciężyć panoszące się na świecie zabobony i ciemnotę. Zapłacili życiem za swoje przekonania, a teraz jedynie ty i Grimpow możecie doprowadzić do końca to, czego oni nie zdołali. Macie mapę Niewidzialnej Drogi, ona będzie was dalej prowadzić, podobnie jak dotąd prowadził nas manuskrypt Aidora Bilbicum.

- Ale gdzie mamy jechać? Jeszcze nie mieliśmy czasu zastanowić się nad mapą i nie wiemy, w którą stronę mamy się udać - Weienell z rozdartym sercem zaczynała rozumieć, że rozstanie z Saliетtim jest nieuniknione.

- W podziemiach twierdzy są tajemne korytarze, które łączą ze sobą zamki Kamiennego Kręgu i wychodzą poza dolinę. Jedźcie tym, który prowadzi ku zachodowi. Na jego końcu znajdziecie drogę do miasta Metz. Jeśli zaraz wyruszyacie, dotrzecie do bram miasta przed ich zamknięciem. W mieście poszukajcie ośmiobocznej wieży przy opuszczonej kaplicy templariuszy. Niedaleko niej mieszka medyk Humius Nazis. Spytajcie o niego, niech Grimpow udaje, że jest chory. Humius jest przyjacielem diuka Gulfa i udzieli wam schronienia w swym domu. Możecie mu ufać.

- A kiedy się zobaczymy? - Weienell nie była w stanie ukryć rozpacz.

- Czekajcie na mnie u Humiusa przez dwa dni. Jeśli nie przyjadę o świcie trzeciego dnia, nie zwlekając udajcie się tam, gdzie powiedzie was Niewidzialna Droga. Zabierzcie tę sakiewkę ze złotem. Mnie to niepotrzebne, a wam może się przydać. Idź po Grimpowa i zejdźcie na główny dziedziniec, gdzie czekają wasze konie. Zaprowadzę was do podziemi, a potem powrócę do boju - powiedział Salietti.

Grimpow nie mógł się pogodzić z decyzją Saliettiego. Wiedział, że szturm nastąpi lada moment. Pamiętał dokładnie koszmar, który nawiedził go w gospodzie Junna Kulawca i obawiał się, że był to zły znak, który zapowiadał śmierć przyjaciela. Obraz ze snu był tak wyraźny, jak odbicie w źródlanej wodzie. Grimpow widział zakrwawione ciało Saliettiego leżące na ziemi w otoczeniu setek trupów. Lękał się, że jeśli przyjaciel zostanie w twierdzy, najprawdopodobniej zginie razem z diukiem Gulfem i jego rycerzami. Chłopiec bezskutecznie błagał go, żeby pojechał z nim i Weienell w poszukiwaniu sekretu mędrców, ale Salietti twardo obstawał przy swoim postanowieniu.

Z trudem udawało im się utrzymać spłoszone konie za wodze. Wokół panował zgiełk, łoskot i buchały kłęby dymu. Łucznicy ustawieni na blankach murów w jednej chwili opróżniali swoje kołczany, a tłum pachołków krzątał się, nosząc wodę cebrzykami i wylewając ją na płonące poszycie szop i dachy. Większość obrońców zgromadziła się na murach dolnego zamku od zachodniej strony, gdzie oblegający przypuszczali zmasowany atak. Niektórzy z rycerzy już sięgnęli po miecze i odpierali wrogów, którzy usiłowali wdrzeć się na mury po drabinach i linach z hakami. Od czasu do czasu rozlegał się głuchy rumor, podobny do warkotu ogromnej bestii i na mury spadał wielki głaz, roztrzaskując je na kawałki.

Wjechali do podziemi i długim korytarzem dostali się do wielkiej, okrągłej groty. Z jej sklepienia zwisały stalaktyty błyszczące w świetle pochodni, jak gwiazdy. Na posadzce dojrzeli intarsję z wielobarwnych kamieni przedstawiającą różę wiatrów podobną do tej, którą widzieli w zapieczętowanej komnacie. Jej osiem promieni wskazywało wejścia do korytarzy, które prowadziły do zamków Kręgu otaczających fortecę diuka Gulfa, skąd drogi wiodły dalej, poza dolinę. Grimpow zadał sobie pytanie, kto mógł wydrążyć pod ziemią te długie, ciemne tunele, podobne do nory jakiegoś wielkiego zwierzęcia.

- Dlaczego obrońcy nie uciekną tymi przejściami, zanim wojska barona i króla Francji zdobędą twierdzę? - spytał, dokonując ostatniej próby przekonania Saliettiego, żeby jechał z nimi.

- Mój przyjacielu, rycerz nie wybiera swego losu - rzekł Salietti, obejmując Grimpowa i przyciskając go do serca.

Potem zwrócił się do Weienell i ucałował jej usta. Ich oddechy zmieszały się, jak gdyby oboje chcieli wymienić między sobą dusze. Wiedzieli, że ten pocałunek może być ich ostatnim.

- Pora się rozstać - Salietti z żalem wysunął się z ramion Weienell. - Jedźcie ku zachodowi, do Metzu. I pamiętajcie, jeśli nie pojawię się w domu Humiusa o świcie trzeciego dnia, nie zwlekajcie. Idźcie tam, gdzie was powiedzie Niewidzialna Droga.

Mówiąc to, klepnął konie, aby ruszyły jak najprędzej i aby Grimpow i Weienell nie zobaczyli łez, które zaszkliły mu się w oczach.

Diuk Gulf i jego rycerze nadal walczyli na murach od zachodniej strony, gdy Rhadoguil de Curnilldonn zadał w róg na alarm. Dużej grupie najemników pod wodzą rycerza Valdigora de Rostvol, tego samego, którego Salietti pokonał podczas turniejów, udało się sforsować mur niskiego zamku. Zabierali się właśnie do zdobycia barbakanu przy bramie i moście zwodzonym, aby otworzyć drogę do górnego zamku tysiącom napastników, którzy czekali po drugiej stronie fosy, zaopatrzeni w wielkie miotacze głazów i wysokie wieże oblężnicze.

Salietti dołączył do oddziału składającego się z paruset rycerzy (wielu z nich odzianych było w stroje templariuszy), którzy pod przewodnictwem diuka Gulfa udawali się na odsiecz. Gdyby najemnicy Valdigora de Rostvol opuścili most, twierdza byłaby stracona.

Łucznicy schronili się za blankami drugiej linii murów i robili, co mogli, aby utrzymać napastników w szachu. Setki ich wdrapywało się na mury za pomocą sznurów, drabin i haków. Choć wielu wrogów zlatywało z krzykiem przerażenia w przepaść lub padało trupem na miejscu ze strzałami wbitymi w pierś lub szyję, dziesiątki nowych wdrapywało się na mur i szturmowało barbakan.

Diuk Gulf rozkazał otworzyć bramę górnego zamku i z furią rzucił się na czele obrońców, witając mieczem pierwszych wrogów, którym udało się sforsować mury. Salietti bezzwłocznie natarł na dwóch, którzy wysforowali się naprzód. Jednym ciosem swego miecza, Ateny, rozplątał im czaszki. Wierni rycerze diuka kładli trupem atakujących, ale wielu z nich padało pod ciosami wroga. W powietrzu słychać było szczęk broni i okrzyki furii bitewnej. Diuk Gulf de Östemberg wywijał mieczem na prawo i lewo, obcinając głowy jednym cięciem, a templariusz Rhadoguil de Curnilldonn wiernie stał u jego boku. Wtedy pojawił się rycerz Valdigor de Rostvol, z daleka rozpoznawalny po hełmie i kruczym skrzydle na tarczy. Gdy diuk go dostrzegł, mieczem wyrąbał sobie przejście i wściekle rzucił się na niego, pomny, że baron Figueltach de Vokko przyrzekł Valdigorowi jego twierdzę, jako łup po wygranej wojnie. Siła rażenia miecza diuka Gulfa była tak straszna, że Valdigor de

Rostvol cofnął się, potknął i upadł na ziemię. Diuk Gulf podniósł miecz i jak błyskawicę spuścił go na głowę Valdigora, ale ten, na wpeł leżąc, zdołał zasłonić się tarczą. A potem skorzystał z nadarżającej się okazji i od dołu pchnął mieczem w brzuch diuka, zagłębiając go niemal po rękojeść między spojenia blach. Salietti ujrzał, jak diuk Gulf zachwiał się, krew buchnęła mu z ust i padł martwy na murach swej twierdzy.

Salietti krzyknął z bólu i żalu, jakby to w jego własne ciało wbiło się lodowate żelazo miecza Valdigora. Oszalały z nienawiści, mimochodem pokonał kilku napastników stojących mu na drodze i stanął przed swym najgorszym wrogiem, krzycząc wielkim głosem:

- Własnym życiem zapłacisz za śmierć diuka, zuchwalcze!

Valdigor de Rostvol natychmiast rozpoznał słońce i księżyc zdobiące tarczę rycerza, który odważył się rzucić mu wyzwanie.

- To znowu ty, Salietti de Estaglia - rzekł, zgrzytając z wściekłości zębami.

- Ostatnim razem darowałem ci życie, ale teraz możesz z góry uznać się za zmarłego - krzyknął Salietti.

- Bzdura! - Valdigor de Rostvol roześmiał się, jak szaleniec. - Pomszczę dziś dawną zniewagę mym mieczem!

I mówiąc to, wymierzył straszliwy cios w Saliettiego, ale ten odparował go z zimną krwią. Stal uderzyła o stal, lecz wściekłość Saliettiego była tak wielka, że zaczął zdobywać przewagę. Valdigorowi de Rostvol nadal udawało się odpierać ciosy coraz bardziej pogiętą tarczą, lecz musiał cofać się krok po kroku, aż oparł się plecami o mur zamkowy. Po jego twarzy spływał zimny pot przerażenia, jakby już widział przed sobą oblicze śmierci.

- Nie nacieszysz się swym łupem, niegodziwy morderco władcy Kamiennego Kręgu! - wściekle krzyknął Salietti, błyskawicznym uderzeniem wytrącając miecz z ręki przeciwnika.

Sparaliżowany z przerażenia Valdigor de Rostvol poczuł, że czas się zatrzymał. Wydawało mu się, że z nieznośną powolnością Salietti ujmując miecz w obydwie ręce, podnosi go na wysokość ramion i nadaje swemu ciału ruch obrotowy, kierując ostrze miecza w jego szyję. Trysnął strumień krwi, lecz Valdigor de Rostvol nie zdążył nawet poczuć bólu, bo jego głowa wraz z hełmem, odcięta jednym, czystym ciosem, potoczyła się po ziemi, a światło jego oczu zgasło na zawsze.

Część trzecia

Niewidzialna droga



Ciemność i światło

Grimpow i Weienell cały dzień jechali na zachód, nie zatrzymując się na popas i nieomal nie zamieniając ze sobą słowa. Byli przygnębieni sytuacją zamków Kamiennego Kręgu, martwili się o Saliettiego i obawiali, że mogą nigdy już go nie zobaczyć. Nawet to, że udało im się ująć z życiem z zapieczętowanej komnaty i że zdobyli cudowną mapę Niewidzialnej Drogi nie skłaniało ich do rozmowy. Jedyne, co się liczyło, to lęk o Saliettiego. Przed nimi rozciągały się dwie długie doby oczekiwania, niepewności, strachu i nadziei. Udawali się do domu medyka Humiusa w mieście Metz i tam mieli nadzieję ujrzeć swego przyjaciela przed świtem trzeciego dnia.

Pożegnawszy go, zagłębili się w czeluście długiego korytarza, oświetlając sobie drogę pochodniami. Był to sklepiony tunel o ścianach wykutych w skale, po których ściekała wilgoć, zbierając się w spore kałuże. Echo stąpania końskich kopyt było jedynym obcym odgłosem, jaki rozlegał się w tym ponurym, podziemnym świecie, który wydawał się nie mieć końca. Od czasu do czasu bezszelestnie przelatywał nad ich głowami spłoszony nietoperz, wytrącony ze snu światłem pochodni. Grimpow myślał, że równie mroczny i straszny musi być Hades, królestwo greckiego boga podziemi, o którym czytał w bibliotece opactwa Brinkdum. Po zwycięstwie nad Tytanami trzech boskich braci, Zeus, Posejdon i Hades podzieliło między siebie świat w ten sposób, że Zeusowi przypadło niebo, Posejdonowi morze, a Hadesowi podziemia. Chłopcu nasunęło to myśli o podziale, jakiego z pewnością mają zamiar dokonać król Francji, baron Figueltach de Vokko i rycerz Valdigor de Rostvol po zwycięskiej wojnie. Król Francji ma nadzieję zawładnąć tajemniczym przedmiotem obdarzającym nieśmiertelnością; baron dołączyć do swych posiadłości ziemie zamków Kamiennego Kręgu, a rycerz Valdigor, zgodnie z obietnicą, wejść w posiadanie twierdzy diuka Gulfa, i w konsekwencji stać się władcą tych podziemi. Grimpow nie mógł wiedzieć, że w chwili, kiedy prowadził te rozważania, rycerz Valdigor de Rostvol już nie żył, a jego dusza smażyła się w piekle.

Gdy wyjechali z tunelu, którego wylot ukryty był przemyślnie w leśnym gąszczu u stóp skalistego wzgórza, oślepiło ich blade światło zmierzchu. Nad ich głowami wznosiły się

korony potężnych dębów, a w dali widać było szeroką rzekę, lśniąca jak wypolerowana srebrna misa. Za rzeką odcinały się na horyzoncie wieże i dachy niewielkiego, otoczonego murami miasta.

Wjechali do Metzu po moście przerzuconym przez rzekę, przez zachodnią bramę strzeżoną przez dwie okrągłe wieże. Ludzie wracali z pola, handlarz pędził przed sobą parę obładowanych mułów. Ponad dachami domów wznosiły się katedralne wieże i kilka kościelnych dzwonnicy, na których założyły gniazda bociany. Na placu, wokół którego stały piękne domy z podcieniami, natknęli się na grupę ładnie, bogato ubranych dam, które wybierały się do katedry na nieszpory. Kobiety popatrzyły z ciekawością na młodych cudzoziemców i zaczęły szeptać coś między sobą. Weienell podjechała bliżej i spytała o dom medyka Humiusa Nazsa, mówiąc, że potrzebuje pomocy dla brata, cierpiącego na zawroty głowy i wymioty. Grimpow przybrał minę, świadczącą o złym samopoczuciu, a kobiety przelekły się i spłoszyły, obawiając się jakiejś zarazy. Jednak jedna z nich, o czarnych włosach i śmiejących się oczach, poleciła im wyjechać z placu uliczką przy katedrze, skręcić w prawo, dojechać do starej kaplicy templariuszy, wjechać w ulicę, u której wylotu stoi wieża i zapukać do czwartego domu po lewej stronie.

Od kiedy przekroczyli bramy miasta, Grimpow nie przestawał myśleć o bibliotekarzu z opactwa Brinkdum, bracie Rinaldzie z Metzu, ale wspomnienie o starym erudycie i jego bezręsyh oczach stało się jeszcze żywsze, gdy dojechali do zabitej dechami kaplicy wyklętego Zakonu Rycerzy Świątyni. Mury niewielkiej komandorii były nietknięte, a na dzwonnicy wisiały dzwony, które już od lat nie miały okazji wzywać mnichów-rycerzy z Metzu na nabożeństwo. Grimpow dotknął palcami kamiennego muru i przywołał oczyma wyobraźni młodego chłopca w swoim wieku, który pewnego dnia wyruszył na Wschód bronić świętych miejsc Jerozolimy przed niewiernymi, a potem zestarzał się wśród ksiąg. Pomyślał, że właśnie zatoczył kolejny krąg w swoim życiu, który od spotkania ze starym mnichem w tajemnej sali biblioteki doprowadził go do tego samego miasta, w którym brat Rinaldo urodził się przed ponad osiemdziesięcioma laty.

Dom Humiusa, jak uprzedził ich Salietti, istotnie znajdował się niedaleko kaplicy. Miał wąską fasadę z dwoma oknami nad wejściem, ale w głębi rozrastał się w szereg przybudówek, wychodzących na spore podwórze porośnięte jaśminem i kapryfolium. Weienell zastukała do drzwi, a Grimpow trzymał konie za uzdy.

Otworzył im stary człowiek o siwych włosach i długiej brodzie. Zdziwił się, widząc dwóch nieznanomyh młodzieńców, z których jeden, mimo włosów schowanych pod czepkiem ściśle okalającym głowę, wyglądał na piękną, młodą damę. I to on właśnie, czy też

raczej ona, odezwała się miłym głosem:

- Diuk Gulf de Östemberg prosi was, abyście udzielili nam gościny - Weienell z przyjemnością odetchnęła zapachem kwiatów i ziół, którym było przesycone wnętrze domu.

- Jeśli przysłał was diuk de Östemberg, możecie uważać ten dom za swój - natychmiast odpowiedział starzec, nie zadając im żadnych pytań.

Otworzył wrota, aby mogli wprowadzić konie na podwórze i pokazał im, gdzie są drzwi od niewielkiej stajenki. Pomógł im rozsiodłać konie, przyniósł świeżej wody i wiązkę siana.

- To powinno im wystarczyć na noc. A wy chodźcie teraz ze mną do kuchni. Wyglądacie na znużonych i zgłodniałych. Zapowiem wasze przybycie mojej żonie, Mahusle, i poproszę, żeby dostawiła dwa talerze na stół i przygotowała dla was posłania. Z pewnością ucieszy się z waszej wizyty.

Grimpow miał wrażenie, że zarówno twarz, jak i głos miłego starca nie są mu nieznane. Być może była to sugestia, wywołana wspomnieniem o bracie Rinaldzie, lub to, że widok lekarza nałożył mu się na zapamiętane rysy bibliotekarza, tak czy owak Grimpow mógłby przysiąc, że są podobni do siebie jak dwie krople wody, z tą jedyną różnicą, że gęsta broda kryła dużą część oblicza Humiusa.

Przez dobrą chwilę Grimpow nie przestawał wpatrywać się w twarz lekarza, jakby widok jego szarych, zamglonych melancholią oczu, mógł rozproszyć wątpliwości. Wreszcie, gdy po przywitaniu się z panią Mahusle wrócili na podwórze, odważył się powiedzieć:

- W opactwie Brinkdum poznałem mnicha, który narodził się w tym mieście przed ponad osiemdziesięcioma laty.

Lekarz zmarszczył brwi i rzucił z uśmiechem:

- To miasto dało światu wielu mnichów, kaznodziei, opatów, biskupów, szlacheiców, rycerzy, rozbójników i niejednego wędrownego proroka, który krąży po drogach głosząc swoją prawdę.

- Na imię miał Rinaldo. Rinaldo z Metzu - dodał Grimpow.

Starzec poruszył się niespokojnie i pogłaskał się po brodzie.

- Miałem starszego brata o imieniu Rinaldo, ale już od dawna nie żyje.

- Mnich, o którym mówię, wstąpił do Zakonu Rycerzy Świątyni Jerozolimskiej gdy był chłopcem, nieco starszym ode mnie, za namową wuja, który był komturem Zakonu w tym mieście. Wyjechał na Wschód jeszcze zanim został pasowany na rycerza - ciągnął Grimpow, przeczuwając, jakie emocje ujrzy na twarzy Humiusa.

- Skąd możesz o tym wszystkim wiedzieć? - Humius nie posiadał się ze zdziwienia.

- Od niego samego. Jest bibliotekarzem w opactwie Brinkdum i przez parę miesięcy był moim mistrzem i nauczycielem. Wierzcie mi, że darzę go głębokim uczuciem - wyjaśnił Grimpow.

Humius opadł na ławkę umieszczoną pod murem domu, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Potrzebował czasu, aby oswoić się z niespodziewaną nowiną. Weienell milczała, rozmyślając o kapryśnym przypadku, który na oślep łączy losy ludzi, którzy pozornie nie mają ze sobą nic wspólnego. To samo przydarzyło się jej samej i Saliettiemu.

- Byliśmy przekonani, że Rinaldo poległ podczas ostatniej krucjaty. Powiedzieli nam o tym templariusze, którzy powrócili do Metz po utracie Ziemi Świętej. Trudno mi uwierzyć, że nie umarł. Nigdy od tamtej pory nie dał najmniejszego znaku życia - powiedział ze wzruszeniem Humius.

- Żyje i miewa się świetnie, mimo swego wieku, zapewniam was. On sam opowiedział mi, że od siedemnastego roku życia przebywał w Ziemi Świętej, broniąc warowni w Safed, Trypolisie, Damaszku, Gazie, Galilei, Damiecie i Akrze. Wziął udział w siódmej i ósmej krucjacie u boku króla Francji Ludwika IX, który dowodził wojskami chrześcijańskimi i zmarł na dżumę u wrót Tunisu w roku pańskim 1270. Po powrocie do Europy wasz brat Rinaldo poczuł się tak zniechęcony przelewem krwi w imię Boga, że schronił się w opactwie Brinkdum, na wschód od Alp, aby poświęcić się modłom i nauce.

- Nigdy w życiu bym się nie spodziewał, że usłyszę tak radosne wieści - rzekł Humius z zadowoleniem.

- To dzięki waszemu podobieństwu do brata. Byłem tym zdumiony i to dlatego o nim wspomniałem.

Mahusle, żona Humiusa, była niewielką staruszką o pomarszczonej twarzy, na której widać było ślady dawnej urody. Miała czarne oczy o głębokim spojrzeniu, które przypomniały chłopcu oczy matki.

- Chodźcie do kuchni, przygotowałam pyszną potrawkę z kurczaka, która z pewnością poprawi wam humor. Posłałam też łożka, żebyście mogli odpocząć - powiedziała.

Podczas wieczerzy Weienell opisała Humiusowi i Mahusle tragiczną sytuację zamków Kamiennego Kręgu i powiedziała, że trwa właśnie szturm na twierdzę diuka Gulfa de Östemberg. Potem opowiedziała im o śmierci swego ojca Gurielfa Laboxa, o prześladowaniach ze strony inkwizytora Bulvara z Goztell, o ucieczce ze Strasburga, o Saliettim de Estaglia i jego decyzji przyłączenia się do obrońców twierdzy. Powiedziała, że wraz z Grimpowem będą czekać na Saliettiego przez trzy dni i trzy noce, a jeśli nie dotrze do

Metzu przed świtem trzeciego dnia, ruszą sami w dalszą drogę.

- Poszukujecie sekretu mędrców, nieprawdaż? - raczej stwierdził, niż zapytał Humius, i wtedy im przypadło się zdziwić.

- Jak domyśliliście się tego? - zdumiał się Grimpow.

- Nie domyśliłem się, po prostu o tym wiem. Iacopo de Estaglia i Gurielf Labox byli moimi przyjaciółmi. Wspólnie należeliśmy do doskonale wam znanego tajnego stowarzyszenia Ouroboros i spotykaliśmy się z ojcem diuka Gulfa i innymi mędrkami w zamkach Kamiennego Kręgu, aby rozmawiać o naszych studiach i odkryciach i wymieniać się wiedzą na temat tajemnic przyrody i kosmosu. Kiedy przed paroma laty rozpoczęły się prześladowania, zaprzestaliśmy spotkań i postanowiliśmy wprowadzić w życie plan, aby odnaleźć sekret, który ukryli mędrzec Aidor Bilbicum i jego uczniowie. Obawialiśmy się, że przywłaszczą go sobie papież i król Francji, którzy dowiedzieli się o istnieniu sekretu od zdrajcy, byłego templariusza Bulvara z Goztell, tego, który, jak wiecie, jest teraz inkwizytorem. Twierdził, że wie, gdzie znajduje się przedmiot, który dziewięciu rycerzy przewiozło do Francji z ruin Jerozolimskiej Świątyni Salomona. Z dokumentów przechowywanych w komandorii Temple w Paryżu dowiedział się, że jednym z mędrców, którzy odkryli ten tajemniczy przedmiot, był przodek diuka Gulfa de Östemberg. Namówiony przez Bulvara z Goztell, król Francji polecił uwięzić rycerzy Zakonu Świątyni Jerozolimskiej i oskarżył ich o herezję, aby móc ich przesłuchiwać na torturach i wydobyć z nich wszelkie możliwe informacje o sekrecie mędrców. Okazało się wówczas, że templariusze nic o tym nie wiedzą, z wyjątkiem jednego z nich, tego, który miał w swojej pieczy dokumenty przechowywane w donżonie twierdzy Temple w Paryżu. To był jedyny członek stowarzyszenia Ouroboros, który był zarazem templariuszem.

- Pustelnik! - krzyknął Grimpow. - Spotkaliśmy tego templariusza, gdy wraz z Saliettim opuszczaliśmy miasto Ullpens. Mieszka w pustelni przy kaplicy na rozstaju dróg. Nie ma jednej dłoni, którą mu obcięto podczas tortur i wydawało się, że oszalał na skutek potwornych cierpień. Ale to on powiedział nam, że templariusze niczego nie znaleźli w Jerozolimie i że jeśli chcemy znaleźć sekret mędrców, musimy zrozumieć język kamienia.

- Ten templariusz, Filguer Clesson, wyjawił swym katom, że osobą, posiadającą klucz do tajemnicy, jest uczony imieniem Iacopo de Estaglia. Istotnie, Iacopo de Estaglia posiadał kamień, ale na szczęście udało mu się uciec z Lyonu przed inkwizytorem Bulvarem z Goztell. W tym samym czasie Gurielf Labox odnalazł w starym manuskrypcie na paryskiej Sorbonie jakieś ważne poszlaki, prowadzące do sekretu mędrców i chciał doprowadzić do zebrania członków tajnego stowarzyszenia Ouroboros, aby rozpocząć poszukiwania sekretu - mówił

dalej Humius. - Twój ojciec - zwrócił się do Weienell - usiłował skontaktować się z Iacopo de Estaglia, ale było już za późno. Gurielf Labox dowiedział się od brata Uberta z Alessandrii, że Iacopo zmarł w górach w pobliżu Ullpens i że kamień jest w rękach chłopca o imieniu Grimpow, mieszkającego w opactwie Brinkdum. Tym samym opactwie, w którym od lat mieszkał mój brat Rinaldo, jak się teraz od ciebie, Grimpowie, dowiedziałem. Stowarzyszenie Ouroboros postanowiło odzyskać kamień i wysłało do opactwa syna Iacopo de Estaglia, Saliettiego, aby wraz z Gurielfem Laboxem prowadził poszukiwania. A teraz Gurielf Labox i Iacopo de Estaglia nie żyją, a ja jestem za stary, aby wziąć na siebie ten ciężar. To wy, młodzi, musicie pójść naszą drogą, musicie dalej prowadzić poszukiwania i zapobiec temu, żeby stowarzyszenie Ouroboros zniknęło z powierzchni ziemi.

Humius odetchnął głęboko i dodał:

- Marzyliśmy o świecie, w którym będzie panował pokój, o świecie, w którym rządzący będą sprawować rządy rozważnie, mając na uwadze dobro swych poddanych. Jednak władcy stają po stronie głupoty, a nie mądrości - gorzko stwierdził Humius. - Obawiam się, że król Francji i baron Figueltach de Vokko zdobędą i spalą zamki Kamiennego Kręgu, a wraz z nimi wszystkie nasze nadzieje spłoną i rozwieją się w powietrzu, jak płatki popiołu.

Rozmawiali jeszcze dość długo o kosmicznej istocie kamienia, o której pisał Aidor Bilbicum i o zagadkach, broniących dostępu do sekretu mędrców. Grimpow i Weienell opowiedzieli, co spotkało ich w zapieczętowanej komnacie. Humius stwierdził, że zagadki wymyślone przed mędrców mogą zostać rozwikłane jedynie przez tych, którymi powoduje nie żądza zysku, lecz wiedzy.

Aby oderwać się od rozmyślań o tym, co dzieje się z Saliettim, Grimpow i Weienell spędzili następne dwa dni na próbach odszyfrowania mapy Niewidzialnej Drogi znalezionej w zapieczętowanej komnacie, gdzie czas był życiem i śmiercią. Wkrótce doszli do wniosku, że to nowe zadanie będzie wymagało od nich wielkich zasobów przemyślności i wyobraźni.

Humius wyjechał poza miasto, aby zająć się chorym na tyfus, a Mahusle poszła na targ po warzywa i kawałek mięsa na obiad. Grimpow i Weienell pozostali sami w domu i rozgościli się w kuchni.

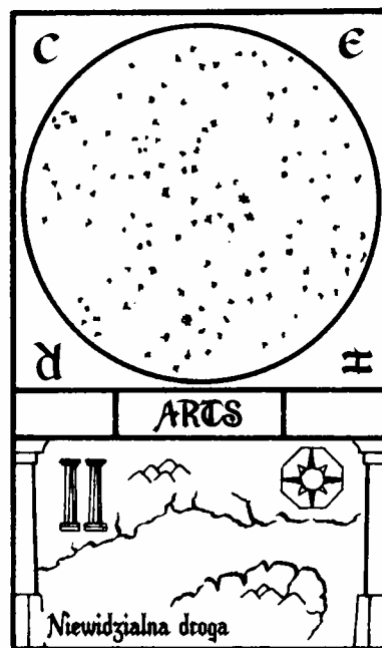
Grimpow wyciągnął z sakwy mapę Niewidzialnej Drogi i rozłożył ją na kuchennym stole. Ten niezwykle, wielobarwny pergamin był najcudowniejszą i najbardziej tajemniczą mapą, jaką można sobie wyobrazić. Nie było najmniejszych wątpliwości, że sekret mędrców jest dobrze strzeżony przed niepowołanym znalazcą za pomocą całego łańcucha zagadek.

Postanowili więc zastosować znaną już sobie metodę, aby uporządkować kłębiące im się w umysłach pomysły i stawić czoła temu nowemu wyzwaniu.

- Sporządzę szkic mapy, aby podzielić ją na poszczególne części składowe - Grimpow sięgnął po węgielek i kartę pergaminu, która wiernie towarzyszyła mu od krypty w Cornill.

Kiedy skończył rysować, dodał napis otaczający sklepienie niebieskie, i oboje wpatrzyli się w nowo powstały szkic.

W niebie jest ciemność i światło

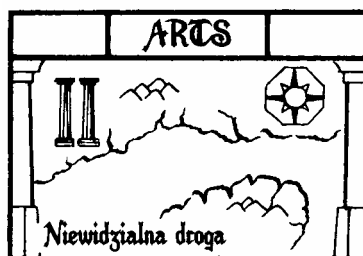


Grimpow, którego uwagę przyciągnęła wymalowana na mapie planisfera wypełniona gwiazdami, odezwał się pierwszy. Stwierdził, że klucz do zaszyfrowanej mapy został ukryty wśród gwiazd. Mogły o tym świadczyć słowa stuletniego mnicha Uberta z Alessandrii, który stwierdził, że odpowiedzi na pytania o sekret mędrców znajdują się ponad gwiazdami. Ponadto zdanie zapisane nad mapą nieba było identyczne ze zdaniem z pergaminu rycerza z gór i można je było uznać za wskazówkę, że światło, które oświetli Niewidzialną Drogę, znajduje się w niebie, przysłonięte ciemnością tajemnicy. Chłopcu przyszło też na myśl, że rysunek na mapie przypomina mapy nieba, które brat Rinaldo z Metz kreślił w bezchmurne noce, pracując nad dziełem życia zatytułowanym *Theorica Planetarum*.

- Być może masz rację, ale rozpocząłeś analizę mapy od góry, a mnie wydaje się, że powinniśmy rozpocząć od dołu - zauważyła Weienell, a jej oczy zabłyśły piękniej od gwiazd.

- A jakie myśli nasuwa ci dolna część mapy? - spytał Grimpow, zginając szkic w ten

sposób:



- Wydaje mi się jasne, że w dolnej części mapy zostały przedstawione trzy etapy drogi, prowadzącej do sekretu mędrców. Pierwszy etap, zapieczętowana komnata z oktagonalnym stołem i różą wiatrów jest już poza nami. Ujrzeliśmy Niewidzialną Drogę - mamy ją przed sobą - a teraz powinniśmy podążyć na wyspę Ipsar, zamieszkałą przez fantastyczne stwory, zwyciężyć diabła i u jego stóp znaleźć ostatnie słowa. Jeśli wpatrzysz się uważnie w mapę, zobaczysz, że róża wiatrów wskazuje, że wyspa Ipsar znajduje się na zachód od zapieczętowanej komnaty, czyli na zachód od zamków Kamienego Kręgu. Po opuszczeniu twierdzy diuka Gulfa de Östemberg udaliśmy się właśnie na zachód, czyli w dobrym kierunku. Tak więc pierwszym wnioskiem, jaki mogę wyciągnąć, jest ten, że wyspa Ipsar znajduje się na zachodzie i że tam prowadzi Niewidzialna Droga.

- Zgoda - Grimpow uznał, że Weienell się nie myli. - Twoje rozumowanie wydaje mi się logiczne. A co sądzisz o słowie ARTS umieszczonym w środku mapy? - spytał, pozostawiając inicjatywę Weienell, która popisała się niezwykłym darem dedukcji.

- Francuskie słowo ARTS oznacza wszelkie rodzaje sztuk. Najprawdopodobniej sekret mędrców, lub miejsce, w którym został ukryty, ma związek ze sztuką.

- Sztuka znajduje się w kościołach i w katedrach! - krzyknął Grimpow, zachwycony własną domyślnością.

- Tak. Ja też o tym pomyślałam - Weienell ożywiła się, bo niespodziewanie w ciemnościach otaczających Niewidzialną Drogę pojawił się promyk światła.

- A więc naszym drugim wnioskiem jest to, że musimy poszukiwać kościoła lub katedry na zachodzie Francji.

- Niewątpliwie - stwierdziła Weienell. - Ale Francja pełna jest kościołów i katedr. Mogą ich być setki. W każdej wsi jest kaplica lub kościół, a miasta, nawet niewielkie, przeważnie mają swoją katedrę. Choćby Metz. Przecież wczoraj przejeżdżaliśmy obok katedry.

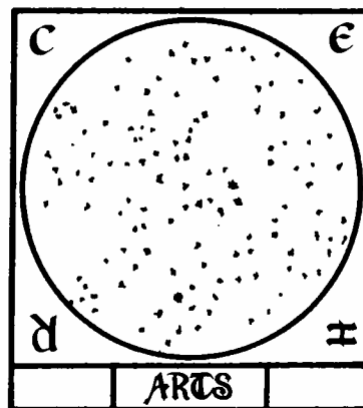
- A więc musimy szukać klucza do zagadki w górnej połowie mapy, między

gwiazdami - Grimpow wrócił do początku rozważań.

Wbił wzrok w przedstawienie nieba na swoim rysunku i siedział przez dobrą chwilę w milczeniu, zagłębiony w myślach. Wspominał noce spędzone z bratem Rinaldem z Metzu na wzgórzu obok opactwa, kiedy wpatrywał się w niebo, podczas gdy stary mnich sporządzał mapy i tablice gwiazdne. Żywo przypominał sobie chwilę, gdy bibliotekarz pokazał mu fosforyzującą planisferę i wyjawiał, że na iluminacji zostało przedstawione to samo nocne niebo, które miał przed oczyma.

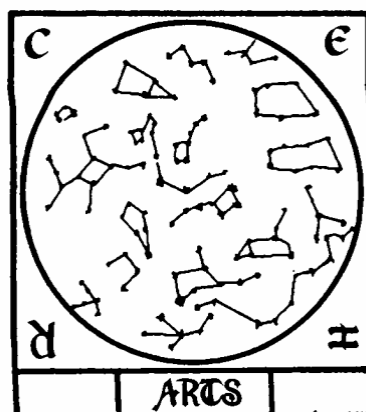
- Przecież to są prawdziwe gwiazdozbiory! Na mapie odwzorowane jest prawdziwe niebo! To dlatego droga do sekretu mędrców jest niewidzialna! - krzyknął Grimpow, patrząc na swój rysunek.

W niebie jest ciemność i światło

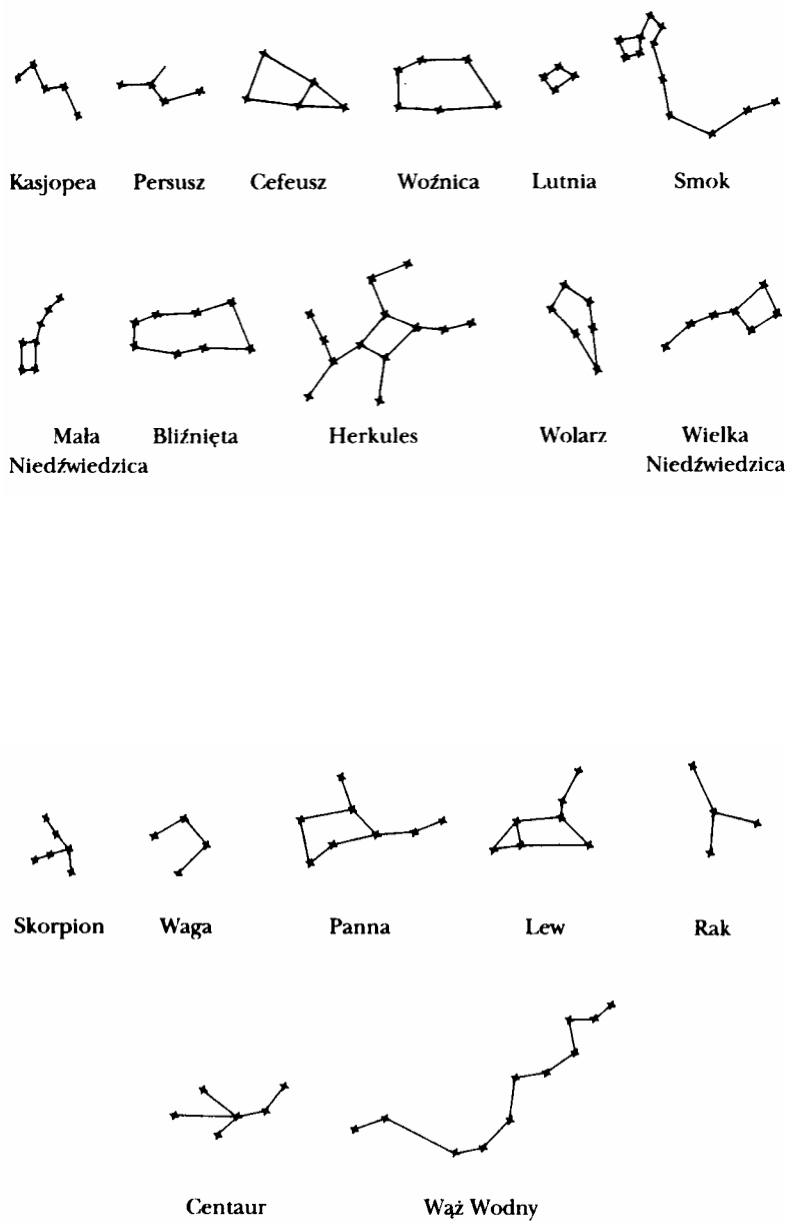


Posługując się węgielkiem zaczął łączyć cienkimi liniami punkty oznaczające gwiazdy i bezładny rysunek zamienił się w jasne i klarowne przedstawienie gwiazdnych konstelacji.

W niebie jest ciemność i światło



- To wspaniałe, Grimpowie! To prawda, że w niebie była ciemność i światło! Udało ci się sprawić, aby światło gwiazd oświetliło Niewidzialną Drogę - powiedziała Weienell z podziwem. Grimpow natomiast zajął się przerysowywaniem poszczególnych gwiazdozbiorów na swój pergamin, po czym opatrzył każdy z nich właściwą nazwą.



- No, to teraz dopiero rzecz się komplikuje! Nie wiem, co to wszystko ma znaczyć i która z tych wszystkich dróg ma nas doprowadzić do sekretu mędrców - poskarżył się Grimpow, kiedy skończył już rysować i opisywać gwiazdozbiory.

- Muszę przyznać, że ja też nie wiem, jak należy rozumieć tę nową zagadkę. Nie mam jednak zamiaru dać za wygraną - stwierdziła Weienell.

Wieczorem następnego dnia postanowili poradzić się Humiusa, bo sami nie byli w stanie znaleźć żadnego punktu zaczepienia, który mógłby doprowadzić ich do znalezienia drogi ukrytej w gwiazdach. Spędzili nieskończone godziny na wykonywaniu kombinacji z inicjałów nazw gwiazdozbiorów, na poszukiwaniu anagramów i podwójnego sensu słów, ale nie natknęli się na nic, co dałoby się wykorzystać, lub co by ich zainspirowało do dalszych poszukiwań.

Grimpow wyjaśnił Humiusowi, z jakimi szyframi mieli do czynienia od chwili, gdy zgodnie ze wskazaniem Kserketa otworzyli kryptę w kościele w Cornill, gdzie drzemała historia spisana przez Aidora Bilbicum. Opowiedział, jak pojechali do miasta wskazanego przez pergamin i jak w strasburskiej katedrze przemówił cień, jak potem poszli za wskazaniem znaku i dostali się do zapieczętowanej komnaty, gdzie czas był życiem i śmiercią, a gdy wydostali się ze śmiertelnej pułapki, zdobyli mapę z Niewidzialną Drogą.

Potem Weienell przejęła pałeczkę i opowiedziała Humiusowi, czego już zdołali się dowiedzieć z mapy. Że wyspa Ipsar, zamieszkała przez fantastyczne stwory, gdzie muszą zmierzyć się z diabłem i znaleźć ostatnie słowa, znajduje się na zachód od zamków Kamiennego Kręgu i że sekret mędrców ma coś wspólnego ze sztuką kościołów i katedr. Powiedziała, że Grimpow odnalazł światło w ciemnościach nieba i sprawił, że Niewidzialna Droga stała się już niemal widoczna, dzięki zgrupowaniu gwiazd w gwiazdozbiory. Zakończyła, mówiąc, że mimo iż myślą o tym bezustannie, nie mogą się domyślić, która ze wszystkich tych dróg utworzonych przez konstelacje, zaprowadzi ich do sekretu mędrców.

- Muszę stwierdzić, że jestem lekarzem i moja znajomość astronomii jest bardzo ograniczona. Twój ojciec z pewnością nie miałby najmniejszej trudności z odszyfrowaniem tej zagadki złożonej z gwiazd i konstelacji. Był wielkim astronomem - dodał Humius, patrząc na Weienell z czułością. - A jednak przypominam sobie, że kiedyś wspomniał o pewnej teorii, którą zajmował się na paryskiej Sorbonie, a według której najważniejsze katedry we Francji zostały rozmieszczone zgodnie z układem gwiazd w gwiazdozbiorze Panny.

- Gwiazdozbiorze Panny? - spytała Weienell, a Grimpow szybko wyrysował tę konstelację na swoim pergaminie.

- Otóż to. Z tego, co mi wiadomo, zodiakalnym znakiem Panny jest wyobrażenie pięknej kobiety, trzymającej w dłoni kłos pszenicy.

- To dlatego najjaśniejsza gwiazda konstelacji Panny nosi nazwę Kłos! Brat Rinaldo z Metzu wspomniał o tej gwiazdzie, gdy na wzgórzach Brinkdum podziwialiśmy niebo w bezksiężycowe noce - dodał Grimpow.

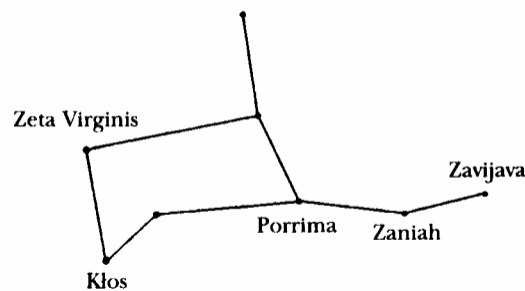
- Pierwsi mędrcy ze stowarzyszenia Ouroboros mieli ścisłe związki z budowniczymi

katedr. Tylko oni dysponowali wiedzą konieczną, aby podjąć się wykonania tak wspaniałych dzieł architektury - ciągnął Humius.

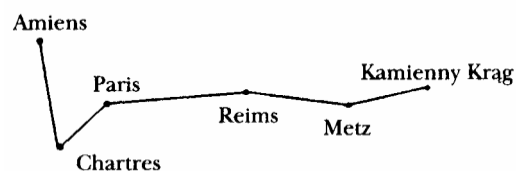
- Przypuszczalnie sekret mędrców jest ukryty w którejś z tych katedr - zawyrokował Grimpow.

- Nic nie jest tak proste, jak się wydaje, a katedry stanowią tajemnicę samą w sobie - mówił dalej lekarz. - Ich nawy i sklepienia, ich wieże, portyki, rozety i witraże są pełne malowideł i rzeźb, symboli i alegorii. Całe wieki miną, a ich znaczenie nie zostanie rozszyfrowane do końca. Katedry w Reims, Paryżu, Chartres i Amiens są największe i najbardziej majestatyczne i wszystkie znajdują się na zachód od Metz. Sądzę, że wasze rozważania doprowadzą was do prawdy - zakończył Humius.

Po czym wstał od kuchennego stołu i udał się do swej komnaty. Wkrótce wrócił z mapą, na której figurowały miasta, o których rozmawiali. Rozwinął ją na stole i porównał z pergaminem, na którym Grimpow robił swoje notatki i gdzie wyrysował konstelację Panny.



Weienell i Grimpow patrzyli z zaciekawieniem, usiłując się domyślić, co chce uczynić Humius z gwiazdami, połączonymi wymyślnymi liniami. A Humius, po dokonaniu paru porównań ze swoją mapą, nakreślił nowy rysunek, na widok którego odebrało im dech ze zdumienia.



- Niewidzialna Droga! - wykrzyknął Grimpow, patrząc na obydwa rysunki.

- To niewiarygodne! - Weienell nie mogła uwierzyć, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Niewidzialna Droga stała się nagle doskonale widoczna.

- Teraz już wiecie, dokąd wyruszyście jutro w poszukiwaniu sekretu mędrców - powiedział Humius skromnie.

- PARIS! - wykrzyknęła Weienell nazwę swego rodzinnego miasta.

- Oczywiście! Paryż! - Grimpow natychmiast domyślił się, dlaczego dla Weienell ta zagadka okazała się tak łatwa do odgadnięcia.

Znowu razem

Salietti dotarł nocą w pobliże Metz ranny i wyczerpany, ze śladami poparzeń na twarzy i dłoniach. Bramy miasta były zamknięte. Ześlizgnął się raczej, niż zsiadł z konia. W uszach nadal rozbrzmiewał mu huk gładów burzących mury twierdzy, łoskot rozpadających się wież i krzyki agonii obrońców. Trząśnięcie w gorączce i chwilami tracił przytomność. Wydawało mu się, że znalazł się w koszmarze sennym, z którego nie ma ucieczki. Nie wiedział nawet, czy jeszcze ktoś oprócz niego przeżył masakrę. Wszystko stało się tak nagle. Usnął, czy też osunął się zemdlny pod drzewem. Księżyc przebijał się przez postrzępiony, cienki płaszcz chmur, w zaroślach pohukiwały sowy, a uciekinier spał ciężkim snem.

Wielokrotnie wzdrygał się, dręczony złymi snami, a kiedy obudził się po paru godzinach, gwiazdy migotały nieśmiało, ustępując miejsca świtowi. W oddali słychać było szczekanie psa. Wiatr poruszał gałęziami drzewa, pod którym leżał. Wstał z trudem, ledwo żywy wsiadł na konia i ruszył do miasta. Przejechał przez most i wolno pokonał labirynt wąziutkich uliczek, bez innego towarzysza, niż własny cień i głuchy stukot końskich kopyt.

- Wszyscy zginęli! - tyle tylko zdołał powiedzieć, gdy Humius otworzył drzwi domu.

- Kim jesteście? Co się stało? - spytał przerażony medyk.

- Zawołajcie Weienell i Grimpowa - wybełkotał Salietti, zemdlał i spadł z konia.

Weienell i Grimpow właśnie nadbiegli. Obudziło ich walenie do drzwi i przez chwilę myśleli nawet, że to inkwizytor Bulvar z Goztell odkrył ich nową kryjówkę i przybył ze swymi zbirami, aby ich uwięzić. Lecz Weienell poznała głos Saliettiego i rzuciła się schodami w dół, a za nią biegł Grimpow.

- Pytał o was. Jest ranny. To musi być Salietti - powiedział nerwowo Humius.

- Tak! To Salietti! Salietti! - krzyknął Grimpow na widok swego przyjaciela, leżącego nieruchomo w progu.

Weienell uklękła przy bezwładnym ciele Saliettiego. Łkając całowała go w czoło i głaskała po włosach.

- Szybko, wnieśmy go do środka - rozkazał medyk.

Weienell i Humius z trudem podnieśli ciężkie ciało Saliettiego i wnieśli go do domu.

- Lepiej zaprowadź konia do stajni - wydyszał medyk do Grimpowa, który usiłował

pomagać, podtrzymując głowę przyjaciela.

Zanieśli rannego do pomieszczenia na parterze, znajdującego się tuż obok drzwi wejściowych i położyli na długim stole. W pokoju znajdowały się półki z grubymi traktatami medycznymi i różne narzędzia, które zabłyśły w świetle oliwnej lampki.

Po zdjęciu z rannego zbroi, medyk ostrym nożem przeciął bieliznę. Wszystko było przesączone czarną, zaschniętą krwią. Humius delikatnie odsłonił skórę i uwidoczniał głęboką ranę po cięciu mieczem, które musnęło szyję i osunęło się po ramieniu.

- Skorzystam z tego, że jest nieprzytomny, aby zaszyć ranę - powiedział, wyciągając ze skrzynki narzędzia konieczne do wykonania zabiegu.

- Pomogę wam - Weienell podkasła rękawy koszuli i umyła ręce w misie stojącej pod oknem.

Do pokoju weszła żona Humiusa i ze współczuciem popatrzyła na rannego rycerza.

- Przygotuję gorącą wodę i szarpie - powiedziała i wyszła z pokoju tak cichutko, jak weszła.

Weienell spytała z niepokojem:

- Myślicie, że rana jest poważna?

- Myślę, że nie jest tak źle, choć stracił dużo krwi. Jest też osłabiony podróżą i wydaje się, że ma gorączkę - Humius przyłożył rękę do czoła Saliettiego.

Twarz Grimpowa, który właśnie wszedł do pokoju, poszarzała. Najgorsze przeczucia, które ogarnęły go w Strasburgu, stały się rzeczywistością. Obleżenie zamków Kamiennego Kręgu zakończyło się straszliwą masakrą. A jednak Salietti żył, i to teraz było najważniejsze. Mimo wszystko, nadal żył.

- Gdybyśmy oddali kamień i mapę Niewidzialnej Drogi inkwizytorowi Bulvarowi z Goztell być może uniknęlibyśmy tego wszystkiego - powiedział, wpatrując się w otwartą ranę, do której zaszywania zabierał się Humius.

Humius wbił koniec zakrzywionej igły w brzeg rany, popchnął i od dołu przebił się przez drugi brzeg. Pociągnął i w ten sam sposób, z precyzją, szył dalej, jak gdyby nie było to żywe ciało, lecz dwa kawałki grubej skóry. Spokojnie powiedział:

- I tak wszystkich by zabili, nawet gdybyś wręczył im sam sekret mędrców. Takie rzeczy zdarzały się już przedtem i będą się zdarzać także w przyszłości. Mordercy, jak ten ojciec dominikanin, nie muszą mieć powodu, aby zabijać. Nie możesz siebie o to winić.

- Czuję się zrozpaczony, że diuk Gulf i jego rycerze polegli broniąc nas przed ignorancją i ciemnotą.

- Nie zapominaj, że nasza sprawa jest sprawą całej ludzkości, Grimpowie. Nigdy

nikogo nie skrzywdziliśmy. Wszelkie nasze starania mają na celu stworzenie lepszego, rozsądniejszego świata, którym rządzi mądrość, a nie ambicja. Nie możesz obciążać się winą za to, że są ludzie, którzy dla zaspokojenia chciwości i niegodziwych popędów są gotowi na wszystko i krzywdzą innych. Jeśli król Francji i baron Figueltach de Vokko, podżegani przez tego podłego inkwizytora, rozkazali zabić żalogę zamków Kręgu, to na ich głowy spadnie odpowiedzialność za te zbrodnie, nie na ciebie. My musimy jedynie starać się przeżyć.

- Obawiam się, że ten koszmar nigdy się nie skończy i że zginie jeszcze więcej ludzi - powiedziała z ciężkim westchnieniem Weienell, obmywając krew, która ponownie zaczęła ciec z rany Saliettego.

- Najprawdopodobniej tak właśnie będzie - potwierdził medyk.

Ponownie otworzyły się drzwi i żona Humiusa weszła do pokoju, niosąc płótna nasączone ziołowym wywarem, którego zapach uniósł się w powietrzu.

- Przyniosę też bulionu, wrze właśnie na kuchni. Powinien pomóc rannemu w odzyskaniu sił, a i wam dobrze zrobi - powiedziała Mahusle, wręczając płótna Weienell.

Żona Humiusa była małomówną osobą, która nie zwykła mieszać się do spraw męża, natomiast chętnie pomagała w pielęgnacji chorych, a zwłaszcza w przygotowywaniu wywarów lub maści. Sam Humius w młodości dużo podróżował i studiował medycynę u najlepszych mistrzów. Przez długie lata był lekarzem na dworze diuka Gulfa, a na starość wrócił do rodzinnego, spokojnego Metzu, aby tu spędzić resztę życia.

Po zaszyciu rany stary lekarz przyłożył do niej aromatyczne płótna, które przygotowała Mahusle. Potem posmarował oparzenia na twarzy i rękach Saliettego specjalną maścią. Weienell i Grimpow przenieśli potem rannego do sąsiedniego pokoju i położyli na wygodnym łóżu.

- Będę czuwała nad jego snem - powiedziała Weienell, biorąc dłoń Saliettego w swoje ręce. Humius i Grimpow wrócili do siebie, a Weienell wpatrywała się z miłością w twarz Saliettego. Myślała o tym, że podczas gdy jedni ludzie, jak Humius, ratują innym życie, wielu jest takich, którzy robią, co mogą, aby ich życia pozbawić.

Ranek był deszczowy i chłodny, mimo iż wiosna była już w pełni. Na podwórzu przy studni stadko wróbli trzepotało się w kałuży. Ptaszki puszyły się i machały skrzydełkami, strącając z nich kropelki wody. Mahusle krzątała się w kuchni, przystawiając do ognia garnki, w których coś smakowicie bulgotało. Humius, Weienell i Grimpow jedli chleb z soloną rybą. Mijały właśnie dwa dni od przybycia Saliettego i wszyscy z niecierpliwością oczekiwali, aby odzyskał przytomność i powiedział, co się zdarzyło w fortecy diuka Gulfa. Ponadto obawiali

się, żeby Bulvar z Goztell nie trafił śladem Saliettego do domu Humiusa, bo oznaczałoby to całkowitą klęskę. Siedzieli w milczeniu, ze spuszczoneymi głowami.

Grimpow rozmyślał o tym, co ich może spotkać w Paryżu. Był pewien, że on sam i Weienell nie mylą się, sądząc, że to tam właśnie znajduje się wyspa Ipsar, zamieszkała przez fantastyczne stwory. Przebieg Niewidzialnej Drogi, który nakreślił Humius wzorując się na dolnej linii łączącej gwiazdy konstelacji Panny, odpowiadał linii łączącej Kamienny Krąg z miastami Metz, Reims, Paryż, Chartres i Amiens. Jeśli teoria była słuszna, to mapa Niewidzialnej Drogi została sporządzona, aby wskazać, że w katedrze lub kościele któregoś z tych miast znajduje się ukryty sekret mędrców.

Kiedy Humius powiedział, że Paryż jest jednym z miast Niewidzialnej Drogi, zarówno Grimpow, jak i Weienell przestawili w myślach litery tworzące słowo „Ipsar”, tworząc momentalnie słowo „Paris”. Grimpow nie wiedział, że w Paryżu jest wyspa, ale Weienell wyjaśniła mu od razu, że pośrodku rzeki Sekwany, która przecina miasto na pół, znajduje się spora wysepka, na której stoi katedra Notre Dame. Grimpow zastanawiał się, jakie to fantastyczne stwory mogą ją zamieszkiwać i co trzeba będzie zrobić, aby zwyciężyć diabła i odnaleźć u jego stóp ostatnie słowa.

Weienell także myślała o Paryżu. To było jej miasto, miasto, w którym się urodziła i wychowała. Miasto, w którym jej ojciec przez całe życie wykładał astronomię. W jej umyśle tłoczyły się wspomnienia, napierając jedne na drugie i przynosząc ze sobą całą masę uczuć i emocji, które ją przerastały. Od kiedy opuściła swój dom w Paryżu, aby towarzyszyć choremu ojcu do wsi Cornill, jej życie uległo całkowitej przemianie, najpierw na złe, a potem na dobre. Podobnie jak ołów w wyniku transmutacji nabiera blasku, tak i w jej życiu czarna rozpacz zamieniła się w promienne uczucie miłości do Saliettego. A teraz byli znowu razem.

- Myślę, że umierającemu z głodu nieszczęśnikowi należy się trochę ryby - Salietti pojawił się niespodziewanie w progu kuchni.

Weienell poderwała się z ławy i podbiegła, aby go uściskać.

- Powinieneś pozostać w łóżu jeszcze przez parę dni - powiedział Humius.

- Jeśli będę się wylegiwał, przyspieszę tym godzinę swojej śmierci, a właśnie udało mi się wymknąć z jej ostrych szponów - odparł Salietti, ciesząc się, że żyje i że widzi

Weienell i Grimpowa. Ten delikatnie objął przyjaciela, tak żeby nie urazić go w zranione ramię.

- Salietti, przedstawiam ci medyka Humiusa. Był przyjacielem naszych rodziców i to on uleczył twoje rany i udzielił nam schronienia w swoim domu. A to jego żona, Mahusle - Weienell wskazała na uśmiechniętą staruszkę - której maści i wywary mają moc przywracania

zdrowia, jak sam mogłeś się przekonać.

- Jestem waszym dłużnikiem. Składam wam dzięki za waszą szczerą gościnność - Salietti skłonił się przed parą starców, a Humius i Mahusle odpowiedzieli skinieniem głowy.

- Humius jest wielkim uczonym i pomógł nam odszyfrować zagadkę Niewidzialnej Drogi. Teraz już wiemy, że musimy jechać do Paryża - szybko powiedział Grimpow, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy będzie mógł opowiedzieć przyjacielowi o postępach, jakie poczynili w poszukiwaniach skarbu mędrców.

- Potem z nim o tym porozmawiasz, Grimpowie. Teraz pozwól, niech Salietti zasiądzie z nami i opowie nam o tragicznym końcu zamków Kamienego Kręgu - poprosił Humius.

Salietti z pewną trudnością zasiadł przy stole, bo przeszkadzała mu lewa ręka podtrzymywana przez temblak. Wolałby mówić o czymkolwiek, zamiast powracać do koszmaru, który przeżył w fortecy diuka Gulfa de Östemberg, ale wiedział, że Humius był przyjacielem diuka, więc postanowił się przemóc i zdać mu relację, na którą ten oczekiwał.

Humius wzdrygnął się, słysząc jaki straszny koniec spotkał jego przyjaciela i pana, któremu uratował życie w ciężkiej chorobie, gdy ten jeszcze był małym chłopcem. Weienell i Grimpowa ogarnęło przerażenie. Saliettiemu błyszczały dziko oczy, jakby znowu znajdował się w twierdzy i widział to wszystko, co przeżył. Humius i Mahusle siedzieli jak woskowe figury, nawet nie mrugając oczami.

- Krzyknąłem z bólu, jakby ten cios mnie samego dosięgnął i oszalały z nienawiści szatkowałem jednego po drugim wrogów, którzy stali mi na drodze. Przebiłem się w pobliże Rostvola i wydałem mu walkę na śmierć i życie. Rozbroiłem go, po czym uciąłem mu głowę i posłałem jego duszę do piekła - ciągnął Salietti. - Udało nam się odeprzeć ten atak, ale ponieśliśmy takie straty, że musieliśmy schronić się w wysokim zamku. Templariusz Rhadoguil de Curnilldonn przejął dowodzenie nad resztą mnichów-rycerzy i nad wiernymi rycerzami poległego diuka Gulfa. Wszyscy byli zdecydowani polec w obronie twierdzy i walczyć do końca.

W nocy nastąpiła przerwa w walkach, co wykorzystaliśmy na odpoczynek i przygotowanie ogromnych kotłów wrzącej oliwy, które umieściliśmy na blankach wież. Cały dolny zamek został już objęty ogniem i przypominał gigantyczny stos, na którym giną heretycy. O świcie następnego dnia słońce wstało krwawo na wschodzie, oświetlając pole, gdzie kłębił się tłum wrogów, jak mrówki oblegając mury nigdy dotąd niezdobytej twierdzy. Usłyszeliśmy potworny hałas trąb i bębnow. W przerażeniu obserwowaliśmy, jak tysiące ludzi wdrapuje się na skały. Na nasze głowy spadały głązy i ogniste kule z katapult

umieszczonych u podnóża murów. Łucznicy robili, co mogli i zabijali atakujących setkami, ale na ich miejsce pojawiały się tysiące innych. Nawet wrzący olej nie zdołał ich zatrzymać.

Potworne katapulty, którymi dysponowali oblegający, wyrwały wielkie kawały murów i szybciej, niż trwa ta opowieść, zostaliśmy otoczeni przez przeważające siły wrogów, którym udało się sforsować wschodnią bramę. Przez całe godziny walczyliśmy straceńczo mieczami, toporami i wszelką bronią. Jeden po drugim padali martwi templariusze i wierni rycerze diuka, aż na koniec pozostała nie więcej niż setka obrońców, walczących na dziedzińcu przed donżonem, gdzie schroniły się kobiety i dzieci - w tym momencie Salietti zawiesił głos i jęknął, jakby zabrakło mu sił, aby dalej mówić.

- Źle się czujesz. Nie mów dalej - powiedział Humius. - Aż za dobrze możemy sobie wyobrazić, co stało się potem.

Salietti odetchnął głęboko i ciągnął:

- Nie, nie można sobie wyobrazić czegoś tak potwornego. Nawet ja sam, mimo iż widziałem to na własne oczy, nadal w to nie wierzę. Ziemia zasłana była tysiącami trupów. Walczyliśmy wiedząc, że zginiemy i deptaliśmy po zakrwawionych ciałach naszych przyjaciół i wrogów. Ostatnie, co pamiętam, to cios, ból i słowa kogoś za moimi plecami: „Zabijcie ich wszystkich!”.

Ocknąłem się w nocy. Leżałem na poboju, wśród setek trupów. Wydawało mi się, że nadszedł dzień Apokalipsy. Wtedy zdałem sobie sprawę, że jestem niedaleko od wejścia do tajnego przejścia, którym uciekliście, a gdzie zaprowadziłem przed walką swego konia. Wokół trwała grabież, zwycięzcy ogarnięci szaleństwem dzielili łupy. Przemknąłem się w dół po schodach, uchyliłem kamienną płytę i jako jedyny uszedłem z życiem z tej potwornej masakry.

Na szkucie Azkle Trubadura

Wyruszyli do Paryża zgodnie z przewidywaniami. Gdy tuż przed świtem opuszczali dom Humiusa i Mahusle, niebo kryły gęste, deszczowe chmury. Zapowiadał się wietrzny i brzydki dzień, ale prędko się roz pogodziło, gdy tylko wiatr zmienił kierunek i przegonił chmury na wschód, w jakieś dalekie, nieznane okolice.

Podczas gdy Weienell i Salietti pakowali skromny ekwipunek, Grimpow wziął z kuchennego stołu długi, ostry nóż.

- Po co ci on? - spytał Humius.

- Jeśli natkniemy się na zbirów inkwizytora Bulvara z Goztell zrobię z niego użytek. Nie będę czekał beczynnie, aż poderzną mi gardło, jak jagniątku - stwierdził Grimpow.

- Jeśli mamy zawierzyć nasze życie twoim umiejętnościom w posługiwaniu się tą bronią, już możemy uznać się za martwych. Lepiej trzymaj się łuku i strzał - parsknął Salietti, podnosząc głowę znad sakwy.

- Przynajmniej będę miał tę satysfakcję, że drogo sprzedam swoje życie - odgryzł się Grimpow.

- Zostaw ten nóż! - Salietti rzucił w stronę Grimpowa sztylet, który odebrał mu Krwawy Druskło w lesie Oppernai.

- Udało ci się odzyskać sztylet! - Grimpow nie wierzył własnym oczom.

- Nie mogłem pozwolić, aby rzecz, która należała do mojego ojca pozostała w rękach rozbójnika i mordercy.

- To oznacza, że Druskło wziął udział w bitwie?

- Tak. Był jednym z tych najemników, którzy wzięli udział w szturmie na barbakan, gdzie poległ diuk Gulf. Ujrzałem go już po walce z Valdigorem de Rostvol. Upomniałem się o sztylet, zgodnie z przyrzeczeniem, ale odparł, że walczyliśmy po dwóch różnych stronach i że jeśli chcę go odzyskać, będę musiał go zabić. I tak uczyniłem.

Gdy skończyli pakowanie, osiodłali konie i przytroczyli z tyłu siodeł derki i sakwy. Potem pożegnali się z Humiusem i Mahusle. Mahusle kazała im unikać wrogów mądrości, a Humius życzył odwagi i determinacji w dalszych poszukiwaniach. Oboje życzyli im szczęścia, jakie mogło im zesłać gwiaździste niebo na drodze do celu.

- I nie smućcie się. O wiele lepiej jest śmiać się z życia, niż pozwalać, aby ono z nas drwiło - powiedział Humius, obejmując swą żonę ramieniem i machając im na pożegnanie.

Wyjechali z miasta przez południową bramę i skierowali się ku południowemu zachodowi. Wokół Metz rozciągały się rozległe, zielone pola upstrzone czerwienią maków, a na horyzoncie rysowały się szczyty gór.

Jechali spiesznie, choć rany Saliettiiniego nie do końca jeszcze się zagoiły i każde stąpienie konia sprawiało mu ból przypominający ukłucia ostrych igieł. Chcieli jak najprędzej dotrzeć do Paryża, następnego miejsca wyznaczonego przez mapę Niewidzialnej Drogi. Wojna z zamkami Kamiennego Kręgu miała się ku końcowi. Można było się spodziewać, że wojska króla Francji niebawem zaczną powracać do stolicy, aby uczcić zwycięstwo rozróbami i pijatyką. Salietti przypuszczał, że Filip IV nie będzie zbyt zadowolony z wyników wyprawy. Brutalna masakra nie przyczyniła się do zdobycia cudownego przedmiotu, który obiecał królowi inkwizytor Bulvar z Goztell, i który miał mu zapewnić nieśmiertelność. Nie uda się zapobiec kłątwie wielkiego mistrza templariuszy. Bezużyteczna wojna z bezsensownego powodu - pomyślał Salietti, gdy w południe przejeżdżali niedaleko miasta Verdun.

Postanowili trzymać się z daleka od miast i wsi, a także od uczęszczanych dróg. Była piękna, wiosenna pogoda i z północnej Alzacji do Paryża udawało się wielu pielgrzymów. Gościńce były też zaludnione przez kupców i wędrownych zakonników, oraz grasowali po nich włóczędzy i żebracy. Troje przyjaciół nie chciało narażać się na niepożądane spotkania, które mogłyby przeszkodzić im w drodze do celu.

Drugiego dnia wieczorem na widnokręgu pojawiło się niewielkie, spokojne miasto Châlons, skąd jedna droga wiodła na północ do Reims, a druga na zachód do Paryża. Z daleka widać było wznoszące się nad dachami szachulcowych domów wieże katedry, nadające miastu elegancki wygląd. Châlons położone było nad rozległą rzeką Marną, płynącą poprzez mokradła, na których gniazdowały różne gatunki ptaków wodnych, przed zmierzchem zbierające się w wielkie, hałaśliwe stada.

- Mam nadzieję, że jesteście zupełnie pewni, że to Paryż, a nie Reims, jest naszym najbliższym celem. W Reims także jest ogromna, wspaniała katedra, gdzie odbywają się ceremonie koronacyjne królów Francji. To byłoby niezłe miejsce, aby ukryć skarb - tak skomentował Salietti słowa Weienell i Grimpowa, którzy wyjaśnili mu, jak udało im się z pomocą Humiusa odszyfrować zagadkę planisfery i gwiazdozbiorów Niewidzialnej Drogi.

- Rękopis Aidora Bilbicum mówi o tym wyraźnie. Pozornie jest zawikłany i

hermetyczny, ale okazuje się, że w końcu wszystko się zgadza. Trzeci etap poszukiwania ma nas zaprowadzić na wyspę Ipsar, a z liter tego słowa można utworzyć nazwę miasta „Paris”. Przypomnij sobie, Aidor mówi, że Niewidzialna Droga zaprowadzi nas na wyspę Ipsar, zamieszkałą przez fantastyczne stwory...

- Ależ na wyspie w Paryżu nie mogą istnieć te potwory i dziwadła, o których mówi manuskrypt Aidora Bilbicum! - Salietti przerwał wypowiedź Weienell.

- Być może czeka cię niespodzianka - tajemniczo stwierdziła Weienell, nie dzieląc się swymi przypuszczeniami.

- Ciekaw jestem, gdzie spotkamy diabła i jak będziemy musieli z nim walczyć - Grimpow wyraził na głos swoje obawy.

- Do tej pory zawsze udawało nam się rozwiązać zagadki, chociaż nigdy nie wiedzieliśmy z góry, co nas czeka. Gdy nadejdzie pora, z pewnością poradzimy sobie także z tym nowym wyzwaniem - stwierdziła trzeźwo Weienell.

- Tak, ale każda nowa zagadka jest bardziej skomplikowana od poprzedniej, a teraz nie ma z nami Humiusa, który mógłby nam pomóc. Bez niego nigdy nie wpadlibyśmy na pomysł, że Niewidzialna Droga została ukryta w konstelacji Panny i że jej dolna linia odpowiada pozycji Kamiennego Kręgu i miast Metz, Reims, Paryża, Chartres i Amiens na mapie Francji - marudził Grimpow, mimo iż doceniał mądrość Weienell i jej celną interpretację kryptogramów z rękopisu Aidora Bilbicum.

- Jeśli teoria mojego ojca, którą streścił nam Humius, jest prawdziwa, oznacza to, że w katedrze w którymś z tych miast został ukryty sekret mędrców. Manuskrypt Aidora Bilbicum daje nam klucz do szyfru, a my musimy po prostu umieć go odpowiednio użyć.

- Mam tylko nadzieję, że nie napotkamy już tak okropnej pułapki, jak zapieczętowana komnata, gdzie czas był życiem i śmiercią - stwierdził Grimpow.

- Póki zdolny jestem utrzymać miecz w dłoni, jestem gotów bronić was przed wszelkim niebezpieczeństwem. Natomiast moja mózgowica nie przysłuży się wam chyba w rozwiązywaniu zagadek, którymi mędrzy obwarowali swój sekret - wtrącił się do rozmowy Salietti.

- Tym się teraz nie przejmuj. I tak się cieszymy, że znowu jesteś z nami, mimo że nie ma z ciebie żadnego pożytku - zaśmiał się Grimpow.

- Tak, to prawda - dodała Weienell i uśmiechnęła się promiennie do Saliettiego. Jednak jej uśmiech szybko zmienił się w wyraz lęku, gdy z mroku wyłoniła się grupa zakapturzonych pieszych.

Salietti dał przyjaciółom znak ręką, aby ściszyli głos.

- Sądzę, że to braciszkwowie z jakiegoś zakonu żebraczego - Grimpow zmrużył oczy, aby lepiej widzieć w zapadającym zmroku.

- Muszę się o tym upewnić - Salietti ruszył konno w kierunku ciemnych postaci, a Weienell i Grimpow zatrzymali się wśród zarośli.

- Stójcie! Kim jesteście? - krzyknął Salietti.

Była to niewielka gromadka trędowatych, którzy zostali wygnani przez biskupa Reims z jaskiń, które zajmowali w pobliżu miasta.

Na znak Saliettiego, Weienell i Grimpow powoli podjechali bliżej. Trędowaci podnieśli oczy, aby przyjrzeć się młodemu jeźdźcom, ale nadal kryli zniekształcone twarze w czeluściach głęboko nasuniętych kapturów.

- Cóż takiego zrobiliście, że was wyrzucono? - wypytywał głośno Salietti.

Ponieważ żaden z mężczyzn się nie odezwał, głos zabrała tęga kobieta, której spod brudnego, obszarpanego płaszcza wyzierały jedynie oczy o smutnym wyrazie:

- Biskup twierdzi, że nasza choroba jest karą boską za grzechy. Oskarżył nas o czary i o to, że chcemy zarazić bogobożnych parafian. Zwykliśmy prosić o jałmużnę przed katedrą, ale nas przepędzono. Mieszkańcy spalili nasz dobytek i zagrozili nam śmiercią, jeśli ośmielimy się wrócić do miasta.

- Niech będą przekłeci ci niegodziwcy! - krzyknął z furią Salietti.

- Spotkaliście królewskie wojska nadciągające od zachodu? - spytała Weienell.

- Nie, tutaj jeszcze nie dotarli, ale słyszeliśmy pod kościołem w Châlons, że część wojsk królewskich już wraca do Paryża po zdobyciu zamków Kamiennego Kręgu i że żołnierze pustoszą wieś i miasteczka na swojej drodze w poszukiwaniu żywności i paszy dla koni - stwierdził człowiek, który, sądząc z tego, jak się do niego odnosili pozostali, był przywódcą grupy.

- Jeśli królewscy najemnicy spotkają was na drodze, zabiją was i zabiorą wam konie - włączył się inny z trędowatych, domyślając się, że nieznajomi także uciekają przed czymś lub przed kimś.

- Jak więc dostać się bezpiecznie do Paryża? - spytał Salietti.

- Jeśli chcecie się tam dostać szybko i bezpiecznie, najlepiej będzie podróżować rzeką. Na przystani w Châlons możecie wynająć skutę, która zawiezie was do miejsca, gdzie Marna wpada do Sekwany. Każdej nocy kilka tych statków wypływa z towarami. Wożą też pielgrzymów i dowiozą was do samych bram Paryża.

Salietti miał już zamiar podziękować trędowatym, kiedy ich przywódca dodał:

- Spytajcie na przystani o Azkle Trubadura. Jest dość szorstki w obejściu, a jego śpiew

jest okropny i przypomina rehot żaby, ale nikt nie zna rzeki, tak jak on. Powiedzcie, że ja was przysyłam, a pomoże wam bez zadawania zbędnych pytań.

Grimpowa i Weienell zaskoczyła uprzejmość nieznajomego trędowatego i ucieszyli się, że przyszedł im z pomocą.

- Kim jesteście? - spytał Salietti.

- Wystarczy, że powiecie, iż jesteście przyjaciółmi Prestdala.

- A wy? Co teraz poczniecie? - zmartwiła się Weienell.

- Udajemy się na południowy wschód. Na przedmieściach miasta Toul bracia franciszkanie budują leprozorium. Mamy nadzieję znaleźć tam azyl, którego w Reims nam odmówiono.

Salietti wyjął z sakiewki garstkę złotych ziaren i na otwartej dłoni podał je człowiekowi bez twarzy.

- To powinno skłonić franciszkanów z Toul do szerokiego otwarcia bram swego hospicjum.

Trędowaci patrzyli zafascynowani na lśniące złoto.

- O, panie! Jak możemy ci się odwdziżyć za tak hojną jałmużnę - wymamrotał trędowaty, wyciągając straszną, pozbawioną kilku palców dłoń.

- Już to zrobiliście. Idźcie z Bogiem i niech pokój będzie z wami.

Rzeka Marna płynęła spokojnie, a w jej wodach odbijał się woskowego koloru księżyc w pełni. Na przystani zgromadziło się sporo mężczyzn, a także kilka kobiet z dziećmi. Sądząc po kapeluszach i laskach pielgrzymich z przyczepioną tykwą, byli to pątnicy udający się do Composteli, aby paść krzyżem przed relikwiami apostoła Jakuba. Oczekiwali na pomoście, aby załadować się na skutę i popłynąć nią do Paryża, skąd czekała ich jeszcze długa i pełna niebezpieczeństw droga. Grimpow pomyślał, że los pielgrzyma jest równie niepewny, jak poszukiwacza sekretu mędrców. Wspomniał też nowicjusza Pobego de Lanforg, który tyle czasu poświęcił na marzenia o wspaniałych czynach, jakich miał zamiar dokonać w dalekiej Hiszpanii. Zastanawiał się, czy młodzieniec żyje, czy też poległ w wojnie o Kamienny Krąg. Jeśli tak się stało, to jego dusza pokutująca niewątpliwie nawiedza brata Brasgdo, przesadnego i lękliwego kucharza z opactwa Brinkdum.

Zsiedli z koni i Salietti zbliżył się do flisaka, który wkładał wielkie kosze, wymoszczone słomą i zapełnione glinianymi garnkami, na pokład statku zaopatrzonego w dwa brudne, postrzępione żagle.

- Powiedzcie mi, dobry człowieku, gdzie jest szkuta Azkle Trubadura?

Flisak popatrzył na niego beznamiętnie i powrócił do swoich zajęć.

- A bo co? - burknął, co nasunęło Saliettiemu myśl, że już znalazł, kogo trzeba.

- Przyjaciel Prestdala o niego pyta.

- I co chce?

- Powiem to jemu samemu.

- Macie go przed sobą.

- Pilnie potrzebujemy dostać się do Paryża. Tutaj jest zapłata za naszą podróż - powiedział Salietti i wepchnął w stwardniałą dłoń Azkle Trubadura trzy złote ziarna. - Jedno za każdego pasażera - dodał.

- Zaraz spuszczę trap, żebyście mogli wprowadzić konie na pokład - opryskliwy Azkle zakrzętnął się bez zbędnych pytań.

Za rufą statku tworzył się lśniący ślad na wodzie i widać było w oddali, podobne do dwóch strzał skierowanych w niebo, oświetlone światłem księżyca wieże katedry w Châlons. Salietti i Weienell ułożyli się do snu na pokładzie, podłożyli sobie sakwy pod głowy i przykryli derką, aby ochronić się nieco od chłodnej mgły unoszącej się nad wodą. Natomiast Grimpow nie mógł zasnąć. Patrzył, jak przód szkuty przecina fale, starał się coś dostrzec w mrocznych otchłaniach i myślał o morzu.

Wkrótce do uszu pasażerów dobiegł ochrypły głos, przypominający chór żab. To Azkle Trubadur śpiewał ballady, aby uprzyjemnić sobie podróż.

Ostatnie słowa

Podróż trwała całą noc i ranek, a tuż przed południem znaleźli się w Paryżu. Dzień był piękny, świeciło słońce, a niebo miało tak intensywnie błękitny kolor, że odbijając się w Sekwanie nadawało magiczny blask i czar jej zwykle szarym i mętnym wodom. Przystań znajdowała się w pobliżu dwóch wysp, które tworzyły coś w rodzaju zarysu cyfry osiem między brzegami rzeki. Grimpow nie wątpił, że jedna z tych wysp jest wyspą Ipsar z manuskryptu Aidora Bilbicum. Przypuszczał, że chodzi o większą z nich, tę, na której wznosiła się katedra Notre Dame. Widziana od strony Sekwany przypominała gigantycznego skorupiaka o dwóch głowach - wieżach, licznych odnóżach utworzonych przez łuki przyporowe podpierające boczne nawy i pancerzu najeżonym nieskończoną ilością kolczastych wieżyczek i iglic.

Na przystani tłoczyły się najrozmaitsze statki i łodzie; panował ożywiony ruch. Tragarze nosząc ładunki gorączkowo krążyli między nabrzeżem a ładowniami szkut i galarów, żeglarze i flisacy szykowali olinowanie i żagle, kręcąc się po pokładach i wantach.

Niejedna głowa odwróciła się, aby popatrzeć na trójkę jeźdźców, którzy właśnie opuścili pokład szkuty Azkle Trubadura. Z zapartym tchem podziwiano piękną damę, dosiadającą konia z niezrównanym wdziękiem. Choć Weienell ukryła swoje piękne włosy pod czepkiem bez skrzydeł, gładko otaczającym głowę, jej uroda nadal zwracała uwagę, a wielkie, zielone oczy lśniły jak morze w promieniach słońca.

Gdy wydostali się poza nabrzeże, Weienell zasugerowała, aby udali się do jej domu, który stał zamknięty od czasu, gdy wraz z ojcem pojechała do Cornill. Chciała, aby pozostawili konie, wykąpali się i przebrali. Jednak Salietti uznał ten plan za zbyt niebezpieczny. Twierdził, że Weienell nie może na oczach wszystkich wrócić do domu bez ojca, w towarzystwie dwóch nieznajomych.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby inkwizytor Bulvar z Goztell miał szpiega wśród twych sąsiadów, a ten nie omieszką powiadomić królewskich straży. Przecież przekłety dominikanin aż rwał się, żeby dostać cię w swoje szpony w fortecy barona, a teraz z pewnością oddałby duszę diabłu, gdyby wiedział, że dzięki temu cię schwyta. Niewątpliwie jest wściekły, bo jego nadzieje na odnalezienie sekretu templariuszy, czyli sekretu mędrców rozwiały się, jak dym.

- Cóż więc pocniemy? - Grimpow pragnął jak najprędzej znaleźć się na wyspie Ipsar, zamieszkałej przez fantastyczne stwory.

- Najlepiej będzie udać się do gospody, którą polecił mi Azkle Trubadur. Tam zostawimy konie, bo bez nich mniej będziemy się rzucać w oczy. A kiedy zmrok zapadnie, przemkniemy się po kryjomu do domu Weienell. Uważam, że nie powinniśmy spędzać tam nocy, bo możemy wpaść w pułapkę. Być może już ją zastawiono. Gdyby otoczyli nas królewscy żołnierze, nie udałoby nam się uciec.

- Przypuszczalnie masz rację. Ale przecież kiedyś będę musiała wrócić do domu. Tam znajduje się wszystko, co posiadam - powiedziała smutnym głosem Weienell, którą ogarniały wspomnienia.

- Wiem, że trudno ci o tym myśleć w ten sposób, ale jesteśmy teraz po prostu zbiegami, za których głowę wyznaczono cenę. Musimy być bardzo czujni w tym wielkim mieście, gdzie każdy cień może być podejrzany, a twarz mijana na ulicy może być twarzą wroga - Salietti wiedział, że mówiąc to, robi przykrość swojej ukochanej, ale czuł się w obowiązku przedstawić jasno sytuację.

- Opuścimy Paryż, gdy tylko zwyciężymy diabła na wyspie Ipsar i odnajdziemy u jego stóp ostatnie słowa. Jeszcze nie odnaleźliśmy sekretu mędrców, musimy dalej go szukać. Nie pora teraz na narzekania i żale - Grimpow, jak mógł, starał się pocieszyć Weienell.

- Masz rację. Zrobimy tak, jak radzi Salietti.

Uliczki handlowej dzielnicy Paryża przypominały wrzący kocioł. Salietti przypomniał sobie lata młodości, a Grimpow opowieść o sięgającej nieba wieży Babel, którą usłyszał w opactwie od brata Brasgdo. Kucharz twierdził, że Bóg słusznie uczynił mieszając ludziom języki, aby nie mogli się porozumieć i dokończyć swego dzieła, stając się równymi Bogu. Na widok mnóstwa kościelnych dzwonnicy i wież katedralnych, które jak mityczna wieża Babel wyzywająco godziły swymi wierzchołkami w niebo, Grimpow zaczął się zastanawiać, czy aby Bóg nie zesłał ponownie jakiejś kary na ludzi, bowiem na prawym brzegu Sekwany panował wprost piekielny harmider i zgiełk.

Grimpow w całym swym życiu nie widział niczego, co mogłoby się równać z tym zbiorowiskiem wysokich, stłoczonych budowli i wąpił, aby kiedykolwiek zobaczył jeszcze coś równie niezwykłego. Setki przechodniów na ulicach, hałas, ożywienie, gwar, chłopcy zachęcający do zakupu warzyw i owoców, przekupnie głośno zachwalający swoje towary, rybacy opisujący niezrównaną świeżość ryb, rzeźnicy i masarze, potrząsający kawałkami świeżego mięsa lub pętami kielbas, handlarze wywrzaskujący peany na cześć cudownych

właściwości swych ziół, proszków i korzeni. Tysiące odgłosów, widoków, zapachów.

Pozostawiwszy konie w stajni gospody, którą polecił im Azkle Trubadur, zagłębili się w płataninę uliczek, które Weienell wydawała się znać, jak własną kieszeń. Przeszli obok wielkiego Cmentarza Niewiniątek, którego grobowce i cyprysy widoczne były zza niskiego muru, pozostawili za sobą ulice złotników i tkaczy i ponownie znaleźli się na prawym nabrzeżu Sekwany. Grimpow przewiesił sobie przez pierś sakwę, w której znajdowała się mapa Niewidzialnej Drogi, manuskrypt Aidora Bilbicum, pergamin z notatkami i węgielek, a Salietti miał w zanadrzu woreczek ze złotem i złotą pieczęć związku Ouroboros.

Weienell szła pewnie, wskazując im drogę i już po chwili byli na moście wiodącym na wyspę Ipsar. Po prawej stronie wznosiły się wieże ponurej siedziby trybunału królewskiego, gdzie w lochach torturowano skazańców i heretyków, a po lewej widać było majestatyczne, kwadratowe wieże katedry z wysokimi hełmami krytymi miedzianą blachą. Wydawało się, że na tej niewielkiej wyspie jest miejsce i dla piekła i dla nieba.

Podziwiając z otwartymi ustami główną fasadę katedry, Grimpow wyczuł, że kamienie tej niezwykłej budowli kryją o wiele więcej sekretów niż ten jedyny, którego poszukiwali. Przypomniał sobie słowa pustelnika, że aby odnaleźć sekret mędrców, należy zrozumieć język kamieni. Wiedział, że właśnie tutaj będą musieli dokonać wielkiego wysiłku, aby odszyfrować ostatnie zagadki Aidora Bilbicum. Udało im się ujrzeć Niewidzialną Drogę i odnaleźć wyspę Ipsar, ale Grimpow nadal nie wiedział, gdzie są te fantastyczne stwory, które miały ją zamieszkiwać.

- Są tu, przed twoimi oczyma - powiedziała Weienell i wskazała palcem w górę, ku gzymsom.

Grimpow popatrzył tam, gdzie wskazywała Weienell i zobaczył przyglądające się z góry przyziemnemu światu ludzi różne dziwadła, smoki, ptaszyska, diabły, groźne potwory o wyszczerzonych kłach, wszystkie zamarłe w pół ruchu, jakby zaklęte w kamień. Wydawały się strażnikami tych niedostępnych wyżyn, lub uwięzionymi wygnańcami z jakiegoś królestwa nie z tego świata.

- Teraz rozumiem. Fantastyczne stwory z manuskryptu Aidora Bilbicum to rzeźby! Gargulce i maskarony są przedstawieniami zła i dlatego zostały umieszczone na zewnątrz katedry - stwierdził Salietti.

- A więc na co czekamy? Poszukajmy diabła, który gdzieś tu musi być i sprawdźmy, co ma pod nogami. Mam nadzieję, że okaże się równie niegroźny, jak te potwory, które patrzą na nas z wysoka - Grimpow był zadowolony z postępów, jakie poczynili w odgadywaniu zagadki.

U wrót katedry zgromadził się tłum ślepców, kalek i nędzarzy, którzy natarczywie domagali się jałmużny. Pod bocznym portykiem kilku linokoczków pokazywało swoje sztuczki z ognistymi kulami. Grimpow popatrzył na nich ze współczuciem, gdyż nasunęli mu pamięć o jego własnej przeszłości, tak dawno minionej, że wydawała się nierzeczywista.

W katedrze panowała głęboka cisza. Wielobarwne, tak intensywne, że niemal namacalne światło przenikało przez witraże. Fasada katedry zwrócona była ku zachodowi i o tej popołudniowej godzinie słońce, podobne do rozżarzonego alchemicznego tygla, przeświecało na wskroś przez ogromną rozetę. Na witrażach przedstawiono najrozmaitsze historie, których prawdziwe znaczenie znali jedynie ich twórcy. Było oczywiste, że wnętrze katedry kryło niezliczone tajemnice, które nigdy nie zostaną wyjawione. Kolorowe witraże były jak ogromna, otwarta księga, dostępna nawet dla prostaczków nieumiejących czytać, jednocześnie zaś zawierały mnóstwo zaszyfrowanych znaczeń i przekazów, zrozumiałych jedynie dla wtajemniczonych, dysponujących kluczami do szyfrów.

Grimpow ufał jednak, że wkrótce uda im się rozwiązać zagadkę, która ich tu przywiodła i rozglądał się wokół siebie, olśniony nadludzkim pięknem, które ich otaczało. Było oczywiste, że każda rzeźba i każde malowidło znajdujące się w katedrze było przepełnione geniuszem SZTUKI, najbardziej oczywistym wyrazem zdolności twórczych rodzaju ludzkiego. To właśnie sugerował napis ARTS, znajdujący się pośrodku mapy, pod planisferą. A za tymi najbardziej wyraźnymi przejawami SZTUKI kryła się także niewidzialna, lecz niezbędna wiedza matematyczna i geometryczna. Grimpow przyswoił sobie jej początki w bibliotece opactwa, gdzie studiował pod opieką brata Rinalda z Metz, więc mógł docenić bijące w oczy mistrzostwo budowniczych. O ich wiedzy i umiejętnościach mówił każdy mur, każdy prześwit opatrzony witrażem, każda gigantyczna kolumna i wyniosłe łukowe sklepienia, które unosiły się nad ich głowami, jak gdyby na przekór prawom ciężenia.

Stali obok kaplicy, w której płonęły dziesiątki świec i ogarków. Weienell dotknęła delikatnie łokcia Grimpowa, aby obudzić go z głębokiego zamyślenia. Salietti zachowywał trzeźwość umysłu i przyglądał się uważnie twarzom ludzi modlących się w wielkiej nawie głównej i w sąsiednich kaplicach. Katedra była pełna ludzi wszelkich stanów, od szlachty, przez mieszczan i kupców, do plebsu. Byli tu wierni, pielgrzymi, mnisi i klerycy. Salietti śledził w napięciu gesty obecnych, aby wyłapać coś, co mogłoby wydać się podejrzane.

- Chodźcie, myślę, że już wiem, gdzie kryje się nasz diabeł. Kiedy byłam małą dziewczynką i przychodziłam z matką do katedry, mijałam go ze strachem. Bałam się nawet na niego popatrzeć, bo wydawało mi się, że zabierze moją duszę, jeśli spojrzę mu w oczy.

Prawie nikt się nie odważa tego uczynić. Być może Aidor Bilbicum miał na myśli właśnie to: że trzeba zwalczyć lęk, aby odnaleźć ostatnie słowa.

Przeszli obok ołtarza i chóru. Na cokole rzeźby przedstawiającej człowieka o naiwnym wyrazie twarzy, trzymającego w ręku księgę, Salietti odkrył trzy słowa, umieszczone jedno pod drugim, na pierwszy rzut oka niemające sensu, ani też związku ze sobą. Dyskretnie kiwnął na Grimpowa, aby ten zbliżył się i przepisał inskrypcję na swój kawałek pergaminu.

ROK
NIERAZ
LOS

- Coś ci mówią te słowa? - spytał Salietti.

Grimpow zastanowił się przez chwilę, usiłując powiązać ze sobą słowa, jednak bez powodzenia.

- Nie, nie mam pojęcia, co znaczą, ani też jaki mogą mieć sens. W tej katedrze jest ukryty niejeden sekret, tego możesz być pewien.

- Mnie też nic do głowy nie przychodzi - uprzedziła ich pytanie Weienell.

- A gdyby to właśnie były ostatnie słowa manuskryptu Aidora Bilbicum? - zasugerował Salietti.

Weienell przecząco pokręciła głową.

- Manuskrypt mówi, że musimy walczyć z diabłem, aby u jego stóp odnaleźć ostatnie słowa. Ta rzeźba nie przedstawia diabła.

- Kościół naucza, że diabeł może przybierać najrozmaitsze kształty, aby kusić małuczkich. Być może nie należy manuskryptu Aidora Bilbicum interpretować tak dosłownie, jak robiliśmy to dotąd - Salietti upierał się przy swoim.

- Do tej pory nasze interpretacje nas nie zawiodły, ale nie wykluczone że Salietti ma rację. Przypomnij sobie zapieczętowaną komnatę i wyrażenie *Tempus est vita, Tempus est mors*, które okazało się śmiertelną pułapką - orzekł Grimpow, a po krótkiej przerwie dodał: - Być może te słowa są jakimś wymysłem twórcy rzeźby, prostą rozrywką dla widzów. Mogą też mieć ukryte znaczenie. W katedrze w Strasburgu widziałem, jak kamieniarze wycinali swoje znaki na kamieniach. Mogli też wyryć swoje imiona, albo jakieś słowa, które dla nich miały sens, ale których nikt nie może pojąć.

- Pójdźmy więc zobaczyć diabła, o którym mówiłam. Jeśli tam nie znajdziemy

niczego ciekawego, wrócimy tu i będziemy się zastanawiać nad znaczeniem tej zagadki, na którą natknęliśmy się tak niespodziewanie - zakończyła dyskusję Weienell z właściwym sobie rozsądkiem.

A potem zaprowadziła ich do zacisznego zakątka, gdzie na kamiennej podstawie stała niewielka figura diabła, o wytrzeszczonych oczach, spłaszczonym nosie i groteskowo wielkich ustach. Jego twarz mogła się wydawać śmieszna, ale gdy mu się lepiej przyjrzeć, było coś strasznego w jego oczach.

- To ten. Przypuszczalnie to właśnie z tym diabłem musimy się zmagać - powiedziała Weienell, walcząc z uczuciem odrazy.

- Cóż więc mamy począć? Diabeł się nie rusza. Jak można z nim walczyć? - Salietti rozbawiony chwycił za rękojeść miecza.

- Być może rękopis mówił o walce symbolicznej, a nie prawdziwej - stwierdziła Weienell.

- Też o tym myślałem - potwierdził Grimpow.

- Lepiej będzie, jak sami to sprawdzicie. Ja będę tuż obok. Będę pilnował, czy ktoś nie nadchodzi - Salietti odszedł parę kroków w bok.

- Zastanawiam się, czy zwyciężenie diabła może oznaczać ruszenie go z miejsca - rozważał Grimpow.

- Wydaje mi się, że powinniśmy choćby to sprawdzić - zgodziła się Weienell. - Pozostaje nam tylko ustalić, kto z nas dwojga miałby to uczynić.

- Pozwól mnie to zrobić - poprosił Grimpow. - Myślę, że jeśli uda mi się z nim zmierzyć, jednocześnie przezwyciężę różne absurdalne lęki, które dręczą mnie od chwili, gdy wraz z Durlibem znaleźliśmy kamień w dłoni ojca Saliettiego w lasach Ullpens - stwierdził.

Weienell skinęła potwierdzająco głową i Grimpow podszedł powoli do diabła. Był z kamienia, to prawda, ale wyglądał tak, że wydawało się, iż lada moment ożyje. Grimpow wyciągnął rękę i dotknął zimnej twarzy figury, aby upewnić się, że stawia czoła jedynie swoim lękom, nierzeczywistym i urojonym. Potem podszedł jeszcze bliżej i otoczył diabła ramionami, tak jakby miał zamiar zmierzyć się z nim w zapasach. Ścisnął ze wszystkich sił i kręcił nim na prawo i lewo, jakby chciał powrywać mu nogi. Nagle rozległ się trzask. Grimpow puścił figurę, która obróciła się wokół własnej osi i stanęła do nich plecami. Tam, gdzie przedtem znajdowały się stopy diabła, obecnie widniał wryty w kamieniu kwadrat podzielony na pola, wypełniony szczelnie literami.

- Ostatnie słowa są nową zagadką! - krzyknęła Weienell z entuzjazmem.

- Którą wkrótce rozwiążemy - chłopcu udzielił się dobry nastrój. Wyciągnął z sakwy

swój pergamin i węgielkiem przepisał ostatnie słowa, dokładnie w tym samym układzie, w jakim figurowały pod stopami diabła.

A	T	A	I	W	Ś	H	C	E	Z
S	W	N	A	I	M	E	Z	R	P
I	U	S	A	Z	C	A	I	T	S
E	W	K	O	K	L	Y	T	O	T
G	Ó	B	K	A	J	Ę	I	S	E
I	N	A	T	S	K	E	I	W	O
Ł	Z	C	E	I	N	B	O	D	O
P	S	O	Ł	K	W	Ę	I	S	A
I	N	E	I	M	Z	A	Z	O	B
Z	O	N	R	A	I	Z	K	A	J

Salietti nie posiadał się ze zdziwienia, że istotnie ostatnie słowa znajdowały się tam, gdzie wskazywał rękopis Aidora Bilbicum i nie umiał ukryć swego niezadowolenia z tego, że były nową zagadką. Oczekiwał, że po prostu wskażą drogę do kolumn, przez które będą mogli dostać się do labiryntu i zasiać tam ziarno, aby zobaczyć, jak rozkwita kwiat. Grimpow i Weienell przypuszczali, że miejsce ukrycia sekretu mędrców zostało w jakiś sposób zaszyfrowane i postanowili zostać w katedrze, aby usiłować pojąć, co kryją ostatnie słowa. Zasiedli na ławce w jednej z kaplic i skoncentrowali się na tajemniczym kwadracie, a Salietti stanął na straży i pilnował, aby nikt się nie zbliżył.

Mijały długie chwile, a oni siedzieli bez ruchu, z oczyma wbitymi w pozornie beładną mieszalinę liter. Grimpow pierwszy znalazł słowo, które wydawało się mieć samoistny sens. Znajdowało się w pierwszej i drugiej linii od góry i zostało zapisane od prawej do lewej.

- Tu jest słowo „Wszechświat” - krzyknął, zadowolony, że znalazł nić prowadzącą do kłębka i natychmiast zapisał słowo na swoim pergaminie.

WSZECHŚWIAT

- To było jedno ze słów, które pomogły nam ująć z życiem z zapieczętowanej komnaty - Weienell nie kryła entuzjazmu, bo nowa zagadka okazywała się równie magiczna, jak poprzednie.

- Zastanawiam się, jaki jest sens tego, że tutaj znowu się powtarza - Grimpow był

ostrożniejszy.

- Jest tu też słowo „Czas”, napisane od prawej do lewej. To inne ze słów z zapieczętowanej komnaty! - Weienell była zachwycona tym, w jaki sposób tajemniczy kwadrat stawał się coraz bardziej zrozumiały i jak słowa pojawiały się przed jej oczyma, podobne do dróg na Niewidzialnej Mapie.

- Oczywiście. Było w napisie na murze i było też jednym z ośmiu słów tworzących słowo „Wieczność” - Grimpow dodał je do swoich notatek.

CZAS

- A tutaj mamy słowo „Bóg” - ciągnęła Weienell, a Grimpow zanotował.

BÓG

I natychmiast stwierdził:

- Jest tu też słowo „Człowiek”. Chyba idziemy dobrą drogą - i niewiele myśląc, zapisał: CZŁOWIEK

Przez chwilę milczeli, jakby wyczerpali już wszystkie możliwości, jakie dawał kwadrat z rozrzuconymi literami, aż Weienell krzyknęła: - Ziarno! Znalazłam słowo „Ziarno”!

A Grimpow dodał je do swojej listy.

ZIARNO

- To fantastyczne! Jest tu też słowo „Kłos”. To nazwa najjaśniejszej gwiazdy z gwiazdozbioru Panny, który jest odwzorowaniem drogi od Zamków Kręgu do miasta Amiens - tym razem Grimpow wypatrył znaczące słowo i zapisał je na pergaminie.

KŁOS

Salietti zbliżył się, aby sprawdzić, jak im idzie i ostrzec ich, aby nie podnosili głosu, bo krzykami mogli zwrócić na siebie czyjąś uwagę.

- Odnaleźliśmy sześć słów - powiedziała Weienell, wprawiając ponownie w zdumienie Salietiego.

A ponieważ nigdy nie wątpił, że jego przyjaciele odznaczają się nadzwyczajną

inteligencją i poradzą sobie sami, powrócił na swoje miejsce, aby ich nie rozpraszać.

- Jakie to wszystko może mieć znaczenie? - Grimpow rozmyślał na głos, podkreślając w kwadracie każde ze słów, które znaleźli.

Obydwoje wysilali umysły, aby odnaleźć jak najszybciej jakiś związek między nimi, ale wszystko wydawało im się mętne. Pomysły przelatywały im przez głowy i mieszały się ze sobą, tworząc gąszcz, którego rozgarnięcie wymagałby całych godzin lub dni. Gorączkowo usiłowali wyłuskać z niego jakiś sens.

A	T	A	I	W	Ś	H	C	E	Z
S	W	N	A	I	M	E	Z	R	P
I	U	S	A	Z	C	A	I	T	S
E	W	K	O	K	L	Y	T	O	T
G	Ó	B	K	A	J	Ę	I	S	E
I	N	A	T	S	K	E	I	W	O
Ł	Z	C	E	I	N	B	O	D	O
P	S	O	Ł	K	W	Ę	I	S	A
I	N	E	I	M	Z	A	Ż	O	B
Z	O	N	R	A	I	Z	K	A	J

- Myślę, że powinniśmy sobie zadać pytanie, czego w gruncie rzeczy szukamy - zaproponowała Weienell, starając się narzucić jakąś metodę rozumowania.

- Szukamy sekretu mędrców - odparł Grimpow bez zastanowienia.

Weienell uśmiechnęła się, słysząc naiwną odpowiedź.

- Nie o to mi chodzi. Mam na myśli, że musimy zacząć od czegoś konkretnego. Na przykład na początek powinniśmy ustalić, gdzie znajdują się kolumny przejścia, abyśmy mogli wejść do labiryntu i zasiać tam ziarno.

- Myślisz o tym, że ma to być jakieś konkretne miejsce?

- Otóż to. To miejsce z pewnością jest wskazane przez te tajemnicze słowa. Musimy stwierdzić z całą pewnością, w którym z miast znajdują się kolumny przejścia.

- Według Niewidzialnej Drogi mogą znajdować się tutaj - w Paryżu - albo w Chartres, Amiens czy Reims. Ale Reims już pozostało za nami.

- A w Paryżu już jesteśmy, więc musimy skoncentrować się na Amiens lub Chartres - powiedziała Weienell. Zanim zdążyła coś dodać, Grimpow ponownie pokazał jej sześć słów:

WSZECHŚWIAT

CZAS
BÓG
CZŁOWIEK
KŁOS
ZIARNO

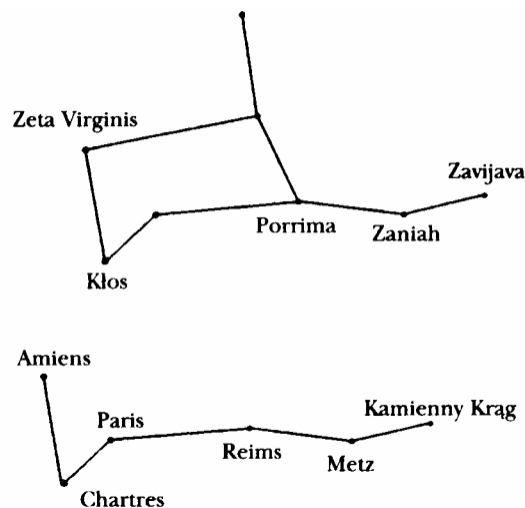
- Próbowałem ułożyć z liter tych słów słowo „Amiens”. Ale nie ma tam żadnej litery „M” - stwierdził Grimpow.

Weienell przez chwilę przypatrywała się słowom i powiedziała:

- To prawda. Z tego samego powodu nie można też ułożyć słowa „Reims”. Ale obawiam się, że wybierając litery na chybił trafił, można byłoby ułożyć wiele innych słów. A wielu innych nie. Chociaż, istotnie, nie można też ułożyć słowa „Paris”, bo nie mamy litery „p”. Od biedy można by ułożyć słowo „Chartres”, dwa razy używając litery „r”.

Grimpow doznał nagłego przyływu natchnienia.

- To może znaczyć, że miastem w którym jest ukryty sekret mędrców, jest Chartres, jako że jest jedynym, którego nazwę można ułożyć z tych liter. Jeśli pamiętasz drogę wskazaną przez mapę - pokazał rysunek Humiusa - to pozycja Chartres na ziemi odpowiada pozycji najjaśniejszej gwiazdy konstelacji Panny, którą jest Kłos. To jest zresztą jedno ze słów, które znaleźliśmy w magicznym kwadracie - zakończył.

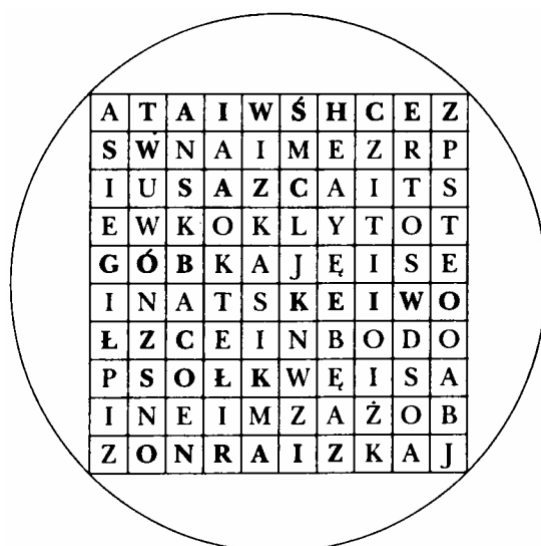


- To możliwe, ale może także chodzić o to, że miejscem, gdzie nie ma skarbu jest właśnie Chartres i że należy szukać w pozostałych trzech. Jesteśmy w Paryżu, więc mogłoby to być Reims, albo Amiens. To właśnie miasto znajduje się na końcu Niewidzialnej Drogi.

Ostatnie słowa Weienell zmieszały Grimpowa. Przez chwilę wydawało mu się, że doszli do punktu bez wyjścia i że będą kręcić się bez sensu wokół kwadratu z literami. Myśli te nasunęły mu wspomnienie o tym, jak w opactwie Brinkdum stary mnich Rinaldo z Metzu sporządził szkic kwadratury koła. Koło oznaczało niebo, w nie wpisany był kwadrat oznaczający ziemię. W jakiś sposób - myślał Grimpow - te sześć tajemniczych słów, które odnaleźli, wydawało się nasuwać myśl o podziale między tym, co materialne i tym, co ponadmaterialne. Słowa Wszechświat, Czas i Bóg opisywały byty przynależące do sfery niebiańskiej, podczas gdy Ziarno, Kłós i Człowiek były przejawami życia ziemskiego.

Postanowił podzielić się tymi przemyśleniami z Weienell, aby postarać się rozproszyc mroki, które ponownie ich ogarnęły.

Weienell wysłuchiwała uważnie wszystkiego, co jej przyjaciel miał do powiedzenia, nie spuszczać z oczu kwadratu z literami, wokół którego Grimpow narysował okrąg, aby lepiej zilustrować swoje wyjaśnienia.



- Brat Rinaldo z Metzu twierdził, że kwadratura koła jest niemożliwa do osiągnięcia, bo oznaczałaby zrównanie nieba z ziemią i Boga z człowiekiem - ze zniechęceniem zakończył Grimpow.

Ale to właśnie te słowa wywołały taką reakcję Weienell, jakby istotnie koło i kwadrat przedstawione na rysunku zlały się w jedno.

- To właśnie oznacza ten kwadrat! Znajduje się w nim dużo więcej, niż tylko wyrwane słowa Wszechświat, Czas, Bóg, Człowiek, Kłós i Ziarno.

Grimpow patrzył na nią z podziwem.

- Co to znaczy? - nadal nie rozumiał, co chce powiedzieć Weienell.

- To, że ostatnie słowa spisane przez Aidora Bilbicum są samoistnym tekstem. Zaczęłam to podejrzewać, gdy spostrzegłam, że sześć słów, które odnaleźliśmy w kwadracie jest zapisanych od prawej do lewej. A zdanie mnicha bibliotekarza o niemożliwości osiągnięcia kwadratury koła, które zacytowałeś, upewniło mnie, że się nie mylę.

I biorąc z rąk Grimpowa kawałek pergaminu i węgielek spisała to, co było ostatnim przesłaniem mędrców z tajnego związku Ouroboros i co można było odczytać z kwadratu, gdy rozpoczęło się lekturę od prawego dolnego rogu i czytało wspak.

JAK ZIARNO ZBOŻA ZMIENIA SIĘ W KŁOS,
PODOBNIŁ CZŁOWIEK STANIE SIĘ JAK BÓG.
TO TYLKO KWESTIA CZASU
I PRZEMIAN WSZECHŚWIATA.

- Znaczenie ostatnich słów jest takie, że nadejdzie chwila, w której kwadratura koła stanie się możliwa. Będzie to wtedy, gdy człowiek osiągnie boskość i sam przemieni się w Boga. Jeśli się nad tym zastanowisz, dojdiesz do wniosku, że człowiek wymyślił Boga, aby wytłumaczyć sobie swoje własne istnienie, istnienie świata i kosmosu. Kiedy zaś rodzaj ludzki osiągnie całkowitą mądrość, człowiek i Bóg staną się jednością, a koło zostanie ostatecznie zamknięte i na zawsze połączone z kwadratem. Ojciec rozmawiał ze mną o tych sprawach - stwierdziła Weienell.

- A kiedy to nastąpi? - Grimpow nie posiadał się ze zdumienia.

- Kiedy upływ czasu i przemiany wszechświata na to pozwolą. Być może zajmie to całe wieki, może tysiące lat, a może miliony. Proces transformacji już się rozpoczął. Do nas teraz należy zadbać o to, aby się nie zatrzymał i aby nie zatryumfowała niewiedza.

Grimpow zamilkł. Zdziwienie i podziw odebrały mu głos. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego znakiem tajnego związku Ouroboros był zwinięty w kółko wąż trzymający w pysku własny ogon, przedstawiający nieskończoną mądrość, bez początku i bez końca.

Odeszli parę kroków od kaplicy i usiłowali trzymać się z dala od wiernych i pątników, modlących się na kolanach w środkowej nawie.

Salietti nie był w stanie zrozumieć, w jaki sposób Weienell i Grimpow zdołali wyjaśnić tajemnicę ostatnich słów, mimo iż przyjaciele starali się opisać mu drogę, jaką do tego doszli.

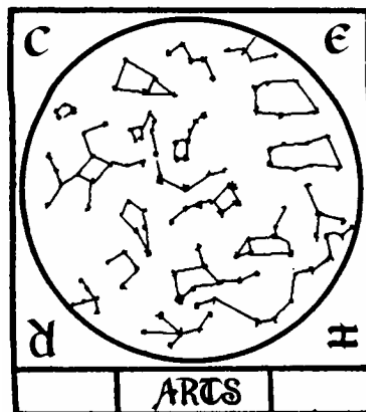
- No to gdzie wreszcie są te kolumny przejścia? - zniecierpliwiał się. Chciał opuścić katedrę i jak najszybciej wyjechać z Paryża. Każda godzina tu spędzona przybliżała chwilę

powrotu armii królewskiej do stolicy. Nie byłoby nic dziwnego w tym, aby i inkwizytor Bulvar z Goztell powrócił, aby zdać osobiście sprawę królowi z fiaska podjętej misji i przyznać się, że nie udało mu się zdobyć przedmiotu zapewniającego nieśmiertelność.

- Jeszcze nie udało nam się stwierdzić, czy są tutaj, w Paryżu, czy też w Reims, Chartres lub Amiens - odparła Weienell. - Jedno, co wydaje się pewne, to że sekret mędrców został ukryty w katedrze któregoś z tych miast.

- A jak macie zamiar stwierdzić, w którym? - Salietti popatrzył spode łba na grupkę pielgrzymów, którzy śpiewając pieśń dziękczynienia wkroczyli do katedry przez boczne drzwi niedaleko od miejsca, gdzie stał.

- Jeśli klucza nie było w ostatnich słowach, które znaleźliśmy u stóp diabła, przypuszczalnie znajduje się w znakach otaczających planisferę, które widoczne są w rogach mapy. Jeszcze się nad nimi nie zastanawialiśmy - Grimpow pokazał im ponownie swoje zapiski.



Następnie narysował symbole z rogów mapy w dowolnym porządku:

z e d c

- Musimy przeszukać całą katedrę i starać się odnaleźć te znaki. Mogą być razem lub oddzielnie i w takiej, bądź innej kolejności. To one są kluczem do miejsca, gdzie jest ukryty skarb mędrców. To ostatni stopień dzielący nas od kolumn przejścia i labiryntu. Manuskrypt Aidora Bilbicum mówi, że trzeba zasiać ziarno i ujrzeć, jak zakwita kwiat. Gdzieś musi być miejsce, gdzie należy to zrobić. Rozłączymy się i każde z nas przeszuka jedną z naw katedry. Potem spotkamy się tu znowu - stwierdził pewnym głosem.

- Nie sądzę, aby to był dobry pomysł - Weienell bała się zostać sama. Wydawało jej się, że figury świętych patrzą na nią ze swych kamiennych cokołów, jak istoty nie z tego świata.

- Osobno ujdziemy uwadze i pomnożymy przez trzy możliwość odnalezienia znaków w tej ogromnej katedrze. To kwestia matematyki. Brat Rinaldo z Metz nauczył mnie w opactwie Brinkdum, że liczby pomagają zrozumieć znaczenie wszystkich tajemnic kosmosu - należał Grimpow.

Weienell i Salietti dali się przekonać. Grimpow wziął na siebie odpowiedzialność za poszukiwania, podobnie jak dowódca oddziału łuczników wyznacza strategię ataku. W końcu to właśnie on był powiernikiem kamienia, to on znalazł go w lesie okręgu Ullpens, kiedy był jeszcze dzieckiem. Od tej pory minęło już sporo czasu i przemiany wszechświata sprawiły, że sam nie zdając sobie z tego sprawy, przestał być chłopcem i stał się odważnym i mądrym młodzieńcem.

Przeszukali wszystkie kaplice, chór, ołtarz główny, wszystkie kolumny, obrazy i witraże. Z podziwem wpatrywali się w wyobrażone na nich historie biblijne. Obok jednej z kazalnicy, umieszczonej z boku prezbiterium, Grimpow zauważył jakiś ruch, tak jakby ktoś, kto obserwował go po kryjomu, schował się w cieniu. Przywołując na pomoc odwagę wspiął się na kazalnicę po schodkach i nie znalazł nikogo. Pomyślał, że było to złudzenie, wywołane sugestią i lękiem przed Bulvarem z Goztell i postanowił powrócić do Weienell i Saliettiego. Nie udało mu się dowiedzieć niczego, czego by już przedtem nie wiedział.

Ponownie znaleźli się przed frontowymi drzwiami w środkowej nawie. Czuli się zawiedzeni niepowodzeniem. Katedra była pełna znaków i symboli, ale żaden z nich nie przypominał tych, których szukali. Obawiali się, że jeśli nie domyślą się szybko, do którego z czterech miast mają pojechać w poszukiwaniu kolumn przejścia, psy gończe Bulvara z Goztell wpadną na ich trop. Będą wówczas musieli do końca życia błąkać się między Paryżem i Reims, lub między Amiens i Chartres, i nie uda im się wymknąć z tego błędnego koła.

- Jedźmy do Amiens. Tamtejsza katedra jest wspaniała, a ponadto miasto znajduje się na końcu Niewidzialnej Drogi. Jeśli brakuje nam tylko jednego etapu przed wejściem do labiryntu, to wydaje się oczywiste, że kolumny przejścia są właśnie tam - stwierdził Salietti.

- A jeśli tak nie jest? A jeśli są właśnie tutaj, w Paryżu, w tej katedrze, tuż obok nas, a my nie zdajemy sobie z tego sprawy? - Grimpow nie przestawał poszukiwać jednej, definitywnej odpowiedzi na pytanie, gdzie są kolumny przejścia.

Ponieważ wydawało się, że Grimpow i Salietti nie dojdą do porozumienia, Weienell

zdecydowała się zabrać głos:

- Jeśli przypatrzymy się mapie Niewidzialnej Drogi, możemy dojść do jednego wniosku: kolumny przejścia są na zachód od Wyspy Ipsar i poza nią. Tak więc nie sądzę, aby sekret mędrców był ukryty w tej katedrze. Nie myślę także, aby był w Reims, bo to miasto leży na wschód od Paryża. Pozostają nam więc Amiens, na północny i Chartres, na południowy zachód od Paryża. Jeśli uznamy za słuszną teorię Saliettiinego, kolumny są w Amiens, bo jest to ostatnie miasto na Niewidzialnej Drodze. Natomiast jeśli posłuchamy Grimpowa, pojedziemy do Chartres, bo jego pozycja na mapie Niewidzialnej Drogi odpowiada gwiazdzie o nazwie Kłos z konstelacji Panny. Zauważmy, że słowo „Kłos” pojawiło się w kwadracie ostatnich słów, który właśnie odszyfrowaliśmy. Pytanie brzmi: do którego z tych miast mamy się udać, aby przejść przez kolumny i wejść do labiryntu?

W tej samej chwili promienie zachodzącego słońca przeniknęły przez ogromną rozetę na głównej fasadzie, która zapłonęła kolorami, jak ogień pod alembikiem alchemika.

- Klucz był tam, ale go nie widzieliśmy! - krzyknął Grimpow, wpatrując się jak osłupiały w cudowne widowisko światła i koloru, które promienie słoneczne tworzyły we wnętrzu katedry.

Weienell i Salietti też wpatrzyli się w rozświetlone witraże, jakby dopiero co zdali sobie sprawę z ich istnienia, ale nie mogli się domyślić, która z niezliczonych scen przedstawionych na nich kryje w sobie klucz do tajemnicy.

- Chodzi ci o witraże w tej rozecie - Weienell chciała wreszcie poznać rozwiązanie.

- Nie - Grimpow wziął do ręki notatki i węgielek. - Mówię o mapie Niewidzialnej Drogi.

- Lepiej nam to zaraz wytłumacz - Salietti nie krył zniecierpliwienia.

Grimpow ponownie narysował znaki, które otaczały planisferę na mapie.

±εϛc

- Wiedzieliśmy, że sekret mędrców ma coś wspólnego ze słowem ARTS, wypisanym w centrum mapy Niewidzialnej Drogi, pod planisferą. I doszliśmy do wniosku, że sztukę możemy znaleźć w katedrach...

- No i gdzie nas zaprowadziło to rozumowanie? - przerwał mu Salietti.

- Do stwierdzenia, że ARTS znajduje się w katedrze w...

CHARTRES

Kwiat w labiryncie

Opuścili katedrę Notre Dame głównym wejściem i wrócili do gospody po konie. Ponownie przemierzyli tę samą drogę, tym razem konno, przejechali na lewy brzeg po niewielkim, wąskim moście i zagłębili się w uliczki dzielnicy otaczającej Sorbonę, blisko której znajdował się rodzinny dom Weienell.

O tej wieczornej porze na ulice licznie wylegli żacy. Odwiedzali gospody i szynki, śmieli się i żartowali, zbierali się w małe, rozgadane grupki, lub stojąc pod oknami zalecali się do panien. Większość z nich rozmawiała ze sobą po łacinie, a dzięki temu zwyczajowi dzielnica zyskała nazwę Quartier Latin.

Gdy wolno przejeżdżali przez plac Sorbony, zapadł zmrok. Fasadę skromnego budynku, w którego murach uczony Gurielf Labox przez wiele lat nauczał geometrii, arytmetyki i astronomii, oświetlało kilka pochodni. Po plecach Weienell przebiegł dreszcz, gdy w półmroku rozpoznawała znajome okolice, po których chodziła od kiedy sięgała pamięcią i gdzie spędziła szczęśliwe dzieciństwo. Teraz jednak przenikał ją lęk. Bała się, że w każdej chwili ktoś może ją rozpoznać i zapytać, dlaczego wraz z ojcem znikli bez śladu i nigdy nie dali znaku życia.

Gdzieśświeciło łuczywo lub z któregoś domu dochodził odblask oliwnej lampki, ale poza tym panowała ciemność. Raczej nie było szans, aby ktoś rozpoznał młodą, piękną Weienell Labox dosiadającą konia. Z przeciwka nadjechały dwa wozy, naładowane po wręby, turkoczac hałaśliwie i spychając ich na bok, pod sam mur. Z ledwością uniknęli stratowania przez woły lub rozjechania przez wielkie, drewniane koła.

Wjechali w zaułek; na jego końcu Weienell wskazała drzwi, osadzone w kamiennym portyku wspartym na dwóch kolumnkach.

- Nie sądziłem, że mieszkasz w tak zamożnym domu - stwierdził Grimpow, podziwiając fasadę.

- Mój dziadek był pisarzem na królewskim dworze i zgromadził sporą fortunę, dzięki której mój ojciec, jego jedyny syn, mógł poświęcić się nauce i wygodnie żyć.

- Na strychu tego domu spędziłem dwa wspaniałe lata mojego życia - melancholijnie westchnął Salietti.

- A skąd weźmiemy klucz? - spytał Grimpow, obawiając się, że stoi przed nimi następną trudność nie do rozwiązania.

- Jeden z kluczy wzięliśmy ze sobą do Cornill i został w gospodzie, skąd nas porwali zbrojni barona, ale drugi ojciec ukrył w dziurze kamiennego gzymsu nad drzwiami, za godłem cechu pisarzy.

- Zostańcie tutaj i bądźcie czujni. Gdyby coś się wydarzyło, szybko uciekajcie. Podjadę i wezmę klucz. Nie ruszajcie się, dopóki nie otworzę drzwi i nie sprawdzę, że nie ma niebezpieczeństwa - szepnął Salietti.

Weienell i Grimpow skinęli głowami, ale w tej samej chwili w jednym z okien ujrzeli blask światła. Salietti ściągnął konia i zamarł, jak sparaliżowany.

- Ktoś jest w domu! - szepnął.

- Światło pali się w pokoju mojego ojca - powiedziała przerażonym głosem Weienell.

- Czy ktoś mógł mieć klucz do domu? - spytał Grimpow.

Weienell pokręciła przecząco głową, niezdolna do wypowiedzenia choćby słowa. Grimpow zapragnął powiedzieć im właśnie teraz, że w katedrze odniósł wrażenie, że ktoś ich śledzi, ale natychmiast zrezygnował z tego zamiaru. W końcu mogło to być tylko złudzenie. Zresztą nie chciał martwić jeszcze bardziej Weienell, która i tak już była zrozpaczona.

Salietti podjechał do Weienell i ujął ją za rękę.

- Widzisz, mówiłem, że niebezpiecznie będzie się tu pojawić. Ktoś wtargnął do waszego domu, przekonany, że nigdy już tu nie wrócicie.

- Któż mógł to wiedzieć? - spytała Weienell, otrząsając się z otępienia.

- Dominikanin Bulvar z Goztell, a więc także jego szpiedzy i poplecznicy. Mógłbym zacząć się dobijać do drzwi, ale byłoby to równoznaczne z ogłoszeniem, że ty sama, albo ktoś bliski twemu ojcu i tajnemu stowarzyszeniu Ouroboros znalazł się w Paryżu - stwierdził Salietti.

- Nie, to byłby niewybaczalny błąd. Ściągnęlibyśmy na siebie uwagę i znowu zaczęłby nas ścigać ten morderca - Weienell starała się myśleć logicznie i nie użalać nad sobą.

- Lepiej opuśćmy Paryż na zawsze. Nic nas już tu nie trzyma - powiedział Grimpow.

- A gdzie się podziejemy, gdy skończymy poszukiwania w Chartres? Nie możemy spędzić reszty życia jako uciekinierzy, włócząc się po świecie i obawiając się, że w każdej chwili możemy zostać pojmani - powiedziała Weienell.

- Pojedziemy do Włoch. Sprzedam włości mojego dziadka Iacopo de Estaglia w Piemontie i zakupimy dom we Florencji. To wolna i bogata republika, gdzie nie sięgają wpływy papieża i króla Francji. Będziemy tam mogli rozpocząć nowe życie, nie lękając się

inkwizytorów, ani chciwości rządzących. Jesteśmy teraz rodziną. Potrzebujemy miejsca, gdzie będziemy mogli żyć w spokoju. Grimpow rozpocznie studia na świetnym uniwersytecie i nie wątpię, że już niedługo założy nowe stowarzyszenie uczonych, które z pewnością nazwie Ouroboros.

Przez południową bramę Paryża przejeżdżało mnóstwo powozów, karoc i prostych chłopskich wozów, a konnych i pieszych wędrowców wprost nie dało się zliczyć. Gdy wyjechali już z miasta, Salietti i Weienell odwrócili głowy, aby rzucić ostatnie spojrzenie na sylwetki wież i dzwonnicy kościelnych rysujące się na nocnym niebie. Grimpow natomiast ledwo zwrócił uwagę na to, że opuścili Paryż, bo zajął się przyglądaniem się grupom pielgrzymów zdążającym do Santiago de Compostela.

Wiatr, mimo iż wiał z północy, był ciepły, a bezchmurne niebo usiane gęsto gwiazdami. Grimpow wpatrywał się w nie, łącząc je machinalnie liniami, podobnie jak to czynił rysując gwiazdozbiory na mapie Niewidzialnej Drogi. Wędrowcy, korzystając z miłej, łagodnej nocy pozwolili koniom iść spokojnie drogą ku Chartres. Nad ich głowami jarzyły się gwiazdne konstelacje: Kasjopea i Mały Wóz na północy, pod nimi widniał długi ogon Smoka i Wielki Wóz, a na południu, w gwiazdozbiorze Panny świeciła jasno gwiazda zwana Kłosem. Pod nią można było odnaleźć Wagę, Skorpiona i Centaura, a Bliźnięta, Raka i Węża Morskiego na wschodzie.

Znaleźli nocleg w zajeździe dla pielgrzymów oddalonym nieco od miasta, a o świtaniu posilili się i ruszyli dalej. Od Chartres dzielił ich jeszcze dzień drogi. Chcieli dotrzeć tam przed zmierzchem, zanim zostaną zamknięte drzwi katedry.

Wszyscy troje zdawali sobie sprawę, że ich podróż w poszukiwaniu sekretu mędrców dobiega końca. Już wkrótce spodziewali się rozpocząć nowe życie daleko od Francji, we Florencji, gdzie nikt ich nie znał i gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy podejrzewać ich o to, że posiadają kamień filozoficzny, *lapis philosophorum*, magiczny klucz dający dostęp do wszystkich tajemnic. Na razie jednak Grimpow, Weienell i Salietti zastanawiali się, co odnajdą w katedrze w Chartres i czy nie mylą się, sądząc, że został tam ukryty sekret mędrców. Nie wiedzieli, czego się spodziewać - czy jakiejś rzeczy, magicznego przedmiotu, czy też jakiegoś cudownego wynalazku. Wiedzieli jednak z rękopisu Aidora Bilbicum, że nie jest to Święty Graal, ani Arka Przymierza, ani żaden tekst, czy też dokument związany z religią.

Ale jeśli tak, to cóż to mogło być? Czym było to, co dziewięciu rycerzy Zakonu Świętyni przewiozło dwieście lat temu z Jerozolimy do Francji na zlecenie stowarzyszenia

Ouroboros? Co stało się obiektem pożądania papieża Klemensa V i króla Francji Filipa Pięknego? Co było tak cenne, że skłoniło ich do popełnienia tyłu zbrodni, do zniszczenia Zakonu Rycerzy Świątyni Jerozolimskiej i zamków Kamiennego Kręgu? Czyżby istotnie sekret mędrców mógł obdarzyć nieśmiertelnością swego odkrywcę? A może był to po prostu cenny skarb, złożony ze złota, drogich kamieni i klejnotów pochodzących z dalekich krain Wschodu, zdolny zmienić posiadacza w najbogatszego człowieka na świecie? A może to jakiś nieznan rodzaj broni, za pomocą którego można pokonać każdego, nawet najpotężniejszego wroga?

Takie i inne pytania kłębiły się w umysłach Grimpowa, Weienell i Saliettiego, choć żadne z nich nie wypowiedziało ich na głos. Zastanawiali się także, co może się stać, gdy już odkryją sekret mędrców i w jaki sposób zabiorą go ze sobą do Florencji, aby tam go ponownie ukryć. Wiedzieli, że odnajdą odpowiedź na te wszystkie pytania nie prędzej, niż dotrą do końca długiego łańcucha trudnych, złożonych zagadek. Długa podróż, jaką odbyli przekonała ich, że wszystko można wytłumaczyć i zrozumieć, jeśli dysponuje się odpowiednimi kluczami. Grimpow obawiał się chwilami, że może mu się nie udać przekroczyć kolumn przejścia i wejść do labiryntu i wszystko okaże się mrzonką. Dzień, w którym w zaśnieżonych górach okręgu Ullpens znalazł martwe ciało rycerza i w jego dłoni kamień, pozostał daleko w tyle. Dzieliła go od niego długa droga, a czas miniony pełen był zarówno tragicznych wydarzeń, jak i radosnych, dobrych przeżyć. Być może najważniejszy był fakt, że wydarzenie to dało mu impuls do rozpoczęcia życia, którego esencją stało się poszukiwanie nauki i wiedzy. Może poszukiwanie sekretu mędrców było po prostu podróżą w głąb samego siebie, poszukiwaniem tożsamości ludzkiej w skomplikowanym labiryncie życia. Może było płodnym ziarnem zasianym w duszy, z którego wyrośnie i rozkwitnie kwiat mądrości.

Było jeszcze coś, co Grimpow rozważał w milczeniu, podczas gdy wierzchowce zwawo parły do przodu pośród krajobrazu łagodnych, zielonych wzgórz. Otóż minęło już dwieście lat od chwili, gdy Aidor Bilbicum i pierwsi mędrcy stowarzyszenia Ouroboros ukryli swój sekret, a przez ten czas mogło mieć miejsce mnóstwo różnych, nieprzewidzianych wydarzeń, o których nie mieli pojęcia. Mijające lata zmieniają bieg historii z tą samą łatwością, z jaką ulewna burza zmienia bieg rzeki. Mogło się przydarzyć, że sami członkowie związku Ouroboros w późniejszych latach zmienili miejsce przechowywania sekretu, lub też go zniszczyli. A może cały ten sekret mędrców był po prostu baśnią, jakie starcy opowiadają dzieciom siedząc przy ciepłym piecu, lub legendą, jakie opiewają w pieśniach trubadurzy i truverzy.

Wysmukłe, ostro zakończone wieże katedry w Chartres wznosiły się nad miastem na tle nieba płonącego barwami zachodu, a okoliczne pola przybrały pomarańczowy i złocisty kolor w ostatnich promieniach słońca.

Chociaż o tej porze roku do Chartres zwykle przybywało wielu pielgrzymów, tego wieczoru miasto było dziwnie spokojne, jakby sprzyjając zamiarom trzech jeźdźców, którzy zbliżali się do niego cienistą aleją. Przyglądali się łagodnym falom rzeki, wielkim kołom młynów i foluszy, drewnianym mostom, topolom, chatkom stojącym na brzegach, w których urządzono pralnie, domom, kościołom i samej katedrze, wznoszącej się nad dachami, jak olbrzym z kamienia.

Zanim zajechali na plac katedralny znaleźli w jednej z uliczek gospodę wyposażoną w stajnię, gdzie pozostawili wierzchowce, aby mogły się pożywić i odpocząć po długiej drodze. Chłopak stajenny zajął się końmi bez zbędnych pytań. Okazało się, że jest głuchoniemy i wydaje z siebie tylko niezrozumiały bełkot, któremu towarzyszyły gesty i uśmiechy. Objawy radości znacznie się nasiliły, gdy Salietti wręczył mu złote ziarno za jego usługi.

Na ulicach było dziwnie pusto. Podeszli do katedry od strony głównej fasady i przeżyli zaskoczenie, widząc, że drzwi są zamknięte. Gdy rozglądali się za kimś, kto mógłby im wyjaśnić, co się dzieje, spostrzegli przechodzącego obok brodatego starca. Salietti spytał, dlaczego miasto jest opustoszałe i dlaczego zamknięto drzwi katedry. Starzec wyjaśnił, że trafili na majowe święto i że wszyscy, którzy mogli, udali się już za miasto, na błonia nad rzeką. Zabawa wokół maika będzie trwała do rana. Przy rozpalonych ogniskach ludzie będą ucztowali, pili, muzykowali, tańczyli i oddawali się szaleństwom. Potem dodał, że jeśli zależy im, aby wejść do katedry, znajdą otwarte drzwi północnego portalu, zwanego Portalem Wtajemniczonych.

Słowa te pobudziły ciekawość Grimpowa i natychmiast wszedł w słowo staremu.

- Dlaczego ten portal nazywa się tak dziwnie - spytał, udając, że nie ma pojęcia, kim są Wtajemniczeni.

- To drzwi, którymi od samego początku wchodziłi członkowie cechów mularzy, cieśli, kamieniarzy. Mistrzowie, czeladnicy i uczniowie, budowniczy katedry. Tych drzwi nigdy się nie zamyka, nawet w nocy - wyjaśnił starzec, po czym skłonił się i pospieszył nad rzekę.

Grimpow poczuł, jak ogarnia go dziwne, niewytłumaczalne uczucie. To było tak, jakby te kamienne mury, których przecież nigdy dotąd nie widział, były mu doskonale znane. Miał wrażenie, że nie po raz pierwszy stoi przed katedrą lub też, że widywał ją często we snach. Przeczynał, że symbole i sekrety, które się w niej kryły nie były mu obce, chociaż,

gdy chciał je przywołać, rozpraszały się w jego umyśle lub splatały ze sobą, jak niedokończone marzenia senne.

Podczas gdy Weienell i Salietti omawiali po cichu wspaniałą przyszłość, jaka czeka ich w bogatej republice Florencji, Grimpow zbliżył się do głównego portalu katedry, zwróconego ku zachodowi, aby przyjrzeć się rzeźbom, które flankowały masywne drzwi. Po lewej stało dwóch mężczyzn i kobieta, a po prawej, w identycznych postawach, trzech mężczyzn. Wszystkie postacie trzymały coś w rękach, niektóre grube tomy, inne zwoje pergaminu. Ich widok nasunął mu myśl o tym, że ma do czynienia z przedstawieniem uczonych członków stowarzyszenia Ouroboros, którzy za pomocą ksiąg, jedynej broni jaką ma do dyspozycji mądrość, strzegą wejścia do katedry, w której kryje się sekret mędrców.

- Obejźmy katedrę w koło i poszukajmy portalu zwróconego na północ. Gdzieś muszą znajdować się kolumny, przez które musimy przejść zanim wejdziemy do labiryntu - zaproponował Salietti, zdecydowany jak najprędzej odnaleźć sekret mędrców, lub cokolwiek było schowane w katedrze, wykorzystując spokój i samotność, jaką niespodziewanie zostali obdarzeni.

Ruszyli wzdłuż głównej fasady, w kierunku południowego portalu, podziwiając każdy szczegół wspaniałej budowli, która zaprawdę przypominała dzieło stworzone przez bogów, a nie ludzi. Każdy z kamieni posiadał swój własny język. Rację miał pustelnik z rozstajów koło Ullpens. Język kamieni był zapisany znakami sztuki i wyobraźni ludzkiej, zdolnej do tworzenia piękna, wzniosłego i nieprzemijającego.

Wkrótce dotarli do załomu utworzonego przez wystające obrzeże portalu na południowej fasadzie i tam znaleźli wąskie schodki prowadzące pod ziemię, zakończone okutymi żelazem drzwiami.

- Tam z pewnością jest krypta - stwierdził Salietti, po czym zszedł po schodach i bez powodzenia usiłował otworzyć drzwi. Grimpow przypomniał sobie ponurą i tajemniczą kryptę kościoła w Cornill, gdzie idąc za radą Kserkseta zdołali otworzyć sarkofag, w którym spoczywała historia kamienia spisana przez Aidora Bilbicum. Ucieszył się więc z całego serca, że kolumny przejścia nie znajdują się właśnie tam, w podziemnym świecie umarłych, gdzie wszystko jest groźne i ciemne, jak w królestwie Hadesa z mitologii greckiej.

Doszli do wschodniej fasady i szli wzdłuż niej, czujni na wszelkie znaki, które mogłyby być pomocne w poszukiwaniach. Zaglądali we wszystkie kąty, wpatrywali się w kolumny i płaskorzeźby na kapitelach, oglądali dokładnie każdą rzeźbę, których mnóstwo ozdabiało katedrę. Stojące tu i ówdzie figury przypominały ludzi na wieki zaklętych w kamień.

Gdy dotarli do północnego portalu - tego, który starzec nazwał Portalem Wtajemniczonych - znaleźli otwarte drzwi prowadzące do wnętrza katedry.

- Możemy wejść tymi drzwiami - powiedział Salietti.

W tej samej chwili Weienell spostrzegła, że w portalu znajdują się dwie smukłe kolumny, a na ich kapitelach opiera się kamień ozdobiony płaskorzeźbami, pod którymi widnieje dziwny napis po łacinie.

- Spójrzcie tylko! - krzyknęła, pewna, że znaleźli to, czego szukali.

Grimpow i Salietti niezwłocznie popatrzyli na sceny wyrzeźbione w kamieniu, które zaczęły przemawiać do nich swym hermetycznym językiem bez słów.

- Na pierwszej scenie można wyraźnie zauważyć skrzynię, przewożoną na wozie zaprzężonym w woły. Na drugiej jakiś człowiek przykrywa skrzynię płachtą, a wokół widać pobojowisko i leżące ciała poległych - Weienell opisała to, co widziała.

- Jeden z tych trupów wydaje się ciałem rycerza w zbroi kolczej - dodał Salietti.

- To historia o tym, jak dziewięciu rycerzy Zakonu Świątyni przewozi sekret mędrców ukryty w skrzyni z Jerozolimy do Francji. To dlatego człowiek w tej scenie okrywa skrzynię i to dlatego legendy głoszą, że chodzi o sekret templariuszy. Aidor Bilbicum opowiada o tym w swym rękopisie o historii kamienia - wywnioskował Grimpow.

- Pod tymi scenami z wozem i skrzynią znajduje się łaciński napis - dodał Salietti.

- Cóż on może znaczyć? - spytała Weienell.

- Niezupełnie pojmuję jego znaczenie - odparł Salietti.

Grimpow, jak stało się to już jego nawykiem, wyciągnął swój pergamin i węgielek i przepisał to, co figurowało na murze.

HIC AMITITUR ARCHA CEDERIS

- Zapisane w ten sposób, słowa te są nie całkiem zrozumiałe. *Hic* oznacza tutaj, w tym miejscu; *amititur* jest dziwnym słowem, które nie istnieje w łacinie. Można przypuścić, że pochodzi od *amitto*, zgubić, pozostawić albo przysłać z daleka. *Archa*, czyli *area*, to skrzynia, jak wynika z płaskorzeźby. Najtrudniej zrozumieć słowo *cederis*, być może jest to zniekształcona forma słowa *cedo*, czyli powierzyć - rozważał Salietti.

- Według ciebie ta inskrypcja jest napisana dość mętną łaciną i może znaczyć, że w to miejsce z daleka przywieziono powierzoną skrzynię - streściła Weienell.

Salietti zagłębił się w myślach, usiłując znaleźć inny, bardziej słuszny sens tego niezrozumiałego napisu i w końcu powiedział:

- Nie jestem pewien, ale może z grubsza o to chodzi.

- Jeśli weźmiemy pod uwagę to, co powiedział brat Rinaldo z Metz, że dawni mędrcy nie posługiwali się jednoznacznym językiem, przestaje dziwić, że ta inskrypcja tylko udaje, że jest napisana po łacinie. W ten sposób jedynie powołani, aby zrozumieć jej prawdziwe znaczenie, mogą ją odpowiednio zinterpretować. Tak więc zgadzam się z tobą, że napis mówi, nie mówiąc tego wyraźnie, że w tym miejscu zostały ukryte sekrety mędrców wysłane z daleka - rozprawiał Grimpow.

Na koniec głos zabrała Weienell, aby podsumować sytuację:

- Ja też zgadzam się z waszym rozumowaniem. Płaskorzeźby na kapitelach kolumn niewątpliwie nawiązują do dramatycznej podróży dziewięciu templariuszy z sekretem ośmiu mędrców z Jerozolimy do Francji. To właśnie symbolizują te kolumny, które pod nazwą kolumn przejścia figurują na mapie Niewidzialnej Drogi i o których wspomina Aidor Bilbicum. Przejdźmy więc przez kolumny przejścia i wejdźmy do labiryntu, aby zasiać ziarno i ujrzeć, jak rozkwita kwiat.

Kiedy weszli do środka przez Portal Wtajemniczonych, słabe światło zachodu wciąż jeszcze przezierало przez niezliczone witraże, przedstawiające sceny z Biblii i życia codziennego i oświetlało wysokie nawy katedry, tworząc na posadzce przejrzysty dywan w delikatnych barwach czerwieni, żółci, błękitu, czerni i zieleni. W obliczu tej niekończącej się sekwencji światła i obrazów, oszołomiony wszechobecnym pięknem, Grimpow zrozumiał dlaczego słowo ARTS z mapy Niewidzialnej Drogi wchodziło w skład słowa CHARTRES. Z zachwytem ujrzał, że kamień, który cały czas nosił w woreczku na szyi zaczyna przybierać czerwone zabarwienie i staje się podobny do grudki żaru, co mógł już zaobserwować w opactwie Brinkdum, w pierwszą noc po jego znalezieniu.

- Labirynt, o którym mówi Aidor Bilbicum może znajdować się gdzieś pośród obrazów przedstawionych na tych wspaniałych witrażach. Myślę, że musimy się pośpieszyć i zanim słońce zajdzie obejrzeć je dokładnie - powiedziała Weienell, zdecydowana przypatrzeć się każdej, najdrobniejszej scenie biblijnej przedstawionej na witrażach.

Zaczęli od rozety nad północnym portalem, gdzie przedstawiona była Matka Boska w otoczeniu królów i proroków. Następnie przeszli do bocznej nawy od strony wschodniej i oglądali każdy witraż od dołu do góry, tak, jakby obrazy postępowały od ziemi do nieba i od prawej do lewej, tak, jak został zapisany tekst ostatnich słów, które znaleźli u stóp diabła w paryskiej katedrze. Na każdym z witraży znajdowały się całe roje postaci, boskich i ludzkich, abstrakcyjne ozdoby, ornamenty roślinne, wpisane w niezliczone kręgi, kwadraty, trójkąty i

ośmiokąty, wśród obfitości światła i kolorów przywodzących na myśl rajski ogród.

Grimpow ścisnął kamień w dłoni i czuł jego ciepło. Czerwonawe światło wydawało się wskazywać, że sekret mędrców jest gdzieś blisko, schowany w jednej z gigantycznych kolumn lub pod kamiennymi płytami, którymi była wyłożona posadzka katedry.

Weienell i Salietti podnieśli oczy ku łukowemu sklepieniu, wyczuwając atmosferę mądrości i tajemnicy, bliską obecność czegoś magicznego i cudownego, zdumiewającego i niewyobrażalnego, zdolnego oświetlić pograżony w ciemnościach świat im współczesny i przyszły. W końcu słowa Wszechświat, Wieczność i Czas nie przez przypadek znalazły się wśród zagadek, które rozwiążali zanim znaleźli się w Chartres.

To Weienell pierwsza dostrzegła błysk złocistego światła na posadzce, w południowej nawie katedry. Okazało się, że słowo Kłos, nazwa najjaśniejszej gwiazdy konstelacji Panny, która była odpowiednikiem miasta Chartres na ziemi, celowo znalazło się na mapie Niewidzialnej Drogi. Słowo to pojawiło się także w kwadracie ostatnich liter, a teraz mogli zobaczyć na białej kamiennej płycie, różniącej się od pozostałych płyt posadzki, inkrustację w kształcie kłosa, zrobioną z metalu lśniącego jak alchemiczne złoto.

Weienell ze wzruszenia aż zapało oddech.

- Kłos, ozdoba gwiazdozbioru Panny! Znaleźliśmy go tu, w katedrze w Chartres!

- Myślę, że to ostateczne potwierdzenie. Być może sekret mędrców znajduje się tu, pod tym kamieniem, a kłos wyznacza miejsce, gdzie należy zasiać ziarno, aby zakwitł kwiat - Salietti był równie rozemocjonowany, jak Weienell.

Grimpow nie wyrzekł ani słowa, schylił się i dotknął kamieniem migoczącego, złocistego kłosa. W katedrze robiło się coraz ciemniej, bo światło dnia ustępowało miejsca ciemnościom nocy.

Czekali w napięciu, aby zdarzył się cud i spodziewali się, że biała kamienna płyta odsunie się na bok i otworzy przed nimi jakiś tajemniczy korytarz lub przejście, podobnie jak zdarzyło się w krypcie kościoła w Cornill lub w zapieczętowanej komnacie w Kamiennym Kręgu. Ale kłos i kamień i płyta nie uległy żadnym zmianom i nic się nie wydarzyło, oprócz tego, że twarz Saliettiego przybrała wyraz rozczarowania.

- Być może to nie takie proste, jak nam się wydawało - powiedział Grimpow, wcale nie zniechęcony.

- Pójdę po jakieś świece, zanim zrobi się tak ciemno, że nie będziemy mogli dostrzec nawet własnego cienia - powiedział Salietti i skierował się w stronę prezbiterium, gdzie przed ołtarzem paliły się dwie świece.

Gdy znalazł się w głównej nawie coś z siłą przyciągnęło jego uwagę. Kamienna

podłoga zmieniła wygląd. Pod stopami ujrzał i wyczuł koncentrycznie umieszczone linie, utworzone przez brązowego koloru kamienne płyty, różniące się od reszty posadzki.

Wzburzony odkryciem chwycił dwie świece z bocznej kaplicy, zapalił je od płomienia gromnicy przy głównym ołtarzu i powrócił do Grimpowa i Weienell.

- Znalazłem labirynt! - krzyknął z ogromnym entuzjazmem. - Chodźcie, jest tuż obok, w środkowej nawie, blisko głównego wejścia - dodał, chwytając Weienell za rękę i ciągnąc ją za sobą.

Grimpow poszedł ich śladem, a jego myśli wzniosły się wysoko, na wyżyny dostępne jedynie orłom. Starł się domyślić, co stanie się w labiryncie. Brat Rinaldo z Metz nauczał go o znaczeniu tego starożytnego symbolu. Wspominał o znanych z zamierzchłej historii labiryntach na wyspie Lemnos, w Clusium czy na Krecie. Labirynt był miejscem magicznym, miejscem zaskakującym, wprowadzającym w błąd, pułapką, do której łatwo było wejść, ale którą trudno było opuścić, chyba że miało się do dyspozycji nić Ariadny. Chłopiec czuł, jak serce bije mu coraz silniej, a światło kamienia w jego ręce, światło kamienia filozoficznego, *lapis phibosphorum*, klucza do tajemnic, pulsowało i nabrało magicznej intensywności.

Zatrzymali się przed pierwszą linią labiryntu, tworzącą krąg. Jej brzeg ozdobiony był małąkimi półkolami, umieszczonymi jedno obok drugiego, co nadawało jej wygląd jakby koła zębatego.

- Tak, to bez wątpienia labirynt, chociaż nie wygląda tak, jak się spodziewałam. Myślałam, że będzie to mnóstwo podziemnych, splątanych korytarzy, w których nie sposób znaleźć drogi - powiedziała Weienell.

- Muszę się z tobą zgodzić. I ja też przypuszczałam, że labirynt będzie czymś o wiele bardziej skomplikowanym. Myślałem, że będziemy musieli błąkać się po piwnicach, a ten labirynt jest po prostu rysunkiem na ziemi i nie ma żadnych murów - rzekł Grimpow.

- Wydaje mi się, że jest to po prostu jedna jedyna droga, która tworzy zarys koncentrycznych kręgów i zakręcając wielokrotnie prowadzi wprost do środka labiryntu - zauważył Salietti.

- Kwiat! - krzyknął Grimpow z radością. - W środku labiryntu jest kwiat - dodał z namysłem.

Wziął do ręki swój pergamin z notatkami i śledząc wzrokiem skomplikowany zarys linii przerysował go na pergamin. Wszyscy troje zdumieni patrzyli na płatki kwiatu, do którego prowadziła niezwykła, zawiła droga. Wyróżniał się w samym środku rysunku, zamknięty w najmniejszym z okręgów.



- Poszukajmy wejścia do labiryntu - zaproponowała Weienell, idąc wzdłuż zewnętrznego, zębatego okręgu, aż do punktu, gdzie znajdowała się przerwa w obrysie, stanowiąca początek drogi wyznaczonej na posadzce katedry.

Wszyscy troje odczuli głębokie wzruszenie, wywołane przecuciem bliskości sekretu mędrców. Magiczna obecność czegoś cudownego pobudzała wszystkie ich zmysły, mimo iż sam przedmiot był nadal ukryty. Droga do kwiatu, o którym mówił manuskrypt Aidora Bilbicum otwierała się przed ich oczyma. Jedyne, co należało zrobić, to przejść nią, aby zasiać ziarno. Ziarno, którym niewątpliwie był kamień trzymany w ręce przez Grimpowa, przypominający je swym kształtem. Ale gdzie należało je zasiać? I co wydarzy się potem?

- Wejźmy i przejdźmy przez labirynt. Gdy dojdziemy do środka, zastanowimy się, jak zasiać ziarno, aby zobaczyć rozkwitający kwiat - zaproponował Grimpow.

Weienell i Salietti popatrzyli na niego, a w ich oczach, błyszczących od łez wzruszenia, odbijała się miłość i szacunek, które do niego czuli. Zanim go poznali, żadne z nich nie spodziewało się, że na drodze życia spotkają kogoś tak niezwykłego i obydwójce czuli dumę z tego, że są jego przyjaciółmi.

- Musisz wejść sam do labiryntu, Grimpowie - powiedziała Weienell, ujmując go z czułością za rękę. - Linie nakreślone na ziemi są wąskie. To wskazuje, że drogą, która prowadzi do środka kwiatu, musi iść tylko jeden człowiek. Pielgrzym, nią podążający, zagłębia się zarazem w sobie i odkrywa to, co kryje się w jego wnętrzu, odkrywa cudowną istotę człowieczeństwa, z którą nie może się równać nic innego na świecie.

- Weienell ma rację. To ty znalazłeś kamień, bo kamień wybrał ciebie. Pamiętasz? Ty jesteś jedynym, który może wyjawić światu jego sekret.

- Ale przecież dotarliśmy tu razem! Ten tajemniczy kamień należy równie do was, jak i do mnie - protestował Grimpow, nie czując się na siłach, aby wziąć na siebie tak wielką odpowiedzialność: wejść do labiryntu i odkryć sekret mędrców.

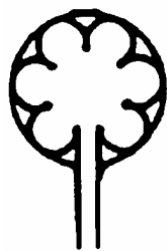
- My jedynie towarzyszyliśmy ci, abys mógł doprowadzić do końca misję, którą

rozpoczęli nasi ojcowie. Byliśmy im to winni i pragnęliśmy spełnić ich marzenie. Ale ani Salietti, ani ja nie możemy z taką intensywnością, jak ty, odczuć tego, co mówi kamień. W naszych rękach jest po prostu bryłką skały o dziwnym wyglądzie. Natomiast w twoich rękach zamienia się w coś niezwykłego, tak cudownego, jak światło, które bije z jego wnętrza.

- Wejść do labiryntu, chłopcze, my zaczekamy tu na ciebie. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, zawołaj. Nie mamy zamiaru spuścić cię z oczu ani na chwilę - powiedział Salietti, aby go uspokoić.

Grimpow odetchnął głęboko i stanął w wejściu. Wahał się przez chwilę, a potem zaczął stawiać krok po kroku na wyznaczonej drodze. Po paru krokach droga skręciła na lewo i poprowadziła go na drugą stronę labiryntu. Grimpow poczuł, jak powoli spływa na niego spokój. Światło kamienia, który trzymał w wyciągniętej ręce stało się jeszcze bardziej intensywne. Wydawało się, że oświetla jego umysł i duszę w sposób, jakiego jeszcze nigdy nie doznał. W miarę, jak szedł, prowadzony przez linie labiryntu, zakręcając na prawo i lewo, idąc ze wschodu na zachód, a potem z południa na północ, powtarzał w myślach tekst notatki, którą Gurielf Labox pozostawił Saliettiemu w kościele w Cornill i tekst z ostatniej strony rękopisu Aidora Bilbicum. Recytował go powoli, jak gdyby był to tekst pięknej pieśni, stworzonej przez trubadura.

*Zrób to, co każe Kserket,
a otworzysz kryptę, gdzie nie ciało śpi
snem wiecznym, lecz historia spoczywa.
Udaj się do miasta, o którym mówi wiadomość.
Tam pytaj o tego, kto nie istnieje,
i wówczas usłyszysz głos cienia.
Podążaj za znakiem
I znajdź zapieczętowaną komnatę,
Gdzie czas jest życiem i jest śmiercią.
Jeśli uzyskasz nieśmiertelność
Ujrzysz Niewidzialną Drogę,
Która zawiedzie cię na wyspę Ipsar
Zamieszkałą przez fantastyczne stwory.
Gdy pokonasz diabła, u jego stóp
Odnajdziesz ostatnie słowa.
Na koniec miń kolumny przejścia*



Gdy skończył, zdał sobie sprawę, że w środku kwiatu znajduje się, wyżłobiona w posadzce mała dziurka, nie większa od kamienia. Schylił się i powolnym, lecz zdecydowanym ruchem włożył kamień do otworu. Wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Czerwone światło emanujące z kamienia zmieniło nagle kolor na głęboki błękit i stało się tak intensywne, że niemal go oślepiło. I jak od iskry zapala się słoma, z szybkością spadającej gwiazdy światło przebiegło po całym zarysie labiryntu, oświetlając wszystkie kręte linie wyrysowane na posadzce, aż na koniec cały labirynt rozjarzył się zimnym, niebieskim ogniem. Od niego rozświetliły się wszystkie witraże katedry, jak gdyby w środku nocy zaświeciło błękitne słońce. Na mrocznym sklepieniu rozbłysły gwiazdy i planety i wydawało się, że właśnie został stworzony maleńki wszechświat. Grimpow patrzył w zdumieniu, jak z kwiatu w labiryncie wyłania się piękna sfera niebieska, otoczona welonem mgły, a w jej środku pojawiają się szeregi cyfr, formuł matematycznych, obrazów czasów minionych i przyszłych, znaków i symboli, niewyobrażalnych i niezrozumiałych. Wystarczyło, aby o czymś pomyślał, a natychmiast znajdował odpowiedź. Szybko domyślił się, że wszystkie tajemnice natury i kosmosu były tam, przed jego oczyma, zawarte w tej sferze niebieskiej i że wszystkie je będzie można pojąć i zrozumieć, ponieważ istnieje klucz do ich istoty. Wiedział, że kosmiczna istota jego kamienia, kamienia filozoficznego, *lapis philosophorum*, klucza do wszystkich tajemnic, posłuży ludzkości do osiągnięcia całkowitej mądrości, którą ta cudowna sfera oraz ciemny i nieskończony firmament, w którym się obracała, zawierały już przed milionami lat, kiedy istniała jedynie Nicość.

Usiadł na zimnej posadzce katedry i przez długie godziny, pogrążony w kontemplacji podziwiał harmonię maleńkiego wszechświata, który pojawił się w magiczny sposób ze światła kamienia w kontakcie z kwiatem labiryntu. Ponownie ujrzał te same obrazy, które widział w opactwie Brinkdum, gdy myślał, że to jedynie dziwny sen. Widział wybuchy kosmiczne, które tworzyły miliony gwiazd na firmamencie, kataklizmy planetarne, które przekształcały kontynenty i oceany w piękne, ponadczasowe krajobrazy, wieczne lody pokrywające świat pod niebem czarnym od dymu i popiołu, epidemie niszczące ludzkość, monstrualne i bezlitosne maszyny, które wyrzucały z siebie ogień i powodowały potworne

wybuchy, wojny, które zabijały miliony ludzi. Ale w środku tej fascynującej sfery niebieskiej Grimpow zobaczył także wspaniałe dzieła sztuki, piękne przedmioty i niezwykle urządzenia o różnych kształtach i zastosowaniach, fantastyczne miasta z domami ze szkła rozjarzonymi światłem, pałace i ogrody, ludzi o dziwnym wyglądzie, ubranych w niezwykle stroje, przemykających obok jakichś metalowych, jadących wozów, ogromne maszyny, przypominające wielkie, srebrzyste ptaki latające po niebie i inne, zaopatrzone w ogniste ogony, które przemierzały niebiosa i docierały do odległych galaktyk, zagubionych w nieskończoności wszechświata.

Grimpow wiedział, że to sekret mędrców odsłonił przed nim ten cudowny wszechświat utworzony ze światła. Wiedział, że umożliwił mu osiągnięcie oświecenia i, być może, nieśmiertelności. Ale najważniejsza była świadomość tego, że ziarno, które zasiał, prędzej czy później wyda kwiat. Misterium zostało ujawnione i został dokonany początek, choć przeminą być może tysiące lat, zanim ludzkość zdoła do końca rozwiązać tę nieskończoną zagadkę. Nie dowiedział się, jaki magiczny przedmiot był zdolny stworzyć cuda, które miał przed oczami, ale nie wydawało mu się to ważne. Przypuszczalnie mędrzy ze stowarzyszenia Ouroboros też nigdy tego nie wiedzieli, ponieważ, jak zapewnił go stary, stuletni mnich Uberto z Alessandrii, odpowiedź na to pytanie znajdowała się ponad gwiazdami, a tam wiodła nowa Niewidzialna Droga, której żaden człowiek jeszcze nie przeszedł. Jak zapewniały ostatnie słowa mędrców, które znajdowały się u stóp diabła, była to kwestia czasu i przemian wszechświata, do których musi przyczynić się cała ludzkość. Ale mapa tej nowej Niewidzialnej Drogi była tu i była w jego kamieniu. Ludzie zaczną ją interpretować i odtąd będą poszukiwać w przyrodzie i kosmosie magicznej istoty kamienia i duszy ludzkiej, która pewnego dnia zjednoczy się z Bogiem.

Obudziły go promienie słońca, przeświecające o świcie przez rozetę umieszczoną nad wschodnim wejściem do katedry. Leżał na posadzce, w samym środku labiryntu. W dłoni trzymał kamień, który przybrał piękny, błękitny kolor i wydawał się cennym klejnotem. Weienell pogłaskała go po czole i pomogła mu się podnieść.

- Wszystko znikło - powiedział Grimpow ze znużeniem, patrząc w górę, na sklepienie katedry, gdzie zaledwie przed chwilą widział cudowną sferę niebieską unoszącą się na nieskończonym gwiazdym firmamencie.

- Teraz ten wszechświat mądrości znajduje się w twojej dłoni - powiedział Salietti.

- I teraz rozpocznie się nowy czas, który na zawsze rozświetli dzieje ludzkości. To było od zawsze marzeniem naszych ojców i wszystkich mędrców z tajnego stowarzyszenia

Ouroboros, a teraz ty jesteś ich jedynym spadkobiercą - z czułością stwierdziła Weienell.

Salietti chciał właśnie powiedzieć, że muszą się zbierać i jak najszybciej jechać do Florencji, gdy zaniepokoiły ich głosy ludzi zbliżających się do świątyni. Mieszkańcy Chartres zakończyli nocną zabawę i szli tłumnie do katedry na modlitwę poranną.

Wielkie drzwi głównego portalu katedry otworzyły się na oścież, wpuszczając światło nowego dnia i do głównej nawy wszedł radosny i wesoły pochód. Jednocześnie Grimpow, Weienell i Salietti cicho wyszli przez ten sam Portal Wtajemniczonych, przez który dostali się do katedry. A kiedy przechodzili obok zachodniej fasady i kierowali się w stronę gospody, gdzie zostawili konie, ich uwagę zwrócił głos ślepego starca, który na cały głos coś wykrzykiwał do otaczającego go tłumu. Wsluchali się w jego słowa, a Grimpow pomyślał, że głos ten jest mu skądś znajomy.

*Posłuchajcie, co powiem,
Wy, ludzie małej wiary,
Wzdragający się przed cudem
Niedowiarkowie i sceptycy,
Których serc magia nie wzrusza
I umysłów ich nie niepokoi.
Uważnie słuchajcie i uwierzcie,
Bo historia, którą wam opowiem
Nie dosyć, że piękna,
Jest także prawdziwa.
Wyostrzcie wasze zmysły,
Otwórzcie je na wielkość
I pójďte śladem wyobraźni,
Która zawiedzie was,
Nie mamiąc was, ani nie łudząc
Do zamku ponad gwiazdami...*

Dramatis personae

Grimpow, młody bohater

Durlib, przyjaciel Grimpowa

Kense, sługa w opactwie Brinkdum

Brat Brasgdo, mnich kucharz

Opat z Brinkdum

Bulvar z Goztell, inkwizytor z Lyonu

Rinaldo z Metzu, mnich bibliotekarz

Brat Assben, mnich zielarz

Uberto z Alessandrii, ślepy stuletni mnich

Pobé de Lanforg, nowicjusz

Salietti de Estaglia, błędny rycerz

Mistrz Ailgrup, płatnerz z Ullpens

Pustelnik

Krwawy Drusklo, rozbójnik

Proboszcz parafii Cornill

Gurielf Labox, uczony

Aidor Bilbicum, mędrzec

Rhadoguil de Curnilldonn, templariusz

Figueltach de Vokko, baron z Alzacji

Guishval, giermek barona

Weienell, córka uczonego Gurielfa Laboxa

Valdigor de Rostvol, rycerz, sprzymierzeniec barona

Junn Kulawiec, karczmarz ze Strasburga

Gulf de Östemberg, diuk, pan zamków Kamiennego Kręgu

Humijs Nazs, medyk z Metzu

Mahusle, żona Humiusa

Azkle Trubadur, przewoźnik z Châlons

Podziękowania

Pragnę wyrazić wdzięczność i uczcie przyjaźni dla José Angela Sanz Moralesa i Manoli Campoy Ramón, w których domu wraz z Loli spędziliśmy niezapomniane godziny, wpatrując się w niebo przez potężny teleskop. Pomysł napisania tej książki zrodził się na ich tarasie, w niezwykłym Gwiezdnym Obserwatorium otwartym na wszechświat.

Chciałbym też podziękować memu przyjacielowi, Fernandowi Gomezowi Lobato, którego talenty malarskie wsparły moją wyobraźnię i zamieniły tajemniczą mapę Niewidzialnej Drogi w dzieło sztuki średniowiecznej.